SZKOŁA NUMER 7,
JEZIORO DŁUGIE,
ALEJA PRZYJACIÓŁ
(Z CAŁYM OLSZTYNEM W TLE).
ENCYKLOPEDIA

Zebrał i ułożył **jd**

2003-2004-2005-2006

SPIS TREŚCI

Tak to się zaczęło ..... s. 3
Oni gadali, pisali, wspominali ..... s. 4
Osoby, miejsca, przedmioty, fakty, zdarzenia, przeżycia, oceny, opinie ..... s. 19
Spis haseł ..... s. 223

TAK TO SIĘ ZACZĘŁO

LP (*21.07.2001, 20:31, Forum internetowe „Gazety Wyborczej”*): Szkoła nr 7. Kto się uczył w tej szkole w latach 1970-1978?

jd: Czy chodzi o szkołę podstawową na Alei Przyjaciół?

LP: Tak, chodzi o szkołę nr 7 na Alei Przyjaciół.

jd: Kocham tę szkołę, ale uczyłem się tam tylko trzy miesiące w roku 62-63, a za to później rok w rok przez lat kilkanaście spędzałem w jej okolicy wakacje. Przyjeżdżały tam kolonie ze Śląska. W jakim celu poszukujesz osób związanych z tą przemiłą budą?

LP nie miał żadnego określonego celu poza gadaniem, pisaniem, wspominaniem; to znaczy gadanie, pisanie i wspominanie było jego celem. Znalazło się parę jeszcze osób, które ten cel (czy brak celu) podzielały, no i się zaczęło… I trwa do dziś, i zebrało się ponad 7000 postów, i stale pojawiają się nowi i nowi rozmówcy, i nic nie wskazuje na wyczerpanie i zmęczenie materiału.

ONI GADALI, PISALI, WSPOMINALI

A. Córka Ireny Sajdy; Irena w dzieciństwie, na początku lat 60-tych, mieszkała wraz z liczną rodziną na Alei Przyjaciół 29, m. 1.

ab. Pozdrowił wszystkich uczestników zjazdu na pięćdziesięciolecie Siódemki; najwyraźniej był kimś z organizatorów: świetnie we wszystkim zorientowany.

Absol(lut)went. Pojawił się na chwilę – refleksyjnie i poetycko – w jednym z nielicznych i niewielkich okresów przestoju.

absolwentka. Powiadomiła nas o śmierci pani Sitnik w grudniu 2005 roku.

absolwentka83. Oto co o niej wiadomo od niej samej: „Witajcie, jestem absolwentką Siódemki, naukę skończyłam w 1998 roku. Przemile wspominam tę szkołę oraz osiedle, na którym sie wychowałam. Byłoby mi miło, gdyby znalazł sie ktoś z mojego rocznika. Pozdrawiam".

AD, czyli Andrzej Drosel. Chodził do Siódemki na początku lat 80-tych (ukończył w roku 1984), wprawdzie tylko cztery lata, od klasy piątej do ósmnej, ale wspomina je – jak to sam powściągliwie ujął – „bardzo dobrze". Mieszkał na Jeziornej w środkowym wysokim bloku po lewej stronie ulicy, gdy szło się na plażę. Teraz mieszka od wielu lat w Niemczech. „Ten blok – wspomina nostalgicznie AD Jeziorną – był bardzo dobrze położony, ponieważ mogłem, w sytuacji dobrej pogody, spontanicznie i błyskawicznie podjąć decyzję: szkoła czy jezioro. No i czasami zwijałem się na Budowlankę". Na forum trafił ponoć całkiem przypadkowo, „i szczerze powiedziawszy, w życiu bym nie pomyślał, że istnieje takie forum".

AD1983. Absolwent Siódemki z roku 1983; o AD1983 niewiele więcej (choć i to nie byle co) da się powiedzieć.

adamus701. Adam z 6b (w roku szkolnym 2005/06), ale tylko tyle o sobie napisał.

AF, czyli Andrzej Fiedorowicz (zwany Fiedorem); w Siódemce w latach późnych 60-tych i wczesnych 70-tych (absolwent z roku 1972). Mieszkał na Alei Przyjaciół 27, na II piętrze. Ciągle mieszka w Olsztynie, teraz w okolicach Likus.

af. Najwyraźniej ktoś inny niż AF; z naszej okolicy, ale aktualnie zagranicą. Jak sam twierdzi, należy go kojarzyć z jf (Januszem Filipowiczem, który jest jego ojcem).

AgaB. Pozdrowiła wszystkich noworocznie (2006), a zwłaszcza Karola z Legii Cudzoziemskiej (karolyplait); dodała też cenne komentarze do zdjęć na stronach Fredka i Allana. Siódemkę ukończyła w roku 1985.

ai. Odezwał się kilka razy twórczo, poetycko, nastrojowo i spontanicznie, na przykład tak: „tańcują na falach wesołe promyki, ciemny las się w tafli przegląda, wieczorem tatarak szeleści w rytm żabiej muzyki, przepiękny jest spacer nad Długim Jeziorem". Jeśli chodzi o stronę poetycką, to *de gustibus*..., natomiast poglądy ma ai całkowicie słuszne.

ak (także jako **ak_7**), czyli Allan Karzel. Mieszkał na Alei Przyjaciół 27, na I piętrze. Siódemkę ukończył w roku 1972. Teraz mieszka w Niemczech. Ma nieprzemijalne i ledwo ogarnialne zasługi dla forum i dla naszych ulubionych miejsc i zakątków Olsztyna; jedną z tych zasług jest strona internetowa http://www.allkar.de/info.html.

AK (ktoś inny niż ak). Odezwała się (bo na pewno płeć żeńska) tylko raz. Jedna z pierwszych absolwentek Siódemki (z roku 1956). Dobrze ją pamięta mama mr.

ala. I ona odezwała się tylko raz. Wiadomo, że chodziła do klasy z Sajdą (ale nie wiadomo którym albo którą), a jej wychowawczynią była pani Pawłowska.

alf. Ktoś z okolic Jezioraz Długiego i z Siódemki; mieszka tam do dziś, odrobinę tajemniczy. Bardzo cenił liczbę 7, zna się na górkach wokół Długiego, no i w ogóle „wie, co ile kosztuje", czyli jest ogólnie zorientowany.

alfred. Odezwał się raz. Złośliwie, ale nie było to inteligentnie złośliwe.

Andulka. Stała bywalczyni forum olsztyńskiego (choć z Warszawy, i choć ostatnio bardzo okazjonalnie). Sympatyzowała z naszymi wspomnieniami, a niekiedy także wrzucała swoje twórcze trzy grosze. Na emeryturę (ale to dopiero za 50 lat) planuje przenosiny w wiadome miejsce.

angol41. Gość rzadki, ale co nie co o sobie zdradził: „jestem z wami od samego początku i muszę przyznać, że was podziwiam za wytrwałość, za pamięć i niesamowite ciepło, z jakim opowiadacie swoje wspomnienia. Wyjątkowa jest nasza szkoła i dzielnica, a więc i ludzie tam mieszkający są też wyjątkowi. Napisaliście tak wiele o naszej ulicy i szkole, że dla mnie niewiele zostało. Pisze na tym forum wielu moich kolegów i przyjaciół, więc serdecznie was pozdrawiam; myślę, że kiedy zacznę wspominać nasze wspólne przygody, to mnie rozszyfrujecie, a zacznę niebawem, tylko muszę znaleźć trochę czasu i spokoju". Nie było tych wspomnień wiele (choć może angol zmienił nick i pod innym dał się bardziej poznać), ale jedno na początek było, i było dość klasyczne: „Zacznę od tego, że często spóźniałem się do szkoły; nie dlatego, że miałem daleko, ale że mieliśmy z moim przyjacielem, z którym mieszkałem w tym samym domu, ciągły problem co wybrać: czy iść na lekcje, czy spędzić czas nad jednym z jezior w pobliżu naszego domu. I kiedy tak wybieraliśmy, było już po drugim dzwonku i biegiem pędziliśmy na lekcje".

aniolek. Odezwał się raz, życząc nam wszystkiego dobrego z okazji Dnia Dziecka. Bardzo dobre i chwalebne włączenie się do Siódemkowych debat i wymiany opinii, no ale właśnie bez kontynuacji.

Anka. Zjawiła się na stronie Fredka: „Dzięki Rybie (młodszej) jestem tutaj. Cóż za wspaniałe zdjęcia, a szczególnie te z przedstawienia «Jaś i Małgosia». Pozdrawiam wszystkich z klasy VIIIa, rocznik 85".

Arabella, czyli Agata Wiśniowiecka (choć nie ma pewności co do dzisiejszego nazwiska). Siostra mamuta, a więc mieszkała na Bałtyckiej 19. Rocznik (urodzenia) 1969, Siódemkę ukończyła w roku 1984. Obecnie w Kanadzie.

Artur. Zawitał na stronę Fredka: „Fajna strona; znalazłem siebie na paru zdjęciach. Chodziłem do Siódemki w latach 1969-1977, a wychowaczynią była Pani Dragan.

Ucieszyłbym się z kontaktu z koleżankami i kolegami z klasy i szkoły. Pozdrowienia – Ulf Artur".

baron. Obrał sobie pretensjonalnego nicka ze sfer wyższych, ale maniery miał z okolic marginesu. Szybko zrezygnował z bywania.

Bartek. Najprawdopodobniej Bartosz Gonkiewicz. Siódemkę ukończył w roku 1990, w klasie z Jackiem Poniewierką. „1975 to rocznik Jacka i mój, ale.... urodzenia. Z czego wynika, że tym samym Siódemkę skończyliśmy w 1990" (Bartek). Wynika z tego również, że nie powtarzali żadnej klasy. Brawo!

B.Sz., czyli Bożena Szymkiewicz. Nauczycielka w Siódemce i Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego obchodów 50-lecia.

Bajarz. Wypowiedział się raz, ale za to z absolutnym profesjonalizmem w fundamentalnym temacie oranżady.

Basiag, czyli Basia, która raz się odezwała, obiecała, że to powtórzy, ale tak się nie stało i się nie powtórzyło.

being28. Stały bywalec olsztyńskiego forum. Zapragnął – najwyraźniej pod wpływem naszej pisaniny i jak najbardziej słusznie – zapisać się do Szkoły 7, mimo że zdecydowanie nie spełnia wymogów, jeśli chodzi o wiek (od góry). Ale, jak wiadomo, wiek to wiele, ale to nie wszystko, więc nic nie jest wykluczone.

betis (także jako **Beata** oraz **specjal**), czyli Beata Smolińska. Uczyła się w Siódemce, i to od zerówki do końca jako wzorowy uczeń; należy do młodszego pokolenia Siódemkowiczów (ukończyła w roku 1995, ale jako jedyna z klasy była na jubileuszu). Mieszka na Bałtyckiej bliżej Likus, choć obecnie – z powodu spraw sercowych – częściej gdzie indziej. Jej wychowawczynią w szkole była pani Dragan. Do niedawno pracowała w Novotelu.

bg. Podała kilka aktualnych informacji, m. in. o pani Dragan.

biała7. Zatytułowała swój inauguracyjny (i chyba, niestety, jedyny) post: „Nareszcie trafiłam!". I tak to objaśniła: „Witam wszystkich bardziej i mniej znajomych. Tu Agata, rocznik (urodzin) 79. Ależ miło poczytać. Naprawdę rewelacyjni ludzie pokończyli SP 7 !!!!! Hura, udało mi się !!!". Z nicka Agaty może też wynikać, że mieszkała na Białej, a może nawet na Białej 7.

biari. Chodził ponoć do jednej klasy z WSKH, a nawet siedział z nim w jednej ławce, ale WSKH jakoś tego nie potwierdził.

bliźniaczka. Jedna z sióstr Podgórskich. Zareagowała na barwne i urocze opowieści o jej i jej siostry sprawach sercowych.

Bogdan_first. Niewiele wiadomo kto to. Włączył się do debaty na słynny temat, czy topola przy Związku Wędkarskim to topola, i zdradził, że często tu (na forum) zagląda. Co się potwierdziło, gdy przyszło do omawiania imprez towarzyskich ze zdjęć prezentowanych na stronach Fredka i ak.

borasca0107 (także jako po prostu **borasca**), czyli Bożena Swatek. Siódemkę ukończyła w roku 1984. Dobiła do nas dzięki mamutowi; chodziła do klasy z siostrą mamuta Arabellą, a „także z mamutem, mir-murem, AD, tepsikiem, zenobiab, dziadem i jeszcze paroma innymi osobami, które tu zaglądają" (borasca).

Borek. Zajrzał do nas, bo chciał zrobić post numer 500 na dużym wątku, ale nie ma dziś jasności, czy mu się to udało. Chyba jednak ubiegł go LP.

borys. Poruszony i wzruszony zdjęciami na stronach Fredka i Allana; nieźle zorientowany w ich tematyce. Rocznik Siódemkowy 1986.

Bożenna Potocka (także jako po prostu **Bożenna**), czyli Bożena Potocka; rocznik 1965/66. Mieszkała na Al. Przyjaciół 37.

branchette. Ktoś, kto uczęszczał do klasy A, ktoś z rocznika 1980-81 (tzn. urodził się w tych latach), ktoś, kogo pierwszą wychowawczynią była pani Szymkiewicz: „Chodziłam do tej klasy tylko cztery lata, bo potem się przeprowadziłam, ale czułam się z tamtymi okolicami szczególnie związana i tak jest po trosze również dzisiaj. Gdy tylko jadę do domu na dłużej, to mimo iż mieszkałabym dziś w zupełnie innej części miasta, jak tylko znajduję chwilę na wycieczkę rowerową, to dziwnym trafem koła wiozą mnie w okolice Plaży Miejskiej, dawnej Budowlanki, Ekonomika, Kościoła M. B. Saletyńskiej i wreszcie SP 7. Sprawdzam czy wszystko jest na swoim miejscu, choć wiele się zmieniło...". Wiadomo jeszcze tyle, że naprawdę branchette ma na imię Lena.

brzoza2 (także jako **spinkaa**). Regularna bywalczyni forum olsztyńskiego (choć mieszka w Warszawie) i czytelniczka naszych wątków o szkole 7. Kilka razy się jednak także odezwała, słusznie żałując, że nie chodziła do Siódemki, i ten żal całkowicie ją rehabilituje i stawia w gronie Siódemkowiczów.

były sasiad. Były sąsiad najwyraźniej Iwony, bo to o niej, a właściwie o jej stłuczce samochodowej kiedyś się z zatroskaniem odezwał (Iwona zapewniła, że nic poważnego się nie stało).

Cines, czyli Tomasz Trzciński. Oto jego wstępna autoprezentacja: „Mieszkałem na Al. Przyjaciół 45. Jestem absolwentem rocznika 1986. Cieszę się, że istnieje to forum i strona Fredka. Pozdrawiam wszystkich".

czlowiek (także jako **wilma**). Z Kanady; zna Filona, czyli jf. Zjawiał się rzadko, mówił z troską o jakości i rozrzucie naszych tematów oraz rozmów, ale łatwo się zniechęcał, a nawet defetystycznie przymarudzał. Chodził do Siódemki jeszcze gdy była na Bałtyckiej i podejrzewa, że do jednej klasy z nat, czego nat nie wyklucza; ich wychowawczynią była pani Sitnik. Wiadomo jeszcze, że posługuje się na co dzień, i to od osiemnastu lat, angielskim.

da142, czyli, jak on sam pisze, „starszy pan", który życzył nam wszystkiego dobrego na wigilię i Sylwestra 2005 roku. Nie wiadomo, czy z Siódemki, ale jest mały trop idnetyfikacyjny, związany z życzeniami: „w Nowym Roku tyle samo lądowań, co startów (nie mogłem sobie odmówić lotniczego pozdrowienia)".

DD (czasem także jako **musicdra**), czyli Daniel Dramowicz. Mieszkał na Rybakach 33 (skrzyżowanie z Aleją Przyjaciół tuż przy lesie). Teraz mieszka na Jarotach; 47 lat (2005 r.).

detritus. Nie chodził do Siódemki, ale mocno sympatyzował z naszymi wspomnieniami. Jest kolekcjonerem starych pocztówek Olsztyna, a imponujący ich zbiór prezentuje na swojej stronie internetowej (www.detritus.olsztyn.pl), na której jest także specjalny kącik o Siódemce i okolicach Jeziora Długiego. Mieszka w Olsztynie w dzielnicy Brzeziny.

dunia33. Chyba najmłodsza w tutejszym gronie. Tak kiedyś napisała: „Szukam koleżanek z tej szkoły (SP nr 7)! Mam dziewięć latek!!!".

dyr.sp7, czyli Jan Leszek Bajorek, obecny dyrektor Siódemki. Pod tym nickiem występowała też często Pani Bożena Szymkiewicz.

dziad. Odezwał się najpierw raz, a potem jeszcze kilka razy, domagając się dalszych wspomnień: „PISAĆ, WSPOMINAĆ, BO NIE MAM CO CZYTAĆ". Bliżej zidentyfikowany i poznany w okresie powstawania baru piwnego „Mięsny": „Aaa! Był Dziad! Okazało się, że wcale nie dziad, tylko młody i sympatyczny" (miki). W końcu wyszło na jaw całkowicie, że dziad to Janusz Sędrowski, rocznik 1983/1984.

dzielny. Koleżka LM, ale nie rozpoznany przez LM. AD przypuszcza, że dzielny ma szczególne powiązania z okolicą Mostu św. Jana.

el. Nie wiadomo kto, bo ktoś jednorazowy na forum, ale zorientowany na tyle, by zgłosić uwagę do strony Fredka, że w spisie nauczycieli tam zamieszczonym są nieaktualności.

Ewa T. (także jako **ETF**), czyli Ewa Teler. Do ukończenia szkoły średniej mieszkała na Al. Przyjaciół 19. Do dziś dnia mieszka tam jej mama. Koleżanka szkolna Iwony.

fff. Nic go nie łączy z okolicami Jeziora Długiego, ale wyraził się kiedyś z uznaniem (może trochę dwuznacznym) o wątku.

Fredek (na początku także jako **AK**, ale inny AK niż wspomniana osoba wyżej), czyli Alfred Krenzek. Mieszkał na Bałtyckiej 19 (tam też mieszkał mamut). Kolega z klasy LP. Chodził do Siódemki w latach 1970-1978. Obecnie mieszka w Niemczech w okolicy Bielefedu. Właściciel i twórca absolutnie nadzwyczajnej nieoficjalnej strony internetowej Siódemki (http://home.arcor.de/szkpnr7/).

fundy. Jeden z seniorów Siódemki. Rozpoczynał w niej naukę w roku 1954, jeszcze na Bałtyckiej. Miał świetny pomysł mapy internetowej naszej okolicy; na razie jednak niezrealizowany, choć może zrealizowany, tyle że w innej formie, przez strony internetowe Fredka i ak oraz przez niniejszą Encyklopedię.

gaga, czyli Grażyna Bujło. Siódemkowiczka, sympatyczka forum i strony Fredka. Dzięki subtelnej i głębokiej pamięci wzbogaciła naszą wiedzę o związkach Klossa z Siódemką. Pomogła bardzo zidentyfikować tajemniczy rocznik 1965/66 (ostatni 7-klasowy). No i mama Cinesa.

gazunia. Pomogła w identyfikowaniu osób na zdjęciach, ale sam się nie ujawniła.

gdramowicz (także **gd**). Jurek Dramowicz, starszy brat DD. Skończył Siódemkę w roku 1967. Dwadzieścia lat był poza krajem; obecnie – po dwuletnim pobycie w Polsce – mieszka

w USA w stanie Arizona. Inicjator i sponsor legendarnej książki o Siódemce na jubileusz 50-lecia.

Gosc. Wystąpił raz, dając słuszny odpór człowiekowi. Choć potem jako Gość (jeśli to też on) gadał już raczej trochę bez sensu, choć też warto odnotować, że (jeśli to dalej on) zareagował na hasło „słonie" rzucone przez mamuta.

gugu. Mieszka nad Jeziorem Kortowskim, ale kibicowała także Długiemu i okolicom. Gdy powstawał wątek, zdawała maturę. Teraz (2005 r.) studiuje na SGH w Warszawie.

Guska Stachurska. Odezwała się w związku ze śmiercią pani Sitnik. Pani Sitnik uczyła ją trzydzieści lat temu prac ręcznych. Wiadomo jeszcze, że Guska Stachurska trenowała lekkoatletykę.

Halina. Halina Wilk, siostra jurka. Chodziła do Siódemki z Iwoną (kończyła 7-klasową podstawówkę). Mieszkała na Alei Przyjaciół 6 m. 2.

HG. Halina, mama Krzyśka, jedna z sióstr Lewandowskich, dziś pani Gwozdek. Ciągle mieszka przy Alei Przyjaciół 32, na parterze.

ID. Bardzo sympatyczna, spostrzegawcza i głęboko mądra osoba; sami posłuchajcie: „Wprawdzie nie jestem absolwentką SP 7, tylko mamą dwóch obecnych uczennic, ale byłam bardzo wzruszona widząc jak serdecznie się witacie, cieszycie, wspominacie szkolne lata. Jestem dumna, że moje dzieci chodzą do szkoły, której historię tworzyliście".

IG. Chodziła do Siódemki, podobnie zresztą (oczywiście) jak jej siostra. Od lat poza Olsztynem; jej wychowawczynią w szkole była pani Dragan. I kilka szczegółów: „Mieszkałyśmy na Rybakach, dwa domy za Jaworskimi, nad Jagusiewiczami. Ja skończyłam SP 7 w 73 roku. Najbardziej zaprzyjaźniona byłam z najmłodszą z klanu Jaworskich".

internauta. Udzielił dodatkowych informacji w związku z wieścią (karoli) o trojaczkach w środowisku Siódemkowiczów: „Słyszałem od osób trzecich, że te trojaczki urodziły się prawdopodobnie w rodzinie państwa Naporów. Nie wiem tylko na ile to prawda". Wypowiedział się też sceptycznie o „Mięsnym".

isza. Odezwała się tylko raz. Siódemkę zaczynała w 1979, a jej wychowawczynią była pani Dragan.

IW, czyli Izabela Wódkiewicz. Odezwała się raz, czyli zdecydowanie za mało. Nauczycielka matematyki i autorka pięknej oficjalnej strony internetowej Szkoły nr 7 (http://strony.wp.pl/wp/sp7olsztyn/); strona powstała w okresie przygotowań do jubileuszu 50-lecia.

Iwona (także jako **iwonna**, a nawet **iwonna 100**), czyli Iwona Orłowska. Chodziła do Siódemki w latach 1959-1967, do klasy z Jurkiem Dramowiczem i Jackiem Karmowskim, także Januszem Rożnowskim i Markiem Pileckim.

Iza. Otrzymaliśmy od niej jedną, ale jakże cenną, pasjonującą i optymistyczną informację: „Od września rodzinną tradycję nauki w Siódemce kontynuować będzie moja chrześnica

Daria. Niestety, moja córka to typowa Warszawianka, ale czuję, że Daria pokaże co potrafi – ma to po cioci".

JA. Przyjaciel kogoś z Siódemki z rocznika 1963; trochę nam zazdrościł (nie on jeden) „skrzyknięcia się" i wspomnień.

jacommo. Pojawił się na chwilę i jako wcale nie pierwszy słusznie pożałował, „że tylko Siódemeczka ma swoje forum".

Jadwiga, czyli Jadwiga Stachurska. Odezwała się w okresie identyfikowania rocznika 1965/66. Chodziła do jednej klasy z bratem Iwony Januszem Orłowskim. Mieszka obecnie w Niemczech.

jd, czyli Janusz Dobieszewski. Mieszkał na Al. Przyjaciół 34, do Siódemki chodził przez trzy miesiące (prawie cztery) w roku szkolnym 1962/63, do klasy A. Potem przez wiele lat przyjeżdżał do dziadków na Aleję Przyjaciół 29, w młodości zazwyczaj na całe dwumiesięczne pobyty wakacyjne; teraz mieszka Warszawie; 50 lat (w 2005 r.).

JDL. Wieloletnia nauczycielka w Szkole nr 7. A były to lata – jak sama pisze – „wspaniałe i szczęśliwe". Chyba nietrudna do zidentyfikowania, ale niechaj tutaj pozostanie to owiane odrobinką tajemnicy.

jf (chyba także jako **januszfil**), czyli Janusz Filipowicz, pseudo Filon. Oczywiście chodził do Siódemki, oczywiście mieszkał nad Długim.

john. Ktoś z młodszego pokolenia; wypowiedział się ze sceptycyzmem o lekcjach Filuta, a później jeszcze głupiej. A po jakimś czasie jeszcze głupiej, choć to wydawało się niemożliwe. Leciało to jakoś tak: „Dajcie troche pszerwy albo morze nowy temat o szkole o dawnych czasah w jordanoskim ogrudku. To co piszecie to jest do dupy!!! KOMUNIŚCI I ORMOWCY FUCK-YOU".

johninm, czyli Janusz Siwecki. Siódemkę ukńczył w roku 1972, mieszkał na Morskiej (mieszka tam ciągle jego mama); obecnie w Ameryce.

jolcia. Odezwała się tylko raz. Mieszkała na Bałtyckiej. Rocznik szkolny 1973, jej wychowawczynią była pani Idzikowska.

Juda. Napisała raz, ale bardzo rozsądnie, a zarazem uczuciowo: „Hej! Naukę w SP 7 skończyłam trzy lata temu. Brakuje mi tej szkoły..., byłam z nią bardzo związana".

jurek, czyli Jurek Wilk. Mieszkał na Alei Przyjaciół 6 m. 2; rocznik 1961/62. „Pozdrawiam wszystkich; bardzo mi się podoba pomysł z tym forum. Nadal mieszkam w Olsztynie, a SP 7 wspominam z westchnieniem tęskonoty. Do Siódemki chodziła też moja siostra Halina (rocznik 65/66, którego nie ma w wykazie absolwentow SP 7, nie wiadomo dlaczego; wychowawczyni pani Kraszewska)". Siostra jurka szybko sama się odezwała (nick Halina), a sprawa jej rocznika wywołała nadzwyczaj twórcze działania na forum.

karola. Taką oto nadesłała koresponencję: „Witam wszystkich; doszły mnie słuchy, że jednemu z Siódemkowiczów urodziły się trojaczki. Ciekawość straszna mnie ogarnęła –

komu??? Może macie jakieś świeże ploteczki na ten temat, bo ja niestety kawałek drogi od Olsztyna...". Nieostatecznej tego weryfikowacji dokonał ktoś o nicku internauta.

karolina, czyli Ewa Witkowicz. Obudziła się i dołączyła, gdy pojawiły się zdjęcia na stronie Fredka. W Siódemce w latach 1972-80. Obecnie w branży nauczycielskiej. Ważne zwłaszcza jest to, że zajmowała się sportem „z większymi lub mniejszymi sukcesami".

karolyoplait. Ma na imię Karol, a jego sprawa jest tajemnicza i romantyczna; sami posłuchajcie: „Chodziłem kiedyś do Siódemki, a teraz jestem najemnikiem. Jak by ktoś miał jakieś zdjęcia szkoły z lat 1980 do 85, to bym prosił o wiadomość, bo chciałbym zebrać trochę zdjęć z mojej młodości, a żadnych nie mam. Mieszkam w Gujanie Francuskiej i będę tam od końca kwietnia 2006 roku". Dla dokładności dodajmy, że Karol jest najemnikiem w Legii Cudzoziemskiej.

kk. Poparł opinię (raczej krytyczną) Obserwatora Osiedla o „Mięsnym".

kocka. Chodziła do Siódemki w latach dość dawnych, za to w całkiem niedawnych – jej córka. Do Siódemki chodził także jej brat i siostrzeniec. Pojawiła się na forum w okresie jubileuszowym. Mieszkała na Alei Przyjaciół 17, na parterze; teraz poza Polską, w Niemczech, ale często bywa w Olsztynie. Kocka to był jej pseudonim szkolny i podwórkowy. Jej sąsiadką była Ewa T. Kocka twierdzi, że ma słabą pamięć.

kolo (chyba także jako **kółko**). Osoba początkowo niechętna naszym wspomnieniom, uważająca je za egoistyczne, ale później jej to przeszło i nawet zachęcała nas do szerszego rozreklamowania się.

koobra. Sympatyk naszych wspomnień. Kibicował szczególnie osiąganiu postu numer 1000, dokładając do tego swoją uczciwą cegiełkę. Mieszka w Gutkowie. Wprawdzie nie chodził do Siódemki, ale ma lekarza, który mieszka Rybakach.

Krzysiek (także jako **Krzysiek G**. oraz **kkg**), czyli Krzysztof Gwozdek. Syn jednej z sióstr Lewandowskich. Mieszkał na Alei Przyjaciół 32. Siódemkę rozpoczął w roku 1974, a skończył w 1982. Teraz mieszka na Zatorzu.

Krzysiek K. Wypowiedział się raz, za to czule, o Filucie: „Moim zdaniem doświadczenia Filuta były niebezpieczne dla życia".

Ktos2104. Najwyraźniej systematyczny obserwator wątku, ale odezwał się raz tylko w smutnej sprawie utonięcia. Dużo później odezwał się jednak ponownie w radosnej sprawie dmuchania przez rurki plasteliną, a potem znów, w równie radosnej sprawie dni otwartych w Siódemce.

kusza albo **wk,** czyli Kusznierow. Uczył się w Siódemce w pierwszej połowie lat 70-tych. Mieszkał na Bałtyckiej, co jest tu sprawą kluczową: „jestem z Bałtyckiej, co w pewnym sensie wyjaśnia moje przenosiny do Czternastki w piątej klasie. W Siódemce rozpocząłem edukację w roku 1970 (może w 71)". Obecnie mieszka w Holandii; 40 lat (w 2005 r.).

lady_makbet1. Osoba nieco tajemnicza płci żeńskiej; nie chodziła do Siódemki, ale spędziła sporo czasu w okolicach Siódemki i Długiego. No i do Siódemki chodził jej ojciec. Poznał ją

w końcu osobiście na jakiejś imprezie szantowej Zbyszek i okazało się, że jest to Agata Filipowicz, córka „Filona”.

leszek?. Jakaś miłośniczka albo miłośnik LP, udający od czasu do czasu, że to on (ona) jest LP. Sprawdzał – jak sam ogłosił – czy jesteśmy wyluzowani, czy histerycznie spięci. W sumie żart raczej taki sobie.

Leszek Biały. Niesłusznie wypowiedział się kiedyś o nieśmiertelnych zasługach LP, w dodatku przeciwstawiając im własne, zresztą dotyczące innych rejonów życia i innych skrawków forum.

LM (także jako **Leszek** oraz **ML**)**,** czyli Leszek Majcher. Kolega z klasy mikiego. Teraz w Kanadzie, w Ottawie, dokąd wyjechał w roku 1990. Stęskniony i spragniony jakiegoś spotkania swej słynnej klasy B. Jeden z licznych przykładów powszechnej międzynarodowej aktywizacji Siódemkowiczów po powstaniu stronki Fredka. Chodził także do przedszkola na Rybakach; jego brat mieszka w Polsce. Szczególnie miło wspomina Karolinę i „nie będę ukrywał, że po tak długim czasie ciekawi mnie, co porabiasz...???”. Jednak Karolina jakoś nie przypominała sobie LM, aczkolwiek do czasu; sami posłuchajcie: „Oj, Lesiu – od razu wiedziałam, że chodzi o ciebie; zbił mnie z tropu jd, w którego spisie są dwie pozycje (inicjały) LM i ML, stąd moje niejasności. Jestem bardzo ciekawa, co u ciebie? Wielokrotnie rozmawiałam z twoją mamą (jadąc autobusem z Nagórek); teraz bezpośrednio mam okazję wspomnieć, jak uczyłeś mnie (i nie tylko) karate. Treningi odbywały się nad Jeziorem Długim”.

longmam_70, czyli Piotr Szatkowski, kolega Cinesa i Andrzeja Drosela. Kończył Siódemkę w roku 1985, mieszkał na Jeziornej 3.

LP (raz chyba także jako **kniazcuiav**), czyli Leszek Plesner. Mieszkał na Al. Przyjaciół 28 od 1963 do 1989 roku; do Siódemki chodził w latach 1970-78, do klasy B; obecnie mieszka w Niemczech, w Karlsruhe; 40 lat (w 2005 r.). Inicjator całego przedsięwzięcia, i na pewno spodziewał się tego, że się wszystko tak rozwinie i rozwijać będzie.

lpompa. Twierdziła, że wie, kto to mamut, gdy jeszcze nie było do końca wiadomo, kto to mamut, ale na twierdzeniu się skończyło.

lustroo. Bywalczyni forum olsztyńskiego; raz odwiedziła także nas, a po pewnym czasie – odrobinę przez nas zachęcona (bo wcześniej zniechęcona przez johna) – jeszcze parę razy, i jeszcze.

łajka. Kolega (koleżanka) tetrusa i Karola z Legii Cudzoziemskiej. „Hej tetrus, coś ty taki tajemniczy? I tak wszyscy wiedzą, że chodzi o spalenie dzienników klasowych, he he he”.

maciek. Bardzo młody Siódemkowicz. Na przykład panią Dragan zna tylko z opowiadań brata. Obecnie we Frankfurcie, gdzie – jak napisał – „kontynuuję edukację rozpoczętą w tej fantastycznej szkole”.

Macieklip. Zareklamował na forum stronę internetową szkolnelata.pl.

Mamut, czyli Olgierd Wiśniowiecki. Dołączył do rozmów późno, ale nad wyraz aktywnie, wręcz rozruszająco. Ma siostrę (nick Arabella). Obecnie mieszka w Kanadzie. Mimo namów

długo nie chciał zdradzić kim jest, co uznano wręcz za nieeleganckie, ale wrodzona (a raczej nabyta w Siódemce i okolicach) tolerancja Siódemkowiczów nie doprowadziła do żadnych restrykcji wobec mamuta. Identyfikowanie mamuta miało taki w skrócie przebieg:
Mamut: „Mieszkałem blisko Alei Przyjaciół. Miałem może 10 minut piechotką do szkoły, chociaż to zawsze wydawało się dłużej. Nogi były krótsze wtedy, i może dlatego. Mieszkałem, zdradzę jeszcze więcej, na Bałtyckiej. Może z dwieście metrów od skrzyżowania Bałtyckiej z Aleją Przyjaciół. Było również zaledwie parę kroków nad jezioro, pół godzinki lub mniej spacerkiem do lasu. Fajne miejsce ogólnie. Odwiedzam Polskę i Olsztyn jak często tylko mogę".
Fredek: „Jesteś Olek spod jedynki? A siostra Agata?".
Mamut: „Zabrało wam to parę ładnych miesięcy, ale bravo... Sądzę, że nie mieliście nic przeciwko mojej tajemniczości; było po prostu ciekawiej. Zresztą dostarczyłem szeregu drobnych informacji o moich szlakach, które jak po zwoju Ariadny doprowadziły (bo doprowadzić musiały) do wyjścia z labiryntu. Pseudonim «mamut» dostałem od Tomka. Przechodziłem mutację głosu jako jeden z pierwszych w klasie; Serek kiedyś coś o tym w klasie wspomniał, a po lekcji już Tomek nadał mi ten przydomek. Ja zresztą nie widzę relacji między mutacją głosu a mamutem, ale tak już zostało".

Martin K., czyli Marcin Kukliński. Kolega z klasy mr (mags). Obudziło go i poruszyło pewne zdjęcie: „Hallo Mags. Bardzo fajne zdjecia! Na tym karnawałowym, z wachlarzem przed toba, klęczę właśnie ja. Kto ja jestem? Brat thom.kucka. Chodziłem z mr do klasy; także z Adamem i Rajmundem" (Martin K.).

Mast. Zgłosił małostkową uwagę na temat ortografii.

Miki (także jako **miki** oraz **miki-3**). Początkowo podjerzewano, że to osoba o inicjałach P. Z., co jednak miki sprostował na M. M., i okazało się, że miał rację, bo to Michał Marschall. Rocznik 79-80, w klasie z zybym, LM, Jurkiem Szwejkiem.

mikus. Zwolennik poglądu niuńka, że szkoła i obecny dyrektor są super. Ale odezwał się tylko raz.

mir-mur. Odezwał się najpierw z podziwem o lekcjach prac technicznych pana Serafina, następnie o wspominkach mamuta, a potem energicznie dołączył do wspomnień. Dłuższy czas ukrywał się całkowicie i prawie nierozwiązywalnie pod owym «mir-murem», ale w końcu w obliczu faktów i skojarzeń pamięciowych padł. Mir-mur to Tomasz Secewicz, kolega AD i mamuta.

Mis. ? (tajemniczość absolutna).

mk. Odezwał się kilka razy i objaśniał różne szczegóły dawnej i niedawnej – wojennej i powojennej – historii Olsztyna.

morska. Niewiele o sobie zdradził, ale na pewno chodził do Siódemki (do równoległej klasy ze Stolarskim) i jest świetnie zorientowany w temacie Siódemki i okolic.

mości. Andrzej. Jego też obudziły wieści o fotkach na stronie Fredka. A gdy się nazachwycał, powiedział to i owo: „Jestem rocznik 1982, razem z Rafałem Wolskim. Postaram się o dostarczenie nowych ciekawych zdjęć. Jestem synem tej nauczycielki o początku nazwiska «Mości»". Z czego wynika bez dwóch zdań, że Andrzej jest Mościbrocki.

mr (także jako **mr2** oraz **Mags** i **mags**), czyli Magda Richardson. Chodziła do Siódemki w latach 1978-85. W latach 76-85 mieszkała u dziadków (Tęgowskich) na Al. Przyjaciół 39. W 1985, po śmierci dziadków, wyjechała do Londynu i tam teraz mieszka.

MW. Chodził do siódemki w latach 1971-79 do klasy B. Niewykluczone, że jako **mw** przestrzagał życzliwie Fredka, by nie jeździł za szybko po polskich drogach, bo może się natknąć na umówionego szwagra-policjanta.

nat (raz także jako tajemniczy **steph**), czyli Teresa Lubańska. Mieszkała na Alei Przyjaciół 39, naprzeciw szkoły. Siódemkę ukończyła w roku 1961. Od dawna mieszka w Anglii. Pobudzała naszą (i swoją) energię wspomnieniowa subtelnymi i twórczymi prowokacjami w stylu „Ja tam wcale nie tęsknię za jakąś Siódemką, Aleją Przyjaciół, a zwłaszcza za plażą miejską".

NieAbsolwentka 7. Zachwycona stroną Fredka.

niuniek. Fan szkoły i obecnego dyrektora, ale odezwał się tylko dwa-trzy razy. Szkołę skończył w roku 1999, a jego wychowawczynią była pani Ściglerowa.

nowy czytelnik. Wystąpił zdecydowanie w obronie pani Zery; przeszedł do Siódemki ze szkoły nr 19 z Likus.

obbaz. Przypomniał nam w pewnym momencie (bezsensownie podejrzewając, że moglibyśmy tego nie pamiętać), że 30 lat temu nie było już w Olsztynie tramwajów, choć nieco wcześniej jeszcze były.

Obserwator Osiedla. Wypowiedział się z troską i z reformatorskimi pomysłami o „Mięsnym".

obserwatorka 84/85. Wystąpiła z nieco zasakujacymi i kontrowersyjnymi pretensjami w związku z jednym ze spotkań (w knajpie Pirackiej), kierując je zwłaszcza do AgiB: „Owszem, byłyście i się bawiłyście, ale co z tego, jak tylko ty z Kaśką byłyście z młodszego rocznika, bo chłopacy to dużo starsze roczniki i mają swoje tematy, o których piszą chętnie na forum. Wy raczej byłyście jako dostawka, «piratowe dziewczyny»; nikt was nie ujął jako Siódemkowiczki nawet na stronie Siódemki, gdzie znalazły się wasze foto z Pirata. Proponując popijawę w Piracie i podając swój nr. tel. postaraj się o kogoś z młodszego rocznika, to inni może też wpadną, bo impra bez wspólnych tematów, to zwyczajne chlanie". Zarzuty obserwatorki były odpierane przez Fredka, jd, mamuta, Zbyszka, rybę696 oraz (z przesadną nawet energią) przez łąjkę; natomiast wsparł obserwatorkę, i to z przeciwnych pozycji (roczników najstarszych), obserwator 63/64.

Oczoper. Odezwał się raz w optymistycznym tonie, gdy nat trochę narzekała, że dziś już nie to, co dawniej. Na bal karnawałowy do szkoły – poinformował – przychodzi ciągle mnóstwo dzieci, a dzielnica, choć nie tak już głośna i żywa jak kiedyś, bynajmniej nie jest na wymarciu. Ponownie zaktywizowała go strona Fredka, i co się okazało?: „Skoro już weszliście na Białą, to muszę się odezwać. Mieszkałem na niej kupę lat, a teraz mieszkam ciut obok, na Błękitnej". Oczoper często wojażuje, zapewne służbowo, i to podobno ogranicza mu dostęp do nas.

Olesław. Mieszka nad Jeziorem Kortowskim. Postać trochę tajemnicza i nieco zaczepna, wchodząca w starcia z LP, ale ceniąca wątek o Szkole 7 za rozruszanie olsztyńskiego forum Gazety Wyborczej. Szczerze gratulował nam tysiąca postów.

Olsztyn2002. Dołączył późno, za to z rozmachem i odważnie, bo pochwałą pani Dragan. Siódemkę ukończył w roku 1990. Mieszka na ul. Białej i jest wielkim patriotą tego miejsca: „tu się urodziłem i tu już chyba umrę" (i w tym miejscu trochę makabryczny dopisek: „hehehe").

olsztyniak. Wypowiedział się z dystansem o „Mięsnym".

p_ak. Najwyraźniej śledził nasze wpisy i popisy; czasem, ale rzadko, coś skrobnął.

pb. Zawitał na stronę Fredka: „Pozdrowienia dla wszystkich z Siódemki. Janina Ciołkowska, nazywana w domu Ciocia Janka, jest moją ciocią. Wraz z braćmi zabierany byłem na zimowiska, które prowdziła w Siódemce – piękne czasy. PS.: my także się jej baliśmy".

PO PROSTU GOŚĆ. Nie wiadomo dokładnie kto (choć na pewno rodzaju żeńskiego), ale naprawdę „po prostu gość". Sami zobaczcie: „Do SP 7 chodziłam niecałe trzy miesiące, potem przez dziesięć lat na wywiadówki. Moje dzieci są czwartym pokoleniem mieszkającym na tej dzielnicy. Stronę pokazała mi bratanica luźno związana z dzielnicą, ale mająca niesamowity do niej sentyment. Strona, Encyklopedia i w ogóle wszystko jest super. Chylę czoła przed zapaleńcami. Pozdrowienia. Z przerwami mieszkanka dzielnicy od roku, w którym zmarł Stalin". Tu przypomnijmy młodszym, że Stalin zmarł w roku 1953.

Pola i Dawid. „Jesteśmy dzieciakami p. Marianny Olszewskiej, wcześniej Romanowskiej". Dzieciaki zapragnęły dostać od Fredka zdjęcia z czasów swego niemowlęctwa.

poniewierka. Jacek Poniewierka. Trafił tu w końcu po długich poniewierkach (średnio to może dowcipne, ale Jacek na pewno się nie obrazi), jednak na krótko, bo odezwał się właściwie jednorazowo: „Tak jak zapewne wielu z was, natrafiłem na to forum przypadkiem. Pozdrawiam wszystkich i gratuluję takiego pomysłu. Jestem rocznik 1975 (urodzenia), a szkołę ukończyłem w roku 1990; nadal mieszkam w Olsztynie i SP 7 wspominam nieraz z tęsknym westchnieniem (uf, kiedy to było!)".

PP. Zjawił się raz w celach misyjnych; sami posłuchajcie: „Witajcie Braci i Siostry! Zajęci swoimi sprawami, czy pamiętacie jeszcze co to dobro, a co zło? Czy wiecie dlaczego zło jest złe, a dobro dobre? A może nigdy się nie zastanawialiście nad tym? Zaprawdę powiadam wam, iż świat jest taki, bo musi; pewnego dnia zobaczyłem i zrozumiałem to. Teraz widzę drogę, jaką muszę podążyć ja i wy wszyscy. Czy jesteście gotowi na słowo? Czy chcecie wiedzieć?". Może nikt nie wie tyle co PP, ale najwyraźniej każdy coś tam wie, gdyż oferta PP nie została podjęta.

qmp1. Tak nam napisał: „Hej, mój ukochany zakątku świata! W latach 1955-57 chodziłem do Siódemki. Potem rodzice wywieźli do stolicy. Gorzej to przeżyłem niż gdyby to była wywózka na Syberię. Ale byłem na ostatnich uroczystościach jubileuszowych i tylu znajomych spotkałem, że ho ho. Mieszkałem na Morskiej, pod 8. Pozdrawiam – Marek".

Rafal, czyli Rafał Wolski. Wyjechał z Olsztyna na studia w roku 1986. Autor artykułu o osiedlu nad Jeziorem Długim w prasie niemieckiej. Są to właściwie dwa artykuły w

„Allensteiner Heimatbrief" z grudnia 1994 roku; pierwszy „Ein gelungenes Stadtviertel – die Langseesiedlung", i drugi „Die Langseesiedlung in Allenstein nach 1945". A niedawno wyszła drukiem także spolszczona i zaktualizowana wersja jednego z artykułów; można ją znaleźć w „Kalendarzu Olsztyna" na 2005 rok.

raugust, czyli Robert Augustynowicz. Zajrzał kiedyś na nasz wątek, by odrobinę i z nostalgią powspominać swoją podstawówkę nr 5 w Olsztynie.

rb, czyli Robert (wiadomo, że trzy lata młodszy od ak). Mieszkał przy Alei Przyjaciół 11; dziś nadal mieszka w Olsztynie, choć już nie na osiedlu, ale na Brzezinach; jest informatykiem. Jest jednym z szerokiego klanu żeglarzy (żeglował w LOK-u). Miał siostrę Renatę, z którą DD chodził do klasy, oraz ciocię Basię ganiającą niegrzeczne dzieci (takie jak LP) i wołającą na nie gwarą warmińską: „Ja woju zara wiporaja". LP zapamiętał to w formule bardziej rozbudowanej: „A ja woma poziaduja co lojciec wróci doma to wom tak napoli co woma bedzie dość".

rita (także jako **Fanka**). Fanka wątku, Siódemki i okolic. Mieszka w Krakowie, ale dzieciństwo spędziła w Olsztynie na Partyzantów. W chwilach naszego zapomnienia i lenistwa podciągała wątek sprytnymi manewrami do góry i w ogóle wszystkiego pilnowała i doglądała. Przeprowadziła na wątku cenną samokrytykę: „Niestety chodziłam do szkoły nr 3, szkoda, i oceny tam słabiutkie miałam, i komitet rodzicielski chodził do domu na skargę na mnie, bo wtenczas chodzili po domach".

romek 83. Raz się odezwał i pozdrowił wszystkich.

ryba696, czyli Agnieszka Rybczyńska. Dotarła do forum po kilku (czterech) latach jego istnienia, z żalem, że tak późno. Ukończyła Siódemkę w roku 1982/83 w klasie B, której wychowawczynią była pani Borkowska. Ma siostrę Monikę.

Ryba starsza (także jako **Ryba większa**), czyli właśnie Monika Rybczyńska. Też dotarła na forum z opóźnieniem zbliżonym do opóźnienia siostry.

siódemkowicz. Zainterweniował w pewnym momencie, że mu trochę nudno od naszego pisania. Wzorcowy przykład biernego uczestnictwa w naszych wspomnieniach, choć należy docenić jego troskę o jakość i atrakcyjność tych wspomnień.

sluchy. ? (no właśnie, nic nie wiadomo)

spoko. Stały bywalec forum olsztyńskiego. Kilka razy wpadł także do „Szkoły nr 7" niesiony sympatią do Beaty i Siódemki.

sto drzewek i park. Taki nik obrał sobie ktoś, kto pamiętał szczegóły tworzenia parku między Jeziorną a jeziorkiem Czarnym; rzucił również bezwzględnie słuszny postulat odbudowy topoli nad Długim, choćby w formie wierzb płaczących.

StSm, czyli mama Smerecka. Mieszkała przy Alei Przyjaciół 30, na II piętrze. Do 2001 roku mieszkała w Olsztynie, natomiast obecnie we Wrocławiu, gdzie również zamieszkują jej dzieci Ula i Staś; przedtem przebywała dłuższy czas w USA, u córki Ani.

szymic1, czyli Michał Szymański; ukończył Siódemkę w roku 1970.

T.B., czyli Teresa. Ukończyła Siódemkę w roku 1972. Chodziła do klasy z DD. Mieszkała na osiedlu „Podlesie" (Sosnowa, Wierzbowa itd.). Od 20 lat mieszka w Stanach Zjednoczonych.

TADEK. Odezwał się raz, ale zupełnie bez sensu.

Tensam, czyli Bogdan. Odezwał się najpierw wspomnieniowo w związku ze śmiercią papieża, a potem z cenną inicjatywą koleżeńską, zdradzając przy okazji co nie co o sobie: „Chcę wam powiedzieć, że osobiście jestem w trakcie pakowania i samowysiedlenia. Zdecydowałem, że mam dość śniegu i ponurej pogody; za około dwa tygodnie będę przenosił swój dobytek na południe USA, dokładnie na Florydę. Nie miałem okazji napisać wcześniej więcej o sobie z powodu całego tego mętliku i wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatnim czasie (m. in. śmierć papieża). Tak jak napisałem wcześniej, służę uprzejmie serwerem, gdyby Fredek miał ze swoją stroną kłopoty z miejscem, na którym to serwerze zresztą także i ja próbuję zbudować własną stronę. Niech Siódemka rzuca się w oczy całemu światu".

tepsik. Kolega z klasy Zenobii, AD, mamuta.

tetrus. Kolega Karola z Legii Cudzoziemskiej (karolyoplait): „Hejka Karol, co tam słychać w Legii? Pamiętam twój wyjazd, z Drezkiem chyba i innymi, ale tylko ty jeden wytrzymałeś trudy tej decyzji. A wiesz, że Patej też jest w woju, tylko że legalnym? Jeździ po całym świecie: Irak, Afganistan itp. Chyba pokutujecie za ten numer; wiesz, o co chodzi, nie będę pisał na ogólnym forum, bo ten temat jest często poruszany i nikt nie wie, o kogo chodzi. Chętnie bym z tobą pogadał o starych dobrych czasach sprzed twojego wyjazdu w roku 1983/84".

thom.kuck (także jako **Tomek**), czyli Tomasz Kukliński. Chodził do klasy z rybą696. „Nie dotrwałem do końca rocznika, bo mnie wywieźli na Zachód. Od roku 1983 mieszkam w Niemczech".

toja77. Nie chodził do Siódemki, nie mieszkał nad Jeziorem Długim (choć krótko chodził do przedszkola na Rybakach), ale był naszym bezinteresownym (i dlatego szczególnie cennym) czytelnikiem, trochę zazdroszczącym nam (słusznie) wspomnień. Pod wpływem tych naszych wspomnień zaczął nawet bywać nad Długim i na podstawie naszych opisów (i zdjęcia w gazecie) zidentyfikował kiedyś Filuta.

Tomas. Odezwał się tylko kilka razy, ale w jakże słusznej sprawie: poruszony zeszpeceniem sklepu, któremu zrobiono nowy dach i zabudowano filary. Poza tym podzielił się również kilkoma wspomnieniami, bardzo znaczącymi dla wiedzy o dzielnicy i szkole. Ukończył Siódemkę w roku 1989, mieszkał na Bałtyckiej, naprzeciw szkoły, w której jest obecnie liceum katolickie.

tt. W związku z którymś ze spotkań (tym razem na Warmii) wystąpił z zupełnie dziwacznym pytaniem: „Czy inni, młodsi względnie starsi Siódemkowicze, mogą zjawić się na Warmii? Czy też to jest spotkanie tylko dla wybranych osob?". No po prostu aż się nie chce odpowiadać!

tzw. Weteran, a raczej weteranka Siódemki (skończyła szkołę w 1961 r.), sympatyczka forum, ale odwiedziła nas na nim właściwie tylko dwa razy. Mieszkała naprzeciw szkoły,

najprawdopodobniej w tym samym budynku, co mr i Ela Kaszuba. Obecnie mieszka w Anglii.

US, czyli Ula Smerecka. Mieszkała z mamą i rodzeństwem w budynku przy Alei Przyjaciół 30 na samej górze; teraz mieszka we Wrocławiu.

wox6, czyli Rajmund Krawczyk, kolega klasowy mr. „Mam na imię Rajmund – napisał – ale szczerze mówiąc, to nie pamiętam, żeby ktoś jeszcze nosił takie imię w Siódemce. Chodziłem z mr do klasy i jestem absolwentem z 1986 roku. Serdecznie wszystkich pozdrawiam". W sprawie swego monopolu na imię Rajmund w Siódemce Rajmund się jednak mylił (był choćby Rajmund Pakmor).

Wedkarz. Wystąpił raz w obronie odwiecznej, trwałej i nieustającej obecności wędkarzy nad Długim; nieco niedocenianej przez obserwatorów.

WSKH (także jako **wskh**), czyli Henryk Wirzinkiewicz (a pseudonim prasowy – bo w tym fachu wskh robi – Henryk Sobota). Rozpoczął naukę w Siódemce w roku 1969. Przyjaciel – szczególnie motocyklowy – LP. Obecnie mieszka sto metrów od katedry, ale najczęściej w Anglii.

Zbyszek (także jako **wróbel** i **Zbyszek07**), czyli Zbyszek Wróblewski. Najpierw poskarżył się, że nie mógł być na jubileuszu, ale zapowiedział się na 100-lecie, a następnie na stałe dołączył do wspomnień i gadań forumowych. Mieszkał przy Alei Przyjaciół 15, a do Siódemki chodził w latach 1965-1973 („i zdałem"). Brat Zbyszka chodził do klasy z Iwoną.

Zenobiab, czyli Joanna Kaczyńska. „Właściwie – jak sama wyjaśnia – nie byłam związana z Siódemką. To prawda, rok to troszkę mało, żeby zadomowić się tak jak reszta towarzystwa. A zresztą ja się często przeprowadzałam i to była jedna szkoła z moich wielu. Ale – i tu przechodzimy do kwestii kluczowej – bardzo, ale to bardzo byłam związana z ludźmi z Siódemki później, już po skończeniu Siódemki". Mieszka obecnie w Słupsku.

zmartwiony. Cóż za przemiła, odpowiedzialna i obywatelsko spoglądająca na świat osoba: „Martwię się tym, co dzieje się na Al. Przyjaciół. Ktoś zabudował przejście pod filarami. Dzieci i dorośli mają utrudnienie w dojściu do szkoły i apteki. Kto wymyślił te słupki, które zajmują pół parkingu? Trochę przestała mi się przez to podobać Al. Przyjaciół". Ostatni wniosek jest oczywiście nieco za pochopny i za emocjonalny.

zs. Wypowiedział się raz, za to bardzo zdecydowanie o Trampie: „A jaka speluna !!!".

Zuzia. Wspominała ciepło i z sentymentem uroczystość 50-lecia Siódemki.

zyby, czyli Adam Zbroński. Kolega klasowy mikiego, LM i Jarka Szwejka, a więc rocznik 1980. Mieszkał blisko torów i Ekonomika.

zwinek. Uczył się w Siódemce w latach 1969-1977 w klasie A. Teraz najprawdopodobniej w Krakowie.

OSOBY, MIEJSCA, PRZEDMIOTY, FAKTY, ZDARZENIA, PRZEŻYCIA, OCENY, OPINIE

A

Adidasy

Buty sportowe firmy nie tylko Adidas; liczył się wygląd: dużo nowocześniejszy niż poprzedzających adidasy trampek i tenisówek. Adidasy były białe (później pojawiły się również inne kolory), na sztywnej podeszwie, z ciemnymi paskami po bokach. Dla niektórych wygląd adidasów był tak nowoczesny i tak elegancki, że nosili je nawet do garniturów. Porządne adidasy powinny być zagraniczne, ale występowała również polska mutacja adidasów, którą Fredek wspomina bardzo krytycznie jako „obuwie, które oprócz nazwy nie miało ze sportem nic wspólnego. Sztywna gumowa podeszwa i szpetny wygląd. Ale – i tu Fredek z wyraźnym sentymentem powrócił do dawnych czasów – w sklepach nie było nic innego". To prawda, bo gdy pojawiły się adidasy, z których dostępnością bywały jednak wspomniane kłopoty, to z lekceważeniem zaczęto traktować produkcję przestarzałych już jakoby trampek i tenisówek, więc i z ich dostępnością pojawiły się kłopoty na rynku.

Adomas Jurek

Albumy (ze zdjęciami aktorów i tekstami piosenek)

Albumy te powstawały w ten sposób, że kupowało się duży i gruby zeszyt w kratkę, taki wielkości dziennika szkolnego (a nie było to łatwe), a następnie z tygodników „Film", „Ekran", „Na przełaj", „Panorama", „Panorama Północy", „Radar" i wielu innych tego rodzaju wycinało się zdjęcia piosenkarzy, zespołów, aktorów i aktorek, i oblepiało się tym zeszyty oraz różne miejsca w domu i poza domem. Rozkwitał nawet handel wymienny na te zdjęcia.

„Ach te wycinanki! – wspominała nat. – Miałam pełne albumy zdjęć aktorek i aktorów z tamtych czasów. Każda dziewczyna chciała wyglądać jak BB, Sophia Loren czy Ava Gardner, co nie było specjalnie łatwe. W tych zdjęciach był inny świat, do którego rwało się młodzieńcze serce". Jaki był sens tego zbierania, teraz nie jestem pewna – pisała dalej nat. Ale ten sens był (obok już wskazanego, czyli kawałka innego świata) głęboki i oczywisty, i polegał właśnie na braku sensu: to było zbieractwo absolutnie bezinteresowne, czyli właśnie prawdziwe zbieractwo.

Zbyszek do tej pory ma w starych notesach z piosenkami wycięte z ostatniej strony „Radaru" teksty tamtych przebojów, a jd prawie wstydzi się przyznać, ale też ma do dziś ze trzy takie zeszyty.

Aleja Przyjaciół

Ulica w Olsztynie; piękną ma nazwę i piękna jest niezależnie od nazwy. Kształt ma dość niezwykły: zaczyna się od skrzyżowania z Bałtycką, ale tylko w prawo (jeśli idzie się od Śródmieścia), w stronę Jeziora Długiego, bo w lewo – w stronę Plaży Miejskiej – jej przedłużeniem jest Jeziorna. Potem zamienia się w niewielki placyk przed willą Rasteńskich (której kiedyś nie było), a potem biegnie równolegle do brzegu Jeziora Długiego łagodnym łukiem przez jakieś trzysta metrów aż do sklepu. Ten łuk jest taki, że z placyku widać ją mniej więcej do wysokości biblioteki, a potem od miejsca, gdzie jest biblioteka – do sklepu. Tuż przed sklepem odchodzą od niej Rybaki, które dwieście metrów dalej – już za sklepem, szkołą i domem nauczycielskim – łączą się z Aleją Przyjaciół ponowne, gdyż mają kształt

półkola. Odcinek między pierwszym i drugim skrzyżowaniem z Rybakami jest prościutki. Ostatnio pojawiło się nawet coś w rodzaju trzeciego skrzyżowania Alei z Rybakami: „Co do kształtu ulicy Aleja Przyjaciół, to dodałbym, że po prostym odcinku przy szkole i ponownym przecięciu Rybaków (to oczywiście dla mnie najważniejsze miejsce – bo tu jest dom mojej mamy) Aleja zamienia się w drogę szutrową, po czym przy lesie skręca o 90 stopni w lewo i dochodzi do Diabła (jedna z górek). A będąc tam tej zimy z dzieciakami na sankach (śnieg był tak nośny jak nigdy – z górki dojechaliśmy aż do domu Janiszewskich, może dlatego że nikt już nie posypuje drogi żużlem), zauważyłem, że mieszkańcy przedłużyli sobie ulicę, robiąc dziki wyjazd przez las ponownie na ul. Rybaki – tam gdzie kończy się Aleja Róż. W ten sposób Aleja Przyjaciół przecina się z Rybakami trzy razy" (DD).

Wzdłuż Alei Przyjaciół położone są domy mieszkalne, niby podobne, prawie takie same, ale zarazem każdy jest zupełnie inny, żaden się nie powtarza, no i znajduje się na niej wspomniany sklep, szkoła, dom nauczycielski. Przez lata Aleja Przyjaciół uległa pewnym zmianom, dość niebezpiecznym estetycznie i funkcjonalnie, ale nie mogącym przecież jej zepsuć.

„Tam oczywiście nie może być nieładnie – twierdził jd – chyba że wszyscy pobudują z przodu i z tyłu budynków takie przybudówki jak u Lewandowskich albo tak przerobią swe domostwa jak dom Molendów. Natomiast deszcz, śnieg, mgła, mżawka, roztopy, plucha, grad, upał, jak i pogoda nijaka tylko upiększają ten centralny kawałek świata".

Wspomnień związanych z Aleją Przyjaciół, a i opinii o aktualnym stanie Alei Przyjaciół jest co niemiara. Dominują wspomnienia ciepłe, sentymentalne i entuzjastyczne, tak oto spuentowane przez jd: „Ciekawe, czy jest ktoś, komu się tam nie podobało i za Chiny by tam nie wrócił? Wiem, że to przypuszczenie jest beznadziejnie głupie, ale czynię je na zasadzie hipotezy naukowej. W nauce trzeba sprawdzić każdą, nawet najmniej prawdopodobną ewentualność" (jd).

Jednak i ta hipoteza znalazła dzielnego i twórczo-prowokacyjnego zwolennika w osobie nat: „Jeśli chodzi o Aleję tzw. Przyjaciół, to ulica ta, podobnie jak całe osiedle, wydaje się w dzisiejszych czasach wymarłym padołem wspomnień. Gdzie podziali się młodzi ludzie, dlaczego życie zamiera z zachodem słońca (w dni pochmurne nawet wcześniej), dlaczego znikąd nie słychać muzyki, dzieciaków, ani nawet kotów i psów?".

„Fakt – odpowiedział na to Zbyszek – młodych mało, lecz to się zmienia przede wszystkim dlatego, że młodzi żyją teraz inaczej. Gdzie motory, rowery, łyżwy na Długim, sanki w lesie, noga na boisku?... To były inne czasy i inne realia, inaczej się wypoczywało i przyjaźniło; takie jest przynajmniej moje zdanie".

Jeszcze odważniej przeciwstawił się nat będący stale na miejscu (choć do czasu, bo z czasem zamieszkał całkiem blisko nat) WSKH: „Tam gdzie mieszkam, na Al. Przyjaciół, widzę codziennie biegające dzieciaki, psy i koty, tyle że świat tych dzieciaków jest inny".

Ale rzeczywiście, występują również zjawiska niepokojące: „Martwię się tym, co dzieje się na Al. Przyjaciół. Ktoś zabudował przejście pod filarami. Dzieci i dorośli mają utrudnienie w dojściu do szkoły i apteki. Kto wymyślił te słupki, które zajmują pół parkingu? Trochę przestała mi się przez to podobać Al. Przyjaciół" (zmartwiony).

Ale nawet te zagrożenia tracą znaczenie wobec wydarzeń takich oto: „Najbardziej nie ma mocnych, gdy wyjdzie się na Aleję Przyjaciół o 12 w nocy, gdy jest -20, nie ma wiatru i wszystko jest na biało. Z moją babcią potrafiliśmy całymi godzinami tak łazić trasą Al. Przyjaciół, Morska, uliczka od Ogródka Jordanowskiego, Rybaki i tak w kółko. Czy tak jest teraz? Jeśli tak, to wypatrujcie dobrze mnie i babci Cywińskiej. Gwoli prawdy, przyznać muszę, że dziadek w czasie tych spacerów chrapał swym słynnym chrapaniem, budzącym niekiedy nawet państwa Tajanowiczów dwa piętra wyżej" (jd).

Andulka, jeszcze zanim zobaczyła Aleję Przyjaciół, kombinowała następująco: „Bardzo jestem ciekawa tego kultowego miejsca, jego atmosfery. Myślę, że nie tylko szkoła, ale całe

osiedle miało i ma w sobie coś takiego, taki klimat, który sprzyja tworzeniu lokalnej społeczności w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jakie obce i bezosobowe są na tym tle bloczyska. Czasem otoczenie, architektura, skala tej architektury i jakieś inne nieuchwytne, ale oddziaływujące w danym miejscy fluidy, czynią ludzi lepszymi, tolerancyjniejszymi, otwartymi, serdecznymi. I jak mało jest takich miejsc. Za mało".

Teraz trochę historii: „Domy na Al. Przyjaciół stanęły w latach 1942-1944, w większości jako dwurodzinne. Ostatnie piętro było podzielone pomiędzy mieszkańców parteru i pierwszego piętra – po jednym pokoju + wspólny strych. Potem kwaterunek pozmieniał podział, dorobiono trzecie mieszkanie. Domy, w których było więcej mieszkań, powstały dopiero po wojnie, w lukach pomiędzy zniszczonymi budynkami. Cześć domów paliła się w roku 45-tym, np. nr 27 – jakkolwiek ten akurat w końcu ocalał, bo paliły się tylko piwnice. Podobnie nr 31, czego nie da się powiedzieć np. o nr 25 i 29, które dobudowano potem" (ak).

„Jeśli chodzi jednak o końcowe numery Alei Przyjaciół, to nie jest to tak odległa historia, bo cztery ostatnie domy powstały w końcu lat 60-tych. Nr 49 zamieszkiwali Janiszewscy. Senior mieszka tam do dziś. Jego syn Krzysiek był Siódemkowiczem, o ile wiem to teraz jest w Kanadzie. Nr 51 to Żółtowscy, ale mieszkali tam do około 1975 roku, potem wynieśli się do Szczęsnego pod Olsztynem. Najmłodszy Wojtek był Siódemkowiczem, ale krótko. Na ich miejscu zamieszkali Bistroniowie, i są tam do dziś. Dzieci, Tomek i Ola, byli oczywiście Siódemkowiczami. Nr 53 to Kurakiewiczowie. Szczególnie senior to była barwna postać. Urodził się w Chinach. Wokół domu na Alei Przyjaciół wybudował szklarnię, ogrzewał ją koksem i miał tam szczypiorek. Dokuczał bardzo saneczkarzom na Diable w ten sposób (dość niewymyślny), że obsypywał górkę popiołem, którego miał zawsze za dużo z ogromnego pieca. Córka Dorota była Siódemkowiczką, po studiach wyjechała do Warszawy. Po śmierci seniora, jego żona sprzedała dom. Na ich miejscu mieszkają Ścibkowie. Rodzina z Kurpiów. Najmłodsi to Siódemkowiczowie. Nr 55 to Wirzinkiewiczowie. Od początku i aż do dziś. Krzysiek i Heniek byli Siódemkowiczami" (WSKH).

WSKH poświęcił sporo czasu na naukowe badania historyczne o Alei Przyjaciół (niezależnie od tego, że robił je przy okazji, co tylko świadczy o wszechstronności jego intelektu) i okazał się prawdziwym kretem (czyli mistrzem) archiwistycznym. Oto jego wykopaliska:

„Mieszkańcy Alei Przyjaciół to byli porządni goście. Właśnie byłem w archiwum i co w nim znalazłem? W 1946 roku obywatele tej ulicy byli bardzo sumiennymi podatnikami; prawie wszyscy mieli nadpłaty. Z archiwaliów wynika też, że na ulicy było 37 budynków, i że w trzydziestu sześciu były po trzy mieszkania, a w jednym cztery. I trochę szczegółów podatkowych: Brunon Bern zamieszkały pod numerem 11 miał 550 złotych nadpłaty podatku od lokali. Zdzisław Krajewski spod 13 – 279 zł nadpłaty, a Mierzejewski Władysław spod 37 – aż 639 zł.; Roliński Stanisław, także spod 37, miał nadpłaty 318 zł i tylko jakiś pech Pani Ireny Kolpy spod 33 sprawił, że zalegała 855 zł.". W tym miejscu jakże trafna uwaga jd: „Jestem pewien, że Czesiek Kolpy (facet z absolutną klasą) uregulował zaległość pani Ireny". Jednak słuszna uwaga jd okazała się pośpieszna: „Czesio chyba nie miał okazji tego zrobić, bo o ile wiem te zaległości umorzono 5 maja 1950 roku" (WSKH). Jd – znany sympatyk Czesia – mimo wszystko nie dawał za wygraną: „No cóż, jeśli rzeczywiście umorzono, to Czesiek, jako facet z absolutną klasą, nie wszczynałby oczywiście małostkowej awantury, by koniecznie zapłacić zaległy podatek i jeszcze wikłać w to panią Irenę. Ale jeśli jednak nie umorzono, to na pewno zapłacił z tych samych powodów".

Dalsze odkrycia WSKH: „Na podstawie dokumentów archiwalnych stwierdzam, że naszą ulicę zamieszkiwali także ludzie rzutcy, obrotni, wykształceni i z klasą. Oto przykłady: w Tymczasowym Zarządzie Państwowym na Okręg Mazurski wiosną 1945 roku zatrudnili się: Jerzy Lewartowski, naczelnik wydziału finansowo-budżetowego, zamieszkały na AP 14 (zatrudniony 18 V 1945), Leon Wiśniewski, naczelnik Wydz. Nieruchomości, z AP 14

(zatrudniony 28 IV 1945), Karol Breger, kierownik referatu osobowego, z AP 17 (zatrudniony 28 IV 1945), Tadeusz Adamiec z działu zbytu, AP 17 (zatrudniony 28 IV 1945), Henryka Głowińska z referatu aprowizacji, AP 32 (zatrudniona 28 IV 1945), Michał Przybylski, urzędnik, z AP 17 (zatrudniony 16 VII 1945). W intendenturze Zarządu Miasta zatrudnił się ślusarz Stefan Wyraz z AP 3; w Zarządzie Pełnomocnika RP na Okręg Mazurski zatrudnili się 15 VI 1945 r. Tadeusz Trepanowski (kierownik informacji) i Franciszek Dziubiński, jego zastępca, obaj zamieszkali na AP 34. W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym na Okręg Mazurski lekarzem został Janusz Paliński z AP 30 (pracował od 1 VI 1945). W starostwie powiatowym 1 VI 1945 roku lekarzem powiatowym weterynarii został Stanisław Mendelski z AP (numeru nie podano), a od 15 VI tegoż roku lekarzem powiatowym był wspomniany już Janusz Paliński z AP 30. W Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym z siedzibą przy ul. Dworcowej 12 od 20 VI 1945 roku pracował handlowiec Piotr Białasiewicz z AP 33, a jako technik Jerzy Turower z AP 33. I jeszcze oto, co znajdowało się na niektórych posesjach według spisu, jaki sporządził zarząd nieruchomości: AP 37, Stanisław Roliński – auto ciężarowe; AP 34, Maria Szpyrkowska – skład siana; AP 32, Marian Markiewicz – auto osobowe; AP 30, Janusz Paliński – auto ciężarowe; AP 31, Stanisław Roliński – beczki z benzyną i po benzynie; AP 24, Bolesław Wutkowski – skład drzewa; AP 11, Brunon Bem (nazwisko trochę nieczytelne) – stajnia dla krów; AP 12, Piotr Jachowicz – skład siana; AP 5, Tadeusz Tytlewski – skład rupieci".

I kolejne zdobycze archiwalne WSKH: „Na Alei Przyjaciół zawsze mieszkali ludzie mądrzy i znaczący. Oto w archiwum znalazłem następujące informacje: W roku 1946 na AP i na Rybakach mieszkało wielu myśliwych. Koło Myśliwych «Jeleń» tworzyli m. in.: inżynier Stanisław Mossakowski (zamieszkały AP 32), inżynier Mieczysław Eisele (AP 17), inżynier Tadeusz Baczyński (AP 22). Koło Myśliwskie «Wrzos» w 1946 tworzyli: dr Zygmunt Twardowski (AP 37), dr Władysław Weis (AP 31). W 1948 roku Koło «Kozioł» zakładali: Michalski Zygmunt (AP 31/1), łowczy Hieronim Simiński, Siemiński lub Siwiński (AP 7/2), a Koło Pracowników Lasów Państwowych zakładał Stanisław Markowski (AP 44). Naszych ludzi mieliśmy też w aeroklubie, np. Jan Grewkowicz (AP 9). Rządziliśmy także w dziedzinie transportowo-motoryzacyjnej: w 1949 roku w zarządzie Związku Zawodowego Transportowców był Leon Lewandowski (AP 32), i był jednym z dwóch bezpartyjnych wśród partyjnej reszty. W 1946 roku zarząd Olsztyńskiego Klubu Motorowego to: Zygmunt Dembicki – prezes (Rybaki 11), Edward Wertel, wiceprezes (AP 27), Kajetan Fijałkowski (AP 30); siedziba klubu mieściła się przy Bałtyckiej 1".

Korektę do ustaleń ak (choć i pogląd ak dałby się tu wybronić) wniósł Zbyszek: „Osiedle nad Długim powstało w 1935 roku jako osiedle domków mieszkalnych"; i natychmiast Zbyszek dodał, by nie było wątpliwości: „Byłem tam przed chwila na spacerze". Zbyszkowi bliska też była sprawa siedziby administracji osiedla: „O administracji na osiedlu nie mogę się nic więcej dowiedzieć ponad to, że najpierw była przy Al. Przyjaciół 15, chyba ok. 1951 roku. A potem sam bawiłem się na budowie nowego budynku administracji przy ul Grunwaldzkiej, gdzie ją przeniesiono; ale kiedy? 64? 65? Może 66?".

Dość mętnie wobec tych precyzyjnych historycznych wiadomości wygląda pogląd jd: „Na Alei Przyjaciół chyba we wszystkich budynkach było kilka mieszkań: od trzech do sześciu (nie licząc dużych budynków naprzeciw szkoły). Domy w sporej części – z tego, co wiem – stanęły za Niemca".

W każdym razie nielekkie były te świetne powojenne czasy, co dobrze zapamiętał Zbyszek: „A może pamiętacie normy lokalowe? W pewnym momencie zmniejszone z 9 metrów na osobę na 6 metrów? Czyż nie ciasnawo? A obowiązkowe dokwaterowanie osoby obcej do rodziny, która miała «nadmetraż»? Tak było...".

Nie tylko mieszkańcy Alei Przyjaciół kochają i cenią Aleję Przyjaciół. Oto refleksja mamuta: „Al. Przyjaciół nie była moją ulicą zamieszkania, ale bardzo ją lubiłem przez jej

różnorodność i kolorystykę. Zmieniała się z każdą porą roku. Co chwila inne kwitnące rośliny w ogródkach, co rusz inny krzew czy drzewo kwitło lub owocowało. Lubiłem najbardziej Al. Przyjaciół wiosną, kiedy kwitły bratki i tulipany w ogródkach. Później dominowały irysy i róże. Ulica wydawała się zawsze jakaś taka właśnie przyjacielska. No może poza paroma burkami, które zawsze wylatywały zza zabudowań, aby ujadając przy siatce ogrodzenia wprowadzać zbędną nerwowość. Pamiętam wyraźnie dwa zejścia nad jezioro (bo ulica miała przecież wspaniałą lokalizację wzdłużjeziorną): jedno u góry Al. Przyjaciół niedaleko zejścia z Rybaków i jedno w połowie Przyjaciół niedaleko biblioteki".

„Aleja Przyjaciół – uzupełniał nie mieszkający na niej Fredek – miała swój szczególny charakter. Ten zapach ulicy po deszczu majowym! Albo w zimie: śnieg, który sprawiał, że nawet w nocy wszystko było jasne i spokojne. I chrzęszczące odgłosy chodzenia po świeżym śniegu. Piszczało przy każdym kroku".

W latach 60-tych, 70-tych Aleja była wielkim właściwie podwórkiem, stale tętniącym życiem i wydarzeniami. Teraz trochę to się zmieniło: „Gdy już byłem bardzo dorosły i przyjechałem kiedyś do babci, złapałem się na sytuacji, że stoję na Alei Przyjaciół gdzieś koło biblioteki i nigdzie, gdzie bym nie spojrzał, nie widzę żywego ducha. Byłem zdumiony, zaskoczony, prawie przerażony, że może wszyscy uciekli, wymarli albo bóg wie co. W latach mego dzieciństwa taka pustka na ulicy była nie do pomyślenia. Ciągle coś się działo: ktoś chodził, jeździł, biegał, gadał, krzyczał, siedział na ławeczce, na płocie, szedł «do miasta», wracał z hal..." (jd).

Niepokojące zjawisko odnotował też WSKH: „Zauważyłem, że ostatnio na dzielnicy pojawiły się znaki i tablice o sąsiedzkiej pomocy przeciwko złodziejom. Chyb coś tu jest nie tak. To chyba oznaki zepsucia stosunków między sąsiadami. Przecież kiedyś nikt nie zamykał nawet drzwi, bo wszyscy się znali i wiedzieli o sobie. Teraz chcemy, aby jakieś urzędy, policja zapewniały w sztuczny sposób bezpieczeństwo. Chyba zamiast wydawać pieniądze na zawieszanie tablic ostrzegających złodziei, że my tu obserwujemy, lepiej byłoby te pieniądze wydać na wspólne ognisko czy spotkanie nad Jeziorem Długim. Wtedy ludzie się poznają i nie będę musieli zamykać drzwi przed sobą i złodziejami". Może nawet tak już się dzieje, co możnaby wydedukować (wprawdzie trochę chyba na siłę) z oceny mamuta: „Aleja Przyjaciół i okolice niewiele się zmieniły. Może tylko więcej aut stoi na skraju ulicy. Ale jej charakter praktycznie jest taki sam".

Bardzo dawno temu Aleja była wybrukowana tzw. kocimi łbami, i dopiero około chyba połowy lat 60-tych stała się elegancko asfaltowa. „Wspominam z przyjemnością miękki asfalt na Alei. Można było w nim robić ślady trampkami albo dłubać patykiem" (jd).

Zupełnie niedawno, na naszych forumowych oczach, trochę przebudowano jeden fragment Alei – tuż przed sklepem, gdzie ulica mocno się rozszerzała i całe lata powszechnie wykorzystywano to miejsce do zawracania samochodem. Zwano też to miejsce placykiem. „Placyk – powtórzmy – polegał na tym, że ulica się w tym miejscu bardzo rozszerzała, a teraz zrobiono tak, że położono po stronie parzystej krawężnik równolegle do krawężnika strony nieparzystej, i w ten sposób jezdnia stał się bardzo wąska (tzn. tak jak w części wcześniejszej Alei), a poszerzył się chodnik, którego ta nowa część (przy budynku AP 38) stała się miejscem do parkowania dla samochodów. Nie wygląda to bardzo źle, choć na razie jest trochę surowe, zaniedbane i niedokończone (chyba)" (jd). Nie bez podstaw bardzo krytycznie ocenił tę przebudowę ak: „No cóż, ktoś spieprzył nam placyk przed sklepami: allkar.de/foto/v1/DSC03429.jpg – do wglądu. Może to być wprawdzie drobnym utrudnieniem dla pseudorajdowców, ale tylko drobnym. W końcu z ciasnego zakrętu też można (a nawet lepiej) wylecieć mniej lub bardziej kontrolowanym poślizgiem z wyciem i piskiem opon, co zresztą sam obserwowałem. Zamiast tego kretyńskiego krawężnika i kładzenia nie wiadomo ilu metrów kwadratowych chodnika za niewiadomo jak duże i czyje pieniądze, wystarczyłoby położyć progi – takie jak na Morskiej. Schrzaniłby taki pseudorajdowiec ze dwa razy

amortyzatory, to by mu przeszło". Natomiast bronił przebudowy AF; również nie bez podstaw, bo powołując się na względy bezpieczeństwa szczególnie maluchów szkolnych i przedszkolnych.

Dokonano też, i też na naszych forumowych oczach, unowocześnienia chodników: „Uważajcie na Alei Przyjaciół! Jest rozkopany chodnik po stronie nieparzystej, także wymiana rur gazowych na plastyk, potem podobno ma być chodnik z polbruku. Zobaczymy" (Zbyszek). „Tak, już robią te chodniki z kostek betonowych, będzie ładnie i równo, Ale czy ta symetria to nie zabija starych kultowych chodnikowych nastrojów?" (WSKH). „O rozkopach to tylko chcę powiedzieć, że dadzą się przeżyć, zwłaszcza, jeśli potem ten pokruszony i powykrzywiany asfalt zastąpiony zostanie ładną kostką. Ulica nie straci klimatu z tego powodu. Znacznie więcej klimatu odbiera Alei sznur aut parkujących po obu stronach. Kiedyś stały dwa, trzy, i to na CAŁEJ długości ulicy" (kkg). Nadzieje kkg spełniły się: „Nieparzysta strona Al. Przyjaciół zyskała właśnie nową nawierzchnię z kostki. Podobno w planach przyszłorocznych jest strona parzysta" (Zbyszek). Była więc okazja do świętowania, choć z odrobiną krytyki: „Gratuluję kostki po nieparzystej stronie Alei Przyjaciół. Natomiast wieści od Zbyszka, że to samo ma być z parzystą, trochę mnie niepokoją, gdyż mocno sympatyzuję z asfaltowym chodnikiem po stronie parzystej. Byłem właściwie świadkiem jego kładzenia i zawsze uwielbiałem chodzić po nim w gorące dni, gdy lekko uginał się pod stopami. Niechby może zostało tak jak jest?" (jd). Zbyszek, po oglądzie na miejscu, podsumował: „Mnie się efekt strony nieparzystej podoba. Asfalt strony parzystej jest już bardzo zniszczony, popękany, i myślę, że jednak warto byłoby, gdyby i tę stronę wymienić na nowszą. Ulica tylko by zyskała". Na razie (2006 r.) jest tak, że i jd, i Zbyszek są względnie zadowoleni: „Wszystko wygląda pięknie, zielono, chodnik po stronie nieparzystej jest z nowej nowoczesnej kostki, a po stronie parzystej dawny, asfaltowy, który to asfalt w upalne dni ponętnie ugina się pod trampkami" (jd).

I jeszcze jedno wspomnienie: „Mnie zapadł w pamięć ksiądz, który w niedziele chodził Aleją Przyjaciół w stronę szkoły, i rozdawał nam, czyli dzieciarni siedzącej na drewnianych jeszcze płotach, cukierki" (jd).

A teraz coś z czasów najświeższych. Rzecz dotyczy końcowego odcinka Alei Przyjaciół przy lesie: „Większość absolwentów już nie mieszka na najpiękniejszej dzielnicy Olsztyna, więc nie mogła zobaczyć tego, co ja widziałam – spróbuję przybliżyć ten niesamowity widok. Wychodzę więc z domu, i dech mi zaparło z wrażenia: nad ranem spadł mokry, gęsty śnieg i oblepił grubą warstwą puchu linie energetyczne, drzewa, krzaki i to w taki sposób, że nie oszczędził żadnej gałązki, a na drzewach iglastych powstały ciężkie czapy śniegowe i pod ciężarem śniegu przygięły się gałęzie. Droga prowadząca do lasu od strony Janiszewskich wyglądała jak tunel wykopany w śniegu. Ten niesamowity widok podkreślała świecąca ostatnia lampa pod samym lasem; cały ten tunel powstał z pokrytych śniegiem drzew przy płocie Ostropolskich. Cudowne widoki; żałujcie że tego nie mogliście tego zobaczyć" (gaga).

Wbrew ewentualnym przypuszczeniom, że wiemy wszystko o Alei Przyjaciół, okazuje się ona i dla nas ciągle pełna zagadek i tajemnic. Zupełnie niedawno rozkwitła na forum wielce interesująca dyskusja na temat nazwy Alei Przyjaciół. Rozpoczął ją swą młodzieńczą pasją poznawczą Krzysiek: „Mam pytanie za 100 punktów. Kto i kiedy nadał nazwę ulicy, i czy Aleja Przyjaciół miała jakąś wcześniejszą polską nazwę, czy tylko przedwojenną? Pytanie przyszło mi do głowy, gdy w ręce wpadła mi umowa kupna maszyny do szycia Singer. Moja babcia podała tam jako swój adres Olsztyn nr 35 (a nie ten obowiązujący dzisiaj, czyli AP 32". „Do 1945 roku – objaśnił Fredek – była to na pewno Horst-Wessel-Strasse, a na temat Horsta Wessela przeczytać można pod adresem pl.wikipedia.org/wiki/Horst_Wessel", i nie są to – dodajmy – wiadomości krzepiące. Jednak Krzyśkowi chodziło o czas bezpośrenio po wojnie, gdy już na pewno nie było Horst-Wessel-Strasse, a jeszcze nie było Alei Przyjaciół: „Horst-Wessel-Strasse? To do końca wojny. Babcia przyjechała do Olsztyna w 1945 roku. Z

tego, co mi wiadomo był konkurs na nazwę ulicy, ale to już za komuny. Wygląda na to, że AP przez jakiś czas była «no name». A może tak nie było?. O tym, jak nazywała się AP przed wojną już wiemy wszystko. Kłopot właśnie w tym, od kiedy nazywa się Aleją Przyjaciół? Przecież nie od 45 roku, czego dowodem jest wspomniana przeze mnie umowa na Singera. Z tego, co sobie przypominam, ktoś kiedyś mówił mi, że to pan Trepanowski (AP 34) był pomysłodawcą nazwy AP. Ale to nie mogło być zaraz po wojnie. A skoro tak, to powstaje pytanie, jak ulica nazywała się w pierwszych latach po wojnie?" (Krzysiek).

„Znalazłem coś na temat zmiany nazw ulic na całym naszym osiedlu. Jest to tłumacznie artykułu Rafała Wolskiego «O Osiedlu nad Jeziorem Długim»: «Latem 1945 roku ulice Osiedla nad Jeziorem Długim otrzymały nowe, polskie nazwy. Dotychczasową Horst-Wessel-Straße nazwano Aleją Przyjaciół, Dietrich-Eckart-Straße została przemianowana na ulicę Hallerczyków (na pamiątkę Armii Polskiej we Francji z 1918 r.), krótko potem zmieniono jej nazwę na ulicę Stanisława Wyspiańskiego, by ostatecznie z dniem 1 sierpnia 1946 roku nazwać ją ulicą Morską. Północno-zachodni odcinek dawnej Horst-Wessel-Straße, bezpośrednio pod lasem, nazwano ulicą Rybaki. Schlageterstraße nazywała się od 1945 roku do początku lat sześćdziesiątych ulicą Powstańców, kiedy to włączono ją do ciągu ulicy Rybaki. Herbert-Norkus-Straße przemianowano w 1945 roku na krótko na Aleję Trzech Róż (podobno na pamiątkę trzech powabnych córek jednego z nowych mieszkańców). Ulica ta następnie, na przełomie lat 1945-1946 stałą się ulicą Poznańską, a latem 1946 r. ostatecznie Aleją Róż. Dodajmy wreszcie, że Straße am Langsee nazwana została ulicą Bałtycką. Nietrudno się domyślić, że wśród pierwszych nowych mieszkańców Osiedla nad Jeziorem Długim nie brakowało Warszawiaków – w stolicy znajdują się także Aleja Przyjaciół, Aleja Róż, ulica Rybaki, ulica Poznańska; kilka z tych ulic ma nawet podobny charakter, jak kolonia domków nad Jeziorem Długim»" (Fredek). Na tym dyskusja na razie się zakończyła, i na razie wydaje się, że babcie Krzyśka mogła niedokładnie spisać tę umowę na kupno Singera.

A oto jeszcze zaskakująca wersja WSKH o nazwie Alei Przyjaciół: „Aleja Przyjaciół zaraz po wojnie nosiła nazwę Aleja Przyjaciół Żołnierza – to nie żart! Nikt nie wie tylko, o jakiego żołnierza chodzi; sowieckiego, niemieckiego, polskiego czy napoleonskiego, i to jest wspaniałe! Nazwa uniwersalna".

Aleja Przyjaciół 13

Coś raczej nietypowego dla tej okolicy tu się zdarzyło, wprawdzie zupełnie niedawno, i chyba w końcu zostało zażegnane: „Sąsiedzi są dla siebie niemili, ale to przecież żaden ewenement. Chociaż na Alei Przyjaciół to nieczęsta sprawa" (Zbyszek). I nieco szczegółów: „Życie jak życie. Sąsiedzi są różni. Od dość dawna pracuję w kilku redakcjach gazet, więc trochę się dowiedziałem i trochę zobaczyłem. Otóż jest taka rodzinka (małżeństwo ok. 40 lat, z AP), którą widuję już od kilku lat w kolejnych redakcjach, gdzie pracuję. Przychodzą wiecznie w tej samej sprawie, i z tego, co wiem, to byli już we wszystkich redakcjach Olsztyna, łącznie z telewizją i rozgłośniami radiowymi. Szczegółów nie znam, bo po tym, gdy widziałem ich w akcji pierwszy raz, unikam jak ognia, aby nie wpaść w ich ręce, a przede wszystkim w ich zajadłość, z jaką tłumaczą swoje racje. Rzecz cała właśnie w kłótni z sąsiadami. Zaczęło się od jakiejś pierdoły, a obecnie od lat wojna trwa już w sądach. Z tego, co wiem, to w sądach znają ich wszyscy; sędziowie ocenili, że to najwięksi pieniacze Olsztyna w ostatnim trzydziestoleciu. Koty drą niesamowite, zacietrzewieni wyjątkowo, paragrafy znają już na pamięć, pism sądowych mają już całe stosy. Spokojnie porozmawiać, z tego, co zaobserwowałem, nie da się nijak. Są tak przekonani o swoich racjach i krzywdach wyrządzanych im przez sąsiadów, że z ich gardeł dosłownie wydobywa się krzyk i warkot. A jak jest w tym budynku, to strach pomyśleć. Oczywiście oprócz sąsiadów, przeklęci zostali

również sędziowie, adwokaci i wszelcy prawnicy, którzy ich zdaniem nie dają im zwycięsko zakończyć całej waśni" (WSKH).

Aleja Przyjaciół 25

Było tam pięć mieszkań. Na parterze, od strony ogrodu, mieszkali Krajewscy (rodzice, Andrzej, Ewa), a w drugim mieszkaniu parterowym Młotkowie (w tym Jola Młotek); na pierwszym piętrze, od strony ulicy, Grzesiek Woźniczko (i rodzina), a od strony ogrodu pani zwana Czarną. Jej mieszkanie miało taras wychodzący na ogród. Na samej górze mieszkali Donarscy.

„Czarna, jak ją nazywaliśmy, bardzo doglądała swojego ogródka. Były w nim nadzwyczaj dobre papierówki. Ogród był ogrodzony wysokim, chyba 2-metrowym płotem; prawie jak więzienie, aczkolwiek upiększone pnącą się po płocie fasolą. Pod tym tarasem był pokój, z którego Andrzej Krajewski lubił wychodzić oknem" (ak).

Aleja Przyjaciół 27

Były tam trzy mieszkania. Na samej górze mieszkali Fiedorowiczowie (Zdzisiek, Andrzej, Joasia), pod Fiedorowiczami Karzelowie (Allan, brat, siostra). Tata Karzel zmarł kilkanaście lat temu, a mama ciągle tam mieszka. Na parterze mieszkali Pileccy – Rysiek i Marek, który miał beznadziejny wypadek na jeziorze i od tego czasu jeździ na wózku. Z tyłu budynku był – jak wszędzie za budynkami na Alei Przyjaciół – wielki ogród, szczególnie wielki, gdy nie było jeszcze Bursztynowej. Tata Fiedorowicz hodował tam przez pewien czas różne nutrie i norki, a mama – kury; poza tym uprawiano tam warzywa i owoce, chodzono po drzewach, i traktowano jako wielkie zielone podwórko oraz teren rekreacyjny. „Pamiętam choćby świetne ogniska na końcu ogrodu, gdy jeszcze nie było tej nowej ulicy Bursztynowej i ogrody były dwa razy większe" (jd). Ważną rzecz zapamiętał ak: „Parter zmieniał często lokatorów, bo było to wojskowe mieszkanie służbowe; a więc po kolei: rodzina Leców, Rzepkowskich, Golików, w końcu Pileckich". Nie mniej ważna jest informacja AF: „Budynek został zbudowany około 1936 roku".

Aleja Przyjaciół 28

Dom, w którym na samej górze mieszkał LP. Poza tym na parterze mieszkali Kaimowie, a nad nimi starsze małżeństwo Walczuków. W ogrodzie u Kaimów były najlepsze ponoć w okolicy maliny. Kiedyś zdarzył się tu okropny wypadek: przed domem samochód przejechał brata Krzyśka Kaima. Dziecko zginęło; to był chyba młodszy brat Krzyśka.

„Ostatnio w sprzedanym mieszkaniu LP zaszła gigantyczna zmiana. Od strony jeziora powstała tak zwana kukuła na całej szerokości dachu. Wygląda to tak, że wydaje się, iż patrząc znad jeziora będzie można zobaczyć, co się dzieje na poddaszu. Poza tym wymienione zostały wszystkie dachówki" (WSKH).

Aleja Przyjaciół 29

Było tam sześć mieszkań. Na dole mieszkali Cywińscy oraz Foksowie (wcześniej Sajdowie), na I piętrze Tarasiewiczowie oraz pani Przybyszowa, na II piętrze – Tajanowiczowie i Jolka Wilk z mamą Heleną Bąk (która przez pewien czas nosiła także nazwisko Kosterowa). Na dole, po lewej stronie budynku była weranda, na którą można było wchodzić z podwórka i było to dobre miejsce do zabaw. Przychodziły na tę werandę dzieciaki z całej okolicy, jednak przeganiał je dziadek Cywiński. Weranda kiedyś miała parkaniki niskie z drewna, potem trochę kłoptliwsze, wyższe i z metalu. „Na tej werandzie – wspomina jd – spędzałem mnóstwo czasu, właściwie wszystkie wakacyjne wieczory (bo od roku 1963 bywałem w Olsztynie już tylko na wakacjach). Siedzieliśmy tam z Molendą, Elą Kaszubą, Joasią Fiedorowicz, moją siostrą i czasem jeszcze z innymi, i gaworzyliśmy do późnej nocy,

narażając się na prześladowania mieszkających za werandą Foksów. Pamiętam, że kiedyś słuchaliśmy na małym radyjku tranzystorowym transmisji z meczu Polska-Brazylia, przegranego 3:6, ale w którym nawet prowadziliśmy. Pamiętam też, że całe godziny grywaliśmy tam z Molendą w karty w grę o przemiłej nazwie Dupa Biskupa".

„Pani Helenka, mama Joli, miała adapter Bambino, i puszczała na nim całe lata i na całą kamienicę absolutną klasykę: «Pamelo żegnaj» Tercetu Egzotycznego, i chyba szczerze przy tym popłakiwała" (jd).

Aleja Przyjaciół 30

Dom, w którym mieszkali na dole Chłopikowie, na I piętrze Węgrzynowie, a na górze Smereccy. Smereccy jednak stracili mieszkanie w podejrzanych okolicznościach na początku roku 1971 roku na rzecz Malkowskiego.

Aleja Przyjaciół 31

Mieszkał tam znany laryngolog Laszko. Były tam trzy mieszkania, a teren domu graniczy z uliczką do Ogródka Jordanowskiego. „Na dachu tego domu była słynna syrena alarmowa i było to w ogóle miejsce jak na kanony Alei dość arystokratyczne (chyba już w latach 60-tych był domofon przy drzwiach wejściowych do budynku), choć z kolei przez ogródek z przodu przechodzili wszyscy wracający z Ogródka Jordanowskiego, bo były tam takie dwie poręczne furtki umożliwiające mały skrót" (jd).

Aleja Przyjaciół 32

Dom (trzy mieszkania), w którym na parterze mieszkali Lewandowscy, a teraz mieszkają Gwozdkowie, czyli jedna z sióstr Lewandowskich po zamążpójściu. Na pierwszym piętrze mieszkali Kicermanowie, przedtem Jaskowscy, a na drugim Dobkowscy (Marcin i starszy brat Wojtek). Tuż za domem rosła piękna śliwa o smakowitych owocach, których „gościnnym" miłośnikiem był jd. „Śliwki, o które walczyłeś (najpewniej z moim tatą) były rzeczywiście rewelacyjne. Pamiętam je doskonale. Drzewo uschło w tym samym roku, w którym zmarła moja babcia (1979), a od roku 1983 stoi w tym miejscu przybudówka – słusznie uznana na tym forum, za mocno szpecącą cały budynek" (Krzysiek).

Aleja Przyjaciół 33

Mieszkali tam na parterze Kierkiewiczowie (Rysiek, starszy brat Czesiek, i siostra Ela) oraz Barzdowie; Czesiek Kolpy na pierwszym piętrze, oraz Krysia Czasnojc na samej górze.

Aleja Przyjaciół 34

Trzy mieszkania. Na parterze do 1962 roku mieszkali Dobieszewscy: Janusz i Małgosia, z rodzicami i dziadkami Cywińskimi; po 62 roku mieszkał tam kilka lat Andrzej Szyszka z rodzicami i także dziadkami, a jeszcze później Tymułowiczowie (Piotrek T.?); na I piętrze mieszkali Trepanowscy (pan Tadeusz, fotograf) i były tam dwie dziewczyny: Edyta i Ewa; a na poddaszu (czyli II piętrze) ostatnio pani Tułodziecka, która zresztą przymierzała się do sprzedaży mieszkania. „Chyba przedtem na tym poddaszu mieszkało starsze małżeństwo, ale nie pamiętam ich nazwiska; babcia Cywińska nazywała kobietę stamtąd Pucią" (jd).

„Przy Alei Przyjaciół 34, gdzie mieszkałem w dzieciństwie, stała po prawej stronie (patrząc od ulicy) wielka wiśnia i całe moje dzieciństwo kojarzy mi się z tą wiśnią. Po niej chodziłem, wieszałem się głową w dół, a zimą nie mogłem nigdy wyminąć jej zjeżdżając sankami (bo tam jest lekki spadek). No i kiedyś tę wiśnię, gdy już byłem dorosły, wycięto. I teraz na pewno nikt o tej wiśni już nie pamięta. Jest tylko w moich wspomnieniach. Na tym polega kruchość istnienia" (jd).

Aleja Przyjaciół 36

Na parterze mieszkali Karpowiczowie – Ireczka, Mirek i Basia. W ich ogrodzie rosły rajskie jabłuszka. Na samej górze mieszkali Markowie (takie nazwisko) – Marysia i Małgosia; Małgosia była bardzo ładna.

Aleja Przyjaciół 37

„Parter: Potoccy (pani P. i sporo dzieci, miedzy innymi Lusia). Pierwsze piętro: Linde (Teresa + ??); wykształcona, kulturalna rodzina, związki z Francją. Drugie piętro: lekarz Mierzejewski z matką (super przystojny w swoim czasie)" (nat).

Aleja Przyjaciół 38

Na samej górze mieszkali Radziunowie, pod Radziunami mieszkał chłopak, Bogdan, którego nazywaliśmy Angora, bo miał białe włosy (mieszka teraz w Karlsruhe), miał starszego brata chyba Tomka (i chyba nazywali się Tomaszewscy). A na parterze mieszkali Mierzejewscy, efektowna dziewczyna Lala i jej brat, chyba Mirek. Sensacją było kiedyś jego „chodzenie" z dziewczyną spod Al. Przyjaciół 25, bo ona była niska i niezbyt ładna, a on wysoki i niezwykle przystojny. W latach 90-tych budynek został spieprzony jakąś wymyślną dobudówką, którą wymyślił i zrealizował Angora albo jego brat. Okolice tego budynku były wyjątkowo świetnym miejsce do zabawy w chowanego. Ostatnio szpetność przybudówki wzmocnił bijący po oczach, nowy, zółto-kanarkowy kolor, na jaki otynkowany został cały budynek.

Aleja Przyjaciół 39

Budynek naprzeciw szkoły. Mieszkała tam na parterze, u dziadków (Tęgowskich), mr. Na pierwszym piętrze mieszkała Ela Kaszuba, a także Mirek Makara. Na parterze pod Makarami mieszkał Droździak, a obok Jabłońscy. Pod numerem 1 mieszkali Lachowscy. Inni mieszkańcy: Ada Muraszko z mamą Zosią Stankiewicz oraz Teresa Lubańska (czyli nat, obecnie Wilson, mieszka w Londynie).

Aleja Przyjaciół 41

Mieszkał tam Janusz Filipowicz ze starszą siostrą (m. 16), a na dole Nowaccy.

Aleja Róż

Piękna ulica, piękna nazwa. O Alei Róż wspomina się może rzadziej niż o Alei Przyjaciół, Rybakach czy Morskiej, ale to dodaje jej pociągającego nimbu skromności. Było tam mniej domów niż na pozostałych ulicach, więc może to jest powodem. Ale te domy były urocze, kameralne, bo parterowe z poddaszem, i miały duże ogrody, a w dodatku do pewnego momentu druga strona Alei Róż (ta dalsza od szkoły) była niezagospodarowana, więc i to był naturalny teren mieszkańców Alei Róż. Aleja Róż rozpoczyna się przy Ogródku Jordanowskim i biegnie równolegle do Alei Przyjaciół i Morskiej w stronę lasu; tam łączy się z Rybakami.

Aleksandrowicz Andrzej

Przyjaciel DD.

Alfa-Centrum

Wielki, nowoczesny supermarket, który powstał w samym centrum miasta, między Dukatem a szubienicami. Ma przeciwników (jd: „muszę powidzieć, że w porównaniu z tym centrum Dukat to dzieło architektoniczne pełne gustu, gracji, harmonii i profesjonalizmu, niech więc trwa jak najdłużej), ale w większości zwolenników: „To nowe centrum handlowe

chwalilem sobie, bo na dole można dobrze samochód zaparkować, a na górze jest świetny Empik. Mnóstwo «butików» i przynajmniej nie trzeba wyjeżdżać z Olsztyna na zakupy w Duglasach i HaieM-ach (H&M). A i architektonicznie wcale nie takie złe: wysokie, jasne, oszklone i klimatyzowane. No i wszystko w jednym miejscu. Niech ma Olsztyn coś takiego" (Fredek). Na taką argumantację jd nie mógł pozostać nieczuły: „Dobra, Fredek, niech Olsztyn ma coś takiego jak Alfa-Centrum. Nie watpię, że jest pożyteczne, użyteczne, funkcjonalne i wielofunkcyjne, ale szczególnie śliczne to ono od zewnątrz moim zdaniem nie jest. I dodałbym, że niech też Olsztyn ma coś takiego, jak Dukat i szubienice, które Alfa-Centrum łączy niczym nowoczesny most stare brzegi (metafora taka sobie, ale niech zostanie)" (jd).

Opinię Fredka potwierdził mamut: „Co do Alfy, to zgodzę się z Fredkiem: tak tragicznie nie wygląda; każda epoka przyniosła Olsztynowi jakiś charakterystyczny, inny architektonicznie budynek. W Alfie nie byłem, więc wnętrza nie jestem w stanie ocenić, ale zewnętrzną stronę budynku jak najbardziej, i moim zdaniem wcale zła nie jest: nowoczesna, różnorodna w kształtach, no i oczywiście inna od budynków budowanych w Olsztynie przez ostatnie 50 lat. Wielu z moich znajomych Alfę chwaliło, więc ma – jak widać – swoich fanów".

Angor (albo Angora)

Czyli Tomaszewski Bogdan. Mieszkał na Alei Przyjaciół 38. Przezwisko wzięło się od jego zupełnie białych włosów. Był zapalonym żeglarzem; teraz mieszka w Niemczech.

Antałek

Słynny bar, czy raczej pijalnia piwa, w pobliżu Likus, przy przejeździe kolejowym, a zarazem przy końcu toru saneczkowego. „Chodziłem tam z kolegami po kapsle, bo zdarzały się tam kolorowe, a to był wtedy prawdziwy skarb" (WSKH).

Antosz Zbyszek

Kolega z klasy Iwony.

Apteka

Znajduje się ciągle w ciągu sklepów przy Alei Przyjaciół 40. Kiedyś dochodziło się do niej pod pięknymi filarami, teraz filary zabudowano, i to nie jest już to. Atrakcją apteki była waga osobowa, na której wybranym, znajomym lub przekonująco proszącym pozwalano się zważyć. „Apteka należy dziś do pani, która kiedyś w niej pracowała. Pracuje tam też moja mama, mimo że jest już emerytką. Chodzi tam do pracy ze sporą chęcią. Właśnie m. in. ze względu na kontakt ze wszystkimi mieszkańcami dzielnicy. Jest w tej chwili chyba najlepiej poinformowaną osobą odnośnie zagadnienia, co u kogo słychać" (Krzysiek). I uzupełnienie do informacji Krzyśka: „Właścicielką apteki jest pani A. B. i jej córka Ela B., która wraz ze swoimi dwoma braćmi (obecnie mieszkają w Niemczech) uczyła się w szkole nr. 7. Mieszkali oni wszyscy na Al. Róż" (HG).

Atrament

„Kiedy zaczynałem naszą drogą Siódemkę, pisało się w zeszytach obsadkami z wkładaną stalówką, a w ławkach na środku, w specjalnej dziurze, były umieszczane kałamarze z atramentem. Na przerwach chodził woźny z wielką butlą, zakończoną zgrabny dzióbkiem, i uzupełniał zawartość tych kałamarzy. Mnie posadzili w ostatniej ławce (byłem dość wysoki) z kolegą, który mieszkał chyba w barakach koło późniejszego baru Tramp i chyba nazywał się Głąb (ale głowy nie dam). Ostatnia ławka miała oparcie nie w postaci następnej ławki, ale oparcie własne, no i zabawialiśmy się na jednej przerwie w ten sposób, że siadaliśmy na tym oparciu, nogami zahaczaliśmy się o dół blatu ławki i odchylaliśmy się do tyłu dotykając

prawie głową do podłogi. Raz on, raz ja, ale gdy to się zrobiło nudne, to albo on mnie, albo ja jego łaskotałem w brzuch. Mieliśmy straszne łaskotki, więc w końcu postanowiliśmy, że aby sobie nie dokuczać, jednocześnie zrobimy tę figurę z oparcia. No i zrobiliśmy, ale tylko raz, bo ławka (gdy nie było przeciwwagi tego drugiego, który siedział) wyskoczyła cała w górę, ten nieszczęsny atrament z kałamarza pozalewał nam Elementarze Falskiego, zeszyty, fartuszki z białymi kołnierzykami, niewinne buźki, nie mówiąc o podłodze, za którą zdaje się rodzice mieli jakieś drobne nieprzyjemności. Sami widzicie, jak było cudownie" (jd).

„Jeszcze o tych ławkach z dziurami na kałamarze. Ja też w takich siedziałam w pierwszej klasie. Nasza klasa znajdowała się na końcu korytarza na parterze przy ubikacjach dziewczęcych, i z oknami na ogródek. Próbowano nas uczyć pisać piórami, ale nie dużo z tego wyszło (z tym, że nie używaliśmy kałamarzy, były to już pióra na naboje). Wszystko nam się rozmazywało, rąk nie można było domyć, więc powróciliśmy w końcu do długopisów, które zresztą tak samo się rozmazywały, ale nowocześniej. A błędy w zeszycie zaklejało się wtedy taką beżową taśmą z «gęsią skórką»" (mr).

Awangarda

Niewielkie i przytulne kino na Starówce. Swego czasu mające opinie eleganckiego i niemal elitarnego.

B

B. Teresa

Ukończyła Siódemkę w roku 1972. Była zawsze najmniejsza w klasie, a chodziła do klasy z DD. Mieszkała na osiedlu „Podlesie" (Sosnowa, Wierzbowa itd.). Od 20 lat mieszka w Stanach Zjednoczonych i od 20 lat nie była w Polsce. Pan Kazimierz Sturmowski uczył ją w Olsztynie gry na fortepianie. „Muzykiem jednak nie zostałam; jestem dyrektorem administracyjnym Classical Symphony Orchestra w Chicago. Dużo koncertujemy i nagrywamy, sporo też podróżujemy. W tym roku byliśmy choćby w Argentynie i Brazylii" (T.B.).

Babcia

„Babcie były chyba częścią dzieciństwa każdego z nas. Moja nie tylko ganiała za mną po ulicy z posiłkiem, ale zimą przynosiła mi na przykład do szkoły ciepłe majtki, które skrzętnie ukrywałam pod łóżkiem przed wyjściem z domu. To dopiero była plama!" (nat).

Balik

Miał strasznie chudą białą chabetę, a także dziurę w gardle. „Balik miał uszkodzone struny głosowe i mówił przez dziurkę w krtani. Dzieci trochę się tego bały, a gość był do tego cholerykiem i łatwo było go zdenerwować" (morska).

Bałtycka

Ulica, która łączy Osiedle nad Jeziorem Długim ze światem. Zaczyna się od tunelu przy Dworcu Zachodnim (za tunelem – w stronę miasta – przechodzi w Grunwaldzką), a kończy daleko w Likusach, z tym że dla nas najważniejsza jest jej część do przejazdu kolejowego na początku Likus.

Przejazd przy tunelu koło Dworca Zachodniego stał się w ostatnich latach udręką komunikacyjną i miejscem permanentnie korkującym się. „Jak wygląda sytuacja na Bałtyckiej przy tunelu? Kiedy byłem tam, testowano właśnie nowe cykle sterujące światłami – codziennie było inaczej, ale nigdy dobrze. Raz samochody stały dwoma pasami aż za

Rybaczówkę – do bloków na Bałtyckiej" (ak). W roku 2006 powstało tam jednak piękne rondo. Bloki na Bałtyckiej, mniej więcej naprzeciw Związku Wędkarskiego, to miejsce nadzwyczaj ważne. Kiedyś był to zresztą jeden blok, dopiero dużo później dobudowano dwa kolejne. „W tych wieżowcach (zresztą czteropiętrowych) mieszkało się kiedyś jako tako. Teraz to tak szpetnie wyglądają, że szkoda o tym mówić" (Fredek). „Ten najnowszy wieżowiec, pierwszy od strony Likus, nie jest taki straszny" (WSKH). Kompromisowe stanowisko zajął mamut: „Odwiedzam, gdy mogę, stare śmieci. Wszystko wydaje mi się jakieś takie małe, trochę zapuszczone i porośnięte. Pierwsza rzecz, na jaką zwróciłem uwagę przy pierwszej wizycie, to jak bardzo urosły drzewa i krzewy w okolicy domów. Sam zresztą sadziłem część tych drzew i krzewów. Reszta wyglądała na niewiele zmienioną. W pewnym sensie stan budynków rzeczywiście się pogorszył. Wygląda to na trochę zaniedbane, ale wiadomo, koszty, a z pieniędzmi u ludzi krucho".

Mamut wraz z Fredkiem są – mimo jej obecnych niedociągnięć – prawdziwymi patriotami Bałtyckiej: „Bałtycka zawsze będzie naszą Bałtycką. Zawsze ten skrawek jeziora przy Związku Wędkarskim będzie wspomnieniem szalonych dziecięcych zabaw. Pamiętacie zjazdy sankami z tych tak przecież łagodnych pagórków? Zjeżdżało się wprost na lodową taflę jeziora lub wpadało w krzaki dzikich róż. Albo «strzelanie dzikimi jabłkami» przy użyciu giętkich klonowych witek (niosło aż na druga stronę jeziora), przesiadywanie na wygiętych grubych konarach wierzby nad jeziorem (drzewo zresztą już dawno wycięte)?" (mamut).

Najważniejszymi punktami na Bałtyckiej były i są: spory placyk blisko tunelu, na którym najpierw były baraki, potem bar Tramp, a potem teren pod cyrk; Związek Wędkarski, a tuż przy nim słynna ogromna trzykonarowa topola; wieżowce Fredka i mamuta; Szkoła Łączności (dziś szkoła katolicka), kiosk i przystanek; naprzeciw tego: poczta, mała księgarnia i pawilony sklepowe; za skrzyżowaniem z Aleją Przyjaciół i Jeziorną drugi przystanek, a dalej Ekonomik, stacja benzynowa, pętla autobusowa, Antałek i zjazd z toru saneczkowego. Ale również: „Czy pamiętacie taki samotny budynek przy Bałtyckiej po lewej stronie patrząc w stronę Likus? Stał za przystankiem autobusowym przy Parku Ormowca koło Jeziorka Czarnego? Rozebrali go jakieś 15-20 lat temu" (WSKH). Niektórzy pamiętają: „Był chyba z ciemnej bordowej cegły, nieotynkowany i chyba rzeczywiście mieszkalny. Ale nigdy w nim nie byłem" (jd).

Okazało się również, że Bałtycka kryje w sobie mroczną tajemnicę: „Jednym z dwóch miejskich miejsc straceń były ugory położone przy obecnej ulicy Bałtyckiej, naprzeciw Jeziora Długiego. Jak wynika z zachowanych przekazów, w tym miejscu wielokrotnie publicznie wykonywano kary przez powieszenie na powrozie, łamanie kołem albo ścięcie toporem. Ciekawe, co? Nie mam tylko pewności, czy chodzi o miejsce, gdzie stały potem baraki, czy o teren, gdzie później postawili nasze bloki. Makabryczna sprawa..." (Fredek). „Jeśli faktycznie egzekucje tam przeprowadzano, to jest szansa, że rośnie tam mandragora. Wiadomo bowiem, iż magiczna ta roślina wyrastała pod szubienicą z nasienia powieszonego, który został skazany niewinnie za złodziejstwo. Dawała ona niebywałe moce osobie, która ją posiadała. Mandragora była też usilnie poszukiwana przez alchemików, magików, astrologów itp. itd. Tak mówią legendy i dawne przekazy" (mamut).

Bałtycka 18

Tu mieszkali Fredek i mamut (osobno), na parterze, drzwi w drzwi.

Bambino

Kultowy adapter prywatkowy. „Chyba w ostatnie lato (będąc w Olsztynie) wyrzuciłem na śmietnik pełnosprawny adapter marki Bambino koloru szarego. Jaki byłem głupi..." (LP). „Powinieneś mieć za to sprawę sądową i wyrok bez zawieszenia" (jd).

Były też lody Bambino.

Bambuko

Nazwę tej gry wszyscy znają, ale jej zasady nie są jasne: „Czy nazwę Bambuko miała gra na boisku, polegająca na trafianiu piłką w poprzeczki i słupki, czy może Bambuko to strzelanie goli głową pod warunkiem, że tylko raz się dotknie piłkę?" (WSKH).

Bankowski

Zwany Cysterną. Kolega T. B. z osiedla Podlesie.

Bar mleczny

„W związku z kulinarnymi wspomnieniami, to przypomnijcie sobie bary mleczne. Kiedyś chętnie tam chodziłem, a nawet z AZS-u mieliśmy tam jakiś czas wyżywienie. Przed paru laty nostalgia mnie tam znowu zaprowadziła... Ależ się wtedy nadziałem! Zaszedłem do tego baru na Wojska Polskiego (tam chyba jest teraz sklep z częściami samochodowymi), a tam nędza, smród i brud. Byłem w szoku i porzuciłem nostalgię" (AD).

Baraki

Znajdowały się na Bałtyckiej, tuż przed tunelem, po prawej stronie, naprzeciw Jeziora Długiego, mniej więcej tam, gdzie później powstał bar Tramp. Były to parterowe, dość prymitywne budynki mieszkalne.

„Wybudowano je po wojnie dla pracowników budowlanego przedsiębiorstwa wojskowego. Mieszkali w nich główni księgowi, technicy, inżynierowie z rodzinami, a hotel – bo taki charakter miał jeden z budynków – był przeznaczony dla pracowników fizycznych. W jednym z tych baraków mieszkałam ja, Iza Schuetz (dziś Trojanowska) z braćmi Maćkiem i Romkiem i wielu Siódemkowiczów. W pobliżu naszych baraków mieszkała też wielodzietna rodzina Jabłońskich" (Iwona).

Zlikwidowano je chyba w połowie lat 60-tych. Za barakami był atrakcyjny teren do zabaw: „Będąc dziećmi zjeżdżaliśmy po trawie pagórka za barakami na stary kartonach, miskach czy nawet dużych plastikowych wannach. Zawsze tam było pełno ślimaków winniczków. Kiedyś u szczytu znajdował się samotny dom, ale oczywiście wraz z wyburzeniem baraków zniknął i on. Rosły tam też zdaje się wiśnie. Widok z górki był imponujący, a gdy rozbijał się tam cyrk, z chęcią przychodziliśmy podpatrywać z góry cyrkowców. A swoją drogą, muszę wspomnieć, że również ja i paru moich kolegów mamy swój udział w rozbiórce owych budowli. Kiedyś trochę z nudów pomogliśmy załadować niedużą ciężarówkę cegłami z rozbiórki. Miałem wtedy chyba z 10 lat. Ech, dawne to czasy, a teraz proszę: w tym samym miejscu rondo i potężny wiadukt" (mamut). A właściwie dwa wiadukty.

Bartnikowski Adam

Kolega gd.

Barzdo

Bracia Andrzej i Tadeusz. Mieszkali przy Alei Przyjaciół 33 na parterze; pamięta ich nat. Chodzili do Siódemki pod koniec lat 50-tych.

Baturo

Baukrowicz Anita

Koleżanka z klasy AK.

Bąk Wojtek

Wypatrzony na zdjęciach przez rybę696: „Na zdjęciach poznałam chyba Wojtka Bąka (ten z brodą ale za to włosów mniej na głowie); chodził do klasy z Ewą Domaradzką". „Wojtek Bąk (zwany Bzyk), rocznik 1982/1983; tych, co nie wiedzą informuję, że jest to sprawca słynnego rozbicia popiersia patrona naszej szkoły Leona Kruczkowskiego" (mirmur).

Biała

Ulica. Mieszkał na niej kupę lat Oczoper; teraz mieszka ciut obok, na Błękitnej. Mieszka na ul. Białej i jest wielkim (można powiedzieć: dozgonnym) patriotą tego miejsca także Olsztyn2002: „tu się urodziłem i tu już chyba umrę".

Na Białej mieszkała także karolina oraz siostry Rybczyńskie.

Białek Robert

„Absolwent 76. Zwinny i pracowity jak Robert Gadocha. Strzelał gole w każdym meczu z bliska i z daleka, głową i nogą, karne, wolne i rogi. Kiwał i podawał, a jak trzeba było, to i stanął w bramce" (WSKH). Miał brata i siostrę; mieszkali w okolicach CPN.

Biblioteka

Znajdowała się i znajduje w połowie Alei Przyjaciół, pod numerem 15. Była bardzo ceniona i lubiana. Był w niej kącik z gazetami (także kolorowymi tygodnikami, które kiedyś dość trudno zdobywało się w kioskach), a książki były w specjalny, świetny sposób oprawione. Był tam również dziwny, przyjemny zapach. Na piętrze mieszkali Wróblewscy, a na samej górze Janek Dobrowolski. Dziś biblioteka ciągle istnieje, ma się całkiem dobrze jak na bibliotekę, a jej budynek został niedawno odnowiony.

„A pamiętacie panią bibliotekarkę? Taka niewysoka, dosyć korpulentna, często w czarnym fartuchu szkolnym z białym kołnierzem. Jak ktoś zalegał ze zwrotem książek, to przychodziła osobiście z wizytą domową. Z moich wspomnień to ona, bardziej niż szkoła, uczyła zamiłowania do czytania i szacunku dla fizycznego wyglądu książek. To dopiero był serwis! Moja mama miała skłonności do przetrzymywania wypożyczanych książek, ale bibliotekarki tak się bała, że chowała się w kuchni, kiedy przychodziła ona z wizytą" (nat). „Oczywiście, że pamiętam bibliotekarkę. I te wspaniałe, sztywne, kolorowe i lakierowane, specjalne oprawy książek. Kiedyś nasza droga bibliotekarka odwiedziła moją babcię, bo ja bezczelnie zabrałem jedną książkę do Poznania, gdzie wtedy mieszkałem (do babci przyjeżdżałem na wakacje); babcia zrobiła mi niezłą awanturę telefoniczną, twierdząc, że ją skompromitowałem wobec sąsiadów. Musiałem natychmiast wysłać tę książkę. To był Niziurski – «Awantura w Niekłaju». Uwielbiałem Niziurskiego" (jd).

„Ja czytałem wtedy prawie wszystko, co mi w ręce wpadło. Najpierw wszystko Astrid Lindgren, później wszystkich «Tomków...» Alfreda Szklarskiego, «Samochodzików...» Nienackiego. No i prawie wszystkie powieści Juliusza Verne («Tajemnicza Wyspa» itd.); Karola Maya «Winnetou» był już wtedy sfilmowany i stracił jakoś swój czar jako książka" (Fredek).

„A ja pamiętam bibliotekę już z przełomu lat 70 i 80-tych. Pracowała tam już wtedy inna dama, młodsza od tej opisywanej przez was, której charakterystyczną cechą był wąsik (!), który strasznie nas – mniej więcej 12-letnich wtedy – nieźle rozbawiał. Nie były to już czasy wizyt po domach; jak się przetrzymało książkę, po prostu wysyłała upomnienia. Zapach w «Bibli» (a nie w «Biblii», właśnie w «Bibli» od «Bibla»...) chyba był taki sam i przynosiło się go do domu wraz z wypożyczonymi książkami; starsze z nich rzeczywiście miały polakierowane okładki" (Rafal).

„Dawniej pod 15-tym była administracja dzielnicy, później dopiero dzielnicowa biblioteka. Dokładnie tego nie wiem, ale podejrzewam, że administracja była od 1949 do ok. 1965; wtedy jako ADM-3 przeniosła się do nowowybudowanego budynku przy ul. Grunwaldzkiej" (Zbyszek).

„Biblioteka była moim ulubionym miejscem. Potrafiłem spędzać tam długie godziny przebierając w książkach. Pierwszą książkę, jaką tam wypożyczyłem pamiętam bardzo dobrze i przeczytałem ją chyba kilka razy zanim odniosłem z powrotem, i to mimo, że byłem dopiero pierwszoklasistą. Pamiętam, że wypożyczyłem ją albo późną jesienią albo zimą. Były to «Przygody Koziołka Matołka» Kornela Makuszyńskiego. Potem z zamiłowaniem wypożyczałem «Przygody Tytusa, Romka i A'tomka», a jeszcze później trochę fantastyki. Podróże w kosmos były bardzo modne w tym okresie. Potem książki historyczne, beletrystyka, poezja, literatura poważna itp. Ileż niezapomnianych i wspaniałych chwil" (mamut).

Bielecki Mirek

Kolega z klasy AD i mamuta. „Podobny stosunek jak Borkowska do mamuta, miała Zerowa do Mirka Bieleckiego. Co ten chłopak metrówką w tyłek dostał, to tylko on wie!" (AD). „Zera zawzięła się ewidentnie na niego. W ogóle jakaś strasznie znerwicowana była, ciągle się na kogoś wydzierała" (mamut).

Biwaki

Szczególnie atrakcyjny i świetnie wspominany element chodzenia do szkoły, choć i związany z życiem pozaszkolnym.

„Pierwszy w pełni samodzielny biwak był u mnie w ósmej klasie, nad Likuskim; łza się w oku kręci. Spora część klasy tam była, nad Likuskim spotykaliśmy się potem latem po szkole" (Zbyszek).

„A mój pierwszy samodzielny biwak był nad Krzywym – na przesmyku na trzeci basen, koło źródełka. Nie zmienia to faktu wyższości Jeziora Długiego nad Krzywym. Wybór był podyktowany odległością od domu. Nad Długie było po prostu za blisko" (ak). „Ja bywałem na biwaku nad Krzywym przy drugim przesmyku, przepływaliśmy na druga stronę, tam bywały obozy harcerskie, można było coś namieszać, związać lub uprowadzić wartownika... Działo się..." (Zbyszek). „My robiliśmy biwaki na tym samym brzegu, co harcerzyki. Raz zwinęliśmy im flagę z masztu. Pertraktacje trwały cały dzień, a że w gronie kolegów miałem przysłowiowego..., który jak nie pohandlował, to był chory – to w rezultacie do końca biwaku chodziliśmy do nich na obiady – za friko. Tylko wartownicy z tamtej nocy nas jakoś nas nie lubili" (ak). „Tych obozów już nie ma; nawet pole namiotowe nie istnieje, tzn. jest plac i zakaz biwakowania, tylko źródełko płynie jak płynęło i wodniakom piwo chłodzi" (Zbyszek).

Iwonie bardzo zapadł w pamięć biwak całej jej 5-tej klasy w Piławkach: „Na biwaku w Piławkach mama Andrzeja Krajewskiego smażyła racuchy; ile ich musiała zrobić!? A jak smakowały, do dziś pamiętam. Biwak był bardzo udany, właściwie dużo więcej niż udany".

Blaziak Marek

Kolega z klasy mr. Najprawdopodobniej pomysłodawca posmarowania klejem krzesła Pani Dragan.

Bobsleje

Popularny, choć i zarazem szpanerski pojazd sportowy zimowy. „Były to trzy łyżwy dokręcane do desek, z czego jedna łyżwa do tak zwanej kierownicy. To był super szpan mieć taki bobslej, a czasy od dzisiejszych różnią się tym, że taki bobslej mieli ci, co chcieli go w

piwnicy sklecić, a dziś wystarczy, że starzy mają szmal i już dzieciak jeździ na snowboardzie" (DD).

„Opowiem wam krótką historię mojego bobsleja, który uważałem za jeden z najlepszych na osiedlu. Dlaczego najlepszy? Nie to, żeby był najszybszy, natomiast był najwygodniejszy. Dlaczego najwygodniejszy, i jak w ogóle bobslej może być wygodny? Po prostu musiał zabezpieczać, aby na podskokach, korzeniach i wybojach nie odbić sobie daru, jakim nas chłopców obdarzył nasz stwórca. Jako pierwszy na dzielnicy na deskach poprzecznych, na których leżałem na brzuchu i «podbrzuszu», przybiłem specjalnym sposobem poduszkę z gąbki. To były jaja, kiedy pierwszy raz wyprowadziłem z piwnicy (pamiętacie zapach piwnicy – kurzu, podpleśniałych ziemniaków i smak wina z gąsiora taty?) swojego caddillaca. Kumplom aż oczy zbladły. A jakże, gąbka była w kwiatki i trochę to śmiesznie wyglądało, ale każdy chciał spróbować tego komfortu. Po bokach zrobiłem osłony, aby mnie nie wyrzucało na zakrętach – po prostu szaleństwo. Najlepszą górą były Trzy Stopnie, nie mylić z Trzema Koronami. Robiliśmy pełno zakrętów przed ostatnim stopniem po to, aby nie rozbić sobie chyba głowy przy wjeździe na jezioro, gdzie uskok zwalał każdego z nóg. Pamiętam zimę, kiedy chodziliśmy do domu Karmowskich, bo najbliżej było od tej górki, po wiadra z wodą i polewaliśmy tę górę, aby na drugi dzień była jazda jak na szkle. Totalne szaleństwo. Filip, Goleń, Śliwa i Ćwikła, Andrzej Krajewski, byli na tej górze niemal codziennie. Kumple, za których wtedy dałbym chyba uciąć sobie palec. Przyjaźń z tych lat była tak silna i okazuje się teraz, że również tak trwała. Ci, co sami budowali sobie bobsleje na pewno pamiętają, jak wypalali otwory na śrubę, która pozwalała zamontować przednią płozę z kierownicą i łyżwą. Ach, ten swąd dymu od wypalania otworu gorącym pogrzebaczem rozgrzanym w kuchni z węglem. Czy obecne mamy pozwoliłyby swoim pociechom w czasie ich nieobecności robić takie rzeczy? Czy nasze dzieci wiedzą, co to jest węgiel i pogrzebacz?" (gd).

„Ja też miałem taki bobslej, z dębowego drzewa. Na trzech płozach zrobionych z «przykręcanek». Pamiętam, jak kiedyś tor saneczkowy zamarzł i można było zjeżdżać na bobslejach; do dzisiaj myślę, jaką szybkość rozwijały te nasze wynalazki: zachwycającą" (LP).

„Na ówczesne czasy były to prędkości z pewnością zawrotne, szczególnie dzięki bliskości gruntu. Prawdziwy Ferrari-feeling dla ubogich. Też to miałem, jakkolwiek nie z dębu, tylko z sosny, na trzech łyżwach. Zwykle szło dobrze, chyba że trafiło się na bardziej miękki, nie zamarznięty śnieg, a wyprzedzało się inny pojazd na łeb, na szyję. Też pamiętam jak nosiliśmy wodę do lasu i polewaliśmy górki, żeby trasa była dobrze oblodzona i szybsza" (ak).

Boehm

„Czy któryś ze starszych gości pamięta ułomnego autochtona (Boehm?), który był postrachem dzieciaków?" (US).

Boguccy

Bracia bliźniacy, synowie śpiewaczki Boguckiej.

Boisko szkolne

Siódemka miała i ma świetne, pięknie położone boisko. Składa się nań boisko do piłki ręcznej (i zarazem nożnej), boisko do koszykówki, do siatkówki, bieżnia, skocznia i spory kawałek trawnika dla kibiców i do odpoczynku (ostatnio tam też zrobiono boisko). Spędzało się na nim wszystkie przerwy i cały czas wolny. Swego czasu znajdował się tam świetny, rewelacyjny, wręcz cudowny (dla koneserów, czyli wszystkich) tor kapslowy. Zimą zaś robiono na boisku świetne lodowisko.

„Boisko asfaltowe jest wciąż w dobrym stanie, grywałem na nim parę lat temu w wakacje z moim synem w nogę. Boisko od koszykówki teraz jest trochę zaniedbane, żużel pozarastał, ale było zawsze nadzwyczaj przytulne; nie tylko na nim grywano, ale prowadzono także życie towarzyskie. Z dawnych spraw boiskowych zapadł mi w pamięć konkurs, który sobie organizowaliśmy z Krzyśkiem Kaimem i Bogusiem Molendą na trafianie piłką nożną w poprzeczkę bramki (osiągnęliśmy znaczną w tym biegłość), a także rozliczne wydarzenia niesportowe związane z koloniami przyjeżdżającymi na wakacje do szkoły" (jd).

„Ja co prawda głowy w kraty nie wsadzałem (jak niektórzy – o czym dalej), ale kiedyś przykleiłem sobie język zimą do poręczy na boisku SP 7. Świadkiem był tylko kolega, który mnie do tego namówił, a ja głupi sobie po prostu kawałek skóry języka urwałem" (DD).

„Na boisku Szkoły nr 7 bardzo popularna była królowa sportu. Ważnym obiektem była skocznia, przy której często stały drewniane stojaki do skoku wzwyż. Zostawały po zajęciach SKS-u. Pan Suray, autochton, nauczyciel WF-u i śpiewu, prowadził też SKS, czyli Szkolny Klub Sportowy. Te stojaki umożliwiały ustawienie poprzeczki co 5 cm i miały 2 metry wysokości. Czy uwierzycie, że były dla nas za krótkie? Podkładaliśmy cegły i skakaliśmy do 240 cm o «tyczce», czyli o żelaznym drągu długości około 2 metrów i wagi około 3 kg. Z tyłu boiska była też prymitywna rzutnia do pchnięcia kulą. W tamtych czasach nie było domu naprzeciwko przedszkola i z boiska można było zejść ścieżką nad Jezioro Długie" (morska).

„Niezbyt pamiętam sytuację, gdy nie było domu między boiskiem a przedszkolem, ale pamiętam dobrze czasy szczypiorniaka (nie znosiłem go i uważałem, że jest bardziej brutalny od nogi) i lekkiej atletyki (kiedyś tu opowiadałem o chodzeniu na Stadion Leśny, by pobiegać). Na dnie mej pamięci mam też to skakanie o tyczce. Tyczki były jednak z takiego drewna jak robiło się paliki do pomidorów w ogródku. Byłem mały i marzyłem, że kiedyś i ja skoczę na tej tyczce. Pamiętam też jakąś imprezę na boisku, gdy wojsko puszczało skromne, ale robiące wtedy ogromne wrażenie, fajerwerki" (jd).

„W chwilach wolnych wegetowaliśmy na tyłach szkoły. Czasem ktoś dla rozrywki wspinał się na wieżę od kosza i z niej się zwieszał" (mr).

„Dla chłopaków najwięcej wspomnień związanych z boiskiem Siódemki dotyczy oczywiście nieustannego biegania za piłką. To miejsce magiczne z różnych powodów. Również utkwiło mi nieźle w pamięci z powodu pewnych kwietniowych przechadzek po nim. Przed 1 maja na boisku ćwiczono nas w równym chodzeniu szeregiem. Potem też kluczyliśmy uliczkami osiedla radując się, że mija lekcja. Pamiętam też, jak graliśmy w futbol w środku zimy, gdy boisko było zasypane pół metrem śniegu. A pamiętacie, jak kiedyś lodowisko zupełnie niespodziewanie się rozpuściło w środku zimy, gdy było 10 stopni mrozu? Ktoś posypał je bardzo obficie solą, wykupując cały zapas ze sklepu. To ten sam wariat, co sypał Diabła popiołem! Ostatnio lodowiska nie było już od wielu lat. Teraz lanie wody kosztuje, a i zimy jakieś takie nieprzekonujące. Znając jednak operatywność obecnego pana dyrektora Siódemki, nie zdziwię się, jeżeli lodowisko znów jednak powstanie. Lodowisko jest za to zazwyczaj na jeziorze od świąt (tuż przy domu Szczura). Widziałem nawet, że ktoś tam próbował grać w hokeja, ale nie wiem, kto to jest" (WSKH).

„Przypomniały mi się właśnie zimy w Siódemce. Fajnie było, jak straż zalewała boisko wodą i można było jeździć na łyżwach. Przy takiej okazji Marcin Wasiewich złamał sobie kiedyś nogę, próbując skoczyć na łyżwach z barierki. Na sankach ciągnąłem chłopa do domu" (AD).

„Ja pamiętam dokładniej, jak strażacy przygotowywali się do zalewania boiska. Najpierw pół dnia palili ognisko przy hydrancie naprzeciwko szkoły, następnie rozwijali dziurawe węże i lali wodę na boisko, a przy okazji zalewali też chodnik i ulice. Powstawały tam wtedy najlepsze ślizgawki, a tak w ogóle to tego hydrantu już nie ma i lodowiska też" (mir-mur).

„Chyba zawsze 1 czerwca był w szkole Dzień Sportu, a może Olimpijczyka, czy jakoś tak. Tego dnia boisko było super odświętne. Stopery w rękach sędziów, szarfy dla drużyn,

bramki i linie odmalowane, wysypane linie na bieżni, no i przede wszystkim raz w roku na bramki zakładano siatki. Dla chłopaków to była niesamowita atrakcja wbić gola i widzieć jak piłka grzęźnie w siatce" (WSKH)". „I ja pamiętam ten Dzień Sportu. Dużo rożnych dyscyplin, ale my i tak graliśmy w kapsle" (Zbyszek). „Siatka w bramce to było jak chwila spełnionego marzenia normalnie niespełnialnego. A grzęznąca w siatce piłka... hohoho" (jd).

„Dopiero teraz spostrzegłem, bo może tak już jest od dawna, że za jedną z bramek nie ma już wysokiego zasiatkowanego parkanu i tego, co za nim, czyli słynnego Oświęcimia. Ta siatka była kiedyś wielką pomocą, bo nie trzeba było biegać po piłkę po każdym strzale, choć gdy już piłka wpadła do środka, to kłopot bywał poważny z jej wydostaniem" (jd).

„A który z was ślizgał się na dupsku lub butach od strony boiska, obok schodów? Sama potrafiłam na kurtce dojechać aż do bruku" (karolina). „To fakt, ten mały zjazd zawsze był wyślizgany jak szklanka. Pamiętam również, że w budzie co rusz ktoś próbował zjeżdżać po poręczach. Tylko te bolce wystające z poręczy nie były zbyt ciekawym urozmaiceniem" (mamut).

„Bedąc latem 2005 roku na boisku szkolnym, mogłem zobaczyć nowe boisko do siatkówki plażowej. Też fajna sprawa" (Fredek).

W związku z żenującym występem naszych na Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w roku 2006, WSKH skutecznie mógł nas pocieszyć, wspominając szkolne boisko: „Mecze na szkolnym boisku były dużo ciekawsze niż te w wykonaniu białoczerwonej ekipy w Niemczech! Tak około 1978 roku pokonaliśmy na naszym asfalcie nawet Bułgarów, którzy byli w naszej szkole na koloniach! O!". Ci Bułgarzy zapadli w pamieć również Zbyszkowi: „Pamiętam tych Bułgarów, wyróżniali się dresami; jakoś mi się utrwaliło, że najczęściej czerwonymi. Wtedy to była nowość, teraz nikt takich nie nosi". I inny aspekt pobytu Bułgarów (i Bułgarek): „Przynosiliśmy im jabłka z okolicznych ogródków na osiedlu. A w zamian dostawaliśmy suszone jakieś owoce; i coś tam jeszcze dawało się utargować" (WSKH).

Borkowska Agnieszka

Koleżanka ryby696; Agnieszka z kolei miała koleżankę Kasię.

Borkowski

Czyli ksiądz Borkowski, „proboszcz Katedry. To była wtedy nasza parafia. Postać absolutnie wyjątkowa" (Krzysiek).

„Kiedyś nasza dzielnica należała do parafii katedralnej. Czy przychodził do was po kolędzie ks. Borkowski, wieloletni proboszcz katedry? Ks. Borkowski jest najpoważniejszym kandydatem do wyboru na Olsztynianina ery współczesnej, a dokładniej: powojennej. Parafianie cenią go za to, że był ostatnim takim księdzem. Zawsze w tym samym prochowcu, starych butach, wszędzie pieszo, sam wynosił śmieci, chociaż też przez wielu nie był lubiany, bo mocno ortodoksyjny. Miał cholerną pamięć. Gdy przed ślubem przyjmowałem bierzmowanie, doskonale pamiętał i mnie, i żonę, i całą rodzinę, i wielu, wielu innych, a kiedyś parafię miał przecież od Likus aż po Słoneczny Stok" (WSKH).

„Bardzo nie lubiłam kolędowania po domach – obecność księdza w domu i modły przed kanapą kojarzyły mi się zawsze z pogrzebem. Ksiądz Borkowski dawał mi pierwszą komunię i pamiętam go bardzo dokładnie z przykościelnych lekcji religii. To wszystko było tak dawno!" (nat).

Borucki Sylwek

Kolega Fredka, mieszkał w takim starym budynku, Bałtycka 15, którego już nie ma. „U Boruckich na podwórku stała cały czas Syrenka (samochód). Niszczała z roku na rok, później bawiły się w niej i na niej dzieciaki" (Fredek). „Podobno Sylwek Borucki zmarł na zawał

serca" (LP). „Nie mam żadnego potwierdzenia tej wieści, ale to możliwe. Widziałem go jakiś czas temu na ulicy, nie wyglądał korzystnie" (WSKH).

Bracław Romek

Kolega mr, kiedyś nawet przez nią pobity za nadmuchiwanie żab. „On miał motorynkę, a ja jeździłam na wrotkach przyczepiona do jego bagażnika po Rybakach z górki. Była to naprawdę wielka frajda" (mr).

Bronicka Jadzia

Koleżanka Ryby starszej i Fredka.

Bruliński Dariusz

Zawitał kiedyś na stronę Fredka: „Bardzo fajna strona. Będę tu zaglądać częściej. Pozdrawiam wszystkich absolwentów, szczególnie obecnych mieszkańców dawnego osiedla Podlesie. Absolwent z 1981 roku, wychowanek pani Anny Dragan którą również bardzo gorąco pozdrawiam (kłopotów z rosyjskim nigdy nie miałem)".

Brygida

Sąsiadka z bloku AD. „Z Brygidą nie mam dziś kontaktu. A w szkole mieliśmy kontakt, jakby to wyrazić, dosyć specyficzny. Na koniec podstawówki miałem bowiem częściej do czynienia z jej mamą, i to zazwyczaj «na dywaniku». Mir-mur też powinien na ten temat coś wiedzieć" (AD).

Budowlanka

Kąpielisko nad Jeziorem Krzywym. Wejście na nie wymagało specjalnej karty. Teraz jest tam najbardziej atrakcyjna i szpanerska knajpa w Olsztynie, i to w niej odbyło się przyjęcie jubileuszowe 50-lecia Siódemki.

Bujło Grażyna

Czyli gaga; ze słynnego rocznika 1965/66. „Jestem z z tego samego rocznika, co Jurek Dramowicz. Pamiętam też Iwonę, bo uczyłyśmy się w równoległych klasach, a z Haliną uczyłam się w jednej klasie". I jeszcze: „Mieszkałam i nadal mieszkam na Alei Przyjaciół 45. W moim budynku mieszkało sześć rodzin bardzo «obfitych» w absolwentów Siódemki – było ich do tej pory osiemnastu; już dwa pokolenia". I teraz najważniejsze: „Jestem mamą barwnej postaci «Cinesa»". Poza tym ma starszego brata Ryszarda (rocznik 1964/65, wychowawczyni pani Paczkowska), mieszkającego od roku 1983 w Krakowie, właściciela szczególnej wartości zdjęcia z wizyty Mikulskiego (Klossa) w SP 7.

Bułecki Mirek

„Czy ksiądz Bułecki nie mieszkał kiedyś naprzeciwko sklepu, obok przejścia nad jezioro? I wtedy nie był jeszcze księdzem?" (LP).

Pełne tajemnic, zakamarków, ale i uroku było i jest życie księdza Bułeckiego: „Mirek Bułecki (czyli Buła) to mój kolega z klasy. Mieszkał na starej Bałtyckiej, przy kościele, najpierw był ministrantem, a potem już tak samo poszło dalej, czyli został księdzem (był na 50-leciu na czarno, w koloratce, wszystkie dziewczyny się za nim oglądały); teraz mieszka w Toruniu i «pracuje» w św. Katarzynie" (miki). „Czy to ten Bułecki odprawiał też mszę jubileuszową w maju 2002 roku? Bo właśnie ten ksiądz po mszy oficjalnie się przyznał, że kiedyś podpalił drzwi pokoju nauczycielskiego. A Domańska mu przebaczyła" (Fredek). „Jeśli mówił, że podpalił drzwi, to jestem absolutnie pewien, że to mój klasowy kolega! Tak więc wszystko się zgadza! Hehehehe" (miki).

Bunkier

Znajdował się pod placem zabaw przedszkola na Rybakach. Wejście było od strony Jeziora Długiego, bliżej mostu. „Znam dobrze ten bunkier za przedszkolem. Dzisiaj już jest zamurowany od wielu lat. W rzeczywistości to nie był bunkier, ale małe pomieszczenie przy furtce, przez którą wychodziło się z przedszkola nad jezioro. Obok był nasz murek alpinistyczny. Starsze chłopaki mówiły, że z bunkra jest przejście do koszar pod jeziorem" (fundy).

Bursztynowa

Ulica. Powstała w latach 70-tych na tyłach nieparzystej strony Alei Przyjaciół, w miejscu ogródków (a dokładniej: połowy ogródków) mieszkańców tej nieparzystej strony Alei Przyjaciół oraz w miejscu tak zwanej „uliczki". Powstanie Bursztynowej zapoczątkowało pewne zmiany w charakterze osiedla. Domy na Bursztynowej miały nową architekturę, bez spadzistych dachów z dachówką, w typowym stylu willi-klocków z lat 70-tych.

„Ja mam całkiem niezłe wspomnienia, jeżeli chodzi o Bursztynową, szczególnie z czasów jej powstawania. Nazywaliśmy wtedy cały ten rejon Budową. Wspaniały był to teren do zabawy! Budynki bez okien i drzwi, można było się tam bawić w wojnę i cholera jeszcze wie w co. Pamiętam, że jedną z lepszych zabaw było strzelanie z karbidu, którego tam nie brakowało. Pamiętacie osoby, które nazywaliśmy Murzynem i Biedakiem? Biedak był dlatego Biedakiem, że budował swój dom dobre 10 lat albo jeszcze więcej. Ci dwaj panowie sprawiali nam dzieciom najwięcej kłopotów (albo my im). To były naprawdę wspaniałe czasy" (LP).

„Tak jest, to była wielka budowa, a my tam szaleliśmy w sposób absolutnie wariacki. Pamiętam dwie historie. Oto pierwsza: wchodziliśmy po drabinie na jakiś taras w budowanym domku; ja ubezpieczałem drabinę (trzymając ją przy ziemi), a Janusz Siwicki wchodził na górę. Nie wiedzieliśmy, że cegły na górze są ułożone luzem... Po chwili duża ich część wylądowała na mojej głowie. Krew pociekła, a ja wytarłem ranę znalezioną na budowie gazetą. Po trzech dniach na przerwie w szkole ktoś zaszedł mnie od tyłu i zakrył oczy (z pytaniem „zgadnij, kto to?"), przycisnął moją głowę do swojego fartuszka, no i trysnęła ropa niczym w Kuwejcie. Dalej były zastrzyki przeciw tężcowi, awantura w domu i krzywa czaszka dobrze ukryta do dzisiaj pod na szczęście nieprzerzedzonymi włosami. Drugą historię opowiem ku przestrodze dzisiejszej młodzieży, bo jest to opis dziecięcej totalnej głupoty. Razem z kolegą (nie powiem z kim, bo to naprawdę był głupi wyskok) odkryliśmy skrytkę na klucz do domu zbudowanego w stanie surowym (ale z oknami i drzwiami). To była bomba. Mieliśmy własną kryjówkę, gdzie mogliśmy bawić się godzinami: biegać po pokojach (schodów jeszcze nie było) i bawić się w chowanego. Pewnego razu zastaliśmy w garażu świeżą dostawę płyt styropianowych, najwyraźniej przygotowanych do ocieplania budynku. Urządziliśmy sobie super skocznię. Skakaliśmy z parteru i z jeszcze wyższej kondygnacji na te płyty, które przesunęliśmy pod klatkę schodową. Myślę, że rozwaliliśmy je wszystkie. Dziś wiem, że przez głupotę naraziliśmy kogoś na ogromną stratę (nie mówiąc już o tym, że w tamtych czasach okropnie trudno było kupić taką ilość styropianu). Właściciela tego domku (nie pamiętam już, gdzie ten dom stał – wiem, że na górce) mogę dziś tylko przeprosić i pocieszyć, że występek ten przez długie lata targał moje sumienie" (DD).

„Ja na terenie późniejszej Bursztynowej – wtedy nazywało się to «uliczką» – lubiłem cienką witką staczać walki z chaszczami pokrzyw w poczuciu poprawiania przyrody" (jd).

„Na Bursztynowej kładą kostkę" – poinformował niedawno Zbyszek; najwyraźniej z przekąsem, gdyż jego opinia o Bursztynowej jest miażdżąca: „Nie wspominajcie Bursztynowej, bo mi się wątroba przewraca. Gdzie te dawne ogrody? Gdzie ta Leszczyna? Gdzie Grusza? Maliny? Nastawiali klocków, i jeszcze teraz się rozpychają".

C

Cerowanie skarpetek

Czynność dziś chyba zupełnie zapomniana, a kiedyś powszechnie wykonywana. Niekiedy nawet chłopców uczono tego na pracach ręcznych.

Chłopik

Mirek i Wojtek. Mieszkali na Alei Przyjaciół 30 na dole. Mirek był bardzo bliskim kolegą LP. Wojtek jest dziś zamożnym człowiekiem, mieszka w Lubawie, jest weterynarzem.

Choroba i symulowanie choroby

„Pamiętam, że późną jesienią w klasach zawsze były jakieś braki uczniów; ktoś zawsze miał jakąś grypę albo przeziębienie. Chorował lub udawał, że chorował. Mnie zdarzyło się parę razy symulować przeziębienia czy też gorączkę po to, aby uwolnić siebie, choć na jeden dzień, od obowiązków szkolnych. Przykładanie termometru do kaloryfera z reguły nie zdawało egzaminu, ponieważ wybijał zbyt wysoką temperaturę i trzeba było strzepywać termometr, aby nie wyjść na zbyt obłożnie chorego, a bez poważniejszych symptomów. Pocieranie termometru o materiał zazwyczaj lepiej zdawało egzamin. Pamiętam, że gdy naprawdę byłem chory i trzymano mnie dłużej w łóżku, to zawsze ktoś z klasy do mnie wpadał, by dać znać, co nowego w klasie i przynieść informacje o zadanej przez nauczycieli pracy domowej. Często oznaczało to również przepisywanie informacji z zeszytów kolegów, co czasem wiązało się z nowymi odkryciami: na przykład, jak prowadzony jest cudzy zeszyt, jakie kto ma w nim ilustracje itp. itd.” (mamut).

Chowanego (w chowanego)

Gra podwórkowa. Najprostsza z możliwych, ale niezastąpiona. Aleja Przyjaciół i okolice z racji interesującego, pofałdowanego, zróżnicowanego i atrakcyjnego pod każdym względem terenu, były niezrównanym obszarem do zabawy w chowanego i bawiono się w to powszechnie.

Chodzenie po drzewach

„Jako dziecko lubiłem wchodzić na drzewa i pewnego razu wlazłem na bez, który rósł przed naszym domem (Al. Przyjaciół 28). Przy schodzeniu na dół zahaczyłem się tak niefortunnie o jakąś gałąź, że zawisłem jakieś pół metra nad ziemią. Nic nie mogłem zrobić, i tak sobie wisiałem, aż pojawił się mąż tej pani, która opiekowała się Ogródkiem Jordanowskim, i pomógł mi wreszcie zejść” (LP).

„Ja miałem przy domu dziadków (Al. Przyjaciół 29) ogromny klon, na który uwielbiałem wchodzić, i potrafiłem tam spędzać całe godziny. Ten klon stał w samym rogu ogródka z przodu, przy ulicy, tuż przy płocie (potem siatce), oddzielającym nas od domu Fiedorowiczów. Jak się weszło na ten klon, to miało się świetny widok na całą okolicą, a samemu było się niewidocznym. Wtedy dużo się działo na ulicy, więc było ciekawie i było na co popatrzeć i posłuchać, no i czułem się trochę jak niewidzialny człowiek” (jd).

„Najgorsze, co pamiętam (oprócz syreny, mleka i czerniny), to to, gdy wszedłem kiedyś bardzo wysoko na drzewo, i ten czubek drzewa zaczął się bujać jak cienka gałązka. Myślałem, że po mnie, ale jakoś wróciłem do równowagi, i w dwie sekundy, blady z przerażenia zsunąłem się na dół” (jd).

Ciołkowski Bogdan

Ze słynnego rocznika 1965/66.

Cmentarz

„Jeśli się nie mylę, to chyba w szóstej klasie podstawówki wysłano nas na cmentarz na sprzątanie starych grobów. Pamiętam, że do cmentarza dojeżdżało się ulicą Bałtycką w kierunku targu na Grunwaldzkiej. Tuż za wiaduktem zakręt w prawo, i jakieś 600 metrów dalej był mały cmentarz (też po prawej). Jest tam też połączony z nim cmentarz żołnierzy radzieckich, ale nie przypominam sobie, żebyśmy porządkowali ten właśnie. On i tak zawsze był w lepszym stanie niż ta starsza, cywilna część cmentarza. Zresztą bardziej podobał mi się ten starszy. Porośnięte mchem groby z przeżartymi czasem nagrobkami – miało to bardziej uduchowiony charakter niż to, co było na wojskowym" (mamut).

„Jeśli ktoś z was uczęszczał do Siódemki i pamięta Zerę lub Dragan, to powinien pamiętać tego typu wypady na cmentarz. Zwłaszcza na ten cmentarz żołnierzy sowieckich, gdyż Dragan nie omijała okazji, żeby kultywować przyjaźń z naszym «ukochanym sąsiadem»" (mamut).

„Często odwiedzaliśmy cmentarz wojskowy przy Szarych Szeregów – ten, o którym pisze mamut. Tam są też stare groby wojskowe z pierwszej wojny" (Zbyszek).

Cmentarz żydowski

Położony był blisko Grunwaldzkiej. „Po cmentarzu żydowskim zostało dziś kilka drzew. Nie jestem pewien, ale chyba na reszcie terenu postawiono kilka lat temu dom mieszkalny! (Ale naprawdę nie jestem pewien). Wiem natomiast, że albo synagogę, albo budynek cmentarny zaprojektował Eryk Mendelssohn, znany architekt rodem z Olsztyna (w Polsce najbardziej znanym jego projektem jest dom towarowy w centrum Wrocławia – taki lekko zaokrąglony; największą jednak sławę zdobył w USA). Te informacje mam lekko przymglone, bo czytałem o tym 30 lat temu; tu polecam książkę Andrzeja Wakara «Olsztyn, tom I»" (DD).

„Synagoga była w budynku, w którym od lat (czy jeszcze teraz – nie wiem) miał zakład fryzjer Pikus. Mendelssohn zaś zaprojektował dom pogrzebowy. Dziś odnowiony, jednak w swojej formie – nic szczególnego. W ogóle górka na Grunwaldzkiej od zarania dziejów miasta była terenem pochówków. Kaplica Jerozolimska (druga strona ulicy) postawiona została (chyba w czasach epidemii) w pobliżu cmentarza. Był tam jeszcze szpital, tylko niżej, w stronę miasta. Kompletne informacje na ten temat rzeczywiście w książce A. Wakara" (Krzysiek).

Cocktail-bar

Powstał pod koniec lat 60-tych w samym centrum, koło sklepu myśliwskiego. Przez parę lat był ogromną atrakcją, wszyscy tam chodzili. Były ogromne kolejki, lody serowe (twarogowe), coctaile mleczne i inne takie. Dziś raczej nic nadzwyczajnego, ale ciągle istnieje.

Cygan

„Pamiętam z lat szczenięco-młodzieńczych mroczną osobę pewnego głuchoniemego Cygana. Był zapalonym wędkarzem. Wyzwiska umiał czytać z ruchu warg. Jak nas nakrył, że go obrażamy – ganiał bez litości" (Krzysiek).

„Cyganie dość regularnie bywali w rejonach Długiego, a rozkładali się kiedyś (gdy prowadzili naprawdę koczownicze życie) chyba gdzieś w okolicach baraków na Bałtyckiej" (jd).

Cyranka

Statek wycieczkowy na Jeziorze Krzywym. „Cyranka była super. Prowadziła ją rodzina osób bardzo przy kości (inaczej: puszystych). Kapitan dał kiedyś kierować statkiem przez pół jeziora mojemu synowi, który ledwo wystawał nad koło. Dziecko było zachwycone. Dziś pozostałość statku Cyranka można oglądać w postaci stojącego na brzegu kadłuba, ale w miejsce starej Cyranki pływa malutka, chyba na dziesięć osób, mała Cyranka. Interes prowadzi ciągle ta sam rodzina" (jd).

„Mnie za młodu wujek też zabrał na Cyrankę, 100 zł (takie z Waryńskim) przeszło z rączki do rączki, i ja też sterowałem Cyranką; nie wiedziałem wprawdzie dokąd, ale tak właśnie zaczęła się moja przygoda z wodą" (being28).

Cyrk

„W niedawnych (choć może już dawnych) czasach sztuka cyrkowa była bardzo wśród dzieci popularna i cyrk przynajmniej raz do roku przyjeżdżał w nasze okolice. Ustawiano go w miejscu po barze Tramp, a jeszcze dawniej w miejscu dzisiejszego targowiska, po drugiej stronie torów. Poza oczywistymi atrakcjami, atrakcją cyrku były lody szczególnego rodzaju, nakładane do specjalnych wafelków w specjalnej foremce, i o szczególnym, świetnym waniliowym smaku" (jd).

Cywińscy

Dziadkowie jd, Regina i Konstanty. Mieszkali najpierw przy Alei Przyjaciół 34, a potem 29. „Dziadek bywał ostry, ale miał złote serce. Zmarł parę lat temu. Właściwie nie był moim «pełnym» dziadkiem, bo był drugim mężem babci, ale traktował mnie jak prawdziwego wnuka i ja jego jak prawdziwego dziadka (tym bardziej, że prawdziwy zmarł, zanim ja się urodziłem). Przez pewien czas Cywińscy blisko się kolegowali z Walczukami" (jd).

„Pamiętam dziadków jd, jak zawsze szli ulicą trzymając się pod rękę. Znałem ich trochę, bo przychodzili do Walczukow i w ogródku grali w karty; nasz ogród był obok" (LP).

„Dziadek Cywiński nie łowił ryb ani trochę, był natomiast pasjonatem grzybów, królików i ogródka, i miał w tym spore sukcesy (na swoją miarę). Na przykład wyhodowywał jakieś niezwykłe gatunki pomidorów, a moim przysmakiem były białe porzeczki i pewien gatunek agrestu, bardzo późny, więc trudno było wytrzymać aż dojrzeje i zrywało się go zazwyczaj w tajemnicy przed dziadkiem wcześniej; ale jak już udało się dotrwać do pełni dojrzałości tego agrestu, to było tak bosko w ustach jak choćby z oranżadą w proszku. Zgadza się, że przez parę lat moi dziadkowie grywali z Walczukami w karty, ale też przez karty nieco się pokłócili i przestali się przyjaźnić. Wynikało to trochę stąd, że mój dziadek był przekonany, że wygrywanie w karty świadczy o wartości człowieka, i nie cierpiał przegrywać. Ja na przykład zawsze tak z nim grałem, żeby przegrać, a babcia nie wyobrażała sobie, że mogłaby kiedykolwiek wygrać. Do tego dziadek znał tylko jedną grę w karty. Nie grał w żadne pokery czy oka, ale w tysiąca. I z tego, co wiem, gdy grali kiedyś w tysiąca z Walczukami, doszło do scysji. Walczuk albo Walczukowa oskarżyła dziadka o sygnalizowanie babci kopnięciami pod stołem, jakie ma karty. Nieco się o to pokłócili i stosunki mocno oziębiły się. Wcale nie wykluczam, że dziadek rzeczywiście tymi kopnięciami coś babci sygnalizował (choć nigdy nie chciał się potem przyznać), ale sami rozumiecie, że biorę jego stronę, tym bardziej, że grywa już w tysiąca tylko z aniołami, a to może być bardzo monotonne" (jd).

„Dziadek Cywiński był także dość zapalonym totolotkowiczem. Nigdy jednak nie wygrał więcej niż trójkę, i przekonany był, że inaczej być nie może. Właściwie wydawał pieniądze na tego totolotka z pełną świadomością, że nie może wygrać, jednak celebrował wypełnianie kuponu i zanoszenie go do kolektury z pełną powagą. Nie mógł zaś wygrać, gdyż zgodnie z rodzinną legendą, którą wielokrotnie powtarzał, zdarzyła mu się rzecz następująca. Pod koniec lat 50-tych pracował w Spomaszu (pracował tam zresztą do emerytury, chyba do lat 80-tych) i grał z czterema kolegami w tego nieszczęsnego totolotka. Co tydzień wypełniali 10

kuponów po 5 zakładów, każdy dawał 25 zł, i obstawiali stały zestaw dziesięciu liczb, które wypisywali w różnych konfiguracjach, czasem nawet powtarzających się. Po roku tego grania, gdy nic wielkiego im się nie trafiło, jeden z kolegów zaczął namawiać pewnego ranka do zmiany dwóch liczb. Najpierw nikt nie chciał go słuchać, ale on zarzekał się – jak opowiadał dziadek – że daje sobie głowę uciąć, że w najbliższą niedzielę będzie 24, a nie 25 (które od roku obstawiali) i 7, a nie 8 (które też było u nich od roku). «Będzie tak na mur» – chodził cały dzień i przekonywał, no i oczywiście dla świętego spokoju i w podejrzeniu o jego kontakty z siłami wyższymi, zgodzono się zmienić te dwie liczby. Każdy, kto to czyta (jeśli ktoś taki w ogóle istnieje), dobrze wie, co było dalej. Oczywiście wypadły stare liczby. Gdyby nic nie zmienili, mieliby co najmniej jedną szóstkę, kilka piątek i kilkanaście czwórek, a tak skończyło się na jednej czwórce, za którą nawet urżnąć się nie byli z rozpaczy w stanie. Tak więc sami widzicie, że dziadek nie miał prawa już nic wygrać, ale w imię ciągłości bytu i cotygodniowego obrzędu grał dalej. Wynikały z tego zresztą dla mnie, gdy byłem w wieku szkolnym i przyjeżdżałem do nich na wakacje, pewne obowiązki i kłopoty. Były wtedy kupony, które trzeba było wypełniać ręcznie i to w trzech egzemplarzach (dopiero dużo później pojawiły się kupony z kalką), no i dziadek wypełniał jeden rządek, a ja miałem przepisać to na dwa pozostałe i zanosić do kolektury na Grunwaldzkiej koło ZURT-u. Nie lubiłem tego robić, ciągle nie miałem czasu (chłopaki czekali na podwórku), a czynność tego przepisywania miałem za bezsensowną i za wyzysk ze strony dziadka. No i kiedyś, gdy już zaniosłem ten kupon i przyniosłem z powrotem, babcia odkryła (dziadek był jeszcze w pracy), że przeoczyłem jedno skreślenie w tym przepisywaniu. Oczywiście wpadła w przerażenie, zaczęła płakać, ja jej tłumaczyłem, że dziadek i tak nie może wygrać, ale ona była pewna, że tym razem złośliwie wygra i nie wypłacą mu wygranej z powodu błędów w skreśleniach, no i nas wtedy... No i wyobraźcie sobie, że babcia wzięła mnie, ten nieszczęsny kupon, i pojechaliśmy do kolektury; urabiała kobietę, która tam pracowała, chyba z godzinę, w końcu tamta, naruszając pewnie wszelkie procedury, odnalazła nam ten nasz kupon i mogliśmy dopisać brakujące skreślenie. Oczywiście dziadek nic nie wygrał, a ja przepisywałem dalej, sprawdzany już dodatkowo przez babcię" (jd).

„Spróbuję opowiedzieć teraz coś o mojej babci. Najpierw mieszkała, na Alei Przyjaciół 34, a ja razem z nią (i oczywiście dziadek), a potem pod 29 i wtedy przyjeżdżałem do niej na całe wakacje, a jak już byłem bardzo dorosły, to przynajmniej dwa razy w roku. Kochała mnie ogromnie. Wydaje mi się, że gdybym nawet zrobił coś takiego, że wszyscy ludzie by we mnie zwątpili, to ona ani trochę. Babcia pochodziła z zabitej dechami wioski z okolic Mławy, ale miała w sobie coś z arystokratki. Była bardzo delikatna, wrażliwa, łatwo się wzruszała, płakała, miewała migreny. Gdy miała około 40-tki przeszła operację związaną z wątrobą i od tego czasu właściwie ciągle szykowała się do pożegnania tego świata. Ta wątroba ciągle jej dokuczała, brała mnóstwo lekarstw i właściwie wszyscy w rodzinie ciągle liczyli się z tym, że babcia już niedługo... Nie muszę chyba dodawać, że babcia dożyła prawie 90-tki i umarła dopiero na początku tego roku. Ostatnie lata spędziła w Warszawie, ciągle miała kłopoty z tą wątrobą i w końcu nie sposób było uniknąć operacji. Myśleliśmy, że to już koniec, tymczasem okazało się, że babcia przez 50-lat cierpiała w rzeczywistości nie na wątrobę, tylko na niezbyt groźną przepuklinę, tylko nikt tego się nie domyślił. Wreszcie jej to zlikwidowano i ostatnie lata mogła przeżyć bez różnych kropli miętowych, żołądkowych i innych, którymi od lat leczyła wątrobę. Pod koniec zaczęła mieć kłopoty z pamięcią, ale na wspomnienie Alei Przyjaciół zawsze miała stałą i całkowicie słuszną formułę: «tam było jak w raju». Teraz wracam do końca lat około 60-tych. Najbardziej eleganckim daniem w jadłospisie mojej rodziny, i nie tylko mojej, była kura w rosole. Kurę kupowało się wtedy na targu (babcia często jeździło do «hal», w pobliżu Dworca Głównego), albo od sąsiadów, bo sporo ludzi na Alei Przyjaciół hodowało wtedy w sporych ogródkach jakiś inwentarz: kury, lisy, nutrie, króliki. Kury najdłużej mieli chyba Fiedorowiczowie i od nich kupowaliśmy.

Oczywiście te kury na targu albo od sąsiadów kupowało się żywe i powstawał problem ich zarżnięcia. No i wyobraźcie sobie, że do mojej przewrażliwionej, znerwicowanej i z byle głupoty popłakującej babci przychodziły kobiety, a i panowie z prawie całej Alei Przyjaciół, bo oni bali się kurę zarżnąć, a moja babcia cieszyła się sławą osoby pod tym względem absolutnie nieustraszonej, sprawnej i profesjonalnej. Mordowała kury bez zmrużenia oka, z zaskakującą sprawnością fizyczną i psychiczną, ku uldze i sympatii bliższych i dalszych sąsiadów. Oczywiście od pewnego momentu, gdzieś od lat 70-tych, ta sprawność okazała się całkowicie bezużyteczna, bo w sklepach kupowało się już odpowiednio przygotowane kurczaki. Babcia też świetnie – jak chyba każda babcia – gotowała. Kiedyś Walczuk, który mieszkał pod Leszkiem przyniósł mojej babci mnóstwo sielawy. To taka ryba słodkowodna, niepozorna, podobna do śledzia, ale nie ma nic pyszniejszego od smażonej świeżej sielawy. Zjadłem tych sielaw z dziesięć albo więcej. Moja babcia świetnie gotowała, a szczególną rękę miała do smażenia; nawet jajecznica w jej wydaniu była czymś wyjątkowego rodzaju. Oczywiście tych sielaw Walczuk nie złowił w Długim jako zapalony wędkarz, gdyż sielawy wyciąga się siecią (żyją bardzo głęboko); dostał je od jakiegoś znajomka. Ważne dla zrozumienia mojej babci jest również to, że byłem dzieckiem, które potrafiło w zasadzie nic nie jadać (a już szczególnie czegokolwiek mlecznego). Babcia ganiała za mną po podwórku, sprytnie wmuszając we mnie chleb z cukrem, bo ewentualnie jadałem to, co słodkie i to, co kwaśne" (jd).

Czasnojc Krystyna

Mieszkała przy Alei Przyjaciół 33, na samej górze; pamięta ją nat. Chodziła do Siódemki pod koniec lat 50-tych. Jej babcia prowadziła kiosk Ruchu.

Czernina

„Obok mleka była jeszcze jedna potrawa, której nie znosiłem, a byłem nakłaniany (na szczęście nie tak intensywnie jak z mlekiem) do jej spożywania. Była to czernina (czarnina), czyli zupa z krwi. Jej szalonym amatorem był mój dziadek, no i był oczywiście przekonany, że wszyscy ją lubią, a dzieci nie lubią tylko z powodu dziecięcej głupoty. Do tej zupy używało się krwi z gęsi (choć nie tylko) i dodawało się do tego jakieś owoce. Moja babcia dodawała jabłka, ale wiem, że są inne szkoły. Tak więc była to w sumie słodkawo-mdła (dlatego dodawało się te jabłka) obrzydliwość (kiedyś raz jednak zjadłem, byłem bardzo młody, głupi i bezradny). No i ta horrorystyczna świadomość, co się je... Później sam widok jedzącego tę zupę dziadka wyprowadzał mnie w okolice baru Tramp, gdzie jakoś koiłem drżenie duszy" (jd).

„Czerninę znam dobrze. Po niemiecku nazywa się «schwarz-sauer». Mama to gotowała kiedyś i gotuje jeszcze, jeśli dostanie świeżą kaczkę lub gęś. Uwielbiam tę potrawę. Może też dlatego, że to coś tradycyjnego i z dzieciństwa. W ostatnie lato jadłem to nawet w Karczmie Warmińskiej w Gietrzwałdzie (ale nie była tak dobra jak u mamy, zbyt słodko-mdła, jak to opisał jd)" (Fredek).

„Do czerniny mam podobny stosunek jak Janusz. Beeee! Wołałbym wypić litr gotowanego mleka niż jeść to świństwo (przepraszając Fredka). Bardzo nie lubiłem też kiedyś gotowanej cebuli pływającej w zupie" (LP).

„Z cebulą w zupie oczywiście miałem to samo. Moja babcia wiele robiła, bym coś jadał, bo potrzeby miałem niewielkie (z wyjątkiem wszelkich słodyczy). Pamiętam do dziś, jak robiła mi wstyd przynosząc mi na podwórko kanapki w postaci chleba z masłem i cukrem (bo tego przysmaku raczej nie odmawiałem)" (jd).

Czerwińscy

Krzysiek i Grażyna; kolegował się z nimi Fredek.

„Grażynka Czerwińska (w przedstawieniach szkolnych – królewna w koronie); taaak, byłem starszy, ale jej uroda tak mnie onieśmielała, że zamiast zapytać o cokolwiek, wręczyłem jej karteczkę z propozycją (nie była to propozycja łapówki). Niestety, szybko mnie rzuciła. Wzruszyłem się właśnie mocno, chyba się starzeję" (miki). „Mnie też podobała się Grażyna Czerwińska, ale nie zdobyłem się na wręczenie jej listu" (zyby).

Czołg

„Czy coś komuś wiadomo na temat zatopionego czołgu gdzieś obok mostu? Podobno kiedyś wystawał nawet z wody, ale może to tylko mit?" (LP).

„Za moich czasów krążyła legenda, że Długie ma podwójne dno i ten czołg tam naprawdę jest, tylko na tym pierwszym (głębszym) dnie. A ta część maszyny, która wystawała z wody, to było coś, co wrzucono, żeby dzieciaki myślały, że to właśnie ten czołg i nie nurkowały, bo jak dostaną się pod pierwsze dno, to pewna śmierć" (Beata).

„O tym czołgu mówiło się już dawno, była też wersja o samolocie z czasów wojny... ale co jest prawdą? Myślę, że gdyby naprawdę istniał, to już by go namierzono, chociaż... ta warstwa mułu... Któż to wie" (Zbyszek).

„Temat czołgu powraca tu jak jakieś widmo... ale chyba nikt nic pewnego o tym nie wie. Prawda to czy miejska legenda...? Ciekaw jestem ogromnie. Podobno jak zdobywano Olsztyn, to gdzieś na dworcu na wagonach były chyba ze dwie czy trzy pantery... ale to raczej wszystko. Dlaczego jednak miałby jakiś czołg znaleźć się w jeziorze? Na logikę biorąc mało jest to możliwe, bo przecież w Olsztynie żadnych większych bojów nie stoczono. Czyżby ruskie utopili własny?" (mamut).

„Ja o czołgu nie wiem nic, ale to jest trochę może możliwe, bo w lesie wokół jeziora było mnóstwo dużych okopów, o kształcie w sam raz na czołg i starsi mi mówili, że właśnie po to te okopy były" (jd).

„Nie słyszałam o zatopionym czołgu w jeziorze, ale widziałam części jakiegoś pojazdu wystające nad powierzchnię jeziora. Było to parę metrów od brzegu, blisko mostu – tam gdzie do dzisiaj niektórzy się kąpią. Wchodziły na to wszystkie dzieci, by skakać do wody. W tym miejscu nauczyłam się pływać" (HG).

Ć

Ćwikliński Heniek

Kolega gd i Iwony.

D

Daszkiewicz Ala

Albo ona, albo jej siostra przeszła chorobę Heine Medina i potem pracowała w Spółdzielni Inwalidów. „Anna Korybut-Daszkiewicz to podobno znana w Polsce malarka. Mieszkała w czasach szkolnych na Morskiej, w nowych domkach w stronę lasu" (nat).

Dembowski Darek

„Niezły numer kiedyś zrobiliśmy w trójkę wraz z Darkiem Dembowskim i Borysem. Przesunęliśmy kiosk szkolny pod salę Języka rosyjskiego, no i zadzwonił dzwonek na przerwę obiadową. Miotali się tam w środku głodomory, nie wiedzieli, co się dzieje, i dopiero po paru minutach jakaś klasa odciągnęła ten kiosk. Darek w późniejszych latach był bardzo dobrym fryzjerem, nawet strzygł w Grecji i we Włoszech. Zresztą na jego temat to mógłbym

napisać książkę. W tamtych czasach było nas czterech takich podobnych ancymonków" (Cines).

Detritus

Sympatyk naszych okolic, kolekcjoner pocztówek starego i nowego Olsztyna, autor strony internetowej temu poświęconej. Detritus ma też poważną rodzinną koligację z naszymi rejonami. W okolicach Długiego, na Morskiej, blisko późniejszej i powszechnie znanej stacji CPN, zamieszkała od razu po wojnie ciocia detritusa; i mieszka tam do dzisiaj.

Deszcz

Deszcze zdarzają się w Olsztynie często, i często niespodziewanie. Podobnie zresztą z burzami. Ale przynajmniej deszcze potrafiły być dziecięcą atrakcją: „W ciepłe deszcze szczególną przyjemnością było bieganie na bosaka po Alei, a potem taplanie się w kałużach" (jd).

Długopis

Najpierw pisało się w szkole obsadkami, potem były próby z piórami wiecznymi, ale w końcu zwyciężyły niepodważalnie długopisy, i tak jest chyba do dzisiaj, mimo że i długopisy mają wady, i to nawet poważne. „Długopisy potrafiły plamić, ale rzadko kiedy wylewały do tego stopnia jak pióra. Tak więc po jakimś czasie pisałem głównie długopisami w zeszytach, a czasem nawet rysowałem na gumowych podeszwach tenisówek lub trampek" (mamut).

Dobieszewski Janusz

Czyli jd. Mieszał na Alei Przyjaciół 34 na parterze. W 1963 roku wyprowadził się z Olsztyna, ale przyjeżdżał przez wiele lat na całe wakacje do dziadków Cywińskich (Al. Przyjaciół 29). Obecnie mieszka w Warszawie, ma żonę i dwóch synów, bardzo już dużych; pracuje na Uniwersytecie Warszawskim; jest profesorem filozofii.

„No więc miałem jakieś 5-6 lat. Do moich rodziców (Al. Przyjaciół 34) przyszli z niedzielną wizytą znajomi, mieli też dziecko żeńskie, mniej więcej w moim wieku. Pobawiliśmy się w ogrodzie, potem zabawkami, no i zrobiło się nudno. Więc wymyśliłem zabawę. Wziąłem sporą deskę do prasowania mojej mamy, oparłem o parapet, no i zaproponowałem, że będziemy po tej desce wchodzić na parapet, który był na wysokości naszych głów, więc wydawało mi się to atrakcyjne. Ona się bała, więc wchodziłem ja. Szło mi coraz lepiej, więc robiłem to z coraz większym luzem i pewnością siebie, ale za jakimś piątym razem deska w trakcie mojego wchodzenia zsunęła się z parapetu, a ja przednimi zębami w ten parapet zaryłem. Wrzeszczałem strasznie, leciała krew w sporych ilościach, przybiegli z drugiego pokoju dorośli, i słusznie chyba uznali, że jedziemy na ostry dyżur. Zadzwonili po taksówkę i pojechaliśmy. Dwa przednie zęby, którymi trafiłem w parapet bolały strasznie, ale jakoś się trzymały na miejscu. W szpitalu skierowali nas do dentysty, a ten od razu wyjął moje dwa zęby palcami bez żadnego oporu; jeszcze dziś czuję to delikatne ich wysuwanie się ze mnie. Potem jeszcze porobił jakieś opatrunki, i tyle. Wyrosły mi na miejscu tych mleczaków dwa wyjątkowy zgrabne przednie zęby, które do dziś pielęgnuję" (jd).

„Oto co mi się przytrafiło parę lat temu. Przyjechałem do Olsztyna, szedłem z dworca już Aleją Przyjaciół i zobaczyłem znajomą z dawnych lat, niezbyt bliską, ale byłem w świetnym humorze i chciałem pogadać. Zaczepiłem ją, ona trochę się zdziwiła, i oto w rozmowie okazało się, że ona jest córką tej osoby, którą myślałem, że zaczepiam. Była ogromnie podobna do swej matki, i było to w ogóle przeżycie dla mnie metafizyczne (że czas... itd.)" (jd).

„Moje dzieci nieźle znają okolicę, bo woziłem je tam na wakacje. Gdy zmarł dziadek, a babcia się wyprowadziła z Olsztyna nawet cierpiały nieco, i ciągle upominały się o wyjazd. Szczególnie lubili moi chłopcy sklep książkowo-papierniczy naprzeciw kiosku, bo kupowałem im tam bardzo świetne zabawki, nawet wtedy, gdy o zabawki nie było tak oburzająco łatwo jak teraz. Z zachwytem zaliczali też Planetarium i mecze siatkówki w hali Uranii. Siadaliśmy na samej górze i rozkoszowaliśmy się pełnym przeglądem sytuacji; nie było wtedy tych wrzaskliwych wodzirejów, którzy teraz uniemożliwiają normalne oglądanie meczów" (jd).

„Mam pewne dość okropne wspomnienie z mojego ogrodu na Alei Przyjaciół 34 z lat 60-tych. Otóż w tym ogrodzie było mnóstwo krzewów malin, ale to nie były takie jak dziś zadbane maliny, tylko rosnące prawie dziko, tyle że trochę pielone i podcinane. No i gdy przychodził czas czerwienienia się tych malin, czego nie mogłem doczekać i zrywałem po kryjomu także takie ledwo różowiejące, to strasznym bólem był fakt, że mnóstwo tych malin było robaczywych, co sprawdzało się dokładnym oglądaniem od środka zerwanej maliny. Otóż moje łakomstwo było tak ogromne, że aby przypadkiem nie natknąć się na robaczywą malinę (którą należało wyrzucić), po prostu w ogóle tego nie sprawdzałem, opowiadając następnie – zgodnie zresztą z prawdą – że w malinach, które sam zrywam jeszcze nigdy nie widziałem robaka. Uchodziłem w rodzinie za wyjątkowego malinowego szczęściarza" (jd).

„Chodziłem do Siódemki tylko nieco ponad trzy miesiące, więc właściwie nie powinienem mieć nic do powiedzenia na temat szkoły, ale te trzy miesiące też mają swoją wagę. To były przecież pierwsze trzy miesiące szkolne; do dziś pamiętam nastrój tremy, obawy, ale i fascynacji, gorący jak cholera dzień 1 września 1962 roku, Pepę Szczepańskiego (w chwilach zdenerwowania zwanego Pepulcem), z którym kupiliśmy sobie do spółki za uciułane z wszystkich kieszeni pieniądze oranżadę w sklepie (tym razem wcale nie w proszku), a potem moją babcię przyszywająca biały kołnierzyk do fartuszka (potem przypinało się te kołnierzyki na guziki, ale najpierw było przyszywanie). No i nie zostały mi z tych pierwszych miesięcy żadne złe wspomnienia, żadne krzywdy, zawody czy stresy, które potrafią się zdarzać. To chyba także świadczy o szkole i nauczycielach. Nigdy wtedy i nigdy potem nie bałem się żadnej szkoły, choć też miałem z nimi swoje przejścia i problemy. Kiedy przyjeżdżałem potem na wakacje do Olsztyna, to całe dnie spędzałem na boisku szkoły, sportowo i towarzysko, i nigdy się nie zdarzyło, by nas stamtąd przegoniono, zakazano przebywania, zamykano bramę itd. (co można byłoby wytłumaczyć brakiem opieki dorosłych, zagrożeniami jakimś wypadkiem itp.). To była z całą pewnością szkoła, która nie była tylko odwalaniem i wyrabianiem lekcji, a wnioskując po tym, co i jak mówią tutaj czy na jubileuszu drogie koleżanki i drodzy koledzy, to i z lekcjami najgorzej być nie mogło" (jd).

Dobkowscy

„W mojej klasie był Wojtek Dobkowski, drobny, inteligentny chłopak o ładnej twarzy i z powodzeniem u dziewczyn. Aktualnie – światowej klasy kardiolog, zamieszkały w Kanadzie, wykładający na konferencjach specjalistycznych w Zachodniej Europie, prekursor nowych zabiegów chirurgicznych w zakresie kardiologii; o Wojtka publikacjach naukowych można poczytać w internecie. Mieszkał chyba na Alei Przyjaciół" (nat).

„Nie «chyba», tylko nawet na pewno. Aleja Przyjaciół 32, ostatnie piętro. Nie zapomniana była Syrenka jego rodziców: «w wykonaniu» jego mamy – maks. 40 kmh, ale nie zawsze jechała tam, gdzie powinna. Za to Wojtek trzymał pojazd w formie, podwyższając wielokrotnie przeciętną prędkość użytkową, żeby – jak to ktoś wtedy powiedział – silnik z nudów się nie zatarł" (ak).

„Zgadza się, on mieszkał na Alei Przyjaciół 32, na samej górze, miał brata Marcina, i o ile pamiętam opuścił Olsztyn bardzo bardzo dawno i w dość młodym wieku" (jd).

Dobrowolski Janek

Mieszkał w budynku biblioteki (Al. Przyjaciół 15) na samej górze. „Jasiu D. miał kiedyś motor z koszem; była to MK produkcji radzieckiej, koloru czarnego. Kupił ją, gdy dostał jakiś spadek z Ameryki" (LP).

Dom nauczycielski

Położony tuż obok szkoły w stronę lasu, wybudowany na samym początku lat 60-tych, i miał początkowo piękny żółty kolor. Mieszkała w nim pani Ciołkowska, Raksimowiczowie i oczywiście pan Brzozowski, i jeszcze inni. Jak wszyscy w naszej okolicy, także nauczyciele mieli ogródki, i miło było popatrzeć, jak i oni kopią ziemie, grabią i użerają się z chwastami.

Domaradzka Ewa

Koleżanka zybiego i mamuta. Obydwaj najwyraźniej bardzo się za Ewą stęsknili: „Może ktoś z was zna namiary do Ewy Domaradzkiej, absolwentki rocznika 82/83, klasa A? Ostatnio gdy ją widziałem, miała chłopaka z Niemiec (to było z 14 lat temu). Wiem jeszcze, że Ewa po skończeniu SP 7 chodziła do LO II (to wtedy miałem z nią ostatni kontakt). Wiem też, że wyjechała później do Niemiec, zapewne w związku z tym chłopakiem, ale czy na stałe? Może ktoś wie?" (zyby).

„Zyby pytał swego czasu o Ewę Domaradzką; otóż jest własnie w Olsztynie na wakacjach (rok 2005) razem ze swoją rodzinką; ucieszyła się, że jeszcze ktoś ją pamięta. O obchodach 50-lecia szkoły nie wiedziała, czego bardzo żałuje. Pragnie dotrzeć na naszą stronę forumową, w czym jej pomogę, i będzie kolejna osoba z... – no skąd? – oczywiście z Białej!" (karolina).

Dorotowo

„W I klasie byliśmy w Dorotowie! Biegaliśmy po tamtejszej górce jak młode koniki. Dzisiaj tam stoją jakieś brzydkie budki i długo budowany (jadąc z Olsztyna do Warszawy po prawej stronie) jakiś dom. Jest tam tak pięknie, tymczasem jakby nikomu nie zależało, by przyciągnąć turystę" (Iwona).

Draminiak

Matematycznie uzdolniony kolega z klasy AD. „Pani Zera uważała, że ja jestem całkiem dobry z matmy, i wysłała mnie razem z Draminiakiem, Morasiem i innymi na olimpiadę z matmy. Tam udowodniłem jej, że się myli! A za to Draminiak wystartował tam całkiem nieźle!" (AD).

Dramowiczowie

Mieszkali na Rybakach 33. Trzech braci: Jurek (gd), Radek i Daniel (DD). Daniel poszedł do szkoły o rok za wcześniej, a ukończył ją w roku 1972.

Daniel: „Kończyłem Akademię Muzyczną w Krakowie. Przedtem, w Olsztynie, trafiłem do szkoły muzycznej podstępem: rodzice obiecali kupić do domu telewizor, jeśli pójdę uczyć się muzyki. Poszedłem. Teraz robię trzy rzeczy: jestem muzykiem koncertującym (gram na organach, często – i od 20 lat – razem z żoną); co roku można mnie usłyszeć w Olsztynie w katedrze na początku lipca; po drugie, uczę gry na organach w olsztyńskiej szkole muzycznej (www.kki.net.pl/~psmolsztyn); i po trzecie, prowadzę z żoną na Jarotach prywatną Szkołę Muzyczną YAMAHA – to jest trochę lżejsza muzyka, a dla mnie jest to raczej hobby" (DD). W sierpniu 2002 roku Daniel dał z żoną piękny koncert w katedrze, w którym uczestniczyła spora grupa Siódemkowiczów; potem była Starówka, piwo i plotki.

Jurek: „Jestem starszym bratem Daniela. Skończyłem podstawówkę w roku 1967. Byłem członkiem klubu żeglarskiego Warmia i biegałem w Gwardii na Stadionie Leśnym" (gd). Obecnie mieszka w USA w stanie Arizona.

„Moja babcia Jancia (świeć Panie nad jej duszą) była z rocznika 1883. Na początku lat 60-tych zabierała mnie na bardzo ciekawe wycieczki: szliśmy przez las do przejazdu, siadaliśmy na ławeczce na skraju lasu (droga z brzózkami) i robiliśmy zawody na zgadywanie, z której strony nadjedzie pociąg. To była jedna z większych atrakcji dla mnie czterolatka. Babcia w domu grała na cytrze (instrument ten jest u nas do dzisiaj). Do grania trzeba było instrument nastroić, co trwało niezmiernie długo. Potem babcia grała i śpiewała. W późniejszych latach próbowałem nauczyć się gry na cytrze, ale to była zbyt mozolna praca. Babcia była bardzo otwarta, ale absolutnie nie rozumiała muzyki lat 60-tych i 70-tych" (DD).

„Moim zdaniem nie ważne jest, co kto robi i jakie osiągnął sukcesy, ale to, że pamięta swoją szkołę i potrafi spędzić trochę czasu, którego każdemu brakuje, na to, aby podziękować nauczycielom za ich cierpliwość, wytrwałość i chęć pracy z takimi osobnikami jak ja i wielu innych. Ja jestem bardzo wdzięczny p. Kręcickiej, która swoją miłością do dzieci wszystkich przygarnęła do 1-ej klasy i nauczyła nas wzajemnego szacunku. Tej nauczycielki nigdy nie zapomnę. Będąc już na studiach odwiedzałem ją w domu i dziękowałem za opiekę. Pani od matematyki (w tym momencie wypadło mi z głowy jej nazwisko) przygotowała mnie do olimpiady matematycznej. Było to dla mnie ogromne przeżycie – prawie jak olimpiada sportowa. Od tego czasu pokochałem matematykę i zrozumiałem to, że nie zawsze się da wszystko rozgryźć; czasami uda się znaleźć rozwiązanie, a czasami nie. Zdawałem na matematykę (oblałem), skończyłem pierwszą szkołę w Polsce programowania komputerów, a później Politechnikę, itd. Gwiazdą naszej szkoły był prof. Brzozowski. Wiele robiliśmy mu psikusów, za które się teraz wszyscy wstydzimy. P. Napora – dobre przygotowanie do zrozumienia geografii. P. Mikołajczyk od w-fu, rosyjskiego a może i od śpiewu (co za kombinacja) – wszyscy go lubiliśmy za doping na zawodach i cierpliwość w nauce rosyjskiego. Można by tu mnożyć zasługi tych nauczycieli dłużej, bo przecież przygotowali nas do życia od podstaw. Przecież to oni nas nauczyli jak szyć, kleić, wiercić w szkle, rysować, malować pędzelkiem i skakać wzwyż przez poprzeczkę nie wybijając sobie zębów. Super szkoła (być może jak wiele innych) i na pewno zasługująca na szczególne uznanie przez absolwentów" (gd).

„Co roku w kwietniu pomagam mojej mamie w wiosennym ognisku w ogródku. To «co roku» trwa już ze dwadzieścia lat. W zasadzie jest to jedyna okazja, aby przypatrzeć się przez kilka godzin skrzyżowaniu Rybaków i Alei Przyjaciół (przy lesie). Moje zeszłoroczne (2005 r.) podejrzenia się sprawdziły! Ruch pieszy na osiedlu zamiera. Przez trzy popołudniowe godziny przeszło chodnikiem zaledwie kilkanaście osób. Pogadało po sąsiedzku troje: w tym Filut, który pokazał mi przez sąsiedzki płot swój ogródek: kompost (tegoroczny, zeszłoroczny i dwuletni), maliny (nauczył mnie, które gałązki wydadzą owoce w czerwcu, a które jesienią!), i wytłumaczył, że nie może uprawiać całego ogródka, bo woda jest za droga i nie da rady wszystkiega latem podlać. Sąsiad z drugiej strony ulicy zabrał kawałek pieńka, tłumacząc, że wszystko się przyda w piecu w sytuacji, gdy gaz jest tak drogi. A kolejny napotkany mieszkaniec osiedla Likusy tłumaczył się, dlaczego jeszcze nie zaczął malować siatki (tłumaczenia ułatwiały pobrzękujące w siatce puste butelki po piwie). I koniec! Pozostały ruch w osiedlu odbywa się samochodami i rowerami (trochę dresiarzy i żadnego dzieciaka!)"(DD).

Dresy

„Ja preferowałem w czasach wakacyjnych spędzanych w Olsztynie dresy i trampki, i starałem się nie wychodzić z nich przez 24 godziny na dobę niezależnie od pogody. Dodam, że dresy nie budziły wówczas żadnych dresiarskich skojarzeń" (jd).

Droga do szkoły

Wiele pasjonujących rzeczy działo się w drodze do szkoły i ze szkoły. Działo się wokół idących, ale i w ich głowach. Ileż przeżyć, spostrzeżeń, i wręcz analiz niemal naukowych: „Ciekawa sprawa, że najczęściej do szkoły szło się przez Aleję Przyjaciół, a wracało nad jeziorem. Jakoś tak wychodziło, że niezwykle rzadko do szkoły szedłem nad jeziorem. Wracając wczesną wiosna ze szkoły ścieżką nad jeziorem, często zabawiałem się z kolegami rozbijaniem cienkiego lodu na jeziorze. Często-gęsto kosztowało mnie to przemoczone buty, ale takie są prawa młodości" (mamut).

„Ja miałem do szkoły pod górkę. Natomiast ze szkoły najczęściej... też! Taki fenomen Al. Przyjaciół. Nie wracałem tak całkiem prostą drogą – czasem nad jeziorem, czasem koło Ogródka Jordanowskiego. Do tej pory jak idę lub jadę na spacer, to wracam najczęściej inną drogą niż w pierwszą stronę. Zupełnie niedawno spostrzegłem, że nawet do pracy codziennie idę i wracam różnymi drogami. No tak... normalny inaczej! Dziś uczniowie chodzą do szkoły chodnikiem, a nie tak jak ja – lasem i nad jeziorem, i innymi dziwnymi trasami (w obydwie strony pod górkę)" (Zbyszek).

„Ja, gdy chodziłem cztery miesiące do Siódemki, chodziłem do niej zawsze tą samą najprostszą drogą, a drogę miałem prostą-prościuteńką – jakieś 150 metrów właśnie w najprostszej linii (z AP 34). Za to powroty uatrakcyjnione były kilkunastoma zazwyczaj zboczeniami z trasy – a to na boisko, a to do sklepu, a to do Ogródka Jordanowskiego, a to do Molendy lub Szczepańskiego, a to na podwórko AP 38, albo AP 29, albo AP 36, a to na chwilę nad jezioro; ilość kombinacji (permutacji?) była w zasadzie nieskończona. Potrafiłem oczywiście zahaczyć o kiosk, pocztę, przystanek, repertuar kin, a w porywach o baraki w miejscu późniejszego Trampa" (jd).

„Moje pierwsze lata szkoły przypadły na czas, gdy jeszcze nie było nowego budynku 21 na Bałtyckiej, a stał tam taki stalowy stary płot. Zawsze w drodze do szkoły przechodziłem obok niego. Płot był z ostro zakończonymi zdobnymi szpikulcami. Przed starym domem, który był ogrodzony tym płotem, był ogród. Lubiłem na niego patrzeć co rano. Zawsze coś tam kwitło i rosło, i właśnie na tym stalowym płocie zawsze było dużo fantastycznych jesiennych pajęczyn pokrytych kropelkami rosy. Zawsze jak widzę takie krople na pajęczynach, to przypominam sobie ten płot" (mamut). „Ten płot i ja zawsze podziwiałem przechodząc obok. Był naprawdę niezwykły, wykuty z żelaza, a najbardziej imponowały mi ostre kikuty w kształcie lilii" (Fredek).

Drohomirecka Bożena

Koleżanka karoliny.

Drosel Andrzej

Czyli AD. Kolega z klasy między innymi mamuta, najwyższy w szkole. Zwany Dropsiem. Dziś ma żonę Iwonę i dwóch synów, młodszy dwuletni, a starszy trzyletni.

„Wyjechał w latach 80-tych do Deutchlandu, dziś mieszka w Bonn. Ale bywa w Polsce (choć rzadko). Już w siódmej klasie liczył 191 cm. Żartowaliśmy na lekcji przysposobienia, że powinien służyć w wojskach rakietowych, gdyż był taki długi jak rakieta – takie dziecięce niewinne żarty. Andrzeja spotkałem w tamtym roku, był w Olsztynie na wakacjach z dziećmi i nie wydawał się już taki wysoki jak w szkole" (mir-mur).

Interesujące, że Andrzej rzeczywiście został zawodowym żołnierzem. „Moja «kariera» wojskowa zaczęła się całkiem typowo, ale dla mnie bardzo nieoczekiwanie. Miałem 23 lata i sądziłem, że po wszystkim. A tu nagle dzień przed wyjazdem do Polski na własne wesele gruby list w skrzynce: 1 października stawić się tu i tam. Czułem się jakby mi ktoś w mordę strzelił. Próbowałem się na wszystkie sposoby wymigać (co się nie udało), ale teraz nie narzekam. Przypominam sobie jak na PO chodziliśmy na strzelanie. Nie przypuszczałem, że

zostanę zawodowym żołnierzem. Ale w każdym bądź razie, mimo najlepszych predyspozycji, nie trafiłem nigdy do wojsk rakietowych" (AD).

„W ubiegłą sobotę obchodziłem rocznicę złamania ręki. Przypominam to sobie dlatego tak dobrze, bo był to Dzień Wagarowicza (pierwszy dzień wiosny) i graliśmy w nogę na łące przy przejeździe" (AD).

„Kiedyś z kolei odbywały się w auli Andrzejki i wybierano króla balu spośród Andrzejów. Ja wygrałem, bo miałem najdłuższe nogi. Moją królową była Gośka Zakrzewska! Wyobrażacie sobie to zdjęcie? Ona ok. 1,55 m., ja 1,96 m. i ok. 70 kg. Do tego korona ze złotka od czekolady na głowie i to wszystko w tańcu!" (AD).

„Wybitnym sportowcem nie jestem, ale swego czasu z Siódemką zdobyłem drugie miejsce w mistrzostwach Olsztyna w siatkę, a w 1986 zdobyłem z AZS-em mistrzostwo Polski młodzików. Niestety, po wyjeździe do Niemiec i rozbitych kolanach kariera się zakończyła, zanim się na dobre zaczęła. Gdy grałem jako junior, było naszym obowiązkiem oglądać mecze pierwszej drużyny; raczej przyjemnym obowiązkiem, bo mieliśmy wstęp na mecze za darmo. A co jeszcze ciekawsze, to to, że nasz trener mieszkał naprzeciwko naszej szkoły. Kurczę, od godziny myślę i nie mogę sobie jego nazwiska przypomnieć, jakoś na K się zaczynało... Już wiem: Czesiek Kolpy. To właśnie on trenował drużynę, w której grałem w latach 1985 i 86. Trenowaliśmy wtedy w LO 2, gdzie się też uczyłem. Pod jego ręką zdobyliśmy również w 86 roku mistrzostwo Polski juniorów! Z tego rocznika pochodzą tacy zawodnicy jak choćby Mariusz Szyszko, którego kilka lat później oglądałem na mistrzostwach świata w Kanadzie. Ja leżałem wtedy po pierwszej poważnej operacji kolana w szpitalu i pełen dumy oglądałem Eurosport" (AD).

„Nie pamiętam, gdzie była 14-ka, ale przypominam sobie dobrze 9-kę. Była na Zatorzu. Mieliśmy wtedy dobrą drużynę siatkarską, a i dziewczyny też były dobre. Poszliśmy na ich mecz do 9-ki, a były to czasy poppersów i punków. Ja miałem dosyć długą grzywkę, a na Zatorzu jak wiadomo pełno punków. No i po meczu była niezła draka. Gdybym się nie potknął o taki łańcuch, dając nogę, to może bym nie oberwał wtedy po pysku. A że się jednak potknąłem, to chodziłem kilka dni z obolałą jadaczką. Za to w siatce zdobyliśmy drugie miejsce w Olsztynie po 6-ce, w której była zgromadzona przyszła kadra AZS-u" (AD).

Droździak

Wróg „publiczny" dziadka mr, mieszkał na parterze na Alei Przyjaciół 39. Natomiast przyjaciółmi dziadka mr byli Trepanowscy i Lewandowscy. Droździakowa popijała z Szafarewiczową i Mendelską.

Dukat

Dom towarowy, a dokładniej Państwowy Dom Towarowy (PDT), który powstał w samym centrum miasta chyba pod koniec lat 60-tych jako najwiekszy sklep przemysłowy (czyli niespożywczy) w Olsztynie. Poprzedni PDT (bez nazwy własnej) znajdował się w jednej z kamienic obok kawiarni Staromiejskiej. Takie PDT-y istniały wtedy w każdym mieście wojewódzkim, a Warszawie CDT (czyli Cenytralny Dom Towarowy, w budynku dzisiejszego Smyka).

Dukat miał wielu przeciwników ze względu na wygląd zewnętrzny, a także wewnętrzny (czyli braki w zaopatrzeniu i kolejki), ale jakoś wrósł w wygląd i życie Olsztyna. W latach dziewięćdziesiątych pojawiły się głosy o zamiarze jego zburzenia, i wtedy obudziły się wśród części mieszkańców sentymenty i pozytywne wobec niego odczucia. Do dzisiaj stoi, z tym że między nim a szubienicami wybudowano wielkie i supernowoczesne Alfa-Centrum.

Duszyńscy

Grażyna i Leszek. Mieszkali na Alei Przyjaciół 19. Dziś mieszkanie pozostało przy Grażynie, która je od lat remontuje, najwyraźniej przygotowując do zamieszkania.

Dwa ognie

Gra szkolna i podwórkowa. Bardzo kiedyś popularna, łatwa do zorganizowania, mnóstwo przy niej bywało wrzasków i pisków, szczególnie dziewcząt, i w ogóle była optymistyczna.

Dworcowe

Kino naprzeciw Dworca Głównego. Dziś już nie istnieje. „Chodziłem do tego kina na różne filmy dla trochę starszych. Tam wchodziło się bez problemów na filmy o Godzili albo King-Kongu .W Poloni nie było to takie proste, bo sprawdzali legitymacje szkolne" (LP).

„Kino Dworcowe to było coś niesamowitego (jak wszystko wtedy w Olsztynie). Pierwsze seanse leciały od 7.30, i tak do 23. Z wejściem było tak jak mówi Leszek, no i ten boski nastrój wyjazdów, przerw w podróży i zamiarów ruszenia w świat" (jd).

Dworzec Zachodni

Drugi, obok Dworca Głównego, dworzec kolejowy Olsztyna, a w dodatku tuż pod bokiem Jeziora Długiego. Pełen, szczególnie kiedyś, uroku i śladów dawnych czasów. Choć też często brudnawy i zaniedbany.

„Pamiętam bar na Dworcu Zachodnim. Bywał otwarty według nieprzenikalnych reguł; oranżadę dawano w nim w kuflach od piwa, ale była oczywiście świetna" (jd). Bardziej dosadnie ujął kwestię Dworca Zachodniego WSKH: „Niezła pijalnia dla pijusów była na Dworcu Zachodnim".

Dyngol

Facet, który pomieszkiwał w budzie koło Czarnego i pijał denaturat.

Dyżurny

Chodzi o dyżurnego w klasie. „Każdy z nas to już przerobił: moczenie nasiąkniętych kredą szmat lub gąbek, wycieranie czarnych powierzchni tablic, które mokre zawsze wydawały się tak nowe i czyste. Ledwo jednak tablica wyschła, a już pokryta była jasnymi smugami rozmazanego pyłu kredowego. Irytowało mnie to strasznie, dlatego zawsze mocno płukałem gąbkę przed wytarciem tablic. Nie cierpiałem tablicy w sali rosyjskiego (i muzyki). Tam na tablicy były namalowane linie i pięciolinie, i kreda miała tendencje do «czepiania» się owych linii. Poza tym gąbka nie przesuwała się tak gładko po tej tablicy. Często uczniowska fantazja doprowadzała do wojny na gąbki. Głowę daję, że każdy czytający to chłopak-Siódemkowicz pamięta zarobienie chcący-niechcący taką mokrą gąbką. Jak trafiło w ubranie, to zawsze pozostawał ślad białej wyschniętej plamy. Oczywiście oprócz ścierania tablicy każdy z nas co jakiś czas musiał lecieć do woźnej, aby dostać parę lasek kredy. Nie przepadałem za tą częścią funkcji, bo woźna wydawała mi się zawsze jakąś szorstką babą, ale kredę zawsze dostawałem. Zdarzało się nieraz, że jedna laska wędrowała do czyjejś «studenckiej» kieszeni, aby później upiększyć jakiś uliczny chodnik fantazyjnymi postaciami lub esami-floresami. Oczywiście żadna zabawa w podchody też by się bez niej nie obeszła. Nie wiem tylko, czemu czasami kreda była różna. Raz się pisało nią świetnie, a kiedy indziej znów słabo pisała i często wydawała piskliwe nieprzyjemne dla uszu tony. Tablica w sali chemiczno-fizycznej to była królowa tablic Szkoły Podstawowej nr 7. Była jedyną «piętrową» tablicą w szkole. Chodziła na swoim wyciągu całkiem płynnie. Często nauczyciele pisali na przerwie na niej test, a następnie zasłaniali tablicę drugą, aby tuż po zebraniu się uczniów w klasie uraczyć nas z zaskoczenia swoimi pytaniami. Nauczycielka Borkowska miała tendencję do pisania wielu pytań podczas klasówek i często brakowało jej

miejsca. Każdy miał zaledwie kilka minut czasu na przepisanie jej gryzmołów, bo do specjalnie czytelnych trudno było jej pismo zaliczyć. Jeśli się nie zdążyło, to mówiło się trudno, bo Borkowska bez pardonu ścierała tekst i pisała nową serię pytań lub regułek fizyczno-matematycznych. Tablice jednak jak najbardziej służyły też do zabawy. Nieraz nudzące się dzieci w oczekiwaniu na nauczyciela tworzyły swoje prace artystyczne lub gry na czarnych płaszczyznach. Nie raz pojedynek w kółko i krzyżyk był stoczony właśnie w klasie" (mamut).

„Za moich czasów bycia dyżurnym nie było jeszcze gąbek, tylko szmaty. Nimi się szczególnie świetnie i skutecznie rzucało (oczywiście gdy były porządnie zmoczone), a zarobienie w dziób było na porządku dnia" (jd).

Dziankowscy

Dziankowscy mieszkali na Alei Przyjaciół 22, naprzeciwko biblioteki. Mieli dwoje dzieci: Grażynę i Jacka. Z Jackiem chodził do klasy DD.

„Grażynę znałem z racji sąsiedztwa, natomiast z Jackiem kolegowałem się kiedyś blisko. Oni mieli psa boksera o imieniu Kama. Wojtek Chłopik spod 30-tki chyba kiedyś kręcił z Dziankowską, ale jej rodzice byli na nie. Była bardzo ładną dziewczyną" (LP).

„Zgadza się, Grażyna była bardzo ładna, ciut ode mnie starsza, ale wtedy wydawało się to różnicą ogromną (np. ja do 3, a ona do 4 klasy); czasem spotykałem ją w czasie wakacji i byłem nią zauroczony, zupełnie bezinteresownie, nie mając żadnych widoków na sukces i nie podejmując żadnych kroków w tym kierunku. To ciekawe, co LP pisze o ingerencji jej rodziców w sprawy «kręcenia». W tamtych czasach to się często zdarzało" (jd).

Dzieci z Bullerbyn

Jedna z najbardziej lubianych przez wszystkich książek dzieciństwa. Jej autorka, Astrid Lindgren, zmarła całkiem niedawno, kilka lat temu. „Zmarła dożywszy prawie 94 lat; była autorką także «Pipi Landgstrum», ale – moim zdaniem – przede wszystkim rewelacyjnych, jasnych i promiennych, a jednocześnie pozbawionych taniej ckliwości i cukierkowatości «Dzieci z Bullerbyn». Zresztą co ja wam będę mówił, z pewnością prawie wszyscy dobrze znacie. Ja czytałem to kilka razy, najpierw sobie, potem dzieciom, i ani przez chwilę nie poczułem nudy, obojętności powtarzania, poczucia, że przecież wiadomo, co będzie dalej (choć było wiadomo)" (jd).

„«Dzieci z Bullerbyn» były pierwszą książka, którą sobie przypominam. Kupiona została w księgarni na Bałtyckiej. Żółta twarda okładka. Mój starszy brat (który wtedy już chodził do szkoły) musiał nam to ciągle czytać, a my młodsi słuchaliśmy i byliśmy w siódmym niebie. Później czytałem wszystkie książki Astrid Lindgren, które mi w wpadły w ręce" (Fredek).

Dziennik

Chodzi o dzienniki klasowe, te ze spóźnieniami, nieobecnościami, stopniami, tematami i planami lekcji.

„Za moich czasów była straszna afera, gdy dwaj chłopacy (nie bardzo pamiętam, kto to był, bo chyba byli o rok starsi) ukradli tuż przed zakończeniem roku szkolnego kilka szkolnych dzienników i spalili je w lesie. Zrobili to podobno dlatego, że groziło im niezdanie do następnej klasy. Co to się przez to w szkole nie działo!" (mr).

„To prawda, rzeczywiście tak było. Akurat zrobili to chłopacy z klasy o dwa lata niżej ode mnie, zagrożeni repetą. Spalili swój dziennik, a żeby zmylić trop – jeszcze jeden, innej klasy. Jak sprawa się wydała – nie mam pojęcia. Pamiętam jednak, że wszyscy uczniowie obu klas mieli generalnie problemy. Nikt się z ich uczynku nie ucieszył, mimo że pewnie takie mieli intencje" (Krzysiek).

„Chciałbym dodać parę słów do historii z dziennikiem; nie wiem czy to o niej była mowa, ale za moich czasów tj. gdzieś ok. roku 94, zostały spalone dzienniki. Straszono nas, ale w sumie to zbyt dużej afery wtedy nie było, a kolega, który tego czynu dokonał nawet ze szkoły nie wyleciał. A wyszło to na jaw, bo kiedy po lekcjach wykradał dzienniki, zauważyła go sprzątaczka, no a po spaleniu skojarzono fakty i wpadł. Wiem, że dzienniki spalono w lesie koło «Diabła» i że z tego pożaru ocalał zeszyt uwag" (maciek).

„Dzienniki klasowe ginęły, i to nie raz. Nasz dziennik (oraz klasy równoległej) zginął pod koniec naszej ósmej klasy, w 1978 roku. Po latach dowiedziałem się od pewnej osoby, jak ta sprawa naprawdę wyglądała. Otóż pewien uczeń, który właściwie nie miał aż tak bardzo złych ocen, dostał z jakiejś głupiej klasówki dwójkę. Nie powiedział o tym w domu. Miała być właśnie wywiadówka i obawiał się strasznej awantury za złe oceny. No i kilku innych uczniów doradziło mu, żeby zabrał dziennik klasy z pokoju nauczycielskiego. Żeby nie wiadomo było, o jaka klasę chodzi, zabrał dzienniki z obydwu klas ósmych. Dzienniki zostały schowane gdzieś nad Jeziorem Długim, w okolicy przedszkola. Nasiąkały wilgocią, a chłopaki spotykali się tam po lekcjach i «znęcali» się nad nimi: oglądali oceny, dopisywali dobre albo złe, według sympatii dla bliższych i dalszych znajomych albo po prostu wypalali te dobre albo złe oceny papierosem. Po kilku dniach postanowili jednak ten corpus delicti zniszczyć. Podpalenie dzienników wydawało się najlepszym wyjściem, ale wilgoć nie pozwoliła na to. Więc wpadli na pomysł, żeby je zatopić. Niestety, dziennik nie chciał zatonąć i pływał po powierzchni jeziora. Próbowali pomóc mu zatonąć kamieniami, ale bez skutku. W końcu jakiś spacerowicz dostrzegł ten pływający dziennik (czy raczej dzienniki). Wyłowił go (je) i dostarczył do szkoły. A w szkole natychmiast rozpoczęło się śledztwo. Pewne grono uczniów było podejrzane o kradzież, ale kto te dzienniki wtedy naprawdę «zwinął» nie wyszło na jaw. Jednak i mimo to postanowiono jednego z podejrzanych przenieść z naszej klasy B do sąsiedniej A (chyba po to, żeby pewne «elementy» rozdzielić). Na poprawę lub pogorszenie ocen akcja ta nie miała chyba żadnego wpływu. Każdy nauczyciel i tak miał swoje własne notatki i znał swoich uczniów" (Fredek).

„Na początku lat osiemdziesiątych historia dziennikowa znów się powtórzyła, ale tym razem oprócz dzienników zniknęło podobno także parę wypchanych zwierzaków z pracowni biologicznej. Jeśli się nie mylę, to padło między innymi na jakąś sowę. Winowajców było kilku i szkoła w końcu znalazła winnych. Fredek na pewno pamięta nieco osamotniony domek obok baraków, przed tym domkiem był spory plac, na którym grywało się w nogę... to tam mieszkał jeden z dość wątpliwych bohaterów tej historii" (mamut).

Dzień Dziecka

„Chyba zawsze 1 czerwca był w szkole Dzień Sportu, Olimpijczyka czy jakoś tak. Tego dnia boisko było super odświętne. Stopery w rękach sędziów, szarfy dla drużyn, bramki i linie odmalowane, wysypane linie na bieżni, no i przede wszystkim raz w roku na bramki zakładano siatki. Dla chłopaków to była niesamowita atrakcja wbić gola, i widzieć jak piłka grzęźnie w siatce" (wskh).

„Ja bardziej sobie przypominam, że były wtedy wyścigi rowerowe naokoło ulicy Rybaki. A także, że chodziliśmy w ten dzień do kina, a później na lody do Coctailu" (Fredek).

„Dzisiaj (1 czerwiec 2006 r.) z okazji Dnia Dziecka w SP 7 była wielka impreza, podobnie jak za naszych czasów. Odbywały się zawody sportowe: piłka siatkowa, piłka nożna, przeciąganie liny, wyścigi rzędów, i inne" (karolina). Tak więc tradycja i miłość do dzieciaczków nie umiera.

Dzika róża

„Z owoców dzikich róż, które powszechnie rosły w naszych okolicach, robiło się tzw. proszek do drapania. Obierało się owoce, a nasiona tych róż były tak owłosione, że strasznie drapały, jeśli się je komuś za koszulę wrzuciło" (Fredek).

„Moja babcia z tego, co zostawało po zużyciu na proszek do drapania, czyli z miąższu owocu, robiła wino. Nie mam serca do win domowych, ale to było bardzo udane, o pięknym kolorze i całkowicie przezroczyste, bez tych podejrzanych zawiesin, towarzyszących zazwyczaj winom domowym" (jd).

Dżinsy

Oryginalne dżinsy były wtedy w zasadzie nieosiągalne, bo dostępne tylko za dolary w Pewexie albo dzięki krewnym lub znajomym z zagranicy. „Mieć dżinsy to była wielka rzecz i kto miał wranglery, levisy lub rajfle był ogólnie podziwiany. W przytłaczającej większości nosiliśmy jednak jako dzieciaki polską wersje dżinsów, czyli tzw. texasy lub szariki. Niestety, socjalistyczny materiał był tak solidny, że się nie wycierał, a nie wytarte dżinsy nie były przecież pełnowartościowe" (Fredek).

„Mnie się wydaje, że zbiorczo polskie dżinsy nazywano farmerkami" (jd). „Farmerki czy też ogrodniczki to były dżinsy z szelkami i kieszeniami na klatce piersiowej. Ja pamiętam, że polskie dżinsy to były głownie teksasy. Fakt, że mocne były; prędzej się z nich wyrastało niż przecierało. A przecież sami wiecie, co dzieciaki potrafiły, że zielonych plam od trawy nie wspomnę" (mamut). „Za moich czasów farmerki i ogrodniczki to były dwie zupełnie różne rzeczy. W dodatku chodzenie w ogrodniczkach było dla chłopaka w zasadzie nie do przyjęcia. Należy więc precyzyjnie odróżnić dżinsy, farmerki, ogrodniczki, a dodatkowo spodenki na szelkach" (jd). „Ja wiem, że moje spodnie na początku lat 70-tych to były tzw. teksasy. Pamiętam, że na kieszeni był też naszyty jakiś obrazek przedstawiający jakieś motywy z Dzikiego Zachodu. Te spodnie miały też specjalną kieszeń na scyzoryk. Materiał nie do zdarcia (chyba że się gdzieś na drzewie zawisło). Specjalną odmianą teksasów były Szariki – krajowe dżinsy krajowej jakości. Jeśli ktoś już musiał je nosić, odrywał natychmiast tylnią naszywkę z wizerunkiem Szarika, by uniknąć totalnego upokorzenia. Były też Odry – popularna nazwa polskich dżinsów produkowanych przez szczecińskie zakłady Odra. Podróba nie wyszła jednak zbyt udanie. Chodzenie w Odrach było obciachem. Nie chciały się wycierać (nawet pod pumeksem) i miały jakiś taki blady kolor. Ogólnie na dżinsy mówiono zazwyczaj teksasy" (Fredek). „Za moich czasów Szarika nie zrywało się. Natomiast teksasem nazywano u mnie materiał, z którego robiło się farmerki (szariki i odry przede wszystkim)" (jd).

„Miałem komplet takiej jasnej Odry, katana i spodnie. Na plecach wyszyty kolorowymi nićmi starodawny żaglowiec. To był bajer, ale szybko przestałem to nakładać, bo nie lubiłem i do tej pory nie lubię być za mocno zauważanym i zwracać na siebie uwagę" (WSKH).

„Ja myślę, że dżinsy były kiedyś symbolem wolności. I każdy z nas miał marzenie, by żyć kiedyś poza komunizmem i być wolnym. Prawdziwe dżinsy były kawałkiem demokracji i kapitalizmu. Kiedyś i teraz jest mi obojętne, co ubieram. Nie musi być modne, tylko dla mnie wygodne" (Fredek).

E

Eisele

Krystyna i Małgosia. „Zmarła Krystyna Eisele, mieszkała na Alei Przyjaciół pod 17. Była korektorką w Gazecie Olsztyńskiej, a poza tym żeglarką – sternikiem morskim. Odeszła na wieczną wachtę" (Zbyszek).

Elemelek

Tak – zdaniem AF – przezywano Dyngola (czyli miłośnika denaturatu) znad Czarnego (mieszkał nad Czarnym w drewnianej budzie). Ale jest i inna opinia: „Elemelek to nie był dyngol tylko niedorozwinięty umysłowo najmłodszy z czwórki braci z Morskiej (nie wymieniam ich nazwiska, bo to nieistotne). Dzieciaki go podpuszczały pytając: «Pokaż, co robi wujek», a on uderzał ręką w szyję. Był niewyrośnięty, wiecznie wesoły. W końcu utopił się w Czarnym" (morska). Niewykluczone, że było po prostu dwóch Elemelków.

F

Fartuszki szkolne

Kiedyś chodzenie do szkoły wiązało się z pewnym obowiązkami „mundurowymi". Nikt tego wtedy nie lubił, ale dziś wspomina się to chyba z rozczuleniem, a i samo w sobie nie było to zapewne takie zupełnie bez sensu (stosuje to i stosował również wolny Zachód).

„Moda szkolna lat 60-tych: dziewczynki – granatowe albo czarne fartuszki z jakiegoś śliskiego materiału, białe kołnierzyki, obowiązkowe tarcze szkolne, kapcie gimnastyczne, do tego na WF granatowe spodenki oraz białe koszulki" (Iwona). „Chłopcy chodzili podobnie, w fartuszkach do pasa i białych kołnierzykach albo na guziki, albo specjalnie przyszywanych przez mamę lub babcię. Było to urocze" (jd).

„Za moich czasów fartuszków raczej się nie nosiło – no może w pierwszej i drugiej klasie. Z tego, co pamiętam, to były to prawdziwe ohydztwa z jakiegoś polyestru z przypinanymi kołnierzykami" (mr). „Magda, za bardzo narzekasz na fartuszki; za moich czasów były ładne i w kilku kolorach: czarne, granatowe, czarno-granatowe itp." (jd). „W moich czasach szkolnych nie było fartuszkowego wyboru. Było to coś niebieskopodobnego, takie same dla chłopców i dziewczynek, i paskudne w dotyku, i gdy tylko można było ich nie nosić, to zostawały w domu lub były zmieniane na coś innego. Mama mi nawet przywiozła taki ładny czarny fartuszek z Moskwy. Pamiętam, że miał plisowane «skrzydełka» zamiast rękawów. Fajny był..." (mr). „Znam ten krój fartuszka; tylko dla dziewcząt, bardzo twarzowy, świetnie komponujący się z kokardami we włosach. Można go obejrzeć na starych filmach radzieckich lub na ilustracjach książkowych; nie wiem, czy w elementarzu Falskiego nie występuje ten fartuszek" (jd).

„Ja pamiętam z czasów szkolnych coroczne wycieczki do krawcowej celem zaprojektowania i uszycia nowego fartuszka szkolnego. Po paru miesiącach przymiarek fartuch był gotowy na wrzesień. Miał i musiał być nie tylko ładniejszy i bardziej indywidualny od tych gotowych, kupowanych w sklepie, ale był również jakimś cudem tańszy. Jak tania musiała być wtedy robocizna" (nat).

„Fartuszki – podsumowywał temat wskh – obowiązywały do połowy lat 70-tych".

Fatyga Bożena

Koleżanka gagi: „Mieszkała w moim bloku, stała w drużynie piłki ręcznej na bramce". „Była bardzo dobrym naszym bramkarzem, i dobrą kumpelą" (Bożenna).

Fiedorowiczowie

Zdzisiek (rocznik 1966/67), Joasia i Andrzej (AF). Mieszkali na Al. Przyjaciół 27, na ostatnim piętrze. Oczywiście wszyscy chodzili do Siódemki i byli aktywnymi uczestnikami życia podwórkowego. Andrzej miał paskudny wypadek z okiem.

Rodzice Fiedorowicze byli bardzo pracowici i przedsiębiorczy, stale coś hodowali w ogrodzie (gdy był jeszcze bardzo duży i nie było Bursztynowej) – kury, zwierzęta futerkowe. Później przenieśli to do Likus.

Fifki

„Papierosy dość często paliło się kiedyś w fifikach lub cygarniczkach. Była w tym jakaś elegancja, a nawet arystokratyzm. W kioskach Ruchu sprzedawano za grosze (chyba 20) szklane fifki, które zresztą używało się do również różnych innych celów (puszczanie baniek, plucie ryżem). Taka fifka po paru dniach palenia robiła się cała brudno-brązowa od nikotyny, ale nie wyglądało to źle. Istniało również niebezpieczeństwo rozgryzienia tej fifki w zębach. Mój dziadek używał fifek wyższego sortu, drewnianych, i nawet ze zdobieniami; przywiozłem mu kiedyś jedną taką z Zakopanego. Do tej drewnianej fifki-cygarniczki wkładał zawsze połówkę Sporta (precyzyjnie przekrajanego kultowym przedwojennym scyzorykiem) i wypalał tę połówkę właściwe do końca, bez żadnych strat (czyli petów). Ponieważ dziadek wypalał dziennie co najmniej paczkę Sportów, więc tych seansów fifkowych było 40, czyli że praktycznie dziadka widywało się tylko z fifką. I tak przez dziesięciolecia. Gdy jednak dziadek osiągnął 70 lat, przypałętała mu się jakaś cukrzyca, lekarz go postraszył i dziadek ku zdumieniu wszystkich, a przede wszystkim babci, z dnia na dzień zapomniał o istnieniu papierosów w swym życiu. Czego i wam życzę" (jd).

„Też pamiętam fifki – walały się po domu, jako że rodzice byli palaczami. Fifka miała za cel oszczędzać papierosy (jak u dziadka jd), chronić palce przed pożółceniem jak również zmniejszać ilość nikotyny dostającej się do płuc. Pamiętam, że pozostawione na stole śmierdziały okrutnie. W szkole średniej, LO II, miałam panią od angielskiego, która paliła, przez lufkę (bo i tak fifki nazywano) w trakcie lekcji. Dzisiaj chyba nie do pomyślenia" (nat).

Filharmonia

Jak każde szanujące się miasto wojewódzkie, również Olsztyn posiadał i posiada filharmonię. W imię umuzykalnienia byliśmy tam zabierani na lekcje, co samo w sobie – jako wyjazd na drugi koniec miasta – było atrakcyjne. Wyjazdy te organizowały zwłaszcza nauczycielki śpiewu: panie Romanowicz i Skibińska.

Ale wiążą się z filharmnią i inne wydarzenia. „Zdarzyło się w filharmonii... I nie był to, jak zazwyczaj, nudny jak flaki z olejem koncert. Tego dnia miały wystąpićc nasze szkolne koleżanki, prezentując się w tańcach nowoczesnych. Taniec był egzotyczny i takież stroje. Zamiast bluzeczek – mnóstwo wstążek. No i jednej z tancerek pod «bluzeczką» pękł stanik. Męska (chłpięca) część widowni zastygła, nawet nie oddychała. To był najpiękniejszy taniec, jaki w życiu widziałem! Po występie (co ciekawe) nikt nie kpił. Chłopcy z uznaniem mówili o odwadze (nie uciekła) i oczywiście o urodzie naszej koleżanki. Nie wiem, jak komentowały to dziewczęta. Te, które nie miały jeszcze takiego «skarbu» na pewno kąśliwie. Akurat dziś o tym piszę, bo według zapewnień karoliny wykonawczynię tego tańca można bedzie dziś zobaczyć w Kolorowej na spotkani dawnych Siódemkwiczów" (mamut).

„I na tym spotakniu wspominaliśmy wydarzenie, która miało miejsce w czasie pokazu tanecznego zespołu Arabeska w filharmonii, gdzie jednej z uczestniczek pękło ramiączko od stanika; Marzena Wójtowicz zdecydowanie twierdziła, wręcz krzyczała, że to nie jej dotyczyło, ale chłopcy byli innego zdania" (karolina).

Filipowicz Janusz

Czyli jf, zwany Filonem. Kolega gd i Iwony. Do ich klasy chodził także Marek Pilecki i Andrzej Krajewski. Filon mieszkał ze starszą siostrą Anną na Al. Przyjaciół 41 m. 16, co sam potwierdza („mieszkałem na AP 41 i chodziłem do naszej szkoły z wieloma koleżankami i kolegami z forum albo z ich starszym rodzeństwem"), a następnie dodaje: „mieszkam od

ponad dwudziestu lat w Reichu, ale często bywam w Olsztynie. Z niektórymi znajomymi miałem okazję spotkać się na jesieni zeszłego roku nad jeziorem u Jacka Kicermana; bardzo wzruszające i miłe to było spotkanie. Większość obecnych wówczas ludzi widziałem po raz pierwszy od czasu ukończenia naszej szkoły, a więc od ponad 35 lat. Na spotkaniu porobiłem trochę zdjęć, które przesłałem Andrzejowi Goleniowskiemu. Z pewnością pokazywał je przy następnych spotkaniach naszej klasy. Przez moje wpisy na forum chcę sprowokować ludzi, którzy do tej pory są tylko czytelnikami, do pisania. Piszcie!!!" (jf). To ostatnie niewątpliwie się Januszowi powiodło, co pozwala mniemać, że w ogóle powodzenie jest po jego stronie.

Filut

Czyli pan Stanisław Brzozowski, najbardziej znany, najbardziej zasłużony, i zapewne najbardziej lubiany nauczyciel Siódemki, wręcz legenda grona pedagogicznego naszej szkoły. Uczył fizyki, ale także chemii, przysposobienia obronnego, wychowania obywatelskiego, a w razie czego jeszcze innych przedmiotów na wysoko cenionych przez młodzież zastępstwach. Do dziś pan Brzozowski świetnie się trzyma.

Przezwisko Filut przylgnęło do pana Brzozowskiego z taką mocą, że umieściliśmy go w tej Encyklopedii w miejscu innym (związanym właśnie z przezwiskiem) niż wszystkich pozostałych nauczycieli, którzy są pod literą P (pan, pani...). Wydaje się to oczywiste i podkreślające nadzwyczajność pana Brzozowskiego, a i on zapewne, by się o to nie obraził.

Podobno przezwisko Filut jest pomysłem mamy mr (i mama, i mr chodziły do Siódemki) i pochodzi od profesora Filutka z „Przekroju". Ale jest też wersja inna, choć wcale nie wykluczająca pierwszej: „Ja słyszałem, że pana Brzozowskiego nazwano Filutem dlatego, że podczas klasówek robił dziurę w gazecie i obserwował, co się dzieje w klasie. Ci co ściągali mieli w tej sytuacji małe szanse. Mogę to zresztą potwierdzić na swoim przykładzie, bo w naszej klasie też tak robił" (LP).

Wiele historii, historyjek, opowieści, anegdot, gawęd i zmyśleń, związanych jest z Filutem. A więc:

„Pan Brzozowski, Filut, był zamęczany przez uczniów głupimi kawałami. Pamiętam, że pewnego razu chłopak o poetyckiej ksywce Harnaś (chyba drugo-, może nawet trzecioroczny, bardzo szczupły i wysoki) pochylił się nad Filutem, który stał kilka stopni niżej na schodach odwrócony plecami. Ponieważ Filut był (jest) mały, Harnasiowi udało się zajrzeć mu od góry w oczy. Filut okropnie się wystraszył. W sumie był to tylko niewinny i właściwie sympatyczny żarcik" (Krzysiek).

„Oto historyjka o czarnym balonie Filuta. Filut jak przystało na dobrego nauczyciela miał na zapleczu dużo pomocy naukowych, między innymi ów balon. Służył on do przechowywania tlenu. Pewnego razu na lekcji Filut chciał nam zademonstrować spalanie jakiegoś związku chemicznego w tlenie i poprosił o dwóch pomocników. Jednym z nich byłem ja. Jako że stałem pierwszy od okna, wysłał mnie do swojej pakamery po ten tlen. Korzystając, że nikt mnie nie widzi, otworzyłem taki mały zaworek i wypuściłem zawartość balonu. Następnie nadmuchałem go powietrzem tak, że nic nie było widać. Możecie mi wierzyć, że Filut dostał białej gorączki; żadne doświadczenie mu nie wyszło, nic się nie chciało palić, próbował kilka razy i nic, a my mieliśmy ubaw" (LP).

„Ach ten Filut, ileż wspomnień dzięki niemu. Te jego nerwowe reakcje, które wtedy wywoływały śmiech. Chyba byliśmy okrutni wobec niego. Pamiętam jak włożyliśmy zapalone kadzidło do pobitego barometru rtęciowego. Po kilku minutach Filut węszy, chodzi po całej klasie i nie daje po sobie poznać, że coś «wisi w powietrzu». My ledwo tłumimy śmiech. Po kilkunastu minutach znalazł kadzidło i nastąpiła jego typowa reakcja: wykrzyczane zdenerwowanym głosem «Otwórzcie okna! Albo nie będziemy siedzieć w tym smrodzie!». Tego już większość klasy nie wytrzymała i w gromki śmiech" (zyby).

„Pamiętam, jak Filut zebrał chyba ze trzy klasy z zamiarem pokazania jakiegoś filmu oświatowego. Wszyscy zajęli miejsca i się zaczęło. Po chwili okazało się jednak, że nie ma głosu. Hej tam na końcu – wrzasnął Filut – włączyć wtyczkę od głośnika. Wypadło na Darka Marczyńskiego, zwanego kiedyś Nuna, i on całkiem nieświadomie włożył wtyczkę do gniazdka, ale to było 220 volt, a nie wtyk do aparatu filmowego. Nastąpił wybuch i było pełno dymu. Filut oszalał" (LP).

„Na naszej lekcji chemii Filut (który był na zastępstwie) wysadził ze dwie szyby w klasie, bo ktoś niewinnie go poprosił, aby zademonstrował co się stanie, jak się doleje wody do kwasu. Filut oczywiście nie był szczęśliwy, a my mieliśmy dużą radość" (mr).

„Istnieje pewien zeszyt, w którym są zapisane prawie wszystkie zabawne powiedzenia Filuta. Właściciel tego kajetu mieszkał kiedyś na Rybakach i nazywa się Marek Sz. Marek, jeśli czytasz nasze forum, to odezwij się" (LP). Dotychczas Marek nie odezwał się jednak.

Pan Brzozowski miał też zalety trochę niespodziewane i dziś pewnie zapomniane: „Moją mamę Filut wyrzucił z klasy (był jej wychowawcą), bo mu powiedziała, że miał burdel w dzienniku" (mr).

„Ja pamiętam, że ławki w gabinecie fizyki u pana Brzozowkiego były tak zabazgrolone, że można było wśród bazgroł zapisać pomocne wzory i mieć pewność, że w tym mnóstwie pisaniny nasz mistrz nie dostrzeże, że są tam również zbawienne pomoce naukowe" (WSKH).

„Z lekcji fizyki najbardziej kochałem zastępstwa, a najbardziej w wykonaniu p. Brzozowskiego. Przychodził na zastępstwo i natychmiast rozkładał bardzo stary projektor filmowy, który pamiętał chyba jeszcze czasy braci Lemiere; no i zaczynało się wyświetlanie przeróżnych filmów. Niekiedy tych zastępstw Filuta potrafiło uzbierać się w tygodniu całkiem sporo, więc i filmy oglądaliśmy te same po parę razy («Skutki działania broni ABC», do dzisiaj jestem expertem), ale oczywiście zawsze na pytanie Filuta, czy to widzieliśmy wszyscy krzyczeli: Nieeee!!! Zawsze lepiej poodpoczywać po ciemku, słysząc z głośnika po raz nie wiadomo który rodzaje alarmów przeciwlotniczych, chemicznych itp., niż zaginać jakieś drętwe słupki z fiz/chem. Potrafiliśmy też w czasie tych projekcji po cichu wyczołgać się z klasy i dać drapaka ze szkoły. Nawet jeśli obecność była sprawdzana, to Filut i tak nas wszystkich nie rozpoznawał" (mir-mur).

„Z Filutem miałem do czynienia właściwie tylko na zastępstwach, ale go lubiłem. Te filmy to była fajna sprawa. Czasem dostawaliśmy coś nowego, a czasem szły w ruch stare filmy. Od czasu do czasu puszczał również kreskówki: Bolka i Lolka, Reksia, itp... Ale także był film o stonkach i ich zrzucie na nasze ziemniaki przez wrogie siły imperialistyczne, coś o stacjach meteorologicznych zdaje się też; również niewypały i ich skutki były w filmach przedstawiane, a i lotnictwo szybowcowe. Zapadł mi w pamięć ostrzegawczy filmy o tym, jak chłopcy znaleźli niewypały pocisków moździerzowych i dla zabawy buch je do ogniska. Wynikiem była eksplozja zabijająca jednego z chłopców, a poważnie raniąca drugiego. Pamiętam, że poszarpany latawiec symbolizował tragedię" (mamut).

Magda (mr) jest podobno w posiadaniu zdjęcia Filuta w sukience. „Zgadza się, z tym że chwilowo tego zdjęcia nie mam, za to powiem skąd to zdjęcie i ta sukienka się wzięła. Z tego co mowiła mi moja mama, to Filut za jej czasów zajmował się drużyną harcerską i kiedyś latem z grupą dziewcząt już w ostatniej ich klasie był na jakimś pikniku nad jeziorem, i tam go dziewczyny ubrały w sukienkę i zrobiły mu zdjęcie jak sobie w niej tańczył. To zdjęcie na pewno istnieje i jak tylko będzie okazja, to je wygrzebię, zeskanuję i podeślę Fredkowi" (mr).

Nie da się ukryć, że choć Filut był lubiany, to niektórzy mieli do niego trochę lekceważący stosunek i wykorzystywali jego łagodność: „Filut był nieszkodliwy, choć bywał bardzo nerwowy. Dokuczaliśmy mu bardzo" (T.B.). „Zyby kiedyś nagrał na magnetofon lekcję u Filuta w celach niezbyt szlachetnych! Z kolei Harnaś cały czas potrafił wołać-pytać «będzie film?», aż tradycyjnie był wyrzucany z klasy – jak sobie to przypominam, to aż mi

wstyd, że tak się nad Filutem znęcaliśmy... No cóż, rozum podobno przychodzi z wiekiem" (AD).

„To jak Harnaś pytał o film, rzeczywiście było jedyne w swoim rodzaju: «Panie, będzie film?» – i to tak na cały głos z ostatniej ławki. Filut nic nie reaguje. «Panie, no będzie film?». Filut widać już nieco zdenerwowany, ale nic. «Hej chłopaki chodźcie zapytamy, czy będzie film». I tu wreszcie wybuch Filuta: «Haraś, wyjdź za drzwi». «Ale za co? Ja tylko chciałem spytać, czy będzie film». «Haraś, za drzwi» – teraz już krzyk wściekłego Filuta. W końcu Harnaś wychodzi wśród słabo tłumionych śmiechów" (zyby).

„Szczególnie utkwili mi w pamięci nauczyciele, którzy jakoś wiązali się z naszymi sławetnymi aferami. Absolutnym liderem był pan Brzozowski. Wcale się nie dziwię, że odszedł na wcześniejszą emeryturę. Ja też pamiętam lekcję, gdy z Zybym nagrywaliśmy lekcję fizyki (siedzieliśmy w jednej ławce). Albo Mikiego, jak się czołgał z butelką do Filuta biurka, udając dzielnego wojaka na froncie. Aż dziw, że go wtedy Filut nie przyłapał. Pamiętam też, gdy wywalili wielką zwałę koksu pod okna sali od fizyki i łatwo było skakać na tę górę koksu i uciekać wcześniej z lekcji. Jedna osoba wpadła wtedy na wspaniały pomysł, który doprowadził pana Brzozowskiego do białej gorączki: wyskakiwała z klasy na ten koks, a następnie wracała z powrotem grzecznie drzwiami, nawet pukała i mówiła Filutowi «dzień dobry». Aż dziw, że dopiero po czwartym razie się zorientował, że to ta sama osoba" (LM). „Zupełnie o tym swoim figlu zapomniałem. W tej butelce (od kefiru), z którą się czołgałem była woda, a czołgałem się do pierwszej ławki, żeby rozlać wodę pod nogi Jarka Bobina i potem zakrzyknąć: «Bobin zlał się pod ławkę»" (miki).

Szczególnie doceniane przez uczniów były doświadczenia Filuta, które zawsze wywoływały dreszczyk emocji (uda się, czy nie uda?). „Moim zdaniem doświadczenia Filuta były niebezpieczne dla życia" (Krzysiek K). Nieco inaczej ujął to WSKH: „Mam wrażenie, że pan Stanisław razem z nami się uczył i doświadczał". „Tak jest – podsumowywał tę kwestię jd – nie nudził siebie i nas, nie sączył w nas rutynowych oczywistości, znanych od pierwszych Słowian i z każdego nudnego podręcznika. Było pedagogicznie twórczo i kreatywnie, nawet jeśli na granicy ryzyka, ale taka jest prawdziwa twórczość. Był też – może wbrew pozorom – pełen troskliwości i serca wobec młodzieży, o czym świadczy choćby słynne łażenie Leszka po gzymsie sali gimnastycznej, które omal nie doprowadziło pana Stanisława do zawału". Podobnego zdania jest WSKH: „Absolutnie zgadzam się, że w rzeczywistości kochał uczniów. Tylko dobrzy ludzie mogą tyle znieść z pokorą".

Ale były też o Filucie opinie krytyczne (jak o każdej jednostce nietuzinkowej): „To co tu piszecie jest bardzo fajne i wzruszające, ale bez przesady. Bo któż to jest Filut? Jego lekcje były dobre pod kątem nas, dzieci. Zamiast fizyki czy chemii Bolek i Lolek! Te same klasówki przez 30 lat. Kto miał na przykład starszego brata nie musiał w ogóle się uczyć, bo miał wszystko gotowe w domu. Te lekcje nie miały nic wspólnego z edukacją: nauczyciel, z którego wszyscy mieli ubaw. Zresztą pozostali, z pewnymi wyjątkami, nie byli lepsi" (john). Poza tym „Filut na Wychowaniu Obywatelskim też nam «biedę» wciskał. Mówił o «chwilowych» problemach polskiej gospodarki i rolnictwa. Problemy rolnictwa były niby spowodowane przez złą pogodę. Przez susze albo przez za dużo deszczu itd. Zapytałem się naiwnie na lekcji, czy w zachodnich krajach jest zawsze lepsza pogoda, bo tam zawsze półki w sklepach są pełne. Odpowiedział mi, że za taką wypowiedź niestety nie będzie już piątki na świadectwie. Waldek P. powiedział wtedy, że to i tak mi «wisi», bo po wakacjach i tak wyjadę do RFN. Filut zająknął się tylko i zapytał, czy mu listy będę pisał. Na świadectwie z Obywatelskiego dostałem jednak piątkę i nawet z rosyjskiego dostałem czwórkę, chociaż wcześniej zawsze były trojki" (Fredek).

„Kilka dni temu widziałem na ulicy pana Brzozowskiego. W jesionce, lekko przygarbiony, lekko kiwający w nerwowym tiku głową. Szedł dziarsko z torbą zakupów. Kto dokładnie wie, ile on właściwie ma lat? Ze szkolnej ławki zawsze wydawało się, że ma ich

sporo, zwłaszcza że mówiło się (nie wiem do dzisiaj, czy to prawda), że był więźniem Oświęcimia. Na emeryturę odszedł chyba w latach 80-tych, albo jeszcze trochę później" (WSKH). „W tym roku (2006) pan Brzozowski bedzie mial 76 lat" (Fredek).

Florian

Zamieszkiwał na Rybakach. Przed domem, w którym mieszkał rosły piękne tuje. Jego córka wyjechała do Szwecji lub gdzieś indziej do Skandynawii.

Fluoryzacja

„W końcu lat 70-tych Ministerstwo Zdrowia czy też coś w tym stylu uznało, że stan uzębienia dzieci w Polsce jest fatalny i trzeba temu zapobiec. Zdecydowano więc, iż dzieci w szkołach podstawowych poddane będą zabiegowi fluoryzacji. Przyjeżdżali więc do szkół ludzie z baniakami tego fluoru i zaganiano całe klasy do łazienek szkolnych, gdzie w plastikowych kubeczkach podawano nam tę fluorową substancję. Ilość środka była niewielka, zakrywała może na centymetr, góra dwa dno kubeczka. Środkiem tym płukaliśmy usta przez około pięć minut. Paskudne to było strasznie. Smak trudny do opisania. Coś jakby strasznie słone i kwaśne. Po prostu paskudne. Ja zawsze jakoś dzielnie płukałem, choć przyznam się szczerze, że aż mi się źle robiło od tego świństwa. Co poniektóre dzieciaki wylewały płyn po kryjomu do zlewu lub płukały w tempie nieprawidłowo błyskawicznym. Na ile środek ten był skuteczny – nie wiem. Podawano go może dwa-trzy razy na rok. Szkoda tylko, że polskie pasty do zębów z tego okresu nie zawierały fluoru w odpowiednich ilościach" (mamut).

Foksowie

Mieszkali na Alei Przyjaciół 29, na parterze. Pan Foks był miłośnikiem samochodów, i jako jeden z nielicznych posiadał auto w latach 60-tych. Mieli maleńką córkę Agatę.

„Czasami, gdy wychodzili na miasto, pilnowałem z siostrą im dziecka. Mieli telewizor, a moi dziadkowie długo nie, więc zapraszali mnie czasem na ważne wydarzenia. Na przykład pamiętam Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w Anglii, i choćby mecze z rewelacyjnymi Koreańczykami, którzy chyba wygrali z Węgrami i omal nie pognębili Portugalii, ale uratował ją Eusebio" (jd).

Fosa z amfiteatrem (pod Zamkiem)

„Bywałem tam często w końcu lat 60-tych. Nie było wtedy jeszcze miejsca do tańczenia, a estrada stała wzdłuż najstarszego kawałka muru. Odbywały się tam wówczas imprezy o nazwie chyba «Harcerski lipiec muzyczny». Przyjeżdżały różne zespoły, w większości tzw. big-beatowe, a absolutną rewelacją był koncert Skaldów, którzy właśnie szykowali się do kariery. Od początku byli świetni i z sympatią myślę o nich i ich muzyce do dziś, choć nie podoba mi się, że ciągle występują" (jd).

G

Gabinet lekarski

„Opowiadałam ostatnio znajomym Anglikom, o tym jaką w mojej szkole (w tym wypadku nr 7) dzieci miały opiekę lekarska i dentystyczną. I to za darmo. Pamiętam dokładnie przymusowe przeglądy zębów; bałam się ich jak ognia. Nikt mi nie wierzy, że w tym komunistycznym padole były usługi, na które nawet dziś nie mogą sobie pozwolić prywatne szkoły w UK. A pamiętacie, jak pielęgniarka przychodziła przeglądać włosy w poszukiwaniu krwiopijczych żyjątek? Obecnie uważałoby się taką akcję za zamach na prawa człowieka" (nat).

Gabloty reklamowe

Z programem kin. „Kto pamięta te oszklone gabloty z programem kin? Jedna taka była na rogu Bałtyckiej z Al. Przyjaciół. Było tam miejsce na trzy plakaty: kin Polonia, Awangarda i któregoś jeszcze. Podobna gablota była też koło Dworca Zachodniego. Jako dzieciaki stawaliśmy tam często i podziwialiśmy plakaty nieosiągalnych filmów, które były dozwolone od lat 16-tu lub 18-tu. Jakoś szczególnie został mi w pamięci plakat «Godzilli kontra Mechagodzilli»" (Fredek).

„Dokładnie pamiętam gabloty z plakatami filmowymi koło przystanku i koło Dworca Zachodniego. Trzecim kinem tam reklamowanym było oczywiście Dworcowe. Z tym że jego prezentacja była całomiesięczna, w postaci porubrykowanego spisu repertuaru, i bez kolorów. Te gabloty to było wtedy niemal wszystko w rozbudowanej dziś ponad wszelką miarę sztuce reklamy" (jd).

Gajko Ania

Przyjaciółka mr. „Mieszkała na Rybakach i też oczywiście chodziła do Siódemki. Jej rodzice nadal tam mieszkają. Ciotka Ani Gajko była swego czasu wicedyrektorką Siódemki" (mr).

Gajko Piotrek

Przez niego Ada Poniatowska straciła dwa przednie zęby.

Galaretka

„W mojej pamięci szczególnie miłe miejsce zajmuje kolorowa galaretka z bloku. Sprzedawczyni odkrajała z wielkiej bryły zamówiony kawałek. Ilość cukru i sposób, w jaki galaretka ta oblepiała palce były absolutnie nie do pobicia" (DD).

„Galaretka! Z tym, że ja ją pamiętam również w opakowaniach wielkości mniej więcej paczki wiadomych sucharów. Byłem i pozostałem do dziś potwornie łakomy na słodycze (musiałem czymś wypełniać niedobory mleka) i galaretka była bardzo wysoko w moich rankingach. Kiedyś jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności stałem się właścicielem 5 zł (z rybakiem); kupiłem za nie chyba trzy galaretki. Pierwszą zjadłem natychmiast, ale mnie zemdliło od tego cukru, jednak byłem przekonany, że zjem również pozostałe, jeśli tylko pozbędę się z nich tego cukru. Wyciągnąłem więc z kuchni jakąś miskę, nalałem wody i pozostałe dwie galaretki włożyłem tam, licząc na szybkie rozpuszczenie cukru. Rozpuszczało się to pół dnia, które spędziłem w stresie, bo miałbym się z pyszna, gdyby rodzice odkryli te trzy galaretki. W końcu trochę się ten cukier roztopił, ale w sumie zrobiło się takie obrzydlistwo, że na myśl, że to ruszę... W tej sytuacji sprytnie sprezentowałem jedną galaretkę siostrze jako wielkie poświęcenie i łaskę, natomiast drugą, której już nie chciała, daliśmy psu Kruczkowi, który gdzieś ją zawlókł. Sporo nabrałem rozsądku i doświadczenia po tej przygodzie z galaretką, choć tak naprawdę tylko w odniesieniu do galaretek, które ciągle lubię, ale z zupełnie mi obcym umiarkowaniem. W trochę późniejszych czasach zajadałem galaretki owocowe o kształcie półkolistym, pomarańczowe i żółte-cytrynowe. Musicie ten rodzaj pamiętać." (jd).

„Takie żelatynki w grubym cukrze też pamiętam. Zawsze je oblizywałem najpierw z cukru, i dopiero potem zjadałem" (mamut).

Gerwazy

Mąż woźnej szkolnej. Właściciel „Oświęcimia" (ogrodu za boiskiem szkolnym).

Godlewski Janusz

Kolega Fredka i Ryby starszej.

Goldau albo **Goldan**

„Nie mogę sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmiało jego nazwisko: czy Goldau, czy może Goldan? W każdym razie był on ministrantem w Kościele Garnizonowym, szczególnym ministrantem, bo wypijał wino mszalne, brał z tacki i w ogóle nieźle rozrabiał. Raz go ksiądz albo kościelny gonił aż do tunelu między Grunwaldzką i Bałtycką" (Fredek).

Goleniowski Andrzej

Kolega z klasy Iwony i jf, rocznik 1966/67; mieszkał na Alei Przyjaciół 41. „To on organizuje spotkania naszego rocznika, zresztą wraz ze swoją starszą siostrą Krysią, także absolwentką Siodemki" (jf).

Golus Krysia

„Właśnie mija (30 kwietnia 2005 r.) 30-ta rocznica śmierci Krysi. Zginęła na przejściu dla pieszych koło przystanku autobusowego na skrzyżowaniu Bałtyckiej z Jeziorną. Z Krysią chodziłem do przedszkola. Później chodziła do mojej sąsiedniej klasy w szkole. Mieszkała na Al. Przyjaciół. Wszystko wydarzyło się w sobotnie popołudnie. Przyjechała autobusem, wyszła z niego i przechodziła przez ulicę na przejściu dla pieszych. Jakiś samochód wyprzedzał autobus. Potrącił Krysię. Poleciała kilka metrów i uderzyła w asfalt. Nie wiem, czy zmarła od razu, czy później w szpitalu. To był szok dla całej szkoły i całego osiedla. Nawet dziś, trzydzieści lat po tym wypadku, myślę zawsze o tym mijając (zawsze w wolnym tempie) jakikolwiek stojący autobus. O samochodzie, który spowodował wypadek, krążyły później pogłoski, że to była «czarna Wołga»" (Fredek).

„Nie wiedziałem, kto wtedy zginął. Ale pamiętam damskie buty pozostawione na asfalcie. Przyszedłem na przystanek chwilę po odjeździe karetki" (miki).

„Też coś mi się w pamięci kołacze na ten temat, ale niestety, żadnych informacji konkretnych nie mam. Co do czarnej Wołgi, to podobno to taka miejska legenda. Krążyła po całej Polsce. Choć kto wie... Może być w niej jakieś ziarno prawdy" (mamut).

„Wypadek Krysi pamiętam; ogromnie to przeżyłam, a najbardziej przerażała mnie ta czarna Wołga. To był bardzo smutny okres" (karolina).

Gonkiewicz Bartosz

Kolega Jacka Poniewierki. Siódemkę ukończył w roku 1990, w klasie właśnie z Jackiem Poniewierką.

Góralska Barbara

Koleżanka LP.

Górki

Znajdowały się w lesie, blisko toru saneczkowego i były świetnym miejscem do zjazdów saneczkowych i narciarskich. „Górki miały swoje nazwy, a mianowicie: Wstążka, zwana też dumnie Torem Bobslejowym (w drugą stronę od toru), nią się dojeżdżało do Mewy, a na górze Mewy były dwie górki: Zając (do ul. Morskiej – było tam trochę wypadków, a raz, niestety, saneczkarz zginął pod kołami samochodu) i Diabeł (w kierunku Al. Róż). No i były jeszcze Trzy Korony do Długiego i na końcu Długiego Cztery Stopnie (górka słaba, bo nasłoneczniona). Ale największy dreszczyk emocji był na Wilczej (przy Łynie); jak ktoś był ciapa, to gubił narty w rzece. Teraz zimą górki są puste, może ze dwie pary sanek na torze, a cała reszta zamarła" (DD).

„Do pełnego wykazu górek dopisuję jeszcze Śmierć. Była zaraz obok toru" (LP).

„Jest też jeszcze Mrówcza (koło Śmierci) i Zakręt (też tam). Te górki to śmieszna sprawa, bo moja żona jest z Beskidów i miała niezły ubaw, jak jej pokazywałem te nasze górki" (DD).

„Idealna i reprezentatywna trasa do zwiedzania górek byłaby następująca: wejście do lasu od strony nieczynnego przejazdu kolejowego na tor saneczkowy, po przejściu płaskiej części toru skręt na ścieżkę w lewo i po 50 metrach ścieżką w górę (to tak zwana Śmierć), potem podejście na wierzchołek toru i zejście na drugą stronę góry w dół ścieżką, która kiedyś nazywała się Wstążka. Na dole ścieżka rozdwaja się na prawo i lewo, trzeba pójść w prawo, aż dojdzie się na wierzchołek Zająca; zejście w kierunku Morskiej i Diabła na tyły Al. Przyjaciół" (DD).

„Kiedyś padło pytanie o nazwę górki od toru saneczkowego w stronę Długiego – to Mrówcza" (Zbyszek). „Zaraz, zaraz, Mrówcza to była górka za betonówką i kończyła się przed samą Łyną. Bywało, że wielu amatorów białego szaleństwa kończyło zjazd w rzece" (LP). „Jak możecie tak mylić górki? Mrówcza to górka (w lecie ścieżka) równoległa do toru saneczkowego. Czubek Mrówcza ma wspólny ze Śmiercią, tyle że Śmierć jako prostopadła do toru kończy się na tym właśnie torze (w miejscu, gdzie się zaczyna jego płaski odcinek). Oczywiście Śmierć, jak sama nazwa wskazuje, była zdradliwa, rzadko człowiek miał tyle szczęścia (i nośnego śniegu), żeby dojechać do toru. Wracając do Mrówczej, to do jazdy była słaba, bo ze śniegu wyłaził piach, a do tego była z korzeniami i w kształcie niewygodnej rynienki. Jak ktoś miał szczęście, to dojeżdżał do końca, czyli do drogi prowadzącej od przejazdu kolejowego w głąb lasu. Wstążka to faktycznie odjazd z toru saneczkowego w drugą stronę (Wstążka łączyła się z Mewą). Co do górki przy Łynie, to nazywa się ona Wilcza (sam widziałem wpadające do rzeki narty – na szczęście bez narciarza)" (DD).

„Cholera, coś nam się zaczyna kiełbasić z tymi górkami. Leszek mówił o Mrówczej za betonówką, a to chyba w zupełnie innym kierunku niż Mrówcza Daniela. On z kolei mówi o Mrówczej koło toru saneczkowego. Sytuuje ją w miejscu, gdzie według mojej znajomości górkowej topografii była górka zwana chyba Żbiczą lub Rysiem. Coś nie tak chyba także z tą Śmiercią. Śmiercią nazywaliśmy na początku lat 70-tych tę równoległą do toru po jego prawej stronie patrząc od szczytu. W tej sytuacji może ta prostopadła do toru to właśnie Mrówcza?" (WSKH). „Fakt; Żbicza albo Ryś też mi się kojarzy z okolicą Śmierci" (DD). „Oczywiście DD ma rację! Zupełnie pomyliłem obydwie górki" (LP).

„Chciałabym powiedzieć, że latem tego roku miałem okazję, dzięki uprzejmości WSKH, przejechać się po tych wszystkich górkach starym dobrym motocyklem polskiej produkcji. Mimo strasznej ulewy, las był wspaniały. Śmierć, tor saneczkowy, Mewa, Diabeł wyglądały jak dawniej, tylko miałem wrażenie, że tam już nikt nie zagląda. Wszystko zarośnięte krzewami. Ale mimo wszystko chętnie jeszcze powtórzę taką przejażdżkę, i to zarówno w wersji motocyklowej, jak i saneczkowej. I jeszcze jedna sprawa: czy pamiętacie tego wariata, który sypał popiołem Diabła. Było to dla nas wtedy mało zabawne, a mówiąc wprost: wredne i oburzające" (LP).

„Jeszcze w sprawie nazwy górek: na końcu Jeziora Długiego są Cztery Stopnie (a nie – jak niektórzy twierdzą – Trzy). Jest to zresztą górka absolutnie dziadowska do jazdy – dużo piachu, nasłoneczniona i w miarę płaska, za to z korzeniami na dole. Jedyny powód do tego, że na niej jeździliśmy, to pretekst do chodzenia w poprzek po lodzie przez Jezioro Długie. Podobnie marne były Trzy Korony" (DD). „Zgadza się: Cztery Stopnie a nie Trzy. Potwierdziła to mama, która twierdzi, że pamięta, jak w latach 50-tych zjeżdżała z niej na misce" (gd).

„Śmierć to była bardzo wypadkowa górka z drzewem na dole pośrodku toru jazdy. Kiedyś zimą bywały w lesie całe tłumy saneczkarzy, teraz to już rzadkość" (Zbyszek). „I ja bardzo lubiłam szalone zabawy w lesie za budynkami i stacją benzynową, na górce Diabelską zwanej. Właśnie na niej (jadąc na brzuchu – był konkurs, kto dojedzie najdalej) złamałam sobie obojczyk" (karolina).

Można mieć nadzieję, że dzieci w Siódemce uczą się dziś na geografii ukształtowania i nazewnictwa terenów górzystych wokół Jeziora Długiego, a zwłaszcza w rejonie toru saneczkowego. Innym szkołom w Polsce, UE, USA itd. też by to nie zaszkodziło, szczególnie że nie wszystkie niejasności związane z górkami zostały rozstrzygnięte, i to nawet przez światowych w tej kwestii ekspertów (DD, gd, LP, WSKH, karolina).

Grefkowicz Marek

Przezwisko Plastek. Kolega mir-mura; rocznik 1981/1982.

Grundig

„Właśnie włączyłem magnetofon TK 145 de luxe Grundig. Magnetofon stoi od bardzo dawna nie używany, ale działa. Pamiętacie ten typ? To jeden z pierwszych szpulowych «czterościeżkowców». Jakież to były przy tym sprzęcie prywatki" (Zbyszek). „Czterościeżkowy Grundig (koniecznie czterościeżkowy, bo były także dwuścieżkowe) to był prawdziwy kultowy następca kultowego Bambino" (jd).

„Co do magnetofonów, to pierwszy magnetofon, jaki pamiętam, to był kupiony przez dziadka jedno-kasetowy magnetofon Grundig. Pamiętam, że miał srebrno-czarną obudowę z wysuwaną rączką-uchwytem u góry. Miał duży prostokątny czerwony przycisk, który służył do nagrywania. Z boku magnetofonu znajdował się srebrny prostokąt siateczki mikrofonu. Pamiętam, że miałem chyba 7-8 lat, gdy dziadek go kupił" (mamut).

Grunwaldzka

Ulica. Przedłużenie Bałtyckiej (patrząc od strony Jeziora Długiego). Zaczyna się od tunelu przy Dworcu Zachodnim, a kończy przy Moście Jana. Grunwaldzka była zawsze bardzo interesująca; mnóstwo na niej było i jest sklepów, i punktów usługowych (co teraz szybko się zmienia, jeśli chodzi o branże), i targowisko, i różne inne rzeczy, a także administracja Osiedla nad Jeziorem Długim. Grunwaldzka była naszymi wrotami do miasta (bo tak w skrócie mówiło się na Śródmieście), no i ma od swej połowy pasjonujący (szczególnie w czasach kursowania tramwajów) spadek, choć patrząc od drugiej strony: podjazd, i to on sprawiał kiedyś szczególne kłopoty tramwajom, aczkolwiek i autobusy miały z nim swoje udręki.

Grzyby

Spore ilości grzybów rosły dawniej od razu po drugiej stronie mostu na Jeziorze Długim (szczególnie, gdy poszło się w lewą stronę) oraz także od razu, gdy się wchodziło do lasu na przedłużeniu Alei Przyjaciół.

„W mojej rodzinie panowało zawsze duże uwielbienie dla grzybów i bardzo często chodziliśmy zbierać je na drugą stronę jeziora. Gdy po przejściu przez most skręcało się w lewo, można było w dawnych latach znaleźć całkiem sporo. Ciekawe jest to, że na początku był kawałek lasu, w którym masowo rosły olszówki. Tych grzybów nie zaleca się zbierać, ale w mojej rodzinie z dziada pradziada istniała tradycja uznania dla olszówek, zbierania ich i zjadania. Moja babcia robiła je jako duszone oraz marynowane, i nigdy nikomu nie zaszkodziły (babcia Cywińska dożyła prawie 90-tki i zmarła na początku tego roku, inni – odpukuję – też się mają nieźle). Próbowałem później samodzielnie, gdy byłem starszy, zgłębić problem olszówek, gdyż dziadkowie nie chcieli nic tłumaczyć i pogardliwie reagowali na moje wątpliwości co do olszówek. W atlasach grzybów wyczytałem, że istnieją trzy gatunki olszówek i jeden od biedy można zjadać, ale trudno go odróżnić od innych. Wychodzi stąd, że w mojej rodzinie przechodziła z ojca na syna również umiejętność wychwytywania właściwych olszówek. Prawdę mówiąc, ja ją chyba jednak już zatraciłem i nie przeniosłem na moich synów. Poza okolicami Jeziora Długiego nigdy nie zbierałem już olszówek, a tam od

dość dawna już ich nie ma. Interesujące, że z kolei Boguś Molenda wysoko cenił surojadki, zwane także gołąbkami, które ja miałem za truciznę. No i dodam, że wokół Jeziora Długiego bywały również – w sporych ilościach – podgrzybki, koźlaki i koźlaki czerwone, do których nie sposób mieć jakichkolwiek wątpliwości" (jd).

„Ja też jadałem kiedyś olszówki znad jeziora i nigdy mi nic nie było. Moi dziadkowie zbierali te grzyby też za mostem; pamiętam, że olszówki rosły w takich ilościach, że można je było kosą ciąć. Na pewno znacie jezioro Żbik albo Podkówka; tam rosły lepsze grzyby, ale było już dalej od domu. Później, gdy byłem już trochę zmotoryzowany, jeździliśmy na grzyby do Gryźlin; mój kolega miał tam rodzinę w samym środku Łańskiego Imperium. Tam to dopiero były grzyby!" (LP).

Guma

„Czy za waszych czasów dziewczyny nie skakały masowo przez gumę (czyli grały w gumę)? U nas na przerwach między lekcjami nic innego się nie działo, tylko to skakanie: albo na korytarzach, albo na boisku, jeśli pozwalała na to pogoda, a po lekcjach na podwórkach, w ogrodach i w innych poręcznych miejscach" (mr).

Gutkowski Marek

Siódemkowicz, a poza tym był załogantem żeglarskim johninma na Warmii. „Marek Gutkowski studiował później na WSP i do dziś mieszka w Olsztynie, o ile się nie mylę na Starym Mieście. Ja kiedyś też pływałem w Warmii, byłem załogantem, a na sternika mówiliśmy «Nuna». Nie pamiętam dokładnie, jak się nazywał, ale na pewno chodził do naszej szkoły" (zyby). Szybko przypomniano, że Nuna to Darek Marczyński.

Gwozdek Krzysztof

Czyli Krzysiek G., Krzysiek, a także kgg. Syn jednej z sióstr Lewandowskich. Mieszkał na Alei Przyjaciół 32. Siódemkę rozpoczął w roku 1974, a skończył w 1982. Aktywny usczstnik życia podwórkowego, szkolnego, a potem (choć z przerwami) forumowego. Teraz mieszka na Zatorzu. Jako kkg odezwał się raz, ale w jakże ważnej sprawie, wspominając węgiel i koks zrzucany przed sezonem zimowym (grzewczym) na chodniki Alei Przyjaciół, a potem przerzucany do piwnic.

H

Hale

Chodzi o hale targowe. „Te hale były ze dwa przystanki przed Dworcem, ze sto metrów w prawo po wyjściu z tramwaju. Były to hale targowe i to co tam było w latach 60-tych wydawało mi się absolutnym i nieogarniętym bogactwem. Było tam wszystko, choć szczególnie żywność, w asortymencie, ilościach i jakościach nie spotykanych w sklepach. Kupowało tam się także żywą kurę albo indyka, no i towarzyszyła temu cała otoczka rozrywkowa, czyli wata na patyku, baloniki itd." (jd).

„Od strony ulicy Kopernika, za wejściem po prawej stronie sprzedawali pyszne pieczywo, bułeczki z serem, marmoladą, jagodami... Całość hal pachniała rybami, mięsem i potem kręcących się ludzi" (Zbyszek).

„Hale musiały być w okolicach Rynku Pułaskiego i ulicy Kajki" (jd). „Nawet na pewno na pl. Pułaskiego, dziś jest tam Manhattan" (Andulka). „Między Kościuszki i Kopernika. Jadąc tramwajem numer 1 od Jeziornej wysiadałeś na przystanku w okolicach Samowara i Dąbrowszczaków. Szedłeś Kajki do Placu Puławskiego. Nastepny przystanek był przed pl. Bema i kolejny przy Dworcu Głównym. O ile pamiętam, bilet ulgowy kosztował 20 gr. No

cóż, coś przeminęło, coś odeszło. Ten klimat tramwaju, zgrzytającego na zakrętach, trzęsącego niemiłosiernie, dzielnie wspinającego się pod Grunwaldzką pozostał tylko we wspomnieniach, ale tam pozostał na zawsze. Tak jak stara Hala Targowa, Koński Rynek i klimaty wielu innych miejsc bliskich każdemu Olsztyniakowi" (Zbyszek).

Hanowski

Ksiądz. „Właśnie przeczytałem w Gazecie o tablicy poświeconej ks. Hanowskiemu, który żył 96 lat. Pamiętam go, jak spowiadał w czasie rekolekcji w końcu lat 50-tych. Czy wiecie, że wtedy, po odwilży październikowej w 1956 r., na wiosnę, było kilka dni wolnych od lekcji z okazji rekolekcji? Uczniowie z Siódemki chodzili dwa razy dziennie do katedry. W międzyczasie można było poszaleć na dworze. Ks. Hanowski był wielkim człowiekiem i słusznie należy się mu tablica za wynegocjowanie od Ruskich, żeby nie niszczyli olsztyńskich kościołów. Z drugiej jednak strony był postrachem uczniów jako spowiednik, bo po pierwsze, był prawie głuchy, a po drugie, straszył piekłem" (czlowiek)

Harcerstwo

„Większość z was na pewno należała do harcerstwa. Było ono zresztą nierozerwalnie związane ze szkołą. Należałem do harcerstwa przez większość mojej edukacji w Siódemce. W szóstej klasie moja działalność, jak i przynależność do harcerstwa, dobiegła jednak końca. Było to związane ze zmianami kadrowymi, jak i programowymi w tym ruchu. Nowi drużynowi (a zwłaszcza drużynowe) i harcmistrze zaczęli bowiem wprowadzać «czerwoną ideologię» w harcerskie programy. Mój ojciec, który sam należał swego czasu do harcerstwa uważał, że ta organizacja powinna być apolityczna. Gdy mój rodzic zorientował się jak wygląda nowa działalność harcerska, stwierdził, że nie będzie mu nikt przerabiać syna na materiał na ZSMP-owca! W ten oto więc sposób przestałem być harcerzem. Okres poprzedzający zmiany był jednak okresem bardzo fajnym i wspomnienia tego okresu są świetne i miłe. Jak każdy harcerz, zaczynałem od bycia zuchem. Zielony mundurek, lilijka, czerwony beret i chusta były naszym ubiorem. Poznawaliśmy nowe piosenki, historie, no i bawiliśmy się setnie. Z utęsknieniem wyczekiwaliśmy momentu, w którym przeistoczymy się w harcerzy, których piersi będzie zdobić stalowy krzyż harcerski z napisem «Czuwaj» (krzyż ten, jak wam wiadomo, różnił się tym od przedwojennego krzyża harcerskiego). Każdy harcerz nosił pas z ozdobną klamrą, sznur u lewego ramienia, no i oczywiście miał przytroczoną do pasa nieodzowną finkę (byłem zresztą dumnym właścicielem aż trzech sztuk). Nieodzowną częścią aktywności harcerskich było zdobywanie sprawności. Nie pamiętam za wiele owych sprawności, ale jeśli się nie mylę były takie między innymi sprawności jak: recytator, śpiewak, historyk, prasłowianin itd. Właśnie ze zdobywaniem sprawności prasłowiańskiej mam związane jedno z najlepszych moich wspomnień harcerskich. A więc:

Nasza niewielka grupa harcerska miała dwóch wesołych i energicznych drużynowych (imion niestety nie pamiętam). Mieszkali oni podobno w okolicach szkoły. Drużynowi postanowili któregoś dnia, że będziemy zdobywać sprawności słowiańskie. Jednym z punktów zdobywania tej sprawności było zrobienie leśnego schronienia. Drużynowi ustalili więc, że wybudujemy ziemiankę. W Miejskim Lesie, około kilometra od szkoły, znaleźliśmy odpowiednie na ten cel miejsce. Była nim pokaźna dziura w ziemi. W dodatku leśny teren dookoła był nieźle zarośnięty rożnego rodzaju chaszczami, ukryty przed wścibskimi oczami spacerujących po lesie ludzi. Dziura w ziemi była o tyle świetnym początkiem na przygotowanie ziemianki, że trochę oszczędzała nam wstępnego kopania, no ale kopać trzeba było. Na początku kopanie szło nam powoli. Ściółka leśna, butwiejące gałęzie i roślinność nie sprzyjały kopaniu. Pod ściółką leśną jednakże był żółty piasek, który kopało się już świetnie. Mimo iż dziura była spora, zabrało nam ze trzy dni, zanim otwór w ziemi był odpowiedniej

wielkości dla naszych celów. Oczywiście następnym krokiem konstrukcji ziemnego schronienia było zdobycie budulca na dach. Z tym jednak nie było większego problemu. Las bogaty był w pocięte pnie i powalone drzewa. Naszym drużynowym było jednak tego mało. Niedaleko od miejsca, gdzie budowaliśmy nasze leśne schronienie, drużynowi natrafili na częściowo złamaną martwą już sosnę. Sterczący pień miał dobre 6 metrów wysokości i parę gałęzi sterczących po kilku stronach. Decyzja zapadła szybko. Pień drzew stanowił świetny materiał na budowę. Trzeba było tylko ściąć drzewo (będąc w bardzo młodym wieku, nie mieliśmy wówczas pojęcia, że łamiemy jakiekolwiek leśne prawa). Pień był jednak gruby i mimo że byliśmy uzbrojeni w kilka siekierek i toporków, ścinanie drzewa zabrało nam dobrą godzinę. Na przemian kolejni harcerze z liczącej około 12 osób grupy ścinali drzewo. Siekierki przechodziły z rąk do rąk. Drzewo powoli poddawało się młodym drwalom. Drużynowi przejęli pałeczkę (czyli siekierę) w robocie nad ścinaniem drzewa w ostatnich dwóch minutach. Wióry drewna sypały się gęsto dookoła pnia. Las wypełniał się miarowym stukiem siekier. Gdy los drzewa był już przesądzony, pień został mocno pchnięty i potężna kłoda zwaliła się z hałasem w leśnej gęstwinie. Byliśmy dumni – uważaliśmy, że dokonaliśmy wielkiego czynu, pokonując drzewo. Z radością zabraliśmy się za odcinanie wystających gałęzi. Wkrótce pień był gotów do transportu. Tu jednak pies był pogrzebany, czyli pojawił się kłopot. Pień był straszliwie ciężki i wiele trudu musieliśmy włożyć, a potu wylać, zanim pień wylądował na szczycie naszej wykopanej dziury. Po przygotowaniu dachu zaczęliśmy z kolei uszczelniać szpary w nim mchem i liśćmi. Następnie zabraliśmy się za maskowanie terenu, aby jeszcze lepiej uchronić go przed wścibskimi oczami. Nawet wióry dookoła ściętego pnia zostały oczyszczone, a pień przykryty został liśćmi, mchem i igliwiem. Pamiętam, iż we wnętrzu ziemianki porobiliśmy coś w rodzaju półek, na których stawialiśmy świece, aby nie tonąć w ciemnościach. Oprócz nas ziemianka dawała schronienie ślimakom, które często tam potem znajdowaliśmy. Ziemianka stała się naszą bazą. Była niczym schronienie partyzanta, który jak nocny zwierz chronił się w niej w ciągu dnia, aby w nocy wyjść na zewnątrz i znienacka zaatakować wroga. Spotykaliśmy się w niej, aby kontynuować zdobywanie sprawności prasłowian. Konstruowaliśmy dzidy, łuki i strzały. Pamiętam, iż mój łuk należał do wyjątkowych. Był wprawdzie – jak każdego z nas – domowej produkcji, ale materiał użyty do jego konstrukcji był raczej niespotykany. Jako jedyny byłem bowiem właścicielem łuku zrobionego z bambusa. Mój tata poświęcił na jego zrobienie jedną ze swych starych wędek. Wiem, wiem: od kiedy to prasłowianie biegali po lesie za zwierzyną z bambusowym łukiem? Okazało się, że przynajmniej ich potomkowie jednak mogli. Łuk był wyjątkowy, aczkolwiek do najlepszych nie należał, ponieważ trudno było go naciągnąć.

Leśne zabawy były wyjątkowe i mocno utkwiły mi w pamięci. Zbiórki harcerskie i nowe sprawności zakończyły się jednak, gdy któregoś dnia drużynowi oznajmili nam, iż zostali powołani do «woja». Następstwem ich odejścia były też zmiany kadrowe i programowe, o których już wcześniej wspomniałem. No i moja harcerska przygoda zakończyła się. Wiem, że niektóre z opisanych przeze mnie sytuacji nie powinny może mieć nawet miejsca i wyglądają na ewidentne łamanie zasad bezpieczeństwa, ale to właśnie była część mojego dzieciństwa. Co do naszej ziemianki, to została w końcu pozostawiona sama sobie. Z tego, co wiem została odkryta przez okoliczne moczymordy i zamieniona na pijacką melinę. Leśna wilgoć i natura dokonały reszty. Ale wspomnienia zostały. Mimo że odszedłem od harcerstwa, to zawsze jednak solidaryzowałem się z harcerzami i nadal uważam, iż jest to świetna organizacja, która uczy i pozwala rozwijać młode umysły w sposób, w jaki szkoła nigdy tego nie zrobi" (mamut).

„Istnieli również harcerze wodni. W trzeciej lub czwartej klasie zaprosili nas tacy harcerze na żaglówki. Drużynowy Stanisław Kowalski chciał zorganizować nową grupę. Uczyliśmy się wiązania węzłów, żeglowaliśmy na Omegach. Na początku każdy był pełen zapału, ale po kilku miesiącach czy nawet tygodniach zostało nas może ośmiu czy dziesięciu. W zimie

«skrobaliśmy» te drewniane Omegi. W następnych latach dostaliśmy nawet trzy nowe Optymistki. Żeglarstwo było dla nas najważniejsze. No a z drugiej strony, również nosiliśmy fajne i wyjątkowe mundurki (takie marynarskie). Na apelach w szkole staliśmy obok normalnych harcerzy (chociaż «szarakami» trochę pogardzaliśmy). Ideologii nie było żadnej, za to były obozy żeglarskie i możliwość robienia patentów żeglarskich, pływanie na Optymistkach lub Omegach, a w przyszłości nawet możliwość pełnomorskiego rejsu na Zawiszy Czarnym (łódź szkoleniowa harcerzy na Bałtyku). Na 1 Maja dostawaliśmy zwolnienie ze szkolnych uroczystości, bo niby szliśmy z harcerzami wodnymi. Drzew nie ścinaliśmy. Podczas obozu co najwyżej suche gałęzie zbieraliśmy. A nasze zdobywane sprawności to: pływak, wioślarz, bosman, szkutnik, kuk, junga, młodszy sternik. Będąc w Olsztynie, staram się zawsze zaglądnąć do klubu. W tym roku też byłem w hangarze. Tam się prawie nic nie zmieniło. Nawet zapach jest taki sam jak trzydzieści lat temu" (Fredek).

„Jedną z drużynowych harcerskich była córka polonistki, nie żyjącej już pani Henryki Maszendy. Jej imienia już nie pamiętam. Mieszkały naprzeciwko domu, gdzie zamieszkiwali nauczyciele, m. in. Filut. Z nią również budowaliśmy, jeszcze jako zuchy, ziemny bunkier w lesie. Robiliśmy nawet podziemny przekop z jednego dołu do drugiego. Dziś to chyba niewyobrażalne, bo uznane zostałoby za zbyt niebezpieczne. Do dziś w lesie, około 500 metrów od wejścia do lasu, po prawej stronie drogi, jest zagłębienie w ziemi. Jednak w końcu uznałem wtedy, że harcerstwo jest jakieś podejrzane i nie poszedłem na ślubowanie zuchów. No i tak zakończyłem już na starcie przygodę z harcerstwem" (WSKH).

„Zaskoczył mnie Serek w mundurze harcerskim! Wydaje mi się, że harcerstwo w naszej szkole skończyło się na nim i pani Pawłowskiej. Były potem wprawdzie próby reaktywacji. W jednej klasie pani Zera miała jakąś drużynę, ale w mojej nikt nie chciał się tego podjąć (zresztą ciężko zapracowaliśmy na to). Próbowała też pani ze świetlicy, ale po kilku zbiórkach jakoś to się rozlazło. Bardzo liczyłem na wspólny wyjazd na obóz harcerski. Ja wprawdzie jeździłem już od kilku lat jako «dziki harcerz», tzn. dołączano mnie do jakiejś nie znanej mi klasy, ale kto choć raz był w takiej sytuacji, ten wie, jak trudno rzeczywiście dołączyć do znającej się drużyny i być w niej zaakceptowanym przez dwa tygodnie obozu" (miki).

Harcówka

„Pamiętam, że na górze szkoły była harcówka, prowadzona przez p. Romanowicz. To były wczesne lata 70-te" (LP).

Harnaś

Kolega z klasy niektórych, i ze szkoły – wielu. Harnaś to przezwisko. Był notorycznie drugo-, a nawet trzecioroczny, a także bardzo szczupły i wysoki. Wzrostem mógł nawet rywalizować z AD. „Harnasia przeniesiono do nas karnie ze szkoły w Gutkowie. Tam chyba zawalił rok, potem w mojej klasie też nie zdał. Nie miał właściwie kłopotów z nauką, tylko czasu na nią mu brakowało. Kumplowałem się z nim gdzieś do lat 90-tych, potem zniknął, ale odnalazł się (tak, tak!) na Manhatanie. Przysłał stamtąd fax do młodszego Brulińskiego z prośbą o przysłanie świadectwa ze szkoły średniej" (miki).

Herdliczko Krzysztof

Kolega gd.

Hokej

Sport namiętnie uprawiany na zamarzniętym Jeziorze Długim. „Grałem w tego w hokeja bez przerwy. Zdobyliśmy kiedyś nawet pierwsze miejsce w Olsztynie. Pamiętam, że ci z Pekinu, nasi przeciwnicy, byli bardzo groźni, ale daliśmy im radę" (LP). „Ja również świetnie

pamiętam grę w hokeja na zamarzniętym Długim i nasze, małolatów, prośby: tylko bez rzucania krążkiem!" (Krzysiek).

„Atrakcją zimową była też gra w hokeja na Krzywym. To było o tyle praktyczne i wygodne, że jak zryte zostało jedno pole do gry, to przechodziło się parę kroków dalej i odśnieżało nowe" (AD).

Hula-hop

W latach 60-tych nastało wśród dziewcząt istne szaleństwo hula-hop, czyli dużego koła, kręconego na biodrach. „Miały to koło chyba wszystkie dziewczyny, i nie potrafiłem wówczas pojąć, jak one to robią, że im się udaje utrzymać je kręcące się na biodrach. Prawdziwie je podziwiałem. Jak którejś rodzice nie mogli kupić tego koła, to niezawodny Ogródek Jordanowski miał spory zapas" (jd).

„Co do hula hop, to za moich czasów (początek lat 80-tych) też wszystkie bardzo zgrabnie kręciłyśmy biodrami. Naprawdę nie ma w tym nic trudnego. Jednak dużo większym szaleństwem było wówczas skakanie przez gumę" (mr).

I

Imieniny

„Kto z was pamięta obchodzenie urodzin lub imienin w szkole? Ja pamiętam, że z reguły solenizant(ka) rozdawał w klasie jakieś słodycze, najczęściej cukierki, np. krówki. Sam wielokrotnie chodziłem po klasie z dużą papierowa torbą. Zawsze lubiłem takie okazje, nawet nauczyciele czasem robili to samo, jak mieli urodziny czy imieniny. Zawsze jakoś lekcje szybciej i milej schodziły" (mamut).

„Poza cukierkami w klasie, solenizant urodzinowo-imieninowy zapraszał czasem najlepszych kolegów i koleżanki do domu na małe co nie co. Z tych przyjęć – i to był powszechnie uznany zwyczaj – brało się to, co zostało dla młodszego rodzeństwa" (jd).

ITR, IMA, Powtórka z rozrywki

Jak to się dziś mówi, kultowe audycje radiowe lat 70-tych i 80-tych.

„«Momenty były?». «No masz....! Najlepiej, gdy ona...», itd. Kto to pamięta? Najpierw ITR, potem IMA, następnie już tylko Powtórka z Rozrywki" (Zbyszek). „Pewnie, że pamiętam. Ja szczególnie gustowałem w «Samouczku potwornie zdobionym» oraz w «Serwus jestem nerwus»" (jd).

Iwanowska

Koleżanka T. B. z osiedla Podlesie.

Izba Pamięci

Ważne miejsce w szkole; są tam zdjęcia i inne dokumenty z dziejów Siódemki.

J

J23

„J23. Młodocianym wyjaśniam: «Patykiem pisane» czyli Jabol. Siódemkowiczom z krwi i kości nic wyjaśniać nie trzeba. Tyle siary to człowiek nigdy potem nie konsumował" (ak). „Ja uważam, że ta siara zmieszana z podalkoholizowanym sokiem z deptanych jabłek była całkiem smakowita. Nazywano to też w moich środowiskach Bełtem, Żurkiem, Kwachem

(nikt jeszcze nie wiedział o Kwaśniewskim). Czy to jest jeszcze robione?" (jd). „Ze składu, jaki jest podawany na nalepkach butelek wynika, że SO2 już nie ma, ale wdzięczne nazwy pozostały. Teraz rekordy popularności biją takie nazwy jak Wisienka, Tytan, a przede wszystkim Byk" (WSKH). „Tak, J23 to było coś; ja spożywałem najczęściej grzane na biwakach, rajdach, kuligach. I wtedy to było zdecydowanie to" (Zbyszek). „To prawda, grzane smakowało nawet dziewczynom" (jd). „Na mnie największe wrażenie zrobiła niedawno nalepka na butelce wina o nazwie «Czar Łyny»" (DD).

Jabłońska Maria

Ze słynngeo rocznika 1965/66. „Marysię Jabłońską pamiętam doskonale; kilka lat temu spotkałyśmy się przypadkiem i od razu poznałyśmy się, mimo że nie widziałyśmy się tyle lat" (Halina).

Jagusiewicz Ania

Jagusiewiczowie mieszkali na Rybakach, trochę za Jaworskimi.

Janiszewski Krzysiek

Podwórkowy i szkolny kolega WSKH. Natomiast klasowy Zbyszka. Mieszkał na Alei Przyjaciół 47.

Jarzyński Jarek

Kolega MW.

Jaskowska Grażyna

Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T.

Jawka

Motorower. Miał taki LP i robił nim sporo hałasu na osiedlu. LP w ogóle miał dryg do pojazdów. „Mój pierwszy mechaniczny pojazd to był jakiś stary niemiecki motorower. Ciągle coś w nim nawalało, ale był dosyć szybki. Pamiętam moją pierwszą jazdę (jeszcze bez karty rowerowej) na Alei Przyjaciół. Jechałem jakoś dziwnie i zauważał to jakiś ORMO-wiec, i gonił mnie motocyklem marki WSK 125 cm od Rastańskiego, przez Rybaki, aż do Siódemki. Tam mój pojazd zepsuł się, no i ten ORMO-wiec mnie złapał. Jaka była kara za jazdę bez uprawnień, niestety już nie pamiętam (miałem wtedy ok. 11 lat)" (LP).

Jaworscy

Były tam trzy dziewczyny i dwóch chłopaków. Młodszy chłopak miał na imię Waldek i zwanym był Polwerkiem. Starszy ożenił się z córką Kierkiewiczów Elą. Jaworscy mieli dom na Rybakach, blisko Molendy, ale po przeciwnej stronie, i trochę głębiej w kierunku przedszkola; kiedyś pomalowali go na zielono, co było wówczas pewną ekstrawagancją, bo wszystkie domy na osiedlu były w odcieniach szarości lub żółci. Na wysokości ich domu było jedno z najlepszym miejsc do łowienia ryb na Długim. Ze starym Jaworskim łowił ryby LP (zresztą, z kim on nie łowił ryb?).

„Najmłodsze Jaworszczanki były na szkolnej imprezie rocznicowej, emanowały radością życia i optymizmem, aż miło było popatrzeć. Z obydwiema odtańczyłem zakręcone tańce" (jd).

„Spotkałam Pawła Jaworskiego, mówiłam mu o forum i mam nadzieję, że zajrzy. Mieszkał na Rybakach" (ryba 696). Chyba nie zajrzał, a w każdym razie nie ujawnił tego.

Jelewski Sławek

Przyjaciel z klasy DD i T.B. Powszechnie zwany Sztiopa (i tam o nim kilka informacji).

Jesień

„Jesień da się lubić, o ile nie jest listopadowa. Wrzesień z reguły zawsze był fajny: jak nie gra w piłkę, to zbieranie kasztanów i żołędzi, a następnie robienie zapałczano-kasztanowych zwierząt i ludzików. Liście zawsze głośno szeleściły pod stopami, a Aleja Przyjaciół często wypełniała się białym dymem palonych liści. W szkole zajęcia plastyczne były związane wtedy zazwyczaj z kolekcjonowaniem kolorowych liści czy nawet wklejaniem ich do zeszytów. Natomiast listopad zawsze był dla mnie jakiś smutny i szary" (mamut).

„Ja też pamiętam, szczególnie z przedszkola na Rybakach, nadzwyczajną pomysłowość nauczycielek do różnych robótek plastycznych z liśćmi, kasztanami, żołędziami i innymi takimi jesiennymi" (jd).

Jeziorna

Ulica prowadząca od Bałtyckiej do Jeziora Krzywego i będąca naturalnym przedłużeniem Alei Przyjaciół.

„Na Jeziornej, po drodze do Krzywego, największe moje emocje towarzyszyły przejazdowi kolejowemu, jakieś 150 m przed jeziorem. Gdy byłem mały, uwielbiałem, gdy szlaban się zamykał, trzeba było czekać i przejeżdżał pociąg – osobowemu się machało, a towarowemu liczyłem wagony; kiedyś jeden miał prawie 60. Zapadły mi też na zawsze w pamięć idealnie na okrągło przystrzyżone klony na Jeziornej" (jd).

„Trzy bloki przy Jeziornej są trochę upiorne, nawet jak nie straszą wydobywającym się dymem z rynien lub z nabudówki na dachu, gdzie w ukryciu nasi młodzieńcy swego czasu popijali piwko, jarali szlugi i wrzucali do rynien świece dymne" (WSKH). „Pamiętam, że w miejscu tych wieżowców było wcześniej bagnisko, pięknie zarośnięte i szybko mijane w drodze na plażę miejską" (jd). „Też pamiętam, że zanim postawiono te jedenastopiętrowe bloki przy Jeziornej było tam mokradło z paroma wielkim drzewami. Często się tam bawiłem" (mamut).

Na rogu Jeziornej i Bałtyckiej było całe lata coś w rodzaju centrum handlowego, z dużym pawilonem sklepowym w roli głównej. „Właśnie rozebrano sklep przy Jeziornej. Gdy wiele lat temu budowano go, często spędzaliśmy czas na tej budowie i nazywaliśmy ją OZOS" (Iwona). „Tak jest, sklep Jeziorna-Bałtycka został rozebrany, a na jego miejscu powstał większy market w rodzaju Malwy. Ten nowy sklep-market nazwano Bławatek. Właśnie robią nowe nasadzenia zieleni od strony skrzyżowania Jeziorna-Bałtycka; zrobiony jest też chodniczek od sklepu do przystanku, gdzie zawsze ludzie trawę wydeptywali" (Zbyszek). „I ja potwierdzam, bo zobaczyłem: Na rogu Jeziornej i Bałtyckiej stoi w miejscu dawnego pawilonu nowy wielki sklep, czyściutki i świetnie zaopatrzony (jest piwo w kilkunastu gatunkach, papier toaletowy w kilku gatunkach, Przekrój, zatrzęsienia mięsa i wędlin, ale nie ma klasycznej oranżady w proszku), jednak wygląd ma niezbyt gustowny – pospieszne nowobogactwo" (jd).

Przebudowy, związane z nowym rondem przy Dworcu Zachodnim, spowodowały zmiany także na Jeziornej: „Ulica Jeziorna zamknięta już na całego, to znaczy przy przejeździe. W minionym tygodniu rozebrali domek dróżnika i postawili blokady. Skrót z Dajtek na Aleję Przyjaciół już nieatkualny; przejazd tylko przez nowe rondo lub przez osiedle zwane Złodziejowem. Miłego urlopu i wypoczynku wszystkim, którzy odwiedzą swoje młodzieńcze miejsca" (karolina).

Jezioro Czarne

Jeziorko w parku (Ormowca) po prawej stronie Jeziornej (idąc w stronę plaży miejskiej). Raczej nie do pływania, natomiast do wędkowania. Podobno dawało się złowić w Czarnym

łososia (choć niektórzy twierdzą, że tu chodzi o lina) oraz szczupaka, i to na robaka. W budzie koło Jeziora Czarnego mieszkał pewien dyngol, co pił denaturat.

Jezioro Długie

Wspaniałe jezioro rynnowe (długie, wąskie i głębokie), wzdłuż którego biegnie Aleja Przyjaciół i Rybaki. W środku przedzielone drewnianym mostem, a za mostem otoczone wspaniałym lasem. Bez Jeziora Długiego nic by nie było tak jak było i tak jak być powinno. W gruncie rzeczy nie sposób sobie wyobrazić Osiedla nad Jeziorem Długim bez Jeziora Długiego; również wszechświat sporo by stracił (a nic nie zyskał) na hipotetycznym nieistnieniu Jeziora Długiego.

„Przyznam szczerze, choć być może nie zaskakując nikogo, że moim ulubionym jeziorem w Olsztynie jest Jezioro Długie. Po pierwsze – jest długie, co sprawia, że nie sposób go obejść czy przebiec szybko i od razu, że więc ma w sobie odpowiednią dozę tajemniczości (że nie wspomnę tu o drugim dnie, o którym dalej) i niezbędności pewnego w nim zapamiętania się. Po drugie – jest wąskie, co czyni je kameralnym i przyjaznym, pozwalającym przekrzykiwać się z przeciwległych brzegów i mieć poczucie niemal ogarnialności go. Choć gdy ktoś posunie się tu zbyt daleko, to kończy jak ci nieszczęśnicy, którzy nie dopływali z jednego brzegu na drugi. Po trzecie – są w nim ryby, a wokół grzyby, poziomki, jagody, zajęczy szczaw (bardzo smakowity), a także leśne robactwo, zaskrońce, co daje mu moc życia, a nawet przekomarzania się z łażącą wokół niego gawiedzią. Po czwarte – połowa jego brzegów porośnięta jest lasem, a połowa otwarta (połowa tej drugiej połowy była do niedawna porośnięta imponującymi topolami, ale jakaś łajza dopuściła do ich wycięcia, powinno się ją potorturować). Daje to poczucie pełni i syntezy: natury i cywilizacji, mroku i jasności, intymności i przestrzeni, zieleni i błękitu. Po piąte – nie ma na nim plaży (choć kiedyś była, gdyż Niemcy nie do końca wyczuli Jezioro Długie). Plaża zniszczyłaby wszystkie powyższe niezbędne dwoistości i dwuznaczności Długiego. Po szóste – dało się przy samym jeziorze zbudować kawałek zupełnie ludzkiego świata (ulica, asfalt, sklepy, przedszkole, szkoła, przychodnia, apteka, kiosk Ruchu, a nawet stacja benzynowa i bar Tramp), które potrafiły nie zaszkodzić jezioru, a bez których nie zostałaby dopełniona jego doskonałość naszym podziwem. Po siódme – jest na nim most (oczywiście drewniany), który pozwala wszystkie te dwuznaczności chwilowo uchylać, ale nigdy nie pozwala ich znosić (bo nie można być zarazem na obydwu brzegach jeziora); poza tym most (a wszystkie mosty – oczywiście drewniane – były udane i długo dobrze się trzymały) świadczy o akceptującym stosunku jeziora do nas, pod warunkiem, że dopełnimy wskazanych powyżej warunków odnoszenia się naszego doń” (jd).

„I ja lubię Długie. A lubię je najbardziej dlatego, że ma tajemnicze, podwójne dno, a jeśli to nie jest dla kogoś wystarczającym uzasadnieniem, to wyjaśnię to również zupełnie inaczej: otóż przez całą szkołę podstawową i średnią (czyli razem 13 lat) byliśmy zmuszani do spacerowania, a w późniejszym etapie życia do biegania właśnie wokół tego jeziora. Początkowe znudzenie, znużenie, a niekiedy wręcz nienawiść przekształciły się jednak w końcu w sentymentalną sympatię zmierzającą do uwielbienia” (betis).

„Długie w najgłębszym miejscu ma 17 metrów, natomiast Krzywe – co warto tu odnotować w imię encyklopedycznej pełni i precyzji – 46” (WSKH).

Zimą, gdy jezioro porządnie zamarzło – a dawniej zawsze porządnie zamarzało – grało się na nim w hokeja. Przed wojną była na Długim plaża miejska, a także przystań kajakowa, dokładnie naprzeciwko domu LP (Al. Przyjaciół 28) i w pobliżu koszar.

„Moim największym przeżyciem, które do dziś pamiętam, było przejście po lodzie przez Jezioro Długie wczesnym marcem, kiedy lód już był na wierzchu miękki i trochę się zapadał. Wracaliśmy w ten sposób z kościoła garnizonowego skrótem do wyjścia koło sklepu na Al. Przyjaciół” (gd).

„Pamiętacie, jak czasami Długie zamarzało bez śniegu? Była piękna tafla lodu, niczym szyba okna, a przede wszystkim wspaniale widoczne było dno. Nadzwyczajny był także poślizg; grając w hokeja trzeba było niekiedy jechać po krążek przez pół jeziora" (LP).

„Jak to jest możliwe, że kiedyś przejeżdżało się na łyżwach pod mostem na Długim, a od wielu lat już się nie daje – wody przybyło? Nie raz kąpałem się w Długim pod pękniętym lodem; choć bywały i takie zimy, że nie było wcale lodu. Często robiłem doświadczenia, czy da się przejść po lodzie na drugą stronę; jeśli się nie dawało to znaczyło, że już przybyła Pani Wiosna, no i wtedy była kąpiel. Najciekawiej jednak wpadłem pod lód na przesmyku Krzywego, razem z łyżwami" (Zbyszek).

„Ja też dużo czasu spędzałam jeżdżąc na łyżwach po jeziorze i Długim, i Krzywym. Jeździliśmy od przystanku na Bałtyckiej za most; i też przypominam sobie zimę, kiedy nie było śniegu, a tafla wody zmarznięta. Było tak parę razy i jeździło się wtedy wspaniale" (Iwona).

„Dziś u mnie rano na termometrze było –24,2. Pamiętam z lat dziecinnych takie mrozy i grę w hokeja na Jeziorze Długim. Mieszkałem właśnie nad Długim i w każdej wolnej chwili natychmiast byłem na lodzie. Widziałem też z okna, jak był wywożony lód (w olbrzymich bryłach) z J. Krzywego lub J. Czarnego; ten lód był obłożony trocinami, a wywozili go wozacy w zaprzęgu konnym. Często te konie ślizgały się, bo nie mogły podjechać po oblodzonej drodze. Bardzo przydatne w te wielkie mrozy były piece kaflowe opalane węglem, które w tamtych czasach były w niektórych mieszkaniach (chyba w większości). Przy gorących kaflach dobrze sobie było posiedzieć, ogrzewając się i jednocześnie oglądając TV. Pozostały już tylko po tym wspomnienia, ale jakie!" (Jurek).

„Mnie się wydaje, że prawie każdej zimy jezioro zamarzało. To oczywiście było powodem radości dzieci, które wykorzystywały zamarzniętą taflę jeziora jako miejsce zimowych zabaw. Niejednokrotnie zima bywała skąpa w śnieg, lecz prawie nigdy w mróz, czego efektem było zamarznięte jezioro z perfekcyjnie gładką powierzchnią. Pamiętam dwa lata, kiedy jezioro tak wyglądało. Posiadałem parę łyżew, które zresztą dostałem na gwiazdkę. Były to czarne figurówki. Nie miałem niestety hokejówek, co nie było jednak wielkim problemem, bo większość z nas miała dość «mieszany» sprzęt sportowy. Nie przeszkadzało to wcale skutecznej grze w hokeja. Wracając jednak do zamarzniętej tafli jeziora... Kilka razy zaliczyłem całą długość jeziora wraz z moją siostrą, ślizgając się z jednego końca na drugi, i to w świetnym czasie. Nie powiem, żeby to nie było męczące, ale frajda była wspaniała. Ponieważ jezioro było czyste, czyli nie zaśnieżone, to w wielu miejscach na tafli widać było pęknięcia wywołane przez ciśnienie mas lodu. Od czasu do czasu było też słychać na jeziorze dziwne trzaski. Zawsze wtedy patrzyliśmy pod nogi w obawie, że lód pęka. Ale nigdy na szczęście mi się nie zdarzyło, żeby lód się załamał. Pozostawał więc tylko moment nieprzyjemnego uczucia. Zima nie przeszkadzała także wędkowaniu. Zapaleni wędkarze wybijali w lodzie przeręble, najczęściej siekierką, ale od czasu do czasu widać też było w użyciu świdry, które były o wiele sprawniejsze i szybsze w obsłudze. Raz na jakiś czas spotkać też było można chłopców z siateczkami, siedzących czujnie nad przeręblem i łapiących plankton. Nigdy nie miałem w dzieciństwie akwarium z rybkami (za to miałem chomiki), ale wielu kolegów je miało. Pomagałem im więc często łapać ten plankton jako karmę dla rybek. Niektórzy z nich łapali go nawet dla sklepów zoologicznych, za drobną kwotę oczywiście. Zadziwiające było dla mnie oglądać te mikroskopijne żyjątka, poruszające się dziwacznie w lodowatej wodzie.

A oto, co zdarzyło mi się pewnego razu: któregoś zimowego dnia spadł śnieg, i to nawet sporo, dobre 15-20 cm. Zasypało całą taflę jeziora, ale to nam oczywiście specjalnie nie przeszkadzało, ponieważ śnieg był wtedy najbardziej ulubionym «materiałem» zabawy dla dzieci. Na jeziorze powstawały małe odśnieżone lodowiska, otoczone wysokimi śnieżnymi bandami. Niestety świeży śnieg stwarzał też niebezpieczne sytuacje. Ledwo przymarznięte

cienką warstwą lodu przeręble były często przykryte gruba warstwa śniegu w ten sposób, iż nie było możliwości je zobaczyć. W taką jedną przerębel wpadłem któregoś słonecznego dnia. Na szczęście była niewielka i zanurzyłem w lodowatej wodzie tylko jedną nogę. Nie należało to jednak zdecydowanie ani trochę do rzeczy przyjemnych. Wywróciłem się i trochę obiłem, ale śnieg osłabił siłę upadku. Wygramoliłem się szybko z mokrej dziury i zły wróciłem do domu. Na szczęście byłem blisko domu. Dojście zabrało mi może z pięć minut. Wściekły jednak byłem, że tak szybko musiałem wracać, bo zabawa zaczynała się dopiero na dobre rozkręcać. Tak więc apel do tych, którzy robią dziury w lodzie: jeśli takowe przeręble już zrobicie, to zaznaczcie w jakiś sposób lub jakoś ogrodźcie tę przerębel. Dla mnie ta przygoda zakończyła się łykiem strachu, ale dla kogoś innego może to się zakończyć tragicznie" (mamut).

„Tak rzeczywiście było, że zimą większość dzieciaczków nie mogła doczekać się ślizgawki od brzegu do brzegu, ale moim zdaniem Długie takim nie sprzyja. W ogóle nie sprzyja tym, co sobie wobec niego za dużo wyobrażają. Długie jest trochę mroczną tajemnicą, dopełniającą doskonałość tego rajskiego miejsca na ziemi (gdyby oczywiście nie topole). Ja nawet na Długie zmrożone 25-stopniowym mrozem wchodziłem w nastroju co najmniej lekkiego horroru" (jd).

„Ja bym się też o mały włos nie utopił, jadąc na sankach z małej górki koło Zbyszka. Nie zauważyłem przerębla w kształcie kwadratu. Sanki poszły pod lód, a ja jakimś cudem złapałem się krawędzi lodu i ktoś mnie wyciągnął. Miałem chyba 5 lat. Ciekawe, czy te sanki tam jeszcze leżą na dnie?" (LP).

„Ostatnio Jezioro Długie wyraźnie odżyło zimowo. Lód jest taki, że można hasać bez żadnych obaw. Wiele osób w święta to robiło. I powstało, jak kiedyś, lodowisko dla hokeistów. Jest przy zejściu nad jezioro, tym bliższym mostu. Widziałem jak 25 grudnia łyżwiarzy nagrywała telewizja" (WSKH).

Tyle tematyki zimowego Długiego; teraz czas na pozostałe pory roku:

„Kiedyś nurkowałem w Długim, ale tam jest dużo brudu, nic nie było widać. Znalazłem tylko białą butelka po piwie z napisem (po niemiecku) Leśny Browar Olsztyn. Mam ją do dzisiaj, leży w piwnicy na Przyjaciół dobrze zapakowana" (LP).

„Nie raz wyrażałem podziw dla nurkowań LP w Jeziorze Długim. Ja przy mej nieskończonej miłości do Jeziora Długiego odczuwałem zawsze mistyczny strach wobec kontaktu z jego wodami. Co prawda, raz próbowałem do niego wejść z zamiarem pływania. Było to tuż za mostem po lewej stronie, gdzie była zawsze przytulna polanka i płytki łagodny brzeg. Wszedłem do kolan i wtedy zobaczyłem pijawki, które tam zawsze były, ale jakoś sądziłem, że teraz ich nie ma. Wyskoczyłem na brzeg w przekonaniu, że gdyby pijawka mnie dopadła, to nigdy bym jej od siebie nie oderwał. Ale ważniejszym powodem tego strachu były liczne utonięcia w Jeziorze Długim (choćby starego Radziuna), o których później opowiadano legendy. Szczególnie znana była opowieść o facecie z miasta, który gdzieś na samym początku lat 60-tych wybrał się z rodziną na spacer nad Jezioro Długie. Szedł sobie z żoną i dwójką dzieci od tego miejsca z wiadomym drzewem i przed budynkiem Związku Wędkarskiego (którego jeszcze wtedy nie było) w stronę mostu. I oto gdzieś na wysokości domu LP (Aleja Przyjaciół 28) postanowił, że teraz przepłynie na drugi brzeg jeziora, a żona z dziećmi pójdą dalej do mostu i spotkają się już po drugiej stronie jeziora. Nie muszę wam mówić, że facet nie dopłynął, a rodzina przerażona stała po drugiej stronie. Szukano go całą noc, przyglądała się temu cała Aleja Przyjaciół. Tą opowieścią babcia karmiła mnie od kołyski do pełnoletności i dalej, i była to skuteczna nad wyraz metoda uchronienia mnie od jakiegoś wypadku w Długim. Natomiast w Krzywym czułem się jak ryba w wodzie, w przekonaniu, że ono jest właśnie stworzone do pływania, a nie do podziwiania jak Długie" (jd).

„Ja też w Długim z własnej woli nigdy się nie kąpałem, ale skoro piszą i mówią dziś, że jest czyste, skoro się kapią, to może trzeba będzie kiedyś popływać. We mnie tkwi uraz brudnego Długiego; może to się jednak we mnie zmieni. Obecni uczniowie Siódemki tego «naszego» jeziora nie pamiętają i wchodzą do wody bez skrupułów" (Zbyszek).

„Pamiętam, że bardzo dawno temu kąpałem się w Długim (w tym samym miejscu przy moście i również na końcu «dzikiej» części jeziora). Tyle tylko, że było to w wieku mocno przedszkolnym. Potem miałem już opory i wolałem wędrować dookoła, co mi do dzisiaj zostało" (ak).

„Nigdy nie nurkowałem w Długim, ba!, nawet palca tam nie włożyłem. Nie lubię, jak na dnie zalega muł. Mam jednak dużo znajomych nurków, i żaden z nich nigdy nie znalazł nic wojskowego pod wodą Długiego. To, co mówią na ten temat, to tylko miejskie legendy. Słyszałem również legendę o samolocie i gąsienicy czołgowej w Likuskim. Wszystko bajki" (miki).

„Tego lata zauważyłem, że bardzo licznie odwiedzane jest przez plażowiczów umarłe kiedyś pod tym względem Jezioro Długie. Miejscowi mają jeszcze jakieś opory, ale przyjezdni traktują to jak miejsce wymarzone, bo jeszcze stosunkowo mało odwiedzane. Przy moście tworzy się plaża, pojawia się w wodzie czysty piasek, a woda ma już II klasę czystości. I tak doczekamy się za jakiś czas, że padną okoliczne drzewa, a stok nadbrzeżny zamieni się w pustynię" (WSKH). „Gdy byłem na imprezie jubileuszowej, to również ze zdumieniem zauważyłem plażowanie i pływanie w Długim koło mostu. Już parę razy opowiadałem tu o moim mistycznym strachu przed wchodzeniem do Długiego, a tu proszę – pęka kolejny mit. Ale wszyscy odpukajcie, żeby nic się tam nikomu nie stało. Z tym, że o pomstę do nieba woła brud i syf panujący w tym miejscu: porozrzucane torby-reklamówki, plastikowe butelki (także na dnie jeziora), papiery i inne dziadostwo" (jd).

Przechodzimy do spraw wędkarskich:

„Kiedyś na Długim dobrze brały okonie, szczupaki, liny i duże karasie. Gdzieś w latach 78-81 jakimś cudem woda oczyściła się sama, można było wtedy z mostu dobrze widzieć dno; możecie sobie wyobrazić, co tam leży (leżało). Wtedy to właśnie urządzaliśmy połowy podwodne z kuszą. Pamiętam też raki, których trochę było, miały one kolor szary, natomiast na Żbiku raki były zawsze czerwone" (LP).

„Kiedy mieszkałem w Olsztynie, wędkowałem bardzo mało, prawie nic. Choć do dziś zapadły mi w pamięć połowy na Jeziorze Długim ze szwagrem Molendy. Było to gdzieś na wysokości domu Jaworskich. Karasie oszalały, brały jak głupie po paru sekundach od zarzucenia. W końcu szwagier zrobił na jednej wędce dwie końcówki żyłki i dwa haczyki, i wyobraźcie sobie, że dwa razy złowił po dwa karasie jednym rzutem" (jd). „Dziwnym trafem ja też miałem swoje miejsce obok domu Jaworskich, również tak jak wszyscy łowiłem karasie na dwa haczyki (wydaje mi się, że jak się dwa złapały, to mówili na to «wesele», tak przynajmniej mówił Walczuk, który, jak powszechnie wiadomo, był zajadłym wędkarzem, i chyba jeszcze jest). W tej chwili na Długim są wszystkie (prawie) gatunki ryb, ale co z tego, jak nas tam nie ma" (LP).

„Według mojej pamięci, w zamierzchłych czasach w Długim w zasadzie były tylko karasie, i to trochę zalatujące zapachowo, ale teraz ryb jest sporo. Jezioro jest czyste (prawie), zarybiane od lat przez Polski Związek Wędkarski, który jest formalnym właścicielem Długiego. Często odbywają się zawody wędkarskie. Jest szczupak, karp i inne. Podobno nawet oficjalnie można się kąpać, lecz przez tyle lat jakoś trudno mi się przestawić na te zwyczaje. Topoli żal, ale podobno trzeba było wyciąć. Saperów już nie ma, i ciekawe, kto się zaopiekuje mostem. Pod tym mostem jeździło się kiedyś na łyżwach, teraz zrobił się niski, bo najwyraźniej wody przybyło" (Zbyszek).

„Kiedyś, ze 20 lat temu, Jezioro Długie mocno wylało za sprawą nie działającego nigdy dobrze odpływu do Łyny. Słyszałem, że ktoś zapomniał zakręcić jakiś kran na Krzywym, no i

była istna powódź. Ryby można było wtedy wyciągać z wody gołymi rękami, szczególnie na polance koło mostu" (LP). „Po raz pierwszy takie wylanie miało miejsce sporo wcześniej; potem kilka razy poziom wody wahał się, i to o kilkadziesiąt centymetrów. Pamiętacie ten pomost w zatoczce, z którego zatapiano rury odprowadzające wodę do Łyny? Podtopienia były wtedy, gdy woda nie schodziła do Łyny, a z kolei nowa dopływała innymi rurami z Krzywego przez Czarne" (ak). „Zdarzało się wszakże Długiemu również, że zdumiewająco opadało. Było wtedy bardzo malowniczo, spokojnie i harmonijnie, w przeciwieństwie do niepokoju wylania" (jd).

I kilka spraw innych:

„Chodząc jeszcze do przedszkola, pamiętam, że zawsze bawiliśmy się na końcu jeziora. Często zjawiali się tam żołnierze, a my próbowaliśmy oderwać im guziki od moro, ale nikomu się to nigdy nie udało. Czasami jednak któryś z żołnierzy dawał nam guzik w prezencie (taki z orzełkiem). Miał kiedyś taki guzik ogromną wartość" (LP). „Ja chodziłem z przedszkolem w to samo miejsce na końcu Jeziora Długiego (tylko kilka lat wcześniej); kiedyś znaleźliśmy tam żmiję, zrobiła się straszna panika, ale zjawił się jakiś facet i wrzucił ją do jeziora" (jd).

„Czy nad Jeziorem Długim nadal jest tyle żab latem? Pytam, ponieważ bardzo lubiłam ich rechotanie i kumkanie" (mr). „Najwięcej jest ich w zatoce, którą kiedyś z kolegami ze szkoły nazwaliśmy «Żabią Zatoką». Zatoka ta jest na wprost przedszkola nad Jeziorem Długim (tam, gdzie kiedyś stał pomost z urządzeniami do wylewania wody z jeziora rurą do Łyny). Żaby najlepiej można oglądać, gdy jest jezioro zamarznięte i bez śniegu (czyli nie w tym roku). To naprawdę niesamowity widok: całe dno pokryte leżącymi na płasko żabami. A najlepsze kumkanie słychać w maju" (DD).

„A czy może ktoś z was torturował pająki na Długim? Wiecie, te z długimi cienkimi nogami i łażące po powierzchni wody. Nad jeziorem sporo było tych pająków. Jak się urwało im nogę, to noga sama skakała" (mr).

„Nasz wspólny z LP kolega, zwany Kuku, miał spreparowanego kruka albo wronę. Ptak stał na deseczce i wyglądał jak prawdziwy. W szóstej chyba klasie przeprowadziliśmy eksperymentem naukowy, polegający na tym, że postawiliśmy ptaka na oblodzonym i ośnieżonym Długim, i czekaliśmy, co się będzie działo, jak zachowa się prawdziwe ptactwo. No i stało się prawie tak jak w filmie Hitchcocka. Wrony przyfrunęły ze wszystkich stron, usiadły na drzewach i krakały przeraźliwie. Krążyły w powietrzu i obsadzały wszystkie drzewa w okolicy. Na pewno były ich setki. Zaczęliśmy się po prostu bać, więc złapaliśmy naszego kruka pod pachę, i szybko do domu" (Fredek).

„Nie wszystkie wierzby – jak wiadomo – są płaczące, ale te płaczące są szczególnie piękne. Była w naszej okolicy taka jedna, bardzo rozłożysta, tuż przy Związku Wędkarskim. Była jakby z trzech pni złożona. Jeden z nich prawie się kładł na ziemi, tak był nisko. Wierzba była wiekowa, miała przynajmniej 60 lat, jeśli nie więcej. Dzieci się wspinały po tym leżącym pniu pochylonym nad taflą jeziora. Któregoś roku czy to z powodu burzy, czy wieku, czy też od obciążeń, jakimi były łażące po pniu grupy dzieci, pień się złamał i drzewo po jakimś czasie padło, a następnie zostało wycięte. Głowę daję, że to drzewo pamiętacie. Jak się zjeżdżało na sankach tuż obok posesji Związku Wędkarskiego, to sanki jechały pomiędzy krzakami dzikich róż po jednej stronie, a drzewem akacji po drugiej, i zjazd kończył się nad jeziorem właśnie pod tą płaczącą wierzbą. Wierzby kochają wodę, i w takiej okolicy jak Długie miały idealne warunki do życia" (mamut). Tu należy dodać, że po długiej dyskusji zwyciężył pogląd, że ta wierzba jest topolą, i że ciągle istnieje, a odcięto tylko ten złamany pień nad taflą wody.

„Kiedyś miałem szaleństwo robienia zdjęć, i sporo zrobiłem fotografii Jeziora Długiego. Najlepiej udały się czarno białe, robione z drugiej strony jeziora z widokiem na przedszkole. Kiedy już je wywołałem, to okazało się, że jezioro w czasie fotografowania było absolutnie

spokojne i zadziałało jak lustro. Nie sposób na zdjęciu rozpoznać, co jest naprawdę drzewami, a co odbiciem drzew w wodzie jeziora. Liczne przeprowadzki i bałagan w piwnicy sprawiły, że miałbym chyba trudności z dotarciem do tych zdjęć, ale na pewno są" (jd).

„Szkoła Podstawowa nr 7 opiekuje się obecnie brzegiem Jeziora Długiego, o czym zawiadamia stosowna tablica nad jeziorem" (Zbyszek).

I kilka najświeższych (2006 r.) wrażeń jd: „Wysiadłem na Dworcu Zachodnim i już po chwili znalazłem się przy Długim z widokiem na całe osiedle. Dzięki kilku nowym dzikim drzewom nad samym jeziorem i coraz większym w ogródkach nie wygląda wszystko tak łyso jak dotychczas, choć do czasów topoli wiele i nieodwracalnie widokowi brakuje. Skręciłem na ścieżkę koło Związku Wędkarskiego i trójpiennej topoli, która ma się świetnie i wydaje się pełna energii. Wzdłuż ścieżki postawione są bardzo zgrabne, estetyczne i interesujące tablice o Jeziorze Długim, o jego historii, brzegu, ptactwie, rybach i miejscowej zwierzynie oraz roślinności; jest tych tablic chyba ponad dziesięć, ostatnia jest już za mostem, a wszystkie one tworzą Ścieżkę Ekologiczną przygotowaną oczywiście przez Szkołę Podstawową numer 7. Gratulacje dla nauczycieli i dzieciaczków za świetny pomysł i wykonanie. Brzeg jest coraz bardziej porośnięty dużymi krzewami i drzewami, a w dwóch miejscach, na wysokości mniej więcej AP 24 i AP 30, z wysokich pni dawnych topoli próbują coraz skuteczniej wyrastać nowe gałęzie. Jak ktoś wysili wyobraźnię (tak jak ja), to ma szanse wyobrazić sobie dawne topole. Zanim doszedłem do mostu spotkałem nie tylko spodziewanych wędkarzy, ale zupełnie niespodziewane nowe miejsca plażowo-kąpieliskowe; na przykład w słynnym miejscu wędkarskim przy domu Jaworskich kąpało się trzech chłopaczków. No a przy moście zrobiła się plaża, która niedługo będzie chyba konkurować z plażą miejską Za mostem po lewej stronie i w pobliżu była chyba z setka ludzi. Pływano od brzegu do brzegu, skakano z mostu; faktem jest, że woda jest czysta, piasek żółty, ale ja nie pochwalam tego plażowania, a zwłaszcza pływania w Długim. Przeszedłem przez most i ruszyłem w lewo dookoła jeziora; po drodze mijałem kolejne mniejsze plaże, i po długim spacerze dobrnąłem do przedszkola, gdzie wyszedłem na Rybaki. W przedszkolu trwa w środku remont, a na furtce na balkonik przy ośrodku zdrowia (z tego balkoniku jest piękny widok całego podwórka przedszkola) pojawiła się zupełnie zbędna kłódka" (jd).

Jezioro Krzywe

Oficjalnie nazywa się Ukiel, ale wszyscy mówią Krzywe. Nad Krzywym znajdowała się wspaniała plaża miejska, na którą zjeżdżał się w upalne dni cały Olsztyn. Na przeciw plaży miejskiej, po drugiej stronie jeziora, znajdowała się przystań i kąpielisko KKS Warmia Olsztyn, a po prawej stronie (patrząc z plaży miejskiej) kąpielisko Budowlanki.

„Zdarzało się, że Krzywe zamarzało bez śniegu, i wtedy było widać ryby i głębinki. Było to pasjonujące: jeździć po lodzie i widzieć dno. Za moich czasów budowało się bojery ze skrzynek i przykręcanych łyżew, ale ja byłem leń i jeździłem z folią rozpiętą na drewnianym stelażu. Czasami jak dmuchnęło, to prawie z łyżew wyskakiwałem" (miki).

„W Nowy Rok (2004) objechałem na łyżwach zatokę Kopernika na Krzywym. Lód wspaniały, prawie bez śniegu, więc idealnie równy, słońce piękne, -8, bojery, przeróbki windserfingow, całe rodziny łyżwiarskie, a o 14-tej rozpoczęły się kąpiele w przeręblu Morsów. Ja akurat nie miałem kąpielówek! No i te łyżwy, również niesprzyjające pływaniu. Warto też dodać, że jeden z basenów plaży miejskiej odśnieżany jest obecnie specjalnie dla łyżwiarzy" (Zbyszek).

„Specyfiką rybną Krzywego są sielawy, których w ogóle nie ma w Długim. Kiedyś można było te sielawy kupić od miejscowego «rybaka» albo samemu złowić na podrywkę. Widziałem całe ławice sielaw na przykład na Warmii" (LP).

„Kiedyś dawno temu, podczas małego rowerowego wypadu nad Jezioro Krzywe, nieźle się skąpałem (a właściwie prawie utopiłem). Byłem z kolegą i weszliśmy sobie na pomost tuż

obok klubu Warmia. Na końcu pomostu wędkarz łowił ryby. Kolega wskoczył na łódkę przymocowaną łańcuchem do słupka tuż obok pomostu. Ja miałem podążyć jego śladem, i nachyliłem się na brzegu pomostu, aby sięgnąć po krawędź łodzi. Traf chciał, że deska, na której stanąłem była nieprzybita, no i zgodnie z prawami fizyki poleciałem w wodę jak kamień i w dodatku dostałem deską przy wpadaniu do wody. Pływać nie potrafiłem, poszedłem więc na dno, od którego się odbiłem i stylem podobnym do pieska, tyle że w pionie, wypłynąłem jakoś na powierzchnię, aby znów jednak opaść w dół. Próbowałem chwycić brzegu łodzi, ale byłem w panice i nic mi się nie udawało. Zanurzyłem się jeszcze raz, jeszcze raz wynurzyłem, ręka już prawie dosięgała łodzi... Na łodzi stał przerażony kolega i nie wiedział, co robić. Nagle ni stąd, ni zowąd jakaś siła chwyciła mnie za koszulkę i uniosła z wody do góry. To był wędkarz. Ustawił mnie na pomoście, coś tam zamruczał do nas pod nosem, czego nie miałem szans usłyszeć, bo byłem w mocnym szoku i ledwo dochodziłem do siebie. Zdołałem tylko wydukać jakieś «dziękuję». Trząsłem się z zimna, i choć cała sytuacja nie trwała pewnie dłużej jak dziesięć sekund, to pietra się najadłem, że ho ho... Tego dnia długo nie zapomnę. Wracałem na rowerze, ociekając wodą. Emocje przeżytej sytuacji jakoś wytłumiły wstyd jechania w tym mokrym stanie przez osiedle. Dotarłem do domu, dostałem od mamy drobna burę, zmieniłem ciuchy na suche i mając wszystkiego szczerze dość zasiadłem przed telewizorem. Właśnie prezenterka telewizyjna podawała pierwsze wiadomości o zamachu na Jana Pawła II. Taki to miałem dramatyczny dzień" (mamut).

„W końcu lat pięćdziesiątych niedaleko kładki w pobliżu przystani OKS (potem chyba Stomil?) leżał w trzcinach kadłub stateczku z napisem «Kopernik». «Kopernik» nie miał pokładu, tylko kadłub. Z innymi dzieciakami po kąpieli zmienialiśmy w tym kadłubie kąpielówki. Pamiętam, że strasznie tam śmierdziało, bo inni używali ten obiekt jako toaletę. Czy ktoś pamięta ten wrak?" (czlowiek).

„Parę lat temu zrobiłem na plaży nad Krzywym boisko, za przystanią Bryza, obok OKS-u. Jest trawiasto-piaszczyste, przyjazne i rekreacyjne. Można pograć nad wodą, potem wykąpać się w jeziorze, są napoje mało alkoholowe, ewentualnie grill. Wszystkich zapraszam" (Zbyszek).

Jezioro Kortowskie

Jezioro Likuskie

Naprawdę, czyli oficjalnie, nazywa się Sukiel.

Jędowa (albo Jendowa)

Właścicielka słynnego pola Jędowej (Jendowej), na którym rosła między innymi kukurydza, a także smakowite poziomki. Zdaniem LP to pole było za przystankiem na Bałtyckiej.

Jola

Jd przypuszczał (niesłusznie), że Jolą była nat. „W jedno lato, chyba pod koniec lat 60-tych, bardzo zakolegowałem się z dziewczyną trochę starszą ode mnie, która mieszkała mniej więcej w okolicach nat i która była bileterką na plaży miejskie nad Krzywym. Towarzyszyłem jej na plaży przy tym sprzedawaniu i sprawdzaniu biletów całe dnie. Nie zapamiętałem jej nazwiska (a początkowo również imienia), i pomyślałem że może to nat, co byłoby niesamowite, a sytuacje niesamowite to jest to. Tak więc nat powinna głęboko poszperać w pamięci, bo może jednak była tą bileterką" (jd).

„Bileterka na plaży!!! W oczach moich rodziców plaża to było miejsce rozpusty moralnej i mogłam się tam wyrwać tylko po kryjomu. Pewnie dlatego do dziś nie umiem pływać. Ta

panienka, która zauroczyła jd, to była zapewne moja bystra sąsiadka o imieniu Jola. Namiary nawigacyjne też pasują, chociaż mogę się mylić. Może i trochę szkoda, że to nie byłam ja, bo byłaby to wspaniale nieoczekiwana kopalnia wspomnień. Zgadzam się również, że nielogiczna nadtroskliwość rodziców pozbawia czasami doświadczeń, które pomogłyby wzbudzić sentyment do minionych dni. Muszę jeszcze dodać, że «bystra sąsiadka» to określenie jak najbardziej pozytywne. Poza tym Jola była blondynką, szczupłą, wysoką, o inteligentnej buzi i właściwym poczuciu humoru" (nat).

K

Kaczanowski Marek

Kolega mamuta i ML. „Dawno temu taplaliśmy się razem w tej wielkiej piaskownicy na Alei Przyjaciół koło domu na skraju lasu! Tuż przy drodze. Było tam wspaniałe miejsce na zabawy i wyjątkowo dobry piach!" (ML).

Kaczmarek

„Kaczmarka musicie pamiętać z A-klasy, bo to z nim miałem najbliższy kontakt przyjacielski. On był moim świadkiem na ślubie, a ja u niego. Do tego moja żona jest matką chrzestną jego córki" (AD).

Kaczorowski

Kolega LP i Fredka. Mieszkał w barakach, potem przeprowadził się na Osiedle Mazurskie. Jego siostra Alicja chodziła do klasy z ak.

Kaczyńska Joanna

Czyli zenobiab. Chodziła do klasy z AD, mamutem, mir-murem, boraską; obecnie mieszka w Słupsku. Jej związek ze szkołą był nieco luźniejszy niż pozostałych, co było powodem pewnych kontrowersji. „Wiecie, co mi napisała wydra jedna? Że «nie czuje się nawet związana za bardzo z tym miejscem». Na starość ludzie jednak bardzo dziwaczeją, a taka fajna z niej kobitka była" (mir-mur). „Ona bodajże przyszła do Siódemki dopiero w siódmej klasie. To trochę tłumaczy jej brak przywiązania do naszej sławetnej budy" (mamut).

„Pamiętam, Zenobia, twój pierwszy dzień w klasie – warkocze, podkolanówki w paski i ten szeroki uśmiech od ucha do ucha. Potem rajd rowerowy z Serafinem i twój nocleg poza namiotem przy ognisku, biwak w Nataci, kopanie łopatą w Szestnie itd. Przeróżne, ale zawsze śmieszne historie szkolne ciągle i nierozłącznie kojarzą mi się właśnie z tobą. Gdy rozmawiam lub koresponduję z kimkolwiek z naszej klasy w Siódemce, to zawsze pada pytanie, czy wiem, co dzieje się z Zenobią. Nie wiem jaki z tego wszystkiego wniosek? Że może nieświadomie, ale skutecznie wbiłaś się bardzo pozytywnie w pamięć ludzi z podstawówki. Szkoda, że nie czujesz się związana. Naprawdę? Ani trochę? Chyba nie spisałaś wszystkich tak szybko na straty? A pamiętasz chociaż kto i kiedy ochrzcił cię Zenobia?" (borasca).

„No kurczę blade, co to za gadania. Ja tylko nie czuję się związana ze szkołą jako «obiektem budowlanym»! Rzeczywiście, nie pamiętam nauczycieli, klas itp. (bo byłam tam tylko rok, a pozostali nieco więcej), ale pamiętam ludzi i to właśnie z nimi czuję się związana dozgonnie. Olsztyn i Al. Przyjaciół to najlepsze moje lata. Zenobia Brunszwicka to oczywiście pomysł takiego jednego dryblasa, co się tutaj AD podpisuje. Napisałam mu nawet maila, ale chyba nie wie, od kogo dostał, bo podpisałam się swoim prawdziwym imieniem. Co prawda warkoczy już nie mam, ale jakieś podkolanówki w paski znajdę. A gęba nadal mi

się śmieje na przekór wszystkim i wszystkiemu, a już szczególnie jak was widzę na forum" (zenobiab).

„Korzystając z okazji, chcę podziękować Zenobii za przepisywanie mi zeszytów, których notorycznie nie prowadziłem. Normą było u mnie to, że jeden zeszyt był co najmniej od trzech przedmiotów, ale w tamtych czasach tak dużo się mówiło o oszczędzaniu papieru, że należy to traktować jako mój mały wkład w ratowanie lasów" (mir-mur).

Kaimowie

Mieszkali na Alei Przyjaciół 28, na parterze. Gdzieś w połowie lat 70-tych wyprowadzili się do Śródmieścia na ulicę Barbary. Dzieci nazywały się Jola, Halina i Krzyś. Z Krzyśkiem przyjaźnił się jd.

Kanada

Tak na początku nazywano linię autobusową nr 11. „Może dlatego, że 11-stka jeździła do Gutkowa, które wydawało się dalekie «jak Kanada»" (Rafal). „Zdaje się, że o tej prawdziwej Kanadzie mówi się, że Kanada jest pachnąca żywicą z racji leśnych bogactw. Chyba ktoś skojarzył 11-stkę i wymyślił Kanadę pachnącą cebulą. Chyba każdy wie o co chodzi, kto choć raz miał okazję jechać 11-stką" (WSKH).

Kanka (kanki)

Dawno temu mleko, a nawet śmietana były nalewane z konwii (dużej i hurtowej) do kanek (mniejszych, detalicznych i indywidualnych). Pewnie jeszcze gdzieś te urządzenia by się znalazły.

Kapsle

Zamknięcie do butelki (szczególnie piwnej) i przyrząd do gry podwórkowej męskiej (chłopięcej), zwanej – ku czci wiadomej imprezy, która w sposób niewyobrażalny pasjonowała w tamtych czasach ludzi – Wyścigiem Pokoju.

„Ach te kapsle, to była zabawa. Nigdy specjalnym asem w nich nie byłem, ale bardzo lubiłem w to grać. Fredek musi je świetnie pamiętać. Tuż pod jego oknem zawsze cegłą przecierano «szlaki kolarskie». Obok zresztą stała wtedy taka nieduża chałupka. Pewnie ją również Fredek pamięta. Krótko po jego wyjeździe ją rozebrano. Zresztą właściwie sama się rozpadła" (mamut).

„Tak, na podwórku zawsze się coś działo. Dzieciarni było do licha. Podczas prawdziwego Wyścigu Pokoju zawsze nas szczególnie mocno brało na te kapsle. A jak ktoś miał kolorowego kapsla, to był już extra spec. Kapsle zbierało się przeważnie koło sklepu na rogu Jeziornej z Różową. W kapsle wkładaliśmy kartki z flagą, numerem i nazwiskiem zawodnika. Problem był w tym, że każdy chciał być Szurkowskim. Trasę robiło się, czyli rysowało, cegłówką. Teren pod moim oknem nadawał się bardzo dobrze, bo trochę się wznosił, co urozmaicało szlak wyścigu" (Fredek).

„Tak, tak, Wyścig Pokoju. Podwórka wtedy pustoszały, a następnie zapełniały się kapslowiczami. Do dziś mam zwyrodnienie naskórka na środkowym palcu" (WSKH).

Karbid

„Jak już weszliśmy – bo niniejszym właśnie wchodzimy – na tematy różnych fajerwerków, to chyba należy też wspomnieć o strzelaniu z karbidu. Na okolicznych budowach domów można było zdobyć karbid. Wsypywało się kilka kostek do litrowej puszki po farbie, zakładało pokrywkę, a w denku robiło się małą dziurkę. Trochę wody, i po kilku minutach pod dziurkę trzeba było podłożyć ogień, co już było jednak drobnym ryzykiem. Można było podetknąć zapałkę lub doprowadzić jakiś lont. Jak za dużo było karbidu, to

pokrywka wyskakiwała z wielkim hukiem, a ręka mogła zostać poszkodowana. Starsi robili super-bomby: karbid sypali do rur i kołkowali z obu stron. Przy takim fajerwerku lepiej było się gdzieś schować w bezpiecznej odległości" (WSKH). „Ja strzelałem ze śrub (szczegółów nie będę opisywał, by nie uczyć takich zabaw). No i oczywiście z karbidu w puszce jak najbardziej również" (Zbyszek).

„A kto pamięta latające nakrętki po wódce? Napełniało się aluminiową nakrętkę saletrą przemieszaną z cukrem pudrem. Następnie zaginało się nakrętkę do wewnątrz, aby ją zamknąć. Wycinało się dwa otworki w górnej części kapsla i odpalało. Kapsel odwracano przedtem otworkami do dołu, tak aby ciśnienie uniosło odpalone cacko. Kapsel z reguły wzlatywał na 2-3 metry i na kilka sekund. Bywało jednak sporo niewypałów w tych eksperymentach. Saletra i cukier puder były też głównymi produktami do robienia tzw. wulkanów" (mamut).

„Swego czasu popularna była pleksa, ładowało się puszkę po Ince do pełna i... wiadomo co" (LP).

„W sprawie petard z saletry: pamiętam jak mir-mur nosił długie włosy i raz przyszedł mocno obcięty. Jak się później okazało, był to skutek wypadku przy pracy nad saletrą. A pamiętacie, jak Zenobia szukała kogoś do pomocy, aby pomógł jaj pomalować pokój? Kupiła sobie Młodego Chemika i eksperyment «wypalił» wręcz rewelacyjnie i ponad wszelką miarę, odciskając się na ścianach i suficie" (tepsik). „Z tym eksperymentem to było tak, że faktycznie miałam zestaw Młody Chemik, ale doświadczenia z książki-poradnika stały się nudne. Postanowiłam więc zadziałać na własną rękę i namieszałam w kolbach co było pod ręką. Ponieważ dalej nic się nie działo, więc kolbę podgrzałam co nie co, no i w efekcie małej eksplozji efekt doświadczenia rzeczywiście pozostał na suficie i na tapecie, po której materiał eksperymentu spływał. Wypaliło spory pas i musiałam coś szybko poradzić (u mnie w domu mieli już dość moich doświadczeń, gdyż niektóre były bardzo kontrowersyjne «aromatycznie»). W końcu zeskrobałam ścianę, a pasek nowej tapety przykleiłam klejem biurowym" (zenobiab).

Karczewska

Koleżanka T.B. z osiedla Podlesie.

Karmowski Jurek

Kolega LP i DD. Chodził do jednej klasy z Iwoną i DD. U Karmowskich był pierwszy telewizor w okolicach Rybaków i całe gromady dzieciaków przychodziły do nich na TV. „Mnie się wydaje, że Jurek Karmowski nie uczył się w klasie z DD; myślę że był rok młodszy ode mnie i uczył się w jednej klasie z Grażyną Dziankowską. A może moja pamięć jednak zawodzi?" (gaga).

Kartingi

„Podobną technologię wykonania jak bobsleje miały letnie wyścigówki, którymi się zjeżdżało z górek. Niektórzy nazywali je kartingami i jeszcze jakoś inaczej. Cztery kółka na dwóch ośkach, deska do siedzenia i skrętna przednia ośka, którą kierowało się nogami. Tak samo jak w bobslejach, deski skrętna i środkowa łączone były śrubą przez otwór wypalany pogrzebaczem. Wyczynem było zjechanie z Diabła bez wywrotki. Dodam, że taki karting hamulców nie miał" (WSKH).

Karty

„Graliście w karty w czasach szkolnych? Ja u kolegi na Rybakach. Po szkole jeden patrzył przez okno, czy matka nie nadchodzi, a reszta rżnęła w pokera" (WSKH). „Ja grywałem w tysiąca, kierki i w grę o pięknej nazwie Dupa Biskupa" (jd). „Była jeszcze świetna gra

Makao, ale tak ogólnie to dzieciom nie pozwalano grać w karty. Ciekawe dlaczego? Żeby na hazardzistów nie wyrosły? Za to pikuty były dozwolone jak najbardziej!" (nat).

Karzel Allan

Czyli ak. Mieszkał na Alei Przyjaciół 27, na I piętrze; ma starszego brata i starszą siostrę. Siódemkę skończył w 1972 roku, a jego wychowawczynią była pani Kraszewska. Potem chodził do LO 2. Teraz mieszka w Niemczech. Allan przygotował – obok Fredka – najświetniejszy i najobszerniejszy zestaw zdjęć z jubileuszu, a wszystko do obejrzenia na stronie internetowej http://www.allkar.de/info.html.

„Cóż ja mogę powiedzieć o sobie? Kariera? No tak, początki były niezłe. Zaczęło się w końcu od 7-ki, ale potem... Więc po ośmiu latach jakoś poszło dalej – szkoła średnia, potem studia, praca, jedna, druga, trzecia, gdzieś tam wojsko. Trochę zajęć na boku – tu parę fotek dla firmy zajmującej się katalogowaniem resztek zabytków, tam parę zdjęć w gazetach, agencja fotograficzna, gdzieś znowu jakaś fucha. No cóż, jako niestowarzyszony, czyli bez tego najważniejszego ówcześnie papieru w twardych, czerwonych okładkach, nijak się w tamtych układach przebić nie mogłem. W pewnej dużej państwowej firmie, w której zdarzyło mi się dłużej popracować w moim teoretycznie głównym zawodzie, kolega dyrektor powiedział mi pewnego dnia wprost: «Wiecie, to przedsiębiorstwo o strategicznym znaczeniu dla państwa. Wiedzę, umiejętności i magisterkę macie, ale awansować to możecie dopiero, gdy podpiszecie. Mogę was rekomendować». Zwiałem więc na trochę do rzemiosła, mając papiery z Izby Rzemieślniczej, i pracowałem przez jakiś czas jako fotopstryk. Takie to wątpliwe drogi wątpliwej kariery. Cóż więcej? Gdy jakoś tak, w grudniu 81-go zazieleniło się na ulicach, i niestety nie była to wcale przedwczesna wiosna, wylądowałem też w tej drużynie. Co nieco później zostałem nawet mianowany na «gwiazdora». Po przeniesieniu, w nowym mieście, stary obchodził mnie ostrożnie i dużym łukiem, aż któregoś dnia nie wytrzymał i na uboczu, po godzinach spytał: «Słuchajcie, jak to jest? Wy bezpartyjni i robicie karierę? I to oficera? Jakim cudem?». Odpowiedziałem mu też pytaniem: «Wy materialista i w cuda wierzycie?». Trochę go zatkało, dopił i zniknął. Potem znowu dystans, i w krótkim czasie przybyło mi gwiazdek. Tak też można było robić «karierę». Ale mi już za dużo było tego bełkotu, obłudy i frazesów. Wkrótce po «demobilu rezerwy» przybiłem do nowych brzegów. Tutaj jako «dyplomowany inżynier bezrobotny» nie miałem początkowo wielkich widoków, ale śrubek na taśmie przykręcać jakoś nie chciałem. Nie, nic nie mam przeciwko ludziom, którzy to robią, ale jak wiadomo upodobania są różne i bogu za to dzięki. Cóż pozostało? Uczyć się dalej. Po paru latach zmagań z informatyką, z nową bumagą w dłoni rzuciłem się na tzw. wolny rynek i tak jest do dzisiaj. Obecnie zajmuję się pracą zespołu w pewnym ogólnopaństwowym centrum obliczeniowym za Odrą, ale nie jako f.....g Big Boss. Tak wysoko mnie nie wykołysało. Trochę niżej, na poziomie wydziału. Ogólnie rzecz biorąc, internet w szerokim pojęciu, czyli nie tylko www (co stanowi margines), ale głównie wymiana i opracowywanie danych z konkretnego sektora gospodarki dla jeszcze konkretniejszych klientów poprzez dedykowane dojścia. Mainframe, Unix, to całe popaprane Windows we wszystkich swych możliwych wariacjach i dewiacjach, bazy danych itd. itp. Właściwie nic, co byłoby interesujące dla postronnych, nie wprowadzonych w temat, a jednak morze informacji i ogrom pracy. Tworzę trochę bałaganu w potężnej bazie danych, popełniam od czasu do czasu jakieś programiki lub dynamiczne stronki internetowe. Raz na Javie, raz nie. Aczkolwiek tego coraz mniej, bo im wyżej się człek pnie, tym mniej ma czasu na faktyczną pracę. Więcej zżerają zajęcia mało- lub wręcz nieproduktywne, w gruncie rzeczy zbędne, ale mimo to wymagane. He he, tutaj też! Czyż to nie ironia losu? Tak więc nic szczególnego i o karierze trudno jest mówić. Człek podchodzi do życia nie jak jd – filozoficznie, z poezją i bluesem w duszy – lecz całkiem pragmatycznie, co podjeżdża chyba bardziej pod heavy metal z elementami hard rock'a: kołowrót codzienności, rodzina, dom,

praca i coraz bardziej traci się ten i tak już szczątkowy luz. Takie klasyczne egzystencjalne bolero, ale przynajmniej z niezłą orkiestrą. A jeśli chodzi o karierę, to czasami myślę, że chyba może lepiej było wybrać Bieszczady" (ak).

„Przypominam sobie, że brałem kiedyś udział w tzw. Olimpiadzie Ruchu Drogowego. Nasza Siódemkowa drużyna (nie pamiętam, kto był jeszcze ze mną) odpadła w teście pisemnym w finale miejskim na skutek bardzo dwuznacznego pytania, które do dzisiaj pamiętam: «Jaki pojazd może holować motocykl?». My zrozumieliśmy, że to motocykl ma ciągnąć, egzaminatorom chodziło zaś o ciągnięcie motocykla za innym pojazdem. Rozczarowanie było gigantyczne i nie pomogły żadne próby tłumaczenia. Komisja była wręcz urażona, że takie dzieciuchy mają czelność zwracać im uwagę. No cóż, polonistami milicjanci nie byli" (ak).

„Zawsze uwielbiałem fotografować. Fotki robiłem sam, trenując wywoływanie filmów, i to jeszcze na ORWO. Niestety, z czasem wyblakły, dostały barwnych odchyłek. W tamtych czasach robiłem wszędzie i wszystko, jak popadło, choć zazwyczaj na zamówienia" (ak).

Kaszuba Ela

Mieszkała na Alei Przyjaciół 39, naprzeciwko szkoły, na I piętrze. Do dziś mieszka tam jej mama. Ela chodziła do przedszkola, a potem do jednej klasy szkolnej między innymi z Izą Trojanowską i jd. Krewna (w wyniku zamążpójść) Iwony. Ma córkę Beatę, dziś już dorosłą, studiującą w Warszawie, oraz syna.

Kawecki Jacek

Kolega Fredka i Ryby starszej.

Kępiński

Wojenny kombatant. „Mieszkał na Rybakach 48. Był znany wszystkim, przynajmniej tym z zachodniej części dzielnicy. Gdy wracał ulicą od autobusu, to wszyscy słyszeli, bo rzadko kiedy nie był na mocnej fazie. Wszyscy też znali jego psa. Włochaty kundel Dżek, nazywany przy swego pana Dżedże, miał jedną cechę, która zapewniła mu trwanie na zawsze w świadomości mieszkańców. Non stop szczekał równym monotonnym rytmem, a na starość chrypiącym głosem, do księżyca i do słońca. Szczekał tak do końca swych dni. Miał jedną złą dla siebie cechę, że biegał za samochodami, i w końcu trafił na swój ostatni. Kombatant miał też Siódemkowe dzieciaki. Renata grała chyba w świetnej drużynie szkolnych siatkarek. Boguś, już jako dorosły, popijał nad Długim z kolegami, chyba koło domu LP, tam gdzie teraz stoi wyrzeźbiony anioł. Jednego listopada (tak, tak, taki miał mocny charakter) założył się z kolegami, że przepłynie na drugi brzeg jeziora. Jednak nie dopłynął" (WSKH).

Kicerman Jacek

Kolega szkolny Iwony i jf. Organizator i gospodarz spotkań klasowych ich klasy. Jednak pojawił się pewien (bo wcale nie zasadniczy) problem faktograficzny: „Sprostowanie do Encyklopedii: Jacek Kicerman nie uczył się nigdy w naszej szkole" (jf).

Kiczol

Kolega mamuta i AD. „Kiczola lubiłem. Miał taki luzacki styl, podobnie jak Kufel. Nie przejmował się byle czym" (mamut). „Masz racje, w porządku chłop był, tylko trochę w sobie zamknięty. Najbardziej kojarzy mi się z nim chodzenie swego czasu na ryby. Robiliśmy to na wszystkie sposoby: ściągaliśmy Ściślewskiemu (właściciel tego małego jeziorka na Likusach) «pupy», łowiliśmy na wędkę albo też na ciasto z kwaskiem bornym. Przy tej ostatniej metodzie wystarczyło posypać trochę ciasta na wodę, i poczekać aż ryby wypłyną trochę otumanione. Na tę metodę połowu trzeba było wcześnie wstawać, ok. 3-ej w nocy, a kto zna

Kiczola, ten wie, że on lubi spać! Więc powiedzieliśmy mu, żeby przywiązał sobie sznurek do nogi, to jak zaśpi, będziemy go budzić za pomocą tego sznurka. On niestety przywiązał go do lampy, czy czegoś w tym stylu, i narobiliśmy trochę huku w domu. Pokazała się w końcu jakąś postać na balkonie, którą co nieco zbluzgaliśmy, w przekonaniu, że to Kiczol. Okazało się jednak, że to była Kiczola mama, zbudzona hukiem spadającej lampy. Nie pamiętam, czy on się wtedy obudził czy nie, ale my daliśmy nogę" (AD).

Kierkiewiczowie

Czesiek, Rysiek i dziewczyna Ela (rocznik 1965/66), która wyszła za starszego Jaworskiego. Mieszkali na Alei Przyjaciół 33. Mama Kierkiewiczowa była chyba siostrą mamy Radziunowej. Kierkiewiczowie gotowali obiady domowe, które były bardzo dobre. Wszyscy wprawdzie mówili o nich „Kierkiewiczowe", ale naprawdę nazywali się Kirkiewiczowie, co przypomniała gaga. „Ponieważ utrzymuję kontakt z Kirkiewiczami, a szczególnie z Elżbietą, to możecie mi wierzyć, że pisownia, którą podałam jest prawidłowa. Potwierdziła to seniorka rodu p. Janina Kirkiewicz. A propos: nie mieszkają już na Alei Przyjaciół; sprzedali mieszkanie i kupili dom w Różnowie" (gaga).

Kino

Sztuka filmowa cieszyła się zawsze wśród nas i w naszych okolicach powszechnym uznaniem. Działała na wyobraźnię, dawała przedsmak innego świata, poza tym wyświetlanie filmów i chodzenie do kina było (jeśli już było) przyjemniejszą formą lekcji szkolnej.

„Każdy z was na pewno brał udział w wypadach do kina z klasą lub nawet z całą szkołą. Pamiętam, iż przynajmniej dwa razy w roku odbywały się tego typu imprezy. Staram się przypomnieć sobie niektóre filmy, ale tu niestety pamięć mnie nieco zawodzi i raczej kiepsko mi idzie. Pamiętam w każdym razie, że na pewno zaliczyłem z całą szkołą takie filmy jak: «Wielka Podróż Bolka i Lolka», «Potop», «Westerplatte». Tytułu kolejnego nie pamiętam, ale film był ruskiej produkcji o jakimś psie, który się zagubił, i o jego perypetiach w odnalezieniu swoich właścicieli. Kończy się zresztą tragicznie i skłamałbym, gdybym powiedział, że ów film mnie nie wzruszył. Następną produkcją rosyjską, ale i tego tytułu nie pamiętam, był film, który opowiadał o grupie dzieci mieszkających w Azerbejdżanie czy Kazachstanie, i o figlach, które psociły. Pamiętam, że oglądałem ten film w Awangardzie; po raz pierwszy byłem wtedy na balkonie kina, więc zapamiętałem. Film kolejny, to rosyjska baśń «Konik Garbusek», świetnie zresztą przez ruskich nakręcona. Tyle zostało w mojej pamięci, ale było tych filmów o wiele więcej, więc może ktoś inny zachował coś w pamięci. Na pewno nie raz zaliczaliście ze swoimi klasami olsztyńskie kina" (mamut).

„Nasza klasa wybierała się pewnego razu na «Faraona». Już ubieraliśmy się w szatni, gdy pani kierownik szkoły zadecydowała, że zabrania nam (8 klasa) tej wycieczki, że to film za poważny, nie dla dzieci, i nie możemy iść" (Iwona).

„Co do kin, to pamiętam także różne afery z wpuszczaniem (a raczej niewpuszczaniem) na filmy od lat 16-tu czy 18-tu. Tego kiedyś ostro pilnowano, ale kiedy w Polsce były popularne filmy z cyklu «Godzilla», to udało mi się namówić ojca, aby mnie na jeden taki film zabrał. Już w kinie okazało się jednak, że nie będzie to film o Godzilli, tylko coś podobnego. Tytuł, jeśli się nie mylę, brzmiał «Pojedynek potworów». Film dozwolony był od lat 15-tu, a ja miałem wtedy chyba 7 czy 8 lat. Wchodząc do kina zostaliśmy zatrzymani przez bileterkę. Spojrzała krytycznie na mnie i na ojca: «No co pan, ten film jest dozwolony od lat 15-tu. On jest za mały». «Nie szkodzi – odpowiedział z uśmiechem tato, – ja mam po trzydziestce, to doda pani trochę z moich i będzie piętnaście». W taki to sposób wylądowałem na projekcji filmu. Dla siedmiolatka film był poważny. Nieźle mi szło z czytaniem tekstów, choć może czasem zbyt szybko znikały z ekranu. Jedną z pierwszych scen filmu był atak morskiego potwora, który zaatakował rybacki kuter. Scena była straszliwa: potężne macki

oplatały łódź, gdy nagle pojawił się następny potwór, coś w rodzaju krzyżówki Godzilli i King Konga. Małpa owa zaatakowała potężną ośmiornicę, a następnie zabrała się za statek. Nie ratowała ona bowiem bynajmniej załogi przed ośmiornicą, tylko starała się zaspokoić swój apetyt na ludzkie mięso. Nie będę rozpisywał się dalej o filmie, bo to nie o to chodzi, ale film dla dziecka w moim wieku był przerażający. Pamiętam do dziś całą jego treść, i szczerze mówiąc, był to jedyny film w moim życiu, na którym się naprawdę bałem. Żaden inny film już później mnie nie wystraszył. Ciekawy może jest fakt, iż bałem się na tyle, że trzęsły mi się kolana. Mój tato zauważył to i zaproponował, że może wyjdziemy z kina, ale ja zareagowałem energicznym «Nie! Chcę zobaczyć do końca». Po seansie tak byłem pod wrażeniem filmu, iż co chwila pytałem ojca, czy potwór może wyłonić się zza któregoś budynku. Byłem jednak dumny, gdy w klasie mogłem o filmie opowiadać moim kolegom, którzy nie mieli szansy go obejrzeć. Negatywnym aspektem oglądania tego filmu był fakt, że o ile przed pójściem na ów nieszczęsny film, rodzice moi często zostawiali mnie i siostrę wieczorem w łóżkach, a sami wymykali się na wieczorne spacery, to po tym seansie spacery skończyły się na dłuższy czas. Mój strach przychodził z ciemnością i brakiem bliskości rodziców. Nie czułem się bezpieczny i wpadałem w panikę, gdy oni starali się wymknąć z domu" (mamut).

„A kto pamięta «Kronikę Filmową»? To było coś! Zawsze z chęcią oglądałem ten krótki czarno-biały reportaż tuż przed seansem" (mamut). „Kroniki były super, ale często po nich bywały jeszcze okropnie nudne filmy krótkometrażowe. Dłużyły się potwornie i człowiek miał wrażenie, jakby to było kosztem filmu właściwego, na który przyszedł" (jd).

Kino letnie

Działało dawno temu koło mostu na Długim. Nie wiedzą i nie pamiętają o nim nawet tacy starzy wyjadacze, jak jd, ak czy Zbyszek.

„Kino letnie, choć dawno, rzeczywiście istniało – na polance koło mostu wyświetlano filmy na otwartej przestrzeni. Przychodziły tam całe rodziny z kocami i poduszkami, ja także tam bardzo często bywałam w towarzystwie pani Smereckiej i jej starszych córek – Ani i Uli" (HG).

Kiosk przy szkole

„Nie ma już tego kiosku na rogu szkoły, w pobliżu domu nauczycielskiego. A pamiętam, że za kartkowych czasów cała rada pedagogiczna miała go na oku. Od czasu do czasu rzucano tam papier toaletowy albo inne ciężko dostępne artykuły. Przy takich okazjach «dobrzy» uczniowie mogli postać godzinkę w kolejce. Podobne scenki odbywały się również przy sklepie pod filarami. Ktoś na przerwie się dowiedział, że będzie kawa, no i opóźnienie lekcji było jak w banku" (AD).

Kiosk Ruchu

Na rogu Alei Przyjaciół i Bałtyckiej. Był tam od zawsze. „Kiosk ten przez długi czas prowadzony był przez babcię Czasnojc. Był w bardziej zamierzchłych czasach niemalże ośrodkiem kulturalnym osiedla, zwłaszcza że w pobliżu była również jedyna na osiedlu budka telefoniczna. Na Bałtycką trzeba było zapychać, aby kupić gazetę, a w niedzielę rano (bo i w niedziele bywał kiedyś regularnie czynny) odbywała się tam kongregacja dzieci wysłanych przez odpoczywających rodziców po Przekrój, Kobietę i Życie, Rozrywkę itp. Często tam właśnie się grzęzło na godzinę przeznaczoną na kościół, chociaż zawsze istniało niebezpieczeństwo że rozliczni sąsiedzi w drodze na mszę zrobią donos do rodziców. Wszelkie pozaszkolne romanse również wymagały regularnych spacerów do budki telefonicznej, która czasami działała, czasami nie, i bywało, że szlochom pod budką nie było

końca. Dzisiejsze dzieci nie pojmują, jak można było żyć, lub choćby utrzymać kontrolę nad boyfriend'em, bez komórki" (nat).

„Już średnio dobre pisma trudno było kiedyś kupić; zakładało się w kiosku teczki na prasę, za które trzeba było dodatkowo płacić, i trzeba było mieć w ogóle dobre układy z kioskarzami" (jd).

Klepaccy

Adam i Ewa; mieszkali na Alei Przyjaciół 41, byli sąsiadami jf. Adam uczył się w klasie z siostrą jf Anką.

Klimek Romek

„Kto zna Romka Klimka? Chyba Aleja Przyjaciół, lat około 49. Zam go od kilku lat, razem popijamy piwo w pubie, i ostatnio dowiedziałem się, że to nasz człowiek. Romek jest starszy o jakieś jedenaście lat ode mnie, ale duchem młodszy o te same jedenaście" (miki).

Klipa

Gra podwórkowa. „Na kawałku cegły kładło się sztachetę z płotu i na jednym końcu parę patyczków. Na drugi koniec ktoś wskakiwał, patyczki leciały do góry i ktoś, kto miał duży kij musiał w nie trafić. One leciały, pozostali w tym czasie gdzieś uciekali, ale więcej nic nie pamiętam. Uwielbiałem tę grę, ale gdy się wyprowadziłem z Olsztyna (1962) i po roku przyjechałem na wakacje, popadła ona w zupełne zapomnienie" (jd).

„W ta grę grywało się na AP 25, dom przed Fiedorem. Dokładnie też nie pamiętam, o co chodziło. Tymi kijami trzeba było chyba kogoś trafić" (LP).

„Klipa! – jak będę miał chwilę czasu, to napiszę wam pełne reguły tej gry, abyście na nowo mogli nauczyć jej wasze dzieci lub wnuki. Bardziej wyrafinowana nazwą tej gry brzmiała, jeśli się nie mylę, Pałki-stukałki" (gd).

Kloss

Na wszelki wypadek i w imię encyklopedycznej pedanterii objaśnijmy, że jest to nazwisko głównego bohatera kultowego i ponadczasowego polskiego serialu „Stawka większa niż życie". Rolę Klossa grał Stanisław Mikulski. Również serial miał coś wspólnego z Siódemką, a w każdym razie z Olsztynem, a więc właśnie i z Siódemką.

„Znam Basztę jeszcze z czasów Junksta. Wiecie, że na miejscu Jungsta kręcili Klossa? To był taki duży bunkier albo coś podobnego" (LP). „Zgadza się, kręcili także na Starówce, i aktorzy, a zwłaszcza statyści, pętali się po całym mieście w mundurach. Pamiętam taką staruszkę, która koło byłego sklepu harcerskiego rozglądając się niepewnie powiedziała do drugiej babci z ljekko wilijeńskim akcentem «i skąd się pani tych czortów znowu tyle tutaj nabrało?» (ak).

„Scena z Klossa, kręconego na miejscu Junksta, jest w odcinku, w którym Germańcy szukają ukrytej radiostacji. Nasi ulokowali ją w piwnicy. Gdy została odkryta, obrońcy rzucali granaty i dzielnie zginęli. Taka właśnie piwnica była w pozostałościach murów obronnych Olsztyna (tam Junkst stoi). Pamiętam jak to nagrywali, bo chodziłem akurat do sąsiedniego przedszkola. Bardzo możliwe, że dokładnie w tym w miejscu, w którym była piwnica, teraz można pograć w bilard w Baszcie" (WSKH).

„Dużo ujęć filmu było kręconych przy Awangardzie, pobliskich budynkach i na ulicy Kołłątaja. Wykorzystano też plażę nad Kortowskim, w którym «zatopiono» archiwum" (Zbyszek). „Zgadza się, a dodałbym jeszcze wypalone budynki, gdzie dzisiaj jest dom rzemiosła, oraz miejsca przy fosie i w parku przy dawnej Casablance, a także przy moście Jana i na kilku uliczkach Starego Miasta, przy dyrekcji kolejowej. Słynna scena z czołówki,

gdzie samochód spada z mostu do rzeki, to – o ile się nie mylę – dawny most na Wadągu przed skrętem do cmentarza w Dywizach" (WSKH).

„Widziałam Klossa przy dyrekcji kolejowej; wysiadał z Nyski. Moja babcia bardzo chciała zdobyć jego autograf, więc z mamą przecisnęłyśmy się do drzwi samochodu i udało się" (Iwona).

„Podobno Kloss dostał kiedyś po gębie «Pod Żaglami»" (LP).

„Mikulski w okresie kręcenia Klossa w Olsztynie był też z wizytą w SP 7. Pamiętam, że były wakacje i przybył na specjalne zaproszenie przebywającej w tym czasie w szkole kolonii" (gaga).

Kogel-mogel

„Jeśli już chodzi o jedzenie, to może Zenobia pamięta, jak u mnie w domu zrobiła sobie kogel-mogel z żółtek kaczych jaj? Niby jajo kurze czy kacze to prawie to samo, to samo żółtko i w ogóle, ale do tej pory pamiętam, jak coś mnie w gardle ściskało, gdy ona to do ust wzięła" (borasca). „Niby faktycznie jaja jajom nierówne, ale w koglu-moglu zupełnie nie ma znaczenia, jakie się miesza" (zenobiab).

Kokardy

„Ach, te kokardy i pończochy! Kokardy, białe lub granatowe, to chyba żywcem przyszły od radzieckich przyjaciół. Mam zdjęcia z tymi dekoracjami pieczołowicie przypiętymi do głowy i wyglądam jak wystraszony ptak gotowy do odlotu w panice. A jeśli chodzi o pończochy, to najpierw były takie w prążki, dosyć masywne, szaro-bure, a potem ulepszona ich wersja, tzw. fildekosy. Bardzo nieprzyjazne dla oka, zupełnie nieelastyczne i po paru godzinach zwisały uroczo na kolanach. Siłom grawitacji przeciwdziałał pas z gumkami i żabkami, które wiecznie łamały się lub wypadały. Dodać do tego worek z kapciami w ręku, bezpłciowy paltot i trzewiki, i obraz szczęśliwego dziecka socjalizmu niemalże kompletny. Łza się w oku kręci... ze śmiechu" (nat).

„Co do kokard, to pamiętam to dobrze, bo dziewczęta z kokardami podobały mi się zdecydowanie bardziej, niż te bez kokard; może dlatego, że były względną rzadkością" (mamut).

Koks (albo węgiel)

„Naszło mnie wspomnienie z dawnych lat, mianowicie ciągnięte przez konia fury z koksem albo z węglem, który to koks albo węgiel wysypywano na ulicy przed domem, a potem wiadrami nosiło się to do piwnicy. Czy jeszcze się to zdarza, czy też wszyscy ogrzewają się już gazem albo elektrycznością?" (jd). „Też to pamiętam. Płaciło się lokalnym nastolatkom za pomoc w zrzuceniu węgla/koksu do piwnicy. Potem trzeba było posprzątać elegancko chodnik" (nat). „Sam musiałem pomagać przy tym koksie, dopiero gdy nastała era gazu, ten czas można było poświęcić na granie w nogę" (LP).

„Tak, węgiel! Pamiętam, że łatwiej szło wrzucanie do piwnicy koksu. Pamiętam też radość, gdy te 1,5 czy więcej tony wysypane było na równy asfalt, a nie trawę. Jak było wysypane na trawę, to była orka, bo nie szło wbić szufli. Takie były czasy!" (kkg).

Kolekcjonerstwo

„W naszych czasach dziecięcych zbierało się chyba wszystko. Od Zbyszka dostałem kiedyś mnóstwo papierków-historyjek z Kaczorem Donaldem, które były w gumach do żucia i były powszechnie zbierane. Nie bardzo pamiętam, co dałem w zamian, ale chyba jakiś czołg. A kto jeszcze pamięta zeszyty pełne adresów firm amerykańskich? Czasami dostawało się jakieś prospekty albo nalepki" (LP). „Rzeczywiscie tak było, co poniektórzy mieli całe zeszyty z adresami zagranicznych koncernów i za cholerę nie zdradzali namiarów, a taka

firma (np. Volkswagen) prawie zawsze przysyłała grzecznościowo folder i parę nalepek. Takie motoryzacyjne nalepki w sklepie kosztowały tyle, co paczka dobrych fajek. Nie pamiętam, czy do firm pisało sie po polsku, czy był to jakiś tekst w obcym języku" (miki). „Też świetnie pamiętam to wysyłanie listów do koncernów. Miałem dziesiątki adresów i pisałem. Aby dodać sobie powagi, w adresie zwrotnym przed moim nazwiskiem wpisywałem coś w rodzaju «doc. dr. hab» i chyba skutowało, bo jako jedyny z moich kumpli dostałem piękny kolorowy folder na kredowym papierze z firmy Rolls-Royce. Pamiętam jak z drżeniem rąk otwierałem kopertę, aby jej nie uszkodzić, bo również ona była «nie z tej ziemi». Jeżeli chodzi o treść wysyłanego listu, to jestem na sto procent pewien, że pisało się po angielsku, ale jakąś szablonową formułkę. Do dziś mam to przed oczyma: zaczynało się: «Dear Sir, I know...», a co później było pisane, nie mam pojęcia. W owym czasie nie rozumiałem nawet tych pierwszych 12 literek" (tensam). „I ja coś takiego pamiętam. Może dwa-trzy takie listy też wysłałem, ale bez rezultatów. Za to raz siostra skądś wykombinowała adres biura podróży w Belgii, i po wysyłce listu dostalismy stamtąd piękny plakat-folder z masą wspaniałych fotografii przedstawiających zakątki Belgii. Tak mi się ten plakat podobał, że zawiesiłem go sobie w pokoju na szybie od drzwi (pamiętacie te drzwi: duże, nieprzezroczyste szyby, z reguły z jakimś nieregularnym wzorem, szyba zajmowała jakieś 2/3 drzwi). Plakat ów wisiał na tych drzwiach łącznie z niewielką repliką «Bitwy pod Grunwaldem» Matejki, którą zdarłem z jakiegoś sporego kalendarza. Wisiał tak parę dobrych lat, aż w końcu wymieniłem ten plakat na plakat zdaję się Iron Maiden czy też AC/DC. A tak swoją drogą, to miło ze strony Belgów, że taką frajdę mi i mojej siostrze zrobili. W końcu nie sposób było nie zauważyć, że te nasze listy były pisane dziecięcą ręką, a mimo to przesyłano dzieciakom te foldery" (mamut). „A ja wysyłałem listy do pisma muzycznego «New Musical Express». Oni takim nowym wysyłali na zachętę i promocyjnie, licząc na nowego prenumeratora, jeden egzemplarz gratis, ale po paru takich akcjach tej samej osoby orientowali się w przekręcie" (jd). „Te teksty listów były do odpisywania w specjalnych zeszycikach. Napisane prostym angielskim i z błędami bez granic. Ja chyba dostałem nalepki od Penzoil, które później z Kukiem przerobiliśmy na Krenzoil. Fiat-ciężarówki z Turynu przysłał wysokiej jakości prospekty o swoich Truck'ach. Ale najbardziej cieszyłem się z prospektów od Forda: Ford Capri i jakiś jeszcze z tamtych lat. Firma Ford nawet nie wie o tym, że zdobyła wtedy dobrego klienta (He he... Teraz mam już czwartego Forda. Po Fieście, Sierze, Mondeo, aktualnie Focusa)" (Fredek). „Te listy za granicę pisane były jak najbardziej w języku angielskim. Mój braciszek otrzymał wiele folderów i nalepek. Radość i duma była ogromna, bo jak ktoś już wspomniał, pisały przecież dzieci, a ktoś je potraktował poważnie" (karolina).

„Ja zbierałem, i jeszcze mam, etykiety z zapałek. Było ich kiedyś bardzo dużo, były bardzo różnorodne i kolorowe. Zostało mi też trochę znaczków" (Zbyszek).

Kolonie

„Kiedy przyjeżdżałem do dziadków na wakacje, to w szkole organizowane były przez całe dwa miesiące kolonie dla dzieci ze Śląska. Czy ktoś coś takiego pamięta? Kolegowaliśmy się z tymi kolonistami bardzo, wśród kolonistek szukaliśmy wakacyjnych sympatii, chodziliśmy z całymi ich grupami na plażę na Jezioro Krzywe, graliśmy z nimi w piłkę na boisku, zapraszano nas także na potańcówki. Jednego roku przypadliśmy sobie bardzo do gustu z pewną przeuroczą Gabrysią, ale nic sobie nie wyobrażajcie, byliśmy bardzo młodzi, przyzwoici, stremowani i przejęci. Ale do czegoś doszło. Oni mieli cisze nocne chyba od 9-tej, robiło się już wtedy ciemno, no i umówiłem się z Gabrysią, że odwiedzę ją przy oknie jej sali (na parterze po prawej stronie od głównego wejście z przodu). No więc przybyłem, ona otworzyła okno i zaczęliśmy cicho rozmawiać, a w powietrzu czuć było skupione napięcie i podsłuchiwanie dwudziestu pozostałych dziewcząt z sali. No i w końcu doszło do tego, że

zupełnie niewinnie i delikatnie pocałowałem Gabrysię. Wtedy rozległo się wielkie szepczące «Ach!» ze strony wszystkich dziewcząt, które najwyraźniej tylko na to czekały, i omal nie zaczęły klaskać. Ja oczywiście od razu uciekłem. W jakimś następnym roku, żeby zdobyć sympatię pewnej przemiłej Haliny z kolonii, musiałem udawać, że jestem dwa lata starszy niż byłem naprawdę, bo ona była o dwa lata starsza ode mnie, a wtedy różnica dwóch lat to były przestrzenie prawie nieskończone. Wiele mnie to kosztowało, ale w końcu i tak się wydało. Halina, o ile pamiętam, przeniosła swą dziewczęcą uwagę na «Siwego». On był dwa lata ode mnie starszy" (jd).

„Za moich czasów też przyjeżdżały dzieci na kolonie, ale jakoś z nimi zupełnie nie mieliśmy kontaktu. Nad Krzywe owszem chodziliśmy, ale oni na plażę miejską, a my przeważnie na Stomil (przez płot oczywiście!)" (mr).

„Do Siódemki przyjeżdżały kolonie z całej Polski. Były nawet fajne Bułgarki w latach chyba 1974-76" (WSKH).

„Za moich czasów kilka razy były kolonie z Rosji, a że to był wróg publiczny numer jeden, to się obchodziło ich z daleka. To był chyba rok 1982 lub 83. Nie jestem pewna, ale oni też byli bardzo pilnowani. Rano byli wyprowadzani na plażę, a potem mieli jakieś inne zajęcia w szkole lub poza nią. Pamiętam jak zdyscyplinowanie maszerowali parami, bo z kuchni babci miałam dobry punkt obserwacyjny na szkołę" (mr).

Kolorowa

Druga po „Pod Żaglami", najbardziej kultowa knajpa dawnego Olsztyna. Mieściła się na Wojska Polskiego. „Właśnie, Kolorowa jest przy ul. Wojska Polskiego, a więc jadąc w kierunku na Dobre Miasto, przy ratuszu pod górę i na pierwszych światłach w lewo przez most nad torami, dalej prosto drogą z pierwszeństwem przejazdu, będą jedne światła, z lewej stacja BP, i przed drugimi światłami skręt w prawo, tuż przy Kolorowej" (karolina).

Kolpy Czesiek

„Przypomniałem sobie coś takiego: to musiały być lata 1965-66. Na przeciwko sklepu, chyba w pierwszym domu przy uliczce do Ogródka Jordanowskiego (Al. Przyjaciół 33, na pierwszym piętrze) mieszkał, a raczej chyba wynajmował pokój facet, który miał na imię Czesiek i był studentem wtedy WSR (Wyższa Szkoła Rolnicza). Był niesamowicie energiczny, pomysłowy, wszyscy go lubili. Miał też pasje sportowe, a gdy coś postanowił, to robił to perfekcyjnie. Kiedyś wpadł w szał lekkiej atletyki. To chyba on organizował skoki o tyczce na boisku (tyczkami były długie drewniane baliki), rzut oszczepem (też jakiegoś domowego pomysłu), ale największe wrażenie zrobił rzutem dyskiem, który to dysk gdzieś zdobył (oryginalny), i próbował zmusić całe towarzystwo do uczenia się tego rzutu dyskiem, co jest i trudne, i mozolne, i mało efektowne, więc wszyscy próbowali uniknąć tej nauki, ale on był nieubłagany, i jeśli ktoś chciał pozostać w jego gronie, to musiał ćwiczyć tym dyskiem. Ja – wówczas małolat – byłem Cześkiem zachwycony" (jd).

„Czesiek Kolpy był sportowcem i studentem, a w nieco późniejszych czasach został trenerem siatkówki w Kortowie. Rzeczywiście była to osoba bardzo energiczna, ciekawa i kontrowersyjna. Z tego, co na dziś mi wiadomo, to Czesiek pracuje w Pile z młodzieżą, uczy ich tego, co lubi i potrafi, to znaczy siatkówki. Oczywiście robi to ze świetnymi wynikami, dlatego jest gość. W Olsztynie też miał wyniki, ale jak to prawdziwy gość, nie był pokorny, pokłócił się ze wszystkimi ważnymi w klubie AZS Kortowo i wyemigrował. Latem widziałem, jak z całym autobusem młodzieży z Piły przyjechał do Olsztyna, i oczywiście zawitał na Aleję Przyjaciół. Chyba tam ktoś z jego rodziny jeszcze mieszka" (WSKH).

„Czesiek mieszkał na pierwszym piętrze AP 33, pod nim bracia Andrzej i Tadeusz Barzdo, a nad nim Krystyna Czasnojc z bratem, którego imienia nie pamiętam. Wszyscy chodzili do Siódemki w latach mniej więcej 1955-1962" (nat). „Jego mama była profesorem

na WSR" (Iwona). „Czesiek Kolpy był jak najbardziej uczniem naszej szkoły. Potem trenował wraz z magistrem Doroszukiem siatkarzy w Technikum Budowlanym, w której to drużynie grałem i ja w końcu lat 60-tych" (jf).

„Był także moim trenerem siatkarskim. Nieźle nas do roboty zaganiał. Codziennie, a na obozach treningowych kilka razy dziennie. Ale fajnie było i żałuję trochę, że niezbyt wiele ze mnie w tej siatkówce wyszło" (AD).

Komary

Teoretycznie takie miejsce jak okolica Jeziora Długiego nakazywałoby postawić pytanie o komary, i na przykład Andulka takie pytanie, po krótkim tam pobycie bardzo wczesną wiosną, natychmiast postawiła. Ale na przykład jd nie pamięta żadnych stamtąd kłopotów komarowych, choć z kolei Zbyszek nieco temperował ten optymizm.

Komiksy

„Za naszych czasów, w których rodził się dla polskich dzieci świat komiksów, zdecydowanie dominował «Tytus, Romek i A'tomek»" (mamut).

Komuna i sprawy polityczne

„Kiedyś na lekcji historii pan Serafin opowiadał nam o wielkiej przyjaźni naszego narodu z bolszewikami. Nie mogłem tego słuchać i spytałem tego pana, co on myśli na temat Katynia; czy to był dowód przyjaźni ze strony radzieckiej. Słuchajcie, ten człowiek dostał białej gorączki, dostałem jakąś linijką po plecach i wyrzucił mnie z klasy. Ale bywały też i takie chwile, że i za komuny nie było aż tak źle" (LP).

„Co prawda, mnie stalinowskie czasy ominęły, ale moja mam pamięta, jak musiała codziennie przed rozpoczęciem lekcji śpiewać «Stalinowskie jasne słońce...». Nas męczono jedynie «wypadami» do kina na rosyjskie filmy" (mr).

„Komuna nieźle narozrabiała w naszych umysłach, kiedy byliśmy dziećmi. Nie rozumieliśmy tego prawie wcale. Teraz, kiedy wspominam te rożne momenty, to żal mi tylko rodziców i nauczycieli, którzy musieli żyć tak ostrożnie i czasami dwulicowo. Tu się muszę pochwalić – jestem spod znaku Barana i uwielbiam to robić – że nie byłem członkiem harcerstwa, bo miało wtedy odcień czerwony, ani później ZMS-u (jako jedyny uczeń mojej klasy w LO 1). Na spotkaniach klasy wszyscy mi to do dziś wypominają. A ja po prostu miałem «czuja». Jednak tak naprawdę, to moi rodzice porządnie nas w domu uświadamiali, gdzie jest prawda, i po prostu nie miałbym odwagi przyznać się im, że się splamiłem na czerwono. Przyznam się jednak bez bicia, że byłem na obozie letnim TPPR i było super. Nie pamiętam, dlaczego rodzice mi pozwolili tam pojechać. W ogóle to zawsze lubiłem ruski język i ich kulturę – jestem miękki w duszy i bardzo mi odpowiada ich «duszoszczipatielnaja» muzyka, filmy, literatura, które tyle mają w sobie prostoty i sensu życia" (gd).

Konarzewska Wanda

Ze słynnego rocznika 1965/66.

Konażewski Leszek

Zwany Siwym. „Siwy, podobnie jak dawniej, zajmuje się sportem. Jest trenerem, pracuje z młodzieżą, poza tym sam rekreacyjnie wiele czasu poświęca na ruch: narty biegowe, zjazdowe, łyżwiarstwo, tenis ziemny, teraz nawet w sali. Jest aktywny i trzyma formę" (karolina).

Korki

„Korki i korkowce! Korki rozdłubywaliśmy i rzucaliśmy luzem” (Zbyszek). „No i któregoś razu jednemu z kolegów (który to bez wątpienia czyta) gwizdnęło to w kieszeni, uszkadzając garderobę i przemilczę co jeszcze. Z zabaw z tego gatunku pamiętam jeszcze faszerowanie rury spadowej od rynny gazetami i ich podpalanie w środku, czemu towarzyszyły odgłosy podobne do startującego odrzutowca. Nikt się wtedy nie przejmował, że coś mogło się zapalić albo dom pójść z dymem. Wprawdzie nigdy nic takiego nie miało na szczęście miejsca, ale te rozlutowane rynny pamiętam dobrze” (ak). „W naszej klasie też była afera z obieranymi korkami. Ktoś z Likus obierał na Sylwestra korki, trzymał w ręku już kilka obranych i jednocześnie obierał nowe. No i to właśnie wybuchło mu w ręku. Miał później zabandażowaną rękę, ciesząc się wszakże nie tylko współczuciem, ale i uznaniem i podziwem” (Fredek). „Był też sposób strzelania bez oskubywania korków. Korek wkładało się w druciany spinacz do papieru. Tak uzbrojony można było rzucać i wybuchał po upadku na ziemię” (WSKH).

Korwek Danka

Z rocznika 1961/62. „Korwek Danka już niestety zmarła” (gaga).

Koszary

Znajdowały się po drugiej stronie Jeziora Długiego (pierwszą stroną jest Aleja Przyjaciół), między ulicami Leśną i Artyleryjską. Pobudowane były za dawnych niemieckich czasów i składały się z wielkich budynków z czerwonej cegły. Kiedyś była tam wielka jednostka wojskowa, a żołnierze z niej masowo odwiedzali las, most, sklep i Aleję Przyjaciół. Teraz większość terenu koszar niewiele już ma wspólnego z wojskiem.

„Ściana koszar przy ulicy Artyleryjskiej wiele zajmuje miejsca w moich wspomnieniach. Kryliśmy się tam często podczas zabaw w podchody, zbieraliśmy kasztany, które spadały z drzew rosnących wzdłuż muru koszar. Pamiętam częste przemarsze niewielkich oddziałów przez Bałtycką, wybierające się lub wracające z ćwiczeń. Czasami było to wielce ciekawe. Zdarzało się też, że przejechał ulicą jakiś cięższy sprzęt: opancerzony transporter lub amfibia. W pierwszej klasie byliśmy tam raz w Dzień Wojska całą klasą z wizytą” (mamut).

Koszule non-iron

„Kiedyś przyszła moda na koszule non-iron. Powietrza nie przepuszczały i żółkły po paru praniach, ale był na nie istny szał, bo dawały poczucie kontaktu z Zachodem i jego wzorcami” (nat).

Kościół Garnizonowy

Jeden z najpiękniejszych i najbardziej charakterystycznych budynków Olsztyna. Do niego chodziło się na lekcje religii, często przez zmarznięte jezioro.

Krajewski Andrzej

Krajewscy mieszkali najpierw na Alei Przyjaciół 25, a potem pobudowali się na samym końcu Alei Przyjaciół pod lasem. Poza Andrzejem mieli niedorozwiniętą córkę Ewę. Andrzej zmarł bez sensu na raka na początku lat 70-tych (wszystko zaczęło się od kolana), gdy akurat dostał się na studia do Torunia. Miał około 20 lat, był przystojny, inteligentny, miał prawdziwą klasę; jego rodzice byli zrozpaczeni. Kolegował się z nim między innymi jd, gd.

„Pamiętam dobrze, i pewnie wszyscy pamiętają, że mieli samochód w czasach, gdy rzadko kto samochód miewał. Była to Warszawa-garbusek. Kiedyś Andrzej podprowadził ojcu kluczyki i jeździł po podwórku, a że było ciasno, trzeba było bardzo uważać. W końcu starając się cofnąć na to samo miejsce, gdzie auto zostawił ojciec, otworzył drzwi i wyglądał

do tyłu, bo widoczności przez to małe jajowate okienko z tyłu nie było prawie wcale, i zapomniał o narożniku budynku, w który tak zarył tymi otwartymi drzwiami, że trzeba było oddawać potem samochód do warsztatu. «Przemowę» taty słychać było nawet u nas, w domu obok" (ak).

„Tata Andrzeja chyba miał prywatny zakład rzemieślniczy, choć nie pamiętam, czy było to już w tamtych latach" (Iwona).

Krany podwórzowe

„Czy pamiętacie smak wody z kranów podwórzowych? Jak człowiek miał pragnienie, to nie wracał do domu (za duże ryzyko, że coś trzeba będzie pomóc czy też po prostu zostać już na dłużej), tylko biegł za dom na podwórze, przechylał głowę na bok i siorbał z kranu. Najpierw trzeba było wody trochę spuścić, aby była zimniejsza. Smaczek był lekko żelazowy od rury kranowej, ale ogólnie mówiąc – całkiem niezły" (Zbyszek).

Krauze

Mieszkali w budynku na Bałtyckiej, w którym jest poczta, na przeciw kiosku; wyjechali do Niemiec.

Krenzek Alfred

Czyli Fredek. Kolega z klasy LP, mieszkał na Bałtyckiej 19 m. 2 do 1978 roku (obok mieszkał mamut). „Na Bałtyckiej mieszkałem najpierw pod 17 (pierwszy blok), a później, gdy wybudowali blok drugi (środkowy), to się przeprowadziliśmy do 3-pokojowego w nim mieszkania. Wprawdzie ojciec miał jakąś działkę budowlaną na Zatorzu, ale rodzice starali się już od 1968 roku o wyjazd do Niemiec, i nie chciał się tam budować" (Fredek).

Fredek przygotował – obok ak – najświetniejszy i najobszerniejszy zestaw zdjęć z jubileuszu, różnych innych zdjęć, a w końcu powołał do życia nieoficjalną stronę szkoły (http://home.arcor.de/szkpnr7/).

„Chodziłem z nim do jednej klasy przez całe osiem lat, a ciekawostką jest to, że urodziliśmy się dokładnie w tym samym dniu, tj. 18 października 1963 roku. Miał liczne rodzeństwo: starszy brat Waldek, młodszy Józek, no i siostra Beata (choć była jeszcze jedna siostra Małgosia)" (LP). Fredek to precyzuuje tak oto: „Nasz klan to: 3 chłopaków i 3 dziewczyny. 3 chłopaków + 1 dziewczyna to Siódemkowicze, 1 siostra poszła na export (bez Siódemki), a najmłodsza to już oryginalnie made in west germany" (Fredek).

„W naszej klasie było 23 uczniów. Dziewięć osób mieszka dalej w okolicach Olsztyna; osiem – mieszka dziś w Niemczech, dwie osoby niestety już nie żyją; jedna osoba mieszka w Australii, jedna w USA, jedna w Szwecji, i jedna we Włoszech. Tak więc więcej niż połowa spośród nas żyje poza granicami Polski" (Fredek).

„Moja «kariera» rozpoczęła się w przedszkolu na Rybakach. Później od 1970 roku przebrnąłem osiem lat siódemki (co bardzo mile wspominam). W 1978 wyjechałem z całą rodziną 1000 km na zachód od Olsztyna. Tam kurs języka i inne szkoły, gimnazjum, matura, rozpoczęte studia na Informatyce, później zmiana na Elektrotechnikę, wojsko (stracony czas...), roczne dodatkowe szkolenie u Nixdorfa, wreszcie pierwsza prawdziwa praca po studiach u Siemensa w Norymberdze (automatyzacja rożnych fabryk samochodów w krajach europejskich). Po czterech latach powróciłem w rodzinne strony mojej byłej żony, tam praca w nowej firmie (wielka wpadka...), zmiana pracy na lepszą, no i od dobrych sześciu lat praca informatyka w gazecie regionalnej (www.nw-news.de). Kariera może nie duża, ale zapewnia życie bez większych finansowych kłopotów. Mówi się, że mężczyzna w życiu powinien mieć syna, zasadzić drzewo oraz postawić dom. Z tych celów na razie tylko ten pierwszy zdołałem osiągnąć. Nad pozostałymi celami pracuję powoli. Właściwe bardzo powoli, bo po

odzyskaniu wolności (po rozwodzie) myślę, że inne sprawy w życiu są ważniejsze. Staram się żyć i robić to, na co mam ochotę.

Moja siostra Małgośka chyba już nic sobie nie przypomina z polskich czasów. Miała pięć lat, gdy wyjechaliśmy. Poszła od razu do przedszkola i już po 3 miesiącach zapomniała polskiego. Teraz jest już mężata i dzieciata; niedawno urodziła córkę" (Fredek).

Warto może też przywołać tu sprawozdanie jd z jego drugiego w życiu (po jubileuszu szkoły) spotkania z Fredkiem, które miało miejsce w Warszawie (rok 2006), i do ostatniej chwili nie było pewne, czy dojdzie do skutku. „Nie byłem pewny, czy Fredek znajdzie kawiarnię Nowy Świat na Nowym Świecie, więc ponieważ zaoszczędziłem w pracy 10 minut, ruszyłem do miejsca pobytu Fredka, którym okazało się coś z rezydencją królewską w nazwie (Royal Residence), też na ulicy Nowy Świat. Fredek zjawił się natychmiast po moim telefonie i ruszyliśmy na pobliską ulicę Foksal w poszukiwaniu pasującej nam knajpki. To, co znaleźliśmy to nie było może to, ale wypiliśmy po kawie, Fredek piwo, i omówiliśmy kilka wstępnych kwestii (co Fredka przygnało do Warszawy, czy rondo w miejscu po Trampie nie popsuło wszystkiego itp.). Potem uznaliśmy, że czas na kolację i Fredek jako już znawca okolic zaprowadził mnie do knajpy z pierogami i innym podobnym jedzeniem. Był to wybór, a raczej strzał w dwunastkę, i ja jako bywalec i tubylec nic lepszego bym nie wymyślił. Tam zamówiliśmy bigos, 3 porcje pierogów różnych, ale nie na słodko, naleśniki z bitą śmietaną, czekoladą, bakaliami, serem i owocami, wafel lodowy też z bitą śmietaną, czekoladą, bakaliami, serem i owocami, do tego coca-colę, a Fredek oczywiście piwo porterowate, bo takie pasuje do pierogów bardzie niż inne. W dwugodzinnej rozmowie oplotkowaliśmy wszystkich co regularniejszych bywalców forum, Fredek opowiedział mi swoje życie, a ja Fredkowi swoje, szczególną uwagę poświęciliśmy narzeczonym, żonom i w ogóle kobietom, zachwycaliśmy się miejscem naszego pobytu, obsługą i wyjątkowo dobrze usytuowanym stolikiem, przy którym siedzieliśmy, jedliśmy i gadaliśmy. Rozważyliśmy problem olsztyńskiej Starówki, sensowność zakupu domów wyprzedawanych na Rybakach, plany wakacyjne, a zwłaszcza bardzo możliwe spotkanie w szerszym gronie w lipcu w Mięsnym. Wszystko było dość szybko, bo Fredek musiał wstać następnego dnia o czwartej rano, ale nie panicznie i nie chaotycznie. Zostawiliśmy w knajpie słusznie należący się spory napiwek i dla zdrowia przespacerowaliśmy się wzdłuż Nowego Światu, u końca którego (nr 63) mogłem wreszcie pokazać Fredkowi kawiarnię Nowy Świat, którą tym razem sobie darowaliśmy. Na zakończenie podwiozłem Fredka samochodem (przez który nie mogłem w wiadomej sprawie dotrzymywać Fredkowi kroku) prawie pod jego królewską rezydencję. Fredek jaki jest wszyscy wiedzą i to się całkowicie potwierdziło, a nawet bardziej (jd).

Kromera

Piękna, niewielka ulica, łącząca Grunwaldzką z kościołem garnizonowym i parkiem pod Zamkiem.

Kruczkowski Leon

Pisarz polski, autor między innymi „Niemców", „Pierwszego dnia wolności", „Kordiana i chama". Od pewnego momentu patron szkoły.

„Pamiętam jeszcze uroczystość nadania szkole imienia Leona Kruczkowskiego. Wszyscy (byłem wtedy w VII klasie) musieli przeczytać jego sztukę «Niemcy» (czy dziś to też jest w Siódemce lektura obowiązkowa?). Zorganizowano też ogólnoszkolny konkurs wiedzy na jego temat. Uroczystość była wielka. Wszystkie pracownie wyglądały imponująco. Ale też prawdę mówiąc, większość eksponatów ani przed dniem nadania imienia, ani po nim nie była wykorzystywana na normalnych zajęciach (przynajmniej w naszej klasie)" (DD).

„Wszedłem niedawno na stronę szkoły i zobaczyłem... popiersie Kruczkowskiego! Zdziwiony byłem niepomiernie, bo już po ukończeniu Siódemki dowiedziałem się o

następującym zdarzeniu. Odmalowywano korytarze i robotnicy chcąc zabezpieczyć plac budowy przed dziećmi, zrobili prowizoryczną barierkę ze sznurka wokół tej części korytarza, w której akurat stał Patron. Tak nieszczęśliwie rozwiesili jednak ten sznurek, że owinęli go o kolumnę, ale też i o szyję Kruczkowskiego. Jeden z moich młodszych kolegów biegł sobie korytarzem tak szybko, że nie zauważył sznurka, zawadził o niego i wpadł w zagrodzoną przestrzeń. Kruczkowski spadł z postumentu i rozbił się na kawałki. Potem go zapewne więc posklejano. Chłopak ten nazywał się Wojtek B. i do dzisiaj mieszka na Morskiej. Założę się, że starsi forumowicze nie wiedzieli o tym" (Krzysiek).

„Na pewno wielu z was pamięta czarne gipsowe popiersie Leona Kruczkowskiego, wystawione w holu szkoły na cokole na pierwszym piętrze. Wielu z was słyszało z pewnością, że popiersie zostało swego czasu roztrzaskane w przysłowiowy drobny mak. Byłem świadkiem owego wydarzenia. W szkole przeprowadzany był wtedy remont. Nieczęsto maluje się szkoły podczas szkolnego sezonu, ta jednak reguła została złamana w tym przypadku. Malarze powoli malowali klasy naszej budy. Oczywiście malowanie korytarzy też miało miejsce. Któregoś dnia padła kolej na część korytarza z kącikiem poświęconym patronowi naszej szkoły Leonowi Kruczkowskiemu. Jeden z genialnych malarzy wpadł na pomysł rozwieszenia liny od kaloryfera do filaru, dookoła którego była okręcona lina, lina łączyła również filar z szyją naszego patrona. Tak, tak, lina była okręcona dookoła szyi! Genialni byli ci malarze... Lina miała chronić świeżo pomalowane ściany szkoły przed uczniami. Wisiała już tak z dzień lub dwa. Raz na jakiś czas jakiś dzieciak przeszedł pod nią lub nad nią dla zabawy. Pewnego dnie grupa uczniów wychodziła właśnie z klasy. Pod koniec lekcji uczniów zawsze rozpierała energia, nawet kilka metrów od popiersia pisarza. Jeden z chłopców, chcąc dołączyć do grupy przyjaciół, przesadził właśnie stopę ponad sznurem i niefortunnie zawadził drugą stopą o sznur. No i doszło do nieszczęścia – popiersie runęło z hukiem, rozbijając się na dziesiątki kawałków. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że ciężko wyglądające popiersie nie było rzeźbą z brązu lub kamienia, a tylko gipsowym odlewem. Na moment zapanowała martwa cisza. Następnie dużo było okrzyków i śmiechu. Przez nasze umysły błyskawicznie przeleciały przeróżne emocje. Sytuacja wydawała się poważna, a zarazem groteskowa. Kolega (imienia nie będę wymieniał, szkolny pseudonim: Bzyk) był w nie lada kłopocie. Cała historia zakończyła się tym, że rodzice ucznia musieli naprawić rzeźbę (co zresztą zostało nieźle zrobione; niewtajemniczeni pewnie nawet nie zauważyli dokonanego zniszczenia). Uczeń natomiast, jak to często bywało, musiał wystąpić przed całą szkołą na porannym apelu w poniedziałek. W pewnym sensie przeszedł on do historii" (mamut).

„A czy może wiecie, kto wykonał gipsowe popiersie naszego Leona Kruczkowskiego?" (mamut). „Oczywiście: Balbina Świtycz-Widacka" (mir-mur).

Krupa Ela

Przyjaciółka mr.

Kruszewscy

Mieszkali na Rybakach 2, na pierwszym piętrze, mieli duży balkon, który wychodził na zejście do Jeziora Długiego. Był tam chłopak Stasiek (rocznik 1965/66) i dziewczyna Danusia.

Krutynia

Rzeka, a nad nią wieś Krutyń. „To jeden z lepszych szlaków kajakowych w Polsce. Z Warpun przez Sorkwity do Rucianego Nidy. Miałem okazję zaliczyć taki spływ, było wspaniale. Pamiętam też z czasów szkolnych, że kilka razy pływaliśmy statkiem po jeziorach

mazurskich przez różne tamy i kanały. Obiecuję sobie, że kiedyś pokażę to wszystko mojemu synowi" (LP).

„Ja raz w roku (czasem dwa) jeżdżę do Krutyni z przyjacielem na ryby. Zazwyczaj na początku czerwca, gdy nie ma jeszcze letników. Codziennie płyniemy w górę rzeki do jezior krutyńskich, potem przeprawiamy się na Jezioro Mokre. Łowimy szczupaki, więc cały dzień wykonujemy setki rzutów i omawiamy wszystkie zagadnienia, które zebrały się przez miniony rok – polityczne, zawodowe, rodzinne, kobiece itd. Na łódce najlepiej popija się najwyższej klasy koniaki; żadnych gorzał i winek, nawet whisky to nie to. Szczerze mówiąc, koniak pijam tylko w Krutyni, poza Krutynią nie lubię go. Dodam, że w Krutyni prawie się nie ma kaca, a niektórzy twierdzą, że nie ma się go tam w ogóle. 3-4 dni spędzone w Krutyni, na Krutyni i na Mokrym – na łodzi, z rzutami spinningowymi, paroma szczupakami i koniaczkiem – ładują mi akumulatory psychiczne na cały rok. Jest taka szkoła, która twierdzi, że szczupak najlepiej bierze w potworne upały, ale jest też szkoła, która twierdzi, że wręcz odwrotnie. Podczas naszych wyjazdów bywa czasem deszczowo, ale zazwyczaj deszcze nas omijają. Wyławiamy te szczupaki na kolację i na przywóz po 3-4 sztuki do domu. Ostatnio nawet wprowadziliśmy do koniaku pijanego na łodzi gustowne szklaneczki do tego koniaku, co uznajemy za eleganckie szczyty kultury picia. No i w ogóle jest bosko, ale do tego już przez lata się tam przyzwyczailiśmy, więc nie budzi to już naszego zdziwienia. Szczupaki poniżej 40 cm oddajemy (zgodnie z przepisami) jezioru, a one w kolejnym roku z wdzięczności nam się zahaczają" (jd).

„Co do jednodniowego spływu Krutynią, zachwalanego kiedyś przez Zbyszka: Zbyszek, toż to barbarzyństwo. Za mojej tam bytności, robiliśmy spływy na pełnej trasie w 10 dni i zawsze było nam za krótko. Samo pokonanie Mokrego – jeśli trafił się mocny wiatr od dzioba, czyli tzw. «mordewind» – mogło trwać pół dnia" (ak).

Krystyniak

Kolega z klasy DD i T.B, a Krystyniak Hanka – koleżanka T.B.

Krzak Andrzej

„W wyburzonym dawno domu za przystankiem na Bałtyckiej, na wysokości Czarnego, mieszkał kiedyś Andrzej Krzak. Może pamiętacie go, jak jeździł czeskim wynalazkiem marki Jawa 350" (LP).

Ksiądz

„Do dziś pamiętam księdza, który w słoneczne niedziele (chyba) lat 60-tych wędrował Aleją Przyjaciół do szkoły. Dzieciaki siedziały na płotach i dostawały od niego cukierki. Nie mam pełnej jasności, w jakim celu on przychodził" (jd).

Księgarnia

„Księgarnię na Bałtyckiej, koło poczty i naprzeciw kiosku, wspominam z tkliwością za jej subtelny, nieco prowincjonalny nastrój i długo leżące stare wydania książek. Później zmieniła się bardziej w sklep papierniczo-zabawkarski, ale też sympatyczny, i wtedy kupiłem tam sporo zabawek mym maleństwom" (jd). „Księgarnia na rogu Bałtyckiej i Jeziornej była całkiem nieźle zaopatrzona jak na nasze szkolne wymagania" (mamut). „Dzisiaj ta księgarnia ciągle istnieje w trochę innej formie; jest to raczej sklep z artykułami biurowymi, wędkarskimi i różnymi" (Zbyszek).

Kufel Jarek

Kolega z klasy mamuta, także ryby696.

Kuklińscy Tomek i Marcin

Czyli thom.kuck i Martin K. Tomek był kolegą podwórkowym mikiego (mieszkali blisko siebie na Bałtyckiej) oraz kolegą klasowym ryby 696; aktualnie poza krajem (od roku 1983), choć odwiedza stare kąty.

Natomiast Marcin chodził do klasy z mr oraz Rajmundem (wox6) i Adamem W. Obecnie mieszka w Neuss koło Düsseldorfu.

„Witaj Martin! Jaki ten świat mały! Pamiętam cię świetnie, gdyż mając jakieś osiem lat bardzo ale to bardzo mi się podobałeś. Pierwsza miłość mojego życia" (mr). „Ja spędzałem wiele czasu z Marcinem, zwłaszcza w warsztacie ślusarskim jego taty tuż pod ich domem. Pewnego razu wrzuciliśy świecę dymną do stolarni pana Barszczewskiego (chyba tak się nazywał, ten co mieszkał naprzeciwko). Ależ to była afera, wszyscy nas szukali, a my, jak dobrze sobie przypominam, schowaliśmy się za domem, chyba w jakimś starym samochodzie" (wox6). „Też pamiętam tę zabawę. To było plexi w pudełku od zapałek. Pani Barszczewska tak się przestraszyła, że uciekła na drabię i wołała o pomoc. Schowaliśmy się za blachami, które były oparte o ścianę. Ależ się bałem do domu wrócić. W ogóle wydaje mi się, że jak się wyprowadziliśmy, to w Likusach od razu kilku mieszkańcow spokojniej spało. U taty w warsztacie produkowane były skoble ze zużytych elektrod" (Martin K.).

„Klan «Kucków» składał się z trzech chłopaków, ale ten trzeci nie miał satysfakcji poznania Siódemki, bo był w przedszkolu, jak poszedł na export. Z mojego rocznika jest również młodszy Szwejk" (thomas.k).

„Kuklińscy mieszkali na starej Bałtyckiej, w takim kanciastym domku przed ul. Wodną. Chodziłem tam często do Blacków jak jeszcze tam mieszkali. Zdaje się, że Kuklińscy mieli samochód marki fiat-panda" (mir-mur). „To był Fiat Ritmo, dobiłem go dopiero tu w Niemczech" (thomas.k).

Kulecka Antonina

Z rocznika 1965/66.

Kulig

„Czy już ktoś wspominał o kuligach? Nasza klasa była na nich parę razy. Wspaniała sanna, a ile celowych wywrotek!" (Iwona). „Ja pamiętam słynne «kuligi» na torze saneczkowym; czasami odbywały się nawet w nocy" (LP).

Kusiorska Ewa

Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T. Odbyło się u niej, na Alei Róż, pierwsze spotkanie klasowe – w cztery lata po ukończeniu Siódemki, gdy wszyscy byli już w szkołach średnich, w klasach maturalnych.

Kwiaty

Chodzi o kwiaty doniczkowe, stojące masowo na parapetach klas. „Na ferie i wakacje brało się te kwiatki na przechowanie do domu" (karolina).

L

Lachowski Jarek

„Mój dziadek przyjaźnił się z jego tatą, a ja znałam z widzenia jego syna – chyba miał na imię Arek, ale był o ładnych parę lat młodszy, więc dokładnie go nie pamiętam. Mieszkali na Al. Przyjaciół 39 m. 1.

Jarek Lachowski chciał kupić mieszkanie moich dziadków po ich śmierci, ale do tego nie doszło, bo na podpisanie aktu notarialnego stawił się bez pieniędzy i jeszcze się zdziwił, że adwokat mojej mamy nie chciał mu dać kluczy. Potem też miał jakieś trudności z zapłatą, więc mieszkanie zostało sprzedane jakimś innym ludziom" (mr).

Landrynki

„Kiedyś sprzedawano landrynki na wagę; miały odpowiedni stopień kwaśności z wyjątkiem egzemplarzy mleczno-białych, i o tych ostatnich – w odróżnieniu od wszystkich pozostałych – miałem marną opinię" (jd).

Las

Połowa Jeziora Długiego otoczona była i jest wspaniałym klasycznym lasem, któremu nie brakowało niczego, co czyni las prawdziwym lasem. Były grzyby, zwierzęta, jamy i pagórki, i wszystko inne. Kiedyś las był zupełnie dziki, ale potem zaczęto go cywilizować ławeczkami, zadaszeniami, które jednak w sumie z trudem się przyjmowały.

„W lesie koło szkoły rozkwitały na wiosnę dywany kwitnących na biało zawilców i błękitno-aksamitnych przylaszczek" (WSKH).

Lasek bombowy

„Czubki do grotów strzał brało się z tzw. lasku bombowego koło przejazdu kolejowego na końcu toru saneczkowego. Było tam pełno tego i nie tylko tego. Wojsko sypało nawet szkło, żeby dzieciaki tam nie grzebały. Ale nic to nie dało. Były tam skarby tak pociągające, że żaden chłopak nie mógł się oprzeć poszukiwaniom, badaniom i odkryciom. A znaleźć można było naprawdę wiele, i to również zabawek niebezpiecznych i wybuchowych" (WSKH).

Laszko

Znany laryngolog, mieszkał na Alei Przyjaciół 31.

Legendy

„Dawno temu żył i mieszkał pewien gospodarz; dokładnie nie wiadomo gdzie mieszkał, ale gdzieś chyba w Olsztynie, a może i u nas. Był bardzo skąpy, nieuczciwy, źle traktował pracowników. Po śmierci został zamieniony w czarnego psa. Tego psa można spotkać na moście na Jeziorze Długim. Gospodarz-pies będzie tak długo pokutował, aż ktoś nie powie do niego dobrego słowa. I co wy na to?" (WSKH). „Słyszał same dobre słowa i już dawno wrócił na swoje gospodarstwo (poprawiony i uszlachetniony)" (jd).

Lep na muchy

„Powszechnie kiedyś używano słynnych lepów na muchy, które przywieszało się do żyrandola w kuchni lub pokoju. Pamięta ktoś tę kleistą obrzydliwość o sztuczno-miodowym zapachu?" (jd). „Te lepy pamięta moja mama. Ja widziałam takie cudo jedynie w sklepie rzeźniczym. Wisiało to coś nad mięsem i było oblepione tłustymi muchami. Brrrr. Moja babcia polowała na muchy ze zwiniętą gazetą. Mimo swego zaawansowanego wieku była bardzo dobra w ich mordowaniu" (mr).

„Lepki to było duże świństwo. Jeszcze większym świństwem było morderstwo much przy pomocy trucizny w aerozolu. Ciotka na wsi w Tumianach od czasu do czasu urządzała taki pogrom" (Fredek).

Leszkowicz Rysiek

Mieszka w okolicy CPN.

Leśniewska Monika

„Czy Monika Leśniewska to jeszcze mieszka na Białej?" (ryba696). „Monika dosć dawno zmieniła adres zamieszkania, przeniosła się z całą rodziną na ul. Wierzbową, czyli na osiedle za torami kolejowymi" (karolina).

Lewandowscy

Mieszkali na Alei Przyjaciół 32, na parterze. Przyjaźnił się z nimi dziadek mr2. Był tam Jurek i dwie siostry. Jurek mieszka teraz na Rybakach, a jego siostra nazywa się po zamążpójściu Gwozdek.

Lewandowski Bogdan

Z innych Lewandowskich; kolega z klasy Zbyszka. „Przed chwilą spotkałem przypadkowo gościa, rozmawiamy, skądś wyraźnie znam ten głos... Tak jest, to Bogdan Lewandowski z mojej klasy z Siódemki. Poznać na ulicy, to bym go nie poznał, ale po głosie, to nawet po 30 latach. On mnie początkowo nie poznawał, więc zaskoczyłem go tym, że znam jego imię i nazwisko. Powspominaliśmy, dałem mu namiary na forum, może się odezwie. Mieszka w Duesseldorfie. Rozsypaliśmy się po świecie" (Zbyszek).

Liceum Ekonomiczne

„Liceum Ekonomiczne chyba pięć lata temu także obchodziło 50-lecie istnienia Jestem absolwentką tejże szkoły, a dokładniej skończyłam pięcioletnie Technikum Hotelarskie w Zespole Szkół Ekonomicznych, którego to zespołu Liceum Ekonomiczne jest już tylko częścią" (betis).

Likusy

Kiedyś zupełnie odrębne osiedle-wieś połączone z Osiedlem nad Jeziorem Długim przejazdem kolejowym. Tego przejazdu dziś już nie ma; przebudowano go niedawno na wiadukt. „Likusy włączono do Olsztyna 1 stycznia 1967 roku, a Gutkowo (chyba nawet dwoma kolejnym częściami) jeszcze później" (Rafal).

„Pisze się wprawdzie «Likusy», ale dość powszechnie mówi «Likuzy». Byłem mocno zaskoczony pisownią, gdy nauczyłem się czytać" (jd).

Linijka

Przyrząd naukowy, przydatny na lekcjach matematyki, także i innych, a poza tym „narzędzie tortur".

„Linijką dostałem po łapach od Filuta. I to za darmo, czyli za nic! Od razu przestało mi się wiele rzeczy podobać" (Zbyszek). „My mieliśmy wychowanie muzyczne z panią Romanowicz i ona także biła linijką po rękach" (Fredek). „Linijką dostałem dwa, może trzy razy w pierwszych dwóch latach edukacji. Najbardziej jednak nie cierpiałem ciągania za uszy, bo i to się zdarzało. Dragan była w tym ponoć dobra, choć ja osobiście nie pamiętam, aby mnie to od niej spotkało" (mamut).

Liss Ewa

Koleżanka z klasy ryby696, od razu po szkole wyjechała na do Niemiec.

Litzowie

Mieszkali na I piętrze Rybaków 33. Kazik i Leszek. Kazik chodził do klasy ze Zbyszkiem. W latach 70-tych wyprowadzili się do centrum Olsztyna. Kazika spotkał DD w połowie lat 80-tych nad Jeziorem Likuskim; mówił, że jest nauczycielem w Reszlu.

Lizaki

Popularnym i cenionym słodyczem były czerwone lizaki koguciki za 30 gr. „Nie ceniłem tych lizaków z kogutkiem, bo były mdławo słodkie, a ja lubiłem w słodyczach kwaśność. Były też wielkie lizaki okrągłe, i w ogóle w lizakach panował spory ruch i spora, jak na tamte lata, pomysłowość producentów" (jd).

Lody

Oczywisty letni przysmak.

„Lody szczególnego rodzaju, nakładane do specjalnych wafelków w specjalnej foremce, i o szczególnym, świetnym smaku, sprzedawano dawno temu w cyrku. Cyrk, gdy przyjeżdżał, rozstawiany był koło Dworca Zachodniego, tam gdzie teraz jest targowisko, a potem po drugiej stronie tunelu" (jd).

„Były w latach naszej młodości lody Bambino, zdaje się waniliowe; topiły się błyskawicznie i jadło się je z reguły takim drewnianym patyczkiem" (mamut). „Wydaje mi się, że mamut pomylił lody Bambino z lodami Calypso. Calypso były świetne i jadło się je właśnie tym patyczkiem" (jd).

Były też ekskluzywne lody, które nazywały się Cassate i zazwyczaj podawano je w kawiarniach. „Pamiętam te lody Cassate. To była bardzo duża porcja, więc zazwyczaj rozkrajało się ją na cztery części. Miały one trzy warstwy: waniliową, czekoladową i malinową. Wydaje mi się, że te lody jeszcze bywają w sprzedaży. " (jd).

Lubańska Teresa

Czyli nat. Na początku zarzuciła nam emeryctwo i ciasne horyzonty geograficzno-umysłowe, zawężone do smutnych ponoć okolic Jeziora Długiego i szkoły. Nat spędziła dzieciństwo na Alei Przyjaciół, ale nie czuje podobno ze szkołą i okolicą bliższej sentymentalnej i emocjonalnej więzi, i nie ma jakichś istotniejszych wspomnień. Tak to prezentuje: „Z nauczycieli raczej nikt nie imponował niczym i trwałego piętna na kształcie charakteru nie pozostawił. Wakacje spędzane nad Krzywym na tzw. plaży, przymusowe rodzinne grzybobrania i nasiadówki w lesie, szybko straciły urok poprzez monotonną powtarzalność. Młoda dusza rwała się «do miasta», ale tam, zamiast pobudzającej intelekt kultury, było kino Polonia i teatr Jaracza z programem opartym głównie na przymusowej w szkołach lekturze. Tylko Olsztyn Główny oferował WAY OUT". Nat była jednak wierną czytelniczką i systematyczną uczestniczką rozmów na forum, co i raz uciekającą się do twórczych prowokacji (że nudzimy i nie mamy nic do powiedzenia). Starała się zapracować na reputację twardej, złośliwej jędzy, ale te i owe wspomnienia powodowały chwile słabości i wprawiały ją – aczkolwiek wbrew samej sobie – w nastrój nostalgii i romantyzmu. Mieszka dziś w Anglii i nosi nazwisko Wilson. Wiadomo jeszcze coś takiego: „W Olsztynie mieszkałam (naprzeciw szkoły) od czasów zamierzchłych do roku 1965. Chodziłam do Siódemki (ukończonej w roku 1961), a potem do LO II. Po maturze wybyłam na studia i więcej już nie wróciłam. Teraz nie mam już tam nikogo i pewnie nigdy już nie zajrzę. Za Warszawą tęsknię trochę, ale też nie na tyle, żeby odwiedzać. Przyznaję jednak, że poznałam w Anglii bardzo angielskich Polaków, którzy po bardzo wielu latach spędzonych tutaj, wracają umrzeć do Polski. Na razie nie wiem dlaczego i nie rozumiem. Ale może coś w tym jest". Ważne jest też to: „Tygodnik Ekran łaskawie zamieścił kiedyś (1974 r.) moją fotkę, ponieważ byłam tłumaczką sztuki telewizyjnej autora z Nowej Zelandii oraz asystentką reżysera, który językiem polskim nie władał. Pamiętam tylko, że w jednej z głównych ról występował Olgierd Łukaszewicz" (nat).

Nat ma rownież siostrę Elzbietę, która jest o cztery lata młodsza, także chodziła do Siódemki i aktualnie mieszka koło Frankfurtu.

Nat kolegowała się w Olsztynie z mamą mr i właśnie od mr wiadomo o nat jeszcze, że: „Jej ojciec w latach osiemdziesiątych ożenił się z panią Domańską, którą moja mama pamięta jako nauczycielkę biologii o panieńskim nazwisku Dzienisiewicz" (mr).

Ł

Łańsk

Mała miejscowość blisko Olsztyna. Piękna przyroda, las, Jezioro Łańskie i ośrodek rządowy. Miejsce bardzo cenione przez LP.

Łęgowski Marek

„Łęgowskich było w domu dużo; Marek jak nie zdał u nas, chodził do klasy ze swoją siostrą, chyba Jolką. Mieszkali na Jeziornej w blokach" (ryba 696). „Jola Łęgowska chodziła do klasy ze mną, nie pamiętam jednak, czy jej brat też. Niewykluczone, że oni ze dwa razy nie zdali" (mr).

Łowienie ryb

Okolice Jeziora Długiego i okolic były rajem dla młodych i starych, dla kobiet i mężczyzn, dla dzieci i dorosłych, a i dla wędkarzy. Na Długim można było złapać szczupaka, na Czarnym łososia, na Krzywym wyciągnąć z głębin sielawę, i to wszystko – a przecież nie tylko to – o każdej porze roku.

„Więc łowiło się, oj łowiło. Czasem na wędkę, czasem siatką. Były w Długim karasie i liny, a czego innego nie udało mi się wtedy na Długim złapać. Szybką metodą połowu, tzw. obiadową, było rzucenie siatki o wymiarach 1 na 1 obok przybrzeżnych krzaków, podkarmienie i szybkie wyciągnięcie, co dawało w efekcie kilkanaście albo i więcej sztuk w ciągu godziny. Dla cierpliwych i z zacięciem sportowym była oczywiście wędka, albo i dwie, co przynosiło od zera do kilku sztuk w ciągu popołudnia. Łowiło się zazwyczaj na odcinku między mostem a zejściem nad jezioro w pobliżu sklepów. Czasem również nieco dalej, w stronę zalesionego końca jeziora albo w kierunku PZW. Nigdy natomiast nie łowiłem z drugiego brzegu. Swego czasu miałem nawet kartę wędkarską, zresztą nie uchodziło inaczej – mieliśmy w klasie Andrzejka, którego ojciec pracował w PZW. Największa rybę na Długim złapałem kiedyś z mostu, i był to lin. Najchętniej chodziło się jednak nad Krzywe albo Likuskie, gdzie woda była czysta i rybki nie jechały tak mocno mułem. Czasami też na Żbika albo Podkówkę. Ja sam nie ograniczałem swoich wędrówek, zresztą nie tylko tych «rybackich», do najbliższej okolicy; chodziłem bardzo dużo w dalsze rejony, i to w celach różnych. Były to tereny przy Długim, ale też wzdłuż Łyny aż do Redykajn, całe Krzywe aż do Gutkowa, lasy za Podkówką, gdzie zbierało się grzyby (tam, gdzie teraz są budynki seminarium, były dawniej wspaniałe kurki). Na Krzywym za lotniskiem bywało się na rybkach, grzybkach i robiło biwaki pod namiotem. Potem, gdy z etapu pieszo-rowerowego przesiadłem się na MZ-kę (Leszek, może pamiętasz moje MZ Trophy?), «zdobyte» tereny powiększyły się znacznie, jakkolwiek nie był to motor lubiący bezdroża. TS-ka była w tym lepsza. No cóż, było, minęło. Teraz właściwie prawie nie łowię – tzn. owszem, na urlopach rzucam sporą blachę, zwykle na morzu, i to z nie najgorszymi wynikami. Na klasyczne siedzenie i moczenie kija brak jakoś ochoty i czasu, który i tak ucieka coraz szybciej" (ak).

„Był czas, że ryby na Długim brały jak głupie. Ale to chyba tylko dlatego, że z braku tlenu w całkowicie zatrutym jeziorze wolały łykać tlen z powietrza niż z wody. Były takie dwa sezony, że przy moście okonie pływały całymi stadami i taka chmara okoniowa przepływała wzdłuż mostu z regularnością co do minuty. Dziesiątki moczykijów zarzucały wtedy swoje wędki. Sam byłem świadkiem, jak facet miał założone dwa haczyki i wyciągał

po dwa na raz. My młodsi, w tym samym miejscu przy samym brzegu jeziora, łowiliśmy kiełbie. Tych było też mnóstwo. Biliśmy rekordy, kto więcej złapie na jednego robaka. Udawało się złowić kilkanaście na jednego, ostatnie brały na wymiętoszone i wyżute jak guma strzępy robaka, ale brały cały czas tak żarłocznie, że w godzinę miało się po kilkadziesiąt sztuk. Oddawaliśmy wszystkie kotom. Te zaś, z nadmiaru żarcia, w końcu ogryzały tylko łby jako największy smakołyk. Przy drugim moście w zatoce (dziś już go nie ma), brały z 5 metrów karasie prawdziwe giganty, takie, że na patelni mieścił się tylko jeden. Brały najlepiej na słodkie ciasto, a spławik wywalały podobnie jak wtedy, gdy bierze leszcz. Most był krótki (właściwie to był półmost), dlatego szła wojna o miejsce i niektórzy przychodzili skoro świt. Karasie jednak chyba właśnie z powodu braku tlenu brały najlepiej w samo południe w upale, gdy duchota była największa" (WSKH).

Łódeczki

„Ja i moi kumple z klasy mieliśmy swego czasu taką oto zabawę: robiliśmy z papieru łódki, a po lekcjach chodziliśmy nad Długie i puszczaliśmy je na wodę, ale nie to było głównym celem. Chodziło o to, aby na drugi dzień wyłowić jak najwięcej puszczonych łódeczek, a właściwie nie tyle wyłowić, co odzyskać je w stanie nienaruszonym. Potem taką łódeczkę suszyło się i puszczało jeszcze raz, i tak w kółko, aż zatonęła. Ciekawi mnie, czy to był tylko nasz patent, czy ktoś wcześniej na podobny pomysł wpadł?" (Tomas).

„My robiliśmy łódeczki trochę inaczej, a mianowicie brało się coś, co umiało pływać, następnie napełniało się to saletrą wymieszaną z cukrem, i zapałało się..." (LP).

Łuk

„Może ktoś z was znalazł koło Trzech Koron łuk i strzały? Schowałem w dziupli i ktoś mi... No tak, kiedyś w lesie było nas znacznie więcej. Czubki w strzałach miałem metalowe – zdobyte własnoręcznie na wojskowej strzelnicy WDK, z wykorzystaniem następnie wytopionego ołowiu; leciały super..." (Zbyszek).

Łukaszuk Łukasz

Kolega mir-mura; podejrzewany początkowo o to, że to on jest mamutem, co okazało się wprawdzie złym trafieniem, ale już drugie wskazanie mir-mura (na Olgierda Wiśniewskiego) było bezbłędne.

„Słyszałem tylko, że się ożenił z B. Swatek (też byłą Siódemkowiczką)" (mir-mur). „Ta ostatnia informacja nieaktualna już od ponad pięciu lat" (borasca).

Łyżwy

„Kiedyś do jazdy na łyżwach potrzebne były trzewiki z żabką, i dzięki temu można było do nich przymocować łyżwy. Ja też takie miałam; choć były jeszcze łyżwy całkowicie przykręcane do obcasów i na przód buta; często spadały. Moim marzeniem były figurówki, które w sklepach albo już były i zniknęły, albo akurat nie było dla mnie numeru. Wreszcie pewnej zimy w latach 60-tych tata mi je kupił, na Starym Mieście w sklepie sportowym. Mam je do dzisiaj, i nawet czasami na nich jeszcze jeżdżę" (Iwona).

„Takie łyżwy przykręcane też miałem; masz rację, one ciągle spadały. Ale moje zupełnie pierwsze łyżwy nazywały się chyba śniegowe i miały podwójne płozy. Kiedy byłem trochę starszy, dostałem hokejówki" (LP).

M

Maciejewska Iwona

„Mieszkała w bloku przy Bałtyckiej, w tym pierwszym od ul. Zielonej; jej rodzice mieszkają tam do tej pory. Siódemkę ukończyła w roku 1981 lub 82” (karolina).

Madejski

Zwany Madejem; kolega LP i Fredka; mieszka obecnie niedaleko Karlsruhe. „Madejski był w naszej klasie, ale musiał powtarzać, i w ten sposób wylądował w klasie LM” (Fredek).

Magnetofon

„Najpierw były adaptery, szczególnie adaptery Bambino; zaraz potem były magnetofony, szczególnie ZK dwu-, a potem cztero-ścieżkowe; w końcu nadeszły kasetowce, a za ich sprawą prywatki wyszły w teren!” (Zbyszek).

Majbański Bogdan

Został milicjantem, mieszkał na Morskiej.

Majcher Leszek

Czyli Leszek, albo ML, albo też LM. „Mieszkałem na Alei Róż. Podczas mojego krótkiego pobytu w Olsztynie w 1996 roku nie miałem, niestety, okazji spotkać wielu znajomych ze szkoły, ale prawdę mówiąc to niewielu ich już tam mieszka. Jak widać, większość pałęta się po świecie. Dzwoniłem do Szwejka – był za granicą; Rajmund Pacmor – wiadomo, wyjechał już bardzo dawno; Todek Snitko i moi sąsiedzi – w niemieckich stronach, i mógłbym tak wymieniać i wymieniać. Natomiast po wielu latach znalazłem kilku znajomych w Toronto, i to poprzez tę stronę, ale jest to na razie znajomość przede wszystkim internetowa, bo nawet moich kanadyjskich współrozmówców jeszcze nie widziałem! Bardzo mi się spodobał pomysł tego forum i nie będę ukrywał, że zostałem w nie wprowadzony przez kolegę z klasy, z którym nie miałem przez długie lata żadnego kontaktu! No ale dzięki całym tym komputerom, właśnie się to zmienia! Po cichu planuję wyjazd do Olsztyna, chyba na wakacje, i wtedy będę mógł się nacieszyć na żywo. Na razie zdjęcia Fredka dają świetną szansę, by sobie porządnie powspominać. Mnóstwo osób i sytuacji od razu powróciło do pamięci” (LM).

LM, co wśród nas jest jeszcze nietypowe, został już dziadkiem (absolutnie młodzieżowym dziadkiem), i to podwójnym.

„Chciałbym spotkać LM i mieć okazję do odegrania się na nim. Kiedyś mnie ograł w ściankę na pieniądze ze wszystkiego, co wcześniej wygrałem od innych, Chyba to było 45 zlotych, rok około 1976. Miałem wypchaną sakiekwkę, a wróciłem z Alei Róż, gdzie LM mieszkał, z zupełnie pustą” (WSKH).

„LM był najmłodszy z trójki braci. Dobrze pamiętam dwóch starszych. Widziałem stronę interenetową Waldka. Koło nich mieszkał Bogdan (nie pamiętam nazwiska, ale miał super kuzynkę, która przyjeżdżała na wakacje); jego mama troche kulała” (johninm). „Mój brat Krzysiek jest w Polsce – nie wyjeżdzał nigdzie, zajmuje się herpetologią; a Waldek jeździ po świecie z swoimi obrazami. Zrobiliśmy mu nawet wystawę w ambasadzie polskiej w Ottawie, a później in New York” (LM).

Makara Mirek

Kolega z klasy i przyjaciel LP. Mieszkał na Al. Przyjaciół 39. Miał siostrę, bardzo ładną. I on, i ona ciągle mieszkają w Olsztynie, choć już nie na Alei Przyjaciół.

Maksymiuk Wiesiek

Kolega Fredka; i najprawdopodobniej z klasy mr.

Makulatura, butelki itp.

Kiedyś zbierało się te wszystkie surowce z pobudek patriotyczno-ekologicznych („ratujesz lasy, zbierając makulaturę"), z obowiązku szkolnego (trzeba było przynieść określoną ilość, by zaliczyć jakiś przedmiot), no i dla zysku – dla zwiększenia lub stworzenia kieszonkowego.

„Ja zbierałem butelki i słoiki. Dobre pieniądze można było na nich zarobić, tyle że punkty przyjmujące były otwierane wedle nieprzewidywalnych reguł i widzimisię tych, którzy w nich rządzili" (jd).

Najważniejszy skup butelek w okolicy znajdował się na Morskiej. Prowadzili go dziadkowie Wiesi Porębskiej, później żony Bogusia Molendy. Ale gdy ten związek stał się faktem, dziadkowie już nie funkcjonowali w interesie, i niedługo potem umarli. „Czy wy też te butelki sprzedawaliście może w skupie przy Morskiej? Pamiętacie babcię i dziadka ze skupu? Oglądali każdą butelkę; za sztukę była złotówka, a za słoik chyba 50 gr. Było to w okolicy bardzo wczesnych lat 70-tych" (WSKH). „Ten punkt skupu był w najniższym punkcie Morskiej, między Ogródkiem Jordanowskim i lasem, a przyjmowali te butelki chyba od strony Bałtyckiej. Oczywiście nieśmiertelna cena – 1 zł od butelki (nie poszczerbionej na gwincie)" (jd). „Od Morskiej też można było wchodzić. Butelki potem podrożały do 3 zł. To był szał, bo mieliśmy dzięki temu dużo więcej forsy. Jednak entuzjazm szybko minął, bo zorientowaliśmy się, że za więcej pieniędzy można było mniej kupić. Tak więc ta butelkowa zmiana ceny była dla nas sygnałem początku inflacji i dowodem, że gierkowska gospodarka zaczyna popadać w zadyszkę" (WSKH).

Innym miejscem kojarzącym się z makulaturą było tylne wyjście ze szkoły na boisko. „Ten magazynek na makulaturę zbieraną na wyścigi przez klasy to było faktycznie magiczne miejsce, tak jak wagi sprężynowe, na których zawieszało się paczkę; one pokazywały ciężar" (WSKH). „Banan, czyli Darek Banowski, ten starszy, w jakiś niepojęty sposób zdobywał klucz od tego składziku makulatury w wejściu szkolnym, znikał tam i wydzierał zdjęcia nagich kobiet z kolorowych pism. Zastanawiam się właśnie, jakie mogły być w tamtych czasach (lata 80-te) gazety z takimi fotkami. No i przypomima sobie, że były to: «Razem» oraz tygodnik studencki ITD, którego szefem był Aleksander Kwaśniewski" (miki).

„Ja zaczynałam szkołę jeszcze na Bałtyckiej i do dziś pamiętam akcje zbierania butelek (na cele charytatywne?). Moja wychowawczyni, pani Sitnik, z dumą poustawiała kiedyś przyniesione przez dzieci zbiory w drzwiach do klasy. Przy zabawie w czasie przerwy, biegnąc do klasy, upadłam na tę kolekcję i do dzisiaj mam szramę na nodze. Miła pani S. zrobiła mi awanturę za poniesione straty w postaci stłuczek, a później była jeszcze spora draka z udziałem moich rodziców" (nat).

„Też pamiętam te zbiorki materiałów powtórnego przerobu, szczególnie makulatury i złomu. Pamiętam też to tylne wejście do szkolnego budynku przemienione na tymczasowy magazyn makulatury. Teraz pewnie coś takiego nie byłoby dozwolone z powodu niebezpieczeństwa powstania pożaru. Nie pamiętam natomiast, żeby butelki były jakimś specjalnie ulubionym materiałem zbiórek szkolnych. Makulatury zbierano sporo w szkołach, dopóki nie stała się ona towarem wymiennym na papier toaletowy w okresie wczesnych lat 80-tych. Większość ludzi miała wtedy trudności z normalnym otrzymaniem tego cennego towaru w sklepie, więc nic innego nie pozostawało, jak tylko to gromadzenie makulatury na wymianę" (mamut).

Malewski Darek

Kolega mikiego. Wnuk sławnego Malewskiego. Sławny Malewski był chyba posłem na Sejm; mieszkali za Molendami, na Rybakach 3.

Malińska Urszula

Koleżanka nat; chodziła do Siódemki; miała młodszego brata Andrzeja (oczywiście też Siódemka); mieszkali na Bałtyckiej, w okolicach Fredka i mamuta. Obok Ulki mieszkała również Iwona. Nat była nawet na ślubie Ulki.

„Jeżeli to ta sama Urszula Malińska, to brat jej ma na imię Jacek. Urszula była rzeczywiście trochę starsza od niego, i mieszkali na Bałtyckiej. Spotykam ją niekiedy w centrum miasta, wymieniamy «dzień dobry». Związana jest zawodowo chyba z sądownictwem" (Iwona). „Tak, tak, to dokładnie ta Urszula, o której mówiłam; zaczęła pracować w sądzie zaraz po maturze. Nie znam tylko jej nazwiska po zamążpójściu" (nat).

Malkowski

„Na początku lat 70-tych w dziwny sposób kupił mieszkanie Smereckich (Aleja Przyjaciół 30), którzy przez to musieli się wyprowadzić. Wszystko mu przeszkadzało, ale był prokuratorem i nie bał się nikogo. Za komuny było to normalne. Miał też córkę Beatę, która mi się bardzo podobała. Niestety... Beata mieszka dziś w Lublinie, a on niedawno umarł" (LP).

Mały Modelarz

„«Świat Młodych» czytałem od dechy do dechy, byłem zresztą harcerzem, ale też kleiłem modele z «Małego Modelarza». «Mały Modelarz» wychodzi do dziś, a ja mam jeszcze kilka starych numerów, na które czasu i kleju zabrakło. Może kiedyś... na emeryturze? Pewnego razu skleiliśmy z bratem z podwójnego numeru okręt Aurora. Wywarzony napełniliśmy siarką z zapałek, korkami, kapiszonami, podpaliliśmy i wypuściliśmy na wody Jeziora Długiego. Pięknie ta Aurora płonęła strzelając wokół, i to był ostatni (i może jedyny) rejs Aurory po Długim" (Zbyszek).

Marcinkiewicz Robert

„Zna ktoś z was Roberta Marcinkiewicza i wie, co się z nim dzieje? On mieszkał na Alei Przyjaciół, a jego rodzice mieli zakład fryzjerski. Matka prowadzi ten zakład chyba jeszcze do dziś. On był przez parę lat moim szwagrem, ale później straciliśmy całkiem kontakt" (AD).

„Ja znam Marcinkiewcza. Robert miał podobno całkiem niedawno poważny wypadek samochodowy w Niemczech. Może Zyby coś będzie wiedział, bo to chyba od niego dostałem tę informację." (miki). „Z Robertem podobno już jest lepiej. Tak mówi Jarek Szwejk. Gdy widziałem ostatni raz Roberta, musiał być po przejściach, bo powtarzał, że kobiet ma dość do końca życia (no może w trochę mniej delikatnej formie)" (zyby).

„Informacja dla wszystkich, którzy znają Roberta M.: Tak, miał ciężki wypadek, ale nie samochodowy, tylko w pracy. Niedawno się z nim widziałem i jest na najlepszej drodze powrotu do zdrowia. Najważniejsze, że nie stracił swojego poczucia humoru i dobrze to wszystko znosi" (AD).

Robert chodził do klasy z zybym i z tymi wszystkimi, z którymi chodził zyby.

Marcjankowie

Mieszkali na Rybakach, blisko przedszkola. Dwóch braci, sympatycznych grubasków. Starszy, Jurek, chodził do klasy z jd i Elą Kaszubą.

Marczyński Darek

Mieszkał koło Ogródka Jordanowskiego, przy placyku na Morskiej. Miał przezwisko Nuna, które niektórzy lepiej zapamiętali niż jego prawdziwe imie i nazwisko: „Kiedyś pływałem w Warmii na żaglówkach, byłem załogantem, a na sternika mówiliśmy «Nuna». Nie pamiętam dokładnie, jak się nazywał, ale na pewno chodził do naszej szkoły" (zyby).

„Nuna miał starszego brata Artura. Kolegowałem się z nim. Słyszałem, że teraz pracuje w protetyce dentystycznej w Olsztynie. Świetne śliwy mieli w ogrodzie. Zresztą cały ogród niczego sobie" (johninm).

Markowscy

Ela i Krzysiek. Ich ojciec był adwokatem. Krzysiek skończył studia i wyniósł się z Olsztyna. Ela, z którą przyjaźniła się mama mr, też wyjechała do Warszawy i wyszła za mąż za Marka Nowickiego, który był operatorem filmowym, a potem został profesorem w łódzkiej szkole filmowej. Ela ma dwóch synów.

Marmolada

Obok bryły masła, bryły galaretki, była również bryła marmolady. Bardzo przystępny cenowo słodycz.

„Na pewno pamiętacie wielkie bloki marmolady na wagę (czy nie 1,20 za kilogram?), która dla wielu bywała najważniejszym dostępnym słodyczem, i której zazwyczaj nie brakowało (oranżady w proszku potrafiło czasem nie być)" (jd). „Marmolada z bloku była oczywiście podstawą wyżywienia (przyznam się, że od czasu do czasu wracam do tego tematu przy śniadaniu)" (DD).

Marschall Michał

Czyli miki. Rocznik 1980, w klasie z zybym, LM i Jarkiem Szwejkiem, z tym że do Siódemki dołączył w piątej klasie. „Niestety, nie zostałem na dzielnicy. Mieszkałem na Likusach, a teraz Śródmieście. Po starych śmieciach śmigam czasem rowerkiem. Jak jest ciepło. Pani Ciołkowska nazywała mnie w szkole «żulik» i «zcichapękł». To wiele tłumaczy". Dziś miki jest między innymi kolegą Zbyszka do śpiewania (szantów) i do grania (w siatkówkę), a także inicjatorem wielu innych świetnych projektów towarzyskich i forumowych dawnych Siódemkowiczów.

Mauzoleum Hindenburga

„Mauzoleum marszałka Hindenburga pod Stenbarkiem zrównano z ziemią jeszcze pod koniec lat 40-tych. Kamienne płyty przywieźli do Olsztyna. Zrobili z nich m.in. placyk przy pomniku wdzięczności Armii Czerwonej przy al. Piłsudskiego (no powiedzcie, czy to nie palec boży). To takie samo sukinsyństwo jak wybrukowanie macewami z cmentarza żydowskiego alei Wojska Polskiego (szukać pod asfaltem)" (mk).

„MK napisał, że rozwalili to w latach 40-tych, ale nie jest to chyba prawda; było to znacznie później, w połowie lat 50-tych. Był to oczywiście rozkaz Związku Radzieckiego. Znam kogoś, kto walczył o to, żeby to zachować, ale niestety nie udało mu się. To były ciężkie czasy. Podobno koszty rozwalenia Mauzoleum były ogromne, ale to już Polska musiała finansować" (LP).

Mendelski

Płowy blondyn, właściciel SHL-ki. Zwany też Kulawym Mendlem. Mieszkał zaraz pod lasem w okolicach CPN, jego ojciec był weterynarzem. Mendel zwany był kulawym, gdyż z najstarszym Szafarewiczem znaleźli w lesie minę i coś przy niej majstrowali. Mina wybuchła, Szafarewicz stracił nogę, a Mendel zaczął kuleć. Był też drugi Mendelski, jego brat.

„Mam w garażu motor z lepszą prądnicą niż ta w WSK. Stoi też u mnie MZ! Mendelski wstawił, bo matka sprzedaje mieszkanie na Alei Róż. Już od lat sprzedaje, ale chce absurdalną cenę 150 tys. za mieszkanie do kapitalnego remontu. Kiedyś z młodszym Mendelskim, jeszcze jako nastolatki, pchaliśmy zepsuty motor z Podkówki. To była moja najdłuższa droga przez mękę" (WSKH). „Wiem coś o tych motorach Mendelskiego. Rozbijaliśmy te motory na

krosowisku, a także tarcze strzałami z wiatrówki Mendelskich. Czasem Janusza spotykam, bywa latem na przystani Bryza.” (Zbyszek).

„W Siódemce byli kajakarze. Trenowali na OKS-ie. Obecnie znany jest Tomasz Mendelski. Jego ojciec to Siódemkowicz, absolwent 1973, klasy S. Brzozowskiego” (WSKH).

Męczenie zwierząt

Trzeba uczciwie i samokrytycznie przyznać, że dziecięca spontaniczność, głupota, choć i pasja poznawcza prowadziły nas do czynów wątpliwych i godnych zawstydzenia. Chodzi zwłaszcza o niektóre postępki wobec braci mniejszych.

„Co do męczenia zwierzątek, to łapaliśmy z rodzeństwem i kuzynem koniki polne. Wyrywało się im tylne nóżki, żeby nie miały szans na ucieczkę, no i później z tych koników była przynęta na rybki” (Fredek).

„A czy może ktoś z was torturował, tak jak ja, pająki? Wiecie, te z długimi cienkimi nogami. Nad jeziorem sporo było tych pająków. Jak się wyciągnęło im nogę, to noga sama skakała” (mr). „Rozciągnięta i rozerwana dżdżownica również nadal żyła w podwojonej (lub potrojonej itd.) postaci, jak te poobrywane nogi pająka” (jd).

„A czy również byliście tak okrutni i nadmuchiwaliście żaby przez słomki, jak to robili niektórzy moi koledzy?” (mr). „Kładło się następnie taką nadmuchaną żabę na mrowisko. Kilka dni później miało się wspaniały szkielet żaby na lekcję biologii” (Fredek). „Zgadza się; to co chłopcy wyprawiali z żabami, to były prawdziwe tortury. W porównaniu z tym wyrywanie nóg pająkom czy rozciąganie dżdżownic to były czysto naukowe eksperymenty” (mr). „Tak jest, kierowała nami żądza wiedzy, która czasem sprowadza jednak na manowce” (jd).

„Kiedy miałem 7-8 lat pokłóciliśmy się na podwórku, czy prawdziwe jest przysłowie, że kot zawsze spada na cztery łapy. Oczywiście przeprowadziliśmy stosowny eksperyment. Całe szczęście, że kłótnia na temat słuszności przysłowia «Gdyby kózka nie skakała...» zakończyła się na poziomie teoretycznym ze względu na brak obiektu, na którym można byłoby dokonać weryfikacji doświadczalnej. Gdy to sobie dziś przypomnę, to nie mogę nie dojść do wniosku, że byliśmy dość wrednymi bachorami. Niektórym to mogło zostać do dziś” (detritus).

„Ja pamiętam jak ktoś otruł wszystkie rybki w szkolnym akwarium. Straszna z tego była afera. Na szczęście to chyba nie był nikt z naszej klasy, choć to właśnie nasza klasa znana była z różnych cennych i mniej cennych dowcipów” (mr). „Nam zdarzyło się wlać do akwarium trochę atramentu, ale rybki okazały się mocniejsze, a może tylko w tamtych czasach atrament był jeszcze ekologiczny” (ak).

„Mir-mur, ja cię do końca życia zapamiętam za glizdy w moim piórniku, które rozlazły mi się po stole na lekcji plastyki, a wszystko to po bardzo owocnej poprzedniej godzinie kopania w szkolnym ogródku. Coś mi się wydaje, że maczał w tym palce także AD” (borasca). „A czy pamiętacie jak na lekcji biologii AD zrobił sekcję dżdżownicy linijką? Belferka porządnie się wówczas wkurzyła i AD dostał pałę” (tepsik).

Mielczarska Marzena

Koleżanka T.B. Dziś solistka opery kameralnej.

Mierzejewska Aśka

Koleżanka karoliny i sąsiadka z piętra wyżej Fredka. Miała też brata Marka.

Mięsny

„Melduję, że właśnie został otwarty na nowo sklep mięsny przy ulicy Bałtyckiej (na rogu Jeziornej). Od jakiegoś czasu był tam remont, a dziś o 13 otwarto go właśnie na nowo.

Zupełnie nowy wystrój i nieco inny asortyment; tam gdzie kiedyś królowały niezdrowe salcesony i boczki, dziś poleca się kuflowy Specjal (czarny) w promocyjnej cenie 3.20 za 0,5 litra. Reszta piw z lodówki. Jednym słowem, przeniesiono tam nasz dzielnicowy bar. I jeszcze jedno: to jest bar dla niepalących" (zyby). No i w tym nowo otwartym barze w miejscu dawnego Mięsnego można na codzień spotkać sporo Siódemkowiczów.

„A jak się ten bar nazywa? «Bar Mięsny»? Z tym sklepem to wiele mam wspomnien. Stanie w kolejkach, puste haki jak w szatni. Raz narysowalem obrazek na Wychowanie Plastycznym: kolejka przed Mięsnym... Było trochę karykaturalnie. Pani Cejko nie uwierzyła, że to sam narysowałem, a ja się wkurzyłem, że nie chciała tego uznać. W końcu chyba mama była w szkole i zaświadczyła, że naprawdę sam to narysowałem. No i była w końcu jakaś dość dobra ocena za to" (Fredek).

„Trochę byłem zaskoczony niedużymi rozmiarami Mięsnego, ale nigdy wcześniej tam nie byłem. Wystrój raczej prosty, otwarte dopiero tydzień, więc myślę, że z czasem to miejsce bedzie obrastało w różne przedmioty, dodające ciepła temu miejscu. Na razie za wystrój robi saksofon powieszony na ścianie. Bardzo pasował w czasie mojego tam pobytu, bo muzyka była kubańska: salsa,mambo... Dobrze, że barman nie pozwala palić w środku; dzięki temu głowa tak nie bolała rano, ale troche bolała. Siódemkowiczów rozpoznawalnych było sześciu, no i było miło, gadało się, piło... AAA! I był Dziad! Okazało się, że wcale nie dziad, tylko młody i sympatyczny. Olgierd – bo tak się nazywa właściciel – zamyka Mięsny w zasadzie o 22-giej" (miki).

„W Mięsnym, jak to wynika także z opisów mikiego, było rewelacyjnie, co zresztą widać po zawartości stołów na zdjęciach. Spotkanie było owocne, choć niewyobrażalnie krótkie. Mam nadzieję, że uda się zorganizować jeszcze niejedno spotkanie, i być może w większym gronie" (Oczoper).

Ale są też na temat Mięsnego opinie bardziej zdystansowane:

„Piszecie na forum o tym pubie «Miesnym». Wracając ze spaceru nad Jeziorem Krzywym zaszedłem zobaczyć ze zwykłej ciekawości. No i żadna rewelacja, ot pub jak pub, nawet widziałem podobne w dużo lepszym wydaniu (wystrój). Siedziało paru delikwentów z wyglądu już po kilku piwach, i dalej sączyli kolejne. Tak więc zachwytu we mnie nie wzbudził"(olsztyniak).

„Żadna atrakcja ten wasz Mięsny. Kolejna osiedlowa knajpa, a z biegiem czasu może stać się tym, co w tej branży najgorsze, mianowicie speluną. Czego właścicielowi nie życzę" (internauta).

„Wpadłem wprawdzie tylko na moment do opiewanego Mięsnego, ale... No cóż, jak to już ktoś wcześniej stwierdził, kolejna osiedlowa dziupla, oby nie stała się spelunką. Brak klimatu, stylu i czegokolwiek, aczkolwiek obsługa uprzejma i ok. Ja wiem, że najważniejsze z kim, a nie gdzie, ale bywać tam racze jnie będę"(ak).

„Tak a propos Mięsnego: widziałem, jak na oknach lokalu umieścili litery na prawie pół metra wysokości o treści TANIE PIWO; czyżby mało klienteli? A może to już droga do powstania speluny? Wwydaje mi się, że jak się sprzedaje tańsze piwo, to wiadomo, na jaką klientelę można liczyć. Czyżby więc początek upadku? Zastanawiam mnie tylko jedno: dlaczego ajent czy też właściciel lokalu nie pomyśli o stworzeniu tak zwanego «lokalu tematycznego»? Możnaby postawić na określoną klientelę, stworzyć nastrój i przede wszystkim porządny wystrój lokalu. Wszak instrument muzyczny na ścianie, jaki tam wisi, to szczyt minimalizmu! Podrzucam pomysł: na ścianach można zawiesić reprodukcje fotografii dotyczących osiedla, szkoły, ludzi, można pokazać ich «wczoraj» i «dziś»; dobre by były również na przykład fragmenty map z różnych okresów tego miejsca. Pomysł prosty i łatwy do wykonania. No i wtedy mamy lokal naprawdę osiedlowy, z elementami quasihistorycznymi, dotyczącymi najbliższej okolicy" (Obserwator Osiedla).

„Obserwator Osiedla ma całkowitą racje. Jak nie zmienią kierunku lokalu, to oczywiście bedzie na podobieństwo innych osiedli kolejna speluna z zamroczonymi pijaczkami. Do speluny jeden krok i trzeba szybko się ratować" (kk).

Z kolei kontropinie:

„W Mięsnym zawsze można spodkać kilku Siódemkowiczów, a wtedy jakoś tworzy się to coś, czyli nastrój" (zyby).

„Nie tragizujcie z tym Mięsnym. Oni podtrzymują świetlaną przeszłość Trampa i Antałka!" (WSKH).

„No i w Mięsnym też mi się podobało. Wystrój jest bezpretensjonalny i wygodny, wielkość w sam raz, by nie było ciasno a było kameralnie, obsługa aktywna i chętna do dialogowania. W tej sytuacji nie skończyło się na jednym piwie, ale na dwóch" (jd).

Mikołajki

„W szkole chyba właśnie na Mikołaja robiło się prezenty. Chłopaki dziewczynom i odwrotnie. Miało być tajemnicą to, od kogo dostało się prezent, ale jakoś tak wychodziło, że po pół godzinie wszyscy wiedzieli, kto za którym prezentem się kryje" (WSKH). „Najpierw losowało się osobę, dla której się szykowało prezent. To losowanie wzbudzało chyba największe emocje" (jd).

Mikołajki to także miejscowość na Mazurach.

Mirski Marek

Kolega z klasy Iwony. Obecnie w Warszawie, ale uczestniczy w klasowych imprezach jubileuszowych.

Miś

„Byłem miłośnikiem tygodnika (a może dwutygodnika?) «Miś», z Misiem Uszatkiem w roli głównej. Środkowe cztery strony były tak pomyślane, by można z nich było zrobić jakąś zabawkę. Właśnie te strony lubiłem najbardziej" (jd)

Mleko

Ceniony napój, którym zadręczano dzieci w domu, przedszkolu, a nawet w szkole. Mleko nosiło się kiedyś ze sklepu nawet nie w butelkach, ale w kankach.

„Z dawnych wspomnień (jeśli chodzi o mleko) pamiętam, że jedyną przyjemnością, jaka łączyła się z zakupem tego napoju, było odkrycie, że wracając z pełną kanką (czy młodzi wiedzą o czym mówię?) ze sklepu do domu (w moim przypadku akurat trasa dokładnie wzdłuż SP 7) można było cały czas robić ręką wielkie koła, a mleko, mimo że kanka fruwała dnem do góry, nie wylewało się (zazwyczaj) z naczynia" (DD). „Kręcić trzeba było szybko i wyprostowaną ręką. Za moich lat mleko (prosto od krowy) rozwoziła co rano specjalnym drewnianym wózkiem kobieta, która miała te krowy i małe gospodarstwo przy Jeziorze Krzywym po drodze na plażę miejską" (jd).

„Choć może trudno w to uwierzyć, to mojemu chodzeniu do wiadomego nadzwyczajnego przedszkola na Rybakach towarzyszył element cierpienia. Otóż całe życie, od kiedy pamiętam aż po dzień dzisiejszy, nie znosiłem i nie znoszę mleka. A już do kwadratu nie znoszę mleka ciepłego, a do kolejnej potęgi mleka z kożuchem, a takie dawniej ciągle bywały, do następnej zaś potęgi wszelkich zup mlecznych. Moja druga, nie-olsztyńska babcia mieszkała na zapadłej wsi siedleckiej i uważała, że największy mój przysmak to mleko prosto od krowy, które mnie natychmiast i na samą o nim myśl przyprawiało o mdłości i do dziś uważam to za jedną z obrzydliwszych potraw. No wiec gdy szedłem do przedszkola, to już na wysokości domu Bogusia Molendy czułem ten potworny zapach gotowanego mleka i już przeżywałem te czekające mnie długie użerania się z wychowawczyniami, kombinacje, płacze i inne takie.

Nikt zaś wtedy nie wątpił, by było coś zdrowszego dla dzieci w przedszkolu niż mleko i bywało ono ciągle. Choć właściwie było coś jeszcze obrzydliwszego od mleka – mianowicie herbata z mlekiem czyli bawarka, którą wyczuwałem już na wysokości Alei Przyjaciół 36. Naprawdę nacierpiałem się z tym mlekiem co niemiara. Względną ulgę sprawiało mi jedynie mleko przypalone, bo miałem wrażenie, że jest to mleko z orzechami i to z przewagą zdecydowaną orzechów. To dawało się przełknąć. Ten nacisk mleczny przedszkola, rodziców i dziadków, to powszechne przekonanie, że nie można być zdrowym bez picia mleka i jeśli dziecko nie pije go, to musi się to skończyć poważnymi komplikacjami życiowo-zdrowotnymi, sprawiły, że właściwie sam dziwiłem się, że żyję, że mam siły całe dnie ganiać po ulicy, uliczkach, ogrodach i boiskach, i w dodatku właściwie nie choruję i jestem we wszelkich normach intelektualnych i fizycznych. Później, gdy przymus się skończył i nabrałem własnego rozumu, próbowałem z rozsądku nawet zmuszać się do tego mleka, ale nic z tego nie wychodziło, co najwyżej akceptowałem jogurty i kefiry, choć też bez entuzjazmu. Byłem w każdy razie sam dla siebie przez to mleko sporą zagadką. Dopiero w zupełnie już dojrzałym wieku przeczytałem, że naukowcy odkryli, że pewne organizmy ludzkie najzwyczajniej nie akceptują mleka, że ono im po prostu szkodzi, że nie ma w nich jakiegoś tam enzymu itd. Dopiero wtedy trochę się uspokoiłem i odetchnąłem, że miałem rację nie zmuszając jako już ojciec mego pierwszego maleństwa do picia mleka, bo ono najwyraźniej miało dla mleka te same uczucia co ja, natomiast maleństwo drugie jest całkowicie mleczne i jak przystało na człowieka w miarę światłego zupełnie tej jego sympatii nie tępię, a nawet obserwuję ją z zainteresowaniem" (jd).

„Jd, potwierdzam wszystkie twoje opinie na temat smaku i uroku tego napoju. Po głowie mi chodzi, że może wszyscy, którzy chodzili do SP 7 nie lubili mleka z kożuchami. Ja byłem zmuszany codziennie do wypicia kubka, ale miałem sposób: ogłosiłem całej rodzinie (i w to uwierzyli), że ja piję napoje po zjedzeniu wszystkich kanapek. Tak więc mleko piłem pod koniec śniadania – czyli wtedy, kiedy rodziców nie było już w domu. Nie muszę dodawać, że mleko lądowało w zlewie. Ale za to byłem i jestem fanem budyniu" (DD).

„Co do mleka, to ja miałam inny sposób. Nas zmuszano do picia tego paskudztwa podczas długiej przerwy w Siódemce. Oczywiście na samą myśl o kubku mleka z kożuchami już mi się płakać chciało i do tej pory mam awersję. Gdy więc mnie któraś z kucharek zmuszała w pierwszym tygodniu do wypicia tego paskudztwa, to ja po pierwszym łyku wszystko bardzo ładnie zwymiotowałam włącznie ze śniadaniem. Od tego czasu nikt nigdy w szkole nie kazał mi pić mleka. Serdecznie też współczuję wszystkim nieszczęśnikom picia mleka prosto od krowy. Kiedyś to wąchałam, ale na szczęście nigdy nie miałam wątpliwej przyjemności spróbować. Sam zapach mi wystarczył!" (mr).

„Pamiętam, że w pierwszych latach (druga albo trzecia klasa) piliśmy wszyscy mleko na długiej przerwie. Zgłoszenia chętnych były dobrowolne. Było tak: klasa w dwuszeregu zbiórka, kto chce mleko niech zrobi krok do przodu, pierwszy szereg wystąp, drugi szereg wystąp. Ta dobrowolność trwała może jakieś pół roku, potem zapanował spokój. Niczego więcej nie piłem i nie jadłem w stołówce, jako że do budy miałem z domu niecałe 100 metrów" (ak).

To niesamowite, ale zdarzali się jednak również fani mleka. Oto dowód: „Ech jd, co ty z tym mlekiem? Ja wprawdzie teraz pić go nie mogę, bo mnie wzdyma, ale i tak co jakiś czas po szklankę białej ambrozji jednak sięgnę. Mleko w dzieciństwie uwielbiałem, piłem szklankami. To w szkole także, i to również z kożuchem, co do którego niektórzy mieli wstręt dla mnie niezupełnie zrozumiały. Zdaje się, że mi babcia lub ktoś inny z rodziny powiedział, że kożuch jest zdrowy, i od tego czasu nigdy go nie opuszczałem wychylając moją ulubioną szklankę" (mamut).

Młotek Jola

Mieszkała na Alei Przyjaciół 25.

Molendowie

Mieszkali w pięknym domu na Rybakach 1, przy samej Alei Przyjaciół (dziś jest to „prawdziwy" i niegustowny pałac, przebudowany przez jakiegoś dorobkiewicza). Za domem ciągnął się piękny, wielki ogród, z którego było świetne przejście prosto na boisko szkolne. Ojciec Julian Molenda był przez długi czas w latach 60-tych przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. Jego pociechy to Ela, Halina i Boguś, który był przyjacielem jd. Boguś chciał się kiedyś wybrać na tamten świat. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło, w każdym razie było to związane z jego wielkim sercem. Po ożenku z Wiesią Porębską Boguś przeniósł się do domu jej rodziców na Morską. Jako uczeń chodził do szkoły muzycznej i pięknie grał na pięknym pianinie, które miał w domu.

„Dom po Molendach jest dziś beznadziejnie nowobogacki. Tylko wysokie na 15 metrów tuje przypominają to, co było dawniej (jak bywałem tam u Bogusia, gdy tuje były niższe od nas). W ogrodzie Molendów rosły równie smaczne śliwki jak u Lewandowskich, ale musieliśmy czasem sporo się nagimnastykować z Bogusiem, by przechytrzyć jego ojca (podobnie jak w sprawie agrestu przechytrzać musieliśmy mojego dziadka, nie mogąc się doczekać aż agrest nabierze właściwego koloru; ciemna zieleń była dla nas zupełnie wystarczająca)" (jd).

Morawski Grześ

Kolega MW.

Morawski Krzysztof

Autor – będącego w posiadaniu mir-mura – wiersza, napisanego w 1982 roku, a zatytułowanego „Nasza szkoła". Wiersz jest nieco przesłodzony, ma wady techniczne i gramatyczne, ale płynie prosto z młodego serca i umysłu:

Nasza szkoła jest wesoła.
Tam ktoś śpiewa, tu ktoś woła.

Na fizyce już wynika,
że uczniowie mają bzika.
Na fizyce krew zamiera,
Tu nie znajdziesz przyjaciela.

Na rosyjskim już od rana
Nasza pani rozkrzyczana,
I gdy już dzwonek zadzwoni
Wiemy, że „урок" skończony.

Na ZPT można grać w karty,
Bo pan stroi sobie żarty,
Zdanie „Panowie i szlachta"
Kończy „Worek i płachta".

Biologia idzie nam szybko
Gdy pani daje jeść rybkom.
Gdy koniec obwieszcza dzwonek
Idziemy do domu! Lekcje skończone.

Morska (ulica)

„Morska jest prościutka, szeroka, zaskakująco też szeroki jest chodnik po prawej stronie; rzadko tam chodzą ludzie, i wszystko to robiło zawsze na mnie wrażenie nadzwyczajnej harmonii, spokoju, bezpieczeństwa i tego, co gdzie indziej nazywają sjestą, szczególnie w leniwe dni letnie, gdy jest 40 stopni w cieniu. Naprawdę, niełatwo o piękniejszy widok niż Morska w leniwe południe przy 40-stopniowym upale ” (jd). „Zgadza się, Morska miała naprawdę taki charakter jak opisał jd. Niekiedy wracałem Morską po lekcjach do domu i zawsze, szczególnie jak było strasznie gorąco, wydawało mi się, że tam się bosko nic nie dzieje. W dodatku, gdy szło się na bosaka, to było od razu widać odciśnięty w asfalcie kształt stopy” (Fredek).

„Podczas ostatniego pobytu, zgodnie z planem powałęsałem się w tę i z powrotem Morską w 40-stopniowym upale, zostawiając ślady trampek w asfalcie i rozkoszując się nastrojem sjesty, spokoju i harmonii, który tam o tej porze roku, dnia i pogody się uzyskuje. Może sporo stojących na Morskiej samochodów odrobinę narusza ten spokój i harmonię, ale takie niedoskonałości znoszę bez problemu” (jd).

Most

Najwęższe miejsce Jeziora Długiego przecinał zawsze drewniany most.

„Żołnierze z pobliskiej jednostki zabawiali się nad jeziorem w taki między innymi sposób, że popisywali się chodzeniem po poręczy mostu, a obserwatorzy czuli miły dreszczyk emocji (dość perfidnej) na myśl, że może któryś wpadnie do wody? Ja czułem bardzo wyraźnie ten dreszczyk, ale na szczęście nigdy żaden wojak nie wpadł” (jd).

„Ja widziałem z kolei kiedyś (musiało to być w latach 70-tych), jak żołnierze połamali most (pijani) do tego stopnia, że później musieli go odbudować praktycznie w całości. Pamiętam biel desek nowego mostu” (LP).

Mościbrocki Andrzej

Ukończył Siódemkę w roku 1982. Chodził do klasy z Rafałem Wolskim. Syn nauczycielki, pani Janiny Mościbrockiej.

Motocykle

Motocykle, zwane też krócej motorami, miały zawsze oddanych i zawziętych miłośników. W przeciwieństwie do samochodów wydawały się zawsze jakoś możliwe do zdobycia, do kupienia lub odkupienia; w zasadzie były, po rozsądnym okresie ciułania pieniędzy, w zasięgu zwykłego śmiertelnika.

Głównymi Siódemkowymi amatorami motocykli byli LP i WSKH.

„Niezapomniane były mecze w piłkę na motorach w 7-ce, które kończył Filut albo Domańska. Moja przygoda z motocyklem zakończyła się tragicznie dla mojego kolegi, który zabił się na mojej MZ-cie za Dywizami. Po jakimś czasie naprawiłem ten motor i sprzedałem go sąsiadowi z dołu” (LP).

„Henio dobrze pamieta, że potrafiliśmy przez jakiś zepsuty drobiazg w motorze przesiedzieć nad nim kilka dni. Kiedyś jeździliśmy bez tłumików nad Długim, pomagając wędkarzom co by lepiej ryby brały” (LP). „Jak pomyślę, że kiedyś szaleliśmy tymi motorami między drzewami, w nocy, po śniegu i właściwie bez ograniczeń szybkości, to ciarki po plecach mi przechodzą” (WSKH).

„Ciekawe, Heniu, co robi twoja 175 Czarna Zaraza? Coś mi mówi, że masz ją jeszcze. A czy pamiętasz może, jak kiedyś kupiliśmy motor od twojego sąsiada za butelkę wina?” (LP). „Zgadza się, Czarna Zaraza czyli WSK 175 stoi do dzisiaj w garażu. Ma 25 lat, rok produkcji 1979, i jest w stanie nienaruszonym, ciągle na chodzie (6900 km przebiegu). Zostawiłem ją

jako muzealny eksponat dla potomnych. I rzeczywiście kupiliśmy kiedyś z LP za wino zdaje się, że WFM. Nie pamiętam od kogo i co się z nią stało. Ale jak za wino, to prawdopodobnie od Kempińskiego, co mieszkał na Rybakach 48". „Wueska czeka na odważnych. Wczoraj była kontrolnie odpalona. Wszystko gra i rzęzi w niej na 100 procent. Jest gotowa!" (WSKH).

Również Allan (ak) ma znaczący w życiorysie epizod motocyklowy: „Była to Trophy. Niestety, przed laty podarowałem ją mojemu chrześniakowi i tyle ją widziałem. Szkoda, byłoby dziś fajnie trochę «pogazować», aczkolwiek to była typowa szosówka. W terenie była za miękka i siadała w piachu, chyba że odkręcało się, ile fabryka dała. Na torze saneczkowym nie miałbym szans z WSK, ale na asfalcie – całkiem poważne. Pamiętam, jak mnie niebiescy namierzyli na Warszawskiej. Na szczęście radar dał d... – na skali było chyba 185 kmh i to mnie uratowało, bo oni nie byli w stanie uwierzyć, że MZ-ka tyle pojedzie. Tak naprawdę było coś około 80-ki" (ak).

„Mnie utkwił w pamięci pewien czarny Junak. Również strój – skórzany płaszcz, długie oficerki i słynna «kokilka» na głowie; to były widoki!!!" (ak). „To był Wojtek Wróblewski, choć Allan sugeruje kogoś z parteru Al. Przyjaciół 38" (Zbyszek).

„Kolega AF posiadał «rodzinnie» również coś bardzo ciekawego – M72 z wózkiem bocznym, potem chyba też Urala. Marek Węcek, jeżeli nic nie mylę, grzebał się z kolei z remontem NSU Sahara-Prinz z potwornym 4-cylindrowym silnikiem (podwójnym bokserem) z ponad litrową pojemnością, co na tamte czasy było prawie niewyobrażalne. Największą maszyną na rynku była wtedy poprzedniczka MZ-ki trophy250, a normalką były SHL-ka i WFM-ka. Trochę tego złomu przewinęło się przez Aleję Przyjaciół" (ak).

„W ogóle jakże bogata była wówczas polska oferta motocyklowa: WFM, WSK, SHL, Junak, do tego boczne naczepy, no i piękne kaski, zwane często «orzeszkami»" (jd).

„Moim absolutnym «idolem» motocyklowym tamtych czasów był Leszek P., czyli nasz ojciec-założyciel LP. Miał piękną nową 175-kę na krossowych oponach, i jak leciał po Alei, to szyby drżały w oknach klasy. Tak jak mój idol, również ja jeździłem po osiedlu bez kasku" (miki).

Muraszko Ada

Mieszkała na Alei Przyjaciół 39 z mamą Zosią Stankiewicz. „Muraszko Ada, oprócz tego że mieszkała z mamą Zosią (która oczywiście też chodziła do Siódemki), miała jeszcze brata Błażeja, a jej tata, z tego co pamiętam, był jakąś szychą na lotnisku w Dajtkach. Ada pod koniec podstawówki przeprowadziła sie z Alei Przyjaciół do Gutkowa O ile wiem, mieszka teraz w Anglii i ma dwoje dzieci; niestety, od wielu lat nie mam z nią kontaktu. Za Adą wszyscy chłopcy oczami wodzili, bo była ładna i do tego bardzo fajna" (ryba696).

Angielski telefon do Ady ma nat.

N

Na przełaj

Tygodnik młodzieżowo-harcersko-kulturalny. „Ceniłem «Na przełaj», bo zamieszczali tam zdjęcia piosenkarzy i teksty piosenek, i to samo było w sobotnim (a potem piątkowym) Sztandarze Młodych. W Sztandarze ten kącik muzyczny nazywał się chyba «Muzyka niepoważna»" (jd).

Namioty

„Może pamiętacie, że kiedyś było bardzo popularne spanie w namiotach, i te nocne wyprawy na jabłka i śliwki... My często koczowaliśmy pod 11" (LP).

„A ja rozbijałem co i raz namiot u Bogusia Molendy, Rybaki 1. Ale się działo. Były kłopoty z jego ojcem, moimi dziadkami, a nawet z milicją. Wiele bym oddał, by to się powtórzyło" (jd). „Ja rozbijałem namiot nad Likuskim. Było super" (ak).

Narty

„Ostatni raz byłem zimą w olsztyńskim lesie w 1986 roku. Tam nauczyłem się kiedyś jeździć na nartach (drewniane, bez żadnych plastików, 220 cm długości, wiązania tzw. kandahary, kijki bambusowe z kółkiem wiklinowym). Na tych nartach nauczyłem się też biegać i tak to polubiłem, że każdej zimy biegam na nartach prawie codziennie" (fundy).

„Tak jakbym czytał własne wspomnienia! Mewa, tor saneczkowy, Zając, za długie i zbyt ciężkie narty (dziś już nie biegam – mam 37 lat, ale za to w lutym jadę na narty pod Mont Blanc, sic!)" (kusza).

Niewypały

„Koledzy znajdowali tego sporo tu i tam, mimo że tyle już minęło lat od wojny (lata 1970-te). Mnie się właściwie nie zdarzało, choć raz znalazłem jeden pocisk karabinowy tuż za ulicą Bałtycką nad Jeziorem Długim. Dumny zaniosłem go do domu i pokazałem ojcu, był nieźle zardzewiały. Zostałem pouczony, żeby więcej tego nie ruszać, ale i tak nigdy więcej nic takiego już mi się nie zdarzyło. Natomiast moi kumple z klasy potrafili od czasu do czasu wykopać w lesie miejskim jakieś niewypały karabinowe. Podobno czasem pociski lądowały w ogniskach. Kiedyś jeden z kolegów, mieszkający niedaleko Ogródka Jordanowskiego, podobno został przyłapany przez ojca z około 200 pociskami różnego kalibru. Sprawa odbiła się szerokim echem, była wyjaśniana z innymi uczniami w szkole; wszystko po to, aby saperzy mogli znaleźć źródło znaleziska" (mamut). „Rzeczywiście było coś takiego; wtedy z lekcji fizyki zabrało nas wojsko, byśmy wskazali znane nam miejsce, w którym były zakopane pociski artyleryjskie z czasów wojny. Tylko że my je wcześniej przenieśliśmy w inne miejsce, żeby nie zdradzić, gdzie faktycznie pozyskujemy materiały do petard i koreczków (to była straszna dziecinada)" (mir-mur).

„Zgadza się, te koreczki to była niezła dziecinada, ale swoją drogą był też niezły ubaw. Podobnie atrakcyjną zabawą było obieranie normalnych korków. Obierało się ostrożnie papę, i można było ten środek rzucać, np. na przerwie w szkole. Było kilka wypadków z tego powodu. Ja osobiście też łapę poparzyłem, bo chowałem obrane korki w moim gipsie na ręku" (AD).

Niziurski Edmund

Autor rewelacyjnych powieści i opowiadań dla młodzieży; trochę szkolnych, trochę detektywistycznych, świetnie napisanych, świetnie się czytających. Sporą ich kolekcję miała biblioteka na Alei Przyjaciół.

„Ja zdecydowanie przedkładałem Niziurskiego nad Nienackiego i jego Samochodziki, a także nad klasykę w rodzaju Winnetou. Do dziś cenię te książki Niziurskiego bardzo, i lubię przeczytać. Gdyby dawali Nobla za literaturę dla dzieci i młodzieży, to Niziurskiemu należałby się bez dwóch zdań" (jd). „Jd, zgadzam się z tobą w całej rozciągłości – Niziurski był ciekawszy od wszystkiego innego z tej dziedziny. «Sposób na Alcybiadesa» to najlepsza książka mojej najmłodszej młodości" (miki). „A była jeszcze «Awantura w Niekłaju», «Księga urwisów», «Jutro klasówka», «Marek Piegus» i sporo innych. Wszystko świetne. Niziurski też pisywał dla dorosłych, ale to zostało niedocenione" (jd).

Nocne wigilijne spacery

„W latach 80-tych parę wigilii spędziłem z dziadkami na Alei Przyjaciół. Dziadek miał zawsze świetną ruską wódkę, a gdy około 1 w nocy szedł spać, ja z babcią odbywaliśmy

dwugodzinny spacer wokół Rybaków, całą Morską, i trzy razy tam i z powrotem Alejami. Śnieg sprawiał, że było jaśniutko i przytulnie nadzwyczaj. Wydawało mi się już wtedy, że jestem w siódmym niebie, ale dopiero teraz wiem, co to naprawdę znaczy. Gdy babcia ma spore, a ja drobne trudności z przybyciem w tamte okolice" (jd).

Nowaccy

Mieszkali na Alei Przyjaciół 41, na parterze.

Novotel

Hotel i restauracja przy wyjeździe z Olsztyna w stronę Warszawy, ale „w zasięgu" naszej dzielnicy. Pracowała tam niedawno Beata, czyli betis, a i Zbyszek ma coś z Novotelem wspólnego.

„Może ktoś pamięta mecz piłkarski rozegrany obok baru, takimi pomarańczowymi kulami, które normalnie wisiały jako lampy? Musze dodać, że było to w czasie urodzin obchodzonych przez mojego kolegę właśnie w Novotelu. To wydarzenie miało miejsce już bardzo dawno, ale, jak pamiętam, było bardzo wesoło aż do momentu interwencji pani kierowniczki. Do dziś z pełnym też przekonaniem polecam wszystkim Novotel z przyczyn następujących: 1. Czysto, 2. Super obsługa, 3. Blisko do szkoły (spacerem ok. 20 minut)" (LP).

O

Obsadka

Kiedyś podstawowe narzędzie do pisania, o kształcie zgrabnego, rozszerzającego się do dołu patyka. Wkładało się do niej, w tym najszerszym miejscu, stalówkę, tę stalówkę moczyło w atramencie i już można było pisać, choć często zaczynało się od kleksa. Obsadki były powszechnie gryzione i obgryzane od strony czubka, i to niezależnie od tego, czy były drewniane (i polakierowane, często bardzo barwnie i atrakcyjnie), czy plastikowe; obgryzane obsadki miały swoje niezapomniane smaki.

Odrodzenie

Koło ratusza, tam gdzie teraz jest Empik (w 2006 ten Empik został przeniesiony do nowowybudowanego Alfa-Centrum) i pawilon z kasami i biurami podróży, było kiedyś – w wyburzonym pod koniec lat 60-tych budynku – kino Odrodzenie.

Ogniska

„Pamiętam, że w czwartej i piątej klasie zaczynała się młodzieńcza fascynacja ogniem. Wszystkie chłopaki z mojej okolicy lubiły co rusz palić jakieś ogniska; szczególnie teren za torami niedaleko miejskiej plaży był na te cele świetny. Było to o jakiś kilometr od przejazdu kolejowego na Jeziornej. Teraz są tam ogródki działkowe, a kiedyś był mały poligon wojskowy, a później nieco, ale jeszcze przed działkami, przeddożynkowy obóz OHP (zdaje się, że w roku 1978). Często płonęły na tych naszych ogniskach opony i inne śmieci. Im więcej dymu i ognia, tym większa była frajda. Paliliśmy również ogniska – choć rzadziej – w opuszczonym ogrodzie zburzonego domostwa na Bałtyckiej, jakieś 100 metrów w linii prostej od domu, w którym mieszkałem, ale to były niewielkie ogniska. Teren na te ogniska był w tym ogrodzie świetny, bo mieliśmy tam coś w rodzaju dużej dziury w piachu, więc szanse na rozniesienia się ognia były znikome. Ziemniaczki też w ognisku piekliśmy Często dostawałem wtedy bury od rodziców za to, że ciągle śmierdziałem dymem" (mamut).

„Czy pamiętacie, że na dzielnicy było takie miejsca, gdzie kiedyś robiło się jesienią co i raz zbiorowe ogniska i piekło ziemniaki? Jedno było tam, gdzie dziś stoją dwa pierwsze domki po prawej stronie na Rybakach od strony stacji paliw" (WSKH).

„My najczęściej paliliśmy ogniska w zakolu Długiego pod lasem. Tam też było stałe miejsce spacerów przedszkolaków i uczniów w ramach zajęć" (Zbyszek).

„A ja pamiętam ogniska w ogrodzie Al. Przyjaciół 27 (Pileccy, Karzelowie, Fiedorowicze) w czasach, gdy nie było jeszcze Bursztynowej. Ogrody za domami były wtedy dwa razy większe niż dzisiaj, a tata Fiedorowicz przeniósł właśnie hodowlę lisów i innego zwierza gdzieś do Likus. Kiedyś było też ogromne ognisko na boisku szkoły. Zapamiętałem je, bo było szczególne i wyjątkowe: byli wtedy też żołnierze i mieli urządzenia do wystrzeliwania sztucznych ogni. Była atmosfera festynu i ogólnodzielnicowego zbratania. Te sztuczne ognie były bardzo skromne, chyba nawet były to takie wojskowe alarmy (jedno kolorowe światełko rozbłyskujące wysoko w powietrzu), ale wrażenie było ogromne. Był to rok 1960 lub 61, w porywach 62 (były takie)" (jd).

Ogórek

„Starsze chłopaki będą z pewnością zorientowani, co oznacza kultowy ogórek! Szczególnie atrakcyjne miejsce w autokarze o tej uroczej nazwie było oczywiście z tyłu, ale szałowe było też blisko nieprawdopodobnej pokrywy silnika obok kierowcy. Dla mnie niezapomniane też było takie małe pokrętło na desce rozdzielczej do kierunkowskazów, do którego musiał sięgać kierowca. No i na koniec rozkładane siedzenia pomiędzy rzędami kanap z zaczepianym od tyłu pasem, który służył jako oparcie" (WSKH).

„Ach, ogórek! Szczególnie miejsce przy kierowcy. A gdy jeszcze czasem zdjęto tę pokrywę silnika, to było na co popatrzeć! W Warszawie całe lata czerwoniutkie ogórki (bez tych wszystkich reklam) jeździły jako komunikacja miejska" (jd).

Ogrody

Ogrody przydomowe na Alei Przyjaciół i na pozostałych ulicach osiedla to były miejsca nadzwyczajne i bardzo wielofunkcyjne. Były tam więc poletka eksperymentalne namiętnych amatorów ogrodnictwa i warzywnictwa, były klasyczne uprawy, zaopatrujące w poważnych ilościach potrzeby owocowo-warzywne gospodarstw domowych, były to także tereny zabaw i uprawiania sportów, podchodów, chodzenia po drzewach, były tam wreszcie tymczasowe garaże na świeżym powietrzu (ekologiczne) dla rowerów, motorowerów, motocykli, a czasem i dla samochodów. Istotnym elementem ogródków były sznury, na których suszono prania. Potem, niestety, powierzchnie ogródków zmniejszyły nowe ulice, a także rabunkowa gospodarka przestrzenią samych właścicieli, którzy dobudowywali werandy, garaże, balkony.

„Czy ktoś kiedykolwiek próbował agrestu z ogródka mojego dziadka? Najlepszy był zielony, a że rósł zaraz we frontowym ogródku vis a vis szkoły, to bardzo szybko znikał. Był naprawdę przepyszny!" (mr).

„Wczesną wiosną rosły też powszechnie w ogródkach, szczególnie tych bliższych jeziora, przylaszczki, fiołki i stokrotki. Ja najlepiej pamiętam zapach spalanych również wtedy liści. To był najważniejszy sygnał, że właśnie idzie wiosna" (jd)

„Nawiązując do tematu spalania liści, to przypominam sobie dobrze palenie trawy na wylewiskach za torami w kierunku Novotelu lub nasypu kolejowego. Przeważnie wychodziły z tego niezłe akcje strażackie; było również tak, że na przykład pociąg z Gdańska nie mógł dotrzeć do Dworca Zachodniego przez dym i ogień. Samo wypalanie miało oczywiście swój urok i faktycznie wskazywało na zbliżającą się wiosnę" (AD).

Ogródek Jordanowski

Znajdował się i znajduje u zbiegu Morskiej i Alei Róż, ale prowadzi do niego także tzw. „uliczka" od Alei Przyjaciół. Uliczka bierze początek przy sklepie, między budynkami o numerach 31 i 33. Ogródek miał czasy świetności i kompletnego upadku. W czasach świetności przychodziło się tam na całe dnie. Były huśtawki, fontanna i wypożyczalnia zabawek, i to świetnie zaopatrzona.

„Pani z Ogródka Jordanowskiego nazywała się Jakubiec. Była tam wypożyczalnia zabawek i dobrze pamiętam drewniane samochody i huśtawki, z których się skakało" (LP). „W Ogródku Jordanowskim ja też skakałem z huśtawek, robiliśmy zawody, kto skoczy dalej; pamiętam też te drewniane samochodziki, a moim szczególnym uznaniem cieszył się bilard z grzybkiem. W ogóle to pomieszczenie z zabawkami i grami wydawało mi się prawdziwą skarbnicą" (jd). „Zupełnie zapomniałem o tym bilardzie z grzybkiem, ale już sobie przypomniałem. To była na tamte czasy rewelacyjna gra; pamiętam, że trzeba było czekać w kolejce, żeby pograć. Ciekawe, kto by chciał teraz w to grać?" (LP).

„Moją ulubioną zabawką w Ogródku Jordanowskim była koparka – obracało się korbami i nabierało piach" (gd).

„Ogródek został kilka lat temu odnowiony (dzięki inicjatywie pana Gajko z Al. Przyjaciół – zresztą męża mojej nauczycielki od biologii z Siódemki). Może nie jest tak odjazdowy jak ten, który pamiętamy (nie ma wypożyczalni zabawek), ale jest odgrodzony od ulicy i w miarę czysty jak na olsztyńskie place zabaw. A poza tym (co warte jest szczególnego docenienia) nie ma tam dresiarzy, tylko babcie i dzieci" (DD). „Pozostała resztka muru po Jordanie trochę straszy, ale reszta rzeczywiście może być; są nawet jakieś przyzwoite drewniane sprzęty do zabaw" (LP). „Ja też odniosłem wrażenie, że Ogródek jakoś się trzyma, bywają tam mamy i babcie z dzieciaczkami, jest też już odbudowany zadaszony pawilon, ale w tym pawilonie nie ma tego najważniejszego miejsca – pomieszczenia z nieskończoną ilością zabawek (szczególnie czerwona straż pożarna i bilard z grzybkiem)" (jd).

Ogródek geograficzny

Na terenie między budynkiem szkoły a budynkiem sklepu był teren upraw warzywnych i kwiatowych, bywały tam urządzenia do pomiaru wiatru, i w sumie nazywano to wszystko ogródkiem geograficznym. „Był tam swego czasu nawet basen, czyli wybetonowany stawek, do którego ktoś raczej mało rozumny wpuścił kiedyś mnóstwo całkiem dorodnych ryb. Co się z nimi stało i w jakim czasie, to chyba nie trzeba dodawać, i to mimo tego, że ogródek był zamykany na kłódkę. Dziś po ogródku geograficznym pozostał słup z wiatrowskazem" (Zbyszek).

Olbowicz

Piotrek i Iza; kolegował się z nimi Fredek.

Olsztyn dziś

Dzisiejszy wygląd i stan Olsztyna wzbudza emocje, zastrzeżenia, ale i nadzieje. Choć często nie mamy wątpliwości, że „za naszych czasów..." było nieporównanie lepiej na każdym polu i odcinku, to jednak to emeryckie stanowisko wcale nie panuje wśród nas powszechnie i niereformowalnie. Wielu z nas odwiedza Olsztyn tylko od czasu do czasu, co wyostrza spojrzenie, ale też skłania do powściągliwości i krytyki odpowiedzialnej (jak przystało na synów marnotrawnych), a nie zgorzkniałego krytykanctwa. A więc kilka opinii o dzisiejszym Olsztynie:

„Następnego dnia po przyjeździe miałem do załatwienia kilka spraw i ruszyłem w miasto. Ludzie, to co zobaczyłem nie chciało mi przejść przez głowę. Fredek, tam gdzie mieszkałeś zaczyna się Wielka Strefa Graffitti w strasznym wydaniu; wszystko jest dokładnie wysmarowane. Idąc dalej Grunwaldzką, nie znajdzie się chyba żadnego budynku, który nie

wygląda jak z amerykańskiego filmu o rejonach slumsowych. Straszne! Stare Miasto, owszem, wygląda trochę lepiej, ale również jest pomazane, nawet figurka na Moście Jana. Idąc w kierunku ratusza, uwagę zwracają szyby wystawowe podrapane jakimś ostrym narzędziem (chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że wszystkie); 1001 Drobiazgów nie ma, jest za to jakiś sklep dla panów, Rybolu też nie ma, o Harcerskim nie wspomnę, bo po co komu dziś Harcerski, skoro harcerze chyba na wymarciu. Jest za to sklep Bronx obok Staromiejskiej; uważam, że dobrze dobrana nazwa, pasuje do otoczenia. W Staromiejskiej zjadłem obiad (smaczny) i poszedłem dalej. Ładnie wygląda dom Gazety na placu. Zaszedłem do księgarni, która się tam znajduje z myślą, że może kupię coś ciekawego o Olsztynie. Niestety, mają tylko książki do nabożeństwa oraz modlitewniki! Idąc dalej, zaszedłem do Cocktailu i znowu rozczarowanie, bo wystrój do d... Ale ponczówka i jagodowy na śmietanie były smaczne jak za dawnych czasów. Mam propozycję dla władz miasta, żeby przed sezonem turystycznym zmieniły nazwę miasta może na Graffitti-stein; wówczas może przyjadą ci, którym się to podoba. A jeszcze lepiej, jak policja wręczy każdemu przyjezdnemu puszkę farby z komentarzem, że u nas wolno" (LP).

„Czy Olsztyn jest naprawdę taki brzydki? My stali mieszkańcy widzimy dużo zmian na lepsze; jest bardziej kolorowo, zadbane wystawy sklepowe, sporo miejsc, w których można wypić smaczną kawę. Znana nam szarość czasów komuny zanika, a że idzie wolno... Cóż, wszystkie zmiany to ogromny koszt. LP patrzy zbyt krytycznie i chyba jednak był podczas spacerów po mieście w niezbyt dobrym humorze. A może oczekiwał za dużo? Naprawdę Olsztyn nie jest taki szary i nie aż tak pełno w nim graffiti. A że wiele jest do zrobienia i z miastem, i z ludźmi, to wiadomo; jak w każdym kraju, który wyszedł z szarości komunistycznej. Moim zdaniem Olsztyn jest naprawdę ładnym miastem, bardzo lubię spacerować po uliczkach Starego Miasta, usiąść w jakiejś kafejce (a takie już tam są) i spoglądać na fruwające gołębie, spacerujących i wiecznie gdzieś się śpieszących ludzi. Zawsze miejsce to wprowadza mnie w dobry, żeby nie powiedzieć romantyczny, nastrój" (dyr.sp7 – Bożena Szymkiewicz).

„LP, przeczytałam twoją relacje z Olsztyna mojej mamie, która powiedziała, że jeśli tak jest, to ona nie chce tam jechać, bo się tylko rozczaruje i będzie ją serce bolało. Rodzice mają zamiar pojechać na dłuższy urlop do Polski w przyszłym roku i oczywiście zahaczyć o Olsztyn, bo mój tata (tzn. ojczym Szkot) nigdy tam jeszcze nie był. Ale po twojej relacji mama ma spore wątpliwości, bo Olsztyn to Olsztyn a Graffitti-stein to już zupełnie co innego" (mr).

„Leszek, pewnie masz sporo racji, ale ja, gdy byłem w listopadzie w Olsztynie, nie miałem aż tak negatywnych wrażeń z tym graffitti (może dlatego, że w Warszawie tego nie mniej). W obliczu zaś wyciętych topoli nad Jeziorem Długim to jest to pestka" (jd).

„Co do graffitti i brudnego Olsztyna, nie podzielam zdania Leszka. Przed rokiem w lato Olsztyn podobał mi się bardzo. Starówka, ładnie zrobiony deptak, ładne knajpy, może to zieleń poprawia obraz. W zimie, gdy szaro-ponuro, zwraca się na wszelkie wady więcej uwagi" (Fredek).

„Przepraszam wszystkich za moje odczucia, ale napisałem to, co widziałem. Może dla was, mieszkających w Olsztynie, nie są te graffitti czymś nowym, ale dla mnie niestety tak. Proszę, przypatrzcie się dokładnie, jak wygląda na przykład ul. Grunwaldzka. Albo może ktoś z was widział chociaż jeden przystanek autobusowy, który wygląda normalnie (bezgraffittowo)? Mimo to Olsztyn oczywiście był i będzie najładniejszym miastem na świecie (dla mnie)" (LP).

„Oto aktualna sytuacja na Bałtyckiej przy tunelu. Kiedy byłem tam, testowano właśnie nowe cykle sterujące światłami – codziennie było inaczej, ale nigdy dobrze. Raz samochody stały dwoma pasami aż za Rybaczówkę do bloków na Bałtyckiej, tak że po 15 minutach złudzeń, pojechałem do centrum Jeziorną, przy Płazy, Warszawską, czy też Śliwy itd. Jak

więc jest? Załatwili problem czy ludzi? Generalnie człowiek styka się siłą rzeczy z wieloma genialnymi pomysłami – jak np. ulica Dąbrowszczaków. Fakt, że to nic nowego, parę lat to cudactwo już egzystuje, ale za każdym razem nie mogę wyjść z podziwu, kto i po ilu źle przespanych nocach to popełnił. Moje spostrzeżenia co do graffitti są podobne jak LP – szkoda, że tak to wygląda. Przewędrowałem parę kilometrów przy jeziorze – niestety, znów miejscami podtopione ścieżki. Szkoda, że ten spacer kończy się siłą rzeczy przy kikutach topoli. Właśnie oglądałem zdjęcia, na których są one jeszcze zdrowe i dorodne. Trochę ładniej zrobiło się koło Dworca Zachodniego, ale idąc dalej w stronę centrum, koło Zamku, nie miałem już tak pozytywnych wrażeń. Tym razem nie dotarłem do LO II, mojej drugiej szkółki, trzeba będzie następnym razem. W Śródmieściu rzuca się w oczy ruina PDT-u – obraz nędzy i rozpaczy. Tu i tam mogłoby być inaczej, ale mimo wszystko miasto ma nadal swój urok i piękne zakątki" (ak).

„Czy ktoś widział, co się buduje w przełomie Łyny pomiędzy Stadionem Leśnym a Podkówką? Te drewniane zamki, pomosty, kładki, ławeczki, altanki, tarasy widokowe. Olsztyniaków namawiam na niedzielny spacer. Ktoś kto lubił ten dziki przełom Łyny w granicach Olsztyna, będzie mocno zaskoczony. Nie mam swojego zdania na ten temat. Z jednej strony to bezsensowna ingerencja w najładniejszy i najbardziej tajemniczy zakątek olsztyńskiego lasu, z drugiej zaś strony, te ławeczki nie stoją puste. W słoneczny dzień widziałem tam grupki emerytów rozmawiających o swym zdrowiu w miejscu, które rok temu było dla nich absolutnie niedostępne. No i ten zamek-warownia – jaki byłbym szczęśliwy jako dzieciak, gdyby coś takiego powstało w lesie koło mojego domu! Ale znów z innej strony, czy pomysłodawca przewidział etat dla osoby, która systematycznie sprzątać będzie z tych miejsc puszki po piwie i szkło po butelkach?" (DD).

„Na Starówce przybywa pubów. 29 marca impreza w Baszcie – bilety trzeba rezerwować, taki pęd w narodzie do kultury i rozrywki. To nie to co kiedyś, gdy o 20-tej Olsztyn spał" (Zbyszek).

„Z wrażeń z mojego ostatniego pobytu w Olsztynie (rok 2006) chciałbym jeszcze dodać, że imponująca jest ilość i jakość knajp na Starówce, i wieczorem jest tam uroczo; starałem się w każdej zatrzymać na chwilę i szybko wypić małe piwo, ale nie mam już dawnej kondycji i rezerw, więc szybko musiałem tego zaprzestać; w końcu wylądowałem w amfiteatrze na występie Kryszaka, a potem dwa zespoły (w tym jeden ruski) grały ze cztery godziny mnóstwo szlagierów, w tym Beatelsów. Wszystkiemu towarzyszyła świetna, powszechnie przyjacielska atmosfera"(jd).

„Olsztyn zmienił się bardzo. I moim zdaniem pozytywnie. Warto to zobaczyć, tak więc wszyscy, którzy nie macie tego na co dzień, przyjeżdżajcie i oglądajcie" (Fredek).

Oranżada

„Przypomniała mi się oranżada z dawnych lat – taka w butelkach zamykanych zaczepem metalowym z białym korkiem; sam napój koloru czerwonego lub żółtego. Tamtego smaku w żadnej oranżadzie z obecnie dostępnej na rynku nie doszukałam się" (Iwona).

„W książce Pawła Huelle o Gdańsku lat mniej więcej 60-tych («Wasser Dawidek») wiele mówi się o oranżadzie w butelkach z drucianymi kapslami. W Gdańsku ponoć było tak, że ta oranżada zawsze była żółta, ale czasami przychodziła partia czerwonej, i to było święto i nadzwyczajność. Ja pamiętam, że w naszym drogim sklepie pod filarami na Alei Przyjaciół było dokładnie odwrotnie – ciągle była czerwona, ale raz na jakiś czas zdarzała się żółta, i to było tak, jakby miało się zdarzyć coś jeszcze bardziej nadzwyczajnego" (jd). „Ja też, kiedy czytałem tę powieść, pomyślałem o tym samym. Kiedyś (w końcu lat 50-tych) jako kilkunastoletni chłopiec spędzałem część wakacji w miejscowości P. na Mazurach. Znajdowała się tam rozlewnia wód gazowanych. Eufemiczne «wody gazowane», to po prostu czerwona oranżada (po 1,60) albo żółta lemoniada (po 1,40). Pamiętam też, że wtedy w

Olsztynie koło straży pożarnej była rozlewnia wód należąca to spółdzielni «Mewa». Miałem jakieś drobne pieniądze, i stać mnie było przez dwa tygodnie na butelkę «wody gazowanej» dziennie. Musiałem iść pieszo ponad kilometr w jedną stronę, a potem (o nieba!) kupowałem butelkę z porcelanowym korkiem na drucie. Dziś sprzedają bardzo dobre holenderskie piwo Grolsch w podobnych, jeszcze ładniejszych butelkach. Robotnik wyciągał butelkę z metalowej skrzynki. Butelka była jeszcze mokra, miała tylko 0.33 l pojemności i miała temperaturę letnio-chłodną, w każdym razie nie ciepłą. Pamiętam, że nie dawałem rady wypić całej butelki na raz, choć teraz mogę walnąć butelkę 0.7 l piwa bez problemu. Butelki były ciemnozielone, ale trafiały się też brązowawe. Niedługo potem cena oranżady wzrosła do 1,80, a lemoniady do 1,60 i tak już zostało chyba do początku lat 70-tych. W słynnym sklepie na rogu Al. Przyjaciół i Rybaków w tamtych latach (60-te) w lecie zwykle brakowało oranżady, a jeśli była, to miała letnią temperaturę. Butelki nie były mokre jak w rozlewni wód, ale często lepkie. Chociaż taka ciepła oranżada po wstrząśnięciu dawała efekty zgoła pirotechniczne" (Bajarz). „Bajarzu, przyjmij wyrazy hołdu i podziwu za pamięć i poświęcenie dla zdobycia boskiej oranżady. Różnica między oranżadą i lemoniadą była dokładnie taka jak piszesz, choć gdy gdzieś utarło się mówić oranżada, to już tak mówiono niezależnie od sytuacji. I oczywiście nikt nie wchodził w subtelności i kaprysy dotyczące temperatury napoju. Dodam, że rozwożono tę oranżadę w drewnianych skrzynkach i butelki zderzały się w tych skrzynkach ze sobą, gdy je wieziono lub przenoszono, wydając ponętny dźwięk, który do dziś pieści moje uszy niczym przeboje Tercetu Egzotycznego lub sióstr Panas" (jd).

„Nie mogę tego «pisać na głos», ale wiem, gdzie stoją dwie drewniane skrzynki po oranżadzie (oryginalne z butelkami). Są najprawdziwsze i z naszego sklepu" (LP).

„Ja pamiętam oranżadę po 80 gr, i w trzech kolorach. Najbardziej mi smakowała czerwona, a była jeszcze zielona i żółta" (Zbyszek).

Oranżada w proszku

„Pamiętacie smak oranżady w proszku lizanej z brudnej dłoni, w dodatku nie zawsze swojej?" (gd).

„Sprawa oranżady w proszku miała w moim życiu wagę wielką i znaczenie ogromne: ileż ja używałem podstępów, wybiegów, ileż wykazałem hartu i poświęcenia, by raczyć się i rozkoszować tym boskim smakołykiem. Zasadniczo oranżadę tę powinno się wsypać do szklanki zimnej przegotowanej (ha, ha, ha) wody, rozmieszać i natychmiast wypić, ale żaden prawdziwy miłośnik oranżady w proszku nie posuwał się do takiej profanacji. Oceniam, że w swej młodości zakupiłem około tysiąca paczuszek tej oranżady, a spożyłem ją zgodnie z instrukcją jakieś może 5 razy. Natomiast tacy jak ja i gd byli obiektem prześladowań rodziców i nauczycieli: za sam zakup «tego świństwa», a następnie za złośliwe, bezmyślne i grożące ciężką chorobą spożywanie «na sucho». Kiedyś jedna nauczycielka zobaczyła u mnie tę oranżadę i kazała przynieść następnego dnia w dzienniczku wpis od rodziców, że oranżadę tę wypiłem, a nie zjadłem. A tymczasem nie było nic milszego, jak nasypanie jej sobie do ust i przeżywanie jej buzowania i bulgotania w ustach. Ja lubiłem nasypać sobie za dużo, prawie całą paczuszkę i czułem, że mnie wtedy całego przepełnia ta oranżada. Miałem jeszcze jeden wyjątkowo niehigieniczny zwyczaj: odrywałem połowę zbędnego opakowania, a resztę – czyli proszek i resztę opakowania – wkładałem do gęby, i długo długo delikatnie żułem (gumy do żucia wtedy w Olsztynie nie było, i chyba nawet nie wiedziałem, że istnieje coś takiego, a tymczasem spontanicznie ją właściwie stworzyłem). No i oczywiście dzielenie się z innymi dzieciakami – nasypywanie na brudną (zawsze), otwartą, ale tworzącą wgłębienie dłoń, namawianie innych do odsypania – to były prawdzie rytuały, głębokie zjawiska socjologiczne i niemal religijne" (jd).

„Co do oranżady w proszku, to i ja przez to przeszłam. Staliśmy całą grupa pod sklepem na Al. Przyjaciół i również wsypywaliśmy sobie ten przysmak prosto do ust albo wzajemnie

lizaliśmy dłonie. Zdarzały się bolące brzuchy, ale wtedy wszyscy zwalaliśmy winę na zielony agrest, bo baliśmy się przyznać do tej oranżady. Lepiej było wysłuchać kazania babci na temat jedzenia zielonego agrestu niż na temat oranżady w proszku" (mr). „Nie słyszałem, by kogokolwiek bolał brzuch po oranżadzie w proszku, prędzej uwierzę w jej działanie lecznicze" (jd).

„Wysypywało się to cudo z torebki na środek dłoni i zlizywało językiem. Palce w tym nie brały udziału (przynajmniej w mojej metodzie). Była jeszcze metoda akrobatyczna: wsypywało się trochę do buzi i popijało wodą z kranu z ogródka, ale sami rozumiecie, że to nie było łatwe, no i chyba nie było odpowiednio smaczne" (DD).

Wielką fanką oranżady w proszku okazała się również borasca: „Na wspomnienie oranżady moje śliniaki zagotowały się momentalnie i do tej pory buzują na sama myśl o tej niebiańskiej rozpuście". A także lustroo: „Zamykam oczy, o matko, oranżada w proszku, jeju, nic lepszego nie ma i nie będzie; widzę we wspomnieniach mój palec cały zafarbowany na pomarańczowo... Późniejsze pokolenia nie wiedzą, co to było; umieram z tęsknoty za nią". Ślinotok sygnalizowała również karolina.

A oto utwór satyryczy o oranżadzie w proszku autorstwa mikiego: „Nie jedzcie tego! To sama chemia! Kwasek, sacharyna, barwniki i takie tam! Właściwie cała tablica Mendelejewa!".

Orłowska Iwona

Czyli Iwona. Chodziła do Siódemki w latach 1959-1967 do klasy z Jurkiem Dramowiczem i Jackiem Karmowskim, także Januszem Rożnowskim i Markiem Pileckim. Do 1962 roku mieszkała w barakach na Bałtyckiej przed tunelem, w bezpośrednim sąsiedztwie z Izą Trojanowską. Później jej rodzina (ma brata Janusza) dostała nowe mieszkanie także na Bałtyckiej, naprzeciw Technikum Łączności. Obecnie mieszka na Jarotach. Była pierwszym rocznikiem, który kończył podstawówkę ośmioklasową (poprzednio było siedem klas). Od parunastu lat jest w rodzinnej relacji z Elą Kaszubą (ich mężowie są braćmi). Klasa Iwony do dziś prowadzi bujne życie towarzyskie.

„Obecnie najwięcej czasu poświęcam swojej rodzinie. 14-letnia córka jest w I klasie gimnazjum i buzia jej się nie zamyka. Po 19-tej wraca mąż, dopiero o tej porze możemy porozmawiać. Ja pracuję w prywatnej firmie, no i mam co robić! Mamy też pieska i lubię bardzo z nim spacery. Dodam, że jestem spokrewniona z kilkoma Siódemkowiczami. Mój brat Janusz, jego żona Danuta (Ciapa) i ich syn Michał oczywiście uczyli się w Siódemce, a także moja szwagierka Ela Kaszuba" (Iwona).

„Ja przez osiem lat chodziłam do jednej klasy z bratem Iwony Januszem. On się zawsze dziewczynom podobał, i do tego był bardzo miły" (Jadwiga). „Janusz mieszka w Olsztynie, pracuje, ma syna Michała (25 latka)" (Iwona).

Osińska Wiesia

Mieszkała przy Alei Przyjaciół 23 (lub 21).

Ostropolski

Inaczej: Dodek. Naprawia telewizory. Mieszka na Rybakach, naprzeciw Dramowiczów.

Ostrzenie noży

„A czy ktoś pamięta człowieka, który chodził ze specjalną maszyną na napęd nożny do ostrzenia noży, nożyczek i innych takich. Łaziliśmy za nim po całej dzielnicy, a on trochę nas przeganiał, bo z tego ostrzenia leciały iskry" (jd). „Tego, co ostrzył noże pamiętam doskonale; ta jego maszyna to był prawdziwy patent, umiała chyba prawie wszystko" (LP).

Oszczakiewicz Magda
Koleżanka z klasy DD i T.B.

Oświęcim
„Tak nazywano ogródek z potrójnej wysokości siatką za bramką na boisku Siódemki. Nie pamiętam, do kogo należał (czyżby do naszego pana od fizyki?). Mimo ogromnej wysokości siatki, piłka czasami tam wpadała i naprawdę był kłopot z jej wyciągnięciem" (DD). „Oświęcim należał kiedyś do Gerwazego, męża woźnej" (LP).

Na początku XXI wieku całkowicie przestał istnieć; zlikwidowano siatki, wszystko obsiano świeżą trawą.

P

Pakmor Waldek
Kolega Fredka i LP z równoległej klasy A. Miał młodszego brata Rajmunda.

Palant
Coś w rodzaju europejsko-polsko-podwórkowo-szkolnej wersji baseballa. „Była to gra propagowana swego czasu przez szkoły. Jej elementem – który się następnie usamodzielnił – był rzut piłeczką palantową (ponad 50 metrów było dobrym wynikiem). Ta ostatnia konkurencja weszła potem w skład Czwórboju Świata Młodych" (morska).

„Anula (moja mała) chodzi do czwartej klasy naszej Siódemki i na WF-ie grają w palanta; ja nie pamiętam, bym to miała z panią Pawłowską" (karolina).

Paliński
Mieszkał na Alei Przyjaciół 30 i opiekował się długo mieszkaniem LP, w którym zarazem miał pracownię. „Mam zdjęcie Alei Przyjaciół jeszcze z drewnianymi płotami! Na tym zdjęciu widoczny jest tylko jeden samochód, marki Trabant Limuzyna. Był on własnością państwa Palińskich. Widać również mnie na rowerku marki chyba Bobo" (LP).

Pałki-stukałki
Gra podwórkowa; bardzo lubiana i jakoś związana – zdaniem niektórych bardzo blisko – z klipą. To „bardzo blisko" może nawet oznaczać, że pałki-stukałki to po prostu inna nazwa klipy.

Pan Bajorek
Jan Bajorek. „Bajorek był nauczycielem WF-u i jak na nauczyciela był to facet uczciwy i fajny" (niuniek).

Pan Drzazgowski
Kazimierz Drzazgowski; były kierownik szkoły (1958-1961).

Pan Jaworski
Krzysztof Jaworski. „Lekcje śpiewu dopiero wtedy zaczęły być fajne, gdy nauczycielem został Jaworski, wówczas młody gość po studiach. To on przynosił na lekcje płyty z różną muzyką klasyczną i nowoczesną. Jaworski był też w tym czasie gitarzystą w zespole country «Babsztyl» i na lekcjach często grał kawałki ze swego repertuaru" (mir-mur).

Pan Kozłowski

Włodzimierz Kozłowski; nauczyciel WF-u i historii. „Muszę przypomnieć lekcje historii z panem Kozłowskim, który ustawiał nas po parę osób pod tablicą i ostro przepytywał” (DD).

Pan Kręcicki

Franciszek Kręcicki; wypożyczał książki w bibliotece szkolnej.

Pan Mikołajczyk

Zdzisław Mikołajczyk; nauczyciel WF-u i – awaryjnie – rosyjskiego. Był między innymi wychowawcą Kocki. „Wszyscy go lubiliśmy za doping na zawodach i cierpliwość w nauce rosyjskiego” (gd).

Pan Pilecki

Tadeusz Pilecki. Nauczyciel zajęć technicznych

Pan Samochodzik

Główny bohater cyklu książek dla młodzieży autorstwa Zbigniewa Nienackiego, bardzo kiedyś popularnych. Pierwsza część przygód pana Samochodzika nazywała się „Wyspa złoczyńców”. „Posiadam jej wydanie z 1970 roku, aczkolwiek – jak wam wiadomo – Z. Nienacki zadebiutował Panem Samochodzikiem znacznie wcześniej. Moje wydanie jest drugim wydaniem tej książki, w niewielkim zresztą nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Plusem czytania książek w naszych czasach było to, że jedna książka długo przechodziła z rąk do rąk i w ogóle wiele się czytało w młodzieńczych latach” (mamut). „«Wyspę Złoczyńców», miałem i przeczytałem znacznie przed mamutem. To był rok 1963, jechałem na swoje pierwsze kolonie po I klasie (niestety już mieszkałem nie w Olsztynie i chodziłem nie do Siódemki), i ojciec na drogę kupił mi właśnie «Wyspę Złoczyńców», ślicznie wydaną w serii chyba «Klub Siedmiu Przygód». Przeczytałem, byłem zachwycony, opowiedziałem koledze, kolega pożyczył i już do mnie książka nie wróciła. Jak wszyscy wiedzą, kontynuacją «Wyspy Złoczyńców» byli liczni «Panowie Samochodzikowie», choć przyznam, że ja wyżej ceniłem książki Edmunda Niziurskiego” (jd).

Pan Sempowicz

Dyrektor szkoły w czasach, gdy jeszcze nie było budynku przy Alei Przyjaciół. Pamięta go dobrze mam mr.

Pan Serafin

Jan Serafin, zwany „Serkiem”. Nauczyciel wychowania technicznego, a także historii. Przez większość Siódemkowiczów lubiany, a nawet uwielbiany, ale miał również swoich krytyków, i to radykalnych. Rysował na tablicy karykatury uczniów. „Pan Serafin nie karał wprawdzie fizycznie, ale znęcał się psychicznie stawiając dwóje za to, że nigdy nie potrafiliśmy wykonać tego, co zadał tak, by było to dla niego wystarczająco dobre” (mr).

„A ja Serafina lubiłem. Na historii opowiadał zawsze interesująco. Zaczynał opowiadanie zawsze od: «Otóż barbarzyńcy...». A na pracach ręcznych stały moje eksponaty nawet na wystawce. Był to motorek elektryczny (na podzespołach wykonanych przez mojego ojca...) i pompa głębinowa z zaworem z kuli z łożyska (także wynalazek mojego ojca, słynnego w tym czasie na cały Olsztyn i okolice majstra ślusarki samochodowej i złotej raczki). Na pracach ręcznych używał Serafin klejów własnej produkcji. Były one albo z gotowanych kości (!!!), i to był klej do drewna, albo z mąki – klej do papieru. Obydwa kleje miały nieprzyjemny zapach, ale za to bardzo dobrze kleiły. A że Serafin musiał nas w politycznie zdrowym duchu wychowywać, to inna sprawa. Takie czasy były. Nie wiedziałem do końca, jak go w tych sprawach ocenić. Niekiedy prawił jak «wierny komunista», a niekiedy wypowiadał się bardzo

krytycznie na różne tematy" (Fredek). „U nas pan Serafin od prac ręcznych zawsze się chwalił, że był delegatem na drugi zjazd PZPR. Ale wcale na lekcjach nie wciskał nam, że młotek, sierp i kilof to podstawowe narzędzia «nastajaszczego» człowieka. Jako człowiek kresów nic dobrego o czerwonych nie powiem, ale nie przeżywajcie tak tej sowietyzacji. Przecież za kolejne pięćdziesiąt lat będzie przeklinać się europeizację i zrzucać kolejne pomniki! Natomiast zasługi pana Jana w politechnicznej edukacji uczniów były bezsprzeczne" (WSKH).

„Serafin był w latach od 1981 do 84 naszym wychowawcą. Bardzo miło go wspominam; to był prawdziwy nauczyciel starej daty, nauczyciel z powołania" (Arabella).

„Pan Jan Serafin był moim ulubionym nauczycielem. Przez trzy ostatnie lata podstawówki był także moim wychowawcą. Jan Serafin to człowiek wielkiego ducha, mimo iż postury był raczej skromnej. Z wyglądu kojarzył mi się trochę z przedwojennym polskim aktorem Adolfem Dymszą. Pan Jan jako nauczyciel potrafił zmobilizować do dyscypliny nawet najbardziej krnąbrnych uczniów, nie był jednakże nauczycielem surowym. Lubiłem go bardzo za jego prawie ojcowski sposób traktowania uczniów. Dzięki niemu nauczyłem się radzić sobie z narzędziami podczas lekcji ZPT. Jeśli się nie mylę, uczył nas też przez rok lub dwa plastyki i muszę przyznać, że pan Jan rysować także potrafił. Niejednokrotnie któryś z uczniów sadzany był na stalowym zydlu na którymś ze stołów, by nam pozować do rysunku. Lekcje historii, które prowadził «Serek» były świetne. Pan Jan umiał barwnie opowiadać, i słuchając go, wyobraźnia moja wznosiła przede mną dawne scenerie, bitwy i historie. Pan Jan był nauczycielem historii, jakich trudno było znaleźć w czasach komuny. Wyjątkowy szacunek mój i mojej rodziny zaskarbił sobie faktem, iż we wczesnych latach osiemdziesiątych wykładał nam historię wojny 1921 roku zgodnie z prawdą, a były to zakazane informacje, nie dozwolone przez reżim tego okresu. Wiadomo było, że czasy się zmieniają, zmieniał się także pan Jan, nie zmieniając przy tym prawdziwej historii Polski. Opowiadał o Piłsudskim, o krwawej wojnie, bolszewickiej agresji i o prawie utraconej przez Polskę świeżo przecież odzyskanej wolności. Moim rodzicom aż trudno było uwierzyć, iż Pan Jan tak śmiało do tego tematu podszedł, wszak ówczesne curriculum nie poruszało w ogóle tego tematu. Pan Jan był także utalentowanym majsterklepką. Pamiętam, że gdy my w pocie czoła siedzieliśmy nad kolejnym jego projektem, on sam zawsze pracował za swoim biurkiem i składał co chwila jakieś nowe cudeńka. Często bawił się w introligatora, robiąc zgrabne oprawy starym, dotkniętym zębem czasu księgom. Pan Jan to także świetny piechur. Zabrał nas kiedyś w piękny słoneczny dzień na wyprawę do Lasu Miejskiego i okolic. Zobaczyliśmy zakątki i okolice Olsztyna, których wcześniej nie znaliśmy. Podróż najpierw była pociągiem, stacja lub dwie, ale niestety, nie pamiętam, w którym kierunku i gdzie wysiedliśmy. Miałem wtedy chlebak wypchany prowiantem i napojami. Spacerkiem przez las i pola wróciliśmy potem piechotą do szkoły. Zabrało nam to około 7-8 godzin, może nawet więcej. Cała wycieczka była bardzo na luzie. Temat szkoły był nie poruszany. Było o plenerze, historii okolicy i przyrodzie. Szkoda jedynie, iż mieliśmy taki wypad tylko raz. Tak, wyjątkowym nauczycielem był pan Jan..." (mamut).

„Co do prac ręcznych, to zgadzam się z wami, Serafin był dobry. Historia to zupełny inny temat; ten człowiek nie nadawał się do tego zupełnie. Jako agent PZPR mógł nam tylko wciskać kit. Pamiętam jak kiedyś fachowo opowiadał o przyjaźni naszego kraju z CCCP. Na moje pytanie o to, co ma do powiedzenia o Katyniu dostałem (dosłownie) kopa w dupę i z hukiem wyleciałem za drzwi. Szkoda, że byłem wtedy dzieckiem, bo dzisiaj bym się nie dał" (LP). „Ciekawe, nie zdawałem sobie sprawy z takich jego czynów, ale to możliwe... Dla mnie jednak pozostanie pan Jan moim ulubionym nauczycielem. Fakt uczenia nas prawdziwej historii 1921 roku mocno utkwił mi w pamięci i za to muszę mu oddać honor. Trudno mi go oceniać ogólnie pod względem politycznym; inaczej się patrzyło na to wtedy, przez pryzmat

dziecięcej świadomości, inaczej dzisiaj, gdy wszyscy jesteśmy starymi w tych sprawach wyjadaczami" (mamut).

„Wracając jeszcze do kleju, to był on faktycznie robiony z kości i kopyt końskich. Śmierdziało od niego straszliwie. Pamiętam, że długo musiał się specjalny aluminiowy czajniczek podgrzewać, żeby to nabrało należytej konsystencji, ale nic innego chyba nie łączyło tak trwale i solidnie jak ten klej. Taka stara recepta na «crazy glue»" (mamut). „Serek nosił zawsze sygnet na palcu i jak strzelił kogoś ręką w głowę, to nieźle bolało. No i właśnie maltretował nas i całą szkołę tym swoim klejem do drzewa z końskich kości, który przeraźliwie śmierdział" (AD). „Pamiętam, jak kiedyś AD miał dla żartów zawiniętą głowę i twarz bandażem, a Serek go pacnął pod nos taką drewnianą szpatułką z tym klejem; gość miał swoje odjazdy" (mir-mur). „Ten klej to mogła być tzw. kazeina. Przypominał rzadki miód. Śmierdział nieźle, ale był rzeczywiście wytrzymały. My sklejaliśmy nim małe skrzyneczki ze sklejki" (WSKH). „Z klejem prawie wszystko się zgadza; był to klej kostny, wyrabiany z części kostnych i skór zwierząt; niestety, ohydnie śmierdział i czuć go było w całej szkole. Stał on u Serka w klasie, w rogu sali pod oknem na maszynce elektrycznej w garnku z wodą. Kleił bardzo dobrze drewno i papier, lecz nie był wodoodporny. Klej kazeinowy też jest klejem do drewna i papieru, ale produkuje się go z mleka, i on tak nie śmierdzi; najczęściej przyklejane tym klejem kazeinowym są etykiety na flaszkach, choćby piwa. A pamiętacie wyprawy rowerowe z Serkiem?" (borasca).

Pan Surney

Erik Surney; nauczyciel WF-u i śpiewu.

Panasiuk Czarek

Kolega karoliny. Stał często w pocztach sztandarowych na szkolnych uroczystościach.

Pani Borkowska

Anna Borkowska; zaliczana do postrachów szkoły; zwana „Fizą".

„Droga Pani Borkowska nauczała fizyki i chemii. To była kobieta oryginał. Miała pewne cechy szaleńca, ale na szczęście dopisywał jej humor. Była nawet surowa. Słynna była jej mania pisania regułek i praw fizyki oraz chemii czerwonym długopisem w naszych zeszytach. Miała dosyć bezpośrednie podejście do uczniów i potrafiła nieraz zawstydzić niejednego przed całą klasą. Pamiętam, iż kiedyś na klasówce z chemii napisałem charakterystykę pierwiastka chemicznego, jakim była siarka, ale z błędami. Borkowska miała tendencję przy oddawaniu klasówek do zwrócenia uwagi na nieścisłości i wskazania prawidłowej odpowiedzi. Ja napisałem w swojej odpowiedzi, iż siarka jest miękka; ot, taka skrótowa charakterystyka. Borkowska kazała przeczytać mi moją odpowiedź, następnie podała mi naczynie z złotawą substancją, wyglądającą jak kamienie i powiedziała: to jest siarka, weź jedną próbkę i ugryź. Zdziwiła mnie jej propozycja, lecz wiecie, jak to było w tych latach: uczniowie niespecjalnie sprzeciwiali się nauczycielom. Wziąłem więc kawałek siarki i ugryzłem. Materiał rozkruszył się pod naciskiem zębów, jednak przyznać muszę, że do dziś pamiętam, iż siarka jest twardą substancją... choć możliwą do «zębnego» skruszenia. Borkowska pozwoliła mi zatrzymać sporą próbkę tej siarki. Przehandlowałem ją zresztą później za jakiś gadget.

W dzienniku klasowym strona z fizyką i chemią zawsze była nieco gęściej i barwniej upstrzona ocenami, z których – jak wiadomo – większość była mierna. Oprócz tego pani Borkowska lubiła się wyładować na uczniowskich dzienniczkach, tak przecież skrzętnie oprawianych w papier introligatorski (w późniejszych latach w plastikowe okładki). Ja ogólnie nie podpadałem często i uwag w nim miałem niewiele, ale większość tych, które jednak dostałem, zawdzięczałem Pani Borkowskiej. Zresztą część z nich była nieco bzdurna,

typu: „uczeń zapomniał materiały na eksperymenty w klasie”, etc. Pani Borkowska z wielkim zamiłowaniem dokonywała poglądowych demonstracji i eksperymentów, bardziej lub mniej skomplikowanych. Była to zresztą część edukacji raczej lubiana przez uczniów. Pani Borkowska szczególnie lubiła eksperymentować mieszając chemikalia, używając papierka lakmusowego (którego szły pełne bloczki) i poddając przy okazji uczniów swoistego rodzaju testom. Siedziałem z Kuflem w pierwszej ławce przy oknie (nie nasza zresztą to była decyzja gdzie siedzimy; nie pamiętam z jakiego powodu, ale tak nas właśnie usadziła nauczycielka). Na którejś z lekcji pani Borkowska wyciągnęła z jednej ze swoich szafek duży brązowy słój zatkany szklanym korkiem. Z satysfakcją oznajmiła nam, że jest to amoniak, i że posiada on bardzo specyficzny zapach. Ów zapach zaraz każdy z nas pozna osobiście, ponieważ będziemy mieli szanse powąchać ten specyfik. Po czym pani Borkowska podeszła do pierwszej ławki, czyli do nas, otworzyła butlę i podsunęła pod nos mojemu zaintrygowanemu koledze. Ten nachylił się nad butelką i przez nos mocno wciągnął powietrze... Momentalnie Kuflem rzuciło, zaciśnięte oczy i twarz błyskawicznie uzmysłowiły reszcie klasy, jak paskudnie działa amoniak. Oczy Kufla porządnie łzawiły i dopiero po chwili doszedł do siebie. Borkowska uśmiechnięta triumfowała i słodko zapytała: chciałbyś powąchać jeszcze raz? Kufel gwałtownie i zdecydowanie zaprzeczył, a Borkowska z brązowym pojemnikiem podeszła do mnie. Ciarki mi przeszły po plecach, i postanowiłem jakoś nie paść ofiarą straszliwego eksperymentu. Nachyliłem się nad butlą, nie wciągając jednak powietrza, po czym odskoczyłem, udając porażonego piorunującym efektem silnego i okropnego zapachu. Borkowska zadowolona ruszyła do następnej ofiary, a ja z ulgą usiadłem na krześle” (mamut).

„Nie dziwię się, że mamut tak dobrze pamięta Borkowską. Łączyła ich jakaś szczególna sympatia, co było widać po częstotliwości eksperymentów, w których mamut musiał uczestniczyć jako reprezentant całej klasy. Ale on był twardziel i znosił to po męsku” (AD).

Pani Brzozowska

Alina Brzozowska. „Za moich czasów strachem przejmowała biologia z panią Brzozowską – był to wówczas jedyny przedmiot, na którym nie dało się ściągać” (maciek).

Pani Ciołkowska

Janina Ciołkowska; nauczycielka matematyki. Przez pewien czas wychowawczyni LP, także wychowawczyni Janusza, brata Iwony.

„Pani Ciołkowska była na 50-leciu i w ogóle ma się świetnie. Widuję ją często, jak dziarsko chadza ulicami osiedla. Była kiedyś dyrektorką na koloniach, na których i ja byłem kolonistą. Była i jest dosyć wybuchowa. Jej wybuchowość nielicho odczuła absolwentka z 1970 roku, Izabela S., później znana bardziej jako Izabela T. Iza za matematyką nie przepadała, jak i za Ciołkowską. Już wtedy dość konkretnie widziała swoją przyszłość: chciała występować na scenie. Ciołkowska komentowała to krótko: «artycha», i wpajała jej matematyczne wzory” (WSKH).

„Pamiętam ją dokładnie z codziennych wycieczek do sklepu. Przed nią chmara zasmarkanych dzieci – jej własnych, na które bez przerwy wrzeszczała. Konkurencję miała chyba tylko w osobie pani Nowackiej, z drugiego bloku, która stale doglądała ulicy, znała wszystkich, i trzymała oko na każdej rodzinie” (nat).

„Dziś z panią Ciołkowską zamieniłem słowo o groźnie wyglądającym psie sąsiada” (DD).

„Przykro mi bardzo, ale panią Ciołkowską już ciężko będzie pozdrowić; mieszka u syna Ryszarda i jest ubezwłasnowolniona, kontaktu z nią nie ma, nie poznaje nikogo z powodu wiadomej choroby starości” (gaga). „Pani Ciolkowska tak zapadła się w siebie chyba od wypadku (?) i śmierci wnuczki” (miki).

„Właśnie przeczytałam wiadomość o Pani Ciołkowskiej. Zmartwiłam się bardzo; pamiętam jej wnuczkę, miała na imie Agnieszka; czy to ona zginęła w wypadku? Chodziłam

do klasy z Basią Malatyńską, którą ona sie opiekowała. Przywiozła ją do siebie od kogoś z rodziny, gdzie było ciężko i chciała pomóc, opiekując się dzieckiem" (ryba696). „Tak, to chodziło o Agnieszkę. Ona zginęła w wypadku, ale myślę, że nie tylko to było przyczyną choroby pani Ciołkowskiej. Była moją wychowawczynią przez kilka lat, uczyła mnie matematyki, choćale nie mogę powiedzieć, że skutecznie" (gaga).

„Pani Ciołkowska była moją wychowawczynią od 1972 do 1978 roku. Jej wnuczka miała wypadek w dość problematycznych okolicznościach (nie samochodowy), a najgorsze, że nie wiadomo, czy to w ogóle był wypadek" (zyby).

„Zmartwiłam się, że pani Ciołkowska jest tak poważnie chora. Bardzo mile ją wspominam; uczyła mnie matematyki i była moją wychowawczynią; nawet posadziła mnie w piątej klasie z matmy, ale na dobre mi to wyszło, bo później nie miałam nigdy kłopotów z matmą, a na maturze nawet miałam piątkę. Miłe było to, że nauczyciele znali nas dobrze i nasze rodziny" (Bożenna).

Pani Cejkowa

Ewa Cejko; prowadziła prace ręczne dla dziewcząt, a także rysunki. Jej syn chodził do Siódemki.

„Cejko była w 8 klasie naszą wychowawczynią, i dlatego musieliśmy w gabinecie prac plastycznych obok sali gimnastycznej ciągle coś robić: a to stoły czyścić, a to ławki skrobać, a to coś malować lakierem bezbarwnym..." (Fredek).

„Pani Cejko tak już miała, że nie mogła uwierzyć w swoich uczniów. Kiedyś zobiłem na Plastykę pewną świetną pracę, i musiałem przy niej wykonać część raz jeszcze, by uwierzyła, że to naprawdę ja byłem autorem"(zyby).

„Pani Cejko niestety już nie żyje, była moją wychowawczynią przez parę lat, i była fajną kobitką" (ryba 696).

Pani Dagiel

„Młodsi na forum powinni pamiętać przemiłą polonistkę, panią Małgosię Dagiel. Uczyła w SP 7 w latach 1981-1985. Spotkałem ją na UWM – jest tam adiunktem. Do naszej klasy przyszła tylko na zastępstwo. Nie było jej łatwo. To była połączona (A+B) klasa 34-osobowa, tylko kilka dziewcząt, a reszta raczej niespokojna (absolwenci 1982). Nauka polskiego była jedną z tych rzeczy, o których myśleliśmy najmniej. Teraz trochę mi wstyd" (Krzysiek G.).

„Panią Dagiel pamiętam doskonale, chociaz też miałam z nia tylko zastępstwa. Była zawsze uśmiechnięta i spokojna – taka trochę z innego świata, w porównaniu z takimi piłami jak Dragan, Zera, czy Borkowska. Mieszkała naprzeciwko naszej szkoly. Faktycznie nie było jej łatwo z przeważającą męską częścią klasy. Po kilku latach odeszła; jak się teraz okazuje na UWM; może ma tam spokojniej niż z nami" (AgaB).

„I ja panią Dagiel pamiętam bardzo dobrze; uczyła nas polskiego przez chyba dwa lata i to były najfajniejsze lekcje polskiego. Lubiła naszą klasę, bo było nas tylko 18 osób; strasznie lubiliśmy z nią dyskutować na różne tematy" (ryba696).

Pani Dąbrowska

Dorota Dąbrowska; zwana „Dyrą".

Pani Domańska

Janina Domańska; wcześniej pani Dzienisiewicz, a później Lubańska. Dyrektor szkoły (w poprzednich latach) i nauczycielka biologii. Sporo pomogła dziadkom mr, państwu Tęgowskim, w przygotowaniu wyjazdu mr do Londynu (o czym zaświadcza mr).

„Mile bardzo wspominam zajęcia z dyr. Domańską. W VII klasie miałem w pierwszym semestrze następujące oceny: 2, 5, 5, 5, 5, 5, 5, 5, 2. Piątki były za obecności na kolejnych

zbiórkach Ligi Ochrony Przyrody, pierwsza dwója za brak zeszytu, a druga – za wiadomości z biologii, a właściwie za ich brak. Oczywiście ocena końcowa wynikała z mojej aktywności na LOP" (DD).

„Bardzo często widzę panią Janinę Domańską, byłą dyrektorkę Siódemki. Posuwa na rowerze po całym mieście, niezależnie od pogody i pory roku! Twarda sztuka! Szczupła jak zawsze" (Zbyszek).

Pani Dragan

Anna Dragan; chyba najbardziej kontrowersyjna nauczycielka w Siódemce, co wynikało i z jej charakteru, i z przedmiotu, którego nauczała, a była w latach 60-tych, 70-tych i później nauczycielką rosyjskiego (pracowała w szkole od roku 1968 do 1999). Miała opinię postrachu szkoły, ale to dzięki niej rosyjski okazywał się później możliwy do osobistego użytku, a nawet łatwy. Lubiła zarzucać uczniom „te twoje cielęce oczy". Klasa mr pomalowała jej kiedyś klejem krzesło, co DD wspomina z dużym sentymentem.

„Pani Dragan – światowa klasa. Potrafiła nauczyć wszystkich rosyjskiego: kto chciał, i kto nie chciał" (Fredek).

„Pomysł posmarowania klejem krzesła pani Dragan był chyba autorstwa Marka Blaziaka. Piszę «chyba», bo nie za bardzo pamiętam. Niestety, wtedy jeszcze nie było super glue, tylko klej roślinny, więc jedynie ubranie (oraz duma) pani Dragan na tym ucierpiały, a my mieliśmy radość. Cała klasa dostała za to dwóje z zachowania" (mr).

Historia ta świadczy o sporym rozdźwięku między nauczycielką a uczniami, ale są również opinie pełne uznania dla pani Dragan. Oto jedna z nich: „Nigdy nie przypuszczałem, że zajęcia z Panią Dragan będą procentować po dzień dzisiejszy. Dostałem tak «dobrą szkołę» z ruskiego, że nigdy nie miałem problemów z tym językiem. W szkole średniej, a potem na egzaminach wstępnych na studia, byłem całkowicie spokojny o wyniki z języka rosyjskiego. Później przez wiele lat wszyscy traktowali znajomość tego języka jako tzw. «obciach». Jakże jednak wielkie było zdziwienie mojego szefa (europejska centrala pewnego japońskiego koncernu w Duesseldorfie), że jeden z jego pracowników posługuje się językiem rosyjskim. Byłem w dobrym miejscu o dobrym czasie i z należytym wykształceniem, ponieważ właśnie przybyła delegacja ukraińska, która rozmawiała tylko po rosyjsku i ukraińsku. Wielkie dzięki dla pani Dragan" (MW).

„Kiedyś na lekcji u Draganowej (czemu w pamięci człowieka pozostają najbardziej wnerwiający nauczyciele?) z nudów przypalałem zeszyt promieniami słonecznymi przez (wykręcone z domowego rzutnika do bajek) szkło powiększające (to chyba jednoznacznie zaświadcza, że rosyjski nie był w kręgu moich zainteresowań!). W momencie, gdy zabawa była najciekawsza (właśnie wypalałem jakiś cholerny akcent), dym zauważyła nauczycielka. Odbyła się publiczna rewizja moich kieszeni i tornistra w poszukiwaniu papierosów. Ponieważ takowych z założenia nie posiadałem, atmosfera zrobiła się gęsta. Draganowa widziała dym i ślad w zeszycie, a nie mogła znaleźć papierosów (zresztą byłem grzecznym chłopczykiem i nikt by nie uwierzył, że przypalałem na lekcji papierochy). Szkiełko leżało na ławce, ale było ono i jego możliwy użytek poza zasięgiem wyobraźni mojej nauczycielki. Zrobiło mi się jej żal (w oczach mojej agresorki widziałem złość i bezradność) i wytłumaczyłem, czym się zajmowałem na «interesującej» lekcji. Trzeba przyznać, że sprawa nie miała już żadnych dalszych konsekwencji, a moja jedyna trója na zakończenie szkoły, właśnie z rosyjskiego, wynikała wyłącznie z mojego braku zainteresowania tym przedmiotem. Żeby było śmieszniej, to właśnie rosyjski przydał mi się na początku lat 90-tych do prowadzenia służbowych rozmów (tylko czemu osoby ze mną rozmawiające miały takie dziwnie wesołe miny?)" (DD).

„Pani D. od rosyjskiego jest, wedle najnowszych informacji (rok 2003), bardzo lubiana. Wiem to od mojego najmłodszego brata ciotecznego (młodszego syna Jurka L.), uczącego się

jeszcze w SP 7. Za moich czasów była znienawidzona" (Krzysiek). „Często wyrzucała ludzi za drzwi na korytarz" (mr).

„Naszą wychowawczynią była pani Dragan – ostra jak brzytwa. Pamiętam bezskuteczne walki niektórych chłopców o zatrzymanie swoich trochę dłuższych włosów. Owi koledzy mieli aspiracje muzyczne, chyba założyli nawet kapelę, co wówczas nie dawało się połączyć z ostrzyżonymi czuprynami. Niestety, Dragan (wówczas jeszcze bardzo młoda) nie wykazała ani odrobiny zrozumienia dla młodych artystów" (IG).

„Dragan (także moja wychowawczyni) nie była na jubileuszu 50-lecia, bo chyba była zajęta swoimi gołębiami. W olsztyńskim Parku Kusocińskiego dokarmia zlatujące się z całej okolicy ptaki. Sypie im kilogramami ziarenka. Trawnik, na który się zlatują zamienił się w piaskową pustynię, bo gołębie pazurkami zupełnie wygrzebały trawę. I kto by pomyślał?! Taka miłośniczka ptaków! Nie przypominam sobie, byśmy mieli karmnik w klasie. Chociaż coś mi kołacze po głowie, że uczyła nas wiersza pod tytułem «Ptica». To jej obecne karmienie ptaków stało się nawet słynne. W olsztyńskim wydaniu Gazety Wyborczej przeczytać można było artykuł o pani, która w Parku Kusocińskiego karmi gołębie. Latają za nią całe stada ptaków. W artykule nie podano nazwiska, ale jest to pani Dragan.

«W liceum będziecie płakać krokodylimi łzami» – wykrzykiwała do nas, gdy oddawała sprawdzone klasówki, ocenione w większości na maksimum 2+. Trochę się myliła. Ja jako dwójkowicz z Siódemki jeszcze na studiach lałem łzy ze śmiechu przyglądając się, jak inni przechodzą katorgę nauki rosyjskiego. Zwyczajnie nie musiałem nic robić, co najwyżej odpoczywać od tego śmiechu wywołującego łzy. Dzięki niej teraz mam szanse zostać kurierem w Londynie, takim co dostarcza przesyłki do rosyjskiej ambasady. Co wy na to? Przydało się, czy nie? " (WSKH).

„Co do pani Dragan, to była to moim zdaniem kobieta niezrównoważona. Pamiętam jak większość uczniów z niechęcią chodziła na jej lekcje. Miało to zresztą poważne powody. Kobieta zachowywała się skandalicznie, a jej codzienny język pedagogiczny pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Jej wyzwiska pod adresem uczniów były tego oto typu: «cielęce oczy», «debile», «kretyni», «idioci». Wątpię, żeby jakikolwiek rodzic chciał, aby w ten sposób pedagog odnosił się do jego dziecka. Pamiętam, że siedziałem za kolegą, który był nieco większy ode mnie i miałem zawsze nadzieję, że Dragan nie widzi mnie zza jego szerokich pleców" (mamut). „Dragan – jak już mówiłem – była moją wychowawczynią. Na złych ludzi nas nie wychowała. Co do jej środków pedagogicznych, to masz rację. Nasza klasa mimo wszystko się jej nie bała, bo czuliśmy, że jesteśmy jej, i nas nie skrzywdzi tak bardzo. Dragan przekwalifikowała się później na język polski, i chyba na angielski też" (WSKH).

„Ona zawsze zwierzęta lubiła bardziej niż ludzi. Pamiętam, jak ktoś przyniósł szczeniaka do klasy; Dragan była wniebowzięta. Radość aż z niej tryskała, a lekcji właściwie to nie było, bo przegadało się ją właśnie o zwierzakach. Muszę przyznać, że ja też na trójach jeździłem u pani Dragan, za to po podstawówce byłem najlepszy z rosyjskiego w mojej następnej budzie. Praktycznie do podręcznika nie zaglądałem przez następnych kilka lat. Tym niemniej Dragan mnie i moim kumplom sporo krwi napsuła; miała do tego prawdziwy talent. Inna sprawa, że psu na budę ten rosyjski się nadał; żałuję, że ta jędza nie uczyła nas angielskiego czy niemieckiego. W sumie więc Dragan nie cierpiałem; wredny był babsztyl i basta! U niej różne proruskie zasady wprowadzania strachu były edukacyjnym instrumentem. Był to po prostu kompletny idiotyzm. A to, że niektórych najlepszych uczniów lubiła...? Jak ich już wytresowała należycie, to wysyłała taką grupkę na olimpiadę języka rosyjskiego i zbierała za to później punkty. Coś niecoś na ten temat nasłuchałem się od jednej z byłych prymusów lata temu. Baba była nie wyżyta i nic nie tłumaczy jej chamskiego wręcz zachowania w stosunku do uczniów. Nie raz słyszałem jak wyzywała nas od debilów czy cielęcych oczu. To, że lubiła

zwierzęta...? Nawet zbrodniarze także psy lubili. Dla mnie Dragan pozostanie nieprzyjemnym wspomnieniem tak przecież wspaniałej budy" (mamut).

„Pani Dragan była znana również z tego, że przeważnie obniżała ocenę dzieciakom, o których wiedziała, że opuszczają Polskę w kierunku zachodnim. Pamiętam, jak koleżance z klasy wlepiła dwóję na świadectwo z komentarzem: «tam i tak nie będziesz rosyjskiego potrzebowała»" (Fredek).

„Jeśli chodzi o panią Dragan, to była to chyba jedyna «skuteczna» nauczycielka, która czegoś nauczyła nawet największe beztalencia językowe" (bliźniaczka). „Pani Ania Dragan była rzeczywiście ostra, ale tylko na lekcjach i w okresie szkoły. Wspominam ją najmilej z całej kadry nauczycielskiej. Zresztą była moją wychowawczynią. Mogę przypomnieć jej powiedzonko, którego często używała, gdy się na kogoś ostro zdenerwowała: «tu mi kaktus wyrośnie, jak ty zdasz do następnej klasy». Hehe... nie wiem, ale wydaje mi się, że powinna mieć w tej chwili na dłoni cały gaj kaktusów" (olsztyn2002). „Pani Dragan rzeczywiście mówiła często o kaktusie, ale było też na podobną okoliczność o młotku: «Kup se młotek!» (było właśnie «se», a nie «sobie»)" (miki).

„Na koniec 7 klasy miałem poprawkę z «ruska», jak zresztą wielu innych, ale już w szkole średniej w ogóle nie musiałem zaglądać do podręcznika. Lubiłem panią Annę jednak z innego powodu. Ona przez pół roku uczyła mnie historii, i to były najciekawsze lekcje! Do dziś pamiętam jak świetnie opowiadała o starożytnej Grecji. Widać było, że to lubi" (miki). „Za naszych czasów była bardzo ostra. Mówią, że później wyłagodniała, a teraz podobno chodzi do parku i karmi gołębie" (Fredek).

„Kiedyś wyuczyłam się rosyjskiego, jak należy; była ze mnie bardzo dumna (cytuję: «z czystym sumieniem mogę postawić ci tróję»; cóż, tylko tyle, a jak ogromnie cieszyło). Język naszych «przyjaciół» przydał mi się wielokrotnie na wyjazdach, i to nie tylko w demoludach. Mam sąsiada-Siódemkowicza, który dzięki temu językowi robi ogromne interesy (czyste) w Rosji. Przywiózł nawet stamtąd uroczą żonę. Ale najzabawniejsze jest to, że zaprosił panią Dragan na swój ślub. Tak więc, kochani, nauka w SP 7 nie idzie w las, choć miała blisko do lasu" (karolina).

„Pani Anna D., nauczycielka rosyjskiego, było osobą dość niezwykłą. Na lekcjach większość klasy to były «bezczelne typy», ale za to jeżeli jechać na wycieczkę – to tylko pod jej opieką. W szóstej klasie na wycieczce do Poznania złapała mnie i kolegę Jarosława Sz. w barze na małym kuflowym; my oczywiście przerażeni, co się stanie, a tu kompletne zaskoczenie. Coś mianowicie takiego: «Pijecie piwo? Macie rację, chłopcy». Innym razem na lekcji ten sam Jarosław (siedziałem z nim w ławce) wsadził koledze Darkowi siedzącemu przed nami cyrkiel w plecy, ot tak, po prostu. Darek jęknął (głośno), a pani Anna D. «Mal..., ty bezczelny typie, jak ty się zachowujesz na lekcji». Darek próbował się tłumaczyć, co oczywiście tylko pogorszyło jego sytuację jako «bezczelnego typa».

I jeszcze coś o pani Dragan. Na pewno pamiętacie fluoryzację. Wszystko właśnie przez nią. W 8 klasie poszliśmy więc na tę fluoryzcję. Wracając zobaczyliśmy koks przywieziony do szkoły. Leżał sobie wprost pod oknami klasy Filuta. To było zbyt kuszące. Wzięliśmy po kawałku koksu i w okna Filutowi. Niektórzy chcieli jeszcze poprawić i tu spotkało ich rozczarowanie. Z klasy Filuta wychyliła się głowa pani Dragan. Pamiętam jak kolega Rajmund P. (obecnie w RFN) stoi z koksem w wyciągniętej ręce i nagle dziwnym ruchem ją opuszcza, i za sobą upuszcza koks na ziemię. Ja (i większość) byliśmy już przy drzwiach, i ona nas nie widziała. Oczywiście wybuchła afera; okazało się, że tam była pokazowa lekcja rosyjskiego dla nauczycieli z innych szkół. Lepiej oddajmy tu głos pani Dragan: «Koleżanki mówiły do mnie: Aniu, jaką ty masz fajną szkołę, jaki tu spokój. Tak mówiły koleżanki, ale tylko do czasu, dopóki do szkoły nie przyszła 8b. Wtedy się zaczęło, wy bezczelne typy, bydło się lepiej zachowuje niż wy (chyba miała rację; bydło jest mniej pomysłowe i złośliwe), jak ja się wstydziłam», itd. Dalej nie będę cytował, bo pewnie i tak by nie opublikowano.

Generalnie się wściekła i wyzywała nas z pięć minut, a my, no cóż – było nam strasznie wesoło. Bo jak zwykle właściwie nic nam nie zrobili" (zyby). „Pamiętam to. To było lato i okna były otwarte, więc cała zabawa polegała na tym, żeby oddać salwę koksem w otwarte okna (wcelować!), i w nogi! A ponieważ po pierwszym rzucie nic się nie stało (w klasie najwyraźniej zapanowała konsternacja: nauczycielki w ławkach obrzucone węglem, w latach 50-tych pewnie poszlibyśmy za to na pięć lat do kopalni), to Rajmund, którego chyba Bóg wtedy opuścił, bo rzadko wdawał sie w takie awantury, wycelował jeszcze raz i... nie chciałem być wtedy w jego skórze" (miki). „Wszystko się zgadza z tym koksem, ale jeszcze jeden dodatkowy szczegół: przy tym koksie leżał również zdechły szczur, który też powędrował w górę!" (LM).

„Pamiętam, jak na lekcji rosyjskiego odpowiadała Agnieszka, która była bardzo dobrą uczennicą. Jednak tego pechowego dnia pomyliły jej się dwa słowa: «krzak», i bardzo podobne po rosyjsku, popularne określenie pewnego męskiego narządu. Reakcja pani Dragan była łatwa do przewidzenia – wybuch wściekłości i tradycyjne «bezczelne typy». My ledwo hamowaliśmy śmiech (jako źli chłopcy oczywiście znaliśmy to słowo), a Agnieszka nie rozumiała, o co chodzi" (zyby).

„Nie mam żadnych wspomnień z lekcji języka rosyjskiego, ale jedno mnie ciekawi: czy po tylu latach przymusowej nauki mówicie dzisiaj biegle po rosyjsku? Teoretycznie odpowiedź powinna być pozytywna, ale w praktyce ja przynajmniej mam kłopoty z odtworzeniem całego alfabetu. A zawsze miałam same piątki z rosyjskiego" (nat). „Mnie ten rosyjski wyleciał z głowy natychmiast po ogólniaku. Ani w ząb nie dogadam sie dzisiaj, chociaż na stopnie u pani D. nie mogłam narzekać. Prawdą za to jest, że przydał mi się w ogólniaku – to był jedyny przedmiot, który śpiewająco i w podskokach zaliczałam sobie bez żadnego kucia, stresu, wysiłku i problemu" (borasca).

„Coś jeszcze o wrażliwym sercu p. Dragan (wrażliwym dla zwierząt): poszliśmy z p. Anną całą klasą do kina; film był radziecki, «Bim-białe ucho» - jakoś tak. Było to o psie i jego panu, który zachorował i musiał iść do szpitala. Pies został zawieziony do kogoś na przechowanie, ale uciekł. Jego pan w tym czasie umarł, no i pies został bezdomną sierota. W sumie więc «jaka piekna tragedia, jakaż wielka krzywda zwierzęcia». P. Anna siedziała trzy rzędy i właśnie stamtąd zaczęły mnie dobiegać jakieś dziwne dzwięki. Nie ogladałem się za siebie, żeby na przyklad nie usłyszeć «co sie gapisz! cielece oczy» itd. Jednak po jakimś czasie te odgłosy stały się donośniejsze – szlochy, łkania, jakieś smętne buczenie. Więc odważyłem się odwrócić, a to pani Anna ryczała jak bóbr, po prostu zalewała sie łzami. Było to dla mnie tak niecodzienne przeżycie, że przesunąłem się zupełnie do końca rzędu, żeby ją spokojnie obserwować. Filmu już dalej nie oglądałem..." (miki). „Ten sam film zaliczyłem. Pies, zdaje się, ginie na końcu, więc film jest tym bardziej tragiczny film. Pamiętam, że na końcu pojawia się też gość, który zdejmuje psu obrożę i zabiera blaszkę identyfikacyjną, i ten gość ma całą gablotkę takich blach. Jakiś stukniety oryginał, ale co się dziwić w kraju, w którym była taka moda na ordery, medale i inne blaszane pierdoły; to i tego typu dewiacje były możliwe" (mamut). „Pies na końcu trafia do hycla, a ktoś, kto go szuka przychodzi odrobinę za późno. Ale jak to w słusznym filmie, jest i świetlana przyszłość: o ile pamiętam, na końcu jest scena, jak dzieci bawią się z takim samym nowym psem" (zyby). „«Biały Bim, czarne ucho», tak się ten wzruszający film nazywał. Oglądałam go kiedyś w domu w telewizji, bodajże w czasie ferii zimowych, i też płakałam jak bóbr. Takie właśnie było przesłanie tego filmu, by uronić łezkę" (lustroo).

„Draganówę nie wspominamy zbyt miło, ale szkoda mi jej, jak widze ją w parku karmiącą gołębie i gadającą z nimi. Po śmierci męża niewiele bliskich osób jej zostało..." (ryba 696).

„Na temat Draganki to powiem tak: po rusku gadam zadowalająco, ale posadziła mnie w piątej klasie. Jednak wspominam ją miło. Pamiętam jak na lekcji spadła z krzesła i była wkurzona, że zamiast jej współczuć, to się z niej śmialiśmy" (Cines).

„Co do pani Dragan, to nie widziałem jej chyba ze dwanaście lat. Natomiast spotkałem ostatnio p. Pileckiego (nie wiem, czy ktoś z uczestników forum miał okazję go poznać – z nami miał zajęcia techniczne), który powiedział mi, że u pani Dragan nie najlepiej (delikatnie rzecz ujmując) ze zdrówkiem. Szkoda" (bg).

Pani Ekier

„Kiedyś na biologii pani Ekier dała nam jako zadanie pewien projekt. Każdy miał wyhodować roślinkę z ziarenka grochu. Potrzeba było do tego tylko kilku rzeczy: słoika, odrobiny gazy lub bandażu, paru groszków i wody. Zawieszało się tuż nad powierzchnią wody, na gazie lub bandażu, trochę zamoczony groszek, i jak każdy się pewnie domyśla, po kilku dniach napęczniały groszek pękał i wyrastał pojedynczy korzonek, a następnie łodyga z liściem. Po mniej więcej tygodniu lub dwóch taką nieco podrośniętą roślinkę przynosiliśmy do szkoły dla oceny. Podobny eksperyment dotyczył zbudowania w domu małego akwarium. Byli co prawda wśród nas tacy, którzy posiadali akwaria, ale ci, którzy ich nie mieli, mogli uznać to za dosyć ciekawy eksperyment. Pamiętam, że miałem w swoim małym akwario-słoju małego ślimaka, którego przytachałem z Jeziora Długiego, i parę wodorostów. Nawet fajnie to rosło i wyglądało. Ślimak później trafił z powrotem do jeziora, a co do prawdziwego akwarium, to ja w swoim trzymałem parkę chomików" (mamut).

„W związku z tym akwarium w słoiku, to ja się wtedy nieźle wściekałem, bo woda była strasznie mętna. Filtrowałem piasek kilka razy, by jakoś ją oczyścić, ale nic z tego. Rybek też nie nałowiłem. Dopiero po latach wiem, że do tego, aby akwarium w ogóle funkcjonowało, potrzebne są filtry i pompki napowietrzające" (Fredek).

„Jeden taki cymbał z mojej klasy zakładał kiedyś akwarium, a ponieważ mieszkał przy torach, to kamienie do akwarium wziął z torowiska! Ryby wyglądały jakoś niezdrowo, a na powierzchni pływały oka tłuszczu jak w rosole" (miki).

Pani Gajko

Uczyła biologii. Jej mąż był inicjatorem odnowienia Ogródka Jordanowskiego.

„Za moich czasów w szkole odbywały się bardzo interesujące lekcje przyrody prowadzone przez panią Gajko (mieszka na Alei Przyjaciół). Pamiętam wielkiego homara, który wisiał na ścianie w klasie" (LP). „Zgadza się, zajęcia przez nią prowadzone były tak bardzo interesujące, że zarówno ja, jak i moi klasowi towarzysze uczestniczyliśmy w nich z prawdziwą przyjemnością. (Te słoiki z biednymi zwierzątkami utopionymi w formalinie pamiętają chyba wszyscy). Z tego co wiem, p. Gajko była przez pewien czas także w dyrekcji" (AD1983).

Pani Idźkowska

Danuta Idźkowska.

Pani Izdebska

Krystyna Izdebska.

„Była moją pierwszą wychowawczynią w klasie Ia w roku 1969. Odeszła na początku lat 70-tych. Nic nie wiem o niej ani z lat wcześniejszych, ani o tym, co robiła później. Pierwszy stopień szkolny dostałem od niej za pisanie; była to piątka z dwoma minusami (w tej klasie od strony ogródka). W oczach mi stoi ta piątka do dzisiaj. Potem obrywałem od niej po uszach, bo ogryzałem obsadkę aż prawie do stalówki, tak, że robiła się do tego stopnia krótka, że aż wypadała z palców. Chyba dlatego pozostał mi strasznie wykoślawiony charakter pisma" (WSKH).

Pani Kozieł

Halina Kozieł; nauczycielka języka polskiego.

„Super Polonistka. Nauczyła całe pokolenia. U nas kiedyś na lekcji napisała na tablicy, poprawną pisownię słowa «oryginał». Musieliśmy przepisać je do zeszytu. Sprawdziła od razu u wszystkich. Kto źle napisał, dostawał od razu dwóję. 25 lat po tym wydarzeniu myślę o pani Kozieł, i od razu widzę coś «oryginalnego»" (Fredek).

„Pani Kozieł to była dosyć szorstka babka, jeśli chodzi o nauczanie. Była wymagająca, ale ja lubiłem jej lekcje. Zresztą szło mi u niej całkiem nieźle z polskim. Co prawda, teraz wychodzą braki w ortografii, ale mi to chyba wybaczy, bo przecież głównie obcuję z angielskim" (mamut).

„Pani Kozieł uczyła mnie polskiego tylko pół roku, a najbardziej dała się we znaki swojemu sąsiadowi z osiedla (Podlesie) Zybemu. Zyby był dobrym uczniem, a nawet w porywach bardzo dobrym, ale był to umysł ścisły i w pogardzie miał ortografię, a jak wspominał Fredek, pani Kozieł z kolei nie miała litości dla pogardzających ortografią, więc gdy napisała coś na tablicy, to zaraz maszerowała do Zybego i za ucho prowadziła go do tablicy, żeby zobaczył z bliska i dokładnie prawidłową pisownię. Zyby odgrażał się, że wysadzi jej dom w powietrze.

Kiedyś Zyby dał mi zrobić «kółko» po osiedlu swoją Jawką. Wracam, a przede mną dwie damy w szarych prochowcach (niczym łączniczki AK), i maszerują mi prosto pod koła! Ja na chodnik i zamiast klaksonu przesłałem w ich kierunku różne «wyrazy», w których zwłaszcza chodziło o ostrość słuchu i jasnośc umysłu, a wszystko w «krótkich żołnierskich słowach». Na zakrecie odwracam się – a jedan z tych dam to p. Kozieł! Mnie nie poznała, ale poznała motorower swojego sąsiada. Jak powiedziałem to Zybemu, to zbladł i złapał się za ucho, a potem na polskim Koziełowa «wyprowadzała na spacer» do tablicy Zybego już nie raz, jak poprzednio, ale po kilka razy, i właśnie dlatego Zyby ma lewe ucho dwukrotnie większe od prawego" (miki).

Pani Koziełło

Barbara Koziełło. Wychowawczyni MW.

Pani Kraszewska

Elżbieta Kraszewska. Wychowawczyni ak, a przez pewien czas wychowawczyni także Iwony i w ogóle słynnego rocznika 1966/67.

Pani Kręcicka

Julia Kręcicka. Przez pewien czas wychowawczyni Iwony i gd.

„Ja jestem bardzo wdzięczny pani Kręcickiej, która swoją miłością do dzieci wszystkich nas życzliwie przygarnęła do pierwszej klasy i nauczyła nas wzajemnego szacunku. Tej nauczycielki nigdy nie zapomnę. Będąc już na studiach odwiedzałem ją w domu i dziękowałem za opiekę" (gd).

Pani Mościbrocka

Do Siódemki chodził jej syn Andrzej.

Pani Naporowa

Władysława Napora. Wychowawczyni DD, T.B., przez pewien czas także LP (któż zresztą nie był jego wychowawczynią!). Uczyła geografii.

„Moją wychowawczynią była pani Napora. Uczyła mnie geografii i bardzo mi się te lekcje podobały. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie (chyba w klasie czwartej) wielka fizyczna mapa Polski. Bardzo lubiłem jeździć po tej mapie palcem i odbywać w ten sposób

podróże po całym kraju. Ale te mapy były zwijane tuż po lekcji, i samemu nie można było ich oglądać" (DD).

„Pani Napora była chyba w czwartej i piątej klasie naszą wychowawczynią. Pamiętam kilkudniowy biwak w Piławkach, który nam zorganizowała. Było świetnie" (Iwona).

Pani Paczkowska

Paczkowska Wanda. Wychowawczyni między innym Ryszarda Bujły (rocznik 1964/65), brata gagi.

Pani Pawłowska

Barbara Pawłowska. Wychowawczyni Eli Kaszuby, Izy Schuetz, jd. Uczyła śpiewu i WF-u (dziewcząt). „Warto tu wspomnieć o chórze szkolnym prowadzonym przez panią Pawłowską. Ja też miałam zaszczyt w nim śpiewać" (Iwona).

Pani Pikus

Tatiana Pikus; nauczycielka języka polskiego. „Uczyła mnie w Siódemce polskiego. A teraz ćwiczy mnie na wywiadówkach, bo jest wychowawczynią mojego syna, z tym, że już w innej szkole. Co prawda, syn nie dorównuje mi łobuzerstwem, ale bardzo się stara" (miki).

Pani Pogłód

Zofia Pogłód. „Pani Pogłód miała męża milicjanta i uczyła matematyki. Mnie i Mags na pewno, ale nie pamiętam, czy Marcina jeszcze też. Pani Pogłód miała dwóch synów; starszy miał na imię Arkadiusz, a imienia młodszego nie pamiętam (chyba Piotr), i obaj uczyli się w 7-ce. A jeśli ktoś nie może skojarzyć sobie pani P., to miała ona dość charakterystyny szczegół, mianowicie zniekształcony palec wskazujący prawej ręki i nawet nieźle rzucała kredą w nas, jak ktoś jej nie słuchał" (wox6).

„Pisaliście o Pani Pogłód. Niestety, matematyki to ona nas zbytnio nie nauczyła, potem miałam też takich nauczycieli, i suma sumarum z matmy jestem noga. Miałam kiedyś taką oto przygodę na lekcji matematyki. Było to chyba w piątej klasie, był dzień wagarowicza, ale za młodzi jeszcze byliśmy, aby zwiać ze szkoły (co potem nam się oczywiście zdarzało). Jednak chcieliśmy zrobić jakiś numer. Jako gospodyni klasy wymyśliłam, żeby się pani Pogłód schować pod ławki. Schowała się cała klasa, ale jak tylko ona weszła do klasy, to wszyscy wyszli i tylko ja siedziałam pod ławką. I jak myślicie, czyich rodziców wezwali do szkoły? Oczywiście moich; ojciec mój do tej pory wspomina tę historię ze śmiechem. Wtedy pouczył mnie tylko, bym następnym razem z większym refleksem wychodziła spod ławki" (ryba 696).

„Dla mnie najłatwiejszym do wykucia fragmentem tabliczki mnożenia było 7 razy 7. Ale i tak już w trzeciej klasie miałem poprawkę z matematyki. Pamiętam, że między ławkami poprawkowiczów chodziła pani Zofia Pogłód, która mi wlepiła tę poprawkę. Akurat wtedy była z brzuszkiem w ciąży. No i sobie wyoraźcie, że zupełnie niedawno, w maju, dostałem z policji wezwanie, żeby się stawić, bo wojsko dopytuje się o mni w sprawie rezerwy. W komisariacie na Pstrowskiego przyjął mnie pan policjant, no i się przedstwił jako mający nazwiska Pogłód. Od słowa do słowa, no i co się okazało? Wtedy na mojej poprawce w 1972 roku w tym brzuszku pani Pogłód to był on, i przyglądał się moim wypocinom z dzielenia i mnożnia. Fajne?" (WSKH).

Pani Romanowicz

Uczyła śpiewu.

„W Siódemce byłem uwielbiany przez panią Romanowicz od muzyki; zdecydowanie najbardziej spośród wszystkich chłopaków z mojej klasy. Gdy bowiem z ust moich kolegów wydobywały się różne dźwięki podobne do wszystkiego, tylko nie do śpiewu, to ja potrafiłem

bezbłędnie śpiewać wszystkie patriotyczne i czasami inne pieśni. Ale gdy pod koniec szkoły głos zaczął mi się zmieniać, straciłem sympatię u pani Romanowicz. Przeniosła ją na promowanego z niższej klasy Janusza, który też potrafił śpiewać. I tak pani od muzyki w moich oczach straciła wszystko, bo pokazała jak niepedagogicznie i koniunkturalnie traktuje swoich podopiecznych" (WSKH).

„My rówież mieliśmy wychowanie muzyczne z panią Romanowicz. W pamięci pozostało mi, że biła dzieciaki linijką po rękach, no i tekst oraz melodia «Ody do radości» z IX Symfonii Beethovena: «O radości, iskro bogów, kwiecie elizejskich pól». Lubiliśmy wyskoki do filharmonii, bo zabierały sporo czasu (dojazd i powrót do szkoły) i zawsze jakieś inne lekcje wypadały. Koncerty w auli szkoły także były dość fajne. Jako dziecko miało się okazję zetknąć z muzyką klasyczną, poznać instrumenty" (Fredek).

Pani Sitnik

Janina Sitnik, zwana „Ziutą". Była nauczycielką jeszcze w czasach Siódemki na Bałtyckiej, wychowawczynią nat. „Pamiętam jak pani Sitnikowa kazała mi wypluć gumę do żucia (w kształcie irysów po 3 zł.), a ja smarkula powiedziałam, że to zrobię, jak zwróci mi 3 złote. Te gumy były popularne" (karolina).

„Czy wiecie, że p. Sitnik właśnie zmarła (2. XII. 2005 r.)? Uczyła prac ręcznych, miała dwójkę dzieci: Krysię i Bogdana. Pogrzeb odbędzie się prawdopodobnie w piątek 9 grudnia. Pani Sitnik uczyła w Siódemce 25 lat (1950-1975). Mieszkała długo w bloku nauczycielskim obok szkoły, a później w domku na ul. Bursztynowej" (absolwentka). „Była moją wychowawczynią od pierwszej klasy (później p. Domańska). Nie przepadałem za nią w podstawówce, ale kiedy była już starszą panią, polubiłem ją. Ile razy byłem w Olsztynie i ją spotkałem, to zawsze serdecznie się ucałowaliśmy i pogadaliśmy. Niech jej ziemia bedzie lekka" (czlowiek). „Pani Sitnik była przez trzy lata także moją wychowawczynią; w klasach I-III. Choć dałam jej się we znaki, to zawsze mnie lubiła i ze wzajemnością. Nazywała mnie «wiewiórką», bo zawsze gdy zabierała nas na spacer, to wspinałam się na drzewa. Choć minęło sporo czasu, pamiętała mnie i moje przezwisko. Ostatni raz miałam przyjemność spotkania z panią Sitnik na naszym klasowym spotkaniu trzy lata temu. Było miło, a ona wiele ciekawych rzeczy opowiadała o nas" (karolina). „Uczyła mnie prac ręcznych. Jej dewizą było: twoje miejsce pracy musisz zawsze czysto utrzymywać. Od tego czasu upłynęło 30 lat i zawsze, kiedy na przykład gotuję, myślę o tym" (Guska Stachurska).

Pani Skibińska

Wanda Skibińska; nauczycielka muzyki; zwana „Skibą" lub „Teklą".

„Ja chyba miałem u większości belfrów przewalone, ale szczególnie u Skibińskiej od muzyki. To dopiero była kosiara, wredna i pamiętliwa, z tak sokolim wzrokiem, że nawet ostatnia ławka nie ratowała przed jej jadem. Do dzisiaj, gdy słyszę jak ktoś gra na dzwonkach lub na flecie, widzę Skibińską, jak dyryguje w amoku z miną pełnego uniesienia i seksualnego spełnienia. Chciała abym koniecznie chodził na zajęcia pozalekcyjne (ja i pozalekcyjne zajęcia, w czasie niezbędnym młodemu człowiekowi na rozrywki i zabawy z kolegami!), to znaczy do chóru szkolnego. Odmówiłem, i to był błąd, a wypadkową całej tej sytuacji była pała z muzyki na semestr (co prawda, nie jedyna niestety)" (mir-mur).

„Co do Skibińkiej, to lekcje z nią bywały różne. Pamiętam jak wpadła na «genialny» pomysł z zakupem owych przeklętych fujarek. Nie dość, że było to na ówczesne czasy drogie – zdaje się, że jakieś 140 złotych to wtedy kosztowało, co na lata 70-te nie było mało – to nie cierpiałem tych fletów strasznie. Wprawdzie przy zakupie byłem podekscytowany, i dopiero jak się okazało, jak trudno się nauczyć grania, to chęci odeszły. Chyba nawet zapiszczeć dobrze «100 lat» na tym nie potrafiłem. Skiba miała faktycznie obsesję na punkcie muzyki, ale nie uważam, żeby była taką totalnie złą nauczycielką. Sądzę, że to w jakimś tam stopniu

była jej zasługa, iż nasza szkoła zaczęła uczęszczać do filharmonii. Tak na marginesie, bardzo to lubiłem, no może oprócz operowego śpiewania. W każdym razie, dzięki temu wyrobiliśmy sobie jako takie pojęcie o muzyce poważnej. I za to jestem Tekli wdzięczny. Do dziś wrzucam sobie od czasu do czasu na sprzęt jakiś klasyczny kawałek do posłuchania. Skibińska słynęła ze swojego zamiłowania do skrzypiec; kto wie, czy jej prawdziwym marzeniem nie było zostać skrzypaczką w jakiejś filharmonijnej orkiestrze. Od czasu do czasu zresztą uraczała nas jakimś utworem smyczkowym we własnym wykonaniu. Większość z nich wydawała mi się wtedy cholernie nudna i nie mogłem się doczekać, kiedy ona skończy. Lubiłem natomiast, jak od czasu do czasu wrzucała Skibińska w ciepły wiosenny dzień jakiś czarny dysk na adapter, abyśmy mogli posłuchać dzieł muzyki klasycznej. Jakieś cięższe kawałki Liszta, Wagnera czy Bacha potrafiły działać usypiająco na klasę, zwłaszcza że lekcje u Skiby mieliśmy z reguły późno, po obiedzie w stołówce. Ciepłe promienie słońca plus pełny żołądek często były zabójczą mieszanką przy delikatnych dźwiękach muzyki. Jedna z ciekawszych płyt, którą Skiba nam puściła, był występ chóru gruzińskiego. Było w tym tyle tempa i energii, że do dziś pamiętam ten miarowo rosnący męski śpiew, który pod koniec utworu wręcz trzaskał mocnym huczliwym basem. Ech, to były czasy... Tak swoją drogą, to ja ogólnie byłem muzyczną nogą. Lubiłem słuchać, mogłem nawet wystukiwać rytm, ale śpiewanie to mi szło raczej kiepsko. Zresztą dochodziła trema przed całą klasą. A pamiętacie naukę kanonu «panie Janie, panie Janie, rano wstań, rano wstań; wszystkie dzwony biją, wszystkie dzwony biją, bim bam bom»? Biorąc pod uwagę nasze fałszowanie, mierność naszego piszczenia na flecie, łomot i hałas, jaki produkowaliśmy na trójkątach i tamburynach, to trzeba przyznać, że ta kobieta miała dla nas masę wyrozumiałości i cierpliwości, co jej się chwali" (mamut).

„Wypady do filharmonii wcale nie były zasługą Skibińskiej, a jej recitale na skrzypcach to był prawdziwy horror dla uszu" (mir-mur).

Pani Szymkiewicz

Bożena Szymkiewicz; nauczycielka; Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego obchodów 50-lecia Siódemki.

Pani Ściglerowa

Lilia Ścigler. „Ósmą klasę kończyłem w 1999 roku; wychowawczynią była Ściglerowa. Za bardzo nie przepadałem za nią; ciągle była z czegoś niezadowolona. Czepiała się byle czego, a ja nie byłem aniołkiem. Za to w sporcie byłem bardzo dobry" (niuniek).

Pani Wera

„Woźna w SP 7. Niezwykła ostoja spokoju i cierpliwości. Była dla nas, łobuzów, bardzo dobra" (Krzysiek).

Pani Wolańska

Ulubiona nauczycielka Jolanty Tęgowskiej, czyli mamy mr.

Pani Zera

Wanda Zera; nauczycielka matematyki.

„Kiedyś ewidentnie uwzięła się na Bieleckiego. Jakaś w ogóle strasznie znerwicowana była, ciągle się na kogoś wydzierała. Dziś podobno jest właścicielką jakiejś lodziarni czy cukierni i podobno dobrze się trzyma" (mamut). „Pani Zera faktycznie sprzedaje lody; widziałem ją przy tym osobiście i bardzo się zdziwiłem" (tepsik).

Papierosy

Najważniejszym miejscem młodzieżowego palenia i popalania było zaplecze sklepu podczas przerw między lekcjami, a szczególnie na dużej przerwie (czyli po trzeciej lekcji). „Ale paliło się nie tylko za sklepem; bywały też różne inne miejsca: na przykład w toalecie czasami siedziało się w dziesięciu i paliło jednego «Sporta»; ogródek geograficzny też był bardzo dobrym miejscem; niestety, dziś już nie istnieje. Natomiast miejscem najpewniejszym było przejście nad jezioro obok Jurka Radziuna (Al. Przyjaciół 38)" (LP).

„Mój kontakt z papierosami rozpoczął się od tego, że chodziłem do kiosku po papierosy dla ojca. Były to «Silesie» po 5,20. Gdy przyszło na mnie z paleniem, to były to «Klubowe» (przez pewien czas w opakowaniu z celofanem) – 4,40, potem «Extra Mocne» i bardzo oryginalne «66» (mentolowe z filtrem) oraz «Wrocławskie» (o dziwnie słodkim smaku). Natomiast w ogóle nie miałem zdrowia do «Caro», za to uwielbiałem bywające czasem «Guluazy» (nie pamiętam jak się je pisze po francusku), chyba po 25 zł. W Olsztynie popalałem – w okresach wakacyjnych – na ławkach nad Jeziorem Długim. Najchętniej na tej przy Związku Wędkarskim i na tej na wysokości domu Jaworskich. Lubiłem różne dziwne i mniej dziwne marki: poza już wymienionymi, także «Grunwaldy», «Giewonty» z filtrem, «Płaskie», a gdy «Sporty», to koniecznie w dziesiątkach, i koniecznie radomskie, a nie krakowskie; gdy dorosłem to preferowałem «Extra Mocne», zwłaszcza bez filtra. «Grunwaldy» były w bardzo atrakcyjnych sztywnych pudełkach otwieranych tak jak np. płyta CD. Podobne były «Wawele». Wspomniane «Wrocławskie» były mało popularne, więc mogę powiedzieć, że to było moje odkrycie. Miały miły, lekko słodkawy smak i można było ich dużo wypalić bez konsekwencji. Może też pamiętacie «Feminy»? Wmówiłem dziadkom, że to papierosy beznikotynowe i pozwalali mi je palić w domu oficjalnie. Dziadek długie lata palił «Sporty», które dzielił na pół i wkładał do drewnianej fifki, i wypalał do końca, bez żadnych prawie strat. Ostatnie lata życia nie palił, bo mu stwierdzili cukrzycę. Byliśmy nawet zdziwieni, że tak łatwo i szybko rzucił palenie, ale on po prostu lubił życie i był w tej sprawie gotów na spore poświęcenia. Sam się dziś dziwię, że to wszystko z tymi papierosami przeżyłem, ale teraz już wietrzę organizm; nie palę od dawna i bardzo sobie to chwalę, co wychowawczo polecam wszystkim tego czytelnikom. Ale też choć nie palę chyba ze dwadzieścia już lat, to uwielbiam palaczy i uważam, że obecne ich prześladowanie, wyrzucanie na mróz, śnieg i zawieruchę, by tylko tam sobie odrobinę popalili, jest nieludzkie" (jd).

„Wiele lat temu, wracając z lotniska po wizycie w ojczyźnie, zapaliłam sobie w taksówce londyńskiej polskiego «Klubowego». Po jakiejś chwili kierowca zatrzymał się i poszedł sprawdzić, czy wszystko jest OK pod maską auta, ponieważ zaniepokoił go zapach spalenizny. Nic nie znalazł i po powrocie do auta zidentyfikował mojego «dziwnego» papierosa jako źródło niezwykłego smrodu. Sam będąc palaczem, nigdy ponoć czegoś podobnego nie doświadczył" (nat). „Ten londyński taksówkarz to był wydelikacony laluś, który nie zna się na rzeczy i jako taki nie nadaje się oczywiście na taksówkarza. Nie miej wobec siebie, nat, żadnych wyrzutów za te świetne «Klubowe», sprowadź sobie ich partię z Polski (bo one chyba zostały wznowione), i racz się tym w taksówkach bez żadnych ceregieli" (jd).

„Nigdy nie miałem papierosa w ustach. A w Siódemce pamiętam, że palacze uczyli się palenia na «dziesiątkach» «Sportów» (były to takie małe, zgrabne opakowania). Dzisiaj WC w Siódemce nie jest już tak obskurne, i czy się tam pali – nie wiem. W jednym z olsztyńskich liceów wstawiono szklane drzwi w toaletach, żeby palacze nie mieli kryjówki" (WSKH).

„L.M., czy pamiętasz jak może w czwartej klasie poszliśmy palić do lasu i zgubiliśmy zapałki. Przypalaliśmy papierosy jeden od drugiego, i tak całą paczkę. Może dlatego do dziś od tamtego czasu nie palę" (zyby).

Papierówki

Najpopularniejsze kiedyś jabłka; najwcześniej dojrzewały, choć i tak nikt nie miał cierpliwości czekać aż dojrzeją. Potwornie kwaśne. Rosły między innymi w znanym sadzie Stolarskiego i prawie w każdym ogrodzie przydomowym. Szczególnie smakowite papierówki hodowała mama Lewandowska.

Parys Winicjusz

„Ten wywinięty kołnierzyk, krzywy krawat – taaak, to on, to kultowa postać szkoły, czyli Winicjusz Parys. Takiego gościa się nie zapomina. Ależ jego ojciec umiał szybko biegać; gonił mnie kilka razy, szczególnie jak kopciuch zamiast dymić, zapalił mu drzwi od domu. Winicjusz może szkolną sławą konkurować nawet z Filutem" (mamut). „I ja Winia pamiętam doskonale, i właśnie jako kultową postać przynajmniej naszej dekady w szkole" (mir-mur).

„Jego matka była pielęgniarką w przychodni na Rybakach. Nieprzyjemne to wspomnienie, bo zawsze jakieś strzykawki się u niej oglądało, a potem tych strzykawek doświadczało" (Fredek). „Przypomnienie Fredka o mamie-pielęgniarce Winicjusza wydobyło z mojej pamięci-niepamięci taką oto scenkę: Po chorobie i codziennych odwiedzinach w przychodni wraca któryś z klasowych kolegów. Otacza go grupa klasowych znajomków. On opowiada. Gdyby stanąć z boku i nie słyszeć słów, to wyglądało to tak:

ON: unosi rękę do góry i pokazuje mały palec, że taka gruba była igła.

ONI: bledną.

ON: bierze potężny zamach i jego ręka przecina powietrze – tak wbiła mu mama Winicjusza igłę w tyłek.

ONI: zaciskają pośladki (z tymi zaciśniętymi pośladkami chodziliśmy cały dzień; najtrudniej było skakać wzwyż i biegać na WF-ie).

Od tego czasu zanim ktoś zrobił psikusa Winicjuszowi, dwa razy się zastanowił, pamiętając jak straszną może być zemsta jego mamy. Od tej też pory znakiem rozpoznawczym Winka – oprócz błędnego wzroku – był również tajemniczy, złowrogi uśmiech-uśmieszek. Może trochę to podkolorowałem, ale tylko trochę – w swej istocie historyjka jak najbardziej prawdziwa" (miki).

„Wracałem dziś (dzień czerwcowy 2006 r.) rowerkiem z plaży na Redykajnach, i minąłem imć pana Winicjusza Parysa. Ku mojej radości stwierdziłem, że jego mość w ogóel nie zmienił stylu: krótkie spodenki, czarne (do kościoła) półbuty, czarna skórzana torebka na dokumenty zwana (nie wiem czemu) pederastką. Poza tym bardzo urósł"(miki).

Pasta do zębów

„W dawnych czasach (lata 60-te) do mycia zębów istniała tylko jedna pasta: miętowa i obrzydliwa, za 3,05 zł. Nie znosiłem jej, ale pewnego dnia pojawiła się nowość: specjalna pasta dla dzieci o smaku pomarańczowym. Byłem tak nią zachwycony, że z tego zachwytu, z miłości do pomarańczy (które bywały tylko w okresie świąteczno-noworocznym) oraz z powodu ogólnego łakomstwa, używałem tej pasty nie tylko do mycia zębów, ale także ją podjadałem. Nie muszę dodawać, że żadne bóle brzucha nigdy mi nie dokuczyły. Zdrowie miałem, że hoho, mimo wiadomego wstrętu do mleka" (jd).

„Ja też zajadałam pastę do zębów i też bez żadnych skutków ubocznych. Dziadkowie chyba jednak coś w końcu zaczęli podejrzewać, bo schowali pastę i tylko ją dostawałam w wyliczonej porcji, jak trzeba było myć zęby. Oczywiście zaczęłam wówczas zdumiewająco często je myć" (mr).

Paszkowska Bożena

Z rocznka 1961/62, a więc koleżanka między innymi jurka. „Paszkowska Bożena wyjechała w stanie wojennym do Niemiec i już nie wróciła, ale często bywa w Olsztynie ze względu na brata, który mieszka nadal pod tym numerem, co ja" (gaga).

Paź

Trochę dziwny facet; mieszkał w blokach na Bałtyckiej, znał się z ojcem jd. „Paź mieszkał w pierwszym bloku. Mieszkanie numer chyba 11. Był rzeczywiście dziwnym facetem. Z wyglądu trochę jak Nienacki: siwe włosy, grube okulary. Chorował chyba na coś, bo cały czas siedział w domu. Miał syna, który miał na imię Marek. A żona albo młodo zmarła, albo uciekła. Paź wrzeszczał niekiedy z balkonu na dzieciarnię, gdy byliśmy – jego zdaniem – za głośni na podwórku. Jako dzieciak robiłem mu jakieś drobne zakupy. Dostawałem za to złotówkę albo 50 groszy. Pamiętam, że w pokoju miał mnóstwo książek. Wracając jeszcze do żony, krążyła po bloku historia, że zginęła od uderzenia pioruna" (Fredek).

„Dodam coś jeszcze na temat tego gościa. Paź często jeździł po Bałtyckiej i okolicy takim dziwnym pojazdem trzykołowym, zdaje się dwusuwem, ktory na wysokości klatki piersiowej kierowcy miał coś w rodzaju ręcznej korby czy pedałów do napędzania i rozruchu pojazdu. Trzymał ten pojazd zaparkowany w rzędzie garaży, tuż przy naszym bloku. Garaże owe zostały rozebrane w końcu lat 70-tych. Paź, jeśli się nie mylę, chorował na multiple sclerosis, czyli stwardnienie rozsiane; paskudna choroba. Zmarł chyba na atak serca lub udar słoneczny, siedząc na balkonie w letni wieczór. Mieszkał niestety samotnie, zbyt wielu przyjaciół nie miał, i dopiero po 2-3 dniach się zorientowano, że nie żyje. Była to smutna postać z mojego i Fredkowego sasiedztwa" (mamut).

Pekin

„Tak nazywano stare domy z czerwonej cegły między Grunwaldzką, Parkiem nad Łyną, Kościołem Garnizonowym i 14-ką. Ale dlaczego nazwano te osiedle Pekin?" (Fredek).

„Z tego, co wiem z rodzinnych przekazów, nazywano to Pekinem, bo było tam tak ciasno i brudno jak w Pekinie. Ale miejsce było prawie równie niepowtarzalne jak Aleja Przyjaciół i warte jest oddzielnego wątku na forum, a nawet napisania książki. Wiele by mówić; na przykład karaluchy były tam tak na oko wielkości kapsla od piwa i były tępione słynnym DDT czyli azotoksem, ale po pewnym czasie zwyczajnie uodporniły się i na to. Dlatego słynne były polowania na nie. Polegały one na tym, że gdy wracało się do domu wieczorem, należało podejść pod drzwi możliwie najciszej, po cichutku otworzyć je kluczem, wejść na palcach, znienacka zapalić światło i rozpocząć gonitwę po wszystkich kątach. Bywały spore sukcesy, ale też karaluchy uciekały migiem w znane tylko sobie dziurki" (WSKH).

Pęczar Andrzej

Kolega z klasy ak. „Pamiętam, że do szkoły najczęściej spóźniali się ci, którzy mieli najbliżej – Andrzejek Pęczar i Wiesiu Rybicki. Obaj mieszkali po drugiej stronie ulicy w blokach, w pierwszej klatce schodowej od strony sklepów. Andrzej potrafił spóźnić się dwa razy dziennie, bo na prawie każdej przerwie był w domu. Szkoda, że nie było go na jubileuszu Siódemki" (ak).

„A propos Andrzeja Pęczara. Nie wiem, gdzie on się zapodział, ale jego siostra Zosia (obecnie Krupa) dalej mieszka w bloku, tyle że w drugiej klatce" (nat).

Piekarnia w Likusach

„Kochałem się w Asi. Ale niestety, ona była w klasie o rok starszej, a wiadomo: siódmoklasistka i szóstoklasista to przepaść. Tak mnie to onieśmielało, że cały ten «romans» nie został «skonsumowany» nawet pocałunkiem w policzek, mimo że bywaliśmy nawet u siebie w domach. Pozdrawiam Asię, jeżeli czyta, a wszystkim polecam piekarnię w Likusach należącą do jej rodziny. Razowiec najlepszy w mieście. Asię też można tam zobaczyć" (miki).

„Piekarnia na Likusach mnie też mile się kojarzy. Pamiętam kolejki po świeży chleb o piątej rano. A takiego pysznego chleba z chrupiącą ciepłą skórką już więcej nigdy i nigdzie nie jadłam" (borasca).

Pięćdziesięciolecie

W roku 2002 przypadła 50-ta rocznica powstania Szkoły Podstawowej nr 7. Z tej okazji 10 i 11 maja odbyły się uroczystości jubileuszowe. Sygnał o przygotowaniach do jubileuszu otrzymaliśmy (forumowicze) od samego dyrektora Siódemki: „Witamy uczniów i absolwentów ukochanej 7-mki. Ucieszyliśmy się bardzo, iż istnieje Forum, na którym głos zabierają byli uczniowie naszej szkoły. Możemy więc ogłosić wszem i wobec, że Szkoła Podstawowa nr 7 w Olsztynie, tak mile przez Was wspominana, w bieżącym roku szkolnym obchodzi 50-lecie swego istnienia. Pragniemy, aby rocznica ta przebiegała w bardzo uroczystym nastroju i przez to zapadła w pamięć następnych pokoleń. W związku z tym apelujemy do Was Wszystkich o aktywne włączenie się w zorganizowanie i przeprowadzenie tego przedsięwzięcia. Czekamy na Wasze odpowiedzi i pomysły jak uczcić tę 50-tkę" (dyr.sp7). Włączyliśmy się jak najbardziej, czego efekt był między innym taki: „Pragniemy poinformować, co niniejszym czynimy, iż «Gazeta Wyborcza» (oddział w Olsztynie) objęła patronat medialny nad obchodami 50-lecia naszej szkoły. Zostałyśmy bardzo mile przyjęci w redakcji, i to dzięki Wam, naszym byłym uczniom, tak chętnie wypowiadającym się na forum. Należą się Wam więc słowa podziękowań. Obiecano nam wszelką pomoc w nagłośnieniu rocznicy, a także podczas wszystkich przygotowań do tych dni. Na łamach tego poczytnego pisma znajdą się na pewno notatki o pracy SP 7, która nie jest gorsza niż inne szkoły, ale byliśmy do tej pory zbyt skromni, by się chwalić. Mamy do Was prośbę. Chcemy wydać pozycję książkową o Naszej Szkole, w której obok jej historii chcemy umieścić Wasze szkolne wspomnienia, te które już snuliście na łamach forum lub jeszcze inne, które dopiero nasza prośba zainspiruje" (dyr.sp7). Te wspomnienia oczywiście przygotowaliśmy i poprzypominaliśmy sobie, i są one częścią wydanej książki.

„Program obchodów:

10 maja - dla obecnych uczniów;

11 maja - dla byłych uczniów, absolwentów, nauczycieli, dyrektorów.

11 maja

- 9.30 - msza w Kościele M.B. Saletyńskiej, ul. Morska;
- 11.00 - 12.30 – rocznicowe uroczystości, apel, występ Chłopięcego Chóru Miasta Olsztyn pod kierownictwem J. Wojtkowiaka, wystąpienia gości;
- 12.30 – zwiedzanie szkoły, sal pamiątkowych;
- 13.30 – towarzyskie spotkania przy kawie.

Każdy uczeń, absolwent naszej szkoły ma bezpłatny wstęp na tę uroczystość. Chociaż mile widziane są wpłaty od serca na konto, które podamy niżej. Proponujemy również uroczysty bankiet w restauracji o godz. 18.00. Cena 60zł + 20zł na koszty organizacyjne" (dyr.sp7)".

I oto pierwsze reakcje po imprezie: „Było ekstra, było świetnie, było rewelacyjnie, i było tłumnie. Mówiąc inaczej: było tak jak musiało być, a nawet o oczko lepiej (choć to się wydaje niemożliwe). I od razu pozdrowienia i podziękowania dla całej Dyrekcji i jej okolicy. Mieli mnóstwo roboty, byli pełni energii, a w dodatku optymizmu i przesympatyczności oraz uznania dla naszego tu bazgrania" (jd).

A teraz trochę szczegółów w konwencji „jd, który był, opisuje Leszkowi (LP), którego nie było": „Leszek, spróbuję opisać to i owo specjalnie dla ciebie. Przyjechałem o 10-tej, wysiadłem na Zachodnim i pobiegłem do szkoły. Mnóstwo ludzi właśnie wracało z kościoła. Byłem zaskoczony ilością przybyłych. Było chyba kilkaset osób i ciągle przybywali. Trochę postaliśmy przed szkołą, zrobiono jakieś wielkie zbiorowe zdjęcie. W międzyczasie

spotkałem Krzysia K. z twojego domu i Andrzeja F., pogadaliśmy nieco w pośpiechu i trzeba już było ruszać do sali gimnastycznej, gdzie miała być główna uroczystość. Wszyscy dostawali kartki z rocznikiem, na nich pisali swoje nazwiska i przypinali szpilkami. Te kartki były bardzo pomocne w odnajdowaniu się. Można też było kupić książkę, no i rozpoznawałem coraz to nowe osoby: Krzyśka z forum (super sympatyczny młody człowiek), jego wujka Jurka L., który najwyraźniej i najszczerzej odpuścił mi młodzieńcze śliwki (prawie się nie zmienił z wyglądu). Pół sali było zastawione krzesełkami, a drugie pół to były miejsca stojące. Ciągle przybywali tam nowi ludzie, były okrzyki radości, mnóstwo gadania, i to nieco przeszkadzało uroczystości, ale nie mogło być inaczej. Były przemówienia, występy dzieci, a w międzyczasie jedni wychodzili, drudzy wchodzili, rozkwitało życie towarzyskie. Było jakoś nadzwyczajnie sympatycznie i nie bylo w tym nic wymuszonego.

No więc są przemówienia, występują dzieciaczki, a z tyłu kwitnie życie towarzyskie. Spotykam dwie najmłodsze siostry Jaworskie (z Rybaków, z ich ojcem łowiłeś, Leszek, ryby), poznaję od razu Allana, a mnie poznaje od razu Fredek, potem jeszcze zjawia się Ela Kaszuba, moja koleżanka ze szkoły i przedszkola, identyfikuje mnie pani Bożena Szymkiewicz, jest przemiła i pełna radości, choć ma mnóstwo biegania i pełno obowiązków. Potem rozpoznaje mnie facet z Gazety i ciągnie na zdjęcie i wywiad. Wytłumaczyłem mu, że sprawa ze zdjęciem to zły pomysł, ale krótki wywiad, bardzo proszę. Wracam na salę i tam jest wręczanie kilkunastu specjalnych egzemplarzy książki o szkole. Różnią się od zwykłych sztywną okładką i specjalnym dyplomikiem, no i wśród zasłużonych nauczycieli i oficjeli dostaje ją także gd i ja. Ja jako reprezentant forum. Nawet dostałem oklaski. Ostrzegałeś mnie, że będę musiał przemawiać, nawet miałem coś przygotowane, ale obyło sie bez tego. Na koniec dzieci ze szkoły wykonały specjalną piosenkę (z całą publicznością, bo dostaliśmy kartki z tekstem). Oto słowa. Będziesz sobie mógł, Leszek, pośpiewać:

Powiedz, powiedz czemu
tyle lat chodziłeś do szkoły.
Dzisiaj wiersza już nawet nie pamiętasz,
wszystko miesza i myli ci się w głowie.

Powiedz, powiedz czemu
teraz tęsknisz do lat szalonych,
do swej klasy, a nawet do klasówki,
do swej ławki i starej stalówki.

Ref.: Wstań, powiedz Siódemko ma
i więcej nie trzeba już
mówić, bo każdy wie, że ona jest
panią, panią mych snów,
moich marzeń i lęków,
moich najlepszych lat,
minionych lat.

Śpiewa to się do melodii zespołu «Ich troje». Ten zespół i to co śpiewa jest raczej koszmarne, ale skoro lubią to dzieciaczki z Siódemki, to jednak nie jest to koszmarne. Po śpiewach schodzimy na pierwsze piętro, w klasach są stare zdjęcia i inne atrakcje do pooglądania, można kupić książkę i koszulki. Stoimy sobie z Allanem i Fredkiem i myślimy kogo nie ma (detritusa, Leszka, Magdy) i czy spotkamy betis. W tym momencie pojawia się małoletnia właściwie, a już atrakcyjna blondynka, i to jest betis. Wszyscy korzystają z okazji

by ją uściskać, a potem jeszcze dołącza do nas Iwona i chwilę stoimy zdumieni, że jednak się spotkaliśmy, no i umawiamy sie na wieczór na bankiet.

Powinienem teraz opowiedzieć, co było dalej na uroczystości. Mam z tym jednak kłopoty, bo gdy myślę o tym jak było, o Olsztynie, o szkole, przedszkolu, moich dziadkach, to ogarnia mnie taka czułostkowość i tęsknica, że można zgłupieć od tego. No, ale dalej było tak. Wszyscy, po śpiewach i jeszcze w budynku szkolnym, chadzali po pierwszym piętrze i parterze, gdzie były napoje i słodycze, no i najwyraźniej wszyscy się zbierali w towarzystwa klasowe. Tak też było ze mną, co było dla mnie tym bardziej interesujące, że ponieważ chodziłem do naszej szkoły tylko trzy miesiące, to większości osób w ogóle nie znałem. Ale parę znałem. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie i umówiliśmy sie na 18-tą w «Przystani», gdzie zaplanowany był bankiet. Poszedłem zapłacić za przyjęcie i wtedy jeszcze dłuższą chwilę porozmawiałem z paniami, które wszystko organizowały. Były dla mnie nadzwyczaj sympatyczne i przekonywały mnie, że gdyby nie nasze forum, to nigdy by do takiej skali uroczystości nie doszło. Powiedziały, że zamierzały załatwić specjalnie dla mnie ciepłe mleko prosto od krowy, ale w końcu się nie udało. Wszyscy zaczęli sie rozchodzić. Ja poszedłem najpierw z betis na coca-colę. Ona trochę się śpieszyła, ale starczyło nam czasu byśmy opowiedzieli sobie całe nasze życia. Potem poszedłem samotnie popatrzeć na dom dziadków i koło biblioteki zszedłem nad jezioro. Usiadłem na jednym z tych nieszczęsnych pni po topolach, a chwile potem zjawili się tam Allan i Andrzej F., i przynajmniej wtedy chwilę dłużej porozmawialiśmy o tym, gdzie, kto i jak... Potem musiałem błyskawicznie załatwić w Śródmieściu pewną sprawę związaną z moją pracą, ale jeszcze przed szóstą zdążyłem odwiedzić na Morskiej mojego najlepszego przyjaciela w Olsztynie Bogusia M. i Wiesię. Przez cały dzień była absolutnie wymarzona pogoda i Morska wyglądała jak w moich najlepszych wspomnieniach. Zbliżyła się szósta i przez park koło Ekonomika ruszyłem na bal" (jd).

„Z mojej klasy były wieczorem jedynie dwie osoby. Nie przeszkadzało to jednak w niczym. Większość czasu spędziłem z koleżeństwem Fredka, ale także skakałem sporo od stołu do stołu, bo większość ludzi zna się przecież z osiedla, a ile kto ma lat, traci znaczenie" (ak).

„Było tak wspaniale, że żadne zdjęcia, artykuły, czy filmy tego nie oddadzą. To jedno. A drugie, bezwzględnie ważniejsze: wyrazy wdzięczności dla organizatorów! Bożenko – dziękujemy" (Krzysiek). „To my Wam dziękujemy za tak liczne przybycie i cudowną atmosferę, którą wytworzyliście. Za ciepłe słowa, za uśmiechy, za samą Waszą obecność. Warto było! Muszę powiedzieć Wam, iż dzień 11 maja był jednym z najszczęśliwszych dni w moim dość już długim życiu i zapamiętam go na zawsze. Pozdrawiam wszystkich serdecznie" (dyr.sp7 - Bożena Szymkiewicz).

„Pragnę poinformować Wszystkich Forumowiczów, a poprzez Nich Wszystkich Absolwentów szkoły, iż pieniądze pozostałe z bankietu zostały przekazane grupie Absolwentów, a ta zdecydowała zakupić kserokopiarkę Canon dla nauczycieli. Aparat ten został uroczyście wręczony nauczycielom podczas rady pedagogicznej w dniu 13 czerwca 2002r. Opatrzony został też tabliczką z napisem «Na 50-lecie Szkoły nauczycielom – absolwenci». W imieniu nauczycieli i dyrekcji szkoły, serdeczne podziękowania" (dyr.sp7 - Bożena Szymkiewicz).

O jubileuszu były artykuły w Gazecie Olsztyńskiej i Gazecie Wyborczej. Klasa Iwony kontynuowała wielokrotnie jubileusz na spotkaniach we własnym gronie. Założyli nawet specjalną księgę na tę okazje.

Pijawki

Kiedyś masowo występowały w Jeziorze Długim przy brzegu, szczególnie tuż za mostem po lewej stronie, i były dodatkową przestrogą przed wchodzeniem do Długiego. Dziś należą

już najwyraźniej do przeszłości, a wspomniane miejsce jest głównym plażowiskiem nad Długim.

Pikier

Gra podwórkowa, ale nikt nie przypomniał jej reguł.

Pikus

Właściciel zakładu fryzjerskiego na Grunwaldzkiej. Zakład mieścił się w budynku dawnej synagogi przy cmentarzu żydowskim.

„Dobrze pamiętam wspomniany zakład fryzjerski Pikusa. Chodziłem tam do fryzjera się strzyc (choć czasem także na Pieniężnego). U Pikusa pracowały bardzo seksowne fryzjerki" (mamut).

Pikuś

„Pikuś to piękny kociak, który wyjątkowo upodobał sobie placyk-trawnik przy kiosku u zbiegu Alei Przyjaciół i Bałtyckiej. Jest tam od rana do zmierzchu, kieruje ruchem pieszych, liczy samochody, gospodarzy jak pan, no i oczywiście dostaje co nieco od naszych ziomków. Czasami w skórę oberwie, ale to na pewno nie nasi. Ma się jednak wyśmienicie, bo biało-czarna sierść błyszczy jak u dolarowych wierzchowców, a szelmowskie spojrzenie wyraża ogólne zadowolenie. Pikuś jest gość, nawet jak ktoś kotów nie znosi" (WSKH).

Pikuty

Gra podwórkowa; określano ją także jako „granie w noża". „Wybrańcy mieli do tego harcerskie finki, ale używano również najprostszych (cynowych) noży z najtańszej zastawy stołowej" (jd).

Pileccy

Rysiek i Marek. Mieszkali na Alei Przyjaciół 27. Rysiek (młodszy) mieszka teraz w USA. Marek miał beznadziejny wypadek na jeziorze i jeździ na wózku. Jednak poradził sobie świetnie w życiu. Został prawnikiem i właścicielem sklepów Pigo. Ma także osiągnięcia w sporcie dla niepełnosprawnych. Chodziła z nim do klasy Iwona.

„Młodszego Pileckiego spotkalem w... San Diego. Jeździł na taxi. Miał trochę kompleks starszego brata – chodziło o PIGO, ma się rozumieć. Później słyszałem że młodszy Pilecki umarł" (johninm).

Piórnik

„Niedawno rozmawiałem z moim znajomym o naszej budzie i rozmowa zeszła na piórniki. Każdy miał ich przynajmniej kilka w swojej kadencji szkolnej, i zazwyczaj bardzo różne. Ja również miałem kilka. Jeden z pierwszych był cienki, ale długi. Wyglądał trochę jak kieszeń z suwakiem pośrodku. Długopisy, ołówki, gumka, linijka i cyrkiel jakoś się jednak zawsze tam mieściły. Później miałem piórnik plastikowy, kwadratowy, z wieczkiem zamykającym się na magnes. Wieczko wewnątrz miało cienką gąbkę i dlatego jego powierzchnia była miękka i chroniła piórnik przed zniszczeniem. Na wierzchu była dwójka jakichś japońskich bohaterów kreskówek, których nigdy jednak nie widziałem w polskiej telewizji. Był czysty, ładny i cieszył dziecięce oczy. Wszystko też się w nim mieściło. Później miałem istnego Cadillaka piórników. Służył mi chyba przez trzy lata. Miał trzy części i wyglądał jak duży gruby portfel. Środkowa część składała się w obie zewnętrzne, a następnie suwak na brzegach zamykał piórnik. Wewnątrz było wiele pętelek z szerokiej gumki pokrytej materiałem, w które wsuwało się długopisy, ołówki, itp. itd. Oprócz tego była kieszonka zamykana na zatrzask, w którą mogłem włożyć drobne rzeczy, jak np. gumkę. Wszystko

miałem zawsze tam super poukładane i nic mi nie latało po tornistrze. Piórnik był naprawdę dobrej jakości, ale wiecie, jak to jest z dziećmi. Wierzchnia część piórnika była pokryta gładkim skajem imitującym brązową skórę, no i świetnie się po niej pisało i rysowało, więc na piórniku zawsze namalowane były jakieś topory, miecze, samochody i inne miłe sercu chłopaka rzeczy, proca też chyba była. Czasem udawało mi się (choć z trudem) zmyć coś z powierzchni piórnika, aby umieścić tam znów jakiś cudowny rysunek, wykonywany na jakiejś nudnej lekcji oczywiście, bo po szkole nie było czasu na troskę o piórnik" (mamut).

„Za moich lat szkolnych piórniki były drewniane, z otwarciem najczęściej wysuwanym lub wsuwanym (wyższy standard), a w środku przestrzeń podzielona na przegródki na ołówki, obsadki, gumkę i stalówki. Nie było otworków do wsuwania przyrządów do pisania lub rysowania, więc te piórniki w tornistrze grzechotały, gdy się je nosiło. Niezbędnym przyrządem uczniowskim były także liczydełka" (jd).

Pistolety

Jedna z ważniejszych zabawek chłopaków. „Szczególnie wysoko ceniono niewinne pistolety na kapiszony (kapiszony bywały albo w rolkach, albo pojedyncze okrągłe w maleńkich zgrabnych pudełeczkach) i całkiem poważne korkowce" (jd).

Piwnice

„Wczesną jesienią przychodziły oprócz węgla również dostawy ziemniaków na zimę – pełne wory, które również szły do piwnicy, gdzie «mieszkały» obok beczek z kiszoną kapustą. To dopiero były czasy! Dzieci nie wierzą, jak im się to dzisiaj opowiada" (nat).

„A w tych piwnicach był uczciwy, zbawienny chłód nawet w 40-stopniowe upały" (jd)

Plaża Miejska

Położona nad Jeziorem Krzywym, zbudowana jeszcze przez Niemców.

„Były to setki metrów pomostów, także wysoka wieża do skoków. Gdy byłem mały, to całymi godzinami chodziłem po tych pomostach (jeden wychodził daleko w jezioro i tam opalały się najpiękniejsze ciała żeńskie Olsztyna) lub oglądałem skoki z wieży. Plaża miała przebieralnie, kabiny, huśtawki, wszystko było super, może z wyjątkiem bufetu, w którym stało się godzinę, by coś kupić (nie mogłem pojąć, że ludzie stają w taką kolejkę)" (jd).

„Ponieważ mieszkaliśmy blisko plaży, to bywaliśmy tam parę razy dziennie, a także wieczorami. Mama nauczyła mnie pływać, gdy nie chodziłam jeszcze do szkoły. Plaża w latach 60-tych była bardzo modna. Pamiętam istne tłumy idące i wracające z plaży, szczególnie gdy wypłoszyła je burza. Tramwaje były całe zapełnione, a potem autobusy. My mogliśmy wracać nawet w strojach kąpielowych. Rozwój motoryzacji w latach 70-tych spowodował, że każdy chciał spędzić dni upalne poza Olsztynem, i właśnie wtedy i z tego powodu nad Jeziorem Krzywym zaczęło robić się pusto" (Iwona).

„Ja pamiętam zwłaszcza solidną drewnianą zabudowę plaży miejskiej. Były tam jakieś przebieralnie, czy coś w tym stylu, jakiś bar, biuro ratownika. Wydaje mi się również, że tuż przy plaży było jakieś małe pole namiotowe; wchodziło się tam schodkami na górę, obok takiej małej zniszczonej fontanny. Gdy byłem w Olsztynie cztery czy pięć lat temu, to miałem okazję podziwiać nowe molo. Ładnie nawet ono wygląda, choć chyba jest mniejsze od starego" (mamut).

„Ja także dobrze pamiętam wspaniałe pomosty plaży miejskiej. Na wprost wejścia była trampolina, taka na około cztery metry, potem było tylko podwyższenie, a jeszcze bardziej potem nic z niej nie pozostało. Nowe molo nie jest nawet złe, ale jest go zdecydowanie mniej, a i wyposażenie brzegu to już nie to... Przez jakiś czas pracowałem kiedyś na plaży na stanowisku 4, i trochę na 2-ce, ale to było za starych dobrych czasów i starych dobrych pomostów! Wspomniane pole namiotowe nazywało sie «To Lubię», teraz wchłonęła je plaża

miejska. Jest to dziś kilka ławek, stare drzewa; nawet jest tam przyjemnie, jeśli ktoś nie przepada za wrzaskiem i piaskiem. Najczęściej tam właśnie ludzie grilluja, gdyż jest tam wybudowane z kamienia specjalne miejsce na ognisko. Niestety, najczęściej jest zaśmiecone, potłuczone szkło itd. Za to obok powstały już dość dawno piaszczyste boiska do plażówki i walczą tam często siatkarze plażowi, łącznie ze mną" (Zbyszek).

„I ja wspominam z rozrzewnieniem plażę nad Jeziorem Krzywym. Najpierw tłumy Olsztyniaków w każdą upalną niedzielę tłoczyły się w tramwaju z kocami i prowiantem, by później długą asfaltową drogą doczołgać się do plaży i znaleźć miejsce w cieniu" (rita).

„Plaża miejska chyba ostatnio odżyła, choć daleko jej do dawnej świetności. Zbudowano nowe wielkie molo, ale trochę inaczej niż dawnej, bo od razu naprzeciw wejścia (dawne duże molo było jakieś pięćdziesiąt metrów po lewej stronie). To molo wychodzi z 70 metrów w jezioro i na końcu jest rozszerzone, jest nawet jakaś estradka i pewnie bywają tam występy" (jd).

Plesner Leszek

Czyli LP. Mieszkał na Alei Przyjaciół 28, na samej górze. Dziś mieszka w Niemczech, ma żonę i syna, który niedawno rozpoczął szkołę. Dopiero zupełnie niedawno (2003 r.) sprzedał swoje mieszkanie na Alei Przyjaciół.

„Podobnie jak Fredek, chodziłem do przedszkola na Rybakach, byliśmy chyba w tej samej grupie, ale czy na pewno, nie pamiętam; później wiadoma szkoła, potem Technikum Samochodowe na Wojska Polskiego. No i handel zagraniczny, tzn. wożenie badziewia gdzie się dało i wracanie do kraju też z badziewiem. W wojsku nie byłem, bo i po co (strata czasu). Pracowałem przez rok w NRD. To były czasy! Znałem Berlin Wschodni prawie jak Olsztyn. Od 1989 roku jestem tutaj, tzn. w Karlsruhe, pracuję w VW, choć osobiście nie jeżdżę VW" (LP).

„Mieszkając jeszcze w Polsce miałem okazję załapać się na tzw. bramkarza. Dzięki temu obejrzałem mnóstwo koncertów na żywo; widziałem też dużo „od zaplecza". Miałem możliwość rozmów z muzykami przed koncertami. Wyobraźcie sobie 10 czy 11 koncertów Budki Suflera w kinie Grunwald – tylko dlatego, że im płacili od występu, a więc po co robić to w wielkiej hali za planetarium. Jeszcze jedno, w tamtych czasach zaczynała pani Trojanowska, która bardzo mi się wtedy podobała" (LP).

Płoty

Kiedyś wzdłuż ulic osiedla nie było, jak dziś, metalowych płotów z siatkami, ale płoty drewniane, o wiele niższe, z deseczkami od góry. Na tych płotach można było siadać i chodzić po nich jak po równoważni. Było to rewelacyjne. Chodzenie po płocie bez zejścia na ziemię było jedną z ulubionych zabaw dzieciaków: na przykład trasą dookoła Rybaków – od domu Dramowiczów (Rybaki 31) aż do sklepu na Al. Przyjaciół. Te drewniane płoty rozebrane zostały na początku lat 70-tych.

„Płoty były wszędzie podobne i dużo ładniejsze od gierkowskiej siatki, która zgwałciła totalnie atmosferę osiedla" (ak).

Pług

„Kto z was pamięta słynny pług do odgarniania śniegu, zrobiony przez jakiegoś fachowca?" (LP)

Pochmara Zbyszek

Kolega z klasy Zbyszka i kolega DD w wyjazdach turystycznych.

„Ze Zbyszkiem Pochmarą byłem w jednej klasie, sporo wędrowaliśmy po naszych lasach i jeziorach. Krzywe, Podkówka, Żbik – to były nasze tereny. Mieliśmy w lesie miejsce

nazwane przez nas «Głowa Lisa», gdzie z około pięciu metrów obserwowaliśmy łosie (i klempy też). Czasem dołączała Maryla, czasem jeszcze ktoś" (Zbyszek).

Pochód pierwszomajowy

„Właśnie maj się zbliża i przypominam sobie szkolne przygotowania do święta pracy! Uroczysty apel, wierszyki itd. Ciekawsze było szperanie po strychu w szkole i wyciąganie wszystkich flag, transparentów i innych rzeczy. Jednego razu pokaleczyliśmy trochę tego dużego orła, który zawsze wisiał 1-go Maja nad wejściem. Jeśli się nie mylę, to zwaliliśmy wszystko na Kiczola i chłopak niezły opieprz dostał. On często, przez swój nieco flegmatyczny styl, obrywał za innych" (AD).

„Pamiętacie jak się chowało, żeby nie dostać szturmówki do niesienia na pochodzie, albo jak pod koniec pochodu z całej klasy pozostawała tylko garstka i wiadoma pani od rosyjskiego sprawdzała obecność?" (tepsik).

„Pochody to ja zaliczyłem chyba ze trzy, może cztery... Zawsze rodzice coś ciekawszego znajdowali do roboty. Ale faktycznie pamiętam, że czerwonych szturmówek nikt nie chciał nosić. Do biało-czerwonych zawsze ktoś się chętny znalazł, ale czerwone to była hańba. Mnie się upiekło i nigdy nie niosłem czerwonej. Pamiętam, że ci, którzy musieli nieść czerwone zwijali je dookoła drzewca, tak żeby tej flagi było jak najmniej widać. Tego, czego szczególnie nie cierpiałem na pochodach, to stanie i czekanie na to, aby wreszcie pochód ruszył. Człowiek miał wrażenie, że mu zaraz nogi od tego stania wrosną w... Poza tym ten Pierwszy Maj z reguły bywał jakiś chłodny, przynajmniej ja tak pamiętam swój pierwszy pochód, i to porąbane machanie chustami harcerskimi, niestety czerwonymi" (mamut). „Mamut, nie wiem czy to inne wspomnienia, a może po prostu skleroza, ale ja pamiętam pochody pierwszomajowe przeważnie przy bardzo ładnej pogodzie. Szczególnie dobrze przypominam sobie ostatni, który przeżyłem w Polsce w roku 1986. Pierwszy Maja był we wtorek, a 26-go kwietnia był wypadek w Czernobylu. W weekend dotarły pierwsze informacje z radia Wolna Europa i chyba w niedzielę wieczorem także oficjalne. W poniedziałek zabroniono w szkole zabaw na podwórku. Odwołane zostały również treningi sportowe, i w ogóle radzono wszystkim zamknąć okna i siedzieć w domu. To było w poniedziałek, a we wtorek był Pierwszy Maja i na szczęście «nie było już zagrożenia», więc pogoniono wszystkie szkoły, zakłady pracy itd. na ulice! Ja miałem szczęście, bo Kolpy, o którym już tu wspominałem, poinformował w szkole, że idziemy z AZS-em. Tak naprawdę przesiedzieliśmy ten dzień w domu i też było dobrze, bo dzień był upalny i nie sadzę, by ten pochód miał być dobry dla zdrowia" (AD).

„Nawet fotki pierwszomajowe nie wzbudziły większych emocji. Sam zaledwie parę razy zaliczyłem pochód; upiekło mi się, ale do dziś pamiętam. Pamiętam przede wszystkim to organizowanie się i – powtórzę – stanie w nieskończoność na ulicy; nóg się nie czuło, ale staliśmy jak te ciołki. Swego czasu były nawet treningi do pochodu urządzane; marnie wychodziły, bo nikt specjalnie się tym nie przejmował, ale przynajmniej struktura grupy pochodowej była nieco opanowana. Tak więc staliśmy na tej ulicy, czekając aż pochód ruszy; jak tylko nas przesunęli o dwadzieścia metrów, to już myśleliśmy, że wreszcie idziemy, a tu nic, przeszliśmy te parę marnych metrów i dalej stoimy. W międzyczasie dołączała wtedy do nas jakaś inna szkoła. Majowe ranki bywały chłodne i to stanie na samym początku bywało nieco irytujące zanim poranny chłodek nie przeminął. Potem rzeczywiście nieco słoneczko rozgrzewało nas i nie było tak źle. Ogólnie cały pochód był nudny i męczący. Tu i tam były poustawiane głośniki. Dudniły na całą okolice, ale rzadko co można było zrozumieć. Zdaje się, że spiker wymieniał idące zakłady pracy, szkoły, szpitale etc., ich dokonania itp. – cała ta komunistyczna propaganda, cały ten cyrk, w który większość narodu musiała być wciągnięta. Ludzie nosili sztandary, proporce, tarcze, chorągwie, znienawidzone czerwone szturmówki. A to machanie czerwonymi lub biało-czerwonymi chustami harcerskimi przed trybuną było

żałosne. Ale takie były to czasy, więc perspektywa spoglądania na te wydarzenia też musi być nieco inna. Tak swoją drogą, to jestem ciekaw, jak takie pochody wyglądały w małych mieścinach, jak np. Orneta, Ostróda czy Działdowo? Pewnie niewielki tłumek i cały pochód zakończony w 15 minut" (mamut).

„Po pochodzie porzucało się szturmówki w krzakach. Starsi szli na piwo, a my czmychaliśmy nad jezioro popływać na żaglówkach" (Fredek).

„Okropne było to stanie w kolumnie pierwszomajowej i czekanie na swoją kolej. Ja od czwartej klasy chodziłam z klubem. Jako dziewczynka zawsze wraz z dniem pierwszego maja mogłam nosić podkolanówki. Przyznam jednak, że miło wspominam tamte czasy: spacer z rodzinką na lody, później ewentualnie zawody na otwarcie sezonu sportowego, a czasami chodziłam oglądać imprezy odbywające się w fosie" (karolina).

Pochwała Paweł

„Widziałem go ostatnio w TVP 1; prowadził program «Kawa czy herbata»" (mir-mur).

Pocz Danka

Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T.

Poczta

„Skąd się wzięła i kiedy się wzięła poczta u zbiegu Alei Przyjaciół i Morskiej?" (WSKH). „Większość budynku to była część mieszkalna. Poczta znajdowała sie w lewym rogu budynku. Strasznie maleńkie było to biuro. Rodzice czasem wysyłali mnie tam, bym kupił znaczki lub coś w tym stylu. Poczta zresztą często zamieniała się w miejsce codziennych pogaduszek. Szczególnie panie często długo przesiadywały, opowiadając sobie liczne ploteczki" (mamat). „Wcześniej był tam sklepik spożywczy, w którym sprzedawała starsza pani" (Iwona).

„Mój kumpel tak się rozpędził Jawką (moją Jawką) na Alei Przyjaciół, że nie wyrobił się na zakręcie w Morską i wyrżnął w pocztę. Jawka nie nadawała się do dalszej jazdy. Jego na całe szczęście nie wysłali na komunalny. Zdradzę, że tym mistrzem kierownicy był Jarek Lachowski" (WSKH).

„Ja też pamiętam tę pocztę na początku Morskiej. Była bardzo przytulna i działała pod koniec lat 60-tych i na początku 70-tych. Co więcej, czy poczta nie była przez pewien czas także w pierwszym budynku po nieparzystej stronie Alei Przyjaciół, gdzie potem była pracownia artystycznego garncarstwa czy czegoś takiego? A może to był kiedyś ten sklepik, o którym wspomina Iwona?" (jd). „Poczta była na pewno w pierwszym budynku od Rasteńskich, do tej pory są tam zakratowane okna, a po prawej stronie wejścia wisiała skrzynka pocztowa. Teraz poczta jest przy Bałtyckiej, w budynku obok księgarni" (Zbyszek).

Pod Żaglami

Najbardziej znana (także poza Olsztynem) i elegancka restauracja w Olsztynie. Znajdowała się na ul. Pieniężnego; dziś już nie istnieje, choć jest inny lokal o tej nazwie.

„Przyjechawszy kiedyś do Olsztyna, po wyjściu z pociągu na Głównym, przeszedłem wiaduktem na drugą stronę torów, na Limanowskiego i skręciłem w prawo w Waryńskiego (teraz nazywa się inaczej, chyba Hanny Malewskiej), zdążając w stronę cmentarza, by odwiedzić grób dziadków. Po drodze podziwiałem budynki stare i zupełnie nowe, nawet zaskakująco nowe (chyba rejonu energetycznego albo coś takiego), ale najważniejsze było odkrycie w 1/3 drogi do cmentarza, po prawej stronie, knajpy «Pod Żaglami». Knajpa o tej samej nazwie znajdowała się kiedyś na Pieniężnego i było szczytem elegancji bywanie w niej, później podupadła. Dotarłem więc do tego nowego «Pod Żaglami», ale niestety, nadzieje na sentymentalne i optymistyczne przeżycia okazały się płonne. Już sam fakt, że ogromna sala

była całkowicie pusta, powinien wzbudzić moje podejrzenia, ale brnąłem dalej. Zamówiłem herbatę i (młodzież niech nie czyta) kieliszek wódki Finlandia, postudiowałem kartę i jak to zwykle robią bywalcy, zapytałem o specjalności zakładu. Obsługa była dość niekumata, więc szybko uznałem, że nie ma mowy o rozmowie o starym «Pod Żaglami», reszta personelu również nie budziła nadziei na udaną pogawędkę, pozostało tylko zaakceptować kelnerską propozycję dania głównego. Dodatkowo wkurzył mnie ten kelner, bo miał katar, pociągał nosem i zacząłem się obawiać, że mnie zarazi. W tej sytuacji postanowiłem ratować się (młodzież niech absolutnie nie czyta) drugim kieliszkiem wódki Finlandia. W końcu przyniósł to danie; było niedosmażone, frytki były mieszaniną frytek dzisiejszych i wczorajszych (a może nawet wczorajszych i przedwczorajszych) – było raczej rozpaczliwie. Nie ma rady, już tam nie wrócę, licząc zapewne absurdalnie na wskrzeszenie «Pod Żaglami» na Pieniężnego" (jd).

„«Pod Żaglami» jest teraz przybytek nie z tej ziemi! Pałac biskupi!" (WSKH).

Podgórskie

Dwie ładne siostry bliźniaczki, Katarzyna i Małgorzata.

„Był taki gościu, Szuwar. To był ich sąsiad i «chodził» raz z jedną, raz z drugą, potem jeszcze z ich przyjaciółką, a potem znowu z którąś z nich. Chodziły plotki, że nawet z obiema naraz. Mam nadzieję, że Pan Bóg stosownie do tego, jak miał dobrze w młodości, teraz uczynił go małym łysym grubasem" (miki). Na te wieści odezwała się bliźniaczka: „Przykro mi, ale muszę cię zmartwić, miki. Szuwar nie jest ani łysy, ani mały, ani gruby, i całkiem nieźle się trzyma. Ale to bardzo ciekawe, co opowiedziałeś o jego podbojach, i gdybyś był jeszcze tak miły i zdradził mi, kto to była ta nasza przyjaciółka, z którą chodził w międzyczasie? To miłe, że najwyraźniej wzruszyły cię dawne wspomnienia, ale uważaj, bo w pewnym wieku zbyt wiele wzruszeń szkodzi sercu. Pozdrowienia" (bliźniaczka). „Bliźniaczko, wyczułem w twoim liście, że poczułaś się urażona. To co napisałem, to ploteczki wielbicieli z młodszych klas. A Szuwar rzeczywiście trzyma się bardzo dobrze. Napisałem o nim tak z zawiści, bo bardzo mu zazdroszczę. A poza tym, ja na tym forum ostatnio robię za kpiarza, więc mogę więcej, i wybacza mi się. No niech ktoś weźmie mnie w obronę!" (miki). Wszyscy wzięli mikiego w obronę, przy jednoczesnych powszechnych wyrazach bezmiernej sympatii dla bliźniaczek.

Podkolanówki

„Pamiętam, że za moich czasów w modzie były podkolanówki, i jak zdarzała się jakaś większa szkolna impreza lub święto, to dziewczęta proszone były o ubranie białych podkolanówek i granatowych spódnic z białymi koszulkami" (mamut).

„A za moich czasów dziewczyny w podkolanówkach – najróżniejszych kolorów – były sygnałem, że nieodwołalnie przyszła wiosna" (jd).

Podkówka

Zwana też Kopytkiem. Niewielkie jezioro; chodziło się tam na plażę. Dzisiejsza Podkówka to już nie to.

„Dzisiaj, przy okazji sentymentalnych spotkań, obowiązkowy punkt to przejechanie się na Kopyto, to znaczy nad jeziorko Podkówkę. Kiedyś wyprawy piesze czy rowerowe na Kopyto, to były naprawdę wyprawy, bo były to dziewicze tereny powiatu Olsztyn. Teraz to urokliwe kiedyś miejsce zabudowywane jest osiedlami domków" (WSKH).

Podlesie

„Osiedle Podlesie położone było (i jest) nad Jeziorem Krzywym, za Bałtycką i za torami, ale przed Likusami. Tam mieszkałam i w drodze do szkoły mijałam tory kolejowe oraz

liceum żeńskie ekonomiczne. Czasami musiałam jednak wędrować przez przejazd kolejowy strzeżony, ponieważ ścigali nas tzw. sokiści. Tuż przed przejazdem był słynny Antałek – pijalnia piwa. Ale było to chyba dwadzieścia lat temu" (T. B.).

„To nie były moje strony, zresztą chyba ich jeszcze nie było, gdy tam mieszkałem (nie było też Liceum Ekonomicznego, choć później, gdy już było, zaprzyjaźniłem się z nim i grałem tam w piłkę)" (jd).

„Osiedle, które nazywacie Podlesiem, to teraz osiedle Leśne («Leśne», bo ma same leśne nazwy ulic, a nie dlatego, że znajduje się pod lasem)" (betis).

Podnoszenie oczek

Usługa, dotycząca naprawy pończoch. Kiedyś bardzo popularna, a dziś należąca do przeszłości.

Podręczniki

Bez podręczników trudno wyobrazić sobie szkołę, ale kiedyś bywały kłopoty z podręcznikami, bo po pierwsze, było ich za mało, a po drugie, były drogie na ówczesne kieszenie. W związku z tym powszechnie używano używanych podręczników, które się sprzedawało i kupowało. „Pamiętam, jak musiałam gumkować książki, aby móc otrzymać przyzwoitą cenę" (karolina).

Podwórko

„Podobnie jak chyba wszyscy, spędziłam dzieciństwo głownie na podwórkach, przede wszystkim bloków i domków na Alei Przyjaciół, Rybakach i Morskiej. Natomiast moje dzieci, wychowane po angielsku, w indywidualnych jednorodzinnych domach odgrodzonych żywopłotami itp., w ogóle nie znają pojęcia «podwórko». Gdzie odbywałoby się nasze życie towarzyskie w tych wczesnych latach dzieciństwa, gdyby nie było naszych podwórek, gdzie zawsze był ktoś chętny do wspólnej zabawy, i to od świtu do nocy? Na podwórko wybiegało się na cały dzień, z kanapką i jabłkiem w ręku, na rower, piłkę, i na inne nieskończone pomysły zabaw; otyłe dzieci były wtedy rzadkością. Przy mojej ostatniej wizycie na Alei Przyjaciół uderzyła mnie ogromna cisza na tyłach domów. Było lato, ciepło, i żadnych dzieciaków na dworze" (nat).

„Ach, to były czasy: zabawy w podchody, kopanie piłki na polu przed barakami, przeróżne inne gry i zabawy. Faktem jest, że dzieci spędzają teraz pewnie trzy razy więcej czasu przed telewizorem czy komputerem niż my kiedykolwiek. Dla nas była od czasu do czasu godzinka w telewizji jakiegoś programu, no i dobranocka, której każdy starał się nie przegapić. Podwórko to było to... Nawet nie mieliśmy jakichś specjalnych huśtawek czy karuzel, a zawsze coś do zabawy i coś do «zbrojenia» było..." (mamut).

„Podwórko było dla mnie rzeczywistością mistyczną i zniewalającą. Gdy tylko ujrzałem na podwórku lub ulicy (która też była podwórkiem) jakieś dzieciaki, to żadna siła nie była w stanie utrzymać mnie w domu. Ciekawe, czy komputer by mnie powstrzymał, ale zaryzykuję, że też nie" (jd).

„Złe lub średnie warunki lokalowe zacieśniały więzi między sąsiadami. Praktycznie cały wolny czas po powrocie ze szkoły spędzało się na świeżym powietrzu: w lesie, nad jeziorem, na ulicy przed domem. W czasie złej pogody, z uwagi na brak jakiejkolwiek świetlicy osiedlowej, najczęściej łaziliśmy do któregoś z klubów nad jeziorem, a to do harcerzy, a to do Warmii, oksu, juweni, budowlanych, loku" (mir-mur).

Pogrzeby

„Pamiętam procesje pogrzebowe na osiedlu: trumna na karawanie, konie w czarnych pióropuszach i zgromadzenie starych babć z osiedla, odprowadzających zmarłego najpierw do

katedry, a stamtąd na cmentarz miejski. To była dosyć długa trasa do przejścia na piechotę, ale babcie miały kondycję, i nawet śpiewały pieśni żałosne na całej trasie. Gdyby nie brak muzyki jazzowej, to kojarzyłoby się to nieco z Nowym Orleanem" (nat). „Do kiedy były takie publiczne pogrzeby? To niesamowite. Teraz pozbywamy się nieboszczyka jak najszybciej. Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego, chcemy go mieć z głowy, won z domu, i nawet trumnę niosą obcy za pieniądze" (WSKH). „Ja to pamiętam z lat 60-tych. Nie dało się umrzeć na osiedlu nad Długim po cichu – wszyscy wiedzieli, i w kolejce w sklepie było o czym pogadać. Pamiętam, że kiedyś po przejściu takiej procesji wysłano mnie do sklepu po jajka. Przechodząc przez jezdnię znalazłam 50 zł. Przyjęłam to oczywiście za łut szczęścia, ale czułam się nieco nieswojo, gdyż podejrzewałam, że pieniądze zgubione zostały przez pogrążonego w rozpaczy uczestnika procesji. Tym niemniej na tacę nie poniosłam" (nat).

Pokorska Janina

„Ta pani była babcią mojej koleżanki klasowej – Agnieszki Z. Agnieszka nazywała ją Babą, i my wszyscy też! Baba była (chyba) emerytowaną nauczycielką i organizowała przedsięwzięcia teatralno-taneczne. Te wszystkie tańce ułańskie i występy, to była jej praca. Kiedyś padło na mnie i miałem z jej wnuczką na jakiejś uroczystości odtańczyć flamenco. Jeździłem do WDK uczyć się tego tańca. Ale jak zobaczyłem strój – czarne rajstopy i kurteczka wyszywana cekinami – to pomału wycofałem się z tego. A pamiętacie «Niemców» Kruczkowskiego? Przygotowała to właśnie Baba. Do dziś pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie gra aktorska Andrzeja Kuppera (Willi)" (miki).

„Ta Baba to była też babcia Małgośki Zakrzewskiej i chyba była starsza od węgla. Doskonale ją pamiętam, miałem okazję pracować z nią w przygotowaniu apelu z okazji Dnia Kobiet. Jak ją pierwszy raz zobaczyłem, to myślałem, że to matka Czyngis-chana. Jeśli idzie o «Niemców», to było to olbrzymie wydarzenie w szkole; zaczęło się uroczystym apelem z okazji Dnia Zwycięstwa i święta patrona szkoły. Apel przygotowywała klasa VIIIa pod kierunkiem pani Kozieł i Baby. W poczcie sztandarowym szły bliźniaczki (obydwie). W inscenizacji wystąpił Andrzej Kupper, a także Dorota Grabek i Lena Pietrzyk. Pamiętam jak Andrzej w czasie spektaklu tak się wczuł w rolę Willego, że wyjął papierosa i zapalił go. Na sali oczy wszystkim powychodziły z wrażenia" (mir-mur).

„Ja z kolei pamiętam doskonale próby między innymi do scenek z «Teatrzyku Zielona Gęś» Gałczyńskiego. Baba była prawdziwą lokomotywą kulturalną naszej szkoły i moim zdaniem zrobiła bardzo wiele pożytecznych rzeczy. Pamiętam, jak wszystko przeżywała, krzyczała i bardzo się starała. Wiele osób z mojej klasy: Marzena W., Klaudia K. i inni, było dumnych z udziału w jej przedsięwzięciach (i miały z czego). Mnie niestety pomijano, ale i ja przygotowałam kiedyś układ taneczny na zakończenie ósmej klasy do piosenki «Rasputin» zespołu Boney M." (karolina).

Poliklinika

Na Wojska Polskiego, ale dość daleko od Śródmieścia. „Tam się urodziłem, a potem z sentymentem czasami bywałem. Naprzeciw Polikliniki był duży park z atrakcyjnym placem zabaw" (jd).

Pompecki Leszek

Kolega WSKH; mieszkał na Bałtyckiej w okolicach Fredka, mamuta, Iwony.

Poniatowska Ada

„Ada Poniatowska (z Morskiej) straciła przednie zęby spadając z roweru, bo się zagapiła, oglądając się za Piotrkiem Gajko, który był jej szkolną miłością" (mr).

Poniewierka Jacek

„Pewnie tak jak wielu z was, trafiłem na to forum przypadkiem. Pozdrawiam wszystkich i gratuluję takiego pomysłu. Jestem rocznik urodzenia 1975, a szkołę ukończyłem w roku 1990. Nadal mieszkam w Olsztynie i SP 7 wspominam z tęsknym westchnieniem (uf, kiedy to było?)" (poniewierka)

Pończochy

„Ach, te kokardy i pończochy! Kokardy, białe lub granatowe, to chyba żywcem przyszły od radzieckich przyjaciół. Mam zdjęcia z tymi dekoracjami pieczołowicie przypiętymi do włosów i wyglądam jak wystraszony ptak gotowy do odlotu w panice. A pończochy – najpierw były takie w prążki, dosyć masywne, szaro-bure, a potem ulepszona wersja, tzw. fildekosy. Bardzo nieprzyjemne dla oka, zupełnie nieelastyczne i po paru godzinach zwisały uroczo na kolanach. Siłom grawitacji przeciwdziałał pas z gumkami i żabkami, które wiecznie łamały sie lub wypadały. Dodać do tego worek z kapciami w ręku, bezpłciowy paltot i toporne trzewiki, i obraz szczęśliwego dziecka socjalizmu niemalże kompletny. Łza się w oku kręci... ze śmiechu" (nat).

Porębska Wiesia

Mieszkała na Morskiej w jej najniższym punkcie. Miała siostrę, chyba Elę; chodziła do klasy z jd (cztery miesiące) i Elą Kaszubą. Jej dziadkowie prowadzili skup butelek. Ożeniła się z Bogusiem Molendą. Mają dwoje dorosłych dzieci i ciągle mieszkają na Morskiej.

Porzeczki

Bardzo popularny owoc ogródkowy, ale okropnie kwaśny i mozolny w zbieraniu, do którego byliśmy zmuszani. „Szczytem niewolnictwa było zrywanie porzeczek – drobnych, paskudnych porzeczek" (AD).

Poschmann Irena

Koleżanka z klasy ak. Wyjechała z rodzicami do Niemiec latach 70-tych. AF twierdzi, że miała na imię Elżbieta.

Potocka Bożena

Ze słynnego rocznika 1965/66. Mieszkała na Al. Przyjaciół 37 i miała całkiem spore rodzeństwo: brata Ryśka, siostry Marię i Różę. „Moja siostra najstarsza miała na imie Mara Lucyna, ale wołaliśmy ją Luśka. Jest teraz w USA, mieszka na Florydzie" (Bożenna Potocka).

Z Lusią bardzo przyjaźniła się nat. A z wszystkimi siostrami Potockimi gaga. „Bywałam u was w domu, uczyłyśmy się (z Bożeną) w jednej klasie. Od chwili ukończenia szkoły nie widziałyśmy się, choć widywałam czasami twoją babcię i prosiłam, żeby cię pozdrowiła. Parę razy spotkałam też Różę, ale to było bardzo dawno" (gaga). „Ja mieszkam dziś bilisko ciebie, po drugiej stronie Jeziora Krzywego na Profesorskiej; jestem na rencie, ale jeszcze pracuję w domu na komputerze" (Bożenna Potocka)

„Teraz bardzo często zachodzę na naszą ulicę razem z synem i wspominam nasze piękne lata, jak graliśmy w dwa ognie na placyku, jak wieczorami sklep był okupowany przez nas, bo wtedy najlepiej bawiło się w chowanego, albo podchody w lesie, które nieraz trwały i cały dzień. Zawsze wracam pamięcią do naszej szkoły, naszych kochanych i wspaniałych nauczycieli; przecież to chyba najpiękniejsze nasze lata (te spędzone w tej szkole). Dużo było zajęć pozalekcyjnych: chodziłam na muzykę (grałam na mandolinie) i na SKS; bardzo lubiłam grać w piłkę z Marysią; reprezentowaliśmy naszą szkołę, grając w szczypiorniaka; lubiłam też lekkoatletykę i też brałam udział w zawodach międzyszkolnych na Stadionie Leśnym. Urodziłam się w swoim domu na Alei Przyjaciół i dlatego tak mnie tam ciągnie jak

wilka do lasu; tęsknię za naszym pięknym ogrodem, który babcia tak zawsze pieściła. Był pełen kwiatów, zwłaszcza piwonii, ogromnych i pachnących. Rosły też gruszki klapsy, soczyste i słodkie, pyszne. No i ten zapach poranny naszej dzielnicy, zwłaszcza po deszczu; wszystko pięknie pachniało kwiatami i koprem" (Bożenna Potocka).

Potocki

Mieszkał na Rybakach, blisko przedszkola; naprawiał telewizory. LP chadzał z nim na ryby.

Pożary

„Na Alei Róż 34 spaliło się mieszkanie. Czy pamiętacie, jakieś pożary na Alei Przyjaciół i sąsiednich ulicach?" (WSKH). „Kiedyś coś się tu mówiło o pożarze w domu Dramowiczów (albo obok), na rogu Rybaków i Alei Przyjaciół (tym rogu bliżej lasu). Ja żadnych innych pożarów w naszej okolicy jakoś szczęśliwie nie znajduję w swej pamięci" (jd). „Święty Florian, patron od ognia, widocznie czuwa nad osiedlem. Z tym, że przypomniałem sobie właśnie pożar górnej części sklepu" (WSKH).

„Tak, ten pożar sklepu był sporym zamieszaniem. Pamiętam, że strażacy przyjechali, rozłożyli sprzęt, próbowali go uruchomić, a tu... nic. To woda zamarzła w zbiornikach (był niezły mróz). Nagle ktoś rzucił hasło, że może by wykorzystać wodę z jeziora. Pomysł pierwsza klasa, ale – o zgrozo – nasi ogniomistrze nie mieli przy sobie siekiery, niezbędnej do rozkucia zamarzniętego jeziora. W końcu ktoś podrzucił tę nieszczęsną siekierę i można było wyrąbać przerębel. Po paru minutach popłynęła woda, ratując nasz sklep przed totalnym zniszczeniem" (LP).

„Sklep się palił chyba około 15 lat temu. Po pożarze nadbudowali to szkaradztwo, które jest na dachu do dziś, to znaczy taką jakby kwadratową budę" (WSKH). „Pożar był prawie na pewno w roku 1983" (ak).

„Witam! Właśnie pali się poddasze domu na rogu ulicy Rybaki i Alei Przyjaciół – tam, gdzie kiedyś mieszkał nasz drogi koleżka Kacper" (mir-mur).

Prace ręczne

Przedmiot szkolny, określany także jako Zajęcia praktyczno-techniczne, Roboty ręczne i chyba jeszcze jakoś. Podobnie jak WF, prowadzony odrębnie dla chłopców i dziewcząt.

„Na pewno wykonywaliście w szkole różne ciekawe projekty, takie jak choćby fartuch, szalik na drutach (tak, chłopcy też), skrzynka na szczotki do butów (moja mama używa do dziś skrzynki, którą zrobił pewien stolarz w imieniu mojego starszego brata, mającego dwie lewe ręce do prac ręcznych, za to dwie prawe do sportu" (gd).

„Znalazłem skrzyneczkę. Na pewno jest ze zbiorów naszej szkoły i prawdopodobnie została wykonana na zajęciach technicznych. Tak na oko ma 20 do 30 lat. Takie rzeczy chyba robiło się u pana Serafina. W środku tej skrzyneczki na jednej z deseczek jest autograf wykonawcy: W. Werner VI b. Skrzyneczka jest z rodzaju takiej jakby apteczki wielkości 30 cm, ma drzwiczki na zawiaskach i pomalowana została białą farbą. Skrzyneczkę mogę przekazać prawowitemu właścicielowi lub zachować w zbiorach muzealnych SP 7, albo też uczynić z nią cokolwiek innego, czego zażyczą sobie szanowni Siódemkowicze" (WSKH).

„Lubiłem bardzo zajęcia praktyczno-techniczne, choć tak naprawdę nigdy mocny w nich nie byłem. Jednym z najbardziej frustrujących mnie projektów było zrobienie tak zwanej «squeege» (taka rączka z gumowym paskiem do mycia okien). Projekt wedle Serafina był prosty: wyciąć i zgiąć kawał grubej, bo 3-milimetrowej blachy, wywiercić w niej dwa otwory, włożyć do środka pasek gumy, z grubego drutu wykonać rączkę (wygięty drut w kształcie długiego U), spłaszczone końce drutu z wywierconymi otworami miały być później połączone z otworami w blaszce i przynitowane razem. Męczyłem się z tym projektem setnie.

Miałem problemy ze ściśnięciem gumy w zwiniętym kawałku blachy. Uchwyt z drutu był gotowy, trzeba było to tylko złożyć do kupy i znitować. Serafin przechodził obok mnie, sprawdzając jak nam wszystkim idzie. Zobaczył mnie męczącego się z tym żelastwem, pokręcił głową, powiedział «Hej ojciec, co ty robisz?... », a następnie wziął z moich rąk ten koszmarny projekt. Wyrównał gumę w zwiniętym kawałku blachy, przyłożył rączkę z drutu i w ciągu minuty zanitował to wszystko do kupy. Następnie przyciął równo pasek gumy, no i projekt by gotowy. Ja pewnie męczyłbym się z tym jeszcze z godzinę. Dostałem za projekt 4+" (mamut).

„Wątek prac ręcznych jest ciekawy z powodu interesującej wymiany, jaka miała miejsce chyba w ósmych klasach: chłopaki szli na babskie prace do Cejkowej, a dziewczyny do Serafina. Pamiętam, że u Cejkowej na maszynach szyliśmy siatki na zakupy, to znaczy: staraliśmy się szyć..." (WSKH).

„Ja pamiętam, jak robiłem na ZPT u Serka silnik elektryczny i zamek elektromagnetyczny. Serek był jak Adam Słodowy, potrafił zrobić coś z niczego" (mir-mur).

„To nie było na ZPT, ale tematyka zbliżona. Miałem kiedyś niezłą mordęgę, ale i zarazem satysfakcję, przygotowując na lekcję geografii planszę przedstawiającą geograficzny podział nizin i wyżyn. Do tego celu zrobiłem najpierw coś w rodzaju makiety dwóch pagórków. Użyłem do tego, jeśli sie nie mylę, tonę plasteliny, której miałem bardzo dużo (lubiłem bardzo lepić rożne cuda z tej kleisto-ciastowatej masy). Zbudowałem z niej pagórki na sporym kawałku tektury, następnie porwałem na drobne skrawki Gazetę Olsztyńską (Trybuna Ludu była kupowana u nas w domu 2 razy w roku, aby mięć całotygodniowy program telewizyjny na Wielkanoc i Boże Narodzenie). Kawałki owe wrzuciłem do miski z wodą i białym klejem butaprenem (chyba tak się nazywał), następnie nakładałem mokre kawałki papieru na wcześniej zrobione wzgórki, aż kilkoma warstwami całkowicie pokryłem całość wzgórzy. Ta wzgórkowa masa była suszona trochę suszarką, trochę pozostawiona samej sobie do wyschnięcia. Po wyschnięciu ostrożnie i nie bez problemów zdjąłem wyschniętą papierową masę z plastelinowego wzgórza. Pamiętam, że wzgórki trochę się tu i tam podarły, i trzeba było je trochę poprawiać, ale całość wyszła zupełnie nieźle. Następnie wypchałem wnętrze wzgórz pozgniatanymi stronami gazety i przykleiłem jako całość do grubego kawałka bristolu. Gdy już całość dobrze wyschła i skleiła się, wziąłem się za malowanie: wiadomo, plakatówkami. Wzgórze zostało pomalowane zgodnie z tym, w jaki sposób zaznacza się wzgórza na mapach: wierzchołki wzgórz ciemnoczerwono, a im niżej tym jaśniej, aż do koloru jasno żółtego. Byłem bardzo dumny z moich górek. Wyszły świetnie, a na dodatek dostałem za tę pracę niezłą ocenę. Górek nie wyrzuciłem, za to pamiętam, że któregoś dnia przerobiłem je na zielony wzgórek posypany zielonym zabarwionym piaskiem; z patyków i poszarpanej gąbki zrobiłem drzewa i krzaki, na wzgórzu ustawiłem przechylony czołg (który wcześniej skleiłem z kompletu zakupionego w Harcerskim na Starym Mieście), dodałem parę elementów obrazujących zniszczenia, i zrobiłem w ten sposób coś w rodzaju wojennej makietki modelarskiej. Jeśli mnie pamięć nie myli, to było to chyba w piątej klasie podstawówki. Co do modelarstwa, to było ono moją pasją przez parę ładnych lat. Już wieki nie miałem jednak w ręku modeli do sklejania, choć czasem mnie korci, żeby do tego wrócić, i to na większą skale. Inna sprawa, że nie wiem, na ile by mi starczyło dziś cierpliwości" (mamut).

„Robiło się na ZPT również popielniczki (czasy się zmieniają, teraz staramy się oduczyć społeczeństwo od palenia, a wtedy...), szybki-tabliczki na informacje na drzwiach, np. nazwisko, nr. klasy itp.., a nawet radia. Niestety, po odejściu Serka zaszły niedobre zmiany. Narzędzia zostały albo zniszczone, albo ukradzione, albo zaniedbane. A przecież Serek miał tyle fajnych narzędzi: od ręcznych wiertarek, stacjonarnych wiertarek, po heble, dłuta, przecinaki, imadła itd.. Podobno sala od ZPT jest aktualnie świetlicą. Szkoda... Pamiętam jak Serek się o nią najpierw starał, a potem dbał. Gdy uznano, że ta sala może być używana do

zajęć klasowych, to Serek zmajstrował specjalne blaty, które były nakładane na te stoły stolarskie. Siadaliśmy wtedy po czterech-pięciu przy takim stole i można było sie uczyć. Ja miałem swój stolik tuż przy tablicy (podpadłem Serkowi raz czy dwa, to mnie tam usadził). Siedzieliśmy zawsze na stalowych taboretach z nogami zrobionymi z trzech prętów; niewygodne były, ale jakoś nikt nie narzekał. Gdy byliśmy ostatnią klasą tego dnia, to Serek zawsze nalegał, żeby postawić taborety do góry nogami na stołach" (mamut).

„Bardzo lubiłam zajęcia praktyczno-techniczne; do dziś lubię pomarzyć o szkolnym szyciu, dzierganiu, robieniu witraży, wyszywaniu, robieniu sałatek, i wielu innych czynnościach" (karolina).

Proca

Szpanerski (jak by się dziś powiedziało) przyrząd obronny i zaczepny. Przede wszystkim używany przez chłopaków, ale i dziewczęta nie gardziły procą.

Prystrom Bodzik

Mieszkał na Morskiej 4.

Prywatki

Imprezy potańcówkowe, zazwyczaj domowe, potem przeszły w dyskoteki. „Nikt z was do tej pory nie wspomniał o naszych dyskotekach przy jęczącym Grundigu, wzmacniaczu i jednej kolumnie. Oczywiście to wszystko w sali gimnastycznej przy świetle dziennym, co dobrze umożliwiało obserwacje, kto na której drabince wisi i kto kogo wstydzi się poprosić do tańca" (AD).

Przedszkole

Znajdowało się i znajduje na ulicy Rybaki 26, jest to Przedszkole Miejskie nr 2. Większość uczniów Siódemki zaliczała najpierw to równie świetne jak szkoła przedszkole. Przedszkole miało jednak pewne wady, mianowicie: mleko, bawarkę, zupy mleczne itp. „Budynek przedszkola powstał na pewno przed wojną. Była to willa jakiejś sławnej niemieckiej aktorki" (DD).

„Zasłynąłem w przedszkolu główną rolą Jasia w spektaklu «Na jagody» (na podstawie Marii Konopnickiej). Było to około 1961 roku, ale kto to może pamiętać?" (jd).

„Dziś zmieniło się w przedszkolu to, że dawniej z sal na parterze były wyjściowe drzwi balkonowe prosto na plac zabaw; dziś są tylko okna i to zakratowane, ale pewnie tak być musi. Poza tym za przedszkolem w stronę sklepu jest w miarę niedawno zbudowana willa, która znacznie zmniejszyła plac zabaw; jest ogromna, wymyślna i w stanie permanentnej rozbudowo-dobudowy; dość okropna i w ogóle tam nie pasująca" (jd).

„Mama odbierała nas i dzieciaki sąsiadów po południu z przedszkola. I w zimie to trochę potrwało aż wszyscy byli wreszcie ubrani w skafandry, kombinezony, szaliki, czapki i rękawiczki. Mój młodszy brat i ja byliśmy wcześniej gotowi i postanowiliśmy czas czekania skrócić jazdą na sankach z górki w kierunku Jeziora Długiego, ścieżką obok wejścia do przedszkola. Tylko że tam na samym środku stała i stoi spora sosna, którą koniecznie trzeba było minąć z prawej albo lewej strony. Śmigaliśmy z górki na koguta (ja na brzuchu na sankach, a brat na mnie na plecach). Sosnę udało się ominąć, ale płot nie. Zahaczyłem policzkiem o jakiś wystający drut... Nawet nic nie bolało, przynajmniej na początku. Wróciliśmy do wejścia i czekaliśmy na mamę. Gdy mnie zobaczyła, zbladła i od razu zabrała do przychodni (po drugiej stronie przedszkola), a potem taksówką do szpitala. Tam mnie zszyli i bliznę mam do dzisiaj. Aniołka miałem wtedy naprawdę nad sobą, bo kilka centymetrów wyżej i byłoby po lewym oku. W następnych dniach pytałem się mamy, czy o

tym coś w gazecie napisali. Nie napisali, a ja w moim wtedy 6-letnim umyśle nie mogłem zrozumieć, dlaczego takie wielkie wydarzenie nie zostało opisane w gazecie" (Fredek).

„Ważną do dziś instytucją przedszkolną jest leżakowanie. Jak oglądałem na moich już dzieciach przygotowania do leżakowania i wszystko, co z tym związane, byłem zachwycony i rozczulony. Ale ja w naszym przedszkolu na Rybakach nie znosiłem leżakowania i przez trzy lata nie zasnąłem na nim z jednym wyjątkiem. Gdy się obudziłem po tym wyjątkowym zaśnięciu, nie mogłem w ogóle się zorientować, co sie dzieje, gdzie jestem, co mnie otacza, jak tu trafiłem. Wszystko wydawało mi sie absurdalne i przerażające w swej niezrozumiałości, bo byłem przekonany, że człowiek, gdy się budzi, to jest poranek, a on znajduje się w swym domowym łóżku. Oczywiście to trwało pewnie ze dwie minuty i szybko doszedłem do siebie, ale te dwie minuty pamiętam do dziś dokładnie, bo poczułem sie wtedy tak, jakby zapanował kompletny kosmiczny chaos i bezsens, jakby się ziemia zaczęła osuwać i przestało być cokolwiek trwałego. Tym uważniej i już skutecznie pilnowałem się, by więcej na leżakowaniu nie zasnąć" (jd).

„Jeśli chodzi o przedszkole, to chodziłam jeden dzień. Odprowadziła mnie i mojego kolegę Marka Budnego moja babcia – udało jej się nas zostawić na cały dzień. Następnego dnia odprowadzała nas mama Marka, a my tak uczepiliśmy się jej spódnicy, że wróciliśmy do domu «na zawsze». Marka Mama nie pracowała, moja babcia z wykształcenia była przedszkolanką i gdy ja przyszłam na świat przestała pracować (pracowała ze mną i potem jeszcze moim bratem Januszem, trochę młodszym). Pamiętam panią Lucynkę, przedszkolankę, bo Babcia często ze mną zaglądała do znajomych po fachu. Wszystkich znała z branży przedszkolnej, bo tuż po wojnie organizowała parę przedszkoli na naszym terenie" (Iwona). „Iwona, zrobiłaś spory błąd unikając przedszkola (zapytaj Eli), na szczęście trafiłaś do Siódemki, więc prawie (!) wszystko nadrobiłaś" (jd).

„Może ktoś z Siódemkowiczów chodzących (lub nie chodzących) do przedszkola nr 2 na Rybakach wie coś o pomieszczeniu w narożniku przedszkolnego podwórka, najbliższego do jeziora. Było do niego wejście od strony skarpy przez dziurę w murze i była tam jakby piwnica, jakby schron. Nazywaliśmy to pomieszczenie bunkrem. W późniejszych latach wejście zamurowano, teraz nie ma śladu. Pamiętam, że tam właziłem, kierowany dziecięcą pasją poznawczą" (Zbyszek)

„Ja pamiętam papierowe czapki i kapcie; te ostatnie typowe na tamte lata, takie z gumką przy palcach" (LP)

„Też zaliczyłem to przedszkole na początku lat 70-tych. Kopa już lat uleciała, ale trochę pamiętam z tych czasów. Na przykład to, że w ogródku przedszkola były poustawiane stare łodzie, w których niejednokrotnie bawiliśmy się w kapitanów okrętów i w piratów. Była też jakaś stalowa konstrukcja przypominająca samolot. W ogródku stał również mały domek ze spadzistym daszkiem, oknami i drzwiami. Dzieci tam chętnie się bawiły. Kiedyś strasznie się przytrułem w przedszkolu czarnym bzem, który ja i paru moich kolegów zjedliśmy w sporej ilości. Zaczęliśmy wymiotować akurat w czasie pory obiadowej, co spowodowało niemalże reakcję łańcuchową wśród innych przedszkolaków. Panie przedszkolanki najadły się wtedy strachu, że wszystkie dzieci będą chore, że jakieś zbiorowe zatrucie, ale nas było tylko pięciu amatorów tego czarnego bzu. Pamiętam też, że dzieci miały poobiednie drzemki i ich specjalnie nie lubiłem, bo rzadko kiedy zasypiałem, za to strasznie się wtedy nudziłem. Z ciekawych rzeczy z przedszkola pamiętam małą windę, która z kuchni na parterze przewoziła na górę posiłki dla milusińskich. Było to świetnym pomysłem. Tylko pomyśleć, jaka byłaby to mordęga, gdyby codziennie nosić gary i talerze na górę i z powrotem. Pamiętam także, iż w przedszkolu uczyliśmy się różnych piosenek, jak np. «Ole ole Janko, klęknij na kolanko...», albo «Mam chusteczkę haftowaną, wszystkie cztery rogi...», lub też «Stary niedźwiedź mocno śpi...». Uczyłem się też tam tańca. Mam nawet parę zdjęć, jak tańczę walczyka lub krakowiaka z dziewczętami" (mamut).

„Byłem niedawno na terenie przedszkola i ze zdziwieniem stwierdziłem, że stoją tam jeszcze te metalowe samoloty, na których jako dziecko się bawiłem" (AD).

Przerwa

„Pół sekundy po dzwonku na przerwę tysiące szpilek wbija ci się w mózg, bębenki w uszach wyciągają niemożliwe gdziekolwiek indziej wydajności, całe ciało drga i wije się w coraz to innych rytmach atakujących cię fal dźwiękowych. Poza tym możesz dostać po głowie, złamać rękę albo nogę, urwać rękaw od fartuszka i mieć tysiące innych przygód. Tak zawsze było, jest i być musi. I to jest najgłębiej słusznie i uzasadnione potrzebami rozwoju psycho-fizycznego dzieciaczków szkolnych" (jd).

„Dokładnie tak było. Zawsze mnie doprowadzał do rozpaczy fakt, gdy nauczyciel czy nauczycielka mimo dzwonka nagle usadzała nas z powrotem w ławkach, twierdząc że jej lekcja się nie kończy, dopóki ona o tym nie zadecyduje. Szczyt okrucieństwa. Ach, to były czasy; ach, to były przerwy. Zwłaszcza jeśli to była ostatnia lekcja dnia, albo przynajmniej lekcja z Dragan lub Zerą. Dzwonek wtedy to było zbawienie" (mamut).

Przybory szkolne

„Oto moja nieco chaotyczna lista:

1. Linijka – długości zazwyczaj 25 cm, z reguły drewniana z metalową krawędzią tuż przy podziałce. Parę razy taką linijką zaliczyłem w dłoń od nauczycieli. Później zapanowały linijki plastikowe.

2. Gumka myszka – najlepiej taka sporej wielkości, sprzedawana niekiedy z plastikową obudową. Nazwa «myszka» pochodzi od niewielkiego nadruku na środku gumki w kształcie małej myszy. W końcu lat 70-tych albo na początku 80-tych pojawiło się trochę całkiem nowych przyborów szkolnych produkcji chińskiej, między innymi nieduże gumki zdobione z reguły jakąś maleńką ilustracją. Ścierały świetnie i rzadko kiedy robiły dziury w zeszytach, a do tego miały delikatny miły zapach.

3. Guma arabska – obrzydliwy klej o specyficznym zapachu. Kleił się do wszystkiego i zabarwiał na jasnobrązowy kolor, wymagał sporej precyzji przy klejeniu. Sprzedawany najczęściej w szklanej buteleczce zakończonej gumowym dzióbkiem.

4. Temperówka – prawie każdy nosił jakąś. Produkowano je w rożnych kształtach, kolorach itp. Ja nawet pamiętam takie, które kształtem przypominały gitarę, z żyletką pośrodku. Nacinało się nią bardziej niż temperowało czubek ołówka.

5. Ołówki techniczne – te używaliśmy w nieco późniejszej karierze ucznia; z reguły były polskiej lub czeskiej produkcji. Grafit był wprowadzany do wnętrza ołówka po zdjęciu przycisku, który zakończony był czymś w rodzaju czterech kolców, rozstawianych w czterech kierunkach pod tym samym kątem. Ta końcówka służyła za temperówkę do grafitu. Ołówki techniczne były głównie w czarnych lub rdzawo-pomarańczowych kolorach. Metalową rurkę tych ołówków używało się także jako urządzenie do zaczepnego dmuchania jakichś kulek (jarzębina albo zgryziony papier).

6. Cyrkle. Ten sprzęt był bardzo zróżnicowany. Ale też rzadko się zdarzało, aby jakiś dzieciak miał przyzwoity techniczny cyrkiel; głównie był to jeden masowo bity model z blachy, z otworem, w który wsuwało sie ołówek lub długopis i z czymś w rodzaju pokrętła, które pozwalało uzyskać określony promień koła. Bywały też świetne kreślarskie cyrkle.

7. Farby plakatowe. Z tymi zawsze był ubaw. Jak sie udało kupić dobrej jakości, świeże, niestwardniałe na kamień plakatówki, to malowanie było naprawdę dużą frajdą. Niestety, zdarzało się często, iż niezbyt szczelnie zamknięte opakowanie plakatówki zastygało w kolorowy popękany kamień. Wyduszenie koloru z tej twardej masy często doprowadzało mnie do istnej irytacji.

8. Blok rysunkowy – z reguły zawierał białe kartki, o ile się nie mylę formatu A4. Mieścił chyba 20 stron. Po wyrwaniu kilku stron blok rysunkowy zazwyczaj rozpadał się i każda kartka była oddzielna. Pierwsze bloki rysunkowe, które pamiętam, ozdobione chyba były na pierwszej stronie wizerunkiem bociana.

9. Papier kolorowy – był to taki nieduży bloczek wielokolorowego papieru, który używaliśmy do prac technicznych, dekoracji itp.

10. Gęsia skórka – pewnie starsza wiara z Siódemki pamiętać tego nie będzie, a był to swego czasu produkt wręcz rewolucyjny; akceptowany, o dziwo, nawet przez panią Borkowską, która przecież miała chyzia na punkcie prowadzenia zeszytów. Otóż specjalną białą taśmą zalepiało się błędy czy też plamy w zeszytach, i taśma ta nazywana była gęsią skórką, z tego oto powodu, iż jej powierzchnia przypominała gęsią skórkę. Dość dobrze się po niej pisało.

11. Dzienniczek ucznia lub też dziennik ocen – niewielki zeszycik z rubryczkami. Wpisywaliśmy na stronach przedmioty, natomiast nauczyciele wpisywali tam oceny i uwagi, te same, które były uwieczniane w dzienniku klasowym. Rodzice podpisywali się raz na jakiś czas obok ocen, aby potwierdzić, że uważnie obserwują postępy nauki pociech lub też postępów tych brak. To samo dotyczyło uwag, które rzadko kiedy bywały pochwalne, aczkolwiek i to się potrafiło zdarzyć. Żałuję, że żaden z moich dzienniczków nie przetrwał.

12. Kredki – o te nigdy nie było trudno, i nawet w najtrudniejszych czasach końca lat 70-tych i początku 80-tych na półkach sklepowych ich nie brakowało. Najczęściej sprzedawane były w sztywnych płaskich kartonikach, a czasem w stalowych pudełeczkach z wieczkiem. Były wymagane na wielu lekcjach: na biologii, geografii i oczywiście na plastyce. Uwielbiałem kredki nawet jeśli chodziło tylko o niewielkie kolorowanie. A propos biologii: pamiętacie, że musieliśmy u Ekier kolorować odbite w zeszycie kopie zwierząt, ptaków czy też organów ludzkich lub zwierzęcych, co zresztą było prawdziwą frajdą?

13. Wkłady do długopisów. Na początku mojej kariery długopisowej wkłady były zazwyczaj w cieniutkich plastikowych przezroczystych rurkach, zakończonych stalową tulejką z kulką na końcu. Każdy zresztą przecież zna budowę długopisu. Gdzieś w 1/3 długości wkładu było nieduże zgniecenie rurki, które zatrzymywało sprężynkę długopisu od dalszego zsuwania się. Dziś jeszcze można spotkać te modele, aczkolwiek powoli stają się przeżytkiem, i to niezależnie od tego, że koncept długopisu jest ciągle ten sam.

14. Ekierka, no i kątomierz półokrągły 180-stopniowy.

15. Liczydła. Jeszcze za moich wcześniutkich szkolnych lat były w użyciu. Z reguły miały czarne, drewniane lub metalowe, krążki na grubych drutach.

16. Tornistry. Być może najważniejszy element szkolnego wyposażenia. Niejeden kilogram książek, pomocy szkolnych, a także kanapek zawiniętych w papier śniadaniowy lub owoców w papierowych torebkach, tachaliśmy z domu do szkoły i z powrotem. No może kanapek z reguły się nie tachało z powrotem do domu. Za moich czasów tornistry jeszcze były standardem (potem wypieranym przez plecaki). Pamiętam, że mój był zrobiony z tak zwanego skaju, z czerwonym odblaskowym zapięciem-zatrzaskiem. Później tornistry miały tych światełek odblaskowych więcej, co zresztą było mądrą rzeczą i pewnie niejednemu dziecku te światełka życie uratowały, zwłaszcza na wiejskich drogach. Pamiętam, że mieliśmy kogoś w klasie, kto jako jedyny miał wspaniały tornister de lux, zrobiony ze świńskiej skóry, ale nie pamiętam kto to był.

17. Obsadka + stalówka. Ja jeszcze zdążyłem w pierwszej klasie, może nawet w drugiej, używać tego legendarnego sprzętu.

18. Bibuła. Zazwyczaj dołączona do nowego zeszytu. Jak pamiętamy, «spijała» atrament jak szalona, choć plamy niestety zostawały w zeszycie.

19. Kałamarz. Za moich czasów miało się kałamarze z atramentem w domu, ale nie zabierało się ich do szkoły. Pamiętam jednak ławki z dziurami na kałamarze.

20. Okładki na zeszyty i książki. Na początku był to po prostu szary papier, który wymagał zdobycia umiejętności jego składania tak, aby ładnie i estetycznie owinął zeszyt lub książkę. Później było kilka rożnych papierów do okładania zeszytów, niektóre trochę porowate, zarówno jednokolorowe, jak i wzorzyste, z tym że te wzory były najczęściej roślinne. Następnie nastała era okładek plastikowych: na zeszyty były bardzo wygodne i łatwodostępne, natomiast z plastikowym okładkami na podręczniki było trudniej, choć i te się zdarzały. Podręczniki często przechodziły z rąk do rąk, więc nauczyciele wymagali, aby były czyste, niepopisane i niepomazane. Pod koniec roku szkolnego z reguły siedziałem z gumką i wycierałem co niektóre podręczniki ze śladów ołówka.

21. Nożyczki. Szkolne nożyczki były beznadziejne – tępe, niewygodne i nieestetyczne; miały zaokrąglone czuby, aby się nikt nie skaleczył.

22. Tarcze szkolne. Kiedyś bardzo rygorystycznie przestrzegany szkolny wymóg. Każdy mundurek musiał być nią ozdobiony. Później, gdy mundurki wyszły z mody, tarcze przyszywało się do kurtek, swetrów lub koszul. Niektórzy przypinali je sprytnie agrafkami, ale to nie było mile widziane przez nauczycieli. Tarcze na gumkach też nie zdawały egzaminu" (mamut, z uzupełnieniami WSKH i Zbyszka).

Przychodnia

W budynku przedszkola. Leczyło się w niej całe osiedle. Pracowała tam między innymi mama Winicjusza Parysa.

Przystań

Restauracja nad Jeziorem Krzywym, w miejscu dawnego kąpieliska „Budowlanych". Bardzo nastrojowa, elegancka i szpanerska. To w niej odbywał się bankiet jubileuszowy Siódemki.

Psy

Nic wspólnego z milicją, policja, Lindą i Pazurą. Psy były w okolicach Siódemki powszechnie posiadane i były prawdziwymi przyjaciółmi człowieka, a szczególnie dzieci.

„Miałem dwa: pierwszy nazywał się Pluto i marnie skończył (dostał się przez niedomknięte drzwi do piwnicy i zjadł trutkę na szczury). Drugi to Cedro – czarne bydlę, znane wszystkim, którzy przechodzili w okolicach skrzyżowania Alei Przyjaciół i Rybaków. Cedro miał swój charakter (miał na łapie bliznę po spotkaniu w lesie z dzikiem). Lubił polować na koty, puszczać się na kilkudniowe wypady «na suczki», potrafił zjeść kiszkę kaszanki w 10 sekund, lubił też chodzić na żebry o kanapkę na przerwę do szkoły. Cenił również bardzo wypady do lasu. Nie cierpiał natomiast wody (mój brat wyciągnął go kiedyś jako szczeniaka na środek Żbika, no i piesek się wystraszył na całe życie), ludzi w mundurach, hycli i kilku sąsiadów. Żył do starości. Jedną z jego rozrywek było wygrzewanie się na asfalcie na środku ulicy. Przepraszam, że tu tyle piszę o psach, ale niedawno zdałem sobie sprawę, że te kundle znad Jeziora Długiego również tworzyły klimat osiedla. Dzisiaj jadąc Aleją Przyjaciół widzę kilkanaście zaparkowanych na ulicy samochodów i może jednego, spacerującego z panią, pieska. Trzydzieści lat temu, idąc od tramwaju do szkoły, mijało się kilkanaście kundli i może jedno auto. Epoka piesków ulicznych to też już historia" (DD). „Cedro to było duże psisko. Złapał mnie nawet raz za rękę, ale niegroźnie. Danek, kiedy o nim napisałeś, to tak, jakby się znowu jakiś zamknięty pokój otworzył. Znowu wróciło parę wspomnień" (ak).

„Znanym psem był też Bobik. Nie jestem pewien, czy jego właścicielem był pan Brzozowski (Filut) czy pani Sitnik (Ziuta). Chodził na małych krótkich nóżkach i kiwał się na boki, bo z wiekiem przybywało mu masy" (WSKH).

Ptasie mleczko

„Ptasie Mleczko, czy coś to wam mówi? Ja po prostu za nim przepadałem, mogłem zjeść paczkę za jednym posiedzeniem, a w paczce było chyba sto sztuk" (mamut).

Pudełko po butach

Bardzo ważny przyrząd w domu. Trzymało się w nim stare zdjęcia, ale również zabawki, narzędzia i jeszcze inne rzeczy, i właściwie każdy dom i każda rodzina miała w temacie pudełka na buty swoje tradycje.

R

Radar

Tygodnik młodzieżowy, kiedyś dość popularny i uchodzący za nowoczesny. „Czytało się «Radar», przede wszystkim dlatego, że było tam trochę tekstów piosenek na ostatniej stronie" (Zbyszek).

Radio

Zanim nastała telewizja było radio, i to ono było przez długi czas naszym oknem na świat.

„Miałem kiedyś w domu, jak pewnie cała wtedy ulica, radio przewodowe, czyli drut + głośnik. Był tam jeden program, na stałe; można było włączyć i wyłączyć, zrobić głośniej, ciszej, i to wszystko. Podłączyłem sobie do niego słuchawki, zdobyte w telekomunikacji, i słuchałem nie przeszkadzając w ten sposób innym" (Zbyszek).

„A pamiętacie jedyną muzyczną stację, której się wtedy słuchało? To było... Radio Luksemburg! W czasach, gdy na jedynie słusznym pierwszym programie PR na falach długich śpiewało Mazowsze, Fogg itd. A robiliście na pracach ręcznych radio u Serafina? To były dwie deszczułki umocowane jedna przy drugiej z nawiniętymi uzwojeniami. Pamiętam, że jednemu z kolegów zadziałało nawet, coś tam było słychać!" (WSKH). „Oj, i ja to pamiętam. Chodziło się, szukało w sklepie elektronicznym jakichś diod, aby to mogło grać. Potem metry tego drutu się zwijało cieniutko i ciaśniutko. Detali nie pamiętam, ale pamiętam, że zawsze takie radyjko podłączane było do szyny od firanek w klasie Serka; ta szyna robiła za antenę. Moje radio odrobinkę rzęziło, ale trudno to było nazwać graniem" (mamut).

„U mnie było radio z zielonym okiem magnetycznym" (nat). „U mnie takie radio przewodowe, o którym pisze Zbyszek było pod koniec lat pięćdziesiątych. Ledwo je pamiętam, ale pamiętam. A potem już było to lampowe z zielonym okiem. Do dziś pamiętam ulubioną na początku lat 60-tych audycję mojej rodziny: «Wędrówki muzyczne po kraju». Puszczali tam przede wszystkim Mazowsze, Śląsk i ludowe przyśpiewki. Nie znosiłem tego, ale dziś na wspomnienie czuła łza kręci mi się w oku. W moich trochę późniejszych młodych latach ogromną furorę robił «Podwieczorek przy mikrofonie», a jeszcze później «Popołudnie z młodością»" (jd).

„Był czas, gdy wszyscy słuchali «60 minut na godzinę»" (LP). „Potem zaś była «Powtórka z rozrywki, z rozrywki powtórka, słuchają jej biura, słuchają podwórka...». Uwielbiałem opowiadania Marcina Wolskiego; nie raz się uśmiałem do bólu" (mamut). „A wcześniej, gdy byliście szkrabami, było coś jeszcze lepszego na Trójce: «Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy» (ITR)" (jd). „Było najpierw ITR, potem IMA (Ilustrowany Magazyn Autorów), a potem «60 minut na godzinę»" (Zbyszek).

„Uwielbiałem słuchać radia. Gdy byłem bardzo mały, to słuchałem o siódmej wieczorem audycji «Radio Dzieciom». Zdaje się, że to był Program I; świetne to były bajki i niezły ubaw. Później słuchałem «60 minut na godzinę», wspomnianą «Powtórkę z rozrywki»,

jeszcze później jakieś tam kryminałki w stylu radiowego wydania teatru «Kobra», no i oczywiście «Lato z radiem» co lato" (mamut).

„Nie miałem takiego «kołchoźnika», o którym pisał Zbyszek, ale w sąsiednim domu (pod 25) było toto zainstalowane. U nas grało zielonookie radio marki Strassfurt z tych ówcześnie dobrych Niemiec, vel NRD-ówka. Miało tę zaletę, że posiadało wszystkie pasma częstotliwości, z pełnymi krótkimi, co zapewniało dostęp do różnorakich źródeł informacji, także z tych ówcześnie złych Niemiec" (ak).

Radziunowie

Staś, Bogusia, Zdzisiek (zwany Dzidźkiem) i Jurek (zwany Szczurem). Mieszkali na Alei Przyjaciół 38, na samej górze. Ich ojciec utopił się w Jeziorze Długim, przez głupotę i wódeczkę. Cała dzielnica obserwowała z bólem poszukiwania jego ciała. „Było wtedy dużo strażaków, wojska i ktoś puścił na wodę chleb ze świeczką" (LP). Mama Radziunowa była chyba siostrą mamy Kierkiewiczowej. Z Bogusią do dziś widuje się Bożenna.

Rajd Monte Carlo

„Gdzieś na przełomie lat 60-tych i 70-tych trasa Rajdu Monte Carlo wiodła również przez Olsztyn. Zawodnicy wyjeżdżali z Olsztyna szosą na Morąg, a ponieważ ulica Bałtycka była akurat w remoncie (na wysokości dzisiejszego Elektronika), to cała ekipa przejechała kawałkiem Alei Przyjaciół, Morską i kawałkiem ulicy Rybaki. Ja wraz z kolegami usadowiłem się na wylocie Morskiej na górce «Zając», i podziwialiśmy wszystkie samochody. Nie muszę dodawać, że byliśmy niezmiernie podnieceni i dumni, że Rajd Monte Carlo wiedzie naszymi ulicami" (DD).

Rajstopy

Mawiało się na to także „rajtuzy". „Pamiętam, iż spora część chłopców nosiła w przedszkolu coś w rodzaju właśnie rajstop. Później, gdy odrobinę podrośli, nie było już mowy o nałożeniu tych rajstop, ponieważ to «tylko dziewczyny chodzą w rajstopach», i żadna siła na tej ziemi nie była w stanie zmusić na przykład mnie do ich założenia. Nawet prawdziwie męskie kalesony stały się dla mnie przez to znienawidzoną częścią garderoby. Minęły długie lata zanim zdecydowałem się coś takiego na tyłek nałożyć, i bardzo je wtedy doceniłem (mam na myśli kalesony, nie rajstopy). Cóż, człowiek mądrzeje (w zasadzie) z wiekiem" (mamut).

„Chłopcy w tych rajstopkach rzeczywiście wyglądali satyrycznie, ale wtedy niewiele wszyscy mieliśmy do powiedzenia w zakresie ubioru" (nat).

„Chłopcy w przedszkolu wyglądali w tych rajstopkach jak męskie baletnice z Teatru Bolszoj. Więc oczywiście każdy chłopak bronił sie przed założeniem tego" (Fredek).

Raksimowiczowie

„Mieszkali w tym samym domu, co pani Ciołkowska, czyli w nauczycielskim, zaraz przy szkole. Moja mama znała i pamięta syna Julii Raksimowicz – Rajmunda. Ja znałam Julię, bo przychodziła często do mojej babci. Rajmund Raksimowicz, gdy już studiował w Warszawie archeologię, to wyjechał na kilka dni na obóz wojskowy do Mrągowa. Tam z kolegami którejś nocy «pożyczyli» czołg i wyjechali nim na miasto. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że wjechali w jakąś uliczkę, z której niestety nie mogli już wyjechać. Na dodatek skądś wytrzasnęli szkielet ludzki (wiecie, taki używany na lekcjach biologii) i go w tym czołgu zostawili. Wyobrażacie sobie, jaka potem była afera. Rajmund prawie że wyleciał z uniwerku, był przed sądem wojskowym itp. itd. Dzisiaj Rajmund chyba nadal mieszka na Bursztynowej; tam jemu i jego bratu Maurycemu ich ojciec Józef wybudował dom" (mr).

Rasteńscy

Właściciele pierwszej nowoczesnej willi w okolicy Jeziora Długiego. Powstała ta willa chyba w połowie lat 60-tych i ma adres Aleja Przyjaciół 1. Trzeba przyznać, że dość szybko została zaakceptowana i wpisała się w atmosferę dzielnicy. Na placyku przy Rasteńskich był ważny punkt zborny podwórkowych grup towarzyskich.

„Willa Rasteńskiego faktycznie była pierwsza z nowych domów na osiedlu. Nowych, to znaczy takich, jakie budowano później na Bursztynowej, Koralowej, Al. Róż, częściowo na Rybakach" (WSKH).

„Po śmierci Rasteńskiego dom został sprzedany nowym właścicielom, których jednak nie znam nawet z widzenia" (Zbyszek).

Redykajny

„Namawiam do odwiedzenia miejsca, gdzie dzisiaj byłem na spacerze z dzieciakami. Nic się tam nie zmieniło od 30 lat. To najbardziej dzikie miejsce, jakie znam w odległości kilku kilometrów od Jeziora Długiego. Chodzi o wąwóz koło wsi Redykajny. Trzeba iść prawym brzegiem Łyny 300 m. za mostem. Jako chłopakowi kojarzyło mi się to miejsce z książką «Łowcy Wilków». Dziś byłem znowu tym samym chłopakiem, co w latach siódemkowania. Miejsce super, a najważniejsze, że na moich dzieciakach zrobiło równie wielkie wrażenie" (DD).

Rek Irek

Kolega z klasy DD i T.B.

„Od szóstej klasy za gadulstwo musiałam siedzieć z Irkiem w jednej ławce, w środkowym rzędzie, przeznaczonym dla samych chłopców! Ach, jaka to była kara! Potem cztery lata w LO 2 też przesiedzieliśmy razem" (T.B.).

„Kilka lat temu Irek był szefem Urzędu Pracy (lub coś koło tego). Ja go pamiętam z zupełnie innej beczki. W podstawówce był jeden sezon całkiem poważnej wojny pomiędzy Osiedlem nad Jeziorem Długim, a tak zwanym «Złodziejowem» (to domki przy ulicach o kolorowych nazwach: Biała, Różowa...). Kilkudziesięciu chłopaków całkiem poważnie tłukło się na wyznaczonym terenie nad Jeziorem Likuskim. Irek i ja byliśmy we wrogich obozach. Walka była z zasadami (nie wolno było mieć proc). Na moje nieszczęście dostałem się do niewoli; Irek mnie pilnował, a w pewnym momencie mówi: Danek, schowaj procę, bo ci z nogawki wystaje! Były to duże bitwy, ale co najważniejsze nie przenosiły się na teren osiedla i szkoły. To były czasy, gdy czuliśmy się na naszym osiedlu całkiem bezpiecznie i swojsko (oberwać można było dopiero na terenie SP 14, czyli za tunelem)" (DD).

Religia

„Pierwsze lekcje religii miałem w wieży katedry. Bardzo lubiłem włazić po tych wąskich schodkach na górę. Potem, sam nie wiem z jakiego powodu, przeniesiono nas na lekcje do Garnizonowego. Nie na długo, na dwa, może trzy lata, a później znów wróciliśmy do katedry, ale już nie do budynku kościoła, tylko na dół, do kurii. Pamiętam jak często w Garnizonowym czekaliśmy na zewnątrz na księdza. Czasami nudząc się biegaliśmy wokół budynku. Jedna z dziewcząt skakała kiedyś na klapie od włazu na węgiel i koks, no i właz puścił. Dziewczyna z krzykiem wpadła do wnętrza wlotu. Wyciągali ją stamtąd umorusaną i poobijaną, ale bardziej ucierpiała jej duma niż ciało. Cała klasa religii ryczała ze śmiechu, ksiądz też, mimo iż próbował utrzymać surowa minę" (mamut).

„Ja prawie cały czas chodziłem na religię do Garnizonowego. Stary ksiądz Galeza był strasznie konserwatywny. Był też wtedy taki młody ksiądz, który jak na tamte czasy miał poglądy niemal rewolucyjne. Do katedry chodziliśmy dopiero chyba w siódmej i ósmej klasie na naukę przed bierzmowaniem" (Fredek).

„U mnie religia w pierwszej i drugiej klasie była w szkole, z panią katechetką. W następnych klasach chodziliśmy już do katedry do księdza Wojtunika; w ostatnich klasach zajęcia odbywały się w sali na ulicy Szrajbera" (Iwona).

Resoraki

Maleńkie metalowe modele samochodów, uwielbiane prze chłopaków z młodszych klas, choć klasy starsze też nie pogardziły dobrym resorakiem.

„Bardzo dawno temu Jurek Lewandowski dostał chyba pierwszego na Alei Przyjaciół resoraka albo inaczej żelaźniaka (bo i tak się kiedyś nazywało autka metalowe). Było to wielkie wydarzenie, bo ten samochodzik bardzo dużo potrafił. Otwierały się w nim drzwi i klapy, mało tego – miał jakieś osłony, które wychodziły z przodu i z tyłu, jak gdyby ochrony kuloodporne. Pamiętam zgromadzenia chłopaków przed domem Alei Przyjaciół 32 z powodu tej zabawki. Nieco później ja i Mirek Chłopik przychodziliśmy do Krzyśka, siostrzeńca Jurka Lewandowskiego, pobawić się (miał wtedy białe, chyba kręcone włosy), ale ten żelaźniak, choć ciągle istniał, był już wtedy tylko wrakiem" (LP).

„Resorak opisywany przez Leszka należał od pewnego momentu do mnie. Miałem nieprawdopodobną satysfakcję, kiedy koledzy Jurka L. (brata mojej mamy, starszego ode mnie o ponad 10 lat) oglądali go z dużym znawstwem i niekłamanym zachwytem. Niedługo potem, około roku 1974, narodził się sport uprawiany przez nas potem jeszcze z dziesięć lat, czyli wyścigi resoraków. Najlepsze warunki były u Mirka Chłopika i u mnie. Domy nasze stały bowiem na sporej skarpie, a wzdłuż nich, przez całą długość ciągnęły się betonowe odpływy deszczówki. Takie rynny. W nich to odbywały się najprawdziwsze zawody. Najszybszy na dzielnicy był Matchbox Piotrka T. Do dziś go dokładnie pamiętam, był seledynowy. Potem wprowadziliśmy specjalny nowy paragraf do regulaminu zawodów, żeby go do wyścigów nie dopuszczać" (Krzysiek).

Richardson Magda

Czyli mr (także mr2 i mags). Chodziła do Siódemki w latach 1978-85, mieszkała u dziadków (Tęgowskich) na Al. Przyjaciół 39. W 1985, po śmierci dziadków, wyjechała do Londynu i tam teraz mieszka. Oto jej parę słów o sobie: „Pracuję jako analityk w Moody's (rating agency – nie wiem jak to się po polsku nazywa). Mam za sobą studia z ekonomii finansowej, czyli wszystkie te paskudztwa jak matematyka, ekonometria, micro & macro ekonomia, statystyka itp., itd. Dzieci nie mam, męża też nie. W zeszłym roku po siedmiu latach rozeszłam się ze swoim chłopakiem. Mieszkam w Docklands (dzielnica Londynu) w przerobionym kościele. Tak, tak, dobrze przeczytaliście. Tutejszy naród, raczej pogański, do kościołów nieczęsto chodzi, więc kościoły są sprzedawane i najczęściej przerabiane na mieszkania. Moody's to instytucja, która nadaje firmom, projektom, krajom tak zwane credit rating na podstawie ich finansowych danych. Na podstawie kodu, jaki my nadajemy wiesz, czy inwestycja w dany projekt lub firmę ma sens, czy też nie, jakie jest prawdopodobieństwo, że nic na swojej inwestycji nie zarobisz itp., itd... Moody's ratings są rozpoznawane na całym świecie ". Jednak ostatnio (rok 2005) mr zmieniła pracę i – jak pisze – „trochę życie prywatne".

„Wyjechałam z Olsztyna w siodmej klasie i od tego czasu mieszkam cały czas w Londynie. Załatwianie wszystkich formalności dla mnie zajęło parę lat, bo mama wszystko załatwiala legalnie. Ostatni raz byłam w Olsztynie na weekend w 1996 roku. A oto co mama mi przed chwilą opowiedziała o swoich latach szkolnych: do I-szej klasy chodziłam na Wyzwolenia. Nikt litości wtedy nie miał nad 7-letnim dzieckiem i zasuwałam całą tę drogę pod gorkę lub jeździłam tramwajem. Do II-giej klasy chodziłam na Bałtycką, tam przy poczcie. Do III i IV klasy w pobliżu planetarium, gdzieś przy sadach. Potem otworzyli wreszcie Siódemkę, i tam chodziłam od V do VII klasy, ale w międzyczasie 7-kę remontowali

i chodziliśmy po południu do tej nowej szkoly przy Dworcu Zachodnim (mama z pewnością ma na myśli 14-kę)" (mr).

Rocznica Rewolucji Październikowej

„Świętowano ją w auli szkolnej w dniu 7 listopada. To nie był niestety dzień wolny od szkoły" (WSKH).

„W związku ze świętem 7 listopada, to pamiętam taki fajny plakat na betonowym słupie na Bałtyckiej. Wydrukowane tam było «60 lat ZSRR», a ręcznie ktoś dopisał «i chwatit». Drugi plakat zatytułowany «Lenin w październiku» doczekał sie dopisku «koty w marcu». To były święta na miarę tamtych czasów" (ak).

„Tak, nie było mowy, żeby przegapić tę rocznicę. Z reguły w okresie tym zapychano telewizję filmami typu «Biały żagiel» czy coś w tym stylu z rewolucyjnym podtekstem. A ruskie naprodukowały przecież tego tony. Już nie będę wspominał o serialach czy filmach wojennych typu «Siedemnaście mgnień wiosny», «Lecą żurawie», «Moskwa nie płacze», «Opowieść o prawdziwym człowieku» itp. Czy się chciało, czy nie chciało, to czasem coś takiego z nudów się obejrzało. Nieco później pojawiło sie również inne kino rosyjskie, bardziej sensacyjne i odbiegające od tematów wojennych, ale praktyczne nigdy nie zatracało ono swej polityczności, i to nawet w niektórych produkcjach dla dzieci" (mamut).

„Ale najwspanialsze w tym dniu było deklamowanie przez uczniów wierszy rosyjskich na akademiach. Ja z rosyjskiego najwięcej, co osiągnąłem to było 2+, więc chyba dlatego ta przyjemność jakoś mnie ominęła" (WSKH).

Rocznik 1965/66 (a trochę 1966/67)

Rocznik szczególny, bo ostatni, który kończył podstawówkę 7-klasową (wychowawczynią była pani Elżbieta Kraszewska). Było to zresztą jeszcze bardziej skomlikowane: „Dzieci urodzone do czerwca mogły skonczyć szkołę podstawową 7-klasową (i to był rocznik 1965/66), a urodzone w drugiej połowie roku musiały uczyć się jeszcze rok w podstawówce, już w klasie ósmej (i to był rocznik 1966/67). Nie było też wtedy naboru do ogólniaków" (Iwona).

Oto skład rocznika 1965/1966, pełna lista absolwentów (największą zasługę w jej odtworzeniu ma gaga):

1. Ankudowicz Waldemar
2. Bujło Grażyna
3. Czasnojć Andrzej
4. Czech Waldemar
5. Duszyńska Irena
6. Fiedorowicz Zdzisław
7. Gaca Jerzy
8. Jabłońska Maria
9. Jastrzębska Agnieszka
10. Karmowski Jacek
11. Kirkiewicz Elżbieta
12. Konicz Jerzy
13. Kruszewski Stanisław
14. Kulecka Wacława
15. Mączyński Kazimierz
16. Mączyński Ryszard
17. Mituniewicz Waldemar
18. Murawska Krystyna
19. Nerozoska Dorota

20. Potocka Bożena
21. Prokopowicz Mirosław
22. Rutkiewicz Juliusz
23. Staszewska Anna
24. Stolarczyk Andrzej
25. Sułecka Wanda
26. Wardaszko Mirosław
27. Wielechowska Danuta
28. Więckowski Edward
29. Więckowski Tadeusz
30. Wilk Halina
31. Wróblewski Wojciech
32. Zmitrowicz Lucyna
33. Zmysłowski Wiesław
34. Żelenis Tadeusz.

Rogowska Helena

Koleżanka nat; mieszkała na Bałtyckiej, blisko Urszuli Malińskiej, Fredka, mamuta i Iwony.

Romanowska Grażyna

Czyli słynna „Zuza", koleżanka T.B. Odbywały się u niej jedne z pierwszych prywatek przy adapterze „Bambino". Grażyna miała młodszą siostrę Małgosię, z którą chodził przez osiem lat do Siódemki LP. Prywatki u sióstr Romanowskich były słynne nawet poza obrębem Likus i Jeziora Długiego.

Romanowski K.

Kolega mamuta; mieszkał mniej więcej w połowie ulicy Różowej. „On miał chyba ksywkę «Zezul», za sprawą okularów" (AD).

Rowery

Posiadanie roweru to było kiedyś może nie to, co dziś posiadanie samochodu, ale coś z tych okolic. Rower był nietani na ówczesne kieszenie, a i ich dostępność w sklepach bywała mocno ograniczona. Gdy więc już ktoś miał rower, to hołubił go i doglądał nadzwyczaj.

„Około roku 1960 (był taki, prawie to pamiętam) mój ojciec jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, który się już więcej nie powtórzył, wyjechał na kilka dni służbowo do Belgii. Przywiózł stamtąd swemu drogiemu i jedynemu maleństwu płci męskiej rowerek. Rowerek był śliczny. Maleńki, bo dla maleńkiego dziecka, i bardzo kolorowy, a przede wszystkim miał niespotykane wówczas grube i (chyba) białe opony. W tamtych czasach jeśli ktoś miał rower, to był on standardowy, nie nazywał się Bobo, ale w takim był stylu, i występował w dwóch kolorach: szarozielonym i szaroniebieskim. Gdy wychodziłem więc pojeździć swoim rowerkiem belgijskim, natychmiast zjawiał się jakiś 20-osobowy tłum dzieciaków i każde chciało oczywiście się przejechać, a ja ceniąc sobie ich zainteresowanie nie żałowałem. To przejeżdżanie trwało z godzinę i uczestniczyły w nim także osobniki, które gdy siadały na rowerku, to kolana miały wyżej uszu. Gdy wreszcie wszystko się odbyło i ja mogłem pojeździć, to z jednej strony byłem zadowolony, że wreszcie jeżdżę, ale z drugiej rozpoczynały się moje kolejne kłopoty. Ci co mieli rowery, wsiadali na te swoje Boba i odjeżdżali mi, ja zaś bezradnie ich goniłem. Bezradnie, bo śliczny belgijski rower miał koła o dobrą połowę mniejsze od zwykłego rowerka polskiego, więc byłem bez żadnych szans w wyścigach, przejażdżkach i innych rowerowych przedsięwzięciach. W sumie zazdrościłem po

cichu wszystkim tych zwykłych rowerków i była w tym głęboka sprawiedliwość dziejowa. Gdy wyjeżdżałem z Olsztyna rowerek komuś został odsprzedany, ale nie mam pojęcia komu" (jd).

„Ja przeżyłem podobną historię z rowerem marki Sprint. Był to jeden z pierwszych rowerów młodzieżowych z przerzutkami. Wszyscy chcieli jeździć i tylko zmieniali biegi, jedynie jakimś cudem nic się nie zepsuło. Wydaje mi się, że tym rowerem jeździłem trzy lata, a później zamieniłem go na składaka. Składaka ukradli. I tak skończyła się moja kadencja rowerzysty, a nastała era auto-mechanicznych wynalazków" (LP).

„Mój pierwszy rower to był tzw. Polo-lux. Kupiłam go sobie za komunijne pieniążki. Miał dużą wykrzywioną kierownicę i długie, bardzo długie siodełko. Robiłam na tym rowerze najróżniejsze ewolucje do momentu, kiedy zachciało mi się zjechać po schodach obok sklepu spożywczego. Tam nastąpiła masakra, bo złamałam widełki, i koło pojechało do przodu, a ja wylądowałam na schodach" (karolina).

„Moim pierwszym rowerem niedługo się nacieszyłem, bo mi go pociągnęli przy Samie na Jeziornej, ale nie było czego żałować, bo to było cholerstwo składane, chyba robione pod malucha" (Oczoper).

„Ja też miałem Polo (Polo-lux, z trzema przerzutkami w torpedzie); to był całkiem ładny rower. Te długie siodło (niezbyt wprawdzie wygodne), niklowane krótkie błotniki... Zauważyliście, że wraca moda na takie rowery? W Arpisie stoi właśnie Giant w takim stylu (ponad 3 tysiące zł.!). Ale przed tym Polo miałem, jak chyba wszyscy, Żabę. To wyglądało jak motor żużlowy. Miałem też NRD-owską hulajnogę. Była przepiękna, w kolorze mosiądzu, z siodełkiem i dwoma hamulcami, no i białe opony. Gdy już miałem Polo, poszedłem kiedyś do cyrku z mamą (tam gdzie był dawniej Tramp). Były pokazy akrobatycznej jazdy na rowerze, popisy z ogniem, i takie tam inne, jak to zwykle w cyrku. Po powrocie diabeł (bo kto mógł być to inny) podszepnął mi pewien «wspaniały» pomysł. Rower pewnego łatwowiernego kolegi został owinięty deficytowym papierem toaletowym, następnie podpaliłem go z tyłu, a koleś ruszył. Był wieczór, i im bardziej rower płonął, tym koleś szybciej jechał! A im szybciej jechał, tym większy był płomień..." (miki).

„Ja też miałem Polo-luxa. Legendarny rower. Chyba od razu po pierwszym tygodniu pękła mi w nim rama. Ojciec przyspawał taką trójkątną podpórkę, i od tego czasu, każde schody, czy w dół, czy w górę, pokonywałem jak po maśle (szczególnie te koło Samu na Jeziornej, bo tam chyba najchętniej sobie skakałem po schodkach). Przednie koło trzeba było przed skokiem trochę podrzucić w górę i wszędzie dawało się wjechać. Kiedyś przed kolejnym wyjazdem zostawiłem Polo-luxa na klatce schodowej w bloku (przed piwnicą) na jakiś kwadrans, no i niestety Polo-lux zniknął. Rozpacz była wielka. Następnego ranka (ciągle zrozpaczony) szedłem do Samu na poranne zakupy, a tu na Bałtyckiej jedzie facet na moim rowerze (poznanym po przyspawanym trójkątnym wzmocnieniu). Facet powiedział, że znalazł rower nad Krzywym, gdzieś w krzakach, i właśnie chce go odwieźć na milicję. No i oddał mi ukochanego Polo-luxa. Potem go sprzedałem, a za uzyskane pieniądze kupiłem scyzoryk, który mam do dziś, i gdy go używam, to przypominam sobie mojego wspaniałego Polo-luxa" (Fredek).

Rowniak Andrzej

Rożnowscy

„Mieszkali za Kierkiewiczami w stronę szkoły, Aleja Przyjaciół chyba 37. Stary Rożnowski był lekarzem; byli bogaci, nawet mieli służącą. Był tam chłopak Janusz i dziewczyna Ania. Na co dzień nie zadawali się z nami za bardzo, ale byli sympatyczni. Kiedyś Janusz podłączył w garażu do wzmacniaczy dwie gitary elektryczne (tak, tak – miał wzmacniacz i gitary) i pół godziny z kolegą pobrzdąkali dla całej ulicy. Było zachwycająco,

jakby Beatlesi przyjechali na Aleję Przyjaciół. Anię poznałem później podczas licznych podróży na trasie Olsztyn-Warszawa, nawet zaprosiła mnie do domu na herbatę; było bardzo elegancko i niemal arystokratycznie, ale jej bratu (temu od gitary) przytrafiło się straszne nieszczęście. Pojechał do Ameryki i tam się utopił w basenie" (jd).

Z Januszem chodziła do klasy Iwona.

Różowicz Marcin

Mieszkał w budynku naprzeciw szkoły.

Ruczyńska Urszula

Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T.

Rura

„Na końcu górki-uliczki od biblioteki w stronę Jeziora Długiego był malutki półwysep, po którym dziś nie ma już śladu. Wychodziła tam pod wodą rura z kolektora burzowego z Alei Przyjaciół. Woda w okolicy wypływu nie zamarzała zimą lub był tylko bardzo cienki lód. Wiem o tej rurze, bo kiedyś polazłem nią w górę – do ulicy, potem «rakiem» do wyjścia (przy ścieżce nad Długim), i znowu przodem do jeziora. Rura wystawała wtedy trochę z wody, bo był bardzo niski poziom wody. Wylazłem nieźle ubłocony. To było latem (no i jakiś spory czas temu!). Do dziś się dziwię, jak się zmieściłem w tej rurze i skąd ten pomysł. Również w tamtym miejscu «wodowaliśmy» płonącą Aurorę, zrobioną z «Małego Modelarza». To w ogóle była popularna «dziecięca» górka, nie to co «poważne» leśne góry!" (Zbyszek).

„Ja też nie raz buszowałem w tych rurach kolektora burzowego. Byliśmy w stanie z kumplami wleźć dosyć głęboko tym tunelem. Zdaje się, że docieraliśmy pod skrzyżowanie Alei Przyjaciół z Bałtycką. Było tam takie rozwidlenie rur w trzech kierunkach. Rury robiły się tam też jakieś mniejsze i brudniejsze, więc trochę mieliśmy stracha. Wchodziliśmy przez odwalone płyty komory usytuowanej tuż przy chodniku nad jeziorem, tam gdzie był wspomniany cypel, którego już nie ma. Była to świetna kryjówka podczas różnych zabaw nad jeziorem" (mamut).

„Rury idące w las są trzy: dwie cienkie (po ok. 40 cm) z Czarnego do Długiego, i jedna gruba na ok. 80-100 cm. Do Czarnego z Krzywego był naturalny dopływ, nie wiem czy poza nim wkopali też rury, choć na pewno jest ta pod nasypem kolejowym, a dalej może też, ale nie mam pełnej jasności" (Zbyszek).

„Kwestia rury – fantastyczna. Nic nie wiedziałem o tych rurowych wędrówkach, choć cypelek pamiętam jak najbardziej" (jd).

Rybaki

Piękna ulica w kształcie półkola, łączącą się w dwóch miejscach z Aleją Przyjaciół. Na Rybakach znajduje się przedszkole oraz przychodnia lekarska. Dawniej odbywały się na niej często wyścigi rowerowe.

„Dziś szczególnie na Rybakach dużo domów wygląda jak fortece: wysokie płoty i ostry piesek w ogródku, ponad miarę głośno szczekający na przechodniów. Ale ludzie boją się włamań, więc jest to dość naturalne" (Fredek). Pewnego sceptycyzmu Fredka wobec dzisiejszych Rybaków nie podziela jednak Zbyszek, zdaniem którego „bardzo wypiękniała ulica Rybaki, aż przyjemnie popatrzeć" (Zbyszek).

Rybaki 31

Był tam kiedyś pożar. Teraz jest tam całkiem inaczej wyglądający budynek.

Rybaki 33

Dom narożny (róg z Aleją Przyjaciół, obok żółtego domu nauczycielskiego). Był tam (i jest) duży sad. W zasadzie wszyscy chłopacy z dzielnicy wpadali tam na jabłka. Mieszkali tam Dramowiczowie (m. 1). A na I piętrze Litzowie.

Rybczyńskie

Siostry: Monika (starsza) i Agnieszka (młodsza), czyli Ryba starsza i ryba 696. Pierwsza kończyła Siódemkę w 1978, a druga w 1983 (w jej klasie – to ciekawostka – było tylko osiem dziewczyn).

Młodsza Ryba biegała kiedyś sportowo na Stadionie Leśnym: „krótko bo krótko, ale zawsze" (ryba696). Starsza Ryba chodziła do klasy z Fredkiem, a młodsza „z Fredka siostrą Beatą, młodym Szwejkiem, Tomkiem Kuklińskim i jeszcze kilkoma fajnymi ludźmi, a mieszkałyśmy na Białej, co może poświadczyć karolina" (ryba 696). Starsza ryba poza tym, że jest starsza, jest także większa, i „dlatego młodsza ryba ma ksywkę «Chuda»" (Ryba starsza). Kiedyś Fredek kupił młodszej Rybie chomika.

„Monika była miesiąc temu w Olsztynie na zjeździe klasy licealnej" (karolina).

„Od razu, korzystając z okazji, przepraszam młodszą Rybę za to, że ją uderzyłem śnieżką w ucho. Przepraszam cię, Ryba" (Cines).

Rybicki Wiesław

Kolega z klasy ak. Drugi, obok Andrzeja Pęczara, z tych, co to spóźniali się na lekcje najczęściej, bo do szkoły mieli najbliżej.

Rybol

„Może ktoś pamięta, że całe lata naprzeciw kawiarni Staromiejskiej był sklep rybny, kiedyś bardzo stylowy. Przy wejściu było spore akwarium, w którym pływały ryby na sprzedaż i można było wskazać swego wybrańca na patelnię" (jd).

„Rybny sklep pamiętam bardzo dobrze, nigdy nie mogłem znieść tego zapachu ryb" (LP).

Rysio (chyba Morawski)

Stały bywalec boiska szkolnego. „Rysio, zwany Głupim, był postacią jak z bajki. Nawet nie wiem, gdzie mieszkał, mimo że widywałem go w okolicach boiska niemal codziennie" (Krzysiek).

Rysunki

Zwane także Plastyką albo Wychowanie plastycznym.

„Jednym z moich ulubionych przedmiotów szkolnych była Plastyka. Uwielbiałem zawsze rysować i malować. Byłem nawet w tym niezły. Zresztą do dziś mam poważne zainteresowania związane ze sztuką, zwłaszcza malarstwem i rzeźbą. Co więcej, sam swego czasu próbowałem amatorsko swoich sił na obu polach. Przez krótki okres uczęszczałem do Miejskiego Domu Kultury i Sztuki (tak to się chyba nazywało, siedziba w centrum miasta), który w tym okresie uległ pożarowi i tymczasowo jego lokalizację umiejscowiono w Elektroniku na Bałtyckiej. Dzięki wspaniałym wychowawcom uczącym nas malować, miałem wspaniałą zabawę i naukę sztuki. Brałem też udział w kilku konkursach artystycznych. Zająłem nawet raz pierwsze miejsce na szczeblu wojewódzkim, poza tym parę miejsc drugich oraz kilka wyróżnień na szczeblu krajowym. Dom Kultury jednak wyremontowano i niestety na tym zakończyło się też moje korzystanie z tej placówki; wyniosła się z Elektronika. W Siódemce jednak lekcje Plastyki też były niezłe i nawet raz brałem również stąd udział w konkursie artystycznym, chyba w piątej czy szóstej klasie. Temat był dosyć typowo-polski: «Piłeś? – Nie prowadź auta!». Wykonałem rysunek rozbitego auta, szczątki rozsypane tu i

ówdzie, i wszystko umieszczone w kieliszku. Pomysł był całkowicie mój. Rysunek wykonałem tuszem, i wyszedł świetnie. Nigdy jednak nie dowiedziałem się o jego losach na konkursie. Tym niemniej frajdę z narysowania go miałem ogromną" (mamut).

Ryż prażony

Zwany także ryżem dmuchanym. Wyrafinowany w zasadzie słodycz. Wyrafinowany – bo niezbyt słodki; słodycz – bo traktowany przez dzieciaki podobnie jak słodycze, a więc jako atrakcja jedzeniowa.

„Ja uwielbiałem i jeszcze teraz uwielbiam polski ryż prażony. Woreczek był chyba za złotówkę. W lato kupiłem tego tyle, że w RAST'cie ze zdumieniem pytali, co chcę z tym robić. Ale po urlopie ryż się szybko – nawet zbyt szybko – skończył" (Fredek).

Rzeszotarska Basia

Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T.

S

Sajdowie

Rodzina Sajdów mieszkała na Alei Przyjaciół 29 pod numerem 1. Mieszkali tam ponad 10 lat, ale wyprowadzili się w 1962. Później mieszkanie po Sajdach zajmowali Foksowie. U Sajdów była trójka dzieciaków, bardzo aktywnych podwórkowo: chłopak (dziś ma 55 lat – 2005 r.), i dwie młodsze siostry. Druga (Irena) chodziły do klasy z Jolką Wilk.

„Całkiem niedawno byłam na osiedlu na spacerze z najmłodszą Sajdówną. Ma na imię Irena i jest moją mamą. Jej brat nie mieszka już w Olsztynie, ale kiedy tylko przyjeżdża, od razu biegnie w tamte okolice. Widocznie to miejsce ma swoją moc" (A).

Sala gimnastyczna

Ciekawostką Siódemki była (i jest do dzisiaj) między innymi sala gimnastyczna na II piętrze, a nie – jak to jest normalnie – na parterze.

„Sala gimnastyczna była i jest rzeczywiście wspaniała. Jak będziecie tam kiedyś przechodzić popatrzcie w górę: za oknami sali gimnastycznej jest taki murek (widać go z chodnika), i my po nim chodziliśmy, przechodząc w ten sposób z jednego okna sali do drugiego. Jak nas kiedyś złapał na tym murku Filut, to mało nie dostał zawału. To było naprawdę bardzo wysoko. Na szczęście nigdy nikt nie spadł" (LP). „Dodam tylko, że numer z gzymsem w wykonaniu LP był w oczach małolatów prawdziwą legendą dzielnicy" (Krzysiek).

„A pamiętacie drabinki na ścianie po prawej stronie od wejścia? Ja pamiętam, kiedy je zamontowali i wszyscy się pchali, żeby wisieć na nich do góry nogami. Może to dawało nową perspektywę na świat? A za sceną w auli chodziło się na «buzi» z aktualnym narzeczonym z klasy. Czasami bywało tam tłoczno. Gdzie ta niewinna skromność?" (nat). „Nat poruszyła ciekawy temat zakątka zakochanych przy scenie. Poza tym było zdaje się tak, że w ostatnich klasach WF był już oddzielnie dla dziewczyn i chłopaków. Po prawej stronie wspomnianego zakątka były pewne drzwi, zamknięte na głucho, prowadzące do schodów, a przez dziurkę w tych drzwiach miało się widok na żeńską część klasy!" (WSKH).

W trakcie naszych forumowych debat pojawił się temat nowej sali gimnastycznej; temat okazał się gorący i wzbudził burzliwą wymianę opinii. „Prawdopodobnie nowa sala ma być tam, gdzie są żużlowe boiska do koszykówki i siatkówki, ale tego nie wiem do końca i na pewno" (WSKH). „Tego się obawiałem, że pomysł nowej sali dotyczyć będzie terenu boisk do siatkówki i koszykówki. Wiem, że ta sala by się przydała, ale te boiska są tak piękne i tak

potrzebne dla całości terenu za szkołą, że serce mi się kroi. Nie ma jakiejś alternatywy?" (jd). „Wiadomość o nowej sali jest absolutnie niepotwierdzona. Zasłyszana została tylko gdzieś jednym uchem na ulicy. Terenu boisk może rzeczywiście szkoda, a miejsca przy szkole jest przecież dużo. Mogłaby na przykład przylegać do budynku, tam gdzie jest plac między szkołą a boiskiem (WSKH). „A moim zdaniem niech budują, tam się i tak nic już nie dzieje. Może dzieciaki trochę się podciągną w sporcie. Co innego, gdyby chcieli coś takiego zrobić za naszych czasów. Pewnie byśmy skutecznie to storpedowali" (LP). „Boiska nie wolno ruszać, ale za boiskiem, tam gdzie się biegało i skakało w dal, mogłaby powstać nowa sala sportowa. Nie musi być bardzo wielka i droga, dach z drewnianej konstrukcji, ściany dopasowane do stylu szkoły i osiedla. Wystarczy jedno pole do piłki ręcznej albo przynajmniej do siatkówki. No i porządne szatnie i jakieś prysznice" (Fredek). „Za naszych czasów to jakoś ta niewielka sala gimnastyczna wystarczała. Zresztą mnie się ona zawsze całkiem duża wydawała. Gdy patrzyłem niedawno na zdjęcia z 50-lecia, to się nadziwić nie mogłem, że to dziś takie małe się wydaje. Może to nie jest taki głupi pomysł, by wybudować większy obiekt sportowy na miejscu boiska?" (mamut). Może nie, ale na razie temat nowej sali jakoś się zdezaktualizował.

„Aula, bo i tak nazywano salę gimnastyczną, wydawała się zawsze duża, tym bardziej, że na akademiach, które tam się odbywały, wszyscy uczniowie mieścili się bez problemu i Iza Schuetz (dziś Trojanowska) miała gdzie i komu się zaprezentować. Ja zresztą też występowałem i jakiś rewolucyjny kawałek do dziś mi chodzi po głowie" (Zbyszek).

„Przebieralnie były kiedyś tylko w auli, na peryferii (po prawej i lewej stronie sceny). Nie pamiętam już, gdzie dziewczyny się wtedy przebierały (może chłopcy po prawej, a dziewczyny po lewej stronie sceny?). A prysznica wtedy w ogóle nie było lub się z niego nie korzystało. Można było w łazience najwyżej ręce i twarz umyć" (Fredek). „Te prysznice, których prawie nie było, bo właściwie nie były wykorzystywane, też mi do dziś chodzą po głowie. Chyba były takie jak w wojsku, to znaczy: podwieszone pod sufitem rury, a na nich prysznice otwierane i zamykane za pociągnięciem specjalnymi łańcuszkami" (WSKH). „Precyzuję: prysznice były w pomieszczeniach obok sali gimnastycznej. Tam gdzie były pracownie wychowania plastycznego Pani Cejko, w jakiejś bocznej salce. Niestety, prysznice były nie do użytku, bo już wtedy to pomieszczenie było używane w innym celu. Zdaje się, że Cejko i inne panie popijały tam sobie kawkę przy papierosku" (Fredek).

„Czy wiecie, że sala nadal ma swoich wielbicieli? Grywamy tam w siatkę. Skład to m. in. Wojtek B. z Morskiej, Marek G. z początku AP, Piotrek T. i ja, obaj też z AP (32 i 34), tyle że od dawna już poza dzielnicą (rok ukończenia SP 7 – 1982). Powiem wam, że nadal fajna jest ta salka, choć siatkówka w niej to rzecz dość karkołomna, gdyż sala jest bardzo niska. Kiedyś rzeczywiście wydawała się dużo większa" (Krzysiek). „Na sali ćwiczyli też dżudocy, i może jeszcze ćwiczą" (Zbyszek).

W roku 2006 mieliśmy kolejną turę zapowiedzi i wieści, że gdzieś ktoś kombinuje budowę nowej sali:

„Właśnie dowiedziałem się z PEWNEGO źródełka, że ruszył na poważnie temat budowy nowej sali gimnastycznej przy naszej szkole. Z relacji mojego Informatora wynika, że pierwsze koncepcje przewidują postawienie sali w miejscu, gdzie kiedyś było wyjście zapasowe ze schronu. Myśle, że jest w tym dużo prawdy, bo ostatnio władze Olsztyna zaczęły chyba inwestować w szkoły podstawowe. Przykładem jest rozpoczęcie w tym roku budowy pływalni (niecka basenu ma mieć wymiar 8x25m) i sali sportowej (powierzchnia boiska 15x25m z widownią na 200 osób) przy szkole nr. 10. Miejmy nadzieję, że sala w naszej szkole będzie tak samo okazała, a może i na basen wystarczy. Pozdrawiam" (mir-mur).

„Czekamy na jakies oficjalne potwierdzenia. Bo do tej pory ten temat wypływal kilka razy, ale zawsze okazywał się bajką" (WSKH).

„Temat budowy sali gimnastycznej ciągnie się od czasów dyrektorskich Karola Ziętka; co jakiś czas jest na tapecie i ciągle przekładany na kolejne lata. W dniu dzisiejszym informowałam się u żródła i wynika z tego, że w tym roku może zostanie opracowany projekt, bo do tej pory istniał projekt przedwstępny. Mówi się o dobudowaniu skrzydła w linii prostej w kierunku ogródka szkolnego albo też nie wyklucza się budowy w kierunku Domu Nauczycielskiego. Na razie nie ma mowy o potwierdzeniu oficjalnym, bo ciągle nic w tej sprawie nie ma pewnego" (gaga).

Samochody

We wczesnych latach 60-tych, gdy na Aleję Przyjaciół wjeżdżał jakiś samochód, to było to już poważnym wydarzeniem. Na jezdni grywało się w piłkę, maluchy jeździły rowerami, zabawy w chowanego i berka nie bardzo liczyły się z ulicą, co było powodem może nielicznych, ale tragicznych czasem wypadków. Niewiele zmieniło się również w latach 70-tych, dlatego zapadła niektórym w pamięć ciężarówka, która raz dziennie, o podobnej porze przyjeżdżała do sklepu. Tym niemniej liczni byli w naszej okolicy miłośnicy czy nawet maniacy motoryzacji, a niektórym udawało się zostać właścicielami najprawdziwszych samochodów.

„Mój dziadek około roku 1966-67 stał się – na skutek zdumiewającego zbiegu okoliczności – właścicielem nowiutkiego samochodu Syrena. Wtedy to było coś nadzwyczajnego. Prawie nikt nie miał samochodu w naszej okolicy; jednymi z nielicznych byli Węgrzynowie i Krajewscy. Pierwszy plan był taki, że oczywiście ta Syrena będzie sprzedana, nikt nie sądził, by dziadek miał nią jeździć. Po pierwsze, dziadek miał trzy klasy szkoły powszechnej, no a z samochodem łączą się różne sprawy związane ze sporo wyższym jednak wykształceniem; po drugie, dziadek był osobą impulsywną i gwałtowną, co też nie sprzyja jeżdżeniu samochodem (choć dziś uważa się chyba inaczej); po trzecie, był już wiekowy. Tymczasem dziadek oznajmił babci, że ma zamiar robić prawo jazdy, a potem jeździć tą Syrenką. Babcia całe noce płakała, ale nic nie mogła poradzić. Liczyła na to, że dziadek padnie na kursie prawa jazdy i na egzaminie. Ale tu dziadek wykazał nadzwyczajny spryt, wikłając mnie w całe przedsięwzięcie. Otóż zapisał się na kurs w lipcu, gdy ja przyjechałem – jak zawsze – na wakacje, no i zabierał mnie na te wykłady na kursie, gdzie musiałem mu wszystko notować, rysować i jeszcze później objaśniać. Wszystkim opowiadał, że jestem jego sekretarzem, choć byłem trochę dziwnym sekretarzem, bo miałem wtedy jakieś dwanaście lat. Ten kurs odbywał się po południu i wieczorami, i gdy ja skrobałem w zeszycie, to dziadek – który przychodził na ten kurs po pracy – słodko sobie spał, pochrapując czasem ostro, co jednak po pewnym czasie wszyscy zaakceptowali. Ale ja byłem wściekły; uważałem, że dziadek mnie kompromituje, a co najgorsze, następnego dnia po wykładach musiałem wszystkie notatki przepisywać w domu dużymi i ładnymi literami (żeby dziadek odczytał) w innym zeszycie. Wyobrażacie to sobie? Na podwórku chłopaki, a ja siedzę i piszę (przepisuję!) o pracy silnika dwusuwowego i o tym, gdzie jest zakaz wyprzedzania, i do wszystkiego jeszcze rysunki, a ja nie znoszę rysować. Potem zaczęły się jazdy i babcia miała nadzieję, że tutaj dziadek polegnie już nieodwołalnie. Instruktorem od jazdy był jakiś cham, który na wszystkich darł mordę i wszyscy się go bali. No i dziadek któregoś dnia nie zdzierżył i po kolejnych chamskich uwagach wysiadł z samochodu na środku ulicy w okolicach ratusza ze słowami «jedź sobie sam skurwysynu». Wieść się rozniosła o incydencie i dziadek stał się bohaterem kursu. Co więcej, instruktor przeżył jakiś przełom, stał się bardziej ludzki, a na uroczystości kończącej kurs podszedł do dziadka i niemal podziękował mu za to, co się stało. W sumie dziadek, choć chyba ledwo jeździł, dostał prawo jazdy. Wynajął garaż koło przystanku, rano tam szedł i Syrenką jechał do pracy, wzbudzając podziw i zazdrość. Ale jeździł raczej beznadziejnie, ciągle coś obijał, i gdy kiedyś pojechali z babcią z wizytą na rodzinną wieś, bez powodu wylądował na dachu w rowie, no i wtedy babcia zrobiła taką

awanturę, że po powrocie całą tę Syrenkę dziadek sprzedał. Miał za to wspomnienia z tego wszystkiego na całe pozostałe życie. Ja też" (jd).

„Moi rodzice też mieli Syrenkę, najbardziej żółtą, jaka mogła być. Ujeżdżaliśmy ją z bratem. Tata nie kwapił się za bardzo do jazdy. To był model 105 L, z normalnymi drzwiami, już bez kurochwytu! Jak się miało pojęcie, kawałek drutu i kilka narzędzi to nie było, żeby gdzieś nie dojechała. Pamiętam, że kiedyś zimą przyjechałem z Dobrego Miasta na drucie zamiast tulejek przegubu (wziął i się rozsypał), ale trzeba było mieć drut i wiedzieć gdzie wsadzić (ja miałem i wiedziałem)! Tym niemniej namiot w bagażniku też woziłem na wszelki wypadek..." (Zbyszek).

„Z ciekawostek samochodowych: był drewniany samochód P-70, chyba pod 17-tką, a nawet pamiętam z zamierzchłej przeszłości pojazd koloru czarnego, chyba coś francuskiego, z kierunkowskazami w formie czerwonych strzałek wykładanych ze środkowego słupka pomiędzy drzwiami" (ak).

W późniejszych latach sporo się zmieniło: „Dobrze pamiętam jazdę «wypożyczoną» taksówką ojca. Pewnie AD też pamięta, bo miał w tym procederze niezły udział i tylko dzięki jego refleksowi i dłuuuuuugim rękom merc był cały. A wszystko przez to, że jak wstawialiśmy auto do garażu, to nim zdążyłam otworzyć garaż, to samochód zaczął jechać na dół, na szczęście AD zdążył złapać hamulec! W końcu tata sfinansował mi prawko, bo mu się córka rozbijała po mieście bez papierów. Po latach, gdy mu opowiedziałam tę historię z mercem, to kazał mi przysięgać, że to wymyśliłam" (zenobiab).

Saturatory

W latach 60-tych i 70-tych ważnym środkiem budowania odporności organizmu na zarazki były saturatory z wodą sodową (w Śródmieściu) pitą ze wspólnej, lekko płukanej szklanki (woda sodowa 20 gr., z sokiem 50). Później pojawiły się automaty (chyba ruskiego pochodzenia) ze szklanką na łańcuszku; ostatni taki saturator był pod PDT.

Schron

Znajduje się między budynkiem szkoły a boiskiem, trochę w stronę Domu Nauczycielskiego; jest to schron jak najprawdziwszy.

Secewicz Tomek

Kolega z klasy AD i mamuta. Od początku słusznie podejrzewano, że to on jest mir-murem. Wprawdzie chwilę się wypierał, ale było to tylko dla kilku chwil droczenia się. Fakty i skojarzenia były jednoznaczne.

„Dla tych, którzy Tomka nie znają dodam, że mieszkał w ciekawym i przydatnym miejscu. Swego czasu budowaliśmy z Serkiem na ZPT peryskopy, no i trzeba było skonstruowany sprzęt wypróbować, a wydało nam się, że zarówno ogród, jak i jezioro są miejscami zbyt banalnymi. Dlatego właśnie postanowiliśmy wykorzystać położenie domu Tomka, naprzeciwko którego był gabinet ginekologiczny. Zamierzaliśmy właśnie poobserwować ginekologa z naprzeciwka. Za dużo nie widzieliśmy, ale sam fakt, że mając 13 lat mieliśmy szanse zobaczyć «samolot» fascynował nas i potwierdzał przydatność fachu Serka oraz umiejętności, których nas uczył" (AD).

Servovit

Popularny i – jak dziś należałoby powiedzieć – kultowy napój młodzieżowy w latach 70-tych. Piło się go w wieku, w którym jeszcze nie piło się piwa. Smakował świetnie na przykład z samym chlebem kupowanym w ćwiartkach.

„Jednym z moich bardziej ulubionych napojów był servovit, zwany także potocznie kwasem chlebowym. Sprzedawany był w formacie większych butelek do kefiru i ze srebrnym

kapslem z folii aluminiowej. Choć czasem pamięć mi podpowiada, że ten kapsel był raczej koloru miedzianego" (mamut).

„Czy servovit to było to samo co maślanka?" (nat). „Nie, servovit był jeszcze gorszy od maślanki. Taka brązowa podejrzana ciecz" (LP).

„Wiecie, gdzie można w dzisiejszych czasach napić się servovitu? W Wilnie! Ten sam smak pod oficjalną nazwą «kwas chlebowy». Jest w sklepach, ale też podaje się go w dobrych restauracjach, np. do cepelinów. Byłem tam wiosną i nadal tęsknię" (miki).

Sędrowski Janusz

Czyli Dziad. Rocznik 1983/84.

Siedem

Cyfra i liczba siedem (7) znane są nie tylko z powodu szkoły podstawowej na Alei Przyjaciół w Olsztynie. Oto inne słynne «siódemki»:

7 Grzechów Głównych
7 Cudów Świata
7-miu Samurajów
7-miu Wspaniałych
7-miu Krasnoludków i królewna Śnieżka
7-mio Letnia Wojna
7 Dni w Tygodniu
7 Kontynentów
7UP
7-miomilowe Buty
Za 7-mioma Górami, za 7-mioma Morzami (Lasami, Rzekami)
Pro 7 (Kanal TV)
W 77 Dni Dookoła Świata
7-ma Pieczęć
Blake's Seven (7) Brides for Seven (7) Brothers
007 – James Bond
7 Dziewcząt z Albatrosa.
7 Wzgórz Rzymu
7-dmiu Mędrców Greckich
7-mioletnia podstawówka (zanim stała się 8-mioletnia)
7-me Niebo (Religijna kosmologia żydowska, a także muzułmańska, wyróżniała siedem nieb. Siódme niebo jest najwyższe i najdoskonalsze. Jest siedzibą Jahwe lub Allaha. Panuje tam wieczna jasność, radość i szczęśliwość)
„Szatan z siódmej (7) klasy" Kornela Makuszyńskiego
„Siedem (7) bram Jerozolimy" Krzysztofa Pendereckiego
7-naście Mgnień Wiosny
Polska - Haiti 7:0 (1974 Mistrzostwa Świata)
07 Zgłoś się – porucznik Borewicz
W wieku 7-miu lat rozpoczyna się naukę szkolną (nat, jd, Fredek, mamut).

Siemieniukowie

Andrzej i Robert; koledzy Fredka.

Sikowskie

Siostry. Koleżanki z klasy Fredka i LP.

„Dostałem numer telefonu od Uśki. Mieszka z mężem i synem w Koloni. Dorka też «mężata» i «dzieciata», i mieszka gdzieś w pobliżu Leverkusen" (Fredek).

Siweccy

Bracia. Mieszkali w okolicach CPN. Sporo wiadomo o Januszu (johninm), który sam o sobie to i owo napisał:

„Och, jak chciałbym właśnie teraz przyjechać. Zmarł mój ojciec i w najbliższych dniach będzie jego pogrzeb (w poniedzialek msza na Morskiej). Ale zbyt dużo spraw by się tu zawaliło, gdybym teraz przyleciał. Ogromnie jest mi przykro...

Z Polski dałem «dyla» w 1979. Pamietam dobrze Alana, D.D., Terese F., braci Jelewskich, Ciołkowskich i wiele inych osób. Młodszego Pileckiego spotkalem w... San Diego. Jeździł na taxi. Miał trochę kompleks starszego brata – chodziło o PIGO, ma się rozumieć. Później słyszałem, że młodszy Pilecki umarł. Pamiętam też Grzesia Woźniczkę. Ktoś wie, co się z nim dzieje? A Fredek Baukrowicz, Jurek Rudy, Bankowski?

Oto w skrócie moja historia: najpierw było przedszkole na Rybakach. Do SP 7 trafiłem do 1a. Po siódmej klasie przeniesli mnie do 8b (chyba naraziłem się pani Naporowej). Moją wychowawczynię z 8b, panią Kraszewska (od matematyki) bardzo mile wspominam. Raz nawet wygrałem konkurs szkolny na cześć patrona szkoły. SP 7 ukończyłem w roku 1972. Potem było LO2, LO1 i LO3 - wszystko w Olsztynie. Taki był ze mnie «Jaś wedrowniczek». Na marginesie – nigdy nie «siedzialem»! Potem była Policealna Szkoła Samochodowa (na studia się nie dostałem, a wojo «wisiało»). Następnie wyjechałem na krótko do Finlandii (Rovaniemi), potem był RFN (Dortmund – 1 rok) i Austria (Wieden – 7 miesiecy). W końcu wyjazd do USA: Nowy Jork, Brooklyn (6 miesiecy), Południowa Kalifornia (pod Los Angeles, 19 lat), a teraz jestem w okolicach Seattle – «kraj» Microsoftu, Boenig'a, łososia, jezior i lasów (Północno-zachodnia część USA, 7 lat). W Kalifornii skończyłem International Business (handel zagraniczny) i 2-letnie studia podyplomowe z Business Administration (MBA).W Polsce byłem ostatni raz osiem lat temu. Pamiętam jeszcze z naszego osiedla braci Majcher (Waldka, Krzyśka i Leszka), Danka Dramowicza (to chyba od niego ten bakcyl wędrowek) i wielu innych ludzi. Tu gdzie mieszkam nie ma za dużo Polaków, zresztą w tym «amerkanskim wyścigu szczurów» nie mam za dużo czasu na sprawy towarzyskie.

Na Morskiej została moja mama. Mieszka tam z moim bratankiem, Darkiem. Moj brat Marek, mieszka w Lubawie. Mieszkał pięć lat w Południowej Kaliforni, ale zdecydowal się na powrót do Polski. Kiedys trochę uprawiałem żeglarstwo na Warmii. Moim załogantem był Gutkowski, chyba Marek. Też Siódemkowicz".

Skibek

„To był mój sąsiad (mieszkał na I piętrze Rybaków 31). Pamiętam, że był mały i niezmiernie szybki. Przebiegał jak torpeda koło mojego domu lecąc do sklepu" (DD).

Sklep

Jedno z centralnych, lubianych i orientacyjnych miejsc osiedla; adres – Aleja Przyjaciół 40. Patrząc od strony szkoły, pod pięknymi filarami znajdowały się kolejno: apteka, sklep spożywczy, sklep mięsny, oraz ostatni sklep, który bywał papiernikiem, ale także warsztatem tapicerskim. Potem, już w latach 90-tych, to się trochę pozmieniało (na gorsze).

„W związku ze sklepem przydarzyła mi się następująca historia. Miałem z pięć lat, babcia stała w kolejce w sklepie mięsnym, a ja miałem czekać przed sklepem. Nudziłem się okropnie. Na oknach sklepowych były podłużne kraty i z tych nudów włożyłem oczywiście głowę w te kraty, nie mogąc potem jej wyjąć. Zacząłem beczeć, zbiegł się cały sklep i pół ulicy, kombinowano, co robić, czy piłować, czy wzywać kogoś. W końcu jakoś tę głowę sam

wyjąłem. Była to chwila mojej prawdziwej sławy na Alei Przyjaciół, choć babcia twierdziła, że przyniosłem jej mnóstwo wstydu" (jd).

„Okolice sklepu pamiętam świetnie, gdyż jako łepek zbierałem pety rzucane przez wozaków i przypalałem z kumplami właśnie za sklepem – na szczęście po takich początkach palenia «Płaskich» odechciało mi się palić na zawsze" (DD). „Ja również paliłem pety za sklepem. W czasie przerw między lekcjami była tam niezła palarnia. Za moich czasów szpanem było palić «Caro» (20 zł paczka) albo «Marlboro» (28 zł.). Nie wiem, dlaczego pamiętam te ceny. Trzeba było szalenie uważać na Filuta albo Serafina. Oni nas ganiali" (LP).

„Filary pod sklepami zniknęły prawie całkowicie. Pozostały tylko przy aptece i od strony placyku u zbiegu Przyjaciół i Rybaków. W ten sposób miejsce zupełnie straciło swoją i naszą magię, bo nie jest już tak dostępne. Cały środek zabudował sklep spożywczy i teraz zewnętrzna jego ściana jest na skraju filarów, a one tworzą z resztą zabudowy pionową, prostą ścianę idącą do góry. U góry powstały na całej długości budynku mieszkania do wynajęcia. Teraz nasz sufit pod filarami jest podłogą tych mieszkań. Dodatkowo kilka dni temu wzdłuż całej długości filarów na zatoczce parkingowej wkopano bariery odgradzające nie wiadomo co, bo przecież żaden samochód i tak pod filary nie mógł wjechać. Również zaplecze filarów jest mało zachęcające. Kiedyś tam się działo! Można było wypalić w ukryciu papieroska itp. itd. Teraz po sąsiedzku w ogrodzie (po Molendach) powstał taki pałac i ogród, że miejsce zupełnie jest nie do życia. Jeszcze żeby tego brakowało, to przy aptece drogę na zaplecze sklepów odgradza automatyczna brama na pilota. No i co ci nasi następcy w takiej sytuacji mają robić? Nic dziwnego, że teraz palą fajki bez jakiegokolwiek strachu na chodnikach i w szkolnym ogródku" (WSKH).

„Każdy musi pamiętać sklep spożywczy tuż obok szkoły. Dla niejednego sklep był ratunkiem, gdy zapomniał zabrać z domu kanapki na drugie śniadanie lub gdy był ekstra spragniony. W sklepie można było zawsze kupić świeże bułki, oranżadę lub jakieś słodycze. Jednym z moich bardziej ulubionych napojów był servovit. Sklep był raczej mały, zorganizowany w kształcie litery U. Lokalizacja szkoły i sklepu harmonijnie się uzupełniały. Uczniowie byli w końcu niezłą grupą klienteli. Pamiętacie najważniejsze słodycze tej epoki: cukierki krówki, które nadal cieszą się niesamowitą popularnością (tu u mnie też są w sprzedaży), okrągłe płaskie lizaki z kolorowymi wzorami, które upodobniają te lizaki do kwiatów, (ileż ja wylizałem ich w dzieciństwie, ale zęby ciągle na swoim miejscu), herbatniki, których nigdy nie brakowało, a które uwielbiałem zajadać maczając je w herbacie – pycha. Poza słodyczami były do nabycia świetne słone paluszki i paluchy (które zawsze były grube i mniej słone). Na wiosnę lub wczesną jesienią zawsze przed sklepem «dyżurowała» jakaś grupka chłopaków. Zawsze też krążyło wokół sklepu stado os, które korzystały z zostawionych słodkich okruchów maślanych bułek lub z wylanej oranżady (często bowiem chłopcy zatykali palcami upust butelki i spryskiwali się słodkim napojem). Osy były nieodzowną częścią wiosny. Często widać je było także wewnątrz sklepu. Pamiętam, że widziałem tam raz okrągłego płaskiego lizaka owiniętego w przezroczysty celofan z osą we wnętrzu. Osy przez mały otworek w celofanie wyżarły połowę lizaka, ale sam celofan zachował jednak swój pierwotny kształt; całość wyglądała tak, jakby połowa lizaka była przezroczysta. Latem ulubionym smakołykiem dzieci były zawsze lody Bambino. Gdy było bardzo gorąco sztuką było utrzymanie cieknącego loda na drewnianym patyczku. Nie było wtedy takich wygód konsumpcyjnych jak teraz. Loda na patyczek trzeba było nabić samemu. Owe patyczki często były niezłym materiałem na zajęciach plastycznych lub technicznych. Powiedziałbym, że używalność materiałów wtórnych w naszym dzieciństwie była nieźle rozwinięta, nawet bardzo nieźle. Poruszaliśmy już zresztą temat zbiorki makulatury i materiałów wtórnych na cele szkoły lub na papier toaletowy" (mamaut).

„Ja przypominam sobie następujący asortyment w sklepie: masło na wagę z wielkiej bryły, o kształcie w zależności od tego, jak się pani udało odrąbać, jajka na sztuki, wędlina na

plasterki, cukier w szarej torebce po 10 dkg, jeśli ktoś chciał mniejszą ilość. Żadnych napisów firmowych na opakowaniach, zupełne chałupnictwo w tym zakresie. Teraz nie do wyobrażenia. Ale i kosz na śmieci w domu zapełniał się wtedy o wiele wolniej. W czasach przed-lodówkowych masło, wędliny itp. trzymało się zimą pomiędzy oknami, bigos na balkonie, a mamy same robiły makaron, bo gotowych nie użyłaby żadna prawdziwa gospodyni. I nikt nie narzekał. Pamiętam też coś o ciemnym kolorze pod tytułem «marmolada», a do tego chlebek, którego można było poprosić pół lub nawet ćwierć bochenka. Każdy produkt żywnościowy przechodził przez mnóstwo rąk (bez rękawiczek) i jakoś nikt się nie truł i nie chorował, i to pomimo tego, że pani sklepowa tą samą ręką przyjmowała gotówkę i sięgała po kapustę do beczki. Czy to dzięki temu naród był taki odporny? Chodziłam do naszego «supermarketu» pod filarami – jak wiele innych dzieci – z bańką po mleko, wysyłano mnie również po jedno jajko (przed pierwszym naturalnie), po 10 dkg cukru i plasterek szynki. Świetnie też pamiętam babcie koczujące w ciemną noc przed «rzeźnikiem» na stołkach rybackich, w nadziei, że rzucą zwyczajną lub karkówkę" (nat).

Sklepik szkolny

Szkolny sklepik znajdował się obok Draganowej, były tam zawsze świeże pączki. „Sklepik miał formę samodzielnej budki i nie był przymocowany do podłoża. Pamiętam, że kiedyś sprzedawcy ze sklepiku zostali perfidnie w nim uwięzieni za sprawą kilku osiłków, którzy ten sklepik dostawili drzwiami do ściany. Ubaw był po pachy" (Krzysiek).

„Dorzucę dwa grosze do wspomnień o szkolnym sklepiku. Był on niestety notorycznie, przynajmniej trzy razy w roku, okradany z grosiwa. W szkole były przecież niezłe ancymony. Przeważnie gromadzone one były w klasach C (sorry, jeśli ktoś się czuje obrażony). Po jednym ze skoków na kasę sklepiku milicjanci złapali dwóch podejrzanych na Grunwaldzkiej. Szli jak kowboje w szerokich spodniach. Te spodnie tak się poszerzyły, bo kieszenie były wyładowane drobnym grosiwem, jakie zgarnęli w sklepiku" (WSKH).

„W sklepiku szkolnym pracować mogli tylko wybrańcy; sprzedawano w nim także herbatniki i pierniki. Pierniki były prostokątne, chociaż zaokrąglone na wszystkich rogach. Często bywały twarde jak suchary i nie dawały się ugryźć, chyba że zamoczyło się je w herbacie; ja je nawet właśnie takie lubiłem" (mamut).

Składnica Harcerska

Nieistniejący już sklep na ulicy Staromiejskiej, dość blisko Bramy. Ileż niezwykłych rzeczy można było tam kupić, na przykład NRD-owskie kolejki elektryczne PIKO.

„Pachniało tam ponętnie klejami oraz jakimś specjalnym plastikiem. Pamiętacie farbę Humbrol? Była tylko w Harcerskim i służyła do malowania modeli" (LP).

„Ciekawe, czy komuś się uchował do dziś harcerski mundurek i harcerskie gadżety, czyli wyposażenie. Pamiętam, że finki (miałem je dwie, jedna miała trochę nadłupaną rączkę) i paski to się dosyć długo u mnie po chałupie walały. Moje finki należały do nieco tępawych, ale ogólnie to był całkiem porządny kawałek metalu. Od czasu do czasu lubiłem ot tak wpaść do Składnicy Harcerskiej. Czasem, żeby kupić jakiś model do sklejania albo grę, a czasem tylko po to, żeby popatrzeć, jakie inne ciekawe rzeczy i sprzęty były akurat na półkach lub w gablotkach. Niektóre niestety były poza wartością zawartości mojej kieszeni. Tym niemniej wspominam to miejsce mile nadzwyczaj. Teraz jest tam zdaje się jakiś sklep z damską odzieżą. Trochę szkoda, ale w końcu czasy się zmieniają, choć my zmieniamy się mniej" (mamut).

Skrodzkie

Siostry; mieszkały w okolicach CPN.

Skrzynka pocztowa

„Jedno z moich sentymentalnych wspomnień z Alei Przyjaciół łączy się ze skrzynką pocztową, która całe lata wisiała na ścianie sklepu, a potem dla wygody pocztowców i w związku z beznadziejnymi dobudowami do budynku sklepu przeniesiono ją na słupek przy samej jezdni" (jd).

„Obecnie skrzynka pocztowa znajduje się przy ścieżce między domem przy Al. Przyjaciół 31 a 33, czyli przy ścieżce do Ogródka Jordanowskiego" (Zbyszek).

Skuter

Był czas sporej popularności skuterów. Skutery były delikatne, subtelne, ciche, szczególnie w porównaniu z Junakami i innymi motocyklami, których były namiastką. „Dobrze pamiętam z Alei Przyjaciół przynajmniej dwa skutery: żółtą Osę oraz szarą Lambrettę" (ak).

Skwerek

Czyli mały park między Jeziorną a Jeziorkiem Czarnym.

„Pamiętacie czyny społeczne, które się tam odbywały? Te świerczki, które kiedyś tam sadziliśmy to już duże drzewa. Jakoś ten skwer nazwali, ale nazwa uciekła mi z pamięci. Była tam kiedyś tablica pamiątkowa, ale też śladu po niej nie ma" (Zbyszek). „Ja pamiętam jak ten park się nazywał: 30-lecia ORMO" (Fredek). „I oficjalnie nikt tej nazwy nie zmienił" (WSKH). „A ja pamiętam, jak ten park urządzali. Większe roboty robiło wojsko. Kiedyś podczas robót ziemnych ugrzązł na samym skraju jeziorka duży 12-tonowy Kraz. Siadł na miękkim gruncie aż do ramy, na co jeden z naszych sąsiadów, zresztą wojskowy, rozkazał dzielnie zaczepić Kraza na linę holowniczą do... Gazika. Biedny kierowca nie wiedział, czy to żart, czy serio, ale cóż, podczepił. Rozkaz to rozkaz. Kino było nie z tej ziemi. Potem w końcu wyciągnęli tego Kraza ciągnikiem gąsienicowym" (ak).

„Dodam do tego coś od siebie. Parczek był nie tylko przygotowywany przez wojsko, ale także przez tak zwany Ochotniczy Hufiec Pracy, czyli OHP, złożony głównie z młodzieży. Pracowali przy tworzeniu parku także uczniowie Elektronika. Nie wiem natomiast nic na temat udziału Liceum Ekonomicznego i naszej SP nr 7. Co do czynów społecznych, to sam brałem udział w paru. Lata temu sadziłem na przykład drzewa i krzewy na terenie zdaje się byłego parku Czynu Partii, a teraz zdaje się Parku Kusocińskiego (ale głowy nie dam), w każdym razie chodzi mi o park niedaleko Hortexu przy ulicy Dworcowej (dawna Kaliningradzka). To było już po podstawówce. Zasadziliśmy tam wtedy parę setek drzewek i krzaków, ale niestety, duża część z nich została szybko zniszczona lub też uschła. Jednakże to, co przetrwało trzyma się całkiem nieźle i ma już spore rozmiary. Może powinniśmy się spiknąć przy jakiejś okazji (może coś w rodzaju 50-tej którejś rocznicy SP nr 7) i zasadzić trochę (dużo trochę) drzewek nad brzegiem Jeziora Długiego, tam gdzie wycieli te wspaniałe topole. Jeśli topoli sadzić nie można, zastąpilibyśmy je na przykład wierzbami płaczącymi, może brzozami – żeby było piękniej" (mamut).

Słupy telefoniczne i latarniane

„Kiedyś latarnie uliczne i przewody na naszej drogiej Alei Przyjaciół były zaczepione na wysokich drewnianych słupach. Gdy była jakaś awaria albo potrzeba wymiany, to przybywali faceci, którzy mieli specjalne nakładki na buty i chodzili po tych drewnianych słupach z taką zwinnością i wdziękiem, że z daleka wyglądało to jak zaprzeczenie wszelkich praw natury. Marzyłem, że i ja kiedyś pochodzę po tych słupach jak oni. No ale takie słupy wyszły z gry" (jd).

„Ja pamiętam jak wymieniali te twoje drewniane słupy na paskudne z betonu. A te metalowe nakładki na buty, co mieli ci faceci, były już wtedy tylko wspomnieniem i marzeniem" (LP).

Smereccy

Mieszkali na Alei Przyjaciół 30, na samej górze. Byli tam Ania, Agnieszka Ula i Staś. Ula była dziewczyną w okularach, o trochę chłopięcym wyglądzie i zachowaniu. Kolegował się z nią jd. Około roku 1971 musieli wyprowadzić się w podejrzanych okolicznościach za sprawą Malkowskiego. Dziś Ania mieszka w Nowym Jorku i jest nauczycielka WF w szkole w Brooklynie; Ula i Staś są we Wrocławiu; również do Wrocławia przeniosła się mama Smerecka. Agnieszka niestety zmarła 7 lat temu.

Smolińska Beata

Czyli betis. Właściwie na naszych oczach betis została poproszona o rękę (zgodziła się). Pracuje (choć już nie w Novotelu) i studiuje.

„Lat ileś temu, na egzaminie ustnym z języka polskiego do szkoły średniej, szanowna Pani X, moja późniejsza polonistka, zapytawszy się mnie, którego SP absolwentką jestem, zdębiała, gdy ja zażądałam potwierdzenia, że SP = podstawówka. Poczuła się mocno zakłopotana i natychmiast poprawiła się na «szkołę podstawową», jednak oceniła mnie na (tylko!) 4, co uznałam za wynik fatalny i porażkę" (betis).

„Mówić (bo pisać ostatecznie można) o «szkole podstawowej» jako o «SP», to kompletne bezguście. Nauczycielka powinna mieć dyscyplinarkę i egzamin przydatności do zawodu (zdany, ale taki dla postraszenia). Tak więc czuj się betis tak jakbyś dostała szóstkę (jeśli szóstki już wtedy były)" (jd).

Sobczyk Adam

Adam – co było rzadkością – miał tornister z prawdziwej, świńskiej skóry; tornister był wielki, niebiesko-żółty. Pamiętam, że na tornistrach świetnie się zjeżdżało z ośnieżonych górek, tyle że potem w środku wszystko było mokre" (mir-mur) „I ja pamiętam ten słynny tornister; gdy był nowy, to strasznie trzeszczała ta gruba świńska skóra" (mamut).

Sobiesiński Jarosław

Kolega mir-mura, miał przezwisko Sambur, rocznik 1983/1984.

Sosiński

Sport w Siódemce

„Kiedyś szkoła miała najlepszą drużynę piłki ręcznej w Olsztynie. Szczególnie ostre były walki z SP 14 (również na pięści – zarobiłem wtedy jako kibic Siódemki pierwsze i na razie jedyne limo pod okiem)" (DD).

„Zgadza się, w Siódemce sport był zawsze na wysokim poziomie, chociaż nie wiem dlaczego nigdy nie było dobrego nauczyciela WF. Te sukcesy wychodziły jakoś same z siebie. Pamiętam, że cały wolny czas spędzaliśmy na boisku szkolnym (nawet gdy zapadał zmrok, wtedy graliśmy przy światłach), natomiast przez całą zimę były narty, hokej i diabli wiedzą co jeszcze. Wojny z 14-tką pamiętam; oni byli nawet dobrzy, ale zawsze po nas. A mieszkali w Pekinie. Moja klasa była kilka razy mistrzem Olsztyna w piłce nożnej (dzikie drużyny)" (LP).

„Ja pamiętam wybijane piłką szyby w sali gimnastycznej. Afery z tego nie było, za to po jakimś czasie przybyły siatki ochronne na okna. Zdarzało się też nie raz trafić piłką tenisową w okna od strony boiska, gdzie namiętnie grało się w ściankę (już wtedy graliśmy w squash'a,

choć chyba nikt z nas o tym nie wiedział). Nasz nauczyciel od WF-u (nazywał sie chyba Kozłowski) zmuszał nas do grania w siatkówkę. Nie lubiliśmy tego strasznie. Potem w siódmej i ósmej klasie graliśmy, gdy było już cieplej, w szczypiorniaka na boisku. Prawie zawsze stałem wtedy w bramce. Pamiętam też zimowe zawody saneczkowe. Ciągnęliśmy się z sankami pieszo przez całe miasto na miejsce takich zawodów. Raz było to tam, gdzie powstał później park pomiędzy Dworcową i Kołobrzeską, innym razem gdzieś na Zatorzu. Zawsze byliśmy w absolutnej czołówce. Nic dziwnego, po treningach na Diable, Śmierci, Mewie albo Trzech Koronach raczej nikt nie mógł się z nami równać. Czy ktoś pamięta, jak nosiło się wiadrami wodę na niektóre górki do lasu po to, żeby było odpowiednio ślisko?" (ak).

3 sierpnia 2004 roku odbył się (a właściwie miał się odbyć) na boisku szkolnym – zorganizowany dzięki forum, na którym wszystko uzgodniono (z wyjątkiem wyniku) – mecz piłkarski weteranów Siódemki. „Przyjechałam na Aleję Przyjaciół przed 18-tą. Przed szkołą pusto, nikogo nie widać. Mimo wszystko poszłam na boisko. Zobaczyłam tam dwóch chłopaków, jeden siedzi na ławce z super piłką. Nieśmiało podchodzę i pytam, czy są z forum. Jeden mówi, że nie, a drugi to LP. Za chwilę przyszedł Fredek oraz Fiedorowicz. Dołączył jeszcze Sztiopa. A po chwili rozszalała się burza. Piorun, który walnął w drzewa oraz rozpoczynająca się ulewa przegoniły nas pod filary chyba jakoś przebudowanego sklepu. Ja niestety już musiałam jechać, ale oni wszyscy zostali. Dziękuję za (w zasadzie niezbyt sportowe) piwo" (Iwona). „No właśnie, byłem wczoraj na boisku, no i piłkę też może ze dwa razy kopnąłem. Ale zaraz rozszalała się ulewa i burza. Za to zrobiłem przynajmniej zdjęcia uczestników" (Fredek). „Jak pech to pech! Takiej ulewy nie było od tygodni. Akurat w sobotę, i akurat tuż przed 18-tą; widocznie nie było nam dane zagrać. Na boisku byli: Iwona, Fredek, Fiedor, Wróbel, Sztiopa z bratem, Kazik z Morskiej, WSKH, Jarek L. i ja. Postaliśmy trochę pod filarami, później część z nas poszła do Henia. Tam czekał już WSK 175 gotowy do jazdy. Mimo szalejącej burzy pojechałem z Heniem do lasu na «Kopyto». To co tam zobaczyłem, to istna zgroza! Ten naprawdę piękny teren został zabetonowany, wszędzie stoją domy, garaże. Szkoda, że nie miałem przy sobie aparatu, zrobiłbym oskarżycielskie zdjęcia" (LP).

„W co graliście w szkolnych czasach w Siódemce? Ja ciągle w ręczną na sali i w nogę na boisku (bardziej prywatnie). Przyznam jednak, że to bieganie od strefy do strefy na sali nie było tym, co najbardziej lubiłem" (Zbyszek).

„W Siódemce chyba byli też kajakarze. Trenowali na OKS-ie. Obecnie znany jest Tomasz Mendelski. Jego ojciec to Siódemkowicz, absolwent z 1973 roku, klasa S. Brzozowskiego" (WSKH).

„Kiedyś Jezioro Krzywe zamarzło nie czekając na śnieg – ależ ja się wtedy wyszalałam na łyżwach, i to po całym jeziorze. Trening miałam, że hej. Później nauczyciel albo nauczycielka od WF (mir mur, AD – kto nas uczył WF, bo za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć?!) wysłała mnie na zawody łyżwiarskie. Pamiętam, że jakoś bezboleśnie mi poszło wtedy i zajęłam chyba drugie miejsce, ale nagrody żadnej sobie nie przypominam, więc chyba było jednak gorsze miejsce. Ciekawi mnie, czy w Siódemce gdzieś ktoś skatalogował takich jak ja sportowców od siedmiu boleści, choć z sercem i ambicją. Pamiętam, że moje nazwisko widniało nawet na jakichś dyplomach sportowych, które wisiały w szkole na ścianie w jakiejś gablocie, choć nie jestem do końca pewna, czy to była Siódemka, czy LO 2... Cóż, skleroza posuwa się u mnie zamaszyście. Grrr..." (borasca).

Spływy kajakowe

Najsłynniejszy był i jest do dzisiaj spływ Krytunią. „Co do tempa na Krutyni, to mój rekord wynosi trzy dni. Dzień pierwszy: Sorkwity-Jezioro Gant; dzień drugi: Gant-Ukta, dzień trzeci: do Rucianego (na kajaku składanym, ale za to ze sterem). W dawnych czasach

jako szybki młodziak zaliczyłem również (ze Zbyszkiem Pochmarą) w trzy dni Czarną Hańczę (od Wigier do Augustowa). Było gorąco i mokro na zmianę. Pamiętam, że Zbyszek nauczył mnie rozpalać mokry chrust za pomocą żywicy z drzew, a także zademonstrował, jak można spalić na ognisku nogawkę od własnych spodni. Spływ kończyliśmy totalnie przemoczeni, na szczęście zaopatrzeni byliśmy w awaryjną piersióweczkę. Co do Łyny, to przepłynąłem trasę Marózką (moim zdaniem najpiękniejsza rzeka w okolicach Olsztyna) do Plusek (z przenoską Łańskie-Pluszne) i od elektrowni na Wadągu do Dobrego Miasta. Cały czas mam w planie trasę od Ustrzyckiej Strugi do Olsztyna, ale szkoda mi mojego kajaku, bo z oględzin z brzegu widać, że duży odcinek trasy trzeba pokonać przełażąc przez zwalone do rzeki drzewa. Może lepiej pontonem?" (DD).

„Przełom Łyny (Ustrych-Rus) to najpiękniejszy kawałek, pięć kilometrów z kajakiem w ręku i z nogami w bystrej, ścinającej wodzie. Trudno płynąć bez przytapania kajaka, co chwila skoki z kajakiem w ręku z drzewa na drzewo... Wszystko po prostu piękne. To trzeba przeżyć! Tym bardziej, że jest to przecież tak blisko" (Zbyszek).

Stachurska Jadwiga

Czyli Jadwiga. Dotarła do nas przez stronę Fredka: Ja bylam wniebowzieta jak ta strone przez przypadek znalazlam.Super!! Ukonczylam siodemke w 1970r. pod super wychowawstwem pani Ciolkowskiej. Od 25lat mieszkam w Niemczech i 7 razem z pania Barbara Pawlowska (wf) nie zapomne nigdy. Jadwig Stachurska

Stadion Leśny

Pięknie położony i dokładnie pasujący do swej nazwy. Na Stadionie Leśnym Józef Schmidt ustanowił legendarny rekord świata w trójskoku 17.03 w roku 1960 albo 61.

„Na Stadionie Leśnym bywałem, i owszem; raz nawet jeden z moich kolegów wsadził głowę w płot ogradzający stadion i nie mógł jej stamtąd wyjąć, dopiero jak przyjechała straż pożarna i przecięła płot – udało się. Ten kolega mieszkał kiedyś pod numerem 11 Alei Przyjaciół. Chodziliśmy razem na mecze gdzie się dało, nawet do Kortowa na siatkówkę. On mieszka teraz w Düsseldorfie i jest alkoholikiem" (LP).

„Ja w czasie wakacji bywałem niekiedy na Stadionie Leśnym za sprawą kogoś, kto tam trenował lekkoatletykę. Chodziliśmy tam w parę osób, wpuszczano nas na murawę, pozwalano biegać i skakać w dal, byliśmy zachwyceni. Na żużlowym rozbiegu do trójskoku wypatrywałem niedawnych śladów Józefa Schmidta biegnącego po rekord świata" (jd).

„Stadion Leśny nie kojarzy mi się za dobrze, bo dwa razy miałem tam niezłe kontuzje za moich sportowych czasów w Warmii" (AD).

„To naprawdę wstyd, że dziś ze Stadionu Leśnego została właściwie sama łąka. A kiedyś odbywały się tam nawet zawody międzyszkolne. W jakiejś tam wczesnej klasie (czwartej lub piątej) biegaliśmy tam sztafetą. Musieliśmy na koszulki (podkoszulki) naszyć czerwoną 7-kę z tasiemki. Nawet nie wiem już, czy wygraliśmy, czy przegraliśmy, ale ta naszyta 7-ka została w pamięci" (Fredek).

„Obejrzałem właśnie fotki stadionu i pomyślałem sobie: las dał – las wziął. Nie było potrzebne (boisko), to zarosło młodymi drzewkami. Ale też nie można powiedzieć, że nic tam się nie dzieje. W lecie stoją bramki i przyjeżdżają ludkowie, i kopią piłkę. A w zeszłym roku byłem tam na wyścigu rowerowym i grochówce" (miki).

„Ja byłem jednym z tych, którzy rozegrali na tym stadionie ostatni, niestety, oficjalny mecz piłkarski. Było to 26 czerwca 1985 roku" (mości).

„Dzisiaj miałam dzień nadzwyczajnych wspominek, gdyż byłam na wystawie poświęconej Stadionowi Leśnemu, którego generalnie już nie ma. Oglądałam mnóstwo historycznych fotek z lat 60-tych. Aż żal serce ściska. Dziś wszystko jest porośnięte trawskiem i drzewami. Gdzieniegdzie został płot, którego jeszcze nie ukradli tup-tusie. Nawet

klub przestał istnieć. Jednak dzięki wystawie temat stadionu na moment ożył, i o to właśnie chodziło jej inicjatorom. Muszę się pochwalić, że na wystawie jest około 30 zdjęć z mojej domowej kolekcji. Osobiście bardzo lubię oglądać zdjęcia i wystawy fotograficzne. Ciekawe były również filmy z dawnych kronik filmowych. Mogłam obejrzeć rekord świata ustanowiony w trójskoku przez Szmitda (17.03 – to był wtedy super wynik). Tak więc polecam wystawę, która jest tylko do ósmego marca (2005 r.). Bardzo też proszą o wpisywanie się do księgi pamiątkowej. Na łamach dzisiejszej gazety jest artykuł o stadionie i w ogóle temat stadionu jest dziennikarsko bardzo gorący! I jeszcze coś: na wystawie można obejrzeć projekt modernizacji Leśnego; prezentuje się wspaniale, ale czy dojdzie do realizacji? Twórcy mają nadzieję, że będzie to ukończone w 2007 roku. Zobaczymy, jeśli dożyjemy" (karolina).

„Dzisiaj (lipiec 2005) jest impreza na Stadionie Leśnym z okazji 85-lecia powstania tego wspaniałego obiektu oraz 45-lecia uzyskania rekordu świata w trójskoku przez Józefa Schmidta" (karolina).

„Co do stadionu, to parę lat temu właściwie sam zacząłem go odbudowywać. Wziąłem najzwyczajniej łopatę i przez kilka dni przekopywałem kanał, aby odprowadzić wodę, która zalała cześć dawnego boiska. Gdy w gazecie o tym napisali, dyrektor Ośrodka Sportu i Rekreacji napisał do redakcji list, aby zabronić mi wszelkiej działalności inwestycyjnej na stadionie" (WSKH).

Stan wojenny

„Po godzinie policyjnej (a dokładniej: milicyjnej), żeby przejść z Likus do domu, chodziło się przez tor saneczkowy i nad Długim. Panował tam taki ruch, że trudno uwierzyć" (LP).

Stare Jabłonki

Miejscowość turystyczna między Olsztynem a Ostródą, nad pięknymi jeziorami i z uroczą stacją kolejową. „Jest tam świetne jezioro i nadzwyczajna maleńka stacja kolejowa, na której uwielbiam posiedzieć co dzień jakieś dwie godziny" (jd).

„Hotel Anders w Starych Jabłonkach zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Już sam wjazd na teren hotelu budzi zaufanie: jest brama, przy której siedzą panowie z ochrony. Żeby wyjechać, trzeba oddać specjalną kartę, którą dostają goście hotelowi. Wszędzie jest bardzo czysto, widać że ktoś o to wszystko dba. Sam hotel jest teraz pomalowany na biało. Dobre kilka lat temu dobudowali pawilon, w którym mieszkałem; jest tam sporo pokoi, basen, sauna, solarium, siłownia i świetlica dla dzieci. Są też domki wolnostojące. Idąc w kierunku plaży, przechodzi się obok Karczmy pod Modrzewiem, w której można od 11-tej coś zjeść (polecam golonkę pieczoną faszerowaną cielęciną). Plaża taka sobie, ale jest wypożyczalnia sprzętu wodnego, są rowery wodne, kajaki, łódki oraz żaglówka omega. Obok plaży jest następna knajpka. Wszędzie preferują piwo Żywiec z beczki, które przy 30-stopniowym upale smakuje lepiej niż cokolwiek. Dalej jest kort tenisowy, a także można pograć w siatkówkę. Dodam, że organizują codziennie jakieś imprezy, dyskoteki dla dzieci, jakieś występy, ognisko z pieczeniem (na przykład szczura – tak sie nazywało drożdżowe ciasto nawinięte na kil i pieczone nad ogniem; gdy było już upieczone, do środka wkładało się jakieś powidła, i wszystko wyglądało jak hod-dog). Jeśli ktoś chce przytyć, to tylko do Andersa. Szefem kuchni jest miły grubas, który potrafi nadzwyczajnie gotować" (LP).

„Ten kucharz jest trochę symbolem tego miejsca, widnieje na różnych reklamach w prasie. Trochę ostatnio zmienili układ szosy pod hotelem, niby lepiej, ale gorzej" (jd). „Znów tam byłem. Jeden cały dzień przesiedziałem na łódce, drugi przesiedziałem na stacji kolejowej, a w trzecim łaziłem po podziemnym przejściu przy kanale łączącym dwa jeziora" (jd).

Staromiejska

Kawiarnia na Starówce. Kiedyś bywała tam inteligencja olsztyńska i bywanie tam w ogóle należało do dobrego tonu. Często nie było miejsc i trzeba było czekać; w ostatniej salce był fortepian, od czasu do czasu używany.

Stasia

Była trochę niedorozwinięta, pracowała w MPO. Niektóre dzieciaki wołały na nią „Stacha blacha". Mieszkała na Alei Przyjaciół 29, na pierwszym piętrze z ogromną rodziną (ojcem i dwoma siostrami, z których jedna miała swoją rodzinę). Jakaś łajza kiedyś ją skrzywdził, i zaszła w ciążę. Ojcem chrzestnym dziecka, które nie było w pełni zdrowe i zostało oddane do specjalnego zakładu, został dziadek jd.

Stawianie baniek

„To chyba staje się z powrotem modne. Moja babcia była fachowcem absolutnym. Wzywana była z różnych rejonów Alei Przyjaciół. Stawianie baniek jest nadzwyczaj skuteczne na zapalenia płuc, oskrzeli, i temu podobne kłopoty zdrowotne" (jd).

Stefaniak Beata

Koleżanka z klasy WSKH. „Na Bałtyckiej na górce, na przeciwko PZW (Polski Związek Wędkarski), stoi opuszczony dziś dom. Mieszkała tam z mojej z klasy Beata Stefaniak" (WSKH).

Stolarczyk Andrzej

Kolega klasowy Iwony. Ale jego losami bardzo zainteresowała się też Jadwiga.

Stolarscy

„Czy ktoś pamięta papierówki u Stolarskiego w sadzie? Otóż tam, gdzie teraz jest tzw. Złodziejowo (przepraszam czytelników, którzy tam mieszkają) było niegdyś tylko jedno gospodarstwo, właśnie Stolarskich. Pamiętam młodego Stolarskiego; chodził do równoległej klasy ze mną. Stary Stolarski wyglądał nobliwie, miał sumiaste wąsy i dubeltówkę. Kilka razy strzelał do nas solą (po ostrzeżeniu). Wtedy poza posiadłością Stolarskich nie było żadnych domów między przystanią OKS i czterema lub pięcioma domami nad Jeziorem Likuskim (w jednym z nich mieszkał stolarz)" (morska).

„Co do Kamila Stolarskiego, to ma się dobrze. Jest adiunktem na Uniwersytecie i ma pozytywnego fioła dotyczącego pociągów (nawet na imprezie nosił krawat PKP)" (DD).

Stołówka szkolna

„Pamiętacie urok szkolnej stołówki i jedno z obowiązkowych dań, jakim były racuchy? Coś czuję, że moje dzisiejsze uwielbienie dla nich to pozostałość właśnie po szkolnej stołówce. I jeszcze przypomniał mi się obowiązkowy kubek mleka na przerwie lekcyjnej. To były czasy!" (WSKH).

„Za moich czasów racuchy były w czwartki. Do tej pory to pamiętam; każdy chciał wtedy jeść obiad w szkole!" (mr).

„Chyba większość z nas korzystała ze stołówek szkolnych. Każdy pewnie pamięta makaron z twarogiem, schabowy z ziemniakami i buraczki, zupę jarzynowa, do tego jakiś tam kompocik. Pamiętam też długą przerwę i wyprawy do stołówki po szklankę mleka. Kożuch z mleka u większości budził zgrozę, ale ja to wręcz lubiłem. Pamiętam, że po resztki obiadowe (tego zawsze trochę zostawało) przyjeżdżał jakiś gospodarz wozem zaprzężonym w jakąś sporą szkapę i zabierał beczkę pełną zlewek dla swojej trzody. Czasem karmiliśmy tego konia trawą lub jabłkiem" (mamut).

„Ja kiedyś czymś narozrabiałam (już nie pamiętam czym) w stołówce szkolnej, no i musiałam cały ranek skrobać na obiad w szkolnej kuchni – właśnie skrobać, a nie obierać – młode ziemniaczki! Wydawało mi się, że jest ich ogromnie dużo (a pewnie to ja byłam taka mała). Chyba mieli tam także taki mechaniczny kociołek do obierania starych ziemniaków: wrzucali ziemniaki w łupinkach, a wyciągali bez; ale akurat ja musiałam ręcznie skrobać z jakimiś innymi «skazanymi» właśnie te młode ziemniaczki" (borasca).

Strzelanie z klucza

„Klucz na sznurku uderzało się o asfalt" (czlowiek).

Strzelanie z rurek

„Ogarnęło nas kiedyś prawdziwe szaleństwo strzelania plasteliną z rurek metalowych albo plastikowych. Pamiętam te kulki plastelinowe poprzyklejane w różnych miejscach. Strzelało się też – już w inny sposób, bo tamto polegało na dmuchaniu-pluciu – z rurek szklanych: zapałka z plasteliną w rurce, drugą zapałką podgrzewało się rurkę, zapałka w środku się zapalała, i wylatywała; najczęściej jej celem była armia żołnierzyków plastikowych lub ołowianych" (Zbyszek).

Strych

„Na strychu w szkole bywało się kiedyś dość często; tam było dużo kurzu i bałagan" (LP).

„A ja pamiętam, że zawsze był zamknięty, i dlatego podejrzewałem, że coś cennego i nadzwyczajnego tam ukrywano" (WSKH).

„Ja kilka razy porządkowałem strych. Wchodziło się koło sali do WF. Było tam sporo ciekawych rzeczy: ławki, krzesła, grube liny, a w małych zamkniętych magazynkach rzeczy najciekawsze (dla 14-latka) np. głośniki. Na strychu najwyższym (bo właściwie było kilka strychów), nad salą od WF było prawie pusto, tylko jakieś klosze do lamp (fajnie się rozbijały) i kilka słusznych ideologicznie portretów" (zyby).

Stypułkowski

„Na początku lat 60-tych naprzeciw sklepu albo szkoły mieszkał facet, który miał rower, ale nie taki zwykły rower (choć już to było nie byle czym), ale rower z silniczkiem. Gdy odpowiednio zakręcił pedałami, włączał się ten silniczek i rower jechał sam, a on był na tym rowerze kimś wyraźnie lepszym od zwykłych śmiertelników. Nosił poza tym spodnie, które były podwinięte do kolan, a łydki były w eleganckich podkolanówkach. To bardzo pomagało w jeździe na rowerze, ale chodził tak ubrany nie tylko z powodu roweru, ale ze względu na przedwojenną elegancję. Ten rower i te przedwojenne spodnie robiły na mnie wrażenie sporego szpanu, dziwactwa, ale raczej wzbudzały moją sympatię. Czy ktoś pamięta coś i kogoś takiego?" (jd). „Kojarzy mi się pan Stypułkowski, mieszkający naprzeciw sklepu. Był nauczycielem w Samochodówce. Potem takim rowerem jeździł na pewno jego zięć" (Zbyszek)

Suchary

„Ze smakołyków, które kiedyś wsadzałem do buzi, oprócz oranżady w proszku mile wspominam pyszne suchary. Były twarde jak podeszwa, trzeba było je gryźć zębami bocznymi, a czasami długo trzymać cały kawałek w buzi, aby cokolwiek rozmiękł. Te suchary były niezastąpionym i nieocenionym posiłkiem podczas wycieczek do lasu oraz podczas spływów kajakowych. Dziś również można je kupić, ale są cienkie i szybko się łamią (i nie ma w nich kminku). Ale lubię je ciągle kupować, bo poza mną nikt ich w rodzinie nie ceni i nie muszę nikogo nimi częstować (w odróżnieniu od czekolady, a nie mówiąc już o piwie)" (DD). „Suchary z kminkiem – oczywiście; w opakowaniu były chyba cztery" (jd).

„Zgadza się: w oryginalnych sucharkach były zawsze cztery sztuki, w dzisiejszych podróbkach przeważnie jest po sześć” (AD).

„Jeśli chodzi o suchary, to i ja ich nie zapomniałem; do dziś czasami kupuję i wspominam tamten smak, ale niestety już takich jak wtedy nie robią. Kiedyś kupowało się całymi opakowaniami. W domu u mnie był to prawdziwy przysmak” (tepsik).

Suchy chleb dla konia

„Dobrze pamiętam babcię, która zbierała suchy chleb dla konia raz w tygodniu. Czy jeszcze coś takiego jak zbieranie chleba dla koni istnieje?” (mr). Betis twierdzi, że jak najbardziej.

Sułecka Wanda

Ze słynnego rocznia 1965/66.

Suruda Tomek

Rocznik urodzenia 1973. „Zasłynął z tego, że wieszał się na strychu szkoły. Niezła akcja była, bo z tego, co jest mi wiadomo, to spadł z tej linki. Żyje, miałem z nim dobry kontakt, ale nasze drogi się rozeszły, jak przestałem pić alkohol” (Cines).

Swatek Bożena

Czyli borasca. Siódemkę ukończyła w roku 1984, a do klasy chodziła między innymi z mamutem, siostrą mamuta, z AD.

„Bardzo się cieszę – napisała – że mamut mnie tu przyciągnął. Nie wiem jak wy, ale ja raczej nie miałam za dużego kontaktu z Siódemką po jej ukończeniu, a w ciągu ostatnich piętnastu lat byłam w Polsce tylko chyba trzy razy i na bardzo krótko, więc nawet gdy byłam, to tak jakby mnie nie było – i oto naraz po ponad dwudziestu latach wskakuję sobie znienacka na forum Siódemki i czytam wspomnienia ludzi z naszej klasy! Dla mnie to szok! Bardzo miło jest wiedzieć, że jednak nie pogubiliśmy się tak zupełnie! I że jeszcze ktoś gdzieś tam mnie pamięta chociaż trochę”. Następnie borasca kokieteryjnie i dziewczęco ustosunkowała się do sprawy swego wyglądu zewnętrznego: „Mamut ma rację: prawie wcale się nie zmieniłam, postarzałam się tylko o łaaaaaaadnych parę kilogramów, zaczęłam kolekcjonować siwe włosy i zmarszczki, ale w głowie jednak ciągle ten sam nadmiar zielonej trawy”. Mamut nie pozostawił jednak tej sprawy swemu biegowi: „Mówię wam, nie słuchajcie się boraski... Wygląda prawie identycznie jak wyglądała lata temu. Trochę może dorosłego akcentu pojawiło się w twarzy boraski, ale to ta sama babka, z którą chodziliście do tej samej budy”. Ale i borasca nie pozostawiła tego bez komentarza: „Ok., pozbyłam się wreszcie pryszczy z twarzy, ale czy nic się nie zmieniłam?”. Na pewno się nie zmieniła – wynika w sposób oczywisty z tej wymiany zdań, ale i ze sportowego trybu życia prowadzonego przez nią od dzieciństwa: „Aaahhh... ależ poćwiczyłabym sobie na Uranii! Chodziłam tam codziennie na treningi przez trzy lata! Latem ćwiczyliśmy w lasach w okolicach stadionu WDK. Potem przeniosłam się na treningi do Kortowa i tam się męczyłam przez następne dwa lata – aż sama sobie się dziwię, że mi się chciało. Pierwszy raz od mojego wyjazdu widziałam Uranię dwa lata temu – kiedyś to był taki przeogromny kolos, a gdy po tylu latach znalazłam się w okolicach, aż nie mogłam uwierzyć, jak się skurczyła!”.

Obecnie borasca mieszka w Kanadzie. I jeszcze pewien drobiazg: „Dopiero co się wyrwałam ze swojej niebiańskiej dwunastoletniej instytucji małżeńskiej. Następne nieśmiałe myśli o małżeństwie przewiduję dopiero najwcześniej w piątej reinkarnacji” (borasca). W związku z tą ostatnią sprawą: borasca była przez pewien czas małżonką Łukasza Łukaszczuka, również Siódemkowicza.

„Co do Bożenki, to hula teraz po Nowej Zelandii. Wybrała się tam niedawno na wycieczkę rowerową. Ale w ogóle mieszka i pracuje w Kanadzie. Moja siostra od czasu do czasu się z nią widuje. Ja ją widzę przeciętnie 2-3 razy w roku. A teraz pewne wspomnienie: było to bodajże w siódmej lub ósmej klasie; mieliśmy właśnie przerwę i staliśmy sobie koło pracowni geografii i ZPT. Dryblas Andrzej w nastroju ułańskiej fantazji zaczepiał sobie dziewczyny, między innymi Bożenę. Na początku starała się go ignorować, ale w końcu doszło do szybkich rękoczynów i Andrzej jak długi wylądował na podłodze. Nam wszystkim mowę odjęło, a Bożenka zdobyła w naszych oczach momentalnie wielką porcję respektu. To był zdaje się okres kiedy ćwiczyła karate. AD, nie gniewaj się, ale akurat mi się przypomniało" (mamut).

Syfon

„Syfon, czyli taka duża butelka wody sodowej, chyba 2 litrowa, na wymianę. Pamiętam, że nigdy nie udało mi się donieść pełnej butelki do domu, choć też nigdy nie wypiłem całej" (LP).

Syrena alarmowa

Na budynku Alei Przyjaciół 31. „Pamiętam tę syrenę bardzo dobrze. Czasem robili próbne alarmy i strasznie wtedy wyło. Mieszkał tam kiedys znany laryngolog, nazwisko chyba Laszko" (LP).

„Miałem chyba cztery, może pięć lat, beztrosko bawiłem się na ulicy, i nagle ta syrena zawyła, na co w ogóle nie byłem przygotowany. Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe. Chyba nigdy nie zwróciłem wcześniej na nią uwagi, a rodzice mnie nie przestrzegli. No więc gdy ona zawyła, wpadłem w absolutne przerażenie. Głos miała tak donośny, wibrujący i przeraźliwy, że wydawał się oznaczać, że za chwilę na boisko szkoły spadnie bomba atomowa. Wydawało mi się, że zaraz ziemia się rozstąpi i wciągną mnie czeluście. W panice pobiegłem do domu; nie było daleko i mieszkaliśmy na parterze (AP 34), ale były trzy schodki w korytarzu, no i upadłem na te schodki, uderzyłem porządnie głową, wydarłem się prawie jak ta syrena, wybiegli dziadkowie, krew się podobno porządnie lała, bo mocno rozciąłem głowę. Trzeba było jechać do szpitala, tam było zszywanie, no i już stałym elementem rodzinnych wspomnień stała się ta moja głowa i syrena. Ślad na czole po tym wydarzeniu mam do dzisiaj i bardzo go sobie cenię" (jd).

„Ja też dzięki syrenie mam bliznę i szwy – ale na dłoni. Też miałam chyba z pięć lat i wracałam z dziadkiem ze sklepu, niosąc w takiej fajnej sznurkowej siatce mleko. Nagle bez powodu zaczęła wyć ta syrena; ze strachu się potknęłam, butelka z mlekiem się rozbiła, a ja bardzo sprytnie na to szkło się wyłożyłam. Oczywiście też był ryk i to jaki, potem szpital i szwy. Następnego dnia za to czułam się bardzo ważna, bo miałam zabandażowaną łapę i mogłam się chwalić, że byłam w szpitalu. Jak się ma pięć lat, to bycie w szpitalu i szwy na prawdę stanowią powód do dumy" (mr). „Potwierdzam więc raz jeszcze: ta syrena naprawdę wyła jak na początek trzeciej i ostatniej wojny światowej, a w latach mego dzieciństwa kwestia wojny rozważana była jako całkiem możliwa (za sprawą wspomnień dorosłych, Kuby, czy na przykład NRF-owskiego – bo tak się wtedy oficjalnie Niemcy Zachodnie u nas nazywały – rewanżyzmu i rewizjonizmu)" (jd). „Wyła jak diabli. Jestem pewna, że jeszcze wielu ludzi może się poszczycić różnymi bliznami, których się dorobili właśnie dzięki niej. Moja blizna mi się przydała, bo jest na lewej dłoni i gdy w zerówce uczono nas, która ręka jest prawa, a która lewa, to ja to od razu świetnie wiedziałam i nigdy mi się nie myliło" (mr).

„Wyła jak cholera. Kiedyś widziałem na podwórku AP 36 (czyli dokładnie naprzeciwko tej syreny) reakcję młodego kotka na jej dźwięk. Wasze upadki to pikuś. Ten kot mało nie wyskoczył z własnej skóry. Biegał w kółko z obłędem w oczach. A my? My ryliśmy ze śmiechu" (Krzysiek).

Szafarewiczowie

„Mieszkali chyba na Al. Przyjaciół 37 lub 35, zaraz naprzeciwko sklepu. On był chirurgiem, ale sie zanarkotyzował na śmierć. Mieli trzech synów i córkę. Mendel i najstarszy Szafarewicz znaleźli w lesie minę i coś przy niej majstrowali. Mina wybuchła, Szafarewicz stracił nogę a Mendel zaczął kuleć. Średni brat Ignacy wylądował w kryminale za chyba morderstwo. Atek, najmłodszy, był zakochany w mojej mamie (ale bez wzajemności) i siedział całe godziny pod oknem kuchni moich dziadków, gdy mama tam odrabiała lekcje. Niestety Szafarewiczowa sporo piła i dołączały do niej Mendelska i Droździakowa. Mama pamięta jak pijana Droździakowa wracała potem do domu z peruką tyłem na przód" (mr).

Szajba

Gra podwórkowa.

Szatkowski Piotr

Czyli longman_70. „Nazywam się Piotr Szatkowski. Wczoraj spotkałem Cinesa na poczcie, powiedział mi o forum, które od kilku godzin czytam. Już dawno chciałem pogadać z ludźmi z podstawówki. Czasem spotykam obydwu Patei, Mikołaja, Zalesia, Ćwirka. Przy najbliższej okazji powiem im o tym forum, gdyby jeszcze nie wiedzieli. Kończyłem SP 7 w roku 1985. Mieszkałem w 10-piętrowym środkowym bloku przy Jeziornej 3. Pozdrawiam wszystkich. Do Andrzeja Drosela: Chłopie nawet nie wiesz jak się ucieszyłem czytając, że żyjesz. Co słychać u twojej siostry Kasi. Bardzo chciałbym spotkać swoją dawną klasę. Cines, a pamiętasz jak wrzuciłeś torbę z książkami na przejeżdżający samochód ciężarowy?" (logman_70).

Szatnia

„Winien wam jestem opowiadania o podpaleniu szkolnej szatni. Muszę uważać co napiszę, bo pamięć już nie ta, a jeden z moich kolegów, który brał w tym udział pojawił się ostatnio na forum. Otóż nie było to właściwie żadne podpalenie szatni, bo przecież nie byłem świrem (chociaż może czasami moje zachowanie było na granicy tego stanu świadomości), tylko chęć dokonania zemsty na jednym z kolegów. W tych dniach w szkole budowaliśmy na lekcji dom z zapałek (super projekt); czułem się prawdziwym inżynierem budowlanym. No i mając zapałki w ręku, a oprócz mojego kumpla żadnych świadków w szatni (wszyscy byli na lekcjach, my chyba się urwaliśmy), wpadliśmy na świetny pomysł, aby podpalić sznurek od worka do kapci osobie, która nam wcześniej dokuczyła. Sznurek palił się jak lont i po chwili worek zleciał z hukiem na ławkę (taką wąską i długą) i było przezabawnie. Zaczęliśmy kombinować, czy by nie podpalić worka jakiejś innej osoby, która podpadła nam wcześniej. Uznaliśmy pomysł za bardzo dobry i po kilku takich workach spadających z hukiem oraz po szybkiej ucieczce przed okiem woźnej spokojnie poszliśmy do domu. A tu za kilka godzin wybuchła na dzielnicy wielka awantura, że ktoś podpalił szatnię i o mało co cała szkoła się nie zapaliła. Nawet nam do głowy nie przyszło, że to my moglibyśmy być winni całego tego zamieszania. Z wielkim więc zainteresowaniem pobiegliśmy zobaczyć, co się dzieje. No i okazało się, że ktoś podpalił worki od kapci i stąd ten ogień i całe zagrożenie. Wprawdzie ognia dużego nie było, a może i wcale go nie bylo, ale był smród i swąd spalonego sznurka i trochę dymu. Mina nam zrzedła i skuleni, wystraszeni spłynęliśmy ze szkoły, aby broń boże nie wyszło na jaw, że to my. Pod wieczór moja mama pyta się mnie jak co dzień, co tam w szkole? Jak to co – opowiadam z zadowoleniem – ktoś podpalił szkołę. Mama spojrzała na mnie z góry, z namysłem, no i pyta, czy przypadkiem nie miałem z tym coś wspólnego. Ja, że nie, gdzież tam, ale w końcu nie wytrzymałem i z rykiem przyznałem się do winy i rzuciłem mamie na szyję ze łzami i przeprosinami. W takich sytuacjach to pomagało, i pomogło

również tym razem. Nie pamiętam dokładnie, jak dyrekcja dowiedziała się o moim wyczynie, ale chyba było dochodzenie, i albo się przyznałem (co jest wątpliwe), albo sypnął mnie mój kumpel, ale myślę, że brak pamięci w tej sprawie jest dobrym zakończeniem mojej opowiastki" (gd).

Szczepańscy

Mieli dom na Rybakach 4, dokładnie na przeciwko Molendów. Dom ten budowany i wykańczany był całe lata i chyba do dziś nie jest dokończony. Dzieci miały na imię Halina i Jurek. Jurek chodził do klasy z jd, zwany był Pepą, a gdy wkurzył kolegów – Pepulcem.

Szczypiorniak

„W czasach, kiedy ja spędzałem całe dnie na boisku, o koszu nikt nie słyszał. Oficjalną grą zespołową był szczypiorniak. Pan Zdzisław Mikołajczyk od WF-u (i awaryjnie od rosyjskiego) w pewien poniedziałek przyszedł do szkoły kontuzjowany, gdyż w czasie gry w szczypiorniaka ugryzł się w język. Nie można go było zrozumieć przez kilka tygodni, bo strasznie seplenił. Ciekawe, że na wielu kontynentach (Australia, obie Ameryki) o piłce ręcznej mało kto słyszał, zwłaszcza w szkole podstawowej. Na boisku jednak panowała oczywiście «noga», chociaż na WF-ie była zabroniona z powodu brutalnego jej charakteru" (morska).

Szkoła

Chodzić tu będzie o szkołę z sensie przede wszystkim budynku szkolnego. Jego adres to Aleja Przyjaciół 42, a wybudowano go w latach 1951-54.

„Zalążek Siódemki to obecny budynek Liceum Katolickiego na ulicy Bałtyckiej. Uczyłam się w nim w trzeciej i czwartej klasie (lata 1951-52). Pamiętam dużą stołówkę w piwnicach szkoły, wielką klasę ze sceną oraz najlepsze koleżanki – Irkę Bargielską i Dankę Nikoniec. Najmilszym przeżyciem w tej szkole była moja pierwsza i ostatnia w życiu wielka wygrana w loterii fantowej – żywy królik! Ten królik i ta wygrana była gwoździem programu zabawy karnawałowej i na pewno będzie znakiem rozpoznawczym mojej skromnej osoby. Dalszą naukę w klasie piątej i szóstej kontynuowałam w SP 4 na ul. Pieniężnego, która stworzyła dla nas filię Siódemki do czasu ukończenia jej budowy. W 1956 byliśmy pierwszymi absolwentami SP 7 już w nowym, jeszcze nieotynkowanym budynku przy Al. Przyjaciół 42. Naszą wychowawczynią była niezapomniana pani Walońska" (AK).

„Pamiętam, kiedy Siódemka nie znajdowała się jeszcze na Al. Przyjaciół! Zacząłem swoją edukacje w starej Siódemce na Bałtyckiej w 1954. Rok potem przenieśliśmy się do nowej szkoły na Al. Przyjaciół. W starej szkole były tylko trzy klasy: pierwsza zaraz na prawo od wejścia, druga i trzecia razem z czwartą. Do tego w tej łączonej klasie była kuchnia z ogromnym piecem" (fundy).

Zgodnie ze zgodnymi wspomnieniami, klasy pierwsze usytuowane były – chodzi już o budynek na Alei Przyjaciół – zawsze od strony sklepu i ogrodu, potem awansowały w inne miejsca.

„Widziałam dziś po raz pierwszy tę waszą szkołę numer 7. Wyglądała cudownie w blasku zachodzącego słońca" (gugu). „Sprawdź, że jeszcze piękniej wygląda w promieniach wschodzącego słońca" (jd).

„Szkoła wygląda dziś ciągle korzystnie, ma nowe dachówki (to znaczy coś takiego dachówkopodobnego); są trochę ciemniejsze niż dawniej. Z tyłu budynku, jeszcze przed wejściem na boisko, były chyba dawniej dwa drzewa (mam racje?), teraz ich nie ma, są za to nowe płytki chodnikowe i wygląda to dość elegancko. Boisko jest całkiem całkiem, bramki (ciągle te same) są odnowione, pomalowane na biało-niebiesko, a za dawną bieżnią

postawione drugie bramki, dzieciaczki mogą więc się nagrać ile zechcą. Boisko do koszykówki też jest dość zadbane, ma się miłe wrażenie, że wszystko to żyje" (jd).

„W gablotach gabinetu fizycznego było mnóstwo ciekawych urządzeń. Dla mnie najciekawsze było urządzenie na korbę do demonstrowania, jak przeskakuje iskra elektryczna pomiędzy dwoma elektrodami zakończonymi stalowymi kulkami. Mieliśmy w klasie zapalonego do wszelkich eksperymentów chemicznych i fizycznych Bodzia Zabłockiego. Po cichu podłączał nieuważnych do tej maszyny elektrostatycznej. Iskra nieźle pieściła, zwłaszcza dziewczyny" (WSKH.). „Ten numer z maszyną też robiliśmy, aczkolwiek na innej zasadzie. Ustawialiśmy się w szeregu i trzepało ostatniego, nieświadomego co się dzieje" (ak). „Na nowych zdjęciach są już w gabinecie fizycznym nowe stoliki. Za moich czasów (początek lat 70-tych) przy każdym był kranik z gazem do eksperymentów. Nie wiem, czy o tym pisałem, ale kiedyś zrobiliśmy bardzo głupi dowcip. Kiedy nauczyciel podpalał strumień gazu przy kraniku na katedrze, ktoś z tyłu dmuchnął do otwartego kraniku na uczniowskiej ławce, no i p. Brzozowskiemu poszła koło twarzy smuga ognia niczym z miotacza. Pewnie to był też jeden z pretekstów do likwidacji kraników" (DD).

„Kiedyś mój kolega po wspólnej rozróbie bał się wrócić do domu na noc i zasnął na drzewie koło szkoły aż go babka zobaczyła tam nad ranem, kiedy szła po mleko do sklepu" (gd).

„Siódemkowicze słuch i zamiłowanie do muzyki mają raczej korzystnie wyrobione dzięki częstym wizytom filharmoników w naszej auli. Robili na przykład konkursy, kto na słuch rozpozna, jaki to instrument. Mnie raz nabrali, bo do trąbki założyli tłumik i ja odpowiedziałem, że to obój. Nie wiem, jak to świadczy o moim słuchu. Może DD oceni fachowo czy faktycznie miałem prawo się pomylić, bo dźwięk był podobny do oboju, czy też po prostu słoń mi nadepnął na ucho?" (WSKH).

„Pamiętam szkołę za czasów dyrektor Fruzińskiej, ale teraz to jest cacko: internet, komputery, siłownia, a kible jakie nowoczesne, no i ta sala do gimnastyki korekcyjnej! Dach nad całością piękny, boisko może jeszcze nie takie, ale to, co ten Bajorek z tej szkoły zrobił godne jest uznania. To jest facet zajebisty, tak dalej, panie dyrektorze, bo to jest nasza szkoła" (niuniek).

„Na święta nasza Siódemka została – jak zawsze – cudownie przystrojona. W oknach świąteczne malunki; nad wejściem choinkowy sznur ozdobny; od frontu rosnące choinki również przybrane, szczególnie ta po lewej stronie przed oknami dawnych gabinetów j. rosyjskiego, geografii i prac ręcznych. Wielki rozłożysty świerk syberyjski (srebrny) wyrósł już po sam dach, a ze świecącymi bombkami wygląda kapitalnie. Może znajdzie się ktoś, kto pamięta, kiedy ten świerk został posadzony, a może nawet ktoś, kto sam go sadził! A tak na marginesie: czy pamiętacie jak to było dobrze, gdy nie chodziło się do szkoły z powodu dużych mrozów?" (WSKH).

„Choinki były zawsze po obydwu stronach wejścia, przez które się nie wchodziło; wchodziliśmy tyłem" (Zbyszek). „Przez wejście główne wchodziliśmy do szkoły gdzieś w połowie lat 70-tych. Odbywała się tam kontrola tarczy szkolnej i kapci na zmianę. A tylne wyjście na boisko było wtedy magazynem na makulaturę" (Fredek). „Magazynek na makulaturę zbieraną na wyścigi przez klasy to było magiczne miejsce" (WSKH). „Sprzed szkoły zniknął gdzieś piękny świerk, który rósł po prawej stronie od wejścia. Szkoda, bo teraz jest niesymetrycznie. Ten, który pozostał udekorowany jest świątecznie, a nad wejściem wisi girlanda z zielonej sztucznej choinki" (Zbyszek).

„Klasy w Siódemce liczyły 26-30 uczniów" (Zbyszek). „Moja klasa na pewno miała ponad 30 uczniów. A klasy tego samego rocznika maksymalnie były do C, ale najczęściej do B" (WSKH).

„Niedawno tam byłem. Stołówka jest nadal i nie różni się od tej sprzed lat. Strych, mam wrażenie, że zamknięty jest jak kiedyś. Szafki ubraniowe na korytarzu, sala gimnastyczna te

same. Ale podobno nowoczesna sala ma być budowana obok szkoły. Siódemka jest chyba jedną z dwóch olsztyńskich szkół bez sali gimnastycznej. Ta nasza to właściwie aula na większe uroczystości. Okiem dziecka była duża, ale teraz widać, że to po prostu maleństwo. Byłem mistrzem swojej klasy w bieganiu na czworaka. Teraz zastanawiam się, jak to możliwe, że na tak małym metrażu nie mogłem czasem wyhamować przed sceną" (WSKH).

„No i mamy naszą Siódemkę w Europie. W naszej szkole na «tak» zagłosowało 1121 osób. Przeciwko było 218" (WSKH).

„Nigdy nie zapomnę wrzucanych znienacka do klasy kopcących petard. Wybryki tego typu były wprawdzie rzadkością, kary za przyłapanie ucznia na gorącym uczynku były poważne, tym bardziej jednak czyniło to owego figla ponętnym. Konstrukcja takiej petardy była bardzo prosta. Pudełko od zapałek wypełniało się połamanymi kawałkami piłeczki od ping-ponga. Materiał ten świetnie nadawał się do tych celów. Zapalony plastik nie dymił się zbytnio, ale spełniał swoje zadanie jak najbardziej. Tu właśnie był ukryty cały sekret petardy. Petardę zapałało się na moment, płomień dość szybko zajmował plastik, następnie pudełko od zapałek szybko się zamykało, co przyduszało płomień. Przyduszony płomień przygasał, a petarda wyrzucała ze swego wnętrza pokaźne kłęby białego, smrodliwego dymu. Żartowniś szybko otwierał drzwi klasy, w której najspokojniej w świecie trwała lekcja, rzucał i uciekał co sił w nogach. Krzyk dziewcząt i duszący dym wypełniał klasę. W atmosferze paniki klasa błyskawicznie pustoszała. Oczywiście petarda była szybko gaszona i wynoszona z klasy. Jednak nieprzyjemny zapach i dym nadal tam pozostawał, w wyniku czego klasa musiała być porządnie wietrzona.

Jeden ze śmieszniejszych znanych mi figli wydarzył się na lekcji WF-u. Przebraliśmy się właśnie w stroje gimnastyczne i czekając na nauczycielkę zaczęliśmy szaleć na materacach ułożonych po obu stronach sceny w auli. Zabawa ta jednak wkrótce nam się znudziła i ktoś wpadł na pomysł, aby jednego z kolegów wsadzić do środka «konia» (czy inaczej: skrzyni do skoków), który stał na środku sceny. Ze śmiechem załadowaliśmy kumpla do środka drewnianej konstrukcji, nałożyliśmy szczytową część konstrukcji i zasiedliśmy na obitym skajem grzbiecie. Kolega wydostać się więc nie mógł. Nagle do sali wkroczyła nauczycielka. W tym momencie zrozumieliśmy, że jeśli nasz więzień zacznie się wydostawać z zamknięcia, to wszyscy dostaniemy po uszach. On również doskonale zdawał sobie z tego sprawę i siedział cicho w środku swego trojańskiego rumaka. Przez uchwyty na dłonie, które służyły do rozbierania konstrukcji na części, śledził rozwój sytuacji. Jak to na początku lekcji, nauczycielka zaczęła sprawdzać listę obecności. Gdy doszło do jego nazwiska, zapiszczał «jestem!» z wnętrza. Nauczycielka nie podnosząc oczu znad dziennika, zaznaczyła obecność i wyczytywała następne nazwisko, nie orientując się kompletnie w sytuacji. Cała lekcja przeszła normalnie: ćwiczenia, gra w siatkówkę itd. Co rusz ktoś z nas zerkał w kierunku drewnianego pudła, ale nic się nie wydało. Po lekcjach oburzony uczeń został wydobyty przez nas na zewnątrz. Był zły, ale także i zadowolony, że cała historia uszła nam wszystkim na sucho i że on okazał się bohatersko cierpliwy. A ja mam teraz o czym wspominać" (mamut).

„Czy za waszych czasów też w gabinecie od biologii były takie słoje z różnymi paskudztwami w formalinie? Pamiętam jak kiedyś ktoś strącił taki słój na podłogę. Ojejciu, jaki był smród! Chyba nawet nie mieliśmy przez jakiś czas lekcji biologii aż do porządnego wywietrzenia sali" (mr). „Okna sali od biologii wychodziły na ogródek szkolny. Raz czy dwa razy w roku ogród był terenem jakichś szkolnych zajęć, a tak stał i zarastał chwastami. Sala do nauki biologii była zawsze jedną z bardziej interesujących. W gablotkach stały dziesiątki szklanych słojów wypełnionych formaliną z preparowanymi zwierzętami lub też ich organami. Poza tym sala była jedną z nielicznych, w których naprawdę były kwiaty. Większość klas albo nie posiadała roślin, albo miała z jedną lub dwie przesuszone paprotki czy fikusy, natomiast w sali od biologii było ich znacznie więcej. Na początku mojej edukacji nauczycielką biologii była pani Ekier (chyba tak się pisze jej nazwisko), która uczyła również

i geografii. Pamiętam, że kiedyś musieliśmy odbywać zajęcia z biologii w sali geograficznej, ponieważ smród w biologicznej był nie do zniesienia po tym jak jeden z uczniów stłukł naczynie z formaliną" (mamut).

„Chyba jeszcze więcej zamieszania było po tym, jak ktoś na korytarzu puścił kwas masłowy. Cała szkoła uciekała na zewnątrz" (WSKH). „Ja też coś takiego pamiętam. Ten numer był chyba robiony kilka razy. Pamiętam też, że wlazło toto w szczeliny w parkiecie i trzeba było sporo zachodu, żeby można było w budzie wysiedzieć. Ze smrodliwych pomysłów pamiętam też okres «terroru zgniłych jaj». Rzucano tym na ulicy w przejeżdżające samochody. Kiedyś oberwał nawet sąsiad jadący na motocyklu. Spodnie ze skóry były do wyrzucenia, bo nie dało sie wywabić odorku" (ak).

„Na dachu szkoły zawsze sterczały trzy długie anteny. Czy ktoś wie, do czego to było używane? Nigdy nie słyszałem o żadnym kółku radiowym w Siódemce" (mamut).

„W okresie przed samą zima była dobra możliwość zwiania z lekcji. Przywozili nam wtedy węgiel lub koks i trzeba go było «łopatować» do piwnicy. Oczywiście w czasie pauzy zasuwaliśmy jak psy, ale po dzwonku można się było schować w piwnicy i trochę odsapnąć. Dobrze też było być w tamtych czasach wysokim. Było się niezbędnym a to do wieszania zasłon lub firan, a to do innych odpowiedzialnych zadań. Szczególnie wartościowe było to na lekcjach Draganki" (AD).

„Zawsze bardzo lubiłem ferie zimowe. Czasem nawet korzystałem z feriowych zajęć w naszej budzie. Było jakoś tak inaczej niż normalnie, bez szkolnego stresu i na wesoło. Pamiętam, że obowiązkowo oglądało się w sali fizyczno-chemicznej jakieś kreskówki lub Colargole. Lodowisko szkolne też złe nie było, choć wolałem jezioro. No chyba że sypnął śnieg. Którejś zimy bardzo długo śniegu nie było, ale za to była bardzo mroźna pogoda i Jezioro Długie zamieniło się w jedną wielką zamarzniętą taflę, może tylko odrobinę chropowatą. Ależ śmigało się wtedy na łyżwach" (mamut).

I kilka wieści i wrażeń najświeższych:

„Byłem w szkole 22 kwietani 2006 roku na Dniu Otwartym. Te korytarze, schody, drżenie przed gabinetem jednej z nauczycielek... Miłe wspomnienia, ale wszystko jakieś mniejsze: sale, korytarze, schody, ławki" (Zbyszek). „Dzisiejasza sala z komputerami to słynna sala ze stołami trzysobowymi, czyli sala fizyki i chemii, czyli także sala projekcji filmów i pracownia Filuta. Zaś salka w głębi, za sklepikiem i obok biblioteki, została utworzona z mieszkania – służy jako sala do gimnastyki korekcyjnej" (karolina).

Szkoła Podstawowa nr 14

Położona za tunelem, prawie na przeciw Dworca Zachodniego, trochę w stronę Kościoła Garnizonowego.

„W późnych latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych z 14-tką nie bardzo się lubiliśmy, ale ja żadnych negatywnych sytuacji nie pamiętam" (mamut). „Rzeczywiście, nie lubiliśmy się z 14-tką, ale nie przejawiało się to w żadnymi rękoczynach, przynajmniej ja o niczym takim nie wiem. I nie do końca wiadomo, dlaczego właściwie nie lubiliśmy 14-ki" (Zbyszek). „Ja właściwie lubiłem 14-tkę, bo chodził do niej mój przyjaciel Boguś Molenda, a poza tym trudno coś znaleźć w Olsztynie, czego bym nie lubił, i z latami to narasta" (jd).

„Czternastka, czyli buda im. Karola Świerczewskiego, nieźle wykazała się na kilku olimpiadach sportowo-matematyczno-rusycystycznych i chyba dlatego były wobec niej tego typu chłodne uczucia. Ale tak ogólnie nigdy nie było konkretnych powodów. Osobiście znałem kilkunastu bardzo fajnych 14-tkowiczów i nic negatywnego powiedzieć o nich nie mogę. Natomiast z architektonicznego punktu widzenia budynek 14-tki był jakiś taki nie specjalnie uroczy. Poza tym wciśnięty w nie najlepsze moim zdaniem miejsce. Sąsiedztwo Dworca Zachodnim też chyba do najlepszych nie można zaliczyć. Plusem za to 14-tki była

bliskość do Zamku i Starówki. Pobliski park zresztą też niczego sobie, także Łyna, choć do jeziora nie da się tego porównać" (mamut).

„14-tka stała się Karola Świerczewskiego dopiero w pewnym momencie, i wtedy postawili tam tę głowę przypominającą Kojaka" (jd). „W dniu nadania szkole imienia gen. Karola Świerczewskiego (31. VIII. 1976 r.) na wielką uroczystość zostały zaproszone delegacje ze wszystkich szkół z Olsztyna. Chciałbym przypomnieć, że rok szkolny w roku 1976 rozpoczął się 21 sierpnia, tak więc impreza w 14-stce była świetną okazją do urwania się z lekcji" (mir-mur). „Popiersie Karola zniknęło w tajemniczych i cichych okolicznościach jakiś czas temu" (Zbyszek). „Pomnik Świerczewskiego wyrzeźbił mój tata; potem, gdy głowa Świerczewskiego przestała być potrzebna, została zabrana przez ojca. Podobno ojciec dospawał wąsy (głowa była chyba żeliwna albo coś takiego) i zrobił z niego Witosa. Nie wiem co dalej, bo nie śledziłem rozwoju wypadków" (miki).

„14-tka była jedną ze szkół tzw. tysiąclatek, bo zbudowana została na tysiąclecie Polski i chyba w zamiarze władz PRL-u było wybudowanie tysiąca takich szkół. Wszystkie poznać można bardzo łatwo, bo są prawie jednakowe, np. w Olsztynie taką tysiąclatką jest także 17-tka. Do naszej Siódemki 14-tka oczywiście się nie umywa. Ale też obie szkoły coś chyba łączy, bo w końcu leżą po przeciwległych stronach tego samego nadzwyczajnego Jeziora Długiego. Poza tym wielu z nas chodziło i do Siódemki, i do 14-tki; gdy na przykład kogoś wyrzucili z jednej szkoły, to szedł do drugiej. Ja mieszkałem kiedyś obok 14-tki na Pekinie. W pierwszej i drugiej klasie chodziłem stamtąd do Siódemki pieszo. Potem też pieszo, ale już z Alei Przyjaciół. Mój brat siedem lat chodził do 14-tki, a w ósmej przeniósł się do Siódemki" (WSKH).

Dziś Czternastka już nie istnieje, a w jej budynku znajduje się Gimanzjum nr 5.

Szlaczki

„Ja wygrzebuję jeszcze z pamięci tzw. szlaczki, czyli kolorowe, bardzo urozmaicone, rysowane kredkami paski, oddzielające poszczególne lekcje w zeszycie. Gdy człowiek ledwo co dopiero pisał, całą energię wkładał w te szlaczki" (jd).

Sznur od żelazka

„W latach mojego dzieciństwa na Alei Przyjaciół nie obowiązywał dzisiejszy rygorystyczny (i słuszny) zakaz bijania dzieci. Nie znam na szczęście przykładów z tamtych lat jakiegoś znęcania się nad dziećmi, ale lania sie zdarzały. Dostawało się ścierką od mamy, pasem od taty, ale w mojej pamięci pozostał (raczej czarno-humorystycznie) jako narzędzie «tortur» sznur do żelazka. Wtedy żelazka miały osobny sznur wkładany w specjalny wtyk w żelazku, no i faktycznie było to poręczne narzędzie straszenia (bo raczej w sumie nie bijania) niegrzecznych milusińskich" (jd).

„Ja sznurem od żelazka nie dostałem, ale u mojego kolegi taki sznur wisiał w kuchni za drzwiami. Pamiętam, że ciarki przechodziły po plecach na sama myśl... Omijaliśmy ten sznur jak najdalej się dało" (LP).

Sztiopa

Czyli Sławek Jelewski, najlepszy piłkarz osiedla. Jego udział w drużynie klasowej gwarantował w zasadzie zwycięstwo – był trampkarzem OKS Stomil. Pracuje teraz na stacji CPN (jego córka jest mistrzynią juniorek Polski w boksie i jest w kadrze juniorek judoków).

Szuszkiewicz

Szwejk Jarek

Swego czasu uczeń Siódemki, dziś właściciel knajpy „U Jana" na Starówce, często goszczącej Siódemkowiczów. „Jarek Szwejk zabawiał nas, jak przystało na gospodarza i jednocześnie pracował. Później dołączył Jarka brat Piotr, ale my zbieraliśmy się już do wyjścia" (karolina). „Szwejk się naprawdę wysilił, aby nam coś dobrego przygotować i zaprezentować w trakcie spotkania" (Fredek).

„Kiedyś Jarek Szwejk zatańczył na szkolnej dyskotece z dziewczyną z niższej klasy i jego brat Piotrek śmiał się z niego chyba z piętnaście minut, że tańczył z taką małolatą" (zyby).

Szwejkowscy

Mieszkali w suterynie na Rybakach 6. Bogdan, straszy brat (chyba Jurek) i młodsza siostra.

„Dziś się dowiedziałem, że wczoraj lub przedwczoraj w Jeziorze Długim utopił sie Bogdan Szwejkowski z Rybaków. Założył się, że przepłynie... Przepraszam za smutne wieści" (Zbyszek). „Byłem tego niemal świadkiem. Popijali tanie wina na brzegu przy budynku pierwszej szkoły (koło kiosku). Byłem akurat na spacerze. Jeszcze słyszałem jak jeden z nich mówił «to polej ostatniego». Poszedłem na spacer wokół jeziora, a tymczasem już podjechała ekipa ratunkowa. Wcześniej próbował ratować go przechodzący mężczyzna. Wyciągnęli go przy mnie po pięciu minutach, ale lekarze nie dali rady odratować" (WSKH). „Podobno założyli się po pijaku o pół litra... Co za bezsens i głupota" (Zbyszek).

Szymańscy

Marek był kolegą z klasy Fredka. Mieszkał na Rybakach niedaleko przedszkola i miał brata Michała (michal.szymanski.free.fr, podroze.szymanskich.net/kontakt/). Michał ukończył Siódemkę w roku 1990 (wychowawczynią była pani Dragan).

Szyszkowscy

Znajomi WSKH. Mieszkali na parterze na Bałtyckiej 17, obok Fredka i mamuta (Bałtycka 19). Dariusz Szyszkowski stał się wątpliwym bohaterem kilku publikacji prasowych i intenetowych; oto jedna z nich:

„W Warszawie powstało stowarzyszenie Temida zrzeszające ludzi poszkodowanych przez oszusta Dariusza Szyszkowskiego. Wśród jego ofiar są premier Marek Belka, wicepremier Jerzy Hausner i lider SDPL Marek Borowski. Dariusz Szyszkowski to nowe wcielenie Nikodema Dyzmy. Ten 41-letni mechanik samochodowy z Olsztyna pojawił się na warszawskich salonach pod koniec lat dziewięćdziesiątych, podając się za prawnika z Niemiec. W 2000 roku założył Instytut Gospodarki i Społeczeństwa skupiający polityków związanych z lewicą, który po wygranych wyborach miał doradzać rządowi. Gdy członkowie instytutu zorientowali się, że Szyszkowski to oszust, usunęli go. Do dziś jednak naciągacz korzysta z tego, że kiedyś działał w jednej organizacji ze znanymi osobistościami polityki. Pokazuje swoim ofiarom kopię dokumentu – z Krajowego Rejestru Sądowego, według którego jest dyrektorem finansowym Instytutu Gospodarki i Społeczeństwa, którego prezesem jest premier Marek Belka, a członkami m.in: Jerzy Hausner, Marek Borowski i urzędnik Ministerstwa Skarbu Państwa Bogdan Kokoszka. Przed paroma tygodniami, powołując się na znajomości z politykami lewicy, Szyszkowski oszukał Wiktora Adamskiego z Sochaczewa. Sprzedał mu udziały w spółce Cemkor, które nie były jego własnością. Jedną z osób, które zaufały Szyszkowskiemu, jest założyciel stowarzyszenia Temida Andrzej Łętowski, twórca jednej z największych firm w branży komputerowej. Oszust naciągnął biznesmena na ponad 100 tys. zł, sprzedając mu udziały w firmie, którą wcześniej zbył innej osobie. Biznesmenów, którzy padli ofiarą oszusta i poinformowali o tym policję, jest więcej. To z ich inicjatywy powstało stowarzyszenie Temida, które zamierza uczestniczyć w sprawach przeciwko

oszustowi jako oskarżyciel posiłkowy. W warszawskich sądach przeciwko Szyszkowskiemu toczy się kilka spraw. Jedną z jego ostatnich ofiar jest Tomasz M. z Olsztyna, od którego Szyszkowski wyłudził kilkadziesiąt tysięcy zł. Szyszkowski przechwala się, że ma znajomości w sądach. Ścigał go też olsztyński urząd skarbowy i komornik. Szyszkowski przeprowadził się do Warszawy, gdzie założył kilka oszukańczych firm".

Tyle prasa, ale i my mamy swoje informacje: „Dariusz Szyszkowski ma 43 lata. Absolwent Siódemki, rocznik 1976/77. Mieszkał kilka lat w Niemczech. Chodził do klasy wyżej ode mnie (razem z Markiem Mierzejewskim i innymi). Mieszkał na Bałtyckiej koło mnie, w pierwszym bloku na parterze. Ja go dość dobrze pamiętam" (Fredek). „Fredek, mnie też się przypomina, że mieszkał chyba na Bałtyckiej 17, pod nr 2. Jego ojciec był chyba wojskowym. Jeśli się nie mylę, to był z niego wysoki gościu" (mamut)". „Numer 17, mieszkanie 2 albo 3. Czy ojciec był wojskowym, nie pamiętam. Miał starsze rodzeństwo: siostrę Iwonę i brata Sławka. Mieli Wartburga, który zawsze stał obok bloku. Ten Wartburg był bodajże wygrany w jakiejś loterii. Ale może się mylę" (Fredek). „Masz rację, oni mieli Wartburga, a parkowany był dosłownie pod ich oknem, tak jakby naprzeciwko śmietnika" (mamut).

Ś

Ściąganie

„Ściąganie było zawsze nieodzowną częścią nauki w szkole. W pewnym sensie był to właściwie sposób uczenia sie, może nie do końca uczciwy, ale jednak. Ja osobiście niewiele ściągałem, może zdarzyło się to ze trzy-cztery razy w ciągu całej mojej nauki w Siódemce. Wiem, wiem, dziwnie mało; może jestem jakimś dziwakiem, ale tak akurat wyszło. Po raz pierwszy ściągałem na geografii. Nie pamiętam dokładnie, która to była klasa, czwarta czy piąta, ale pamiętam, że dotyczyło to moje ściąganie długości granic Polski. Mam ogólnie świetną pamięć, wybiórczą, ale naprawdę niezłą. Nie mogłem jednak zapamiętać za nic długości tych granic. Przed klasówką wypisałem więc delikatnie pod blatem ławki długości tych nieszczęsnych granic. Najśmieszniejsze było to, że właśnie przez to zapisanie zapamiętałem wreszcie długość tych granic. Zerknąłem na nabazgrane informacje tylko raz i zrobiłem to bardziej dla potwierdzenia, że się nie mylę niż dla samego ściągnięcia. Samym jednak faktem ściągania byłem bardzo zdenerwowany, strasznie obawiałem się, że mógłbym wpaść. Ściąganie w późniejszych klasach stawało się sztuką. Dziewczyny miały bardziej rozwinięte metody ściągania niż chłopcy, choć i tym nie brakowało pomysłowości. Jedną z dziewczęcych metod było włożenie zapisanego skrawka papieru pod rajstopami poniżej linii spódnicy. Wystarczająco nisko, żeby było łatwo podwinąć skrawek materiału i zerknąć na tekst, ale zarazem wystarczająco wysoko, aby nauczyciel tego nie zauważył. Trick ten najlepiej działał na nauczycieli mężczyzn, gorzej było z paniami; pamiętam jak Borkowska odkryła taką ściągę u jednej z dziewcząt. Poprosiła dziewczynę do składziku usytuowanego za klasą chemiczno-fizyczną i kazała jej unieść spódnicę. Wpadka jakich mało. Borkowska z takich sytuacji potrafiła robić sceny. Chłopcy mieli inne pomysły, np. takie jak pisanie na podeszwach trampek lub tenisówek kolegów siedzących naprzeciwko, tak żeby łatwo było zerknąć na tekst na nich napisany. Pisanie pod ławkami było rutyną. Borkowska uwielbiała od czasu do czasu zaganiać nas do zmywania tych wypocin denaturatem, który swego czasu był ulubiony trunkiem olsztyńskich meneli (tym, którzy nie pamiętają przypomnę, że był to płyn niebiesko-fioletowy, miał wizerunek trupiej czaszki na etykietce, a butelka była identyczna jak butelka od wódki)" (mamut).

Śliwińska Krystyna

Z rocznika 1961/62; koleżanka klasowa jurka. „Przebywa od wielu lat w Niemczech, ale systematycznie bywa w Olsztynie. Jej ojciec nadal mieszka na Alei Przyjaciół pod nr 45. Krysia nie zmieniła się bardzo, może tylko akcent już nie jest polski, ale nie dziwię się, bo będąc tam nie obcowała z Polakami" (gaga).

Śliwinski Wojtek

Pseudo „Faszysta". Kolega gd.

Śmigus-Dyngus

Zwany też lanym poniedziałkiem. „Czasami polewanie śmigusowe nabierało niewyobrażalnych form. Zaczynało się całkiem spokojnie, a to w domu ze szklanką, a to na korytarzu z garnkiem. Z czasem «apetyt» się wzmagał, więc każdy wykorzystywał swoje możliwości. Ja na przykład wykorzystywałem daszek nad wejściem do środkowego bloku na Jeziornej. Z pokoju mojej siostry mogłem wyjść na ten daszek i przyczaić się na tych, którzy mi w korytarzu umknęli. Zaopatrzony w kilka pojemników czekałem na moje ofiary, które niepewnym krokiem wychodziły z klatki, szukując wzrokiem potencjalnych polewaczy. Po chwili niepewności wysuwali się spod daszku i... otrzymywali wiaderko wody prosto na głowę. Nieco późniejszym przedpołudniem dochodziło do międzyosiedlowych starć, które chłonęły hektolitry wody. W czasie powrotu z kościoła reszty ludności osiedlowej dochodziło do koalicji wodnych brygad. Wtedy właśnie napełniano pojemniki wodą z Długiego i czekało się na autobusy na przystanku. Niektórzy kierowcy próbowali ratować ludzi i zatrzymywali się albo trochę wcześniej albo trochę dalej od przystanku, ale byli i tacy, którzy stawali na przystanku i bez sumienia otwierali wszystkie drzwi. Jednego razu przyjechała nawet milicja, bo ktoś się trochę wzburzył, ale stróże prawa mu powiedzieli, że jak nie lubi tradycji, to niech siedzi w domu. Facet zły odwrócił się i poszedł do domu, a milicjant dał nam kiwnięciem głowy do zrozumienia, że gościu powinien jeszcze jedno wiaderko zarobić. Oczywiście wykonaliśmy zadanie z pełnym sukcesem; gościu przeklinał jak furiat, a «smerfy» zrywały z nami boki" (AD).

„Laliśmy wodę skromnie, z sikaweczek, parę kropelek wody tu, parę tam, a ojciec mamuta, co? Całym wiadrem (dzięki bogu, że ciepłej), i to po oczach. Na dodatek ja na to wiadro jeszcze cierpliwie czekałam pod drzwiami. Zanim dojechałam do domu ubranie zamarzło mi na kość – nigdy wcześniej i nigdy potem nie maszerowałam w tak zamrożonym pancerzu" (borasca).

Śniadanie (Fredka)

„Codziennie rano robiło się na śniadanie świeże zakupy w SAM-ie na rogu Bałtyckiej i Jeziornej. Twaróg w kawałku, śmietana, świeże bułki i mleko. Twaróg rozrabiało się ze śmietaną i cukrem (w sezonie dochodziły do tego truskawki! Ach!), i jadło się to ze świeżutkimi bułkami. Do tego zimne mleko bez kożucha (ciepłe i gorące mleko z kaszką dostawały tylko młodsze siostry w butelce ze smoczkiem; one nie mogły się wtedy jeszcze bronić)" (Fredek).

Śnieg, śnieżki

„Pamiętam wielkie walki na śnieżki. Czasami się zdarzało natrzeć wroga śniegiem lub też samemu zostać natartym; to drugie – okropne. Którejś zimy w klasie czytaliśmy fragment z książki «Serce» Amicisa. Fragment dotyczył bitwy na śnieżki pomiędzy grupkami młodzieży; wszystko działo się chyba na początku wieku (XX-tego). W czasie walki na śnieżki przechodzący obok starzec został przypadkowo uderzony w głowę ubitą bardzo twardo śnieżką. Śnieżka trafiła go dokładnie w oko i stracił wzrok. Oczywiście nie doszłoby do tego,

gdyby nie to, iż jeden z chłopców ubił śnieg w twardą lodową bryłę. Pamiętam, że za sprawą tej czytanki byłem potem ostrożniejszy z rzucaniem śnieżek, a przede wszystkim nie ubijałem ich nigdy w twarde kule" (mamut).

„Rzucało się śnieżkami przed szkołą w tych, co wychodzili ze szkoły głównym wejściem. Niebezpieczeństwo wzrastało, gdy wychodziła jakaś nauczycielka!" (WSKH).

Świat Młodych

„Nieodzowną częścią mojego dzieciństwa w czasach podstawówki był «Świat Młodych». Chodzi oczywiście o gazetę harcerską wydawaną bodajże dwa razy w tygodniu. Zdaje się, że wychodziła we wtorki i czwartki. Mój ojciec zaprenumerował w swoim biurze to pismo i dostawałem je przez lata regularnie. Czytałem je praktycznie od deski do deski. Oczywiście ulubioną stroną «Świata Młodych» był komiks. Na tych stronach drukowany był między innymi «Tytus, Romek i A'Tomek», «Kleks», a także «Przygody Kubusia Piekielnego». Czytałem prawie wszystko, może tylko kółko astronomiczne nudziło mnie trochę. Ale muszę przyznać, że do dziś lubię zerkać w nocne niebo. Pismo nie była drogie, kosztowało chyba 1.50 zł. To się chyba zmieniło z czasem, ale ja zawsze swoje dwa wydania w tygodniu otrzymywałem regularnie. Często próbowałem też gier, kodów, propozycji majsterkowicza z tego pisma. Moje późniejsze zainteresowanie komiksami zawdzięczam chyba w dużej części właśnie temu pismu. Lubiłem często powracać do starych pożółkłych wydań i czytać je raz jeszcze" (mamut).

Świeca dymna

„Piłeczkę pingpongową łamało się na małe kawałki (nadawały się też do tego różne inne plastiki, np. laleczki od siostry). Kawałki wkładało się do pudełka od zapałek. Podpalało się ten plastik w pudełku i jak się to już dobrze rozpaliło, to zamykało się pudełko, żeby plastik się tlił i dymił. Później można to było gdzieś podrzucić. Zdrowe to na pewno nie było, ale ściana dymu była zawsze pewna" (Fredek).

„A my kiedyś wzięliśmy puszkę po kawie Ince, naładowaliśmy pleksa i do rynny! Możecie sobie wyobrazić, co się działo! Oczywiście była także straż pożarna i milicja. To wszystko działo sie na placyku, a my spokojnie obserwowaliśmy całe wydarzenie z wieżowca na Jeziornej" (LP).

Świerszczyk

Nic z tych rzeczy. Czasopismo dla młodzieży; ci, którzy już wyrośli z «Misia», a jeszcze brakowało im nieco do «Płomyczka», «Płomyka» i «Świata Młodych», czytali (z mozołem) właśnie «Świerszczyk».

Świetlik Ewa

Zwana „Pchełką". Koleżanka z klasy Iwony i Ewy T. Mieszkała na Alei Róż, była też dzielnicową sympatią gd. Jej tata pracował w olsztyńskim radio.

T

Tabędzki Janusz

Kolega a klasy DD. Niedawno zmarł w wieku 45 lat. Miał siostrę Bożenę, z którą chodził do lasy Zbyszek. Tabędzki był sąsiadem rb (Aleja Przyjaciół 11), kiedyś nawet wybił śnieżką w mieszkaniu rb szybę.

Tablica

Chyba centralne miejsce klasy; można powiedzieć, że niemal klasowy ołtarz. Tu składało się ofiary i święciło triumfy. Tablica wymagała uwagi i troski zarówno umysłowej, jak i ręcznej.

„Wycieranie tablicy po lekcji należało do dyżurnego. W pamięci pozostał mi najgorszy dla tablic dzień 1 kwietnia. Smarowało się wtedy tablicę skórą od słoniny. Po takim zabiegu pisanie kredą było absolutnie niemożliwe" (Fredek).

„Obsadek, kałamarzy i stalówek dziś już wprawdzie nie ma, ale czarne tablice z kredą są jak najbardziej, i to na wszystkich szczeblach nauczania, także w moich okolicach, i do dziś uwielbiam pisać kredą na czarnej tablicy; wprawdzie są teraz i białe z flamastrami, ale to jest dziadostwo i pomyłka" (jd)

Taksówki

Może to niektórym wyda się dziwne i prawie niemożliwe, ale w latach 60-tych można było w Olsztynie telefonicznie zamawiać taksówkę, i to mimo tego, że były to czasy, że i z taksówkami i z telefonami (z ich posiadaniem) był duży kłopot. Na postoju taksówek, chyba koło sądu, a może koło wysokiej bramy, była budka z daszkiem, a w niej telefon, który odbierał pierwszy czekający taksówkarz, i można go było wezwać.

Tarcza szkolna

„Wątpię co prawda, czy ktokolwiek jest jeszcze posiadaczem autentycznej tarczy szkolnej Siódemki, ale może jednak ktoś jakimś cudem ma jeszcze gdzieś jakąś uchowaną tarczę szkolną z dawnych lat, którą tak pieczołowicie przyszywało się do fartuchów, swetrów i kurtek. Pamiętacie, jakie afery były, gdy ktoś nie miał jej przyszytej na właściwym miejscu? Później przyszły czasy tarcz na agrafkach lub oskrobanych tarcz bez liter. W każdym razie, jeśli ktoś jest właścicielem takowego zabytku miło by było, gdyby takowy obiekt udało się zeskanować i gdzieś opublikować" (mamut). Mamut okazał się tu człowiekiem małej wiary. Tarczę szybko odnaleziono, zeskanowano i do dziś otwiera Siódemkową stronę internetową Fredka

„Moja tarcza najczęściej była na trzech zagiętych szpilkach. Filut czasem sprawdzał czy przyszyta" (Zbyszek). „Tarczę przypinało się do rękawa agrafką, tak aby po wyjściu ze szkoły można ją było od razu odpiąć" (mr). „W tamtych czasach obciachem było pokazać się z przyszytą tarczą" (miki). „Przez długie jednak lata tarcza w kieszeni albo na agrafce się nie liczyła; musiała być przyszyta" (Fredek). „A sprawdzała najczęściej niezapomniana pani woźna" (LP).

Tarcza wzorowego ucznia

„Tarcza wzorowego była owalna, czerwona, z białym tekstem; można ją obejrzeć na stronie mojej i Fredka. Sam dałem radę z tym wzorowym chyba do czwartej klasy. Potem bywało różnie, szczególnie za sprawą pań Dragan i Kraszewskiej. Taki los" (ak).

Teatr

„Lata temu, byłem wtedy w drugiej lub trzeciej klasie podstawówki, szkoła zabrała nas do teatru Jaracza na przedstawienie Pasterki. Był to dla mnie pierwszy regularny spektakl teatralny; wcześniej zaliczałem tylko kukiełkowe. Ten prawdziwy teatr zrobił na mnie ogromne, iście fenomenalne wrażenie. Już zawsze byłem od tego momentu podekscytowany teatrem i do dziś ogromnie teatr lubię. Trzeba przyznać, że mimo, iż temat był religijny, to jednak szkoły na to chodziły. Bardzo dobre w odbiorze to było dla dzieci; artyści włożyli w przedstawienie dużo serca, a wrażenie na małych widzach wywarł spektakl wielkie. Potem zaliczyłem ze szkołą również inne spektakle w Jaraczu, ale niewiele tytułów pamiętam. Były chyba „Przygody Robin Hooda", „Lolek i Bolek w kosmosie", „Panna z mokra głową", „Do

wójta nie pójdziemy", „Wesele" Wyspiańskiego – jednak coś zapamiętałem. Teatr to niezła rozrywka, także dla małolatów. Ciekaw jestem, czy szkoły nadal uczęszczają do Jaracza" (mamut).

Telefon

W zasadzie telefonów prywatnych prawie kiedyś nie było, jednak się zdarzały. „Moi sąsiedzi mieli telefon w latach 60-tych i cieszyli się dużą popularnością w okolicy. Do wyboru było skoczyć na piętro do pani X albo śmigać do budki na Bałtyckiej. Ciekawe, czy dzisiaj ludzie okazywaliby sąsiadom tyle życzliwości i cierpliwości. Telefon to było marzenie, które załatwiało się poprzez prawidłowo ukierunkowane łapówki, a nawet i wtedy czekać trzeba było długo na ten bakielitowy łącznik ze światem" (nat).

„To niemal niemożliwe (a o łapówkach legendy rodzinne milczą), ale u mnie zawsze był telefon, o numerze 54-53, wykorzystywany przez pół ulicy. Co ciekawe, na postoju taksówek w Śródmieściu (chyba koło sądu) był w latach 60-tych pod daszkiem telefon taksówkarzy, na który można było zadzwonić i wielkopańsko zamówić taksówkę (dojazd z Alei Przyjaciół do Śródmieścia kosztował minimalną kwotę – 4.50; z tym że brali także za dojazd, więc wychodziło około 10 zł.). Taka jest prawda czasu, prawda epoki" (jd).

Teler Ewa

Ewa mieszkała na Alei Przyjaciół 19, i tam jeszcze mieszka jej mama; była koleżanką klasową Iwony. Ma siostrę Alę, która z kolei była koleżanką nat. Ewa nie mieszka już w Olsztynie, ale w Warszawie, natomiast Ala wręcz odwrotnie.

Telewizja

Początkowo telewizorów było mało i chodziło się oglądać do sąsiadów, ale postęp był w tej dziedzinie szybki i ogromny także na Alei Przyjaciół.

„Oto moje ważniejsze wspomnienia telewizyjne: 1. «Zrób to sam», które istniało zanim ktokolwiek planował istnienie «Teleranka». Najważniejsza w programie była specjalna strzałka-wskaźnik Adama Słodowego, którą wskazywał on szczegóły swych działań. 2. Marek Grot, który przed «Ekranem z Bratkiem» prowadził «Konkurs 5 milionów» – zawody szkół na sali gimnastycznej. 3. «Zwierzyniec», którego częścią najważniejszą była składanka z trzech filmów: Psa Huckelberry, Kota Jinxa (i myszek Pixie i Dixie) i Misia Yogi. 4. Oglądałem legendarnego «Misia z okienka», który wcale nie był dobranocką, jak niektórzy dziś myślą. 5. Zapadł mi też w pamięć (obok na przykład «Kabaretu Starszych Panów») program o polityce międzynarodowej «Światowid», prowadzony przez smutnego faceta nazwiskiem Dylewarski. 6. W niedzielę Jan Wilkowski występował z dużą kukiełką nazywaną Golon, ale tego nie znosiłem, bo wydawało mi się, że takie programy zabierają czas, który normalnie byłby przeznaczony na filmy rysunkowe. 7. Pamiętam też, gdy «Kloss» nie był jeszcze filmem, tylko Teatrem Sensacji" (jd).

„Moje filmy tych czasów: «Bonanza», «Zorro», «Przygody Marka Piegusa»..." (WSKH). „A «Gąska Balbinka»? Nikt o niej już nie pamięta?" (mamut).

„Jak większość dzieciaków byłem telemaniakiem. Wszystko co mogłem oglądać, oglądałem. Telewizja do dziś zresztą jest jedną z moich ulubionych rozrywek, aczkolwiek zmienił się nieco repertuar tego, co oglądam. Stałem się nieco bardziej wybiórczy. W latach dzieciństwa, jak pewnie większość z was, oglądałem co niedziela «Teleranek», w poniedziałki «Zwierzyniec», w czwartki był, jak mi się zdaje, «Smok Telesfor», do którego po jakimś czasie dołączył inny, mniejszy bazyliszek, którego imienia nie pamiętam, ale może to był Bazyli. Był też «Jacek i Agatka». Z kreskówek, czy też filmów animowanych, utrwaliły mi się w pamięci: «Zaczarowany ołówek», «Reksio», «Piesek w kratkę», «Przygody Misia Colargola», «Kot Filemon» – bardzo je wszystkie lubiłem, ale kto ich nie lubił? Były też

«Przygody Pyzy», «Przygody Koziołka Matołka», «Mały rycerzyk», czy coś w tym stylu, w każdym razie kreskówka z karcianymi postaciami – może ktoś z was pamięta tytuł? Do tego dochodzi późniejsze «Porwanie Baltazara Gąbki» (smok Wawelski i Barłomiej Bartolini herbu Zielona Pietruszka), później także pojawił sie «Miś Uszatek», «Pomysłowy Dobromir», który zawsze coś tam broił u dziadka – taki chłopak chyba trochę spokrewniony z Adamem Słodowym. Oczywiście oprócz kreskówek była spora ilość poważniejszych hitów telewizyjnych, jak np. «Podróż za jeden uśmiech», «Gruby i spółka», «Stawiam na Tolka Banana», «Czterej pancerni i pies», «Pies Cywil», «Wakacje z duchami», «Wojna domowa», «Porwanie Majki Skowron», «Karino», itd... Nie było tak źle z tą naszą telewizją w tamtych czasach" (mamut).

„Mały smok od Telesfora nazywał się Teodor. A program nazywał się «Pora na Telesfora». Ja z tamtych lat świetnie zapamiętałem «Świętego» (Roger Moore alias Simon Templer i Tony Curtis), także serial «Wielkie ucieczki» oraz serial biograficzny o Leonardzie da Vinci" (Fredek).

„Tego na pewno nikt nie pamięta: «Złamana strzała» (o Apaczu Koczisie), «Doktor Kildaire» (młodziutki Richard Chamberlaine), «Kółko i krzyżyk» (teleturniej), «Poznajmy się» (Fedorowicz z Kobielą)" (jd).

Tęgowscy

Dziadkowie mr; mieszkali na Alei Przyjaciół 39, na parterze. Ich córka Jola, mama mr, oczywiście chodziła do Siódemki, podobnie zresztą (i też oczywiście) jak jej siostra Bożena.

„Od czasu do czasu przynosiłam do domu albo jeże z lasu, albo jakieś inne stworzonka, które wymagały opieki lekarskiej mojej babci. Raz nawet babcia jakiejś sowie zszyła skrzydło na okrętkę i chyba sowa była z tej «operacji» zadowolona.

Kiedyś na biologię babcia spreparowała mi szkielet ryby, a i tak dostałam chyba tylko 4. Miałam do niej straszny żal.

Moja babcia miała do różnych pomocy mojego dziadka, ale w sytuacjach podbramkowych dziadek przeważnie uciekał do klubu filatelistów, i babcia sama zmuszona była na przykład do mordowania kury czy też ryby do celów kulinarnych" (mr).

Toalety

„W szkolnych toaletach, które były raczej obskurne, często paliło się papierosy. Pamiętam wyraźnie toaletę na dole, tuż przy pracowni ZPT. Toaleta składała się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym znajdowały się, o ile się nie mylę, trzy zlewy i lustra. Jakże często i łapczywie piło się kranówę nad tymi zlewami, aby zaspokoić pragnienie po szalonych zabawach na szkolnym dziedzińcu. Pochylało się nad zlewem, a następnie przysysało się do kranu, i piło tę lodowatą kranówę aż miło. Teraz chyba rzadko kto to pija. Nie jestem pewien, czy nie było też w tym pierwszym pomieszczeniu pisuarów... Druga część była oddzielnym pomieszczeniem, w którym znajdowały się trzy szalety. Drzwi zamykane były na skobel. Na przeciwko drzwi znajdowały sie okna. Były zresztą do połowy zamalowane farbą olejną, aby dzieciaki nie zaglądały do środka. Dawało to trochę prywatności. Właśnie tam po raz pierwszy widziałem ucznia palącego papierosy. Wywołało to zresztą we mnie zdziwienie. Nigdy nie lubiłem dymu papierosowego; mam jakiś kłopot z oskrzelami i zawsze trudno mi było przy nim oddychać (dziwne jednak, iż dym z ognisk nigdy tak na mnie nie działał)" (mamut).

Todek Ś.

Kolega zybiego. „W związku z Todkiem Ś. przypomniało mi się trochę. Todek miał dar znajdowania amunicji (w lesie koło dawnego przejazdu kolejowego). Chodziliśmy tam właściwie wszyscy po «kulki», ale nikt nie znajdował tyle co on. Poza tym do dziś pamiętam,

że jawka na benzynie lotniczej jeździła znacznie szybciej niż na zwykłej. Poza tym Todek miał zasady; szczególnie dobrze pamiętam jedną. Jak podbierał ojcu wino z piwnicy, to zawsze wypijaliśmy całą butelkę bo to «jest mniej widoczne», to znaczy, niedopita rzucała by się bardziej w oczy. Niby to nic taka zasada, ale on przestrzegał jej już od początku szóstej klasy (wina były dobre)" (zyby).

Topole

Wielkie, fantastyczne, nastrojowe topole nad Jeziorem Długim, zwłaszcza wzdłuż Alei Przyjaciół. Babcia LP pamiętała je, gdy były zupełnie małe. W latach 90-tych podcięli je do połowy i sterczały już tylko okropne kikuty, a potem było jeszcze gorzej.

„Z topolami nad jeziorem to kryminał, z tym że (jak to u nas w Olsztynie) nikt za to nie siedzi. Miasto kilka lat temu poprosiło jakąś firmę o przycięcie koron. Mieszkańcy protestowali (na łamach prasy), że niszczy się drzewa; ratusz odpowiadał, że mieszkańcy się nie znają, bo to prosta przycinka. Potem okazało się, że ta wynajęta firma przesadziła z przycinką i drzewa nie odżyły. Ot, typowe urzędowanie władz Olsztyna. Ostatnia informacja, jaką pamiętam, to propozycja ratusza, aby ogłosić konkurs co zrobić z kikutami!" (DD).

„Co do topoli rosnących dawniej nad Jeziorem Długim – zostały wycięte za zgodą urzędu odpowiadającego za zieleń w mieście, ponieważ są drzewami wywołującymi alergie. Coś w tym musi być, bo na wycięcie każdego drzewa, nie licząc drzew owocowych, trzeba mieć pozwolenie. W otoczeniu naszej szkoły też już ich nie ma. Były piękne i dorodne, ale niezdrowe" (dyr sp7 - Bożena Szymkiewicz).

„Czemu tak co jakiś czas złorzeczycie na te topole nad Długim? Owszem, pamiętają dziadka Adolfa, a co śmielsi powiedzieliby też, że również prapradziadka Bonapartego. Podobno po ich wycięciu miała tam powstać piękna aleja, ale przyszły jakieś nieprzyjacioły rodu ludzkiego, całego świata botanicznego, i ją w powijakach unicestwiły w trymiga. Pozostały kikuty topoli. Szybko puściły nowe gałęzie, co więcej: obsadzono kikutki pięknymi bluszczami. Z innych topoli zostały wydrążone pnie, w których posadzono bardzo stylowe i pięknie kwitnące krzaki. Wzdłuż całej alei posadzono też szereg ciekawych drzewek, jak wierzby niskopienne, brzozy i atrakcyjne krzaczki. Wszystko to szybko trafiło najprawdopodobniej do ogródków wspomnianych nieprzyjaciół, i teraz mamy aleję smutku z pozostałą rzeźbą anielicy o smutnej twarzy i z ptasią kupą. A topole coś w sobie na pewno miały. Jedna miała w pniu wydrążoną, a może nawet naturalną dziurę. W niej i przy niej młodzi zrobili sobie lodówkę, w której chronili sobie piwo i inne skarby natury o wdzięcznych nazwach Perła Mazurska, Czar Jabłoni itp." (WSKH).

„Resztki topoli pozostały po drugiej, «koszarowej» stronie jeziora; od strony dzielnicy są tylko rzeźby i pozostałości pni; szkoda ich, sypały białym śniegiem na całą dzielnicę" (Zbyszek). „Ależ było mi przykro, gdy zobaczyłem wycięte topole nad jeziorem. Im się tam pięknie rosło, soki z jeziora ciągnęły zdrowo; zawsze był tam cień. Ile to było pięknych zabaw i spacerów pod tymi drzewami. Zawsze podziwiałem obwód pni tych potężnych drzew. To był idiotyczny pomysł ta wycinka. Zabrało to sporo uroku tej stronie jeziora. Powinni byli przynajmniej posadzić nowe drzewa" (mamut).

„Jest jednak małe światełko w tunelu: otóż na dwóch z tych pozostałych pni wyrosły całkiem już spore nowe gałęzie i za rok-dwa, jak dobrze pójdzie, będzie coś, co przypomni dawne topolowe czasy. Pierwsza z tych odżywających topoli jest na wysokości ogródków Alei Przyjaciół 32 i 30, a druga gdzieś na wysokości domu Leszka i Dziankowskich" (jd). „Są nawet trzy topole, które ocalały, mają już nowe gałęzie i liście, i rzeczywiście dają poważne nadzieje na powrót dawnych dobrych topolowych czasów" (Zbyszek).

„I znowu będą topole ścinać... Tym razem koło plaży miejskiej. Szkoda. Najmniej może wątpliwości budzi usunięcie czterech topól z ul. Jeziornej (niedaleko Plaży Miejskiej) – są stare i w każdej chwili grozi im złamanie" (Zbyszek).

„Pamiętam początek usuwania naszych topoli. To był może początek lat osiemdziesiątych; wycięto pierwsze trzy czy cztery topole. Trudno mi dokładnie powiedzieć, które, ale to było mniej więcej na wysokości początku Alei Przyjaciół. Potężne kloce drzew leżały tam długo, jeden był nawet kilkukrotnie nadpalany przez okoliczną młodzież, ale bez skutku" (mamut) „Jednak masowa wycinka, której ofiarą padł cały brzeg jeziora, miała miejsce później, w latach 90-tych, choć nie mogę umiejscowić, kiedy dokładnie. Przypuszczam, że około 93-95, a może nawet później" (ak).

Tor saneczkowy

Znajdował się w lesie; zjeżdżało się po nim z zawrotną prędkością. Sanki wiązało się po kilka, czasami nawet po dziesięć; takiego zjazdu nie sposób do dziś zapomnieć. „Uważam, że ktoś, kto nie odbił sobie tyłka na torze saneczkowym, nie jest w stanie docenić uroku dzielnicy nad Jeziorem Długim" (DD).

„Szczególnie w nocy jadąc motocyklem pod górę, można przeżyć chwile grozy, kiedy zabraknie kilku metrów do wierzchołka toru saneczkowego, i lecisz na dół" (LP).

„Na torze odbywały się słynne kuligi, czasami nawet w nocy" (LP). „Kuligi to jeszcze nic. Wraz z kolegą zjeżdżaliśmy z wyślizganego sankami toru rowerami bez hamulców!" (WSKH).

„Dopiero po paru latach od powstania toru saneczkowego wybrałam się na sanki, no i niestety po paru zjazdach wylądowałam na drzewie; pierwszy raz w życiu gwiazdy zobaczyłam w oczach, a nie na niebie" (Iwona).

„Przypomniała mi się starsza nazwa toru saneczkowego (jeszcze zanim wyrównał górkę spychacz): Wyrąb (lub Wyręb)" (DD). „Zgadza się, Danek, też pamiętam jako Wyrąb. A jak jest dziś na górze? Kiedyś stała tam drewniana wieża, potem się rozpadła. Jest teraz znowu, czy jej brak?" (ak). „Na szczycie (o ile pamiętam 140 metrów n.p.m.) nie ma żadnej wieży, jest tylko słupek z kamienia (taki jak na prawdziwych górkach)" (DD).

„Co do zimowych zabaw, to oczywiście przypominam sobie połamane sanki na torze saneczkowym. Wtedy można było jeszcze na sankach dojechać do pętli autobusowej. Wiem, że dziś to się co nie co zmieniło" (AD). „Ja na torze bywałem rzadko. Ode mnie było to dość daleko, a przecież było parę fajnych górek również w pobliżu mojego domu. Faktem jednak jest, że nie były one tak rewelacyjne jak tor. Muszę się przyznać, że na torze roztrzaskałem kiedyś moje sanki. Porządne były i trochę było mi ich szkoda. Wybiło mnie tak jakoś o skarpę, i trach. Sanki trzasnęły pod nami, a jechało nas trzech. Pamiętam, że na torze saneczkowym złamał nogę (jeśli się nie mylę) syn pani Pogłód, która była jedną z naszych Siódemkowych nauczycielek, a przez rok moją wychowawczynią. Zdaje się, że to złamanie było bardzo ciężkie, otwarte, cała szkoła o tym mówiła" (mamut). „Na torze saneczkowym i ja połamałam sanki. Szybkość zjazdu była tak ogromna, że na dole niczego nie widziałam, bo płynęły łzy i aż dech zapierało w piersiach. Najgorsze było jednak wchodzenie pod górę" (karolina). „Ten tor powinien się nazywać «pożeraczem sanek»" (mamut). „Ten młody, który złamał nogę na sankach – to w mojej obecności. Stał jak ta pierdoła na zjeździe i ktoś wjechał w niego sankami. Złamanie nie było otwarte, natomiast podobno większy problem był ze wstrząsem mózgu (zrobił całe salto po uderzeniu)" (miki).

„A konwalie przy torze saneczkowym pamiętacie?" (Zbyszek).

Tory kolejowe

„W ramach zabaw zimowych chodziliśmy na skarpy za Ekonomikiem przy torach kolejowych i drążyliśmy tunele w olbrzymich zaspach śnieżnych; radocha była przeogromna. Tak w ogóle to te tory kolejowe strasznie nas ciągnęły i zachwycały" (mir-mur).

Tramp

Bar restauracyjny w okolicach Dworca Zachodniego; położony przed tunelem, po prawej stronie, w miejscu, gdzie dawniej stały baraki mieszkalne, z których dzieci chodziły do Siódemki. Powstał chyba pod koniec lat 60-tych, a rozpadł pod koniec 80-tych. Dochodziło tam do licznych „bonanz", trzeba było również być odpornym węchowo.

„Chyba pamiętacie, że tak naprawdę Tramp był zbudowany niemal w całości z drzwi, przynajmniej jego ściany. Ci co więcej wypili, mieli kłopoty z odnalezieniem tych właściwych. A piwo Mazurskie czy Warmińskie – o którym wypowiadano tu krytyczne opinie – nie było takie złe. A gdy bodajże w 1986 roku pojawiły się pierwszy raz butelki półlitrowe, toż to była rewelacja! Ale małe baryłeczki 0,33 l. miały swój trwały urok" (WSKH).

„Trampa czuć było już z ulicy, można było trafić na węch, lecz wytrzymać w środku to dopiero była sztuka. Mnie tylko parę razy się udało" (Zbyszek).

„Trampa pamiętam z zupy pomidorowej. Takiej nigdy nie gotowałam, nie gotuję i nie będę gotować" (Iwona).

„Tramp powstał moim zdaniem około roku 1965" (jd). „Nie wiem, mnie jeszcze nie było, ale pamiętam, że chyba rozebrali go pod koniec lat siedemdziesiątych. Dla naszej okolicy to było ważne – tak jakby ktoś do stęchłego pomieszczenia wpuścił dużo świeżego powietrza. Z Bałtyckiej prawie momentalnie zniknęły duże ilości pijaków, którzy tak często zataczającym się krokiem podążali do swych domów po libacji w Trampie. Niektórzy wybierali często spacery nad wodą, które nie zawsze kończyły się najszczęśliwiej. Niedaleko Trampa nad jeziorem jest coś w rodzaju betonowej balustrady. Lata temu widziałem gościa, który oparł się o nią rozmawiając z koleżką, po czym w jakiś sposób stracił równowagę, zachwiał się i przekoziołkował przez balustradę wprost do jeziora. Przeturlał się jeszcze po paru krzaczkach i wylądował w zielonej wodzie Długiego. Cały mokry i oblepiony rzęsą wodną (to był okres, kiedy całe prawie jezioro było przykryte tym zielonym dywanem) jakoś jednak wytarabanił się na brzeg, ale wyglądał jak tysiąc nieszczęść... aż żal było patrzeć" (mamut).

„A teraz tam, gdzie był nasz Tramp powstanie rondo. Już w maju (2005) mają to zacząć robić. Rondo połączy Bałtycką z Sielską oraz z Artyleryjską i Grunwaldzką. Ronda mają swoje nazwy, czyżby więc Rondo Tramp?" (WSKH).

„Naprzeciwko Trampa była bardzo dawno temu budka z piwem, taka okrągła, przy samym wjeździe na Altyleryjską" (Zbyszek).

„Jak byłem mały, to się raczej bałem koło Trampa przechodzić. Zapewne w niektórych ten lokal może budzić pewnego rodzaju sentyment do bursztynowego napoju w wielkich ciężkich szklanych kuflach, do kiszonych ogórów i podrzędnej zagrychy, ale Tramp został nieodwołalnie pogrzebany, więc zostawmy go może w spokoju" (mamut).

Trampki

Kiedyś podstawowe obuwie dla chłopaka od wczesnej wiosny do późnej jesieni; noszone na co dzień i od święta, do grania w piłkę i na przymusowe spacery rodzinne. Przez szkołę akceptowane jednak tylko na lekcjach WF i prześladowane kapciami.

„Ja preferowałem w czasach wakacyjnych, spędzanych w Olsztynie, dresy i trampki, i starałem się nie wychodzić z nich przez 24 godziny na dobę niezależnie od pogody" (jd).

Tramwaj

„Pamiętacie tramwaj na końcu toru saneczkowego? Tam, gdzie stała budka z piwem? I komu to przeszkadzało? Kiedyś zatrzymałem tramwaj, kręcąc taką korbą z tyłu, ogólnodostępną; motorniczy przybiegł z przodu i nakrzyczał, a ja przecież tylko pokręciłem!" (Zbyszek). „Zbyszek, złotko, co ty czarujesz o tramwajce koło Antałka. Tramwaje – oj, kiedy to było – a konkretnie linia numer 1 kończyła się koło starego Ekonomika, czyli tłumacząc na dzisiejsze, obok obecnego Katolika przy skrzyżowaniu Bałtyckiej z Jeziorną i Aleją

Przyjaciół. Ten przystanek przy przejeździe kolejowym to była końcówka linii autobusowej nr 6 (potem jeszcze 11). Nie jestem pewien, gdzie był drugi koniec tramwajowej «jedynki». Chyba przy Dworcu Głównym. Była też Linia 2, chyba z WDK, ale dokąd ?" (ak).

„Ja pamiętam tramwaje z czasów, gdy jeszcze nie było toru saneczkowego we właściwej postaci, i pętla była przy kiosku, naprzeciw księgarni-papiernika, której kiedys też nie było, i motorniczy przechodził na pętli z jednego końca tramwaju na drugi, bo tramwaj miał obustronny, «wymienny» przód, i spokojnie ruszał w drugą stronę. «Jedynka» jeździła między Aleją Przyjaciół a Dworcem Głównym. Był to tramwaj jednoszynowy, z mijankami co jakiś czas, z konduktorami, jednowagonowy" (jd). „Zgadza się, ostatni przystanek, czyli pętla tramwaju była przy kiosku, czyli przy byłym Technikum Łączności, obecnie Liceum Katolickim" (Iwona). „Janusz nazwał to dumnie pętlą, ale o ile dobrze pamiętam, to była tylko zwrotnica i kończyło się to dwoma ślepymi torami. Największą sensację wzbudził kiedyś tramwaj podczas zjazdu ulicą Grunwaldzką w kierunku miasta, gdy rozsypała się przekładnia napędu i co poniektóre kółka zębate wyprzedziły pojazd, usiłujący zatrzymać się za pomocą hamulca ręcznego, co zresztą nie całkiem się udało. Nic dziwnego, że potem tramwaje poszły do Elbląga. Tam płasko. A pamiętacie konduktorów i bilety ulgowe – chyba po 10, potem na pewno po 20 groszy?" (ak).

Tramwaj „Dwójka" miał trasę od Ratusza do dawnego WDK (Jakubowo). W ogóle pierwsze tramwaje wyjechały na ulice Olsztyna w roku 1907, a więc wcześniej niż w Warszawie. Mielibyśmy czym się chwalić, ale niestety ktoś zrobił nam psikusa i zlikwidował je. Szkoda.

Tran

„Ja się jeszcze załapałem na codzienny kieliszeczek tranu w przedszkolu. Jakoś to znosiłem, gdyż moim wrogiem głównym było mleko, ale były gusty całkowicie również odmienne, traktujące tran jako truciznę, a jego picie jako niewolniczą przemoc" (jd).

Trąpczyńscy

Bracia; z okolic Alei Przyjaciół 4.

Trepanowscy

Mieszkali na Alei Przyjaciół 34, na I piętrze. On (pan Tadeusz Trepanowski) był fotografem, publikował m. in. w „Panoramie Północy", mieli jakieś francuskie koneksje. Były tam dwie dziewczyny: Edyta i Ewa. Przyjaźnił się z nimi dziadek mr2. Jd bywał u nich na sąsiedzkich choinkach. W ich ogrodzie rósł piękny orzech włoski, któremu chłopaki nie przepuszczali żadnej jesieni.

„Pani Ewa Trepanowska pomagała mi kiedyś tłumaczyć poezję francuską na konkurs (swoją drogą poległam)" (Beata).

Trojanowska Iza

W szkole jako Iza Schuetz; chyba największa sława spośród absolwentów Siódemki. Mieszkała w skromnych budynkach (barakach) przed Dworcem Zachodnim, na miejscu których powstał potem bar „Tramp". Chodziła do Siódemki w latach 1962-1970; była to klasa A, ta sama, w której zaczynał jd. Iza miała brata Maćka oraz Romka, który oczywiście też chodził do Siódemki.

„Izabella Trojanowska odwiedziła Szkołę Podstawową nr 7 w związku z jubileuszem, choć dwa miesiące przed uroczystościami (zostało to upamiętnione wraz ze zdjęciami w gablocie przy wejściu do szkoły). Na spotkanie z absolwentką przyszli też nauczyciele, którzy kiedyś uczyli i wychowywali małą Izę. Izabella Trojanowska swoją karierę rozpoczęła u nas

jeszcze jako uczennica III klasy – wspominała Janina Domańska, była dyrektorka szkoły. – Śpiewała nam na wszystkich apelach i szkolnych uroczystościach" (dyr.sp7).

„Mieszkała dwa kroki ode mnie. Pamiętam ją, chociaż byłem jeszcze smarkaczem, kiedy z rodziną wyprowadzała się ze starych baraków" (mamut).

Truchan Wojtek

Kolega Fredka i LP.

Trzciński Andrzej

Kolega z klasy ak. Mieszkał na Bałtyckiej, prawie naprzeciw kiosku, obok księgarni.

Trzciński Tomasz

Czyli Cines. Mieszkał na Alei Przyjaciół 45; absolwent rocznika 1986. „Pamiętam Cinesa ze szkoły i od czasu do czasu spotykamy się przypadkiem na mieście. Wiem, że napewno i inni z moich lat sobie go przypomną, bo to bardzo barwna postać" (mir-mur). Na forum bywa również mama Cinesa (nick gaga).

Tunel

Znajdował się i znajduje pod torami przy samym Dworcu Zachodnim. Bałtycka przechodzi tam w Grunwaldzką (i odwrotnie, jeśli patrzeć od drugiej strony).

„Gdy byłem mały, uwielbiałem tam wrzeszczeć, a to ze względu na świetne tam echo. Czasami dawali się w to wciągnąć moi rodzice, a nawet dziadkowie" (jd). „Też zawsze tam wrzeszczeliśmy" (Fredek). „Również będąc niedawno w Olsztynie (rok 2004), jak zawsze powrzeszczałem sobie w tym tunelu, ale niezbyt długo, bo przegoniło mnie stężenie spalin w granicach dawki śmiertelnej. Tam jest teraz ogromny ruch, więc tunel najczęściej pełen jest tych spalin i trzeba szybko go pokonać, ale gdy się go już pokona, to – jak wiadomo – ma się Jezioro Długie jak na dłoni, no i, od czasu wiadomej sprawy z topolami, budynki Alei Przyjaciół też jak na dłoni" (jd).

I jeszcze wrażenia jd z jego najświeższego pobytu na Alei Przyjaciół (2006 r.) i z sytuacji w oklicach tunelu: „Wysiadłem w poniedziałek rano na Zachodnim, zostawiłem zbędne rzeczy w hotelu Pod Zamkiem i ruszyłem nad Długie. Przeszedłem koło 14-ki, która jest teraz Gimnazjum nr 5, no i z napięciem doszedłem do nowego ronda. Uważam, że jest bardzo udane; ładne, czyste, pomysłowe; jeśli rzeczywiście jest sprawne komunikacyjnie, to jest świetnie. Wydaje mi się, że Tramp stał dokładnie w środku dzisiejszego ronda. Mimo waszych zdjęć i opisów zupełnie natomiast nie skojarzyłem, że dawny tunel został zupełnie wyłączony z ruchu pojazdów i stał się tylko deptakiem. Dzięki temu dawna trasa zachowała swój urok i nabrała spokoju. Powrzeszczałem w tunelu, ale idąc jego środkiem ciągle z przyzwyczajenia odwracałem się w obawie, że zaraz rozjedzie mnie jakiś samochód" (jd).

Tuszyńska Aśka

„Jedno ze zdjęcie na stronie Fredka Aśke Tuszyńską. Oj, bardzo w niej się kochałem. Wyjechała do Niemiec i mieszka chyba w Dortmundzie; jest szczęśliwą mamą piętnastoletniej córki.Przyjeżdża co roku do Olsztyna do rodziców; napewno jak ją zobacze, to pokażę jej naszą stronę i forum" (Cines).

U

Ulf Artur

Chodził do Siódemki w latach 1969-1977, jego wychowaczynią była pani Dragan.

Uliczka

„Moje najlepsze wspomnienia związane z Aleją Przyjaciół (choć w zasadzie wszystkie są najlepsze) dotyczą czasów, gdy nie było jeszcze ulicy Bursztynowej i tej drugiej nowej, do niej równoległej, i gdy ten teren należał w części do ogródków budynków Alei Przyjaciół po stronie dalszej od jeziora, a w części stanowił tak zwaną «uliczkę». Było więc wtedy tak, że nieparzyste budynki Alei Przyjaciół miały ogródki dwa razy większe, i gdy doszło się do końca tych ogródków, to miało się wrażenie – szczególnie gdy było się małym – że jest bardzo bardzo daleko od domu i rodziców, i można było sobie poszaleć chodzeniem po drzewach, zrywaniem niedojrzałych owoców (królowały tam papierówki) i dziecięcymi kłótniami. Natomiast «uliczka» to były nieprzebrane gęstwiny krzaków i zielska, poprzecinane rzeczywiście ścieżkami-uliczkami. Gdy się tam poszło, to z jednej strony było się blisko domu, ale z drugiej strony wchodziło się w inny, trochę tajemniczy i nieprzewidywalny świat nieokiełznanej natury. Było to świetne miejsce do zabaw w chowanego i podchody, albo do przyjacielskich zwierzeń. Wszystko to sprawia, że nie mam za bardzo serca do Bursztynowej i tej drugiej" (jd).

„Na ścieżce (uliczce) do Ogródka Jordanowskiego było dużo jabłek, bo spadały z sąsiednich ogródków. Była też i jest stacja transformatorowa przy Bursztynowej" (WSKH).

Uliczkami nazywano też zejścia nad Jezioro Długie. „Zimą ślizgaliśmy się szczególnie chętnie na zejściu nad Jezioro Długie na rogu Alei Przyjaciół i Rybaków. Tam wtedy nie było schodów. Zjeżdżało się na podeszwach, na tornistrze, na tyłku albo na kawałku jakiegoś kartonu. A jak zejście było oblodzone, to zjeżdżało się aż na jezioro, wtedy zawsze skute lodem" (Fredek).

Ulka

Koleżanka nat. Ulkę spotyka często w Olsztynie – bo ciągle tu Ulka mieszka – Iwona.

Urania

Wielka hala sportowa i widowiskowa; znajduje się tuż za Planetarium.

„Gdy ujrzałem Uranię po latach, to tak jakby się skurczyła. Było nie było to jeden z największych obiektów w Olsztynie, ale jego rozmiar, a właściwie wrażenie rozmiaru, sukcesywnie się zmieniało wraz z tym, jak człowiek miał szanse obejrzeć inne obiekty tego typu. Urania chyba nie jest w stanie pomieścić więcej niż jakieś 4 tysiące ludzi. Trochę szkoda, że budynek zamienił się w centrum handlowe, ale najwidoczniej takie były olsztyńskie potrzeby. Gdy byłem ostatni raz w Olsztynie, to budynek nadal temu głównie służył. Swego czasu natomiast, oprócz sportowych wydarzeń, można było w Uranii obejrzeć kabaret lub film (ja na przykład oglądałem tam «Przeminęło z wiatrem»). Muszę powiedzieć w związku z tym, że przesiedzenie ponad trzech godzin na małych i niewygodnych siedzeniach Uranii było ciekawym doświadczeniem. Jeśli dobrze pamiętam, budowano Uranię (albo «Urbanię», jak swego czasu niektórzy Olszytniacy o niej mówili, kojarząc ją z Jerzym Urbanem) na dożynki 1978 roku. Zdaje się, że obiekt nie został nawet wykończony do końca i wielcy bucowie musieli się poprzez zabłocone tereny obok Uranii przedzierać do budynku. Ale w propagandowych wiadomościach były tylko wspaniałe informacje na temat tego, jak Olsztyn pięknie się rozrasta i staje coraz nowocześniejszym socjalistycznym miastem. Pamiętam, że widziałem kiedyś ludzi sadzących wokół Uranii drzewa i krzewy podczas jakiegoś czynu społecznego; niewiele z tych roślin zresztą przetrwało. Zdaje się, że również podczas pochodów pierwszomajowych pod Uranią właśnie ustawiano trybunę z bucami, bo obiekt przecież był na tamte lata wielkim osiągnięciem dla miasta" (mamut).

Urbanowie

Robert i Rafał; koledzy Fredka.

Utonięcia

Jezioro Długie bywało nieżyczliwe i wrogie dla próbujących w nim pływać. Dochodziło w nim do głośnych utonięć, którymi żyła i przejmowała się długo cała dzielnica. Później całe lata wspominano te nieszczęścia, na przykład starego Radziuna, albo faceta, który w trakcie spaceru rodzinnego kazał żonie i dzieciom iść dalej do mostu, przejść przez most i czekać na niego po drugiej stronie jeziora. Nie doczekali się. Utonięcia – szczególne w latach pięćdziesiątych – zdarzały się również żołnierzom z koszar po drugiej stronie jeziora.

„Wracaliśmy kiedyś po lodzie z kościoła i gdzieś na wysokości górki, gdzie wszyscy zjeżdżali na sankach (bardzo stroma) pewien mój kolega powiedział: patrzcie, tam dalej leży piłka, można zagrać w nogę. Już się przymierzył do strzału, ale w ostatniej chwili noga zatrzymała się sama. Okazało się, że zamiast piłki była to wystająca z lodu ludzka głowa albo jej resztki. Możecie sobie wyobrazić jak my stamtąd uciekaliśmy! Zaraz potem zjawiła się milicja i straż pożarna, rozwalili lód i wyciągnęli tego topielca na brzeg. Był to jakiś OHP-owiec (tak mówił milicjant), który prawdopodobnie wypił za dużo piwa w Trampie" (LP).

„A wiecie, że moja mama prawie że się w Długim nie utopiła, gdy wpadła do przeręblі mając 8 lat. Samej udało jej się na szczęście wyjść i doczłapać do domu. Babcia o mały włos nie umarła na atak serca jak ją zobaczyła" (mr). „Jeśli chodzi o przeręble, to ja też zaliczyłem kąpiel w Długim. Na pewno pamiętacie przejście nad jezioro naprzeciwko biblioteki. Tam się jeździło na sankach aż na lód, i pewnego razu zjeżdżając tam sankami, znalazłem się pod lodem; chyba tylko jakimś cudem udało mi sie trafić do krawędzi tego przeręblа, a później ktoś mi pomógł wygramolić się z wody. Jak się okazało, dzień wcześniej ktoś wyrąbał dziurę w lodzie, w nocy to zamarzło i nie było tej pułapki zupełnie widać" (LP).

„Ja kiedyś wraz z całą grupą dzieciarni widziałam, jak wyciągnęli z Jeziora Długiego topielca. Było to przerażające widowisko: w rożne części ciała miał powżerane węgorze. Od tego czasu przestałam je jadać" (mr).

„Był czas, że nie rozstawałem się z wędką, i wiem, że topielców było naprawdę wielu. Kiedyś nawet stary Jaworski wyciągnął jednego właśnie na wędkę! Zaraz obok domu, w którym mieszkał" (LP).

„Co do topielców w Długim, to o ile sobie przypominam, topili się tam przede wszystkim dorośli, i to przeważnie, jak to się powiadało, «w stanie wskazującym na spożycie». Dzieci wiedziały, że Długie (z wyjątkiem dwóch miejsc) nie nadaje się do kąpieli; poza tym do Krzywego było tak blisko" (US).

„Boguś Kępiński już jako dorosły popijał kilkanaście lat temu z kolegami nad Długim, chyba gdzieś koło domu LP, tam gdzie teraz stoi wyrzeźbiony anioł. To był listopad. Założył się z kolegami, że przepłynie na drugi brzeg jeziora. Nie dopłynął" (WSKH).

„Kiedyś byłem przy wyciąganiu kobiety z jeziora, była zupełnie zielona, a na szyi miała pasek. Podobno ktoś jej «pomógł» w okolicy mostu; przez jakiś czas pływała przy dnie, w końcu odnaleziona została przy «rybaczówce». Nie wiem, kto to był" (Zbyszek)

„Właśnie w tych dniach z Długiego wyłowili dziewczynę, mieszkankę dzielnicy. Dziewczyna miała 33 lata, zaginęła dwa miesiące temu, podejrzewane jest samobójstwo. Mieszkała w okolicy Bursztynowej. Tyle wiem. Kiedyś brałem udział w wyciąganiu topielca po dłuższym pływaniu; niemiłe wrażenie. Nie wiem, gdzie ją teraz znaleźli, ale większość tych, którzy długo byli w wodzie Jeziora Długiego wypływała w okolicy «rybaczówki» (PZW); pewnie jakieś prądy wody tak znoszą" (Zbyszek).

„Co do topielców, to podobno rzeczywiście wielu się w Długim topiło. Sam pamiętam, jak na początku lat 80-tych wyciągano tuż po roztopach topielca niedaleko szkoły katolickiej. Wyciągali nieboszczyka policjanci. Doholowali go jakoś do brzegu, ale za małą mieli łódeczkę, więc go nie wciągali na pokład. Pamiętam, jak jeden milicjant chwycił

nieboszczyka za klapę płaszcza i wyciągnął go na brzeg. Niezły tłum gapiów zebrał się wtedy, coś koło setki, głównie dzieci, ja wtedy miałem chyba jakieś 14 lat. Martwy mężczyzna już nieźle uległ rozkładowi, bo twarz była zupełnie zdeformowaną, ale ja stałem niezły dystans od miejsca, w którym leżał. Innym nieszczęsnym topielcem, który szczególnie poruszył mieszkańców dzielnicy był mały chłopiec. Było to zdaje się w samym końcu lat 80-tych czy też może rok 90-ty. Może Fredek pamięta dokładniej, ponieważ chłopiec mieszkał koło nas na Bałtyckiej, pod numerem 17-tym, aczkolwiek ja nie znałem jego rodziny. Był wiosenny albo wczesnoletni wieczór. Dzieci bawiły się na podwórku, w tym dwóch chłopców w wieku 3-5 lat. Jakimś trafem ci dwaj wymknęli się spod kontroli i obaj przeszli na drugą stronę ulicy nad jezioro. Sami wiecie, jak to jest blisko, i to jest sprawa wręcz sekundy, aby znaleźć się nad brzegiem jeziora. Chłopcy powędrowali nad jezioro tuż obok związku wędkarskiego. Wieczór nadszedł i nikt z dorosłych nie mógł znaleźć tej dwójki w okolicy bloków. W końcu znalazł się jeden z chłopców, ale nie był w stanie wytłumaczyć, gdzie jest kolega, tyle tylko, że chyba gdzieś poszedł. Doszło do paniki, zaczęły się poszukiwania. Szukał chłopca praktycznie każdy mieszkaniec naszych bloków, ze mną włącznie. Pojawiły się przypuszczenia, że chłopiec gdzieś jest w okolicy, że tylko poszedł do lasu. Do późna trwały poszukiwania z latarkami w rękach. Bez rezultatu... Nie pamiętam, czy było to bardzo późno w nocy czy już nad ranem, ale w końcu znaleziono ciało chłopca tuż obok łodzi przykotwiczonej do palika na tyłach związku wędkarskiego. Tragedia została odebrana przez ojca dziecka z niesamowitą rozpaczą i bólem; było naprawdę straszne widzieć tego trzydziestoletniego mężczyznę w takim bólu. Wydarzenie przygnębiło zresztą wszystkich mieszkańców. Z tego, co wyszło później na jaw, to chłopcom udało się dostać w jakiś sposób na łódkę i podczas zabawy jeden z nich wypadł z łódki i utonął. Niestety, nie był nikogo w okolicy, kto mógłby im pomóc. Nie były jasne szczegóły, bo zapewne za sprawą szoku drugi chłopiec niczego nie pamiętał. Strasznym faktem pozostaje to, że dziecko straciło życie tak przedwcześnie. Woda to straszny żywioł, bądźmy zawsze z nią ostrożni. O jeszcze jednym topielcu słyszałem od mojej mamy. Było to w czasach jej nauki w szkole pielęgniarskiej. Jedna z ulubionych nauczycielek mojej mamy urodziła wtedy dziecko i była pod wpływem depresji, które zdarzają się po okresie ciąży niektórym kobietom. No i podobno utopiła się samobójczo w okolicach mostu właśnie w Jeziorze Długim” (mamut).

W

Wagary

„Od kiedy jest oficjalnie świętowany Dzień Wagarowicza w pierwszy dzień wiosny? Gdzie i od której klasy chodziliście na wagary, no i w ogóle czy mieliście na to odwagę? Ja to chyba odważyłem się dopiero w ósmej klasie, i to wtedy, gdy spóźniłem się do szkoły i bałem się wejść na lekcje w połowie, więc postanowiłem urwać sobie trzy lekcje od razu. A strach przed wagarowaniem trzymał mnie już od pierwszej klasy. Jarek, mój pierwszoklasowy kolega z Ia, popełnił kiedyś spore przestępstwo szkolne. Nie było go w szkole prawie dwa tygodnie. Podobno chorował, ale w rzeczywistości spędzał czas z kolegami nad jeziorem. Po jakimś czasie wszystko się wydało. Wychowawczyni zrobiła awanturę, afera była gigantyczna, a w dodatku ta pierwsza klasa... Jarek został postawiony frontem przed klasą, osądzony, zganiony, prawie wyklęty. Od tej pory był czarną owcą klasową, wytykaną palcami. Niestety, nauczycielka chcąc wykazać się pedagogiczną skutecznością, skrzywdziła chłopaka. Do końca szkoły był najgorszy, bo przyjął narzuconą mu rolę. Taki model wychowania niestety obowiązuje do dzisiaj, i to w jeszcze większym stopniu niż dawniej. Za zwykły uczniowski wybryk wzywa się policję i problem niby z głowy. Sprawy, które

powinien rozwiązać rodzic czy nauczyciel, rozwiązuje martwy urzędnik w niepotrzebnej atmosferze prawie regularnego przestępstwa" (WSKH).

To interesujące, że wątek wagarów nie był kontynuowany. Jakby wszyscy mieli podobnie traumatyczne przeżycia pierwszoklasowe jak WSKH lub jakby nie doceniali instytucji wagarów.

Temat pojawił się wprawdzie troche później, ale już w formule bardziej cywilizowanej i zorganizowanej jako Dzień Wagarowicza.

„Dzień Wagarowicza? Moja klasa zawsze szwędała się po okolicznym lesie. Tam i wtedy były pierwsze próby palenia papierosów, gry w karty czy nawet gry w butelkę. To dotyczyło klasy siódmej lub ósmnej" (karolina).

„Za moich czasów Dzień Wwagarowicza dopiero pomału wchodził do repertuaru i tradycji. Dopiero w ósmej klasie dojrzeliśmy do obchodów tego świeta, ale dyrekcja zagroziła straszliwymi karami. Ktoś mądry wymyślił, żeby nie uciekać, tylko przebrać się jak na wycieczkę. Były więc wędki, radia tranzystorowe, termosy, jajka na twardo, najróżniejszy sprzęt rekreacyjny. Przebrania nie były jakieś fikuśne: lakierki ojca, beret z antenką, tak trochę jak stróż w Boże Ciało. Natomiast ciało pedagogiczne zareagowało różnie. Filut nie chciał słyszeć o luzie, nawet jak ktoś z tyłu zarzucił (subtelnie) wędkę z wędzoną makrelą na jego pulpit. Za to na wysokości zadania stanęła pani Dragan (ku naszemu zdumieniu). Podobały się jej nasze stroje, kazała włączyć tranzystorowe radio, wydaje mi się, że nawet jakies pląsy były" (miki).

„Z rozrzewnieniem przypominam sobie Dzień Wagarowicza w szkole. Czasem uciekaliśmy z lekcji i włóczyliśmy sie po lesie i wokół jeziora. Czasem przebieraliśmy się fajnie i kolorowo. Pamiętam, że pani Cejko, gdy była naszą wychowawczynią, to nie tolerowała zwiewania z lekcji. Borkosia też nie lubiła zwiewania, ale przebieranki tolerowała i był spory luzik w szkole w tym dniu" (ryba696).

Wagnerek

Stary koleżka mamuta i mir-mura. Pojawił się po latach wpisem w księdze gości na stronie Fredka.

Walczukowie

Mieszkali na pierwszym piętrze Alei Przyjaciół 28, czyli w tym samym budynku co LP. Ona była bardzo energiczna oraz trochę głośna, a nawet wrzaskliwa, on był zapalonym wędkarzem. Przyjaźnili się przez pewien czas z Cywińskimi (dziadkami jd).

Wardaszko Waldemar

Ze szczególnie znanego rocznika 1965/66. „Mnie się wydaje, że miał na imię Mirosław. Spotkałam go w roku 1997 albo 1998 i krótko po tym dowiedziałam się, że wyjechał do Stanów i tam zmarł. Był też jego nekrolog w gazecie" (gaga).

Warmia

Piękna kraina geograficzna, wymieniana zazwyczaj jednym tchem z Mazurami. Ale tutaj chodzi przede wszystkim o przystań żeglarską i kąpielisko klubu Warmia na Jeziorze Krzywym. Teraz są tam dodatkowe atrakcje: „«Tawerna u Rudego» na przystani Warmii. Fajna swojska knajpa. Często odbywają się tam szantowe koncerty. Można pograć w bilard i popić dobre «piffko». Od ostatniego roku mój faworyt" (Fredek).

Warmińska

Ulica. Wprawdzie dość daleko od Jeziora Długiego, ale godna uwagi. „W czasie ostatniego pobytu w Olsztynie bardzo chciałem obejrzeć ulicę Warmińską, którą zachwalano

w plebiscycie na najpiękniejszą ulicę Olsztyna, a ja nigdy jej nie oglądałem dokładniej. Odchodzi od Placu Nowotki (obecnie Konsulatu Polskiego), jest w secesyjnym stylu tamtejszej okolicy; rzeczywiście ładna, ma starodawne podwórka, na których możnaby jeszcze hodować świniaka. Bardzo ją jednak szpeci mnóstwo anten satelitarnych, odbierających cały nastrój" (jd).

„Ta ulica raczej nie jest piękna, gdyż jest bardzo zaniedbana. Domy (a przynajmniej fasady) nie widziały chyba od wojny remontu. Generalnie jest tam jednak rzeczywiście piękny zbiór kamienic na oko z XIX i początku XX wieku, stojących jak pod sznurek, o tej samej liczbie kondygnacji. A z tyłu faktycznie szopy, w których pewnie do niedawna trzymano świniaki. Ale gdyby ta ulica leżała w lepszym miejscu, gdzieś bezpośrednio koło Starówki, to nic tylko wyremontować i zrobić atrakcyjny turystycznie deptak" (Olesław).

Wasiewich Marcin

„Fajnie było pewnej zimy, gdy straż – jak to kiedyś bywało każdej zimy – zalała boisko szkolne wodą i można było jeździć na łyżwach. Przy takiej okazji Marcin Wasiewich złamał sobie nogę, próbując skoczyć w łyżwach z barierki. Na sankach chłopa ciągnąłem do domu" (AD).

Wasilewski Darek

Kolega z klasy AK. Podobno zginął przed rokiem w wypadku samochodowym.

Wąsowski Sylwek

Kolega z klasy ryby696. „Sylwek mieszkał u nas w bloku" (Fredek).

Wesołe miasteczko

W dawnych czasach przyjeżdżało najczęściej i rozkładało się, podobnie jak cyrk, na terenie dawnych baraków i Trampa. Atrakcją wesołego miasteczka były karuzele, strzelnica, gry zręcznościowe i bardzo kolorowe zabawki. „Pamiętam niewielkie i niewinne pistolety na kapiszony (kapiszony bywały albo w rolkach albo pojedyncze okrągłe w maleńkich zgrabnych pudełeczkach), ale także całkiem poważne korkowce. Kupowało się to wszystko na targowiskach przy wesołych miasteczkach, przy cyrku albo w różne święta odpustowe. A wszystkiemu temu towarzyszyły nadmuchiwane piszczące różowe baloniki z prezerwatyw. Te baloniki to był czyjś nadzwyczajny patent i prawdziwie genialna przedsiębiorczość" (jd).

Wieczne pióro

Po obsadkach, a przed długopisami, nastała krótka epoka wiecznych piór. „W środku pióra było coś w stylu owalnej przezroczystej gumowej tulejki, która była umieszczona w stalowej obudowie z niedużym otworkiem. Czubek pióra, czyli stalówkę, zanurzało się w kałamarzu, a przyciśniecie gumowej tulejki palcem poprzez otwór w stalowej obudowie pompowało atrament do wnętrza pióra. Raz na jakiś czas zdarzał się incydent, iż pióro wylewało, i z reguły ofiarą padał wtedy piórnik, czego osobiście nie cierpiałem, gdyż żadna bibułka nie wywabiała tych atramentowych plam. Jeśli piórnik był już trochę zużyty, to z reguły szedł na śmieci" (mamut).

Wieczne pióra zostały szybko wyparte przez długopisy, natomiast pisanie dziś wiecznym piórem to świadectwo arystokratycznych skłonności, zasobnego portfela i sporej ilości wolnego czasu.

Wielechowska Danuta

Ze szczególnego rocznika 1965/66.

Wieszanie się głową w dół

„A pamiętacie drabinki w sali gimnastycznej? Przymocowane były do ściany po prawej stronie od wejścia. Ja pamiętam czas, kiedy je zamontowali i wszyscy się pchali, żeby wisieć do góry nogami. Może to dawało nową perspektywę widzenia świata?" (nat).

„Ja głową w dół wieszałem się na bramkach na boisku i na konstrukcjach do tablic od koszykówki. I oczywiście na wszystkich możliwych trzepakach" (jd).

Więckowski Edward

Ze szczególnego rocznika 1965/66.

Wilk Halina

Czyli Halina; ze słynnego rocznika 1965/66.

Wilk Jurek

Czyli jurek, brat Haliny. „Gratuluję Fredkowi wspaniałej strony. Łezka się kręci w oku od wspomnień. Bardzo żałuję, że nie mogłem być na jubileuszu szkoły. Mieszkalem na Al. Przyjaciół 6 (parter) i jestem absolwentem rocznika 1961/62 (wychowawczyni pani Napora). Moja siostra (Halina) też chodziła do Siódemki".

Wilk Jolka

Chyba żadnych związków rodzinnych z poprzednimi Wilkami. Mieszkała na drugim piętrze Alei Przyjaciół 29. „Mama Jolki, pani Helena Bąk, miała adapter i kochała Tercet Egzotyczny. Przez parę lat wynajmowała u nich pokój, a właściwie kawałek pokoju, bo tam był tylko jeden pokój, Róża Jung, która pracowała jako konduktorka w autobusach miejskich. Róża miała duży zgryz sercowy, bo długo nie mogła zdecydować się na związek z chłopakiem, który był w Olsztynie w wojsku, miał niemieckie korzenie (podobnie jak Róża), zabiegał o Różę i w ramach tych starań przynosił do słuchania pocztówki dźwiękowe z beznadziejnymi piosenkami niemieckimi, których słuchał z uwielbieniem. W końcu jednak Róża uległa, w połowie lat 70-tych wyjechali do Niemiec, ale tam on się ponoć nieco rozpił" (jd).

Wino

„Ach, te gąsiory na wino. Jakże ciepłe wywołują wspomnienia! Pamiętam, że rodzice produkowali, oczywiście na użytek prywatny, domowe wino, chyba z porzeczek. Mówię «chyba», bo byłam mała i nikt nie podawał mi przepisu. Na którymś etapie gąsior stawał na stole kuchennym i przez zapuszczoną do niego gumową rurkę wino ściągano do pieczołowicie przygotowanych butelek. Jeżeli proces ściągania został z jakiegoś powodu przerwany, należało zassać rurkę ręcznie, czyli ustnie, aby wino ponownie popłynęło. Pamiętam, że mając chyba około ośmiu lat, przejęłam tę funkcję ssącą pod chwilową nieobecność mamy. Napełniwszy kilka butelek poczułam się wesoło i wymknęłam się do Ogródka Jordanowskiego. Niestety, pani, która opiekowała się obiektem stwierdziła ze zgrozą, że jestem mocno pijana i natychmiast odprowadziła mnie do domu, urządzając moim rodzicom ogromną awanturę. Był to mój pierwszy w życiu kontakt z alkoholem i posłużył jako dobra lekcja – wino przez słomkę piłam później tylko w ubogich czasach studenckich. A pamiętacie domowej roboty podpiwek?" (nat). „Pamiętam podpiwek, legalnie udostępniany także dzieciom. Moja babcia robiła wino z dzikiej róży" (jd).

„Ja także pamiętam te wielkie szklane baniaki napełniane jakąś owocową masą. Dziób potężnego naczynia najczęściej zdobiła zakręcona szklana fajeczka, pykająca co chwila i wydalająca w ten sposób fermentujące gazy. Kilkakrotnie mój ojciec eksperymentował z produkcją win i nawet mu to wychodziło. Parokrotnie robił wina na jabłkach. W smaku to nie

było niestety najlepsze, więc w jakiś sposób ojciec z przyjaciółmi przerobił to na jakiś bimber. Chwalili się potem, że ów bimber miał smak koniaku. Raz udało się ojcu wyprodukować wieloowocowe wino, które miało dziwne, dziwnie nadzwyczajne, właściwości rozśmieszające. Wiem, wiem, przy winie zawsze jest weselej, ale to wino działało właściwie tak jak gaz rozśmieszający. Ja nie degustowałem owych trunków, ponieważ byłem wtedy jeszcze za mały. Po jakimś czasie ojciec zostawił te wszystkie baniaki w spokoju i tylko zalegały miejsce w i tak za małej piwnicy" (mamut).

Wirzinkiewicz Henryk

Czyli WSKH (także wskh), pseudonim zawodowy (branża prasowa) Henryk Sobota. Rozpoczął naukę w Siódemce w roku 1969. Przyjaciel – szczególnie motocyklowy – LP. Obecnie mieszka sto metrów od katedry. Na naszych właściwie oczach Henio został w styczniu 2004 roku ojcem uroczej Oli. Pracuje w redakcji Gazety Olsztyńskiej, a ostatnio bywa w Anglii.

„Mieszkałem na szarym końcu, to znaczy już w lesie, pod ostatnim, 55 numerem przyjacielskiej ulicy. Do dziś tam mieszkają moi starzy. Z Diabła zjeżdżało się wprost do naszego garażu. W tym zaułku czterech domków Siódemkowiczów nie było wielu; ze starszych chyba tylko Krzysiek Janiszewski spod 47, no i mój starszy brat Krzysiek, absolwent słynnej klasy z Izą T. Ja skończyłem szkołę w roku 1977. Trzymałem z całą dzielnicą, stąd znane mi są prawie wszystkie wasze wcześniejsze opowieści czy to o lodowisku, czy o boisku, czy o przystani Warmii nad Krzywym. Jako młodziankowie mieliśmy swój zbiorczy punkt na tzw. placyku u zbiegu ulic Morskiej i Alei Przyjaciół, tam gdzie mieszkał pod numerem 1 Alei Przyjaciół doktor Rasteński. Teraz mieszkam na Starym Mieście, ale w swoim starym domu jestem codziennie, bo dzień bez Alei Przyjaciół to dzień stracony; dopiero tam się naprawdę żyje! Żona grozi rozwodem, bo nie mogę się odczepić od Alei Przyjaciół. LP dobrze na pewno pamięta też zimowy punkt zborny w moim garażu. Reperowaliśmy tam nasze jawki, potem wueski i emzetki. Tam się rżnęło w karciochy i popijało wina, z nazw których możnaby ułożyć prawdziwy leksykon słów niby banalnych, a nadzwyczajnych. Do dziś na drzwiach garażu pozostał namalowany olejem silnikowym napis z 1980 roku: MOSKWA 80!

Pierwszy stopień, jaki dostałem w Siódemce to była piątka z dwoma minusami za pisanie. To był jeden z moich ostatnich szkolnych sukcesów. Potem piątki zdarzały mi się z WF-u. Miałem też taką zaletę, że śpiewałem najładniej ze wszystkich chłopaków, nawet dziewczyny mi zazdrościły. Pani od śpiewu przestała mnie lubić, gdy zaczęła się moja mutacja. Do dziś to ja jej za to nie lubię. Wielu innych też nie lubię, bo trochę z pedagogiką chyba u nich było słabo. Ale każdemu, kto źle powie o Siódemce dam w dziób.

Chyba po to, żeby zobaczyć, jak to jest po drugiej stronie szkolnej ławki, poszedłem na studia pedagogiczne. Ponieważ miałem małe sukcesy w Siódemce z historii (czasami 3+), to chciałem uczyć historii. Jakie szczęście, że jednak nie trafiłem do jakiejś szkoły jako belfer! Przekwalifikowywałem się wiele razy. A to byłem budowlańcem, a to stolarzem, starszym kapralem w ludowym wojsku przysięgającym sojusz armii czerwonej. W dzień przyjaźni z tą armią ograłem Ruskiego w szachy! Urlopu za to nie dostałem! Jeszcze kilka innych drobnych profesji mnie pociągało. To wszystko działo się jeszcze przed studiami. I tak, opóźniony w edukacyjnym rozwoju, studia ukończyłem jako 30-letni chłop. Od 10 lat jestem literatem, to znaczy używam liter tak jak wszyscy, z tym że jest to pisanie artykułów gazetowych. Na razie nagrody Pulitzera nie mam, ale to się może zmienić. Jeśli ktoś z was gdzieś zobaczy tekst podpisany Henrykiem Sobotą, to ja.

To może dziwne, ale nigdy nie wagarowałem (no, może z jednym wyjątkiem)! A z polaka byłem noga! Przez wiele miesięcy pierwszej klasy pani od polskiego nie mogła mnie przekonać, że «słońce», to nie «słonice»" (WSKH).

Wiśniewska Elka

„Elka Wiśniewska, mieszkała na Jeziornej, potem wyjechała chyba do Niemiec" (gazunia).

„Jedno ze zdjęć na stronie Fredka przedstawia Elę Wiśniewską. Bardzo wesoła dziewczyna. Domańska wyrzuciła mnie, Elkę i Borysa z pochodu 1-Majowego za to, że pofarbowaliśmy sobie włosy na blond, a Elkę dodatkowo za to, że ubrała się na czerwono. Wcale nie było nam przykro z tego powodu . Elę widuję czasami, chociaż ostatnio ze dwa lata temu. Jest szęśliwą mamą dziewczynki. Napomykała coś, że chce wyjechać do Włoch do mamy i brata. Może pojechała, ale na razie nic mi nie wiadomo na ten temat" (Cines).

Wiśniowiecka Agata

Czyli Arabella. Siostra mamuta, czyli Olgierda Wiśnowieckiego; mieszkała na Bałtyckiej 19. Rocznik (urodzenia) 1969, Siódemkę ukończyła w roku 1984. Chodziła do klasy z boraską, AD, mir-murem i bratem mamutem; wychowawcą był w latach 1981-84 pan Serafin. Obecnie w Kanadzie, w Toronto. Niedawno (rok 2005) była w Olsztnie i jak zaświadcza mir-mur: „Agata nic się nie zmieniła; urocza jak zawsze".

Wiśniowiecki Olgierd

Brat Agaty, kolega mir-mura; podejrzewany, że to on jest mamutem, co okazało się prawdą. Chodził do klasy z AD, mir-murem, borascą i własną siostrą Agatą; szkołę ukończył w roku 1984. Mieszkał na Bałtyckiej 19, w tym samym budynku co Fredek. Obecnie w Kanadzie. Na naszych wąściwie oczach, w październiku 2005 roku urodziła mu się córka o pięknym – a więc olsztyńsko-słowiańskim – imieniu Abigail.

„Kiedyś mamut przyniósł do szkoły taki śmierdzący chiński balsam z kotkiem na opakowaniu i przed lekcją matmy jakoś tak wyszło, że się nim wysmarował. Pani Zera po wejściu do klasy wnet wyczuła ten smród, no i to Dropsiu, jej pupilek, wyleciał za to na pysk z klasy.

Gdzieś koło piątej klasy ojciec mamuta postawił w dużym pokoju ich mieszkania ściankę z drewna, i w ten sposób powstał pokoik dla Agaty, siostry mamuta. Tyle, że z pokoju mamuta zrobił się pokój przechodni, co źle wpływało na jego samopoczucie" (mir-mur).

„Co do lekcji, to lubiłem z powodów eksperymentalnych zwłaszcza fizykę, chemię i ZPT, aczkolwiek często musiałem zadowalać się zabarwianiem papierka lakmusowego, co potrafiło uchodzić za szczyt szkolnych doświadczeń naukowych" (mamut).

Niedawno mamut powołał do życia swoją stronę internetową, cenną także dla nas: mypolishcanadiansite.com/

Witkowicz Ewa

Czyli karolina. W Siódemce w latach 1972-1980. Obecnie w branży nauczycielsko-trenerskiej i podwójnego nazwiska Witkowicz-Radziszewska. Ważne jest to, że już w szkole mocno zajmowała się sportem „z większymi lub mniejszymi sukcesami". Tym sportem była królowa sportu (tak kiedyś mówiono), czyli LA (lekkoatletyka), której karolina poświęciła prawie 9 lat. Ma brata Wojtka, który też chodził do Siódemki, a poza tym trenował szermierkę (obecnie w branży samochodowej). Z karoliną wiąże się pewne zamieszanie: „Ewa, czy ty myślałaś, że ja nie pamiętałam, że jesteś Karoliną? Zawsze myślałam, że to ładniejsze imię, ale ty chciałaś być Ewka" (Ryba starsza). „To Ewa jest naprawdę Karolina? Myślałem, że to tylko nick..." (miki). „Monika, czyli duża ryba, wszystko poplątała. Na chrzcie dali mi Ewcia, co wcale nie uważam za straszne imię (za to drugie mam wręcz tragiczne). Tak więc, co komu pasuje: Karolina lub Ewa. Ksywkę otrzymałam zaraz po tym,

jak ścięłam włosy, i te króciutke były bardzo kręcone i sterczące-afro. Jak na obrazku z lekcji fizyki" (karolina).

A poza tym: „Moja Anula uczy się w SP 7 i dlatego mogę tu wtrącać bieżące informacje ze szkoły. Właśnie rozpoczęła naukę w czwartej klasie, ale naszych nauczycieli zna tylko z większych uroczystości, i to tylko niektórych" (karolina).

Włoczkowski Waldek

Kolega z klasy ak, a sąsiad rb. „Znam Waldka, bo był moim sąsiadem w czasach, kiedy Bursztynowa była ścieżką i nie miała żadnego numeru. Wtedy mój płot sąsiadował z płotem Włoczkowskich. Nie byliśmy kumplami i rzucaliśmy się przez ten płot kamieniami. Kiedyś potłukłem im szyby w miniszklarni. W szkole średniej kolegowaliśmy się nieco. Razem żeglowaliśmy: on w Warmii ja W LOK-u" (rb).

Wojdyło Piotr

Kolega WM.

Wolski Rafał

Siódemkowicz, który dziś jest konsulem w Monachium.

Worek (na kapcie)

Nieodzowny element zestawu z tornistrem. „Dobrze to pamiętam: przytroczony do tornistra worek z kapciami, który przez długie lata nosiło się w tę i z powrotem ze szkoły do domu i vice versa. Z workiem na kapcie mam pewne niezbyt chlubne wspomnienie. Wracając kiedyś ze szkoły, pokłóciłem się z kolegą. Awantura zaczęła się pod arkadami tuż obok sklepu spożywczego, a przy ostatniej arkadzie, obok zakładu tapicerskiego, najwyraźniej już siebie mocno nie lubiliśmy. Po zejściu ze schodów doszło do krótkiej bójki i worki z kapciami poszły w ruch. Byłem nieco szybszy i zwinniejszy, choć i ja swoje zarobiłem. Tak wyszło nieszczęśliwe, że mój worek wylądował na nosie kolegi, no i krew popłynęła strumieniem (tak na marginesie, kolega miał dosyć wrażliwy nos i często krwawił bez większych powodów; jednakże tutaj to moja fizyczna ingerencja spowodowała tę sytuację). Nie zawsze szczeniackie wygłupy i kłótnie kończyły się dobrze, choć krew z nosa jakoś jest chyba jeszcze do zaakceptowania" (mamut).

Woronowicz Bobek (Robert)

Wozy konne

Kiedyś zjawiały się na Alei Przyjaciół częściej niż samochody. Szczególnie długo wożono nimi węgiel i koks. „Wóz konny jeżdżący po Alei Przyjaciół to przemiłe wspomnienie, bo mój mały braciszek – Jurek L. – odbywał na nim bardzo częste jazdy, siedząc obok woźnicy" (HG).

Woźniczko Grzesiek

Kolega z klasy DD i z podwórka ak. Mieszkał na Alei Przyjaciół 25, na I piętrze. Słuch o nim zaginął, aczkolwiek podobno mieszka w Olsztynie.

Wójtowicz Marzena

Bohaterka (najprawdopodobniej) słynnego zdarzenia z urwaniem ramiączka na występie zespołu Arabeska w filaharminii. „Wspominaliśmy wydarzenie, które miało miejsce w czasie pokazu tanecznego zespołu Arabeska w filharmonii, gdzie jednej z uczestniczek pękło ramiączko od stanika; oczywiście Marzena od razu zaczęła krzyczeć, że to absolutnie jej nie

dotyczyło (chłopcy byli innego zdania). Marzenka obwieściła nam przy okazji (wszysyko to było na spotkaniu w Kolorowej i Karczmie Jana), że jest babcią. Wielkie z tej okazji gratulacje otrzymała od wszystkich" (karolina).

„Poza tym Marzena miała brata, który chodził do klasy z Piotrkiem Zaremskim" (ryba 696).

Wróblewska Dorota

„Jedno ze zdęć na stronie Fredka przedstawia Dorotę Wróblewską. Pamiętam jak w nocy, gdy spała w namiocie u siebie w ogrodzie, poszedłem z Mośkiem do niej. Pogonił nas jej ojciec; stratowaliśmy im wszystkie róże; krzyczał za nami, że i tak wie, kim jesteśmy; ostro było. Dorocie na boisku szkolnym robiliśmy malinki na szyi; wściekała się na nas, bo musiała nosić golf. Mieszka ciągle na naszej dzielnicy, ma syna, i co najważniejsze, jej mężem jest chłopak także z naszej szkoły Marian. Bardzo ich lubię, i dlatego pokażę im naszą stronę i forum, chociaż któregoś razu mówili mi chyba, że znają już to miejsce" (Cines).

Wróblewscy

Mieszkali na pierwszym piętrze budynku, w którym mieści się biblioteka, czyli przy Alei Przyjaciół 15. Zbyszek Wróblewski chodził do Siódemki w latach 1965-1973 („i zdałem!"). Jest nieodmiennie fanem sportu i turystyki oraz szantowania. Obecnie pracuje w Novotelu. Brat Zbyszka, czyli Wojtek Wróblewski (rocznik 1966/67), chodził do klasy z Iwoną.

„Mama-babcia ma się dobrze, mieszka na Alei Przyjaciół od zawsze (też mieliśmy kury!) i mogłaby wiele opowiedzieć. Gdyby nasze babcie się spotkały, to dopiero moglibyśmy posłuchać! W swoim czasie pracowała w przedszkolu na Rybakach.

A teraz o mnie. Urodziłem się i żyję. Mam dom (no może piętro), ale za to na Alei Przyjaciół. Mam syna (i córkę), posadziłem wiele drzew, a i wyciąłem parę. Możliwe, że WFM-ka taty była najstarszym motorem na osiedlu; zajeździłem ją na krosowisku nad Krzywym, razem z Januszem M. z klasy, któremu zresztą resztki maszyny oddaliśmy. Potem brat miał Junaka, to dopiero była maszyna. Jednak z sentymentem wspominam milicyjną maszynę ak. Brałem udział w ostatniej wojnie po stronie zielonych (nie z własnej woli), poznałem wielu sympatycznych ludzi z okolic Tomaszkowa. Parę zimowych miesięcy w lesie dało dużo czasu do przemyśleń nad sensem i bezsensem. Uratowałem życie dwóm osobom, pomogłem wielu. Myślę, że nie mam wrogów. Pracuję z przerwą w tej samej firmie od dwudziestu trzech lat; może to powód do zadowolenia, lecz do satysfakcji finansowej raczej nie. Mam swoją małą stabilizacją, dużo zajęć i pomysłów poza pracą. Działam w PTTK (kajaki), Kolodromie (rowery), gram w siatkówkę amatorsko (dwa razy dwie godziny tygodniowo), latem pogrywamy na plaży. Lubię tańczyć, tańczyłem w swoim czasie w MDK, a potem w Mirażu; żegluję, pływam, lubię zabawę i luz. Aktualne zdjęcie do wglądu na stronach ak i Fredka. No tak, nabrałem kształtów napoju w brązowej butelce, nazywają to mięśniem piwnym, ale walczę i... piję nadal (bez przesady). Wydaje mi się, że piękne jest to, iż miałem pozytywny wpływ na czyjeś życie, że je wywołałem, że komuś je uratowałem. Uważam, że «najważniejsza jest ta pogoda, którą mamy w sobie» i że szkoda przespać życie; trzeba je brać pełnymi garściami dopóki możemy. I tym miłym (niewątpliwie) akcentem..." (Zbyszek).

Wycieczki

„Szkolna edukacja nie mogła się obejść bez szkolnych wycieczek. Cóż to była za frajda... Tydzień przed wycieczką o niczym innym się nie myślało i nie rozmawiało. Nieważne było dokąd mamy jechać i jak długo trwać będzie wycieczka, sam jej fakt działał podniecająco i ekscytująco. Zaliczyło się tych szkolnych wycieczek sporo i poznawało coraz to nowe miejsca naszego pięknego kraju, z tym że repertuar wycieczek dla kolejnych roczników

właściwie się nie zmieniał. I tak celem wycieczek były: Grunwald i skansen Olsztynka, Kętrzyn i Gierloza (Wilczy Szaniec), Ostróda i wycieczka stateczkiem po kanale, Warszawa, Malbork i Frombork oraz jeszcze to i owo. Wycieczki były autokarowe. Wyjeżdżone autokary PKS służyły szkolnej dzieciarni w poszerzaniu horyzontów krajoznawczo-turystycznych. Nie przeszkadzało nam wtedy, że autokary (najczęściej autosany) skrzypiały i trzeszczały w czasie jazdy, i że szyby nie były lśniąco czyste. Był to czas zabawy i wielkich przeżyć. Zazwyczaj okazywało się, że ktoś z nas miał chorobę lokomocyjna, co zmuszało kierowcę do zatrzymywania pojazdu, co mimo wiadomych okoliczności dla nieszczęśnika, było również urozmaiceniem podroży. Nauczyciele chyba zawsze świetnie sobie radzili z rozbrykaną i krzykliwą hałastrą, ale z biegiem lat coraz bardziej zdaję sobie sprawę, jak trudna i frustrująca była ich praca. Oczywiście nie było wyprawy w Polskę bez zapasu prowiantu, skrzętnie przygotowanego przez troskliwe mamy. Najpopularniejsze były oczywiście gotowane na twardo jaja. Bez jaj wycieczka nie byłaby pełnowartościową wycieczką. Oprócz tego były kanapki z serem i wędliną (o ile możliwości na to wtedy pozwalały). Jako napój z reguły była oranżada, soki lub wręcz butelka (często po wódce) z wcześniej przygotowaną herbatą. Nie zawsze w dawnych latach oranżada była osiągalna. Nic tak nie smakowało jak to pyszne wycieczkowe żarcie. Pamiętam, że pierwszą moją autokarową wycieczką był wypad do Grunwaldu i skansenu Olsztynka. Pole bitewne jest przecież usytuowane zaledwie 25 km od Olsztyna. Oprócz oglądania pola bitwy i pomnika grunwaldzkiego, zaliczyliśmy też krótką projekcję filmu w sali kinowej muzeum. Projekcja była oczywiście fragmentem filmu «Krzyżacy», nakręconego chyba w 1952 roku przez Aleksandra Forda. Fragment ukazywał oczywiście sceny bitwy grunwaldzkiej. Podobno w filmie zrobiono kilka gaf. Między innymi w tle bitwy było widać przejeżdżającą ciężarówkę, także jeden z Krzyżaków dzierżący tarczę w ręku miał mieć nadgarstek pięknie przyozdobiony zegarkiem. Nigdy jednak nie widziałem tych gaf; zawsze byłem zbyt pochłonięty akcją filmu. Muzeum posiadało niewielką tylko kolekcję znalezisk z pola bitewnego, co mocno nas zawiodło. Parę lat temu w trakcie zwiedzania zamku w Malborku rozmawiałem z jednym z przewodników, który twierdził, że magazyny muzeum w Malborku aż duszą się od eksponatów średniowiecznej broni, której oni nie są w stanie wystawić jako ekspozycji z powodu braku pieniędzy. Mogłyby przecież te zbiory zasilić Muzeum Grunwaldzkie, zwłaszcza, że coroczne obchody rocznicy bitwy grunwaldzkiej stają się coraz popularniejsze zarówno wśród mieszkańców tego regionu, jak i wśród turystów.

Tak więc wycieczki zawsze były dla dzieci wielką frajdą. Wiosenno-letnia pogoda była bardzo atrakcyjna i sprzyjała przygodom. Autobus wypełniał się niesamowitym gwarem. Piosenki harcerskie i nie tylko harcerskie umilały podroż, choć może nauczyciele i kierowcy mogli być innego zdania (ale raczej nie). Pamiętam nawet takie oto na przykład podwórkowe produkcje jak: «Jedzie Szurkowski na rowerze... na wirażu dodał gazu aż się znalazł na cmentarzu. Na cmentarzu wielkie krzyki, to się biją nieboszczyki. Jeden nieboszczyk wziął palanta i uderzył milicjanta. A milicjant wziął patyka i uderzył nieboszczyka...». Coś w tym stylu, całkiem udane, choć niewiele niestety w pamięci pozostało... Chyba nigdy już później podróże nie sprawiały tyle przyjemności, co w tych wczesnych latach podstawówki" (mamut).

„Zdaje się, że prawie wszystkie klasy odbywały ten sam repertuar wycieczkowy. U nas w młodszych klasach były wyjazdy do Grunwaldu i skansenu w Olsztynku. Później Święta Lipka i «Wilczy Szaniec» w Gierlozy. Jeszcze później Westerplatte, Gdańsk i Oliwa, Malbork i Frombork. A pod koniec podstawówki większa kilkudniowa wycieczka, ale nie pamiętam dokąd to było. Może Poznań? Z noclegiem w jakimś dworku. Istnieje z tego wyjazdu fotografia, gdzieś w palmiarni – czyli chyba właśnie Poznań. Na zdjęciu jest nasza klasa razem z rownoległą. Następny nocleg był pod namiotami na polu campingowym w Brodnicy (zdaje się)" (Fredek).

„Miała być z «Serkiem» wycieczka piesza z Berkwedy przez Brąswałd i Redykajny do Olsztyna (to była piąta klasa). Ale Serek przyszedł rano na Dworzec Zachodni i oświadczył, że z wycieczki nici, bo będzie padało i kazał wrócić do szkoły na zajęcia. Wtedy padł pomysł, że pojedziemy sami do Ornety. Oczywiście większa część klasy poszła do szkoły, ale paru chłopaków jednak pojechało i spędzili tam bardzo przyjemny dzień. Dopiero w następnym roku Serek pojechał z nami na tę wycieczkę pieszą, a w następnych dwóch latach zorganizował wycieczki rowerowe. Na tych wycieczkach rowerowych, które trwały parę dni, objeżdżaliśmy Olstyn dużym okręgiem. W tamtych czasach, kiedy inne klasy jeździły tylko na wycieczki autokarowe, nasze były ewenementem. Tylko my jeździliśmy na te rowerowe wypady, zabierając ze sobą namioty, śpiwory, prowiant na parę dni. Było super i wiem, że inne klasy nam tego zazdrościły" (mir-mur).

„Przypominam sobie, i to dokładnie, jak na jednej z tych wycieczek była straszna draka z Serkiem po tym, jak powrzucaliśmy dziewczyny do jeziora. On nam zabronił wchodzić do wody, więc my twierdziliśmy, że one same weszły. Na dodatek «zapomnieliśmy» o jednej i strasznie była zawiedziona. Działo się to wszystko przy jakimś ośrodku harcerskim, dobrze znanym, ale nazwy sobie nie przypominam. Na tej samej wycieczce Zenobia zerwała sobie łańcuch i ciągnęliśmy ją chyba ze dwadzieścia kilometrów do Olsztyna" (AD). „Miało też na tej wycieczce miejsce zatrzymanie przez milicję części chłopaków z wycieczki za włóczęgostwo. To była pierwsza wyprawa rowerowa w siódmej klasie i jechaliśmy od strony Olsztyn w kierunku na Klebark Wielki, Giławy, Pasym. Pierwszy biwak był pod Giławami, niedaleko jeziora Serwent, i tam właśnie miał awarię pewien niebieski składak, w którym rozsypało się łożysko. Do Pasymia dojechaliśmy z bólem i w sklepie GS kupiliśmy łożyska do tego składaczka. Po naprawie poszliśmy nad jezioro, aby wymyć ręce i w powrotnej drodze władza ludowa zwinęła nas na komisariat. Pamiętam też nocleg nad jeziorem Gim; było to w ósmej klasie, a trasa wycieczki biegła z Olsztyna przez Gietrzwałd, Olsztynek-Sudwę, Mierki, Szwaderki, Nową Kaletkę, i na nocleg na terenie harcerskim w Bałdach Piec. Tam właśnie wykąpaliśmy wszystkie panny z klasy. Zenobii nie pękł łańcuch, tylko urwała pedał i z tego powodu była rzeczywiście holowana przez chłopaków aż do Olsztyna. Również na tej samej wyprawie Kiczoł, i to od razu w Likusach, urwał przednie koło, a potem złapał dwa kapcie w Gutkowie. Serek już chciał zakończyć wycieczkę, ale jakoś ustąpił" (mir-mur).

„Pamiętna była wycieczka do Krynicy. Pojechała na nią klasa moja i Iwony. Na tej wycieczce był z nami tata Ewy Świetlik, który w tym czasie pracował w olsztyńskim radio i robił nagranie z naszej wycieczki, które potem na lekcji z naszą wychowawczynią, panią Kręcicką, słuchaliśmy jako audycji radiowej" (ETF).

Wykopki

„Za moich czasów szkolnych co roku miał miejsce przymusowy udział dzieci szkolnych w wykopkach. Pomoc praktycznie niewielka, ale za to ideologiczne wychowanie dzieci miało przynieść właściwe owoce. No i ja właśnie jestem takim owocem – z entuzjazmem przeflancowanym na obcą glebę" (nat). „U mnie wykopki, odrzucając to wszystko, co nieładne, były dla dzieciarni frajdą" (WSKH). „I my jeździliśmy ze szkołą na wykopki, ale i dla nas w sumie to była niezła frajda. Podobnie ciekawe było sadzenie lasu" (AD).

„Moje szkolne wykopki były w okolicy Kieźlin. To co pamiętam, to sceneria z niektórych polskich filmów, czyli błoto po kolona i jakiś rozklekotany traktor z przyczepą, a dookoła przyczepy obuta w gumiaki i ubrana w byle jakie kurtki (przezorne mamy wiedziały na co się zanosi i lepsze kurtki zostały w domu) i w byle jakie spodnie zgraja dzieciaków zbierająca ziemniaki. Pamiętam, że tachaliśmy je w drucianych koszach do przyczep. Taki druciany kosz wypełniony ziemniakami był cholernie ciężki i z reguły dźwigało się to w dwójkę. Kosze miały druciane rączki, czasem pokryte jakąś plastikową rurką, i boleśnie wżynały się w ręce. Od czasu do czasu jakiś znudzony uczeń ciskał w kogoś ziemniakiem, i z reguły obrywał burę

od nauczycieli, którzy byli dosyć wyczuleni na tego typu sytuacje. Ogólnie panowała nuda i dobrze było, jeśli była słoneczna pogoda. Ja mam w pamięci wykopkowy słoneczny ranek, za to pochmurne i mokre popołudnie. Pamiętam też, że po powrocie do domu dość długo musiałem czyścić gumiaki. Gliniaste błoto przylgnęło do nich tak, jakby było ich własną skórą. Ogólnie moje wspomnienia z wykopków są jednak raczej miłe; zawsze to było coś innego od zwykłej monotonii szkolnego życia" (mamut). „Ja nie wspominam wykopków jako nudnych, ponieważ właśnie każda chwila poza szkołą była wtedy bardzo udanym czasem. Fakt, że jak była zła pogoda, to euforia trochę przygasała. Ja przez mój wysoki wzrost i długie łapy załapywałem się przeważnie na jedną z najlepszych fuch, czyli odbieranie koszy i wciąganie ich na przyczepę. To było związane czasami z okazją do małej przejażdżki na przyczepie. Z góry mieliśmy też najlepszy widok na potencjalne cele kartoflanych pocisków. To była prawie snajperska pozycja!" (AD).

„Ja pamiętam z wykopków kiełbasę z ogniska. Jeździliśmy na wykopki między innymi do gospodarstwa za Trekusem. Poza tym gdzieś tam była ferma lisów, wywozili padlinę do lasu, śmierdziało, że hej. Mile wspominam wykopki, zawsze poza zbieraniem ziemniaków coś się działo atrakcyjnego" (Zbyszek). „Muszę przyznać, że nie ma to jak nieźle opalony ziemniaczek wygrzany w złocistym żarze wykopkowego ogniska, choć też nic tak rąk nie brudziło jak spalona skórka ziemniaka. Z reguły parzył w ręce, ale jak się czekało prawie godzinę na upieczenie ziemniaka, to nie zwracało się uwagi na to, że parzy, tylko pragnęło się tego ziemniaka wreszcie zjeść. Pamiętam, że ktoś przynosił też trochę soli, czasem w solniczce, czasem w kawałku metalowej folii, a zdarzało się, że nawet w pudełku od zapałek. Taki ziemniaczek posypany solą parował w chłodny jesienny wieczór swoim gorącem, i pyszny był nadzwyczaj. Chyba w tej sytuacji zrobię sobie pieczone ziemniaki w ten weekend" (mamut).

„Nienawidziłam wykopków; zawsze było szaro, mokro i zimno. Gorszy od błota i smrodu polskiej wsi był tylko ten absurdalny patriotyczny przymus. Ciekawe, że reszta świata potrafiła wygrzebywać ziemniaki dla narodu bez udziału dzieci" (nat).

„Wykopki wielką przyjemnością raczej nie były. Nas też chyba na jakiejś przyczepie przewozili. Później zbieranie ziemniakow z «rzutami», gdy nauczyciele nie patrzyli. Przerwa obiadowa z napojem kawo-podobnym, do tego puszka świńsko-mięsna firmy Yano ze świeżym chlebem (co nawet nieźle smakowało). No a po wykopkach ognisko i pieczone kartofle. Zbierało się chrust i co się znalazlo wokół pola. To zbieranie ziemniaków zabawą może nie było, ale przynajmniej się wiedziało, jak ciężko jest kartofle zbierać. Dziś chyba dzieciaki nawet nie wiedzą jak i gdzie to rośnie. Wszystko pochodzi po prostu ze sklepu, i nikogo nie interesuje ile pracy w tym tkwi" (Fredek).

„Ziemniaczki ziemniaczkami, ale kto był na wykopkach buraków? Ja byłem raz i to było zupełnie coś innego. Używano do tego specjalnych maczet do ścinania liści buraczanych, ale pani Ciołkowska nie dawała byle komu takiego narzędzia do ręki. To znaczy: mnie nie dała, bo zobaczyła dzikość w moich oczach. A liście były wysokie, i jak tylko się odwróciła, to kładłem się wzdłuż rządka, i leżałem tak długo, aż zawołała mnie z nazwiska. Więcej PGR nie wzywał nas na takie wykopki, gdyż po tym jednym razie buraki były tak pochlastane maczetami jak po średniowiecznej bitwie" (miki).

Wypadki i tragedie

„Choć wszyscy wspominają naszą dzielnicę z sentymentem, sympatią czy wręcz uwielbieniem, to przecież ma ona swój rozdział tragedii i rozpaczy. O paru rzeczach już tu pisaliśmy: o utopieniach na Długim, o wypadku samochodowym ze śmiercią dziecka na Alei Przyjaciół w czasach, gdy prawie nie było tam samochodów, i jeszcze o tym i o owym. Mnie przypomina się jeszcze, że na samym początku lat 60-tych w lesie, w pobliżu stacji benzynowej jakiś facet z dzielnicy powiesił się. Pamiętam, że mnóstwo ludzi biegło w tamtą

stronę w jakimś zbiorowym instynkcie przerażenia, biegłem także ja, ale bałem się strasznie zobaczyć tego wisielca, i w końcu zatrzymałem się przed samym lasem i dalej nie poszedłem. Ta historia potem, gdy już byłem dorosły, wiele razy na różne pokomplikowane sposoby śniła mi się" (jd).

„Do opowieści z dzieciństwa mojej mamy w Olsztynie należy historia z wisielcem w lesie. Podobno to ona razem z innymi dziećmi go znalazła. Jak już piszemy o horrorach, to i o tym trudno nie wspomnieć. Tym wisielcem był uczeń Siódemki, kolega z klasy mojej mamy. Miał ojca, który wymagał od niego samych piątek w szkole i chłopak panicznie się go bał. Nazywał się Andrzej Hyza" (mr).

Wyszkowska Ela

Mieszkała na Morskiej. Pamięta ją mama mr. „Ona była najlepszą koleżanką mojej cioci (czyli siostry mamy) i od pierwszej klasy razem siedziały w jednej ławce. Do dnia dzisiejszego się przyjaźnią. Wiem, że jej mama (tzn. stara Markowska, jak ją ciocia oraz Ela nazywają) jeszcze żyje i mieszka na Morskiej, i Ela często do niej jeździ. Ela była nawet na pogrzebie mojego dziadka. Jej syn Błażej był jakimś działaczem Solidarności, a potem dał nogę do Niemiec" (mr).

Wyścigi rowerowe

Odbywały się głównie na Rybakach, które właściwie stanowiły niemal naturalny tor rowerowy. Organizowano również wyścigi na innych roweropodobnych pojazdach i na większych trasach.

„Co do wyścigów na Rybakach, to chyba brałem udział we wszystkich możliwych. Najpierw na hulajnogach, później na rowerach, jeszcze później na Jawkach (taki motorower 50 cm, produkcji czeskiej), a na końcu były prawdziwe motory. Robiło to wszystko dużo szumu i ludzie z dzielnicy próbowali nam przeszkadzać, ale nie udawało im się to. Nasyłali MO, dzielnicowych i innych; na próżno, i tak jeździliśmy. To była wspaniała trasa: start spod 11, dalej Rybakami, przed CPN w lewo, Morska na dół, na placyku w lewo, i gazu, i tak ze trzy razy; sami rozumiecie, jaka to musiała być frajda" (LP).

„Wyścigi LP wokół Rybaków to były prawdziwe wielkie rajdy. Opowiem o moich dużo skromniejszych wyścigach na Rybakach. Były tylko dwa (to znaczy dwa razy wielowyścigowe imprezy). Miałem wtedy 5-6 lat. Wyścig startował spod sklepu, potem wzdłuż szkoły, w prawo w Rybaki, dookoła Rybakami i meta na wysokości skrzynki pocztowej wiszącej wtedy na sklepie. Te wyścigi przygotowywali dorośli, blokowali wjazdy samochodów, więc było bezpiecznie. Byłem mały, miałem beznadziejny rower (o tym rowerze już pisałem) i ciągle zajmowałem ostatnie miejsce. Ciągle mówiono mi «przegrałeś», a ja byłem pewny, że «wygrać», to znaczy nie zająć ostatniego miejsca. W końcu ktoś się chyba zlitował i w jednym z wyścigów zająłem przedostatnie miejsce, dziwiąc się następnie, że nikt nie chce zrozumieć, że przecież «wygrałem» ten wyścig. Ale i tak byłem zachwycony swym oczywistym sukcesem" (jd).

„Pamiętam również zawody rowerowe na Zatorzu; tam był tor rowerowy ze znakami drogowymi, jak na prawdziwej ulicy. Nie chcę się przechwalać, ale kiedyś na Dzień Dziecka zająłem tam pierwsze miejsce. To było gdzieś w okolicy polikliniki" (LP).

Z

Zabawy karnawałowe

„Kto z was pamięta szkolne zabawy karnawałowe? Girlandy z wielokolorowej bibuły, zwisające spod sufitu i balustrad sali gimnastycznej, jazgoczący, bo nienajlepszy sprzęt

nagłaśniający, przeboje Bajmu i Czerwonych Gitar, smak lemoniady i torcików WZ... Pamiętam, że wszyscy przebierali się w jakieś cudaczne stroje. Ja bywałem magikiem, kowbojem, piratem i sam już nie pamiętam czym...” (mamut).

„Na zabawach najczęstszą dekoracją były taśmy z mleczarni, z wybitymi przy kapslowaniu mleka otworami! Teraz ani tych taśm, ani tego mleka, ani tych butelek! Ja najczęściej przebierałem się za kowboja” (Zbyszek).

Zabiełło Bogusia

„Pani notariusz, która ostatnio sporządzała mi akt notarialny, to nasza dawna znajoma. Bogusia Zabiełło! Niestety, nie poznałem jej, a przecież była ze mną w pierwszej klasie. Później przenieśli ją do klasy A, i to mnie trochę usprawiedliwia. Czy ona nie przeszła kiedyś o klasę wyżej?” (LP). „Bogusia Zabiełło było promowana do wyższej klasy wraz z kilkoma innymi prymusami. Zdaje się, że z trzeciej do czwartej klasy. Wtedy robiono takie eksperymenty. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że skracano dzieciakom pobyt w tak świetnej szkole, ale jak przyszła do mojej klasy, to aż do końca szkoły była wzorową uczennicą, pozostali promowani zresztą też. Jej foto jest w książce pięćdziesięciolecia szkoły. Ukończyła prawo, była sędziną, a teraz jest notariuszem” (WSKH).

„Mojego starszego braciszka Waldka też przerzucili wyżej. Trudno powiedzieć, czy mu to w jego przyszłości pomogło, czy zaszkodziło” (Fredek).

Zabłocki Bodzio

Kolega z klasy WSKH. „Bodzio był zapaleńcem wszelkich eksperymentów chemicznych i fizycznych. Jego numer popisowy polegał na tym, że nieuważnych kolegów po cichu podłączał na lekcjach fizyki do maszyny elektrostatycznej. Iskra nieźle pieściła, zwłaszcza dziewczyny” (WSKH).

Zaczepianie dziewcząt

„Do dziś młodsi młodzieńcy strzelają pod szkołą owocami głogu czy czegoś podobnego w wychodzące ze szkoły dziewczęta. Pamiętacie? Rurka z ołówka lub długopisu i dmuchało się, że hej...” (Zbyszek).

„Ostatnio byłem w pewnej szkole. Trafiłem akurat na przerwę, wysypali się uczniowie, kilku chłopców wyciagnęło rurki i zaczęło dmuchać plasteliną. Dla mnie jakby czas się zatrzymał. Wyjątkowo celnie kiedyś dmuchalem! Miałem świetną rurkę z nocnej lampki; ci z ołówkami automatycznymi nie mieli szans” (Zbyszek). „Moja rurka była od takich mazaków z metalową pozłacaną rurką; wystarczyło wyrzucic przód i tył, i świetnie się nadawała do celów wiadomych” (ktos2104). „Ja jestem zdecydowanym zwolennikiem rurki od ołówka automatycznego produkcji czechosłowackiej «koh-i-nor» (?). Mała, jasnobrązowa, nie rzuca się w oczy i co najważniejsze, nie tłucze się, jak to jest w przypadku szklanej. Jeśli chodzi o amunicję, to wiadomo – plastelina. Ale plastelina bywała rekwirowana i wtedy wykorzystywało się kartkę z zeszytu. Kartkę trzeba porwać na malutkie kawałeczki, włożyć do paszczy, przerzuć, językiem uformować kulkę, i ognia! Wiem, że to obrzydliwe dostać taką oślizło-ciepłą kulką, ale trzeba było nie zaczynać!” (miki)

„My rzucaliśmy dziewczynom na bluzki i sweterki takie roślinne okrągłe rzepy. A największe chamidła podrzucały dziewczętom do góry spódniczki. Było to beznadziejne, choć w intencjach raczej niewinne” (jd).

Zaćmienie słońca

„Pamiętam zaćmienie słońca oglądane w szkole przez zakopcone szkiełko” (Zbyszek). „Też to pamiętam. Wszyscy wylegli przed front budy, a ja miałem szkiełko już

przygotowane, przyniosłem z domu. Ale uczciwie powiem, że nie robiło to na mnie wtedy większego wrażenia" (mamut).

Zakrzewskie

Siostry Agnieszka i Małgosia. Koleżanki z klasy mikiego, zybiego i mir-mura. „Agnieszka była w Polsce niecałe dwa lata temu. Żałowała, że impreza z okazji 50-lecia nie wypadła w wakacje. Poza tym specjalnie się nie zmieniła. Miki na pewno pamięta Aśkę W. z naszej klasy; ona wyszła za Francuza i to krewnego również francuskiego męża Agnieszki. Teraz spotykają się czasem w czasie uroczystości rodzinnych. Istnieje strona internetowa Agnieszki www.artdelapaix.com/. Natomiast Małgosia ostatnio mieszkała w Warszawie i pracowała w firmie farmaceutycznej. Spotykałem ją na różnych konferencjach medycznych. Agnieszka miała zawsze uzdolnienia artystyczne, o czym można przekonać się na stronie internetowej. Sami zobaczcie: ten dobór kolorów i klimat jej obrazów; przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Przekazuję też pozdrowienia od Agnieszki dla wszystkich Siódemkowiczów" (zyby).

Zawistowski Darek

Zwany Kacprem. Kolega Krzyśka. Chłopak – jak pisze Krzysiek – wyrwał się z alkoholowej rodziny dzięki sportowi. Niestety, życie nie oszczędziło mu zawodów i jeden z nich doprowadził go do samobójstwa.

Zbroński Adam

Czyli zyby. Siódemkę ukończył w roku 1980, w klasie B, razem z mikim, LM, Jarkiem Szwejkiem.

„Zyby mieszkał w pierwszym domu po prawej, za dzikim przejściem przez tory za Ekonomikiem. Zyby był wytrawnym chemikiem. Miał taki zestaw Młody Chemik, czy jakoś tak, do tego sporą ilość prochu (z wykopków za torami) i saletry z cukrem, i chciał pokazać mi, że da radę wysadzić pryzmę piachu obok swojego domu. Zawinął to wszystko w folię aluminiową i wsadził do środka pryzmy. Usypał ścieżkę z saletry (to był lont), wysłał asystenta (czyli mnie) za przejście kolejowe, żeby zobaczyć czy nikt nie idzie (wiadomo – przepisy BHP), iiiii... ooddppaalliiłłłł!!! Ale żeśmy uciekali za murek! Aż portki furkotały jak szturmówki! A tu tymczasem tylko posyczało, poszumiało, i koniec. Zyby stwierdził, że za płytko włożył ładunek, ale na następną próbę nie zostało już nic. Tak zmarnował się wybitny chemiczny talent" (miki). „Oj, zaraz zmarnował! A te świece dymne, które puszczaliśmy w szkolnej toalecie? O ile pamiętam wykonane były z mojego surowca. Afera i dochodzenie były tak piękne, że chyba zrobiliśmy to drugi raz na następnej lekcji. Poza tym nauczyłem się później wysadzać nie tylko pryzmy piasku" (zyby). „Robiliśmy kiedyś tyle głupot (ja ciągle je robię – tylko inne), że nie pamiętam wszystkich. Pamiętam o pewnym portfelu: znaleźliśmy stary portfel (pusty), wypchaliśmy go chyba ziemią i położyliśmy na chodniku. Obserwowaliśmy reakcje ludzi, którzy go znajdowali. Jak tyko ktoś chciał podnieść, krzyczeliśmy «nie kradnij, bo to nie twoje». Zabawa była przednia, nakręciłem nawet kilka ujęć kamerą" (zyby). „Do portfela była przywiązana długa nitka, i jak ktoś sięgał, to za nitkę ciągnęło się! Prawie każdy, kto się schylił i zobaczył uciekający portfel, nitkę, a potem dwóch duszących się ze śmiechu szczeniaków, uśmiechał się też i szedł dalej. Aż tu na horyzoncie pojawiła się p. Ciołkowska, więc zamarliśmy ze strachu, nie wierząc w jej poczucie humoru, a było za późno, żeby zwinąć nitkę. Więc tylko głowy w trawę i czekamy. Podniosła! Nie starczyło nam odwagi, żeby ciągnąć za nitkę. Ona zajrzała, zobaczyła te trochę piachu, rzuciła i poszła – kamień spadł nam z serca!" (miki).

Zyby był głównym inicjatorem i realizatorem interdyscyplinarnego przedsięwziecia, polegającego na nagraniu przebiegu lekcji fizyki (albo chemii) i śpiewu (miedzy innymi z

udziałem Filuta, rok 1979), a następnie umieszczeniu tego na stronie Fredka. Oto jego objaśnienia do tych nagrań: „Nagrania lekcji śpiewu i chemii pochodzą z grudnia 1979 roku. Jak na naszą klasę, były to spokojne lekcje, a to dlatego, że kolega Waldemar W. przestraszył się mikrofonu i po prostu nie przyszedł. Uciążliwość dla nauczucieli duetu Harnaś i Waldek rosła do kwadratu w stosunku do jednego z nich. Lekcje u Filuta wyglądały właściwe w całości jak ten fragment, gdy wyrzuca on Harnasia za drzwi. W zasadzie nie traktowaliśmy ich jako lekcji, tylko jako okazję do ubawu – dziś przyznaję, że okrutnego wobec Filuta. Jak bardzo okrutnego, słychać dobrze w nieopublikowanych fragmentach. Lekcję chemii nagrywałem z przedostatniej ławki w rzędzie od strony korytarza, obok mnie siedział LM i Robert Marcinkiewicz" (zyby).

Zebala

„Uczeń Siódemki; do szkoły chodziła też jego siostra, zdaje się Mariola; za to jego imienia za nic nie mogę sobie przypomnieć" (mamut).

Zejście nad jezioro

Między budynkami Alei Przyjaciół 38 i Rybaków 2, w pobliżu sklepu. „Tam jeździliśmy na nartach: ja, Angor i Szczur, czyli Jurek Radziun. Teraz są tam jakieś kretyńskie schody. Było tam naprawdę niebezpiecznie, i o to chodziło" (LP). „Ja zjeżdżałem tam na sankach, ale lepsze miejsce było na Bałtyckiej, za szkołą przy kiosku Ruchu (ta szkoła była bardzo ładna, teraz jest tam coś katolickiego, mniej ładnego). Zjeżdżało się wprost na jezioro i to z wyskokiem; lód był tam zawsze taki, że nigdy nie było żadnego wypadku z jego załamaniem się" (jd).

„Ach, ścieżka nad jezioro... Ileż było na niej radości, podartych spodni, wiader wody wylanych wieczorem, żeby ślizgawka była lepsza. Wprawdzie w dzień «wrogowie» sypali popiół i piasek, ale nocą znowu lana była woda, i tak aż do końca zimy" (Zbyszek).

„Jak wiadomo, jest też drugie zejście nad jezioro naprzeciw biblioteki, a dawno temu było jeszcze zejście trzecie, na samym początku Alei Przyjaciół, gdzie placyk przechodzi we właściwą Aleję, i gdzie stanęła w latach chyba 80-tych willa w innym stylu niż pozostałe budynki (na przeciw willi Rasteńskich, też dobudowanej, ale dużo wcześniej, i też w innym stylu). Z kolei zejście koło biblioteki miało kiedyś przedłużenie w drugą stronę, między budynkami Alei Przyjaciół 13 i 15, w stronę tzw. uliczki, która potem zmieniła się w Bursztynową" (jd). „Wszystkie te zejścia i przejścia nadal są, z tym że przy bibliotece położona jest kostka, a przy Rasteńskich (on już nie żyje, budynek sprzedany i mieszka tam już ktoś inny) zejście jest jak kiedyś, może bardziej umowne, no ale jest. Jest też zejście nad jezioro przy przedszkolu na Rybakach" (Zbyszek).

To najważniejsze zejście koło sklepu było też dobrym miejscem na tajne młodzieńcze palenie papierosów.

Ziółkowscy

Mieszkali na samej górze w budynku na Bałtyckiej, w którym jest poczta, naprzeciw kiosku.

Złodziejowo

Nazywano tak osiedle rozciągające się za pocztą na Bałtyckiej, położone między Bałtycką a Jeziorną (m in. ulice Biała, Błękitna, Różowa i inne „kolorowe"). Niekiedy dochodziło do sporów i potyczek między „Złodziejowem" a Osiedlem nad Jeziorem Długim. Spory były jednak powierzchowne i krótkookresowe, a nazwa osiedla do dziś budzi wyrzut sumienia w tych z Alei Przyjaciół, Rybaków i okolic.

Zmysłowski Bogdan

„Mieszkał koło LM, miał super kuzynkę, która przyjeżdzała na wakacje; jego mama trochę kulała" (johninm). „Mama Bogdana już nie żyje, a dom sprzedali jakiejś dziewczynie z Warszawy" (LM).

Zmysłowski Wiesiek

Kolega z klasy Iwony, Ewy T i wielu innych; z rocznika 1966/67.

Znaczki

„Czy jeszcze zbiera się znaczki? Gdy mieszkałem w Olsztynie w latach 60-tych, moja mam pracowała w ZUS-ie. Do tego ZUS-u przychodziło mnóstwo korespondencji, i mama mi przynosiła znaczki, subtelnie wycinając je z kopert (nie było w tym nic nielegalnego i korupcyjnego). Ja te znaczki wklejałem do wielkiego zeszytu, nie wiedząc wtedy jeszcze, że istnieją klasery. Przyjście mamy z pracy to była zawsze chwila napięcia. Zazwyczaj przynosiła typowe znaczki, takie jakie już miałem, ale od czasu do czasu zdarzało się coś ekstra, a super-ekstra były zdarzające się przesyłki z zagranicy. Miałem więc w swoich zbiorach kilka znaczków z królową Elżbietą II, a nawet amerykański znaczek ze Statuą Wolności. Te przynoszone znaczki były przylepione do papieru z kopert, więc najpierw trzeba było w wodzie oddzielić je (odmoczyć) od tych kawałków kopert, potem wysuszyć i dopiero wtedy wklejać w zeszyt – cała wielka, skomplikowana i precyzyjna procedura. Do dziś pamiętam te najpopularniejsze znaczki na list (60 gr) i na pocztówkę (40 gr.)" (jd).

Znajdowanie pieniędzy

„Znalazłem 2 razy po 20 zł. (czyli dwa niebieściutkie banknoty) przy płocie najstarszego budynku Siódemki, czyli obecnego Katolika. Było to w latach 60-tych. Pewnie ktoś zgubił. Nawiasem mówiąc, mam cała kolekcję polskich banknotów 20-złotowych, poczynając od przedwojny, a było ich trochę" (Zbyszek).

„Kiedyś, a było to po przejściu procesji pogrzebowej na naszej ulicy, wysłano mnie do sklepu po jajka. Przechodząc przez jezdnię, znalazłam 50 zł. Potraktowałam to oczywiście jako łut szczęścia, ale jednocześnie czułam się trochę nieswojo, gdyż podejrzewałam, że pieniądze zgubione zostały przez jakiegoś pogrążonego w rozpaczy uczestnika procesji. Tym niemniej na tacę nie zaniosłam" (nat).

„Ja znalazłem kiedyś 10 złotych (duża moneta z Kościuszką). Wszystko natychmiast wydałem na słodycze w sklepie" (jd).

Zorro

Bohater odcinkowego filmu telewizyjnego i „mieszkaniec masowej wyobraźni" szczególnie męskiej części dzieciarni lat 60-tych. „Kto pamięta szał pojedynkowania się na patyki (czyli szpady), kiedy w telewizji pokazywano «Znak Zorro»? Połowa dzielnicy była zresztą zabazgrana literą Z – czyżbyśmy byli prekursorami graficiarstwa?" (US).

Związek Wędkarski

Budynek przy Bałtyckiej nad Jeziorem Długim. Obok niego jest zejście na trasę spacerową nad samym jeziorem. Obecnie postawiono tam budkę telefoniczną (2002 r.), ale już zdążono ją zlikwidować (2004 r.).

„Tuż przy tym zejściu jest spore drzewo. Wchodziłem często na to drzewo, a gdy byłem mały i dorośli jeszcze wiele mówili o wojnie, to postanowiłem, że gdyby przyszli Niemcy, to schowam się właśnie na tym drzewie, bo tam na pewno mnie nie znajdą" (jd). „Chcę dodać, że sam osobiście oraz moi koledzy dawno temu wbijaliśmy w to właśnie drzewo gwoździe, żeby można było wejść wyżej. Zaraz obok drzewa była kiedyś ławka, na której można było

posiedzieć, wypić piwo. Niestety, kiedyś otworzyli w pobliżu kran ze ściekami, które leciały z baraków, i fetor przepędził wszystkich dalej" (LP).

Sprawa tego drzewa wzbudziła namiętna dyskusją na form. „Fredek, mam różnicę zdań z ritą, i może pomożesz rozstrzygnąć, kto ma słuszną rację, a kto jest w mylnym błędzie: czy duże drzewo przy samym wejściu na ścieżkę spacerową nad Jeziorem Długim, to bardzo blisko Bałtyckiej i Związku Wędkarskiego, na twojej stronie o numerze P8240052, to jest trzypienna topola czy dwupienna brzoza?" (jd). Pojawiły się również zdumiewające opinie, że wprawdzie nie jest to brzoza, ale może wierzba („pamiętam to drzewo u wejścia do alejki nad jezioro od strony Bałtyckiej; wydaje mi się, że to była wierzba płacząca" – jf), a rita w rozpaczy i uporze zaczęła nawet forsować lipę, zaś ojciec Fredka stawiał na klon. W końcu, po niewytłumaczalnych wątpliwościach, uznano to, co jest jasne jak słońce – że to topola. „Chyba jednak to topola. Topole lubią rosnąć przy wodzie, rosną szybko (tylko spójrzcie, jak gigantycznie rozrosła się przez te lata), i mają pylące się białe kwiecie. Więc to chyba topola" (mamut).

„Ta topola musi mieć już sporo lat na karku. Wracając z Kościoła Garnizonowego, wspinaliśmy się na to drzewko. A to był koniec lat 60-tych, może początek 70-tych. I już wtedy to drzewko było bardzo okazałe. Musi mieć więc sporo lat, niewykluczone, że ponad 100" (Fredek).

Ż

Żaby

Występują w sporych ilościach w Jeziorze Długim W maju urządzają piękne i nadzwyczaj głośne koncerty kumkania i rechotania. Dzieci traktują jednak żaby trochę bez serca.

„Czy wy też byliście tak okrutni i nadmuchiwaliście żaby przez słomki, jak to robili niektórzy moi koledzy? Ja pobiłam mojego sąsiada Romka Bracława za to, że właśnie nadmuchiwał żabę. Mieliśmy chyba po siedem lat. Jego tata przyszedł do mojego dziadka się poskarżyć, że tak mu syna pobiłam, na co mój dziadek zapytał, czy mu nie wstyd, że jego syn dał się pobić dziewczynie. Od tego czasu Romek zostawił żaby w spokoju" (mr). „Taką nadmuchaną żabę kładło się na mrowisko, i kilka dni później miało się wspaniały szkielet żaby na lekcję biologii" (Fredek).

Żak Jarek

Kolega z klasy WSKH. „Męczyła go okrutnie pani Zera, najbardziej z całej klasy. I proszę, po latach Jarek Żak może mieć tę satysfakcję, że będzie omegą i będzie (prawie) zamykał encyklopedię, a nie ona" (WSKH).

Żbik

Niewielkie, ale wysoko cenione jeziorko. Bywały tam raki o pięknym czerwonym kolorze (na Długim raki były szare); chodziło się tam na plażę. Dziś Żbik raczej utracił swój urok.

„Żbik przez krótki czas było moim «numerem 1», ale za dużo ludzi dowiedziało się, jakie to ono bajecznie czyste, i postanowili to zmienić. Aktualnie wygląda to tak, że nad maleńkie jeziorko przyjeżdżają tłumy dzikiej szarańczy ludzkiej, chyba z nastawieniem, że są tam po raz ostatni, więc wszystko może nawet spłonąć... ale oni mają bawić się dobrze" (betis).

„Nurkuję w jeziorkach od prawie dwudziestu lat i cały czas czekam na spotkanie 1 stopnia. Przy kiepskiej widoczności naszych jezior może to być nawet uderzenie głową w ciało. Dwa lata temu na Żbiku myślałem, że to już. Przede mną kość, potem druga i następne, jakieś one grube, ale kość to kość, płynę dalej, jestem tuż przy dnie, wypatruję reszty

szkieletu, a tu... krowia czaszka! Nie można nawet w gacie (skafander) narobić ze strachu, bo ciśnienie wody nie pozwoli!" (miki).

Żołnierze

Po drugiej stronie Jeziora Długiego znajdowała się zawsze spora jednostka wojskowa, i żołnierze legalnie lub nielegalnie oddalający się z jednostki byli stałą częścią krajobrazu społecznego naszych okolic.

„Pamiętam żołnierzy w kapciach na wyskoku z koszar – przy sklepie, w lesie z panienkami, czy też na ulicy, odganiających się od psów żołnierskimi pasami. Sporo też żołnierzy potopiło się w Długim, próbując przepłynąć je wpław w stronę Alei Przyjaciół. Było to w latach pięćdziesiątych. Nie byli w stanie przepłynąć tych kilkuset metrów. No, ale wtedy umiejętności pływackie były słabe, a alkohol był w powszechnym użyciu" (fundy).

„Sklep przy naszej szkole był bardzo często odwiedzany przez żołnierzy z jednostki za jeziorem. Przychodzili tym przejściem między ogródkami przy zbiegu Alei Przyjaciół i Rybaków. Te tajne żołnierskie wycieczki wywąchało WSW i często robiło łapanki. Trzech żołdaków pewnego letniego dnia zaczepiło mnie przy tym przejściu, abym kupił im kilka win. Kupiłem, a oni w dowód wdzięczności zaprosili mnie do konsumpcji. Poszliśmy do lasku za most. Potem przyniosłem im drugą działkę, i mostem wracałem już wężykiem. To były pierwsze i w takiej ilości na pewno ostatnie w moim życiu wina marki wino. Tym wężykiem pod wieczór doszedłem właśnie do nr 11, tam pierwsi spotkali mnie W. i M. Potem ruszyłem w stronę szkoły i dobrnąłem do ogródka geograficznego. Tak, ogródek stał się dla mnie izbą wytrzeźwień, gdzie na ławce kilka godzin dochodziłem do siebie" (WSKH).

SPIS HASEŁ

Adidasy
Adomas Jurek
Albumy
Aleja Przyjaciół
Aleja Przyjaciół 13
Aleja Przyjaciół 25
Aleja Przyjaciół 27
Aleja Przyjaciół 28
Aleja Przyjaciół 29
Aleja Przyjaciół 30
Aleja Przyjaciół 31
Aleja Przyjaciół 32
Aleja Przyjaciół 33
Aleja Przyjaciół 34
Aleja Przyjaciół 36
Aleja Przyjaciół 37
Aleja Przyjaciół 38
Aleja Przyjaciół 39
Aleja Przyjaciół 41
Aleja Róż
Aleksandrowicz Andrzej
Alfa-Centrum
Angor
Antałek
Antosz Zbyszek
Apteka
Atrament
Awangarda

B. Teresa
Babcia
Balik
Bałtycka
Bałtycka 18
Bambino
Bambuko
Bankowski
Bar mleczny
Baraki
Bartnikowski Adam
Bardzo
Baturo
Baukrowicz Anita
Bąk Wojtek
Biała
Białek Robert
Biblioteka
Bielecki Mirek

Biwaki
Blaziak Marek
Bobsleje
Boehm
Boguccy
Boisko szkolne
Borkowska Agnieszka
Borkowski
Borucki Sylwek
Bracław Romek
Bronicka Jadzia
Bruliński Dariusz
Brygida
Budowlanka
Bujło Grażyna
Bułecki Mirek
Bunkier
Bursztynowa

Cerowanie skarpetek
Chłopik
Choroba i symulowanie choroby
Chowanego
Chodzenie po drzewach
Ciołkowski Bogdan
Cmentarz
Cmentarz żydowski
Cocktail-bar
Cygan
Cyranka
Cyrk
Cywińscy
Czasnojc Krystyna
Czernina
Czerwińscy
Czołg

Ćwikliński Heniek

Daszkiewicz Ala
Dembowski Darek
Detritus
Deszcz
Długopis
Dobieszewski Janusz
Dobkowscy
Dobrowolski Janek
Dom nauczycielski
Domaradzka Ewa
Dorotowo

Draminiak
Dramowiczowie
Dresy
Droga do szkoły
Drohomirecka Bożena
Drosel Andrzej
Droździak
Dukat
Duszyńscy
Dwa ognie
Dworcowe
Dworzec Zachodni
Dyngol
Dyżurny
Dziankowscy
Dzieci z Bullerbyn
Dziennik
Dzień Dziecka
Dzika róża
Dżinsy

Eisele
Elemelek

Fartuszki szkolne
Fatyga Bożena
Fiedorowiczowie
Fifki
Filharmonia
Filipowicz Janusz
Filut
Florian
Fluoryzacja
Foksowie
Fosa z amfiteatrem

Gabinet lekarski
Gabloty reklamowe
Gajko Ania
Gajko Piotrek
Galaretka
Gerwazy
Godlewski Janusz
Goldau
Goleniowski Andrzej
Golus Krysia
Gonkiewicz Bartosz
Góralska Barbara
Górki

Grefkowicz Marek
Grundig
Grunwaldzka
Grzyby
Guma
Gutkowski Marek
Gwozdek Krzysztof

Hale
Hanowski
Harcerstwo
Harcówka
Harnaś
Herdliczko Krzysztof
Hokej
Hula-hop

Imieniny
ITR, IMA, Powtórka z rozrywki
Iwanowska
Izba Pamięci

J23
Jabłońska Maria
Jagusiewicz Ania
Janiszewski Krzysiek
Jarzyński Jarek
Jaskowska Grażyna
Jawka
Jaworscy
Jelewski Sławek
Jesień
Jeziorna
Jezioro Czarne
Jezioro Długie
Jezioro Krzywe
Jezioro Kortowskie
Jezioro Likuskie
Jędowa
Jola

Kaczanowski Marek
Kaczmarek
Kaczorowski
Kaczyńska Joanna
Kaimowie
Kanada
Kanka
Kapsle
Karbid

Karczewska
Karmowski Jurek
Kartingi
Karty
Karzel Allan
Kaszuba Ela
Kawecki Jacek
Kępiński
Kicerman Jacek
Kiczol
Kierkiewiczowie
Kino
Kino letnie
Kiosk przy szkole
Kiosk Ruchu
Klepaccy
Klimek Romek
Klipa
Kloss
Kogel-mogel
Kokardy
Koks
Kolekcjonerstwo
Kolonie
Kolorowa
Kolpy Czesiek
Komary
Komiksy
Komuna i sprawy polityczne
Konarzewska Wanda
Konażewski Leszek
Korki
Korwek Danka
Koszary
Koszule non-iron
Kościół Garnizonowy
Krajewski Andrzej
Krany podwórzowe
Krauze
Krenzek Alfred
Kromera
Kruczkowski Leon
Krupa Ela
Kruszewscy
Krutynia
Krystyniak
Krzak Andrzej
Ksiądz
Księgarnia
Kufel Jarek

Kuklińscy Tomek i Marcin
Kulecka Antonina
Kulig
Kusiorska Ewa
Kwiaty

Lachowski Jarek
Landrynki
Las
Lasek bombowy
Laszko
Legendy
Lep na muchy
Leszkowicz Rysiek
Leśniewska Monika
Lewandowscy
Lewandowski Bogdan
Liceum Ekonomiczne
Likusy
Linijka
Liss Ewa
Litzowie
Lizaki
Lody
Lubańska Teresa

Łańsk
Łęgowski Marek
Łowienie ryb
Łódeczki
Łuk
Łukaszuk Łukasz
Łyżwy

Maciejewska Iwona
Madejski
Magnetofon
Majbański Bogdan
Majcher Leszek
Makara Mirek
Maksymiuk Wiesiek
Makulatura, butelki itp.
Malewski Darek
Malińska Urszula
Malkowski
Mały Modelarz
Marcinkiewicz Robert
Marcjankowie
Marczyński Darek
Markowscy

Marmolada
Marschall Michał
Mauzoleum Hindenburga
Mendelski
Męczenie zwierząt
Mielczarska Marzena
Mierzejewska Aśka
Mięsny
Mikołajki
Mirski Marek
Miś
Mleko
Młotek Jola
Molendowie
Morawski Grześ
Morawski Krzysztof
Morska
Most
Mościbrocki Andrzej
Motocykle
Muraszko Ada

Na przełaj
Namioty
Narty
Niewypały
Niziurski Edmund
Nocne wigilijne spacery
Nowaccy
Novotel

Obsadka
Odrodzenie
Ogniska
Ogórek
Ogrody
Ogródek Jordanowski
Ogródek geograficzny
Olbowicz
Olsztyn dziś
Oranżada
Oranżada w proszku
Orłowska Iwona
Osińska Wiesia
Ostropolski
Ostrzenie noży
Oszczakiewicz Magda
Oświęcim

Pakmor Waldek

Palant
Paliński
Pałki-stukałki
Pan Bajorek
Pan Drzazgowski
Pan Jaworski
Pan Kozłowski
Pan Kręcicki
Pan Mikołajczyk
Pan Pilecki
Pan Samochodzik
Pan Sempowicz
Pan Serafin
Pan Surney
Panasiuk Czarek
Pani Borkowska
Pani Brzozowska
Pani Ciołkowska
Pani Cejkowa
Pani Dagiel
Pani Dąbrowska
Pani Domańska
Pani Dragan
Pani Ekier
Pani Gajko
Pani Idźkowska
Pani Izdebska
Pani Kozieł
Pani Koziełło
Pani Kraszewska
Pani Kręcicka
Pani Mościbrocka
Pani Naporowa
Pani Paczkowska
Pani Pawłowska
Pani Pikus
Pani Pogłód
Pani Romanowicz
Pani Sitnik
Pani Skibińska
Pani Szymkiewicz
Pani Ściglerowa
Pani Wera
Pani Wolańska
Pani Zera
Papierosy
Papierówki
Parys Winicjusz
Pasta do zębów

Paszkowska Bożena
Paź
Pekin
Pęczar Andrzej
Piekarnia w Likusach
Pięćdziesięciolecie
Pijawki
Pikier
Pikus
Pikuś
Pikuty
Pileccy
Piórnik
Pistolety
Piwnice
Plaża Miejska
Plesner Leszek
Płoty
Pług
Pochmara Zbyszek
Pochód pierwszomajowy
Pochwała Paweł
Pocz Danka
Poczta
Pod Żaglami
Podgórskie
Podkolanówki
Podkówka
Podlesie
Podnoszenie oczek
Podręczniki
Podwórko
Pogrzeby
Pokorska Janina
Poliklinika
Pompecki Leszek
Poniatowska Ada
Poniewierka Jacek
Pończochy
Porębska Wiesia
Porzeczki
Poschmann Irena
Potocka Bożena
Potocki
Pożary
Prace ręczne
Proca
Prystrom Bodzik
Prywatki
Przedszkole

Przerwa
Przybory szkolne
Przychodnia
Przystań
Psy
Ptasie mleczko
Pudełko po butach

Radar
Radio
Radziunowie
Rajd Monte Carlo
Rajstopy
Raksimowiczowie
Rasteńscy
Redykajny
Rek Irek
Religia
Resoraki
Richardson Magda
Rocznica Rewolucji Październikowej
Rocznik 1965/66
Rogowska Helena
Romanowska Grażyna
Romanowski K.
Rowery
Rowniak Andrzej
Rożnowscy
Różowicz Marcin
Ruczyńska Urszula
Rura
Rybaki
Rybaki 31
Rybaki 33
Rybczyńskie
Rybicki Wiesław
Rybol
Rysio
Rysunki
Ryż prażony
Rzeszotarska Basia

Sajdowie
Sala gimnastyczna
Samochody
Saturatory
Schron
Secewicz Tomek
Servovit

Sędrowski Janusz
Siedem
Siemieniukowie
Sikowskie
Siweccy
Skibek
Sklep
Sklepik szkolny
Składnica Harcerska
Skrodzkie
Skrzynka pocztowa
Skuter
Skwerek
Słupy telefoniczne i latarniane
Smereccy
Smolińska Beata
Sobczyk Adam
Sobiesiński Jarosław
Sosiński
Sport w Siódemce
Spływy kajakowe
Stachurska Jadwiga
Stadion Leśny
Stan wojenny
Stare Jabłonki
Staromiejska
Stasia
Stawianie baniek
Stefaniak Beata
Stolarczyk Andrzej
Stolarscy
Stołówka szkolna
Strzelanie z klucza
Strzelanie z rurek
Strych
Stypułkowski
Suchary
Suchy chleb dla konia
Sułecka Wanda
Suruda Tomek
Swatek Bożena
Syfon
Syrena alarmowa
Szafarewiczowie
Szajba
Szatkowski Piotr
Szatnia
Szczepańscy
Szczypiorniak
Szkoła

Szkoła Podstawowa nr 14
Szlaczki
Sznur od żelazka
Sztiopa
Szuszkiewicz
Szwejk Jarek
Szwejkowscy
Szymańscy
Szyszkowscy

Ściąganie
Śliwińska Krystyna
Śliwinski Wojtek
Śmigus-Dyngus
Śniadanie
Śnieg, śnieżki
Świat Młodych
Świeca dymna
Świerszczyk
Świetlik Ewa

Tabędzki Janusz
Tablica
Taksówki
Tarcza szkolna
Tarcza wzorowego ucznia
Teatr
Telefon
Teler Ewa
Telewizja
Tęgowscy
Toalety
Todek Ś.
Topole
Tor saneczkowy
Tory kolejowe
Tramp
Trampki
Tramwaj
Tran
Trąpczyńscy
Trepanowscy
Trojanowska Iza
Truchan Wojtek
Trzciński Andrzej
Trzciński Tomasz
Tunel
Tuszyńska Aśka

Ulf Artur
Uliczka
Ulka
Urania
Urbanowie
Utonięcia

Wagary
Wagnerek
Walczukowie
Wardaszko Waldemar
Warmia
Warmińska
Wasiewich Marcin
Wasilewski Darek
Wąsowski Sylwek
Wesołe miasteczko
Wieczne pióro
Wielechowska Danuta
Wieszanie się głową w dół
Więckowski Edward
Wilk Halina
Wilk Jurek
Wilk Jolka
Wino
Wirzinkiewicz Henryk
Wiśniewska Elka
Wiśniowiecka Agata
Wiśniowiecki Olgierd
Witkowicz Ewa
Włoczkowski Waldek
Wojdyło Piotr
Wolski Rafał
Worek (na kapcie)
Woronowicz Bobek
Wozy konne
Woźniczko Grzesiek
Wójtowicz Marzena
Wróblewska Dorota
Wróblewscy
Wycieczki
Wykopki
Wypadki i tragedie
Wyszkowska Ela
Wyścigi rowerowe

Zabawy karnawałowe
Zabiełło Bogusia
Zabłocki Bodzio

Zaczepianie dziewcząt
Zaćmienie słońca
Zakrzewskie
Zawistowski Darek
Zbroński Adam
Zebala
Zejście nad jezioro
Ziółkowscy
Złodziejowo
Zmysłowski Bogdan
Zmysłowski Wiesiek
Znaczki
Znajdowanie pieniędzy
Zorro
Związek Wędkarski

Żaby
Żak Jarek
Żbik
Żołnierze